

OSTANIE ZIELONE PEKORNIKI POJADĄ ZIELONE WIELKI MOK



WIELKIE
SEKRETNE
WIDOWISKO

CLIVE BARKER

Table of Contents

CZEŚĆ PIERWSZA

II

III

IV

V

CZEŚĆ DRUGA

CZEŚĆ TRZECIA

CZEŚĆ CZWARTA

VI

VII

VIII

IX

X

XI

CZEŚĆ PIĄTA

CZEŚĆ SZÓSTA

CZEŚĆ SIÓDMA

CLIVE BARKER

Wielkie Sekretne

Widowisko

The Great and Secret Show

Tłumaczenie

Bożena Bańska

CZEŚĆ PIERWSZA

POŚLANIEC

I

Homer otworzył drzwi.

- Wejdz, Randolph!

Jaffe nienawidził tonu ledwie wyczuwalnej pogardy, z jakim tamten wymówił jego imię, jakby wiedział o wszystkich przestępstwach, które kiedykolwiek popełnił, o każdym najmniejszym przewinieniu.

- Na co czekasz? - odezwał się Homer, widząc ociąganie Jaffe'a - Robota czeka. Im szybciej zaczniesz, tym szybciej będę ci mógł dać następne zadanie.

Randolph wszedł do pokoju. Było to duże pomieszczenie, jak wszystkie pozostałe biura i korytarze Centralnego Urzędu Pocztowego, wymalowane w tym samym odcieniu niezdrowej żółci oraz szarości okrętów wojennych. Co nie znaczy, że wiele z tak pomalowanych ścian było widać.

Dookoła, powyżej głów rozmawiających, piętrzyła się poczta. Worki, torby, pudła i przenośniki pełne listów, sypiących się na zimną betonową podłogę.

- Nedoręczone listy - powiedział Homer - Przesyłki, których nie potrafiła doręczyć nawet stara dobra Poczta Stanów Zjednoczonych. Jest tego trochę, co?

Jaffe był bardzo podniecony, ale starał się tego nie okazywać. Starał się nie okazywać niczego, zwłaszcza wobec takich cwaniaków jak Homer.

- To wszystko twoje, Randolph - powiedział zwierzchnik. - Twój własny kącik w niebie.

- Co mam z tym robić? - zapytał Jaffe.

- Sortować. Otwieraj i sprawdzaj, czy nie ma w nich czegoś ważnego, żebyśmy czasem nie wrzucili do pieca dobrych banknotów.

- Są w nich pieniądze?

- W niektórych - odparł Homer z krzywym uśmiechem - mogą być. Ale w większości to pocztowa makulatura. Zwykły chłam, którego ludzie chcą się pozbyć, więc nadają pocztą. Niektóre są nieprawidłowo zaadresowane i kursują w tę i w tę, aż wylądują w Nebrasce. Nie pytaj mnie dlaczego, ale jak nie wiedzą, co zrobić z paskudztwem, odsyłają je do Omahy.

- To centralny punkt kraju - zauważył Jaffe - Brama Zachodu. Albo Wschodu zależy, w którą stronę się patrzy.

- Ale nie martwy punkt - zareplikował Homer - Jednak właśnie do nas przesyłają tę padlinę. To wszystko trzeba przesortować Ręcznie. Ty to zrobisz.

- To wszystko? - zapytał Jaffe. Było tego na dwa, trzy, cztery tygodnie pracy.

- Owszem - odparł Homer, nie próbując ukryć zadowolenia - To wszystko jest twoje.

Szybko się połapiesz, o co chodzi. Jeśli na kopercie będzie jakiś urzędowy nadruk, rzucaj ją na stos przeznaczony do spalenia. Nawet nie otwieraj, szkoda fatygi! Pieprz je, jasne? Ale wszystkie inne masz otwierać. Nigdy nie wiadomo, co się w nich znajdzie - wyszczerzył zęby w porozumiewawczym uśmiechu - To, co znajdziesz, idzie do podziału.

Jaffe pracował w Poczcie Stanów Zjednoczonych ledwie dziewięć dni, ale to

wystarczyło, zupełnie wystarczyło, by się zorientować, że doręczyciele pocztowi

przywłaszczali sobie mnóstwo przesyłek. Rozcinali żyłką paczki i wykradali ich zawartość, spieniężali czeki, wyśmiewali się z listów miłosnych.

- Będę tu regularnie przychodził - ostrzegł Homer - Więc nie próbuj chować niczego przede mną. Mam nosa do tych rzeczy. Wyczuwam czek w liście i złodzieja w zespole. Słyszysz? Mam szósty zmysł. Nie próbuj żadnych numerów, kolego. Chłopcy i ja niezbyt to lubimy. Przecież chcesz należeć do naszej paczki? - położył na ramieniu Jaffe'a ciężką, szeroką dłoń - Sprawiedliwy podział, zgoda?

- Słyszałem - odpowiedział Jaffe.

- Dobrze - powiedział Homer - No więc - otworzył szeroko ramiona, wskazując na stosy worków - To wszystko należy do ciebie - pociągnął nosem, wyszczerzył zęby w uśmiechu i wyszedł.

Należć do waszej paczki - pomyślał Jaffe, gdy drzwi zamknęły się z trzaskiem - to ja nigdy nie będę. Oczywiście nie zamierzał mówić o tym Homerowi. Pozwoli, by tamten traktował go z góry, będzie odgrywał potulnego niewolnika. Ale w głębi duszy? W głębi duszy chował inne plany, inne ambicje. Kłopot w tym, że wcale nie był bliższy ich spełnienia niż w czasach, gdy miał dwadzieścia lat. Teraz miał trzydzieści siedem, wkrótce zacznie trzydzieści osiem. Nie należał do mężczyzn, za którymi kobiety oglądały się na ulicy. Nie był zbyt lubiany. Łysiał, jak ojciec. Gdy dobieje do czterdziestki, pewnie będzie całkiem łysy. Łysy, bez żony, drobnych w kieszeni miał akurat na kufel piwa, nie więcej - nigdy nie udało mu się popracować w jednym miejscu dłużej niż rok, najwyżej półtora, więc nigdy nie awansował na jakieś lepiej płatne stanowisko.

Starał się nie myśleć o tym zbyt często, bo wtedy swędziały go ręce, by zrobić coś złego, nieraz już chciał zrobić coś złego samemu sobie. Rewolwer w usta, poczuć jak łaskocze tylną ścianę gardła. Skończyć z tym raz na zawsze. Żadnego listu. Żadnych

wyjaśnień. Zresztą, co by miał pisać?

„Odbieram sobie życie, ponieważ nie udało mi się zostać Królem Życia”

Śmieszne.

Ale właśnie tym pragnął być. Nie miał pojęcia jak to osiągnąć, nie miał najmniejszej wskazówki, jak do tego dojść, ale ta ambicja zżerała go od najwcześniejszych lat. Przecież mm doszli do wielkich rzeczy od zera.

Mesjasze, prezydenci, gwiazdy filmowe. Wydostawali się z błota jak ryby, które postanowiły chodzić. Wyrastały im nogi, oddychały powietrzem, stawały się czymś więcej niż przedtem. Jeśli udawało się to nędznym rybom, to dlaczego nie jemu? Ale musi się spieszyć. Zanim skończy czterdzieści lat.

Zanim całkiem wyłysieje. Zanim umrze i nikt nie będzie o nim pamiętał, chyba że jako o bezimiennym dupku, który zimą 1969 r spędził trzy tygodnie w pokoju zawalonym niedoręczonymi listami, otwierając osierocone przesyłki w poszukiwaniu banknotów dolarowych. Też mi epitafium.

Usiadł i rozejrzał się po robocie, która go czekała.

- Żebyś zdechł - powiedział, myśląc o Homerze, o całym ogromie pracy, która go czekała w tej kupie łajna. Ale przede wszystkim pomyślał o sobie.

Początkowo była to beznadziejna mordęga. Sprawdzanie zawartości worków dzień po dniu - istne piekło.

Zdawało się, że worków nie ubywa. Rzeczywiście, Homer, uśmiechając się paskudnie, wielokrotnie uzupełniał zapasy, prowadząc za sobą korowód tragarzy z następnymi pojemnikami pełnymi listów, zwały worków rosły.

Jaffe oddzielał najpierw ciekawe przesyłki (wypchane koperty, brzęczące, perfumowane) od nieciekawych, następnie prywatną korespondencję od urzędowej i

bazgraninę od starannego pisma. Po tych przygotowaniach, brał się do otwierania kopert - w pierwszym tygodniu palcami, aż dorobił się odcisków, a później nożem o krótkim ostrzu, kupionym specjalnie w tym celu, wydłubując zawartość listów jak łowca pereł muszle w poszukiwaniu tych klejnotów. Najczęściej nie znajdował niczego, a czasem - jak obiecywał Homer - pieniądze lub czek, które sumiennie odnosił do szefa.

- Nadajesz się - powiedział Homer po dwóch tygodniach. - Jesteś naprawdę dobry.

Może powinienem ci dać cały etat.

Randolph już miał powiedzieć: Odpieprz się, ale mówił to już zbyt wielu szefom, a oni wyrzucali go z roboty w następnej minucie, nie mógł sobie pozwolić na utratę tej pracy - musiał z czegoś opłacać komorne i ogrzewanie swojego jednopokojowego mieszkania, które kosztowało go majątek, a śnieg wciąż padał. Poza tym, w nim samym coś zaczynało się zmieniać, gdy spędzał samotne godziny w Pokoju Niedoreczonych Listów, z jakiegoś powodu to zajęcie zaczęło mu sprawiać przyjemność pod koniec trzeciego tygodnia, a pod koniec piątego zaczął rozumieć.

Oto siedział na skrzyżowaniu dróg Ameryki.

Homer miał rację Omaha w stanie Nebraska nie była geograficznym środkiem USA, ale jeśli chodzi o Urząd Pocztowy, to tak jakby nim była.

Zbiegały się tu i krzyżowały drogi komunikacji, pozostawiając swoje podrzutki, ponieważ żaden stan ich nie chciał. Te listy odsyłano z jednego wybrzeża na drugie, szukając kogoś, kto je otworzy, i nie znajdując chętnych. W końcu trafiały do niego, RANDOLPHA ERNESTA JAFFE'A, tego łysiejącego zera, które nigdy nie ujawniało swych pragnień ani gniewu. Rozcinał je małym nożykiem i badał swymi małymi oczkami, aż - siedząc na tym skrzyżowaniu - zaczął rozpoznawać prywatne oblicze narodu.

Były tam listy pełne miłości i listy pełne nienawiści, kartki, na których mężczyźni

odrysowywali swoje nabrzmiałe członki, walentynki sporządzone z włosów łonowych, listy od żon szantażujących mężów, dziennikarzy, działaczy, prawników, karierowiczów, reklamy, listy samobójców, zaginione powieści, listy szczęścia, akta, nedoręczone prezenty, odrzucone prezenty, listy wysłane po prostu w świat jak butelki z samotnej wyspy, w nadziei, że nadejdzie pomoc, wiersze, groźby i przepisy kulinarne. Czego tam nie było.

Ale to wszystko liczyło się najmniej. Chociaż czasem pocił się z emocji nad listami miłosnymi, a przeglądając żądania okupu zastanawiał się, czy nadawcy - nie otrzymawszy odpowiedzi - mordowali swoich zakładników, opowieści o miłości i nienawiści, zawarte w tych listach, zajmowały go tylko przelotnie. O wiele głębsze emocje budziła w nim inna opowieść, którą niełatwo było ująć w słowa.

Siedząc na skrzyżowaniu dróg zaczynał rozumieć, że Ameryka ma swoje tajemne życie, którego przedtem nawet się nie domyślał. Wiedział o miłości i śmierci. Miłość i śmierć to zwykle komunały - bliźniacze obsesje piosenek i oper mydlanych. Ale było jeszcze inne życie, o którym napomykał co czterdziesty, pięćdziesiąty, setny list, a jeden na tysiąc mówił o nim z otwartością szaleńca. Kiedy autor listu mówił o tym wprost, nie wyjawiał całej prawdy, a tylko jej częśćkę, każdy z nich na swój własny szalony sposób wyrażał jakąś prawdę, która była prawie niewyrażalna.

Sprowadzała się ona do stwierdzenia, że świat nie był taki, jaki się wydawał. Nie był taki nawet w przybliżeniu. Jakieś siły (rządowe, religijne, ochrony zdrowia) sprzysięgły się, by ją ukryć i zamknąć usta tym, którzy byli jej świadomi bardziej niż mm, ale nie mogły zakneblować czy wtrącić do więzienia każdej z tych osób. Mimo iż sieć zarzucono tak szeroko, niektórym spośród tych mężczyzn i kobiet udało się umknąć pogoni znajdowali boczne drogi, by uciec przed prześladowcami, którzy tracili ich ślad, bezpieczne domy wzdłuż tych dróg, gdzie podobni im wizjonerzy przyjmowali ich chlebem i solą, gotowi

skierować wężące psy gończe na fałszywy ślad. Ludzie ci nie ufali firmie Ma Bell, nie używali telefonu. Nie wazyli się spotykać w grupach większych niż po dwie osoby, z obawy że zwrócą na siebie uwagę. Ale pisali. Czasami wydawało się, że musieli pisać, jakby tajemnice, których strzegli, paliły ich żarem i musiały wydostać się na zewnątrz. Czasem było tak dlatego, że wiedzieli, iż myśliwi trafili już na ich ślad i nie zdołaliby w inny sposób opisać świata - światu, zanim ich schwytają, otumanią narkotykami i zamkną. Czasem nawet była w tych bazgrołach uciecha wywrotowca, który umyślnie wysyłał niewyraźnie zaadresowany list w nadziei, że zabije potężnego klina jakimś niczego nieświadomemu obywatelowi, kiedy przypadek odda taki list w jego ręce. Niektóre z tych korespondencji były pisane metodą strumienia świadomości, inne precyzyjnie, metodą niemal kliniczną, opisywały jak wywrócić świat na nitce przez magię seksu lub dietę grzybową. Czasami posługiwały się bzdurną retoryką opowiadek z National Enquirer, by zawoalować inne przesłanie. Mówiły o wykryciu niezidentyfikowanych obiektów latających i kultach zombie, o ewangelistach z planety Wenus i mediach, nawiązujących kontakt ze zmarłymi przy pomocy telewizji. Ale po kilku miesiącach, spędzonych na studiowaniu tych listów (bo to były prawdziwe studia, był jak człowiek, zamknięty pośród księgozbioru, opisującego rzeczy ostateczne), Jaffe zaczynał dostrzegać prawdę ukrytą za tymi nedorzecznosciami. Rozszyfrował kod, lub też zrozumiał z niego dostatecznie wiele, by nie zaznać więcej spokoju.

Nie irytował się, gdy Homer codziennie otwierał drzwi, każąc wnieść następne pół tuzina pojemników z listami, przeciwnie, cieszył go ten napływ korespondencji. Im więcej listów, tym więcej wskazówek, im więcej wskazówek, tym więcej nadziei na rozświetlenie tajemnicy. W miarę jak tygodnie rosły w miesiące, a zima przechodziła łagodnie w wiosnę, utwierdzał się w przekonaniu, że nie chodziło tu o kilka różnych tajemnic - ale o jedną.

Ludzie, piszący o zasłonie i o tym, jak ją odsunąć, znajdowali swoją własną drogę do

objawienia, każdy posługiwał się własną metodą i metaforą, jednak przez tę kakofonię usiłował się przebić jeden hymn.

Nie był to hymn miłości. W każdym razie nie tej, którą znają ludzie sentymentalni. Nie był to również hymn śmierci w dosłownym znaczeniu tego słowa. Mówił on - bez ściśle określonego porządku - coś o rybach i morzu (czasem o Morzu Mórz) i o trzech wiodących do niego drogach, o marzeniach i snach (mówił o tym bardzo wiele), i o wyspie, którą Platon nazwał Atlantyda, ale od początku wiedział, że była czymś innym. Mówił o końcu Świata, który właśnie miał się zacząć. I mówił o sztuce.

A raczej o Sztuce.

Spośród wszystkich kodów, nad tym najwięcej łamał sobie głowę, ale do niczego nie doszedł. Mówiono o Sztuce na wiele różnych sposobów Wielkie Ostateczne Dzieło, Zakazany Owoc, Rozpacz da Vinci, Kawalek Tortu, Strzał w Dziesiątkę. Określano Sztukę na wiele sposobów, ale Sztuka była jedna! (w tym tkwiła tajemnica) - nie było Artysty.

- No, jak ci się tutaj podoba? - zapytał Homer pewnego majowego dnia.

Jaffe uniósł znad pracy głowę. Dookoła niego leżały porozrzucane listy.

Jego skóra, która nigdy nie miała zbyt zdrowego wyglądu, była równie blada i szorstka jak kartki w jego ręku.

- Dobrze jest - odpowiedział i ledwie raczył na niego spojrzeć. - Ma pan dla mnie coś nowego?

Homer nie odpowiedział od razu. Po chwili zapytał:

- Jaffe, co ty przede mną ukrywasz?

- Co ukrywam? Niczego nie ukrywam.

- Odkładasz dla siebie rzeczy, którymi powinieneś się z nami podzielić.

- Wcale nie - odrzekł Jaffe. Stosował się ściśle do pierwszego polecenia Homera, że

cokolwiek znajdzie w niedoręczonej poczcie, musi oddać do podziału. Pieniądze, świerszczyki, tania biżuteria, na które trafiał od czasu do czasu - wszystko to szło do Homera, a ten zajmował się podziałem.

- Wszystko panu oddaję - powiedział - Przysięgam.

Homer popatrzył na niego z jawnym niedowierzaniem.

- Nie wyściubiasz stąd nosa ani na chwilę - powiedział - Nie odzywasz się do innych.

Nie pijesz z nimi. Śmierdzimy ci, co? - nie czekał na odpowiedź - Może jesteś po prostu złodziejem?

- Nie jestem złodziejem odpowiedział Jaffe - Niech pan sam sprawdzi. - Wstał, podnosząc ręce do góry, w każdej z nich miał list. - Niech mnie pan obszuka.

- Nie mam zamiaru cię dotykać - brzmiała odpowiedź - Za kogo ty mnie bierzesz, za amatora chłopczyków? - wpatrywał się w Jaffe'a. Po chwili powiedział. - Przyślę tu kogoś innego. Jesteś tu już pięć miesięcy. O wiele za długo. Przeniosę cię gdzie indziej.

- Ale ja nie chcę...

- Co takiego?

- Chodzi o to, że. Chciałem tylko powiedzieć, że ta praca bardzo mi odpowiada.

Naprawdę lubię właśnie taką pracę.

- Tak - powiedział Homer, wciąż wyraźnie podejrzliwy - Od poniedziałku będziesz robić coś innego.

- Dlaczego?

- Bo ja tak mówię. Jak ci się nie podoba, znajdź sobie mną robotę.

- Przecież dobrze pracuję, tak czy nie? - powiedział Jaffe.

Homer już zawracał do wyjścia.

- Coś tu śmierdzi - powiedział od drzwi - Śmierdzi jak cholera.

W czasie lektury listów Randolph poznał nowe słowo synchroniczność.

Musiał kupić słownik, żeby sprawdzić, co oznacza. Otóż chodziło tu o zbieg pewnych zdarzeń, pewnych okoliczności. Ze sposobu, w jaki piszący używali tego słowa, wynikało, że było coś znaczącego, tajemniczego, a może i cudownego w sposobie, w jaki jedno wydarzenie zbiegało się z drugim, jakby układały się w pewien wzór, istniejący tuż poza zasięgiem ludzkiego wzroku.

Taki zbieg wydarzeń miał miejsce właśnie w dniu, kiedy Homer wyskoczył ze swoim nowym pomysłem - przecięcie wypadków, które miało wszystko zmienić. Nie więcej niż godzinę po odejściu Homera, Jaffe przyłożył nóż (jego krótkie ostrze już się trochę stępiło) do koperty, która wydawała się cięższa niż inne. Gdy ją rozciął, wypadł z niej meduzy medalion. Potoczył się po betonowej podłodze z miłym dla ucha dźwiękiem. Podniósł go drżącymi palcami - drżały od czasu wizyty Homera. Przy medalionie nie było łańcuszka ani zaczepu, na którym można by go było zawiesić. Właśnie był dostatecznie ładny, by mógł zawisnąć jako ozdoba wokół kobiecej szyi, chociaż miał kształt krzyża, przy bliższych oględzinach okazało się, że nie był to rzymski krzyż. Wszystkie cztery ramiona były jednakowej długości, miał półtora cala, nie więcej. Na przecięciu linii była postać ludzka, ani kobiety ani mężczyzny, jej ramiona były rozpięte jak w ukrzyżowaniu, ale nie były przytwierdzone gwoździami. Wzdłuż tych czterech linii biegły abstrakcyjne wzory, z których każdy był zakończony kołem. Twarz była oddana w bardzo prymitywny sposób. Pomyślał, że widnieje na niej ledwie dostrzegalny cień uśmiechu.

Nie znał się na metalurgii, ale było oczywiste, że przedmiot nie był wykonany ze złota ani srebra. Wątpił, czy udałoby mu się nadać krzyżowi połysk, nawet po oczyszczeniu z brudu. Jednak był w jakiś sposób niezwykle atrakcyjny. Patrzył nań z uczuciem podobnym do tego, kiedy budząc się czasem z jakiegoś emocjonującego snu, nie mógł sobie przypomnieć

żadnych szczegółów. Ten przedmiot coś oznaczał, ale co? Czy znaki rozchodzące się promieniście od figurki nie przypominały mu w jakiś niejasny sposób listów, które czytał? W ciągu ostatnich dwudziestu tygodni przebadał ich całe tysiące, w wielu z nich były niewielkie rysunki, czasem obsceniczne, często nieodgadnione. Te, które uznał za najciekawsze, przemycił z Urzędu Pocztowego do domu, by badać je wieczorami. Leżały związane w tłumok pod jego łóżkiem. Może uda mu się odgadnąć czarodziejski szyfr medalionu, kiedy dokładnie im się przyjrzy.

Postanowił iść tego dnia na lunch razem z resztą pracowników, uważał, że najlepiej zrobi, jeśli postara się jak najmniej drażnić Homera. To był błąd.

W towarzystwie tych równych facetów, rozprawiających o wydarzeniach, którymi nie interesował się od miesięcy o jakości steku, który zjedli wczoraj na kolację, o tym, jak po tym steku udało im się - lub nie - załatwić jakąś babę, czego się spodziewali po nadchodzącym lecie - w tym towarzystwie czuł się zupełnie obcy. I oni o tym wiedzieli. Rozmawiali zwróceniu do niego bokiem, zniżając czasem głos, gdy mówili o jego dziwnym wyglądzie, dzikim spojrzeniu. Im bardziej się od niego odsuwali, tym bardziej się cieszył, ponieważ wiedzieli - nawet tacy krety jak oni wiedzieli, że był inny niż oni. Może nawet bali się go trochę.

Nie mógł się zmusić, by wrócić o pierwszej trzydziści do Działu Niedoręczonych Listów. Czuł, że pokryty tajemnymi znakami medalion wprost pali go w kieszeni. Musiał natychmiast wrócić do domu i rozpocząć poszukiwania w swoim prywatnym zbiorze listów. Nie chciało mu się nawet powiedzieć Homerowi, że wychodzi - po prostu wyszedł. Był pogodny, słoneczny dzień. Odciał się zasłonami od potopu światła, wpadającego przez okno, zapalił lampę z żółtym abażurem i rozgorączkowany zabrał się do pracy, za pomocą taśmy przylepiając do gołych ścian pokoju listy, które nosiły choćby ślad rysunków, a gdy zabrakło

ścian, rozkładał arkusze na stole, na łóżku, na krześle, na podłodze. Chodził od kartki do kartki, od znaku do znaku, szukając czegoś, co choć odrobinę przypominałoby mu medalion, który trzymał w ręku. Przez cały ten czas powracała doń ukradkiem wciąż ta sama myśl wiedział, że istnieje Sztuka, ale nie istnieje Artysta, rzemiosło bez rzemieślnika, i że może to on nim był.

Ta myśl nie musiała zakradać się zbyt długo. Po godzinie, spędzonej nad listami, zagościła w jego umyśle na dobre - nie był w stanie myśleć o niczym innym. Medalion trafił w jego ręce nieprzypadkowo. Był nagrodą za żmudne badania, pomoże mu połączyć pojedyncze linie poszukiwań, dzięki niemu zacznie to wszystko rozumieć. Większość symboli i szkiców z tych listów nie miała związku ze sprawą, ale wiele innych - zbyt wiele, by mogły być przypadkowe - nawiązywało do wizerunku przedstawionego na krzyżu. Na jednym arkuszu nie było ich nigdy więcej niż dwa i były przeważnie uproszczone, gdyż żaden z piszących nie znał całego rozwiązania, rozwiązania, które znał on. Każdy z nich opanował tylko część układanki. Ich uwagi dotyczące tej części, którą rozumieli - czy było to haiku, nieprzyzwoite słowa czy formuły alchemiczne - dawały mu pełniejszy wgląd w system, ukryty za tymi symbolami.

Określeniem, które pojawiała się regularnie w listach, wykazujących najlepszą orientację w sprawie, była „Szkoła”. Omijał je w lekturze, nie przywiązując do niego większego znaczenia. Listy często nawiązywały do kwestii nauki, ewolucji, sądził więc, że jest związane z tymi właśnie sprawami. Teraz zrozumiał swój błąd „Szkoła” oznaczała jakiś kult czy może wyznanie, a jego symbolem był przedmiot, który trzymał w ręku. Wciąż nie było jasne, co łączyło ten przedmiot i Sztukę, ale potwierdzało się teraz podejrzenie, które żywił od dłuższego czasu to była jedna tajemnica i jedna droga. Zrozumiał, że posługując się medalionem jako mapą, znajdzie nareszcie drogę ze Szkoły do Sztuki.

Na razie czekały go inne, pilniejsze sprawy. Kiedy myślał o tych wszystkich kolegach z pracy, z Homerem na czele, wzdragał się na samą myśl, że któryś z nich mógłby kiedykolwiek dzielić sekret, który on wykrył.

Oczywiście żadnemu z nich nie udałoby się próba złamania kodu - nie starczyłoby im do tego rozumu. Ale Homer był dostatecznie podejrzliwy, by wywęszyć trop choć na małym odcinku drogi, a Jaffe nie zniósłby, aby ktokolwiek - a zwłaszcza ten tępy cham Homer - zbrukał jego świątynię.

Mógł zaradzić nieszczęściu tylko w jeden sposób. Musiał działać szybko, by zniszczyć wszelkie poszlaki, które mogłyby naprowadzić Homera na właściwy ślad. Oczywiście zatrzyma medalion przy sobie, powierzyły mu go wyższe moce, których oblicze zobaczy pewnego dnia. Zachowa także dwadzieścia lub trzydzieści listów, które zawierały najwięcej informacji na temat Szkoły, resztę (około 300) trzeba będzie spalić. Przesyłki zgromadzone w Dziale Niedoręczonych Listów muszą iść także do pieca. Wszystkie, co do jednego. Trochę to potrwa, ale jest konieczne, im szybciej to zrobi, tym lepiej. Przebrał listy, które uzbierał w mieszkaniu, zapakował te, których już nie potrzebował, i udał się z powrotem do Działu Sortowania.

Było już późne popołudnie. Szedł, torując sobie drogę w ludzkiej fali sunącej w przeciwnym kierunku. Wszedł do Urzędu tylnym wejściem, by uniknąć spotkania z Homerem, chociaż znał rozkład jego dnia na tyle dobrze, by podejrzewać, że odbił kartę o 17:30, co do minuty, a teraz żłopie gdzieś piwo. Piec był starym, rozlatującym się gruchotem, doglądał go inny stary gruchot o nazwisku Miller, z którym Jaffe nigdy nie zamienił słowa - Miller był głuchy jak pień.

Jaffe potrzebował trochę czasu, by mu wyjaśnić, że będzie korzystał z pieca przez godzinę lub dwie i najpierw spali paczkę, którą przyniósł z domu, zaraz też wrzucił ją do

ognia. Potem poszedł do Pokoju Niedoreczonych Listów.

Homer nie złopał piwa na mieście. Czekał, siedząc na krześle Jaffe'a pod gołą żarówką i przerzucał stosy listów.

- No, co to za szwindel - zapytał, ledwie Jaffe stanął w drzwiach.

Jaffe wiedział, że na nic by się zdało odgrywanie niewiniątka. Miesiące badań odcisnęły na jego twarzy piętno wiedzy. Nie mógł już udawać naiwnego. Ani też nie chciał, w gruncie rzeczy.

- Żaden szwindel - odpowiedział z jawną pogardą wobec dziecinnych podejrzeń tamtego - Nie biorę niczego, co pan chciałby wziąć. Albo z czego mógłby pan uczynić jakiś użytek.

- O tym to ja będę decydował, ty ośle - powiedział Homer, odrzucając listy, które przeglądał, na zwały makulatury - Chcę wiedzieć, co tu kombinujesz. Poza tym, że urwałeś się z roboty.

Jaffe zamknął drzwi. Nie zdawał sobie do tej pory sprawy, że przez ściany docierały do pokoju odgłosy pracy pieca. Wszystko tu leciutko drżało.

Woraki, listy, słowa w listach. Krzesło, na którym siedział Homer i krótki nóż, leżący na podłodze przy krześle, na którym siedział Homer. Całe to pomieszczenie leciutko się poruszało, jakby w głębi ziemi brzmiał grzmot.

Jakby świat miał się za chwilę zawalić.

Może tak będzie. Dlaczego nie? Na nic zda się udawanie, że STATUS jest wciąż QUO. On zmierzał w kierunku tronu, takiego czy innego.

Nie wiedział, jaki to tron i w jakiej znajduje się krainie, ale musiał usunąć wszelkich pretendentów. Nikt go nie oskarży i nie osądzi, nie skaże na krzesło elektryczne. Teraz on ustanawiał prawa.

- Chciałbym wyjaśnić - zwrócił się do Homera, przybierając ton prawie nonszalancki -
czym szwindel jest naprawdę.

- Tak. - powiedział Homer, krzywiąc pogardliwie usta - No, dlaczego nie wyjaśniasz?

- To całkiem proste. - Ruszył w kierunku Homera, krzesła i noża przy krześle.

Szybkość, z jaką się zbliżył, spłoszyła Homera, ale nie ruszył się z krzesła - odkryłem pewną
tajemnicę - ciągnął Jaffe

- Co?

- Chce pan wiedzieć, co to za tajemnica?

Teraz Homer wstał, gałki oczu drżały mu jak wszystko dookoła. Wszystko, oprócz
Jaffe'a. Wszelkie drżenie znikło z jego rąk, wnętrzości i głowy. Stał pewną stopą na
niepewnym gruncie.

- Nie wiem, o co ci, do cholery, chodzi - powiedział Homer - ale wcale mi się to nie
podoba.

- Nie mam o to do pana pretensji - odpowiedział Jaffe. Nie patrzył na nóż. Nie musiał.

Wyczuwał go. - Ale pana obowiązkiem jest wiedzieć o tym, co się tu dzieje, prawda? -
ciągnął Jaffe.

Homer odszedł od krzesła na kilka kroków. Znikł gdzieś jego niedbały, rozkołysany
chód, który chętnie demonstrował. Potknął się, jakby podłoga przechyliła się w bok.

- Siedziałem w centrum świata - powiedział Jaffe W tym pokoju... Właśnie tutaj się to
wszystko odbywa - Czy to prawda?

- Prawda jak cholera.

Na twarzy Homera ukazał się nerwowy uśmiezek. Spojrzał w stronę drzwi.

- Chce pan iść? - zapytał Jaffe.

- Tak - popatrzył na zegarek niewidzącymi oczyma - Musze lecieć. Wpadłem tu tylko,

żeby...

- Boisz się mnie - powiedział Jaffe. - I masz rację. Nie jestem już tym, kim byłem.

- Czy to prawda?

- Powtarzasz się.

Homer znów spojrział w stronę drzwi. Miał do nich pięć kroków, cztery, jeśli pobiegnie.

Przebył połowę tej odległości, gdy Jaffe podniósł z podłogi nóż. Schwycił za klamkę, słysząc, że tamten się zbliża.

Obejrzał się - nóż trafił prosto w jego oko. To nie był przypadkowy cios.

To była synchronizacja. Oko błysnęło i błysnął nóż. Błyski zderzyły się, w następnej chwili, krzycząc, osuwał się po drzwiach na podłogę, a Randolph śledził ruch ciała, by wydobyć z jego głowy nóż do otwierania listów.

Huk pieca wzmagał się. Stojąc tyłem do worków, Jaffe czuł, jak listy tuliły się do siebie, wstrząs przestawiał słowa na kartkach, układając z nich wspaniałą poemat. Krew jak morze, mówił poemat; myśli Jaffe'a pływały w morzu jak gęste skrzepy, palące jak ogień.

Zacisnął mocno palce na trzonku noża. Nigdy jeszcze nie przelał krwi, nawet nie rozgniół pluskwy, chyba mimo woli. Ale teraz, zaciskając w pięści gorący, mokry nóż, czuł się cudownie. To była przepowiednia, to był dowód.

Z uśmiechem wyciągnął ostrze z oczodołu Homera i, zanim jego ofiara zdążyła ześliznąć się po drzwiach na podłogę, wbił go Homerowi w gardło aż po trzonek. Tym razem nie pozostawił go tam ani chwili. Uciszwszy krzyki Homera, wyciągnął nóż i wbił go w środek jego piersi. Trafił na kość i musiał pokonać ten opór, ale nagle przybyło mu sił. Homer krztusił się krew płynęła mu z ust i zranionego gardła. Jaffe wyciągnął nóż. Nie zadał następnego ciosu. Wytarł ostrze chusteczka do nosa i odwrócił się od ciała, zastanawiał się nad następnym posunięciem.

Gdyby próbował wrzucić worki do pieca, ryzykował, że go przyłapią i chociaż zabicie tego tępego brutala wprawilo go w uniesienie, zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, w razie wykrycia morderstwa. Lepiej przenieść palenisko tutaj. W końcu ogień jest ruchomym świętem. Potrzebował tylko zapalek, a Homer je miał. Pochylił się nad zgarbionym ciałem w poszukiwaniu pudełka zapalek. Znalazł je, wyciągnął z kieszeni Homera i podszedł do worków.

Ku własnemu zdziwieniu poczuł smutek, kiedy podpalał niedoręczone listy. Spędził pośród nich tyle tygodni w jakimś dzikim uniesieniu, upojony tajemnicami. Teraz musiał to wszystko porzucić. Od tej chwili - po zabiciu Homera i spaleniu listów - stał się uciekinierem, człowiekiem bez historii, przyzywany przez jakąś Sztukę, o której nie wiedział nic, ale pragnął jej jak niczego na świecie.

Zmiał kilka kartek na podpałkę. Nie wątpił, że kiedy pojawi się płomień - już nie zgaśnie, wszystko w tym pokoju było łatwopalne listy, tkanina, ciało. Zgromadził trzy stosy papieru i zapalił zapalniczkę. Płomień palił się jasno, patrząc nań zrozumiał, jak bardzo nienawidzi jasności. Ciemność jest o wiele ciekawsza pełna tajemnic, pełna grózb. Przyłożył płonąca zapalniczkę do stosu podpałki i przyglądał się rosnącym płomieniom. Po chwili wycofał się w stronę drzwi.

Był tam oczywiście Homer, leżał na podłodze oparty o drzwi, krew sączyła się z trzech miejsc. Niełatwo było przesunąć jego zwaliste ciało Jaffe wyteżył wszystkie siły, kielkujący ogień rzucał na ścianę jego cień. W czasie gdy przesunął ciało zabitego na bok - w ciągu zaledwie pół minuty - ciepło w pokoju wyraźnie wzrosło, a kiedy wychodząc obejrzał się za siebie, cały pokój tonął w ogniu, żar poruszał powietrzem, tworząc wiatr, a ten z kolei wzmagął płomień.

Dopiero w swoim pokoju, kiedy usuwał z niego wszystko, co miało z nim łączność -

zacierając wszelki ślad istnienia Randolpha Ernesta Jaffe'a - pożalował tego, co zrobił. Nie podpalenia - to było bardzo rozsądne posunięcie, żałował, że pozwolił, by ciało Homera spłonęło wraz z listami. Zrozumiał, że powinien był zemścić się w bardziej wyszukany sposób. Trzeba było pociąć ciało na kawałeczki, zapakować oddzielnie każdą cząstkę, język, oczy, jądra, wnętrzności, skórę, czaszkę, i nadać je na pocztę, bazgrząc na przesyłkach jakieś bzdurne adresy, aby przypadek (czyli synchronizacja) mógł sam wybrać próg, na którym wyląduje cząstka Homera. Listonosz wysłany pocztą.

Obiecał sobie, że w przyszłości nie przepuści więcej podobnych przejawów ironii losu.

Oczyszczanie pokoju nie zajęło mu wiele czasu. Miał bardzo niewiele rzeczy i mało o nie dbał. Jeśli chodzi o stan posiadania, to Jaffe prawie nie istniał. Był sumą kilku dolarów, kilku fotografii i kilku sztuk odzieży. Wszystko to zmieściło się w niedużej walizce, w której pozostało jeszcze miejsce na zestaw encyklopedii.

Przed północą opuszczał Omaha z tą właśnie walizką w ręce, gotów odbyć podróż w jakimkolwiek kierunku. Brama Wschodu. Brama Zachodu.

Nie dbał, którą pójdzie drogą, byle doprowadziła go do Sztuki.

II

Jaffe prowadził do tej pory nijakie, bezbarwne życie. Urodził się 50 mil od Omaha, chodził tam do szkoły, pochował rodziców, zalecał się do dwóch kobiet z tego miasta i żadnej nie udało mu się doprowadzić do ołtarza.

Kilkakrotnie wyjeżdżał z tego stanu, a nawet myślał (po drugim nieudanym narzeczeństwie) o przeprowadzce do Orlando, gdzie mieszkała jego siostra, ale ona odradziła mu to, twierdząc, że się będzie źle czuł wśród tamtejszych ludzi i w niezmiennie słonecznym klimacie. Został więc w Omaha, bezustannie zmieniając pracę, nie wiążąc się na dłużej z niczym ani z nikim, a świat odpłacał mu równą obojętnością.

Jednak odosobnienie Pokoju Niedoręczonych Listów ukazało mu horyzonty, których istnienia nawet nie podejrzewał, budząc w nim tęsknotę do podróży. Nie dbał o słońce, życie na przedmieściu, wesołe miasteczka z Mickey Mouse. To było takie banalne - po co zawracać tym sobie głowę? Teraz już wiedział, w czym rzecz. Były tajemnice, które mógł odkryć, i potęgi, nad którymi mógł zapanować, a kiedy już zostanie Królem Świata, zrówna z ziemią przedmieścia (i słońce, jeśli zdoła), odmieni świat w gorącą ciemność, w której człowiek będzie mógł wreszcie poznać tajemnicę własnej duszy.

W listach wiele pisano o „skrzyżowaniu”; przez długi czas brał to pojęcie dosłownie, sądząc, że właśnie w Omaha znajdował się na takim skrzyżowaniu, i że tam zdobędzie wiedzę na temat Sztuki. Ale gdy opuścił miasto i odchodził od niego coraz dalej, zaczynał rozumieć błąd takiego dosłownego podejścia. Korespondenci, którzy pisali o skrzyżowaniu, nie mieli na myśli punktu przecięcia dwóch autostrad, lecz miejsce krzyżowania się stanów świadomości, w którym ludzkie jestestwo stykało się z obcym jestestwem, i obydwie - odmienione - podlegały dalszemu rozwojowi. Takie miejsca, ruchliwe i zmienne, budziły nadzieję na objawienie.

Miał oczywiście bardzo niewiele pieniędzy, ale ten fakt był jakby bez znaczenia. W tygodniach, które nastąpiły po jego ucieczce z miejsca zbrodni, dostawał po prostu wszystko, czego potrzebował. Wystarczyło, by podniósł kciuk, a z piskiem opon zatrzymywał się przy nim jakiś samochód. Kiedy kierowca pytał go, dokąd się wybiera, a Jaffe odpowiadał, że pojedzie tam, dokąd on, Jaffe, chce się udać, kierowca odwoził go właśnie w tamto miejsce. Zupełnie, jakby Jaffe był osobą błogosławioną. Gdy się potknął, zawsze znalazł się ktoś, kto pomógł mu wstać. Kiedy był głodny, zapraszano go do stołu.

Pewna kobieta w Illinois podwiozła go swoim samochodem, a potem zapytała, czy zechce zostać u niej na noc - to ona potwierdziła stan błogosławieństwa, w którym się

znajdował.

- Widziałeś coś niezwykłego, prawda? - szepnęła w środku nocy. - Masz to w oczach.

To twoje oczy kazały mi wziąć cię do samochodu.

- I dać mi to? - zapytał, wskazując jej podbrzusze.

- Tak, to też - odpowiedziała. - Powiedz, co widziałeś?

- Jeszcze zbyt mało.

- Będziemy się jeszcze kochać?

- Nie.

Wędrując od stanu do stanu, dostrzegał tu i ówdzie przebłąski prawdy, o których mówiły listy. Sekrety odważały się wyrzeć z ukrycia tylko dlatego, że to on przechodził obok, one zaś rozpoznawały w nim przyszłego władcę. W Kentucky zdarzyło mu się widzieć ciało wyrostka, wyłowione z rzeki; leżał rozciągnięty na trawie, z szeroko rozrzuconymi ramionami, a obok łkała i zawodziła jakaś kobieta. Oczy chłopca były otwarte, guziki spodni niezapięte. Przyglądając mu się z bliska jako jedyny z tłumu gapiów, któremu policja pozwoliła tam zostać (znów jego oczy), rozkoszował się przez chwilę układem ciała chłopca - zupełnie jak figurka na medalionie; niemal pragnął rzucić się do rzeki, by zaznać rozkoszy tonięcia. W Idaho spotkał mężczyznę, który stracił ramię w wypadku samochodowym. Kiedy siedzieli popijając, mężczyzna powiedział, że wciąż odczuwał swoją odciętą rękę; lekarze tłumaczyli mu, że jest to po prostu reakcja systemu nerwowego, ale on wiedział, że chodzi tu o jego ciało astralne, które - wciąż nienaruszone - żyje w innym wymiarze egzystencji. Mówił, że potrafi się regularnie samozaspokajać przy pomocy odciętej ręki, i zaproponował, że to zademonstruje. Mówił prawdę. Później powiedział:

- Potrafisz widzieć w ciemności, prawda?

Jaffe nigdy o tym nie myślał, ale teraz, gdy zwrócono mu na to uwagę, pomyślał, że to chyba prawda.

- Jak się tego nauczyłeś?

- Nie uczyłem się.

- Może to dzięki astralnym oczom?

- Może - Czy chcesz, by cię znowu possać?

- Nie.

Zbierał od ludzi doświadczenia, po jednym od każdego z nich, wchodząc w ich życie i wychodząc, a oni tracili zmysły, umierali lub płakali.

Zaspokajał wszystkie swoje zachcianki, szedł, gdziekolwiek wzywał go instynkt;

tajemne życie miasta wychodziło mu naprzeciw ledwie przekroczył roгатki.

Nic nie wskazywało na to, że jest poszukiwany przez policję. Może nie odnaleziono

ciała Homera na pogorzeliisku, a może policja uznała, że sam padł ofiarą pożaru. Jakikolwiek był tego powód, nikt za nim nie węszył.

Szedł, gdzie chciał, i robił, na co mu przyszła ochota, aż zaspokoił wszystkie swoje pragnienia i potrzeby i odczuł przesyt. Przyszedł czas, by przekroczyć próg.

Zatrzymał się w Los Alamos w stanie Nowy Meksyk w pewnym motelu, opanowanym

przez karaluchy. Zamknął się w pokoju z dwiema butelkami wódki, rozebrał się do naga,

zaciągnął zasłony na dwie doby i pozwolił swojemu umysłowi na zupełną swobodę. Nie jadł

przez 48 godzin, nie z braku pieniędzy, bo miał je, ale dlatego że uczucie lekkości sprawiało

mu przyjemność. Jego wygłodzone myśli, smagane przez wódkę, wyrwały się spod wszelkiej

kontroli, pożerając się nawzajem i brudząc odchodami, na przemian barbarzyńsko

prymitywne i barokowo ozdobne. Gdy leżał na podłodze, wylegały z ciemności karaluchy i

chodziły po jego ciele. To mu nie przeszkadzało; polewał pachwiny wódką dopiero wtedy, gdy ich krzątania wprawiała go w stan podniecenia, rozpraszając jego uwagę. Chciał tylko myśleć. Unosić się w powietrzu i myśleć.

Z rzeczy fizycznych doświadczył wszystkiego: gorąca i zimna; seksu i braku seksu; był podmiotem i przedmiotem miłości. Nie chciał więcej żadnego z tych doznań - przynajmniej nie jako Randolph Jaffe. Był inny wymiar egzystencji, inne strefy odczuwania, w których seks i morderstwo, rozpacz i głód i wszystko inne mogłoby na nowo go zaciekawić. Ale stanie się tak dopiero, gdy przełamie bariery obecnej egzystencji; zostanie Artystą; odmieni świat.

Tuż przed świtem, gdy nawet karaluchy traciły werwę, zrozumiał, że ktoś go wzywa.

Był w nim wielki spokój. Jego serce biło powoli i miarowo. Pęcherz sam mu się opróżnił - jak u małego dziecka. Nie było mu ani zbyt ciepło, ani zbyt zimno. Nie czuł się ani zbyt senny, ani nadmiernie rozbudzony. A na skrzyżowaniu - które nie było pierwszym i nie będzie ostatnim - coś ciągnęło go za wnętrzności i wzywało do siebie.

Natychmiast wstał, ubrał się, wziął pozostałą butelkę wódki i ruszył przed siebie. W jego wnętrznościach zew nie ucichał. Szarpał nim, gdy odeszła zimna noc i zaczęło wstawać słońce. Szedł boso. Stopy mu krwawiły, ale własne ciało niewiele go obchodziło; odsuwał od siebie ból, zapijał go wódką.

Po południu w butelce pokazało się dno; wokół była pustynia, a on po prostu szedł w kierunku, skąd dochodził zew, ledwie świadomy, że niosły go stopy.

W głowie miał pustkę, prócz myśli o Sztuce i jej zdobyciu, ale i ta ambicja pojawiała się i zniknęła. Podobnie jak sama pustynia.

Mniej więcej pod wieczór dotarł w okolice, w których nawet najzwyklejsze fakty - ziemia pod jego stopami, mroczniejące niebo nad jego głową - stawały się wątpliwe. Nie był

nawet pewien, czy idzie. Nieobecność wszystkiego była przyjemna, ale nie trwała długo. Zewgnał go wciąż naprzód, a on nawet nie był go świadomy - noc, podczas której wyszedł z hotelu, nagle stała się dniem, a on zdał sobie sprawę, że stoi: znów żywy, znów Randolph Jaffe - na pustyni jeszcze bardziej jałowej niż ta, którą opuścił. Było tu wczesne rano. Słońce stało jeszcze nisko, ale już zaczynało dopiekać na niebie bez jednej chmurki.

Czuł teraz, jak jest obolały, zbierało mu się na wymioty, ale nie mógł się oprzeć wezwaniu, które szarpało jego wnętrzności. Musiał iść, więc szedł zataczając się, chociaż był zupełnie wyczerpany i rozbity. Później przypomniał sobie, że przechodził przez jakieś miasto i widział stalową wieżę, wznoszącą się na bezludziu. Ale to było dopiero u kresu podróży, w prymitywnej chatce z kamienia; drzwi chaty otworzyły się właśnie, gdy opuściły go resztki sił i padł, przekraczając próg.

III

Drzwi zamknęły się, gdy wszedł, ale jego umysł był otwarty i jasny. Po drugiej stronie gasnącego ogniska siedział starzec o twarzy smutnej i nieco głupawej, jak twarz błazna, szminkowana i ścierana przez pięćdziesiąt lat bufonady, o tłustej cerze i rozszerzonych porach; włosy, czy raczej siwe ich resztki, miał długie. Siedział ze skrzyżowanymi nogami. Od czasu do czasu, kiedy Jaffe odpoczywał, by podjąć na nowo wysiłek mówienia, stary unosił jeden pośladek i puszczał głośne wiatry.

- Odnalazłeś przejście - powiedział po pewnym czasie. - Myślałem, że umrzesz, zanim ci się to uda. Wielu już zginęło. Trzeba prawdziwej woli.

- Przejście dokąd? - zapytał Jaffe z wysiłkiem.

- Jesteśmy w Pętli. W Pętli czasu, obejmującej kilka minut. To ja ją zawiązałem, by się w niej schronić. To jedyne miejsce, gdzie jestem bezpieczny.

- Kim jesteś?

- Nazywam się Kissoon.

- Czy jesteś jednym ze Szkoły?

Na twarzy po drugiej stronie ognia odbiło się zdziwienie.

- Wiele wiesz.

- Nie. W gruncie rzeczy niewiele. Jakieś strzępy, fragmenty.

- Mało kto wie o Szkole.

- Wiem, że jest ich trochę - odpowiedział Jaffe.

- Naprawdę? - zapytał Kissoon; głos mu stwardniał. - Chciałbym wiedzieć, kim są.

- Mam listy, które pisali... - powiedział Jaffe i urwał. Zdał sobie sprawę, że już nie pamięta, gdzie je zostawił, te bezcenne wskazówki, które prowadziły go przez tyle męki i rozkoszy.

- Listy od kogo? - zapytał Kissoon.

- Od ludzi, którzy wiedzą... którzy coś odgadują... o Sztuce.

- Naprawdę? I co oni o niej mówią?

Jaffe potrząsnął głową.

- Niewiele potrafię z tego zrozumieć - powiedział. - Ale myślę, istnieje morze...

- Istnieje - przytaknął Kissoon. - A ty chciałbyś wiedzieć, gdzie je odnaleźć, jak się tam dostać, w jaki sposób osiąść z niego potęgę.

- Tak.

- A w zamian za tę wiedzę, co oferujesz?

- Nie mam nic.

- Pozwól, że ja to osądzę - powiedział Kissoon, wznosząc wzrok ku dachowi chatki, jakby przypuszczał, że ujrzy coś ważnego w dymie, który się tam gromadził.

- W porządku - westchnął Jaffe. - Cokolwiek zechcesz, jest twoje.

- To brzmi uczciwie.
- Muszę zdobyć tę wiedzę. Potrzebna mi jest Sztuka.
- Oczywiście, oczywiście.
- Przeżyłem już tyle, że nie ma przeszkód, żebym ją osiągnął.

Wzrok Kissoona znów spoczął na Jaffe.

- Naprawdę? Wątpię.
- Chcę uzyskać... Chcę uzyskać (Co? - pomyślał. Czego chcesz?). Wyjaśnienia - powiedział.

- No, dobrze, od czego zacząć?

- Od morza - odparł Jaffe.

- Ach, od morza?

- Gdzie ono jest?

- Czy kiedykolwiek byłeś zakochany? - zapytał Kisson.

- Tak, chyba tak.

- A więc byłeś w Quiddity już dwa razy. Po raz pierwszy - kiedy spędziłeś swą pierwszą noc poza łonem. Po raz drugi - w noc, którą spędziłeś u boku ukochanej. A może ukochanego, co? - Roześmiał się. - Z nią czy z nim, co za różnica.

- Quiddity to morze?

- Quiddity to morze. Są w nim wyspy, zwane Efemerydami.

- Chcę tam być - powiedział Jaffe ledwie dosłyszalnym głosem.

- Będiesz. Jeszcze jeden raz.

- Kiedy?

- W ostatnią noc twojego życia. To wszystko, co udaje nam się zdobyć. Trzy zanurzenia w Morzu Snów. Jedno mniej, a stracilibyśmy rozum. Jedno więcej...

- Co wtedy?
- Wtedy przestalibyśmy być ludźmi.
- A Sztuka?
- Cóż... różnie się o niej mówi.
- Czy masz ją?
- Czy ją mam?
- No, Sztukę. Czy potrafisz się nią posługiwać? Czy możesz mnie jej nauczyć?
- Być może.
- Jesteś Jednym ze Szkoły - powiedział Jaffe. - Więc musisz ją posiadać, czy nie tak?
- Jednym? - brzmiała riposta. - Jestem ostatnim. Jedynym.
- Więc podziel się ze mną. Chciałbym osiąść moc odmiany świata.
- Niezła ambicyjka.
- Uważaj, co mówisz - powiedział Jaffe, coraz silniej podejrzewając, że stary bierze go za durnia. - Nie odejdę stąd z niczym, Kissoon. Kiedy opanuję Sztukę, będę mógł wstąpić do Quiddity, czy tak? Na tym to wszystko polega.
- Skąd o tym wiesz?
- Tak czy nie?
- Tak. Powtarzam pytanie: skąd o tym wiesz?
- Znam się na układankach. Cały czas się tym zajmuję - uśmiechnął się, gdy dopasowywał w myślach klocek do klocka. - Quiddity istnieje w pewnym sensie poza światem, prawda? Sztuka pozwala tam przejść, można tam więc przebywać, kiedy przyjdzie człowiekowi ochota. To taki własny kawałek tortu.
- Co?
- Ktoś kiedyś tak to określił: własny kawałek tortu.

- Dlaczego zadowalać się kawałkiem? - rzucił Kissoon.

- Właśnie! Dlaczego nie sięgnąć po cały pieprzony tort?

Kissoon popatrzył na niego prawie z podziwem.

- Jaka szkoda - powiedział - że stoisz tak nisko na drabinie ewolucji. Gdyby nie to, może mógłbym dzielić z tobą to wszystko.

- Co powiedziałeś?

- Powiedziałem, że za dużo w tobie z małpy. Nie mogę przekazać ci sekretów, ukrytych w moim umyśle. Nie wiedziałbyś, co z nimi robić. Skończyłoby się na tym, że zbrukałbyś Quiddity jakimiś niedowarzonymi ambicyjkami. A Quiddity musi pozostać czyste.

- Już ci mówiłem... Nie odejdę stąd z kwitkiem. Możesz ode mnie wziąć, co chcesz. Z tego, co mam. Tylko bądź moim nauczycielem.

- Oddałbyś mi swoje ciało? - zapytał Kissoon. - Oddałbyś?

- Co?

- Tylko tym możesz kupczyć. Czy dasz mi je?

Propozycja zbiła Jaffe'a z tropu.

- Chodzi ci o seks?

- Chryste, co ty wygadujesz.

- Więc o co chodzi? Nie rozumiem.

- O ciało i krew. O naczynie. Chcę zająć twoje ciało.

Jaffe wpatrywał się w Kissoona, a ten wpatrywał się w Jaffe'a.

- No więc? - odezwał się stary.

- Nie możesz tak po prostu wejść w moją skórę - powiedział Jaffe.

- Owszem, mogę, kiedy będzie wolna.

- Nie wierzę ci.

- Jaffe, właśnie ty nigdy nie powinieneś tak mówić: nie wierzę. Niezwykłość jest normą. Istnieją pętle czasu. Jesteśmy teraz w jednej z nich. Nasze umysły są jak wojska gotowe do wymarszu. Są słońca w naszych lędźwiach i szparki w niebie. Każdy stan ma swoje szyfry...

- Szyfry?

- Zaklęcia! Błagania! Czary! Czary! One są wszędzie. Masz rację: Quiddity rzeczywiście jest ich źródłem, a Sztuka zamkiem i kluczem. I ty uważasz, że wśliznięcie się w twą skórę sprawi mi trudność. Więc niczego się nie nauczyłeś?

- Założmy, że się zgodzę.

- Założmy.

- Co stałoby się ze mną, gdybym rzeczywiście opuścił swoje ciało?

- Pozostałbyś tutaj. Jako duch. To nie jest pałac, ale zawsze jakiś dom. Wrócę, za jakiś czas. Wtedy odzyskasz swoje ciało i krew.

- Na co by ci się przydało takie ciało? - powiedział Jaffe. - Nie lepsze od ścierwa.

- To moja rzecz - odpowiedział Kissoon.

- Chcę wiedzieć.

- A ja wolę ci nie mówić. Jeśli chcesz opanować Sztukę, to rób, do diabła, co ci każe.

Nie masz wyboru.

Sposób bycia starego, jego bezczelny uśmiezek, wzruszenie ramion. przymknięcie powiek, jakby nie chciał marnować wzroku na przybysza wszystko to przypominało Jaffe'owi Homera. Świetna byłaby z nich para: tępy brutal i przebiegły, stary cap. Kiedy myślał o Homerze, musiał także pomyśleć o nożu, ukrytym w kieszeni. Ile nacięć musiałby zrobić na tym żylastym zewłoku, zanim ból zmusi Kissoona do mówienia? Czy będzie musiał odciąć staruchowi palce, kawałek po kawałku? Jeśli tak, to był gotów. Może odciąć mu uszy. A

gdyby wydłubać mu oczy? Zrobi, co będzie trzeba; już dawno przestał odczuwać obrzydzenie.

Wsunął dłoń do kieszeni, zacisnął palce na nożu.

Kissoon zauważył ten ruch.

- A więc niczego nie zrozumiałeś - powiedział. Jego oczy pobiegły do Jaffe'a i z powrotem, jakby mierzył szybkość przepływu powietrza między sobą a Jaffe'em.

- Rozumiem o wiele więcej, niż sądzisz - odparł Jaffe. - Rozumiem, że nie jestem dla ciebie dostatecznie czysty. Nie jestem - jak ty to mówiłeś? - wystarczająco wysoko ewoluowany. Tak, ewoluowany.

- Powiedziałem, że jesteś małpą.

- Owszem, tak powiedziałeś.

- Obraziłem więc małpę.

Jaffe mocniej zacisnął palce na nożu. Zaczął powoli wstawać.

- Nie odważysz się - powiedział Kissoon.

- Czerwona płachta na byka - odparł Jaffe; wysiłek, jakim było powstanie z podłogi, przyprawił go o zawrót głowy - to twoje gadanie, że się nie odważę. Widziałem w życiu to i owo... robiłem już różne rzeczy - powoli wydobywał nóż z kieszeni. - Nie boję się ciebie.

Kissoon dał spokój obliczeniom i zatrzymał wzrok na ostrzu. Jego twarz nie zdradzała zdziwienia, jak twarz Homera, ale widniał na niej strach.

Widząc jego minę, Jaffe odczuł dreszczyk satysfakcji.

Kissoon powoli wstał z podłogi. Był o wiele niższy od Jaffe'a - prawie karzeł - i całe ciało miał dziwnie niekształtne, jakby kiedyś połamano mu wszystkie kości i stawy, a potem składano w pośpiechu.

- Nie powinieneś przelewać krwi - powiedział szybko. - Przynajmniej nie tutaj, nie w

Pętli. Zakaz przelewania krwi wchodzi w skład formuły Pętli.

- Kiepska wymówka - Jaffe ruszył powoli wokół ogniska, by dopaść swej ofiary.

- Ale to prawda - powiedział Kissoon i uśmiechnął się do Jaffe'a; był to dziwaczny uśmiech, zupełnie niepasujący do całej sytuacji. - Kłamstwo kłóci się z moim pojęciem honoru.

- Przez rok pracowałem w rzeźni. W Omaha, stan Nebraska - powiedział Jaffe. - W Bramie Zachodu. Przez cały rok pracowałem przy ćwiartowaniu mięsa. Znam się na rzeczy. Kissoon był teraz przerażony. Oparł się plecami o ścianę, przytrzymując się jej szeroko rozstawionymi ramionami. Jak bohaterka jakiegoś niemego filmu - pomyślał Jaffe. Oczy Kissoona nie były teraz półotwarte, ale ogromne i wilgotne. Nie mógł się zdobyć nawet na groźby; stał tylko i trząsł się ze strachu.

Jaffe położył rękę na sflaczałej grdyce starego. Chwycił mocno - jego palce i kciuk wbiły się w ciało i ścięгна. Drugą ręką, w której trzymał stępiały nóż, uniósł na wysokość lewego oka Kissoona. Oddech starego cuchnął jak odchody chorego starucha. Jaffe nie chciał wdychać tej woni, ale nie miał wyboru; ledwie wniknęła w jego płuca, zrozumiał, że stary go załatwił. Ten oddech był czymś więcej niż tylko cuchnącym powietrzem. Była w nim jakaś wydzielina organizmu Kissoona, która podstępnie wniknęła w jego ciało - a przynajmniej usiłowała. Jaffe zdjął rękę z jego chudej grdyki i odsunął się.

- Ty draniu! - wykrzyknął; krztusząc się i kaszląc, próbował wydalić z siebie tamten oddech, zanim wdrze się w głąb jego organizmu.

Kissoon dalej odgrywał komedię.

- Więc mnie nie zabijesz? Darujesz mi życie?

Teraz on postępował do przodu, a Jaffe się cofał.

- Nie podchodź do mnie - powiedział Jaffe.

- Jestem tylko starym człowiekiem!

- Czułem twój oddech! - wrzasnął Jaffe, uderzając się куłakiem w pierś. - Próbowaleś
wdrzeć się we mnie!

- Ależ nie - protestował Kissoon.

- Nie kłam, do jasnej cholery. Dobrze to czułem!

Wciąż to czuł. Jakiś ciężar w płucach, którego przedtem nie było. Cofał się w stronę
drzwi; wiedział, że jeśli zostanie, stary całkowicie nad nim zapanuje.

- Nie odchódź - odezwał się Kissoon. - Nie otwieraj drzwi.

- Do Sztuki prowadzą jeszcze inne drogi.

- Nie - powiedział Kissoon. - Tylko przeze mnie. Inni umarli. Nikt ci nie pomoże
oprócz mnie.

Gnąc nędzne ciało, znów próbował uśmiechnąć się tym swoim nikłym uśmiechem, ale
jego pokora była równie fałszywa jak poprzedni strach.

Każdy sposób był dobry, by zbliżyć się do ofiary i posiąść jej krew i ciało.

Jaffe nie dał się podejść po raz drugi. Próbował bronić się przed uwodzicielskimi
sztuczkami Kissoona za pomocą wspomnień. Myślał o przyjemnościach, które przeżył i znów
przeżyje, jeśli tylko wyjdzie żywy z tej pułapki.

O kobiecie w Illinois, o jednorękim w Kentucky, o pieszczotach karaluchów.

Te wspomnienia nie pozwalały Kissoonowi zdobyć nad nim większej władzy.

Sięgnął za siebie i chwycił za klamkę.

- Nie otwieraj - powiedział Kissoon.

- Wynoszę się stąd.

- Popęlniłem błąd. Przepraszam. Nie doceniłem cię. Przecież możemy się jakoś

dogadać. Powiem ci wszystko, co chcesz wiedzieć. Nauczę cię Sztuki. Ja nie mogę się nią

posłużyć. W tej Pętli to niemożliwe. Ale ty mógłbyś wynieść stąd te umiejętności. Na zewnątrz, kiedy wrócisz do świata. Będziesz miał swój tort! Tylko zostań. Zostań, Jaffe. Tak długo byłem sam. Tęsknię za ludźmi. Za kimś, komu mógłbym wytłumaczyć wszystko, co wiem. Podzielić się swoją wiedzą.

Jaffe nacisnął klamkę. W tej samej chwili poczuł, jak ziemia zadrżała mu pod stopami; wydało mu się, że za drzwiami błysnęła nagle jasność. Była zbyt sina jak na światło dnia, ale pewnie nim była, ponieważ za progiem czekało Jaffe'a tylko słońce.

- Nie zostawiaj mnie! - biegł za nim krzyk Kissoona; czuł, jak tamten wczepia się tym krzykiem w jego wnętrzości, tak jak wtedy, kiedy wzywał go do siebie. Ale zew nie był teraz nawet w przybliżeniu tak silny jak wtedy. Albo Kissoon wyczerpał zbyt wiele energii, kiedy usiłował tchnąć swój dech w Jaffe'a, albo osłabiła go wściekłość. Jakkolwiek rzecz się miała, Jaffe potrafił przewyciężyć siły, które wzywały go do powrotu: im dalej biegł, tym bardziej słabło wezwanie.

W odległości stu jardów od chaty szybko obejrzał się za siebie; wydawało mu się, że w jego kierunku sunie smuga ciemności, jakby ktoś rzucił za nim ciemny sznur. Nie zatrzymał się, by sprawdzić, jakiej to nowej sztuczki próbował ten stary drań, ale biegł dalej, wracając po własnych śladach, aż ujrzał stalową wieżę. Jej obecność mogła świadczyć o próbach zaludnienia tej okolicy - próbach dawno zarzuconych. Po godzinie męczącego marszu znalazł następne świadectwo tych usiłowań. Miasto, które ledwie pamiętał - włókł się przez nie, kiedy zmierzał w przeciwnym kierunku. Na ulicy nie było ludzi ani pojazdów, a sama ulica była odarta z wszelkich cech szczególnych, jak plan filmowy, na który nie dowieziono jeszcze dekoracji.

Pół mili dalej, drganie powietrza było dla niego sygnałem, że osiągnął obrzeże Pętli.

Wkroczył odważnie w strefę chaosu, przebył obszar, w którym zatracił wszelkie poczucie

czasu i przestrzeni - aż do bólu - nie był nawet pewien, czy w ogóle idzie, aż nagle znalazł się znów po tamtej stronie, pod cichym niebem rozgwieżdżonej nocy.

Kiedy 48 godzin później leżał pijany w jakiejś uliczce Santa Fe, powziął dwie ważne decyzje. Po pierwsze, zachowa swój kilkutygodniowy zarost na pamiątkę tych poszukiwań. Po drugie, wykorzysta cały swój spryt, każdą drobinę wiedzy o tajemnym życiu Ameryki i całą potęgę swojego wzroku astralnego, by zdobyć Sztukę (niech zdycha Kisson, niech szczególnie Szkoła).

Dopiero, gdy nią zawładnie, pokaże światu gładko wygolone oblicze.

IV

Niełatwo było dopełnić obietnic, które złożył sam sobie - teraz, kiedy moc, którą zdobył, zapewniała mu tyle łatwych przyjemności. Odmawiał ich sobie z obawy, że nadwątlą jego niewielkie siły zanim zdoła wykraść potęgę.

Za najpilniejsze zadanie uznał znalezienie podobnego sobie brodacza; kogoś, kto wesprze go w poszukiwaniach. Rozglądał się przez dwa miesiące, nim natrafił na człowieka, którego nazwisko i reputacja wprost predestynowała go do tej roli. Był to Richard Wesley Fletcher, do niedawna jeden z najwyżej cenionych, rewolucyjnych umysłów z dziedziny badań nad ewolucją - zanim się stoczył; kierownik wielu programów badawczych w Bostonie i Waszyngtonie; teoretyk, którego każdą uwagę badali wnikliwie inni uczeni w nadziei, że wykryją drogę, która poprowadzi go do kolejnego przełomu w nauce. Lecz ten genialny umysł był skażony uzależnieniem.

Meskalina i jej pochodne doprowadziły go do upadku, ku wielkiemu zadowoleniu wielu spośród jego kolegów, którzy nawet nie próbowali ukryć pogardy wobec tego człowieka, kiedy wydał się jego wstydlivy sekret.

Z całego pliku artykułów, które czytał Jaffe, przebijał ten sam ton samozadowolenia, kiedy społeczność akademicka zgodnie zaatakowała zdetronizowanego Wunderkinda, określając jego teorie jako niedorzeczne, a oblicze moralne jako godne potępienia. Jaffe nic sobie nie robił z opinii środowiska na temat oblicza moralnego Fletchera. Zaintrygowały go jedynie jego teorie, które przypadkowo zazębiły się z jego własnymi ambicjami. Badania Fletchera miały na celu wydobywanie z żywych organizmów substancji, dzięki której zachodził w nich proces ewolucji, a następnie przeprowadzenie laboratoryjnej syntezy. Podobnie jak Jaffe wierzył, że można skraść niebo.

Odnalezienie Fletchera wymagało ogromnego uporu, ale tego Jaffe'owi nigdy nie brakowało, odnalazł go w Maine. Źle się wiodło genialnemu uczonemu; rozpacz niemal go złamała. Jaffe działał ostrożnie. Nie wystąpił od razu ze swoją propozycją, ale wkradł się w jego łaski, zaopatrując Fletchera w narkotyki wysokiej jakości; Fletchera nie było na nie stać już od dłuższego czasu. Dopiero gdy zdobył jego zaufanie, zaczął mówić o jego badaniach. Początkowo Fletcher unikał tego tematu jak mógł, ale Jaffe łagodnie rozniecał żar jego obsesji, aż buchnęła jasnym płomieniem. Kiedy ogień już płonął, Fletcher miał mu dużo do powiedzenia. Sądził, że już dwukrotnie był blisko wykrycia substancji, którą nazwał „nuncjo”, czyli zwiastun. Ale wciąż nie udawało mu się przebrnąć przez procesy końcowe. Ze swej strony Jaffe rzucił na ten temat parę spostrzeżeń, zaczerpniętych z literatury poświęconej czarnej magii. Delikatnie sugerował Fletcherowi, że są towarzyszami w poszukiwaniach. Chociaż Jaffe posługiwał się starożytnym słownictwem alchemików i czarnoksiężników, a Fletcher językiem nauki, obydwu jednakowo silnie korciło, by pchnąć ewolucję do przodu; za pomocą sztucznych środków przyspieszyć rozwój fizyczny, a może i duchowy. Początkowo Fletcher przyjmował te uwagi z nieskrywaną pogardą, ale powoli zaczął je cenić i ostatecznie przystał na propozycję Jaffe'a, która miała mu umożliwić ponowne podjęcie prac

badawczych. Jaffe obiecywał, że teraz Fletcher nie będzie musiał pracować w zamkniętym, dusznym świecie akademickim i ustawicznie dowodzić przydatności swoich prac, by mu nie cofnięto stypendium. Gwarantował geniuszowi - narkomanowi miejsce pracy dobrze skryte przed wzrokiem wścibskich. Kiedy Fletcher wyizoluje nuncjo i wytworzy większą ilość tej cudownej substancji, wyłoni się ze swej samotni i rozpędzi oszczerców na cztery strony świata. Żaden uczony, pochłonięty obsesyjną myślą, nie odrzuciłby takiej oferty.

Jedenaście miesięcy później Richard Wesley Fletcher stał na granitowym przylądku wybrzeża Pacyfiku w Baja i przeklinał siebie za to, że dał się skusić namowom Jaffe'a. W stojącej w głębi lądu Misji Św. Katarzyny, po prawie roku niewolniczej pracy, zakończone zostało Wielkie Dzieło (jak Jaffe lubił je określać). Nuncjo stało się faktem. Z pewnością niewiele było miejsc równie mało odpowiednich dla przeprowadzenia eksperymentów, które większość ludzi uznałaby za niemiłe Bogu - niż ta opuszczona jezuicka Misja, ale przecież to przedsięwzięcie od samego początku było naznaczone paradoksem.

Choćby sprawa współnictwa Jaffe'a i jego, Fletchera. Po drugie, mieszanka dyscyplin naukowych, która umożliwiła sfinalizowanie Wielkiego Dzieła. A po trzecie, teraz, kiedy powinien przeżywać chwile tryumfu, był zaledwie kilka chwil od zniszczenia nuncjo, zanim wpadnie ono w ręce właśnie tego człowieka, którego subwencje umożliwiły jego powstanie. Ze zniszczeniem i twórczością sprawa ma się podobnie: jest w nich metoda, szaleństwo i ból. Fletcher zbyt dobrze wiedział o niejasnych prawach rządzących materią, by wierzyć, że cokolwiek podlega całkowitemu zniszczeniu. Nie można zakryć odkrycia. Ale wierzył, że jeśli wraz z Raulem odpowiednio spreparują materiał dowodowy, to nikomu nie uda się łatwo odtworzyć eksperymentu, który przeprowadził na pustkowiu Baja w Kalifornii. On i chłopiec (wciąż trudno mu było myśleć o Raulu jako o chłopcu) muszą postąpić jak złodzieje doskonali - oczyścić dom z wszelkich śladów swojej bytności. Kiedy już spalą wszystkie

notatki dotyczące badań i rozbijają całą aparaturę, to będzie tak, jakby nuncjo nigdy nie istniało.

Dopiero wtedy przywoła chłopca, który wciąż podsyczał ogniska płonące przed Misją, i stanął nad urwiskiem, by ręką w rękę rzucić się w dół.

Urwisko było dość strome, a skały w dole dostatecznie ostre, by zginęli na miejscu. Fala odpływu zmyje ich krew i wyniesie ciała na otwarte wody Oceanu Spokojnego. Zatem ogień i woda dokonają dzieła zniszczenia.

Wszystko to nie zdoła powstrzymać jakiegoś innego badacza przed ponownym odkryciem nuncjo kiedyś w przyszłości; jednak splot dyscyplin wiedzy i okoliczności, który umożliwił to odkrycie, był bardzo szczególnej natury. Ze względu na dobro ludzkości, Fletcher miał nadzieję, że nie stanie się to jeszcze przez wiele lat. Ta nadzieja nie była bezpodstawna. Gdyby dziwna, na wpół intuicyjna wiedza tajemna Jaffe'a nie sprzęgła się z jego własnym podejściem naukowym, nigdy nie doszłoby do tego cudu - a jak często ludzie nauki dochodzą do porozumienia z czarnoksiężnikami (zaklinaczami, jak ich nazywał Jaffe) i próbują połączyć swe sztuki w jedną?

Dobrze, że tego nie robią. Czekaliby ich zbyt wiele niebezpiecznych odkryć.

Okultyści, których kody Jaffe złamał, wiedzieli więcej o naturze rzeczy, niż Fletcher mógłby kiedykolwiek podejrzewać. W ich przerośniętych, rozprawach o Kąpieli Odrodzenia i Złotym Potomstwie, spłodzonym przez ojców z ołowiu, kryły się te same ambicje, za którymi Fletcher uganiał się całe swoje życie. Znaleźć sztuczne sposoby przyspieszenia ewolucji: przenieść człowieczeństwo poza granice człowieczeństwa. „Obscurum per obscurius, ignotum per ignotius”, radzili. Niechaj niejasne będzie tłumaczone przez bardziej niejasne, a nieznanne przez bardziej nieznanne. Nie rzucali słów na wiatr. Posługując się ich wiedzą i własną, udało się Fletcherowi rozwiązać ten problem. Opracował płyn, który zaniesie dobre wieści ewolucji do wszelkich żywych organizmów, pchając - jak wierzył - najprymitywniejszą nawet

komórkę w kierunku wyższego rozwoju. Nazwał go „nuncjo”, czyli zwiastunem. Teraz rozumiał, że wybrał dlań niewłaściwe imię. To nie był zwiastun czy posłaniec bogów, to był sam bóg. Nuncjo żyło własnym życiem. Miało swoją energię i ambicje. Musiał je zabić, zanim zacznie pisać Księgę Rodzaju od nowa, zaczynając od Jaffe'a w roli Adama.

- Ojczy? - rozległ się z tyłu głos Raula. Chłopiec znowu się rozebrał. Po latach życia w nagości, wciąż nie mógł się przyzwyczaić do niewygody, na którą skazywało go ubranie. I znowu użył tego przeklętego słowa.

- Nie jestem twoim ojcem - przypomniał mu Fletcher. - Nigdy nim nie byłem i nie będę. Czy możesz to wbić sobie do głowy?

Raul słuchał go uważnie, jak zawsze. Jego oczy nie miały białek i trudno było odczytać ich wyraz, ale te wpatrzone w niego oczy zawsze rozbrajały Fletchera.

- Czego chcesz? - zapytał łagodniejszym tonem.

- Ogniska - odpowiedział chłopiec.

- Co z nimi?

- Wiatr, ojczy... - zaczął.

Wiatr zerwał się kilka minut temu, szedł prosto od oceanu. Fletcher poszedł za Raulem przed front budynku misyjnego, gdzie - po zawietrznej - wznieśli stosy całopalne, na których miało spłonąć nuncjo; Fletcher zobaczył porozrzucane notatki, niektóre ledwie tknięte przez ogień.

- Żebyś przepadł - zaklął Fletcher, równie zirytowany własnym niedbalstwem jak i niedbalstwem chłopca. - Przecież ci mówiłem, żebyś nie wrzucał zbyt dużo kartek naraz.

Schwycił ramię Raula, pokryte jedwabistym włosem, podobnie jak całe jego ciało.

Wyczuł wyraźny zapach spalenizny - w miejscach liźniętych przez płomień, gdy ogień strzelił niespodzianie w górę i chłopiec nie zdążył odskoczyć. Wiedział, że opanowanie pierwotnego

strachu przed ogniem musiało Raula wiele kosztować. Przełamywał ten strach ze względu na swojego ojca. Nie zrobiłby tego dla nikogo innego. Fletcher, skruszony, objął Raula ramieniem. Chłopiec przywarł do niego, tak jak to czynił w swym poprzednim wcieleniu, tuląc twarz do zapachu człowieka.

- No dobrze, niech sobie lecą - powiedział Fletcher, gdy następny poryw wiatru uniósł papiery z ognia jak kartki kalendarza, odliczając dni pełne bólu i natchnienia. Jeśli nawet ktoś znajdzie jedną czy dwie kartki co było mało prawdopodobne na tym bezludnym wybrzeżu - to i tak nic z nich nie zrozumie. To tylko jego obsesja nakazywała mu wytrzeć tabliczkę do czysta; powinien wykazać więcej rozsądku - przecież to właśnie ta obsesja była jednym z czynników, który spowodował to zniszczenie i tragedię.

Chłopiec oderwał się od Fletchera i poszedł w stronę ognisk.

- Nie, Raul... - powiedział. - Zostaw, niech sobie lecą...

Chłopiec udał, że nie słyszy; często się tak zachowywał, nawet w czasach, zanim nuncjo sprowadziło te zmiany. Ileż razy Fletcher przywoływał małpę Raula, a złośliwe zwierzątko go ignorowało? Właśnie ta przekora szczególnie zachęciła Fletchera do wypróbowania na nim Wielkiego Dzieła: szept człowieczeństwa w małpie pod wpływem nuncjo przeszedł w krzyk. Jednak Raul nie miał zamiaru zbierać porzrzuconych kartek. Sprężył swoje nieduże, krępe ciało i odrzucił głowę w tył. Węszył.

- O co chodzi? - zapytał Fletcher. - Czujesz kogoś?

- Tak.

- Gdzie?

- Wchodzi na wzgórze.

Fletcher miał dość rozsądku, by nie kwestionować uwag Raula. Fakt, że sam nie potrafił niczego wykryć słuchem ani węchem, świadczył jedynie o zaniku jego zmysłów. Nie musiał

też pytać, z której strony nadchodzi przybysz. Do Misji prowadziła tylko jedna droga.

Wytyczanie jedynej drogi przez tak niegościnną okolicę, a potem aż na szczyt stromego wzgórza musiało być przykre nawet skłonny do masochizmu jezuitom. Zbudowali tę jedyną drogę i Misję, a potem odeszli; może na tym wzgórzu nie znaleźli Boga. Jeśli ich duchy nawiedzały to miejsce, to teraz znaleźliby bóstwo - w trzech fiolkach, wypełnionych błękitnym płynem. Podobnie jak człowiek, wstępujący na wzgórze. To mógł być tylko Jaffe. Nikt inny nie wiedział, że tu przebywali.

- Do diabła z nim - zaklął Fletcher. - Dlaczego właśnie teraz?

Właśnie teraz?

Było to głupie pytanie. Jaffe przybywał właśnie teraz, ponieważ wiedział, że ktoś knuje przeciwko jego Wielkiemu Dziełu. W jakiś sposób potrafił być obecny tam, gdzie go nie było; pozostawiał jakby swoje echo, które szpiegowało na jego rzecz. Fletcher nie rozumiał jak Jaffe to robił. Jakiś jego czarnoksiężski chwyt. Jeden z pomniejszych trików umysłowych, które Fletcher lekceważył kiedyś jako jarmarczne sztuczki; lekceważył tyle innych rzeczy. Jaffe potrzebował jeszcze kilku minut, by dotrzeć na szczyt wzgórza - stanowczo zbyt mało czasu, by Fletcher i chłopiec dokończyli dzieła.

Mógł wykonać w pełni tylko dwa zadania, gdyby działał szybko i sprawnie. Obydwa były bardzo ważne. Po pierwsze, trzeba zabić Raula i pozbyć się zwłok; wykształcony badacz mógłby wpaść na trop natury nuncjo na podstawie odmienionego organizmu Raula. Po drugie - zniszczyć trzy fiolki, ukryte w budynku Misji.

Wrócił tam teraz, poprzez chaos, który był dziełem jego własnych rąk.

Z tyłu szedł Raul, krocząc bosymi stopami przez potłuczone instrumentarium i rozbite sprzęty. Szli do tylnego pomieszczenia, do sanctum. Był to jedyny pokój nie zagracony przedmiotami związanymi z Wielkim Dziełem.

Zwykła celka, wyposażona jedynie w biurko, krzesło i przestarzałe stereo.

Krzesło stało przy oknie wychodzącym na ocean. Tutaj, przez pierwsze dni po udanym przeobrażeniu Raula - zanim Fletcher zrozumiał w pełni cele nuncjo i konsekwencje jego odkrycia i zanim ta świadomość odebrała mu radość tryumfu - mężczyzna i chłopiec siedzieli, patrzyli w niebo i słuchali muzyki Mozarta. Wszystkie te tajemnice, mówił Fletcher w jednej z pierwszych lekcji, są tylko przypisami do muzyki. Muzyka jest pierwsza, najważniejsza. Nie będzie więcej wzniosłego Mozarta; skończy się patrzenie w niebo; nauka pełna miłości. Czasu starczy tylko na jeden strzał. Fletcher wyjął rewolwer z szuflady; leżał tam obok jego meskaliny.

- Teraz umrzemy? - zapytał Raul.

Wiedział, że tak się stanie. Ale nie wiedział, że tak szybko.

- Tak.

- Musimy iść na dwór - powiedział chłopiec. - Nad urwisko.

- Nie. Nie mamy czasu. Muszę... muszę jeszcze coś zrobić, zanim pójdę za tobą.

- Ale mówiłeś, że razem.

- Wiem.

- Obiecałeś, że pójdziemy razem.

- Chryste, Raul! Przecież ci powiedziałem, że wiem o tym. Ale nie można inaczej. On już nadchodzi. Jeśli mi cię zabierze, żywego czy martwego, posłuży się tobą. Potnie cię na kawałki, żeby się przekonać, jak oddziaływało na ciebie nuncjo.

Te słowa miały go przestraszyć i tak też się stało. Raul załkał, twarz stężała mu w grymasie przerażenia. Gdy Fletcher uniósł pistolet, cofnął się o krok.

- Zaraz do ciebie przyjdę - powiedział Fletcher. - Przysięgam. Jak tylko będę mógł.

- Proszę cię, ojciec...

- Nie jestem twoim ojcem! Zapamiętaj to sobie raz na zawsze. Nie jestem niczym ojcem!

Ten wybuch sprawił, że Fletcher stracił nad Raulem wszelką władzę.

Zanim zdążył złożyć się do strzału, chłopiec był już za drzwiami. Mimo to strzelił na oślep - kula trafiła w ścianę; potem rzucił się w pościg i strzelił po raz drugi. Ale chłopiec był zręczny jak małpa. Przemknął przez laboratorium i wypadł na dwór, zanim rozległ się trzeci strzał. Uciekł.

Fletcher odrzucił pistolet. Pościg za Raulem byłby stratą tej resztki czasu, która mu pozostała. Lepiej zrobi, przeznaczając te chwile na zniszczenie nuncjo. Bardzo niewiele było tej substancji, ale wystarczająco dużo, by wtrącić w ewolucyjny chaos każdy organizm, który skazi swym dotykiem.

Snuł plany zniszczenia nuncjo od wielu już nocy i dni, myśląc jak się go pozbyć w najbezpieczniejszy sposób. Wiedział, że nie może go po prostu wylać. Co mogłoby się stać, gdyby dostało się do ziemi? Zdecydował, że najlepszym wyjściem - w istocie jedynym - byłoby wrzucenie nuncjo do oceanu. To rozwiązanie było szczególnie trafne. Właśnie w oceanie rozpoczęła się długa wspinaczka ku szczyblowi rozwoju, na którym znajdował się obecnie jego gatunek; właśnie tam - w miriadach odmian pewnych morskich zwierząt - zauważył pęd stworzenia do przybrania innej niż terażniejsza postaci. To były poszlaki, którymi dojdzie do celu nuncjo zamknięte w trzech fiolkach. To będzie odpowiedź na pytanie, które żywioł zadał kiedyś Fletcherowi. Nuncjo stanie się dosłownie kroplami w oceanie; jego moc będzie tak rozcieńczona, że jego działanie będzie prawie żadne.

Podszedł do ławy, na której - umieszczone na podstawce - stały fiołki.

Bóstwo w trzech buteleczkach, mleczno-błękitne jak niebo na obrazach delia Francesca.

Preparat lekko się poruszył, jakby kołysany przez własne wewnętrzne przypływy. Jeśli

wiedział, że nadchodzi Fletcher, to czy znał także jego zamysły? Tak mało wiedział o tym, co sam stworzył. Może nuncjo znało także jego myśli? Zatrzymał się nagle - wciąż miał w sobie zbyt wiele cech uczonego, by nie ulec fascynacji tym zjawiskiem. Wiedział, że substancja była obdarzona potężną mocą, ale zdumiała go jej zdolność do fermentacji, którą właśnie demonstrowała - może nawet miała w sobie jakąś prymitywną siłę parcia: wspinała się po ściankach fiolek. Nie był już tak pewny swych racji.

Czy naprawdę miał prawo ukryć ten cud przed światem? Czy jej dążenia były rzeczywiście tak przeciwne naturze? Przecież pragnęła jedynie wznieść stworzenia na wyższy stopień rozwoju. Przemienić łuski w futro. Futro w ciało. Ciało, być może, w ducha. Ładna myśl.

Wtedy przypomniał sobie o Randolfie Jaffie z Omaha w stanie Nebraska, byłym rzeźniku i sortowaczu Niedoreczonych Listów; zbieraczu cudzych tajemnic. Czy taki człowiek mógłby zrobić z nuncjo dobry użytek? W rękach człowieka pełnego dobroci i miłości. Wielkie Dzieło mogłoby dać początek powszechnemu pokojowi, w którym każda żywa istota pojęłaby sens Stworzenia. Ale w Jaffie nie było ani miłości, ani dobra. Był złodziejem objawień, czarownikiem niedbałym o sens swojej sztuki, a tylko o korzyści, które mógł z niej czerpać.

W tej sytuacji pytanie nie brzmiało: Czy ma prawo zniszczyć cud? ale raczej: Jak śmie się wahać?

Podszedł do buteleczek, na nowo przekonany o swej słuszności. Nuncjo wiedziało, że Fletcher chce je skrzywdzić. Zareagowało gwałtownie, pnąc się po ściankach jak umiało, burząc się przeciw uwięzieniu.

Kiedy Fletcher sięgnął szybkim ruchem po podstawkę, zrozumiał, o co nuncjo naprawdę chodzi. Nie chciało po prostu uciec. Pragnęło doświadczyć swej cudownej mocy na

ciele człowieka, który zamyślał przeciw niemu coś złego.

Pragnęło stworzyć swojego stwórcę na nowo.

Zrozumiał to zbyt późno. Nim zdążył cofnąć wyciągniętą dłoń albo zasłonić się, pękła jedna z fiolek. Fletcher poczuł, jak szkło kaleczy mu dłoń, a nuncjo rozlewa się po skórze.

Cofnął się chwiejnie, zasłaniając twarz dłonią.

Była skaleczona w kilku miejscach, ale jedno skaleczenie - pośrodku dłoni - było szczególnie głębokie, zupełnie jakby ktoś przebił ją na wylot gwoździem. Od bólu zakręciło mu się w głowie, ale i zawroty, i ból trwały tylko chwilę. Zawładnęło nim zupełnie nowe odczucie. Właściwie nie odczucie. To określenie było zbyt trywialne. To było jak najpiękniejsze motywy mozartowskie - muzyka, która ominęła jego uszy i wniknęła wprost w jego duszę. Kto usłyszy taką muzykę, już nigdy nie będzie taki jak przedtem.

Randolph zobaczył dym bijący od ognisk wznieconych przy Misji, kiedy dotarł do pierwszego zakola długiej drogi prowadzącej na szczyt wzgórza; ten widok potwierdził podejrzenie, które nurtowało go od wielu dni: jego najemny geniusz wypowiedział mu posłuszeństwo. Dodał gazu, przeklinając tumany kurzu, w których na tej nieutwardzonej drodze buksowały koła jego jeepa; tempo jazdy spadało do mozolnego czołgania się w górę. Do dziś i on, i Fletcher woleli, by Wielkie Dzieło dokonywało się tak daleko od cywilizacji, chociaż Jaffe musiał nieraz wychodzić z siebie, aby tak wyszukany sprzęt laboratoryjny, jakiego domagał się Fletcher, mógł dotrzeć na to dzikie odludzie. Ale przekonywanie innych szło mu teraz jak po maśle. Wyprawa do Pętli wzmogła żar jego spojrzenia. To, co powiedziała tamta kobieta w Illinois, której imienia nigdy nie poznał: „Widziałeś coś niezwykłego, prawda?” było teraz prawdziwsze niż kiedykolwiek przedtem. Widział miejsce, wyjęte spod prawa czasu, i siebie w owym miejscu, siebie, doprowadzonego przez głód Sztuki poza granice obłądu. Ludzie o tym wiedzieli, chociaż nie potrafili ująć tej myśli w

słowa. Widzieli to w jego spojrzeniu i, przejęci strachem czy też podszytym grozą podziwem, po prostu robili to, o co prosił.

Ale Fletcher był wyjątkiem od tej reguły już od samego początku.

Wprawdzie jego słabostki i rozpaczliwe, niezaspokojone pragnienia czyniły go uległym, ale zachował nieugiętą wolę. Czterokrotnie odrzucił propozycję Jaffe'a, by wyszedł z ukrycia i podjął od nowa swoje eksperymenty, chociaż Jaffe za każdym razem podkreślał, ile zachodu kosztowało go odszukanie zaginionego geniusza oraz jak bardzo pragnął z nim współpracować. Każdą z tych czterech ofert osładzał niewielką ilością meskaliny, wciąż obiecując, że przyniesie więcej, oraz że wyposaży laboratorium w każde udogodnienie, jakiego zażąda Fletcher, jeśli tylko zgodzi się wrócić do pracy naukowej. Już podczas pierwszej lektury radykalnych teorii Fletchera, Jaffe zrozumiał, że to właśnie był sposób przechytrzenia systemu, który stał między nim a Sztuką.

Nie miał wątpliwości, że droga do Quiddity jeżyła się od trudności i przeszkód, zaplanowanych przez szlachetnych guru i obłąkanych szamanów w rodzaju Kisoona, by nie dopuścić do Największej Świętości ludzi, których umysły ocenili jako podrzędnego gatunku. Nic w tym nie było nowego. Ale z pomocą Fletchera mógłby wystawić guru do wiatru: zdobyć władzę za ich plecami.

Początkowo, gdy już wyposażył laboratorium zgodnie ze wskazówkami Fletchera i podzielił się z nim pewnymi spostrzeżeniami związanymi ze sprawą, które wyłowił z Niedoreczonych Listów, Jaffe dał Mistrzowi wolną rękę: zajmował się zaopatrzeniem (posyłając rozgwiazdy, jeże morskie, meskalinę, małpę), ale odwiedzał go tylko raz na miesiąc. Za każdym razem przebywał u Fletchera przez jedną dobę, pijąc i dzieląc się z nim plotkami z życia środowiska akademickiego, które zbierał, by sycić jego ciekawość. Po jedenastu takich wizytach, czując, że badania prowadzone w Misji zbliżają się do końca,

zaczął tam częściej bywać. Za każdym razem spotykało go chłodniejsze przyjęcie. Pewnego razu doszło do tego, że Fletcher nie chciał go w ogóle wpuścić do Misji; wywiązała się krótka, nierówna walka. Fletcher był kiepskim zapaśnikiem. Przygarbiony, niedożywiony - był typem człowieka, który całkowicie oddał się trudom nauki już od wczesnych lat młodzieńczych. Pokonany, musiał wpuścić Jaffe'a do wewnątrz. W Misji Jaffe odkrył, że mała przemieniła się pod wpływem nuncjo, destylatu Fletchera, w brzydkie, ale niezaprzeczalnie ludzkie dziecko. Nawet wtedy, w dobie swych największych tryumfów, Fletcher zaczął wykazywać pewne oznaki załamania, któremu - o czym Jaffe nie mógł więcej wątpić - teraz uległ ostatecznie. Po tym dokonaniu, uczonym szarpał niepokój. Ale Jaffe był zbyt zadowolony, by się przejmować tymi sygnałami ostrzegawczymi.

Zaproponował nawet, że od ręki wypróbuje nuncjo na sobie. Ale Fletcher odwiódł go od tego zamiaru: twierdził, że trzeba jeszcze kilkumiesięcznych badań, zanim Jaffe będzie mógł zrobić tak ryzykowny krok. Jeszcze zbyt mało wie o nuncjo, tłumaczył. Chciał się najpierw przekonać, jakie wywrze ono działanie na organizm chłopca, zanim przeprowadzi dalsze eksperymenty. Załóżmy, że dziecko umrze po tygodniu? Albo jutro? Ten argument wystarczył, by ostudzić zapał Jaffe'a na jakiś czas. Pozwolił, by Fletcher podjął próby, o których mówił, i od tej pory przyjeżdżał co tydzień; za każdym razem widział, że Fletcher coraz bardziej upada na duchu, ale zakładał, że duma twórcy powstrzyma go od próby zniszczenia własnego arcydzieła.

Teraz, gdy nadpalone kartki sunęły po ziemi w jego stronę, przeklinał własną łatwowierność. Wyszedł z Jeepa i ruszył między rozrzuconymi przez wiatr ogniskami. Ta okolica zawsze miała w sobie coś z Apokalipsy. Tak sucha i piaszczysta ziemia mogła wyżywić niewiele więcej niż kilka karłowatych juk; Misja stała tak blisko urwiska, że którejs zimny musi paść łupem Pacyfiku. Nad głową hałasowały głuptaki - ptactwo tropikalne.

Dzisiaj fruwały w powietrzu tylko wyrazy. Mury Misji były osmalone ogniem w miejscach, gdzie ogniska rozpalono zbyt blisko domu. Ziemię pokrywał popiół, jeszcze bardziej jałowy niż piasek.

Wszystko się zmieniło.

Wchodząc w niedomknięte drzwi, zawołał Fletchera; niepokój, który go dręczył podczas jazdy w górę, wzmógł się niemal do trwogi; nie o siebie się bał, ale o Wielkie Dzieło. Był zadowolony, że ma przy sobie broń. Jeśli równowaga psychiczna Fletchera rozchwiała się na dobre, może będzie musiał użyć przemocy, by wydobyć z niego formułę nuncjo. Nie byłby to pierwszy przypadek, kiedy wyruszał po wiedzę z rewolwerem w kieszeni.

Czasem było to konieczne.

Wnętrze domu było zupełnie zniszczone; instrumentarium wartości kilkuset tysięcy dolarów - zdobyte prośbą, groźbą i pochlebstwem od akademików, którzy dawali mu, o co prosił, byle tylko przestał się w nich wpatrywać - zdewastowane; wszystko, co przedtem stało na stołach, zostało zmiecione na podłogę. Przez otwarte na oścież okna wpadał do środka gorący, słony wiatr oceanu. Wymijając strzaskane sprzęty, Jaffe przedostał się do ulubionego pokoju Fletchera - celki, którą kiedyś (po dużej dawce meskaliny) nazwał zatyczką. Wypełniającą pustkę jego serca.

Był tam, żywy; siedział na krześle u szeroko otwartego okna, wpatrując się w słońce.

Ten właśnie zwyczaj doprowadził do tego, że ociemniał na prawe oko. Miał na sobie tę co zawsze, wystrzępioną koszulę i odwieczne, zbyt obszerne spodnie; tę samą, wymizerowaną, nieogoloną twarz; siwiejące włosy związane w niezmienny koński ogon (Jego jedyne ustępstwo na rzecz próżności). Nawet jego pozę: ręce założone na kolanach, przygarbione plecy - widział Jaffe niezliczoną liczbę razy. A jednak był w tej scenie jakiś ledwie wyczuwalny, fałszywy ton; to wystarczyło, by wstrzymać Jaffe'a w progu celi. Było tak,

jakby Fletcher był za bardzo sobą. Była to zbyt doskonała podobizna Fletchera; gdy tak siedział zamyślony, wpatrzony w słońce, każda fałdka jego ciała, każdy por jego skóry przyciągał wzrok Jaffe'a, boleśnie napinając siatkówkę jego oczu - jakby portret Fletchera wykonało tysiąc miniaturzystów, przy czym każdemu przydzielono jeden cal kwadratowy modela, by oddał go na płótnie za pomocą pędzelka sporządzonego z jednego włosa; by odmalował go z nieznośną precyzją. Reszta pokoju: ściany, okno, nawet krzesło, na którym siedział Fletcher była nieostra i rozmazana - Jakby niezdolna do rywalizacji ze zbyt daleko posuniętą realnością modela.

Jaffe zamknął oczy, by nie patrzeć na portret. Kładł się zbyt wielkim ciężarem na jego zmysły. Przyprawiał go o nudności. W ciemności usłyszał głos Fletchera, niemelodyjny jak zwykle.

- Złe wieści - powiedział bardzo spokojnie.

- Dlaczego? - zapytał Jaffe, nie otwierając oczu. Nawet z zamkniętymi oczami bardzo dobrze wiedział, że ten niezwykły stwór mówi do niego bez pomocy języka i warg.

- Po prostu odejść - powiedział Fletcher. - Aha, miałeś rację.

- Jaką rację?

- Że nie potrzebuję już gardła, by mówić.

- Ja wcale nie mówiłem...

- Nie musisz, Jaffe. Jestem w twoim umyśle. To rzeczywiście tam jest. Gorsze niż myślałem. Musisz odejść...

Głos przycichł, chociaż słowa nie milkły. Jaffe usiłował je uchwycić, ale większość mu umknęła. Coś jakby: „Czy stajemy się niebem?”, zdaje się. Tak, rzeczywiście to właśnie powiedział:

- Czy stajemy się niebem?

- O czym ty mówisz? - spytał Jaffe.

- Otwórz oczy.

- Robi mi się niedobrze, kiedy na ciebie patrzę.

- I wzajemnie. Ale jednak... powinieneś otworzyć oczy. Zobaczyć, jak staje się cud.

- Jaki cud?

- Zobacz sam.

Posłuchał nalegań Fletchera. Zobaczył dokładnie to samo, co przed zamknięciem oczu.

Szeroko otwarte okno; siedzącego przy oknie mężczyznę.

Nic się nie zmieniło.

- Nuncjo jest we mnie - odezwał się Fletcher w umyśle Jaffe'a.

Żaden rys jego twarzy nawet nie drgnął. Najmniejszego poruszenia warg, ruchu rzęs.

Wciąż to samo straszne, całkowicie skończone dzieło.

- To znaczy, że testowałeś je na sobie? Po tym wszystkim, co mi mówiłeś?

- To wszystko zmienia, Jaffe. To jakby ktoś smagnął świat biczem przez plecy.

- Zażyłeś je! Przecież to ja miałem to zrobić'

- Nie zażyłem go. To ono mnie zażyło. Jaffe, ono jest obdarzone własnym życiem.

Chciałem je zniszczyć, ale mi nie pozwoliło.

- Ale dlaczego w ogóle chciałeś je zniszczyć?! Przecież to Wielkie Dzieło!

- Ponieważ działa w sposób, jakiego nie przewidziałem. Jaffe, ono nie interesuje się ciałem, chyba że w dalszej kolejności. Ono igra z umysłem. Bierze jakąś myśl jako natchnienie i nadaje jej dalszy bieg. Robi z nas to, czym chcielibyśmy być, albo czym obawiamy się być. Albo jednym i drugim. Chyba jednym i drugim.

- Nie zmieniłeś się - zauważył Jaffe. - Mówisz tak, jak przedtem.

- Ale mówię w twoim umyśle - przypomniał mu Fletcher. - Czy było tak kiedykolwiek

przedtem?

- Zatem telepatia jest przyszłością istot naszego gatunku - stwierdził Jaffe. - Nic nadzwyczajnego. Po prostu przyspieszyłeś ten proces. Jednym susem pokonałeś tysiące lat.

- Czy będę niebem? - znów zapytał Fletcher. Tym właśnie chciałbym być.

- Więc sobie bądź. Ja mam większe ambicje.

- Tak, tak, tym gorzej dla nas wszystkich. Właśnie dlatego nie chciałem, by dostało się w twoje ręce. Próbowałem nie dopuścić, byś go użył do swoich celów, ale ono odwróciło moją uwagę. Zobaczyłem otwarte okno i nie mogłem już odwrócić oczu od nieba. Nuncjo mnie rozmarzyło. To przez nie siedzę teraz i zastanawiam się... czy... czy będę niebem?

- Nie pozwoliło, byś mnie oszukał - powiedział Jaffe. - Ono chce, by go używać i tyle.

- Uhm.

- Więc gdzie jest reszta? Przecież nie użyłeś wszystkiego.

- Nie użyłem - przyznał Fletcher; został pozbawiony umiejętności kłamania. - Ale proszę cię, nie...

- Gdzie ono jest? - zapytał Jaffe, wchodząc wreszcie do pokoju. Masz je przy sobie?

Kiedy postąpił do przodu, poczuł na skórze miriady leciutkich muśnięć, jakby wszedł w gęstą chmurę niewidzialnych komarów. To uczucie powinno ostrzec go przed bezpośrednim kontaktem z Fletcherem, ale zbyt pragnął nuncjo, by zwracać na to uwagę. Położył rękę na ramieniu Fletchera. Przy dotknięciu postać tamtego zdawała się rozwiewać, niby obłok maleńkich cząsteczek - szarych, białych, czerwonych - wybuchła mu nagle w twarz, jak zawierucha pyłku kwiatowego.

W swym umyśle usłyszał śmiech geniusza; wiedział, że nie wyśmiewa się z niego, a tylko śmieje z czystej radości, kiedy wstrząs uwolnił jego skórę z przysłaniającej ją warstwy kurzu, który zaczął na nim osiadać już w momencie narodzin i nawarstwiając się stopniowo

zakrył go prawie całego, pozostawiając tylko kilka najjaśniejszych miejsc. Kiedy kurz opadł, Fletcher siedział na krześle jak dawniej. Ale teraz jarzył się delikatnym światłem.

- Świecę zbyt jaskrawo? - zapytał. - Przepraszam.

Przykręcił nieco światło, które od niego biło.

- Ja też tego chcę! - zawołał Jaffe. - Natychmiast.

- Wiem. Czuję te twoje potrzeby. To paskudztwo. Jaffe, paskudztwo. Jesteś niebezpieczny. Chyba dopiero teraz naprawdę wiem, jak jesteś niebezpieczny. Widzę cię na wylot. Widzę twoją przeszłość. - Przerwał na chwilę, a potem wydał przeciągły bolesny jęk. - Zabiłeś człowieka.

- Należało mu się.

- Przeszkadzał ci. Widzę jeszcze jednego... To Kissoon, prawda? On też zginął?

- Nie.

- Ale chciałeś go zabić? Czuję w tobie nienawiść.

- Tak, zabiłbym go wtedy, gdybym tylko mógł. - Uśmiechnął się.

- Mnie pewnie też - powiedział Fletcher. - Czy masz w kieszeni nóż, czy też po prostu cieszysz się, że mnie widzisz?

- Chcę nuncjo. Ja chcę jego, a ono chce mnie.

Odwrócił się, by odejść. Fletcher zawołał za nim:

- Jaffe, ono oddziaływa na umysł, może i na duszę. Czy nie rozumiesz? Wszystko, co widać na zewnątrz, najpierw odbywa się wewnątrz. Żeby coś istniało naprawdę, trzeba to najpierw wymarzyć. A ja? Zawsze potrzebowałem swojego ciała wyłącznie jako nośnika. Naprawdę chciałem być tylko niebem. Ale ty, Jaffe! Ty! W mózgu masz samo plugastwo. Pomyśl o tym. Pomyśl, co nuncjo spotęguje. Błagam cię...

Słyszając w swym umyśle ten błagalny szept, Jaffe przystanął na chwilę i obejrzał się na

portret. Portret uniósł się z krzesła, chociaż - jak Jaffe widział po wyrazie twarzy Fletchera - oderwanie się od widoku nieba sprawiało mu dotkliwe cierpienie.

- Błagam cię - powtórzył. - Nie pozwól, by cię użyło do swoich celów.

Fletcher wyciągnął rękę w kierunku ramienia Jaffe'a, ale ten był już poza jego zasięgiem - wszedł prosto do laboratorium. Prawie natychmiast zatrzymał wzrok na ławie, gdzie na podstawce pozostawiono dwie fiołki; ich zawartość burzyła się i napierała na szkło.

- Świetnie - powiedział Jaffe, podchodząc bliżej fiołek: nuncjo podskoczyło jak pies, pragnący liznąć twarz swojego pana. Łaszące się nuncjo zadawało kłam obawom Fletchera.

To Randolph jest panem, a nuncjo - sługą.

Fletcher wciąż sączył ostrzeżenia w myśli Jaffe'a.

- Każde twoje okrucieństwo, Jaffe, wszystkie obawy, cała głupota i tchórzostwo - to wszystko zawładnie tobą. Czy jesteś na to przygotowany? Chyba nie. To cię za bardzo zdemaskuje.

- Nie ma czegoś takiego jak za bardzo czy za dużo - odpowiedział Jaffe zagłuszając protesty i sięgnął po bliższą fiołkę. Nuncjo nie mogło się już doczekać. Trzasnęło szkło, zawartość fiołki chlusnęła na skórę Jaffe'a. W tej samej chwili zrozumiał (i przeraził się) - nuncjo przekazało mu tę wiadomość w chwili kontaktu. W momencie gdy Jaffe zrozumiał, że Fletcher miał rację, już było za późno, by naprawił swój błąd.

Nuncjo w niewielkim tylko stopniu, albo wcale, nie interesowało się zmianą jego systemu komórkowego. Gdyby nawet do niej doszło, to tylko w następstwie głębszych przeobrażeń. Uważało ciało Jaffe'a za ślepią uliczkę.

Drobne ulepszenia, które mogłoby wprowadzić do jego ustroju biologicznego, nie były godne jego uwagi. Nie miało zamiaru tracić czasu na uelastycznienie stawów jego palców czy wyrównanie uchyłków jelita grubego. Było ewangelistą nie kosmetyczką. Jego celem był

umysł. Umysł, który używał ciała dla swojej przyjemności, nawet jeśli ta przyjemność szkodziła nośnikowi. Umysł, który był źródłem głodu przeobrażeń, a także najbardziej zapalczym i twórczym sprawcą owych przeobrażeń.

Jaffe był gotów błagać o pomoc, ale nuncjo już zawładnęło jego korą mózgową i nie potrafił wymówić jednego słowa. Modlitwa straciła rację bytu. Bogiem było nuncjo.

Przedtem w butelce, teraz w jego ciele. Nie mógłby nawet umrzeć, chociaż cały jego organizm był poddany tak silnym wstrząsom, że zdawało się, iż rozpadnie się na części.

Nuncjo wstrzymało wszystkie inne procesy oprócz własnego działania: strasznego procesu doskonalenia.

Przede wszystkim nadało jego pamięci wsteczny bieg, ukazując mu w błyskawicznym skrócie całe jego życie od momentu, gdy weń wstąpiło; przebył w odwrotnej kolejności wszystkie koleje swojego życia, aż wylądował w wodach płodowych łona swojej matki. Dane mu było przeżyć chwilę bolesnej tęsknoty za tym miejscem - spokojnym i bezpiecznym - zanim życie ponownie wyciągnęło go na świat i ruszył w podróż powrotną, by znów zaznać skromnego życia w Omaha. Ledwie rozpoczął świadome życie, wypełniły go gniew i wściekłość. Przeciw drobiazgom i sprawom wagi państwowej; przeciw ludziom sukcesu i uwodzicielom; tym, którzy zagarniali awanse i dziewczęta. Odczuł to wszystko na nowo, ale ze zwielokrotnioną siłą; jak komórka rakowa, która rosła w mgnieniu oka i zniekształcała go całego. Widział, jak rodzice odchodzą w niepamięć, a on nie potrafił ich zatrzymać ani płakać po nich, gdy już odeszli, ale wciąż szalał z gniewu, nie wiedząc, po co żyli ani po co wydali go na świat. Znów się zakochał - po raz drugi. I znów go odrzucono - po raz drugi. Jątrzył rany, przyozdabiał blizny, podsyczał gniew, by wciąż rósł. Prócz tych pamiętnych niepowodzeń, była jeszcze ciągła dreptanina za pracą i utrata pracy, ludzie, którzy z dnia na dzień zapominali jego imię i jedne po drugich święta Bożego Narodzenia, różniące się tylko

tym, że przybywało mu lat. Nigdy nie dowiedział się, dlaczego przyszedł na świat, dlaczego ktokolwiek przychodził na świat, w którym wszystko było kłamstwem i oszustwem i nie prowadziło do niczego.

Potem - pokój na skrzyżowaniu, pełen zbłąkanych listów i nagle jego gniew odbił się od wybrzeża do wybrzeża; dzicy, zdeorientowani ludzie jego pokroju wbijali nóż w swój niepokój w nadziei, że wraz z krwią dojrzą w tym wszystkim jakiś sens. Niektórym się to udawało. Nagle tajemnice stawały się jasne - choćby tylko na chwilę. A on zyskał dowody. Znaki i szyfry; Medalion - symbol Szkoły, który wpadł mu w ręce. W następnej chwili zaszytował Homera i odszedł z miasta z garstką zdobytych poszlak; wyruszył w podróż, potężniejąc z każdym krokiem - do Alamos i do Pętli, a wreszcie do Misji Św. Katarzyny. I wciąż nie wiedział, dlaczego powołano go do życia, ale przez te cztery dekady dojrzał dostatecznie, by teraz nuncjo dało mu doraźną odpowiedź.

Urodził się dla gniewu. Dla zemsty. By zdobyć władzę i użyć jej.

Unosił się przez chwilę nad tą sceną i widział siebie jak leży skulony na podłodze wśród rozbitego szkła, ściskając głowę rękami jakby w obawie, że pęknie. Pojawił się Fletcher.

Pewnie zwracał się do jego ciała z jakimś wzniosłym przemówieniem, ale Jaffe nie mógł dosłyszeć słów. Na pewno wygłaszał jakąś obłudną mowę o nicości ludzkich poczynań.

Nagle rzucił się na to ciało z pięściami. Ciało rozpadło się na dwoje. Jak tamten portret u okna. Jaffe zawył, kiedy substancja cielesna leżąca na podłodze zaczęła wzywać do siebie uwolnionego ducha, ściągając go z góry w swoje nasycone nuncjo wnętrze.

Otworzył oczy i spojrzał - wciąż leżąc na podłodze - na człowieka, który uwolnił go z zewnętrznej powłoki; spojrzał na Fletchera z nowym zrozumieniem.

Ich partnerstwo układało się źle od samego początku; jego główne zasady wzajemnie krzyżowały im szyki. Ale teraz Jaffe pojął cały ten mechanizm.

Jeden był nemesis drugiego. Żadne dwie inne jednostki na ziemi nie były sobie tak doskonale przeciwstawne. Fletcher kochał światło, jak może je kochać człowiek, który głęboko lęka cię ciemnoty; oślepił na jedno oko, wpatrując się w oblicze słońca. Zaś on sam nie był już Randolphem Jaffe'em, ale džaffem - jedyny i niepowtarzalny kochał ciemność, która syciła jego gniew i dawała mu ujście. Ciemność, w której przychodził sen; z niej zaczęła się podróż do morza snów leżącego poza snem. Chociaż nauka, jakiej udzieliło mu nuncjo, była bolesna, był zadowolony, że przypomniano mu, kim był. Nie tylko przypomniano, ale powiększono pod lupą historii jego życia. Wyszedł z mroku niewiedzy; już potrafi posługiwać się Sztuką. Ręce go świerzbiły; chciał działać. Jednocześnie rozumiał, jak uchylić rąbka tajemnicy jednym szarpnięciem i wstąpić w wody Quiddity.

Nie potrzebował żadnych rytuałów. Nie musiał wznosić błagań ani składać ofiar.

Wstąpił na wyższy szczebel rozwoju. Jego potrzeby stały się prawem, a potrzeb miał wiele.

Ale w drodze do swej nowej jaźni przypadkiem rozbudził siłę, która będzie mu się przeciwstawiać na każdym kroku, jeśli jej natychmiast nie zmiażdży.

Wstał z podłogi; wyzwanie, które rzucił mu Fletcher było całkowicie zbędne: obaj świetnie zdawali sobie sprawę z dzielącej ich wrogości. W błysku oka swojego wroga ujrzał odrazę. Ten zapoznany geniusz, narkoman, Polianna - Fletcher rozwiął się, by przyjąć nowy kształt: bezradosny, rozmarzony i jasny. Jeszcze kilka minut temu chciał tylko siedzieć w oknie, tęskniąc za niebem, aż zabrałaby go ta tęsknota lub śmierć. Ale teraz było inaczej.

- Już wszystko zrozumiałem - powiedział; teraz, gdy byli sobie równi i wrodzy, wolał posłużyć się strunami głosowymi. - Skusiłeś mnie, żebym ci pomógł wejść na wyższy stopień rozwoju, a wtedy ty będziesz mógł wykraść tajemnicę.

- I wykradnę - odpowiedział džaff. - Już ją prawie mam.

- Quiddity nie wpuści takich jak ty.

- Nie będzie miało wyboru. Teraz nikt nie może mi się sprzeciwić. - Podniósł ramię. Na

skórze, niby małe kuleczki przeciwmolowe, występowały mu pęcherzyki potęgi. -

Widzisz? - zapytał. - To ja jestem Artystą.

- Nie, żeby nim być, trzeba najpierw użyć Sztuki.

- A kto mnie od tego powstrzyma? Ty?

- Nie mam wyboru. Jestem za to wszystko odpowiedzialny.

- Jak? Kiedyś zbiłem cię na kwaśne jabłko. Znów dam ci wycisk.

- Wywołam wizje, które cię wstrzymają.

- Spróbuj. - Kiedy džaff wypowiedział to słowo, przyszło mu do głowy pewne pytanie, na które Fletcher już odpowiadał, chociaż tamten jeszcze nie zdążył go wymówić.

- Dlaczego dotknąłem twojego ciała? Sam nie wiem. Ono tego zażądało. Próbowałem je zakrzyczeć, ale wciąż wołało. Przerwał; po chwili powiedział: - Może przeciwieństwa rzeczywiście się przyciągają, nawet w naszej sytuacji.

- W takim razie im szybciej zginiesz, tym lepiej - odpowiedział džaff i rzucił się na wroga, by rozedrzeć mu gardło.

W ciemności, która zakradła się nad Misję znaną Pacyfiku, Raul usłyszał pierwsze odgłosy walki. Pozostałości nuncjo w jego organizmie powiedziały mu, że to preparat wywołał zajścia w budynku Misji. Jego ojciec, Fletcher, opuścił dawne życie i wstąpił w inne.

Podobnie jak tamten drugi, któremu Raul nigdy nie dowierzał, chociaż słowa jak „zło” były dla niego po prostu jednym z dźwięków, wydawanych przez ludzi. Teraz je zrozumiał, a w każdym razie dopasował je do swojej zwierzęcej reakcji na osobę Jaffe'a: to był wstręt.

Ten człowiek był dogłębnie zepsuty - jak przegniły owoc. Sądząc po odgłosach walki w budynku, zrozumiał, że Fletcher postanowił walczyć z tym zepsuciem. Skończył się krótki okres szczęścia u boku ojca; nie będzie więcej lekcji dobrego wychowania; nie siądą już

razem przy oknie, by słuchać „wzniosłego Mozarta”, patrząc jak zmieniają się kształty obłoków.

Gdy ukazały się pierwsze gwiazdy, wszystko w Misji ucichło. Raul czekał; miał nadzieję, że Jaffe zginął, ale obawiał się, że i jego ojca także już nie ma. Po godzinie poczuł chłód i postanowił zajrzeć do środka.

Dokądkolwiek odeszli - do Nieba czy Piekła - nie mógł tam za nimi podążyć. Mógł tylko włożyć ubranie, którym zawsze pogardzał (ocierało mu skórę i krępowało ruchy), ale które teraz przypominało mu nauki jego nauczyciela. Zawsze będzie je nosił, aby nie zapomnieć Dobrego Człowieka Fletchera.

Kiedy podchodził do drzwi, zdał sobie sprawę, że w Misji ktoś był. Był tam Fletcher. I był jego wróg. Wciąż posiadali ciała, które zachowały dawny wygląd, a jednak coś się w nich zmieniło. Nad obydwoma unosiły się jakieś kształty: ogromnogłowy osesek o barwie dymu - nad Jaffe'em; obłok, przez który przeświecało słońce - nad Fletcherem. Obydwaj zaciskali sobie nawzajem palce na oczach i gardłach. Ich delikatne ciała splotły się w jedno. Był to stan idealnej równowagi - żaden nie mógłby wygrać.

Wejście Raula przerwało ten impas. Fletcher odwrócił głowę, kierując na chłopca swoje widzące oko, a wtedy dziaff zdobył przewagę i odrzucił wroga daleko w głąb pokoju.

- Uciekaj! - krzyknął Fletcher do Raula. - Uciekaj stąd!

Raul posłuchał; wybiegł z Misji i pomknął między gasnącymi ogniskami.

Ziemia drżała pod jego stopami, a za nim rozgorzała na nowo szaleńcza walka. W ciągu trzech sekund zdążył rzucić się w dół i przebyć nieduży odcinek zboża, gdy nagle nawietrzna ściana Misji - te mury miały przetrwać do końca wiary - rozpadła się pod naporem jakiejś potężnej siły. Nie zasłonił oczu, patrzył. Dostrzegł przelotnie postacie Jaffe'a i Dobrego Człowieka Fletchera - bliźniacze potęgi - jak złączone jednym powiewem wiatru odlatują z

miejsca wybuchu i znikają w mroku nocy.

Siła eksplozji rozrzuciła ogniska. Wokół misji płonęły teraz setki małych ognisk. Z dachu nie zostało prawie nic. Ściany zionęły wielkimi ranami.

Już teraz czując osamotnienie, Raul pokuśtykał z powrotem do tego jedyne go schronienia, jakie miał.

V

Tego roku w Ameryce rozgorzała wojna, być może najzacieklejsza, a z pewnością najdziwniejsza z wojen prowadzonych na ziemi, w głębi ziemi i ponad nią. Jej przebiegu w większości nie relacjonowano, ponieważ nie wiadano, że trwa. Czy też raczej jej następstwa (które były poważne, a w wielu wypadkach bardzo bolesne) wydawały się tak różne od strat poniesionych na polu bitwy, że wciąż brano je za coś innego. Ale ostatecznie była to wojna bez precedensu. Nawet nawiedzeni, z rodzaju tych, co to dorocznie zapowiadają koniec świata, nie potrafili wyjaśnić, dlaczego drżały trzewia Ameryki. Wiedzieli, że zanosi się na coś złego; gdyby Jaffe wciąż pracował w Dziale Nedoręczonych Listów w Urzędzie Pocztowym w Omaha, widziałby chmary listów pędzących we wszystkich kierunkach, listy, pełne różnych teorii i przypuszczeń. Jednak żadna z tych teorii, nawet wysuwanych przez korespondentów, którzy mieli pewne niejasne pojęcie o Szkole i Sztuce, nawet w części nie odgadła prawdy.

Wojna nie tylko była bezprecedensowa, ale i natura tej wojny zmieniała się w miarę jak mijały tygodnie. Kiedy walczący opuszczali Misję Św. Katarzyny, zaczęli się dopiero wczuwać w swój nowy stan i przynależną mu potęgę. Ale już po niedługim czasie odkryli zakres swej władzy i nauczyli się z niej korzystać, kiedy wymogi wojny zmusiły ich mózgi do najwyższych obrotów. Zgodnie ze swym przyrzeczeniem, Fletcher powołał armię, złożoną z fantazji, które snuli mężczyźni i kobiety, spotkani w trakcie jego pogoni za Jaffe'em; ani na

chwile nie pozwolił mu się skupić i użyć Sztuki, która leżała w zasięgu jego ręki. Nazwał tych wymyślonych żołnierzy „hallucigenia” na pamiątkę pewnego zagadkowego gatunku istot, po których pozostały skamieniałe szczątki, uwieczniające ich bytowanie sprzed 150 milionów lat. Rodzina tych osobników, podobnie jak fantastyczne stwory, nazwane obecnie ich imieniem, nie miała żadnych przodków. Życie tych żołnierzy trwało niewiele dłużej niż żywot motyla. W krótkim czasie gubili swoje cechy osobnicze, tracili wyrazistość i rozpływali się jak dym.

Mimo swej ulotnej postaci, kilkakrotnie rozgromili džaffa i jego legiony, „terata” - zbiorowisko zwierzęcych strachów, które Randolph potrafił obecnie wywoływać u swoich ofiar i nadawać im stałą postać na jakiś czas. Terata były równie ulotnej natury jak bataliony, które przeciw nim wystawiono. Pod tym, jak i każdym innym względem, džaff i Dobry Człowiek Fletcher byli równorzędnymi przeciwnikami.

Tak to trwało - manewry, mające na celu zmylenie przeciwnika i kontrmanewry, małe kroczyki i szerokie ofensywy, przy czym każda z tych armii próbowała zamordować wodza drugiej. Taka wojna nie mogła się spodobać światu realnemu. Strachy i uludy nie powinny przybierać fizycznej postaci. Sceną ich działania był umysł. A teraz były namacalnie obecne, prowadziły ciężkie boje, idąc przez Arizonę i Kolorado aż po Illinois, a w czasie pochodu na niezliczone sposoby burzyły ustalony ład. Zboża nie spieszyły się z kiełkowaniem, wolały pozostać dłużej w ziemi niż ryzykować utratę swoich delikatnych kłosów, kiedy wokół hulały stwory, przeciwstawiające się wszelkim prawom przyrody. Stada wędrownych ptaków. unikając dróg, którymi wędrowały nawiedzone chmury burzowe, zbyt późno przybywały na swe zimowiska albo błędziły i ginęły. W każdym stanie miały miejsce wypadki panicznej ucieczki bydła aż do stratowania na śmierć; była to reakcja przerażonych zwierząt, które wyczuwały, że wokół toczy się jakaś wyniszczająca walka. Ogiery patrzyły tęsknie za bydlęm

i wskakiwały na samochody, by sobie ulżyć. Psy i koty dziczyły z dnia na dzień; za to przestępstwo strzelano do nich lub je usypiano. Ryby próbowały wydostać się ze spokojnych rzek na ląd, wyczuwając w powietrzu niezwykle ambicje i ginęły, niczego nie osiągnąwszy.

Poprzedzany przez strach, siejąc ogólne rozprężenie, teatr wojny zatrzymał się w Wyoming, gdzie obie armie, o siłach tak wyrównanych, że mogły próbować wszystkiego tylko nie wojny na wyczerpanie, walczyły, aż wywalczyły sytuację czysto patową. To był początek końca, a w każdym razie na to wyglądało. Sam ogrom energii, których Dobry Człowiek Fletcher i dzaff potrzebowali do wystawienia i poprowadzenia swoich armii (armii pozbawionych jakichkolwiek niższych dowódców; złożonych po prostu z żołnierzy, którzy nienawidzili się nawzajem) straszliwie ich wyniszczył.

Niemal padając z wyczerpania, walili wciąż na oślep jak bokserzy zamroczeni od ciosów, którzy walczyli, ponieważ nie znali innego sportu. Każdego z nich zadowoliłaby jedynie śmierć przeciwnika.

17 lipca, w nocy, dzaff zbiegł z pola walki; porzucając niedobitki swych wojsk, pomknął na południowy zachód. Zdązał do Baja. Wiedząc, że w obecnym układzie nie wygra z Fletcherem wojny, postanowił dobrać się do trzeciej fiolki nuncjo, którym mógłby zasilić swoje mocno nadwątlone siły.

Mimo krańcowego wyczerpania, Fletcher puścił się za nim w pościg.

W dwie doby później, w nagłym przyływie energii i zręczności, którym mógłby zadziwić swojego nieodżałowanego Raula, dopędził dzaffa w Utach.

Tam zwarli się w boju równie brutalnym, co niemożliwym do rozstrzygnięcia. Gorzała w nich żąda wzajemnego mordy; ogarnięci tą namiętnością, która już dawno przekroczyła granice Sztuki i kwestii jej zdobycia, i była tak pełna oddania i bliskości jak miłość, walczyli przez pięć nocy. Jak i poprzednio, żaden nie zwyciężył. Bili się i szarpali - światło splecione z

ciemnością - aż prawie stracili zdolność logicznego myślenia. Kiedy porwał ich Wicher, byli zbyt słabi, by się opierać. Resztki sił użyli po to, by nie pozwolić drugiemu uciec w stronę Misji i dobrać się do substancji, która wzmocniłaby jego siły. Wicher przeniósł ich przez granicę stanu do Kalifornii. Z każdą milą opadali bliżej ziemi. Lecieli w kierunku południowo-zachodnim nad Fresno, a następnie w stronę Bakersfield, aż w piątek, 27 lipca 1971 roku, gdy tak opadli z sił, że nie mogli dłużej utrzymać się w powietrzu - spadli na ziemię w hrabstwie Ventura, na lesiste obrzeże miasteczka Palomo Grove; trwała właśnie burza z niezbyt silnymi wyładowaniami elektrycznymi, które nie zdołały zakłócić pracy reflektorów, przecinających niebo, a tylko oświetlały wielkie tablice reklamowe w pobliskim Hollywood.

CZEŚĆ DRUGA

ZMOWA DZIEWIC

I

Dziewczęta były nad jeziorem dwa razy. Za pierwszym razem poszły tam nazajutrz po burzy, która przetoczyła się nad hrabstwem Ventura, zrzucając na miasteczko Palomo Grove w jedną noc więcej deszczu, niż mieszkańcy mogliby się normalnie spodziewać przez cały rok. Ulewa, mimo iż obfita jak deszcz monsunowy, nie złagodziła upału. Przy lekkim powiewie idącym od pustyni, miasteczko piekło się w żarze sięgającym niemal 100 stopni. Dzieci, wyczerpawszy całą energię zabawami na dworze w upalny poranek, po południu siedziały w domu i marudziły. Psy przeklinały swoje futra; ptaki nie chciały śpiewać. Starzy ludzie kładli się do łóżek, podobnie czynili złani potem cudzołożnicy. Ci nieszczęśnicy, którzy obarczeni pilnymi obowiązkami nie mogli czekać do wieczora, kiedy to (z bożą pomocą) upał zelżeje, robili, co do nich należało z oczami wbitymi w rozżarzone płyty chodnika; każdy krok był męką, a każdy oddech wiązał im w płucach.

Ale czwórka dziewcząt była przyzwyczajona do upału; w ich wieku żar płynie w żyłach. W sumie przeżyły na tej planecie 70 lat; właściwie będzie to 71 w najbliższy wtorek, kiedy Arleen skończy 19 lat. Czuła dzisiaj swoje lata; tych ważkich kilka miesięcy, które dzieliły ją od najbliższej przyjaciółki, Joyce, a jeszcze bardziej od Carolyn i Trudi; cała epoka dzieliła te siedemnastolatki od dojrzałej kobiety, jaką była. Tego dnia, gdy spacerowały wyludnionymi ulicami Palomo Grove, miała wiele do powiedzenia na temat doświadczenia życiowego. Przyjemnie było na dworze w taki dzień jak dziś; szły nie napastowane przez natrętne spojrzenia mężczyzn z miasteczka - znały ich wszystkich z imienia i nazwiska - których żony wyprowadziły się z małżeńskiej sypialni do pokoju gościnnego; nie musiały się również obawiać, że któraś z przyjaciółek ich matek podsłucha ich pogaduszek na temat seksu. Szły przed siebie jak Amazonki w szortach, szły miastem ogarniętym przez jakiś niewidzialny pożar, który osmalił powietrze i zmieniał mury domów w mirażę, ale nie zabijał. Po prostu kładł mieszkańców pokotem przy otwartych lodówkach.

- Czy to miłość? - zapytała Joyce Arleen.

- Też coś odparowała starsza koleżanka - czasami jesteś naprawdę tępa.

- Po prostu tak mi się wydawało... Mówiłaś o nim tak jakoś...

- Tak jakoś? Słuchaj, o co ci chodzi?

- No, mówiłaś o jego oczach i w ogóle.

- Randy ma rzeczywiście ładne oczy - przyznała Arleen. - Ale ładne oczy mają także

Marty, Jim, Adam...

- Przestań - powiedziała Trudi wyraźnie rozdrażniona. Świntucha jesteś.

- Nieprawda.

- Więc przestań tak sypać imionami. Wszystkie wiemy, że podobasz się chłopcom. I

wszystkie wiemy, dlaczego.

Rzuciła jej spojrzenie, które pozostało zagadkowe, ponieważ wszystkie, oprócz

Carolyn, nosiły okulary słoneczne. Przeszły w milczeniu kilka jardów.

- Może ktoś ma chęć na colę - odezwała się Carolyn. - Albo lody?

Były u stóp Wzgórza. Pasaż Handlowy kusił klimatyzowanymi sklepami.

- Pewnie - powiedziała Trudi. - Idę z tobą. - Zwróciła się do Arleen: - Przynieść ci coś?

- Nie.

- O co się nadęłaś?

- Wcale się nie nadęłam.

- To dobrze - powiedziała Trudi - bo jest za gorąco na kłótnie.

Dwie dziewczyny skierowały się w stronę sklepu spożywczo-monopolowego Marvina, pozostawiając Arleen i Joyce na rogu ulicy.

- Przepraszam cię... - powiedziała Joyce.

- Za co?

- Że cię pytałam o Randy'ego. Myślałam, że może wy... no wiesz... że to może na poważnie.

- W Grove żaden nie jest wart nawet dwóch centów - mruknęła Arleen. - Marzę, żeby się stąd wyrwać.

- Dokąd pojedziesz? Do Los Angeles?

Arleen zsunęła okulary na czubek nosa i zerknęła na Joyce.

- A po co mi to? - zapytała. - Nie jestem taka głupia, żeby stawać do kolejki jak inne.

Nie. Pojadę do Nowego Jorku. Lepiej tam jechać na studia. Potem będę pracować na Broadwayu. Jak będą chcieli, to mnie tam znajdą.

- Kto?

- Joyce - warknęła Arleen z udaną irytacją. - Ci z Hollywood.

- No tak, Hollywood.

Umiała docenić ten plan, dopracowany w każdym szczególe. Jej własne plany nawet w przybliżeniu nie były tak przemyślane. Ale Arleen było łatwo.

Była prawdziwą kalifornijską pięknoscią - jasnowłosa, błękitnooka, obdarzona olśniewającym uśmiechem, który napełniał dziewczęta zawiścią, a brzydszą płęć rzucał na kolana. Jakby tego było jeszcze mało, jej matka była kiedyś aktorką i już teraz traktowała córkę jak gwiazdę.

Dla Joyce los nie był równie hojny. Nie miała matki, która torowałaby jej drogę przez życie, ani uroku osobistego, który by ją wspierał w ciężkich momentach. Nie mogła nawet napić się coli, żeby zaraz nie dostać wysypki.

„Masz wrażliwą skórę - powtarzał doktor Briskman - wyrośniesz z tego”.

Ale obiecana przemiana była jak koniec świata, o którym pastor mówił w niedzielę: wciąż nie nadchodziła. Taki pechowiec jak ja, myślała Joyce, doczeka się, że w dzień, w którym znikną mi parchy i wyrosną piersi, będzie dniem, o którym wciąż mówi pastor. Pewnego dnia obudzę się jako pięknosc, odsunę zasłony, a Grove już nie będzie. Nigdy nie będę mogła się całować z Randym Krentzmanem.

Tu oczywiście był pies pogrzebany - dlatego tak wypytywała Arleen.

Randy wypełniał wszystkie myśli Joyce, a przynajmniej co drugą, chociaż spotkała go tylko trzy razy, a rozmawiała z nim dwa razy. Za pierwszym razem była razem z Arleen; kiedy ją przedstawiano, Randy ledwie spojrzał w jej stronę, więc milczała. Przy drugim spotkaniu nie miała żadnej rywalki, ale jej przyjazne „Cześć” skwitował niedbałym: „To my się znamy?”

Nie wycofała się; przypomniwała mu o tamtym spotkaniu; nawet powiedziała mu, gdzie mieszka. Przy trzecim spotkaniu („Cześć, znów się spotykamy” - powiedziała. „Skąd się

znamy?” - odpowiedział pytaniem) bezwstydnie wyrecytowała wszystkie dane na swój temat; a nawet, w przyływie optymizmu zapytała go, czy jest mormonem. Jak później doszła do wniosku, był to błąd taktyczny. Następnym razem postąpi jak Arleen - będzie się zachowywać tak, jakby z trudem znosiła jego obecność; nie spojrzy na niego ani razu; uśmiechnie się tylko wtedy, kiedy to będzie absolutnie konieczne. Później, na odchodnym, popatrzy mu prosto w oczy i rzuci uwodzicielskim tonem jakąś lekko nieprzyzwoitą uwagę. Taka mieszanka piorunująca. Była dobra dla Arleen, to dlaczego nie miałyby być dobra dla niej? Teraz, gdy ta oszałamiająca piękność publicznie zadeklarowała obojętność wobec idola Joyce, zabłysnął dla niej promyk nadziei. Gdyby Arleen traktowała Randy'ego poważnie, Joyce mogłaby spokojnie pójść do wielebnego Meuse i zapytać, czy nie mógłby odrobinę przyspieszyć nadejścia Apokalipsy.

Zdjęła okulary i, mrużąc oczy, popatrzyła na rozpalone do białości niebo; w głowie kołatała jej niejasna myśl, że może Apokalipsa właśnie nadchodziła.

Dzień był taki dziwny.

- Nie powinnaś tego robić - powiedziała Carolyn, wychodząc ze sklepu spożywczo-monopolowego. Marvinie; za nią szła Trudi. - Słońce zniszczy ci wzrok.

- Nieprawda.

- Właśnie, że tak - nie ustępowała Carolyn, niewyczerpane źródło zbędnych informacji.

- Siatkówka oka jest soczewką. Jak w aparacie fotograficznym. Skupia...

- No dobra - Joyce wróciła wzrokiem z przestworzy na ziemię. - Wierzę ci. - Przez kilka chwil przed jej oczyma tańczyły barwne plamy; była lekko oszołomiona.

- Teraz dokąd? - zapytała Trudi.

- Ja wracam do domu - powiedziała Arleen. - Jestem zmęczona.

- Ja nie - wtrąciła Trudi rześko. - Nie jestem zmęczona i nie idę do domu. W domu jest

nudno.

- Ale przecież nie będziemy tak stać w środku Pasażu - odezwała się Carolyn. Tu jest tak samo nudno jak w domu. Poza tym upieczemy się na tym słońcu.

Już teraz była mocno przypieczona. Była cięższa od pozostałych dziewcząt o co najmniej 20 funtów i była typem rudzielca: waga w połączeniu ze skórą, która nigdy się nie opalała, powinna skłonić ją do przebywania w domu. Ale Carolyn wydawała się niewrażliwa na te niedogodności jak i na inne bodźce fizyczne oprócz smakowych. W listopadzie zeszłego roku cała rodzina Hotschkissów dostała się w karambol na autostradzie. Carolyn wypełzła spod wraków samochodów lekko potłuczona: gdy policja odnalazła ją później w pewnej odległości od miejsca wypadku, w każdej ręce trzymała po jednej tabliczce czekolady Hershey'a, na wpół zjedzonej. Twarz miała bardziej uwalaną czekoladą niż krwią; kiedy jakiś policjant próbował ją nakłonić, by odłożyła przekąskę na później, wrzeszczała, jakby ją obdzierano ze skóry - tak w każdym razie mówiono. Dopiero potem okazało się, że miała sześć pękniętych żeber.

- Więc dokąd idziemy? - zapytała Trudi, wracając do palącej kwestii. - W taki upał? Dokąd?

- Pospacerujemy sobie - rzuciła Joyce. - Może w stronę lasu. Tam będzie chłodniej. - Spojrzała szybko na Arleen. - Idziesz z nami?

Arleen trzymała je w niepewności przez całe 10 sekund. W końcu zgodziła się.

- Świetny pomysł - powiedziała.

Większość miast, choćby były zupełnie małe, wzoruje się na metropoliach. To znaczy - wprowadzają podziały. Oddzielają białych od czarnych, hetero - od homoseksualistów, zamożnych od mniej zamożnych, mniej zamożnych od biednych. Palomo Grove, które w

owym roku - 1971 - liczyło zaledwie 1200 mieszkańców, nie było wyjątkiem. Zbudowane na łagodnie opadających stokach wzgórza, miasteczko było z założenia wcieleniem zasad demokratycznych: każdemu z jego mieszkańców zapewniono jednakowy dostęp do ośrodka władzy tego miasta - Pasażu Handlowego. Leżał u stóp Wzgórza Wschodzącego Słońca, potocznie zwanego po prostu Wzgórzem; cztery dzielnice: Stillbrook, Deerdell, Laureltree i Windbluff rozchodziły się promieniście jak od środka piasty, a cztery trasy przelotowe biegły zgodnie z czterema stronami świata. Ale na tym kończyło się idealistyczne podejście planistów. Z biegiem czasu różnice w usytuowaniu nadały każdej z dzielnic odrębny charakter. Z Windbluff, leżącego na południowo-zachodnim stoku, rozciągał się najładniejszy widok, więc za leżące tu parcele żądano najwyższych cen. W najwyższej części Wzgórza, obejmującej jedną trzecią jego powierzchni, wznosiło się sześć wielkopańskich rezydencji; ich dachy były ledwie widoczne zza bujnego listowia. Niższą część tego Olimpu opasywało Pięć Łuków - ulic, które zazębiały się półkoliście; jeśli nie można było sobie pozwolić na dom na szczycie Wzgórza, to właśnie tutaj chciałyby się zamieszkać.

Deerdell był zupełnie odmienny. Ten kwartał Grove, wzniesiony na płaskim terenie, otoczony z obu stron zaniedbanymi terenami leśnymi, gwałtownie tracił wartość rynkową. Miejskowe domy miały odrapane ściany i nie miały basenów. Niektórzy uważali tę dzielnicę za metę hippisów.

W 1971 roku mieszkało tam kilku artystów; to środowisko wciąż się rozrastało. Ale jeśli gdziekolwiek w Grove ludzie obawiali się o piękne lakierowane karoserie swoich samochodów, to właśnie tutaj.

Między tymi dwoma biegunami - społecznymi i geograficznymi - rozciągały się Stillbrook i Laureltree. Laureltree - jak niektórzy sądzili - miało lepszą pozycję na rynku nieruchomości, ponieważ niektóre z jego ulic biegły wzdłuż drugiego co do ważności zbocza

Wzgórza, a w miarę jak pięły się w górę, rosły w dostatek i cenę.

Żadna z czterech dziewcząt nie mieszkała w Deerdell. Arleen mieszkała przy Emerson, jednym z pięciu Łuków - drugim co do wysokości, Joyce i Carolyn przy Steeple Chase Drive w dzielnicy Stillbrook, w odległości jednego bloku od siebie, a Trudi w Laureltree. Zatem spacer ulicami Wschodniego Grove, dokąd ich rodzice wybierali się z rzadka albo wcale, miał dla nich posmak przygody. Nawet jeśli zbłądzili aż tutaj, na najniższe tereny, nigdy nie dotarli do miejsca, dokąd teraz przysły dziewczęta: w głąb lasów.

- Tutaj wcale nie jest chłodniej - poskarżyła się Arleen; snuły się po lesie już od kilku minut. - Właściwie jest tu jeszcze gorzej.

Miała rację. Chociaż dzięki liściom słońce nie paliło im głów, upał zakradał się jednak pod gałęzie drzew. Nieruchome, wilgotne powietrze buchało rozgrzaną parą.

- Nie byłam tu od lat - powiedziała Trudi, odganiając obłok komarów ogołoconą z liści witką. - Kiedyś przychodziliśmy tu razem z bratem.

- Co z nim? - zapytała Joyce.

- Ciągle w szpitalu. Już stamtąd nie wyjdzie. W domu wszyscy o tym wiedzą, ale nikt o tym nie mówi. Szlag mnie trafia.

Kiedy Sama Katza powołano do wojska i wysłano do Wietnamu, był w pełni sił fizycznych i psychicznych. Wszystko to przekreśliła mina lądowa w trzecim miesiącu jego służby, zabijając dwóch jego towarzyszy, a jego ciężko raniąc. Uroczystość powitalna miała w sobie nieznośnie fałszywy ton: grupka ważnych osobistości miasta Grove utworzyła szpaler, by podać rękę okaleczonemu bohaterowi. Potem były długie przemówienia o bohaterstwie i ofierze, złożonej na ołtarzu ojczyzny; wiele alkoholu i trochę skrywanych łez. Przez cały ten czas Sam Katz siedział z kamienną twarzą, nie dlatego, że gardził podobnymi uroczystościami, ale po prostu był tam nieobecny, jakby jego duch wciąż od nowa oglądał tę

chwile, kiedy pocisk rozszarpał jego młodość na drobne cząsteczki. Odwieziono go do szpitala kilka tygodni później. Matka mówiła ciekawym, że czeka go ponowna operacja kręgosłupa, ale powoli mijały miesiące i lata, a Sam był wciąż w szpitalu.

Wszyscy domyślali się, dlaczego tak było, ale nikt nie mówił o tym głośno.

Rany na ciele Sama goiły się nieźle, ale jego umysł był mniej podatny na działanie leków. Obojętność, którą okazywał w czasie przyjęcia powitalnego - przerodziła się w katatonię.

Pozostałe dziewczęta znały Sama, chociaż różnica wieku między Joyce a jej bratem wystarczyła, by uważały go niemal za przedstawiciela jakiegoś innego gatunku. Nie tylko był mężczyzną, co już było dostatecznie dziwne, ale był także stary. Gdy jednak wyrosły z wieku dojrzewania, kolejka zjazdowa przyśpieszyła biegu. Wiek 25 lat nabierał pewnej realności - był jeszcze odległy, ale już widoczny. Zaczynały rozumieć, że Samowi zmarnowano życie; jedenastolatki nie umiałyby patrzeć na sprawę z tego punktu widzenia. Wspominając go, życzliwie i smutnie, zamilkły na jakiś czas. Szły w upale jedna obok drugiej, muskając się przypadkowo ramionami, myśląc o tym i owym. Trudi wspominała swoje dziecięce zabawy z bratem, tutaj - w tych zaroślach. Był wyrozumiałym starszym bratem; pozwalał jej chodzić za sobą kiedy miała 7 czy 8 lat, a on 13. W rok później, kiedy jego soki witalne mówiły mu, że dziewczynki i siostry to inny gatunek stworzeń, nie zapraszał jej więcej do zabaw w wojnę. Opłakiwała jego utratę; była to jakby próbna żałoba, przed tą późniejszą, rzeczywistą. W myślach widziała teraz jego twarz - dziwną maskę, ulepioną z rysów chłopca, którym kiedyś był, i mężczyzny, którym był obecnie; maskę życia, którym żył dawniej, i śmierci, w której teraz trwa. Ta myśl sprawiała jej ból.

Carolyn nie doświadczyła w życiu wielu przykrości, w każdym razie nie była ich świadoma. A dziś żadnych - jeśli nie liczyć żalu, że nie kupiła jeszcze jednej porcji lodów.

Ale nocą było inaczej. Dręczyły ją złe sny - o trzęsieniu ziemi. Śniło jej się, że Palomo Grove padało jak uszkodzone składane krzesło i znikało w głębi ziemi. To kara za to, że zbyt dużo wiedziała, mówił jej ojciec. Odziedziczyła jego nienasyconą ciekawość i zaprzęła ją - gdy tylko usłyszała o Rowie Św. Andrzeja - do studiów nad naturą ziemi, po której stąpali. Na jej twardości nie można było polegać.

Wiedziała, że pod ich stopami, w głębi ziemi biegły długie szczeliny, które mogły się rozewrzeć w każdej chwili, jak to miało miejsce w Santa Barbara i Los Angeles, na całej długości Zachodniego Wybrzeża, pochłaniając wszystko i wszystkich. By odegnąć te troski, sama pochłaniała, co mogła; był to rodzaj magii współczulnej. Była gruba, ponieważ skorupa ziemiska była tak cienka; taka argumentacja obżarstwa była nie do obalenia.

Arleen rzuciła na Grubą przelotne spojrzenie. Matka pouczała ją, że towarzystwo niezbyt atrakcyjnych koleżanek może okazać się przydatne.

Chociaż Kate Farrell, niegdysiejsza gwiazda filmowa, nie żyła już w blasku reflektorów, jednak w dalszym ciągu otaczała się zaniedbanymi kobietami, których towarzystwo podkreślało blask jej urody. Ale Arleen uważała to za zbyt wygórowaną cenę, zwłaszcza w dni takie jak dziś. Chociaż dzięki koleżankom była piękniejsza, w gruncie rzeczy ich nie lubiła. Kiedyś uważała je za bliskie przyjaciółki. Teraz były żywym wspomnieniem życia, od którego pragnęła uciec jak najprędzej. Ale jak inaczej mogłaby zabijać czas, zanim zostanie zwolniona z aresztu? Nawet radość, którą odczuwała, patrząc na siebie w lustrze, powszedniała po pewnym czasie. Im szybciej się stąd wyrwę, myślała, tym szybciej będę szczęśliwa.

Gdyby Joyce potrafiła czytać w myślach Arleen, tylko przyklasnęłaby jej pośpiechowi.

Ale teraz łamała sobie głowę, jak by tu sprytnie zaaranżować przypadkowe spotkanie z Randym. Gdyby zadała kilka niewinnych pytań na temat jego rozkładu dnia, Arleen

domyśliłaby się, o co Joyce chodzi, i mogłaby okazać się na tyle samolubną, by pokrzyżować Joyce szyki, chociaż chłopak nic jej nie obchodził. Joyce nieźle znała się na ludziach i wiedziała, że Arleen byłaby zdolna do podobnej przewrotności. Ale kim ona była, by potępiać przewrotność u innych? Uganiała się za mężczyzną, który trzykrotnie okazał jej zupełną obojętność w sposób nie budzący wątpliwości.

Dlaczego nie potrafiła o nim zapomnieć, oszczędzić sobie bólu odrzucenia?

Bo miłość jest właśnie taka. Każe przeczyć wszelkim, najbardziej przekonującym dowodom.

Westchnęła głośno.

- Coś nie tak? - zainteresowała się Carolyn.

- Po prostu... jest mi gorąco.

- Kiedy go widzisz? Czy go znamy? - zapytała Trudi. Zanim Joyce zdobyła się na odpowiednio ciętą odpowiedź, zobaczyła, że między drzewami coś migoce.

- Woda.

Carolyn także ją zauważyła. Zmrużyła oczy od migotliwego blasku.

- Wody, ile dusza zapagnie - powiedziała.

- Nie wiedziałam, że tu jest jezioro - zauważyła Joyce, zwracając się do Trudi.

- Bo przedtem go nie było. W każdym razie, nie przypominam sobie.

- Ale teraz jest - podsumowała Carolyn; ruszyła przed siebie, przedzierając się przez gąszcz. Nie próbowała znaleźć łatwiejszego przejścia.

Szła na oślep, torując drogę pozostałym dziewczętom.

- Chyba jednak będziemy mogły się ochłodzić - stwierdziła Trudi i ruszyła biegiem w ślad za Carolyn.

Było to rzeczywiście jezioro, szerokie na jakieś 50 stóp; spokojne lustro wody

niepokoiliły na wpół zatopione drzewa i wysepki krzewów.

- Woda burzowa - powiedziała Carolyn. - Jesteśmy w najniższej partii Wzgórza. To deszczówka, która zebrała się tu po burzy.

- Ależ to mnóstwo wody - powiedziała Joyce. - To wszystko spadło dziś w nocy?

- Jeśli nie, to skąd się tu wzięła? - odparowała Carolyn.

- Co za różnica - wtrąciła Trudi. - Pewnie jest chłodna.

Wyminęła Carolyn i zeszła nad samą wodę. Z każdym krokiem teren stawał się bardziej grząski, sandały zapadały jej się w błocie. Ale gdy dojrzała do wody, nie zawiodła się: woda była chłodna i świeża. Przykucnęła, nabrała jej w dłoń i opłukała sobie twarz.

- Lepiej tego nie rób - ostrzegła Carolyn. Jest w niej pewnie mnóstwo chemikaliów.

- To zwykła deszczówka - odparła Trudi. - Czy może być coś czystsze niż taka woda?

Carolyn wzruszyła ramionami:

- Jak uważasz.

- Ciekawe, jak tu jest głęboko - zastanawiała się Joyce. - Dość głęboko, by pływać, jak myślicie?

- Wątpię - powiedziała Carolyn.

- Żeby się dowiedzieć, trzeba spróbować - rzuciła Trudi i ruszyła przed siebie. Brnęła przez trawę i kwiaty, które teraz tonęły w wodzie.

Ziemia była miękka; jej kroki wzniewały obłoki mułu, ale brnęła dalej w jezioro, aż fala sięgnęła skraju jej szortów.

Woda była zimna. Trudi pokryła się gęsią skórką. Wolała to od potu, który przyklejał jej bluzkę do piersi i pleców. Obejrzała się w stronę brzegu.

- Świetna woda - powiedziała. - Idę dalej.

- W ubraniu? - spytała Arleen.

- Jasne, że nie - Trudi zawróciła w stronę trójki dziewcząt; po drodze ściągała bluzkę i szorty. Idący od wody chłód przyjemnie łaskotał jej skórę.

Pod spodem nic nie miała i w innych warunkach zachowywałaby się skromniej, nawet wobec swoich przyjaciółek, ale teraz spieszyła się - zew jeziora był przemożny.

- Kto idzie ze mną? - zapytała, gdy dołączyła do pozostałych.

- Ja - powiedziała Joyce, rozsznurowując swoje sportowe buty.

- Chyba lepiej nie zdejmować butów - powiedziała Trudi. - Nie wiadomo, na co się wejdzie.

- Tam jest tylko trawa - Joyce usiadła, by rozsupłać sznurówki; uśmiechała się szeroko.

- Jak cudownie - powiedziała.

Arleen z pogardą obserwowała jej uniesienie.

- Nie idziecie z nami? - spytała Trudi.

- Nie - odpowiedziała Arleen.

- Boisz się, że rozmażą ci się rzęsy? - spytała Joyce, uśmiechając się od ucha do ucha.

- I tak nikt nie patrzy - rzuciła Trudi, uprzedzając wybuch. - Carolyn, a ty?

Zapytana wzruszyła ramionami:

- Nie umiem pływać.

- Jest za płytko, żeby pływać.

- Sama nie wiesz, co mówisz - odparła Carolyn. - Przeszłaś tylko kilka jardów.

- Więc nie odchodź daleko od brzegu. Tu będziesz bezpieczna.

- Może - powiedziała Carolyn bez przekonania.

- Trudi ma rację - odezwała się Joyce, czując, że opór Carolyn bierze się w równym stopniu z niechęcią do obnażania swojego tłustego ciała, jak i pływania. - Kto tu nas zobaczy?

Zrzucając szorty pomyślała nagle, że za tamtymi drzewami mógł się kryć niejeden

podglądacz - no i co z tego? Przecież pastor w kółko powtarzał, że życie jest krótkie. Nie można go marnować. Ściągnęła bieliznę i weszła do wody.

William Witt znał wszystkie cztery pływaczki z imienia i nazwiska.

Szczerze mówiąc, znał z imienia i nazwiska wszystkie mieszkanki Grove, które nie przekroczyły czterdziestki; wiedział, gdzie mieszkały i które okna należały do ich sypialni - tym zadziwiającym wyczynem pamięci wołał nie chwalić się przed kolegami z klasy w obawie, że powiedzą o tym innym.

Chociaż sam nie widział nic złego w zaglądaniu ludziom do okien, był dość sprytny, by rozumieć, że jest to źle widziane. Ale przecież urodził się z oczami, no nie? Dlaczego miałby ich nie używać? Co było złego w patrzeniu? To było co innego niż kradzież, kłamstwo czy zabijanie. Po prostu korzystał ze wzroku, bo po to Pan Bóg stworzył oczy i William nie widział w tym nic zdrożnego.

Przycupnął za drzewami w odległości sześciu jardów od brzegu, a dwunastu od dziewcząt i patrzył, jak się rozbierały. Zauważył, że Arleen Farrell nie ruszyła się; zdenerwowało go to. Zobaczyć ją nagą - tego wyczynu nawet on nie potrafiłby zachować dla siebie. Była najpiękniejszą dziewczyną w Palomo Grove: pełna blasku, jasnowłosa, zarozumiała - zupełnie jak gwiazda filmowa. Dwie inne - Trudi Katz i Joyce McGuire już były w wodzie, więc skierował uwagę na Carolyn Hotchkiss, która właśnie zdejmowała stanik.

Miała ciężkie, różowe piersi - na ten widok zeszywniał mu przód spodni.

Chociaż zrzucała spodenki i majtki, nie odrywał oczu od jej piersi. Nie pojmował, dlaczego niektórych chłopców - miał dziesięć lat - fascynowała dolna partia ciała; uważał, że była o wiele mniej podniecająca niż biust - był inny u każdej dziewczyny, jak nos czy biodra. Tamto, ta część, której nie lubił nazywać żadnym z tamtych wyrazów, wydawała mu się

zupełnie nieciekawa: kępka włosów, z ukrytym pośrodku rozcięciem. O co ten cały szum?

Przyglądał się Carolyn wchodzącej do wody; z trudem stłumił chichot, kiedy czując na sobie zimną wodę, cofnęła się o pół kroku, a jej ciało zatrzęsło się jak galareta.

- No chodź! Jest cudownie! - kusiła ją z dala Katzówna.

Carolyn zebrała się na odwagę i poszła kilka kroków dalej.

A teraz - William prawie nie wierzył swemu szczęściu - Arleen zdjęła kapelusz i zaczęła rozpinąć stanik. A więc jednak pójdzie do pozostałych.

Zapomniał o tamtych, wpatrzony w cud-dziewczynę.

Ledwie William zrozumiał, co zamierzały robić dziewczęta - chodził za nimi niepostrzeżenie już od godziny - serce zaczęło mu tak łomotać w piersi, że myślał, iż się rozchoruje. Perspektywa ujrzenia piersi Arleen jeszcze zdwoiła ten łomot. Za nic w świecie - nawet pod groźbą śmierci - nie odwróciłby teraz oczu. Postanowił zapamiętać nawet najmniejszy ruch, aby wobec niedowiarków uprawdopodobnić swoją opowieść.

Arleen nie śpieszyło się. Gdyby William nie miał pewności, że Arleen nic nie wie o jego obecności, mógłby sądzić, że dziewczyna wie, że na nią patrzy, tak jej zachowanie było kuszące i drażniące. Jej biust rozczarował go. Nie dorównywał wielkością piersiom Carolyn; nie mógł się poszczycić dużymi, ciemnymi brodawkami jak u Joyce. Gdy jednak ściągnęła dżinsy - biodrówki i figi - ogólne wrażenie było cudowne. Na ten widok omal nie wpadł w panikę. Szczekał zębami jak w grypie, twarz mu pałała, w kiszkach poczuł niezwykle sensacje. W późniejszych latach William miał powiedzieć swojemu psychoanalitykowi, że wówczas po raz pierwszy zrozumiał, że będzie musiał kiedyś umrzeć. W rzeczywistości było to takie gadanie po fakcie - ani w głowie mu wtedy była śmierć. Ale widok nagiej Arleen i to, że nikt go przy tym nie widział, rzeczywiście wryły mu się w duszę - nigdy naprawdę nie zdołał się z tego otrząsnąć. Po wydarzeniach, które wkrótce nadeszły, żałował przez jakiś czas

tego podglądania (nawet bał się tego wspomnienia), ale gdy po kilku latach strach minął, wracał do obrazu Arleen Farrell wstępującej do nieznanego jeziora jak do świętego obrazka. To nie wtedy zrozumiał po raz pierwszy, że umrze, ale chyba po raz pierwszy poczuł, że śmierć nie byłaby taka zła, gdyby na tamtą stronę prowadziła go taka piękność.

Jezioro kusiło, obejmowało ich ciała chłodnym, ale kojącym ramieniem.

Nie było tu przeciwnych prądów, jak na morskiej plaży. Powracająca fala nie waliła w plecy, sól nie szczypała w oczy. Czwórka dziewcząt czuła się tu jak na basenie, wybudowanym specjalnie dla nich; idylla, niedostępna dla innych mieszkańców Grove. Trudi była najlepszą pływaczką z całej paczki; najszybciej odpływała od brzegu, odkrywając ze zdumieniem, że woda stawała się wciąż głębsza.

Musiała się zgromadzić w jakimś naturalnym zagłębieniu terenu - tłumaczyła sobie Trudi - może było tu nawet kiedyś jakieś jezioro, chociaż nie przypominała sobie nic podobnego z wędrówek z Samem. Nie wyczuwała już trawy nawet palcami stóp - muskały teraz nagie kamienie.

- Nie płyn za daleko! - zawołała za nią Joyce.

Obejrzała się za siebie. Brzeg był dalej, niż się spodziewała; w blasku, bijącym od wody, zobaczyła swoje koleżanki, zmniejszone do trzech plamek - blondynka i dwie brunetki, na pół pogrążone w tym samym co ona żywiole o słodkim posmaku. Szkoda, że nie będą mogły zatrzymać dla siebie tego zakątka Edenu. Arleen na pewno wszystko rozgada. Do wieczora wszyscy się dowiedzą. Jutro będzie tu tłok. Trzeba się teraz nacieszyć pustym kąpieliskiem. Z tą myślą ruszyła ku środkowi jeziora. Joyce, 10 jardów bliżej brzegu, posuwała się na grzbiecie, używając ramion jak wiosła, na wodzie sięgającej najwyżej pępka i przyglądała się Arleen, stojącej przy brzegu; Arleen właśnie schyliła się, by ochlapać wodą

brzuch i piersi.

Uroda koleżanki przeniknęła Joyce dreszczem zawiści. Nic dziwnego, że tacy Randy Kreutzmanowie zupełnie głupieli na jej widok. Złapała się na tym, że zastanawia się, co czułaby, gładząc włosy Arleen, tak jak robiłby to jakiś chłopak, albo całowała jej piersi czy usta. Myśl była tak nieoczekiwana, że Joyce zachwiała się i łyknęła nieco wody. Kiedy już odzyskała równowagę, odwróciła się do Arleen plecami i, rozbryzgując wodę dookoła, popłynęła na głębinę.

Trudi krzyczała coś z daleka.

- Co mówisz? - odkrzyknęła Joyce, nie bijąc tak mocno rękami o wodę, by lepiej słyszeć.

Trudi śmiała się.

- Ciepła! - wołała, pluskając się i chlapiąc dookoła. - Tutaj woda jest ciepła!

- Nie zgrywaj się!

- Chodź, sama się przekonasz - odpowiedziała Trudi.

Joyce popłynęła tam, gdzie w wodzie baraszkowała Trudi, ale jej przyjaciółka już odwróciła się i płynęła w stronę źródła ciepła. Joyce nie mogła się powstrzymać, by nie obejrzeć się za siebie - na Arleen.

Arleen w końcu raczyła dołączyć do trójki pływaczek; zanurzyła się w wodzie, aż jej złote włosy utworzyły wokół szyi złotą obrozę i bijąc miarowo rękami i nogami ruszyła ku środkowi jeziora. Bliskość Arleen wzbudziła w Joyce uczucie podobne do strachu.

Zapra gnęła odmiany towarzystwa.

- Carolyn! - zawołała - idziesz?

Carolyn potrząsnęła głową.

- Tu na jeziorze jest cieplej niż przy brzegu - kusiała Joyce.

- Nie wierzę ci.

- Naprawdę jest cieplej - krzyczała Trudi. - Jest cudownie!

Carolyn posłuchała i ruszyła z pluskiem w ślad za Trudi.

Trudi popłynęła kilka jardów dalej. Woda nie była tu cieplejsza, ale bardziej niespokojna, bulgotała wokół jak na basenie ze sztucznymi falami.

Nagle, przestraszona, próbowała sięgnąć dna, ale już straciła grunt pod nogami. Ledwie kilka jardów za nią woda była głęboka najwyżej na cztery i pół stopy; teraz nawet czubkiem stóp nie mogła musnąć dna. Grunt musiał się jej nagle usunąć spod stóp, najprawdopodobniej w miejscu, gdzie utworzył się ten ciepły prąd. Nabrała odwagi na myśl, że tylko trzy uderzenia o wodę i będzie znów bezpieczna - i zanurzyła się z głową.

Chociaż niezbyt dobrze widziała na dalszą odległość, z bliska widziała wszystko dokładnie, a woda była przezroczysta. Spojrzała w dół, na swoje pedałujące stopy. Głębiej - nieprzenikniona ciemność. Dno po prostu znikło. Przerażenie zaparło jej dech. Wciągnęła nosem wodę.

Prychając i młócąc wodę rękami i nogami wynurzyła głowę, by złapać trochę powietrza.

Joyce krzyczała do niej:

- Trudi? Co się stało? Trudi!

Próbowała wykrztusić jakieś słowa ostrzeżenia, ale ogarnął ją zwierzęcy strach. Mogła tylko rzucić się w stronę brzegu i w przyływie paniki bić szaleńczo o wodę aż do utraty tchu. „Głębiej jest ciemność i coś ciepłego, co chce mnie wciągnąć w głębinę”.

Siedząc w kryjówce na brzegu, William Witt widział, jak dziewczyna szamoce się w wodzie. Na widok jej paniki przeszła mu erekcja. Na jeziorze działo się coś dziwnego.

Widział, jak wokół Trudi Katz rysują się na wodzie kręgi, jakby tuż pod powierzchnią wody

pływały ryby. Niektóre oddaliły się w stronę innych dziewcząt. Nie odważył się krzyknąć - wiedziałyby, że je podglądał. Mógł tylko z rosnącym wzburzeniem przyglądać się wypadkom, rozgrywającym się na jeziorze.

Teraz Joyce poczuła ciepło. Przemknęło po jej skórze i wniknęło w głąb jak łyk świątecznego koniaku, rozgrzewającego jej wnętrzności. To uczucie odwróciło jej uwagę od Trudi, szamoczącej się w wodzie, a nawet od niebezpieczeństwa, które groziło jej samej. Z dziwną obojętnością przypatrywała się zmarszczkom, sunącym kuliście po wodzie, i pęcherzom powietrza, pękającym wokół niej jak pęcherze lawy, powolnej i gęstej. Chociaż próbowała zgłębić dno i nie mogła, myśl, że mogłaby utonąć, nawiedziła ją tylko przelotnie. Zaprzętały ją inne wrażenia. Po pierwsze, powietrze z pękających na wodzie pęcherzy było oddechem jeziora; wdychając je - całowała jezioro. Po drugie, zaraz przyplynie tu Arleen. a jej włosy będą się unosić na wodzie jak złocisty kołnierz. Pławiąc się w rozkosznie ciepłej wodzie, nie odpędzała już myśli, od których dopiero co uciekała. Obydwie unoszą się w tej samej wodzie o miłym dotyku, wciąż się do siebie zbliżając, a żywiół, w którym trwają, odbija echem każdy ich ruch.

Może rozpuszczą się w wodzie - ich ciała będą się powoli roztopiać, aż zmieszają się z wodami jeziora. Ona i Arleen, zmieszane w jedno, wyzwolone od wstydu, wolne od płci, stopią się w jedność rozkoszy.

Tak cudownych wrażeń nie mogła odkładać ani na chwilę. Wyrzuciła ramiona nad głowę i poszła na dno. Jednak czar jeziora, mimo całej swej potęgi, nie zdołał całkiem zapanować nad zwierzęcą paniką, która ogarnęła Joyce, gdy woda zamknęła się nad jej głową. Wbrew jej woli, jej ciało zaczęło opierać się żywiółowi, któremu dała swoje przyzwolenie.

Zaczęła się gwałtownie szamotać w wodzie, sięgając ręką nad powierzchnię, jakby

pragnęła schwytać garść powietrza.

Arleen i Trudi widziały, jak Joyce idzie pod wodę. Arleen natychmiast pośpieszyła z pomocą - krzyżąc płynęła w jej stronę. Jej wzburzenie dorównywało wzburzeniu wody wokół niej. Dookoła unosiły się pęcherzyki powietrza. Napierały na nią jak czyjeś ręce, muskające jej brzuch, piersi i podbrzusze. Pod wpływem tej pieśczoły, to samo rozmarzenie, które stłumiło panikę Trudi, spłynęło teraz na Arleen. Ale nie przyzywał jej w gęębiny jakiś określony przedmiot pożądanía. Przed oczyma Trudi stał obraz Randy'ego Krentzmana (kogóż innego?), ale w przypadku Arleen wizerunek, uwodziciela był szalonym zlepkiem rysów twarzy słynnych postaci. Kości policzkowe (Jamesa) Deana, oczy Sinatry, pogardliwy uśmieszek Brando. Uległa czarowi tej składanki podobnie jak uległa Joyce i kilka metrów od niej - Trudi. Uniosła ramiona nad głowę, poddając się żywiołowi wodnemu.

Carolyn, bezpieczna na płytkiej wodzie, obserwowała zachowanie koleżanek ze zdziwieniem i lękiem. Widząc Joyce idącą pod wodę, pomyślała, że coś wciąga ją w gęębiny. Jednak zachowanie Arleen i Trudi przeczyło temu domniemaniu. Na własne oczy widziała, że się po prostu poddają.

Nie było to jednak zwyczajne samobójstwo. Była dostatecznie blisko Arleen, by widzieć rozkosz na tej pięknej twarzy, zanim zniknęła pod wodą. Nawet uśmieszek! Uśmieszchnęła się i poszła na dno.

Poza tymi trzema dziewczętami, Carolyn nie miała żadnych innych przyjaciółek. Nie mogła stać z założonymi rękami i przyglądać się, jak tonęły.

Chociaż woda, która je pochłoneęła, z każdą chwilą stawała się bardziej wzburzona, Carolyn ruszyła w ich stronę, posługując się jedyńą techniką, którą w nieznacznym stopniu opanowała: niezgrabną kombinacją pieska i kraula. Wiedziała, że prawa przyrody były po jej stronie. Tłuszcz nie tonie.

Ale słaba to była pociecha, kiedy zauważyła, że traci grunt pod stopami. Dno jeziora zapadło się. Płynęła nad jakąś rozpadliną, która wciągnęła tamte dziewczęta.

Tuż przed nią z wody wynurzyło się czyjeś ramię. Sięgnęła po nie rozpaczliwie.

Chwyliła, splotła się z nim palcami. W tej samej chwili woda zawrzała jeszcze wścieklej.

Przerażona Carolyn krzyknęła. Wtedy dłoń, której się uchwyciła, ujęła ją brutalnie i pociągnęła w dół.

Świat zgasł jak zduszony płomyk. Carolyn straciła przytomność. Jeśli nawet wciąż czepiała się czyjejś dłoni, to nie czuła tego. I nic nie widziała w mrocznej toni, chociaż oczy miała otwarte. Niewyraźnie, jakby z oddali, czuła że tonie, że przez otwarte usta woda wlewa się do jej płuc, że opuszcza ją ostatnie tchnienie. Ale jej duch porzucił cielesną powłokę i powoli odpływał od ciała, którego był zakładnikiem. Patrzyła teraz na to ciało - nie oczami cielesnymi (tkwiły wciąż w jej głowie i obracały się dziko we wszystkich kierunkach) - lecz oczami duszy. Beczka tłuszczu - idąc na dno toczyła się i podskakiwała. Śmierć ciała była jej obojętna, może tylko czuła obrzydzenie wobec tych zwałów sadła i nedorzecznosc własnego smutku. W wodzie obok jej ciała pozostałe dziewczęta jeszcze walczyły. Uznała, że także ich szamotanina była czysto instynktowna. Podobnie jak to było w wypadku Carolyn, świadomość opuściła także i je, a ona przypatrywała się temu widokowi z równą obojętnością. Owszem, ich ciała były piękniejsze niż jej ciało, może więc ich utrata była bardziej bolesna. Ale w końcu cały ten opór nie zda się na nic.

Wkrótce wszystkie utoną w tym jeziorze, w samym środku lata. Dlaczego?

Jej bezokie spojrzenie znalazło odpowiedź na to pytanie. Coś było w tej mrocznej głębinie, nad którą unosił się jej duch. Nie widziała tego, ale czuła. Jakąś potęgę - nie, dwie potęgi, ich oddechami były pękające wokół pęcherze powietrza, a ich ramionami - wiry, które chciały z dziewcząt zrobić topielice. Spojrzała na swoje ciało - wciąż walczyło o oddech. Jej

nogi dziko mięśliły wodę. Między nogami - dziewczca szparka. Odczuła nagły, ostry żal za rozkoszą, której nie chciała ryzykować, a teraz już nigdy nie zazna. Była skończoną idiotką, wyżej ceniąc duszę niż doznania zmysłowe.

Zwykła ludzka godność wydała jej się teraz bzdurą. Powinna była prosić o tę usługę każdego mężczyznę, który dłużej zatrzymał na niej wzrok, i nie ustępować, aż się zgodzi.

Cały ten system nerwów, jajowodów i jajeczek ma umrzeć - nietknięty, niewykorzystany. W tym wszystkim tylko ta zmarnowana szansa miała posmak tragedii.

Znów skierowała wzrok na ciemną rozpadlinę. Bliźniacze siły, których obecność tam wyczuwała, były coraz bliżej. Już je dostrzegała: niewyraźne kształty jak plamy w wodzie.

Jeden był jasny, a przynajmniej jaśniejszy od tego drugiego - to była jedyna różnica, którą widziała. Jeśli któryś z nich miał twarz, to rysy tej twarzy były zbyt zamazane, by można je

było rozróżnić, a reszta - tułowia i kończyny, ginęły w kaskadach mrocznych pian, które wzburzali. Nie potrafili jednak ukryć swych zamiarów. Jej świadomość pojęła to bez trudu.

Wyłonił się z rozpadliny, by pojąć jej ciało, od którego litościwie odłączono świadomość.

Niech mają swój łup, pomyślała. To ciało było jej ciężarem; była zadowolona, że się go pozbyła.

Moce, które powstały z dna jeziora, nie miały żadnej władzy nad jej myślami, ani też nie próbowały jej zdobyć. Ich celem było ciało; każda z tych potęg pragnęła zagarnąć dla siebie całą czwórkę. Po cóż innego walczyłyby ze sobą, po cóż by jasne i ciemne plamy splatały się i wirowały, kiedy podpływały pod górę, by ściągnąć ciała dziewcząt w głąbiny?

Zbyt wcześnie uznała się za wolną. Gdy tylko czułki złączonych duchów musnęły jej stopę, pierzchnęło cudowne uczucie wolności. Jej ducha wpędzono na powrót w głąb czaszki, drzwi zatrzasnęły się. Oczy cielesne zastąpiły oczy duszy; ból i przerażenie wyparły tamtą miłą obojętności. Widziała, jak walczące duchy owijają się wokół jej ciała. Była łupem, o

który bili się ci dwaj, szarpiąc ją każdy w swoją stronę, usiłując ją osiąść. Po co im to było - nie wiedziała. Przecież od śmierci dzieliły ją tylko sekundy. Było jej zupełnie obojętne, który z nich zdobędzie trupa - jasny czy mniej jasny. Jeśli pragnęli osiąść ją fizycznie (czuła, jak się do niej dobierają, nawet w tych ostatnich chwilach), to nie odczują zadowolenia w obcowaniu z nią ani z żadną inną.

Już było po nich; wszystkie cztery utonęły.

Właśnie gdy z jej gardła wydobywał się ostatni pęcherzyk powietrza, oczy zalało jej światło słoneczne. Czy to możliwe, że znów się wynurzyła? Czy porzucili jej ciało, nieprzydatne ich celom, pozwolili, by tłuszcz wypłynął na powierzchnię? Uchwyciła się tej szansy, choć tak znikomej, i parła w górę.

Wraz z nią szedł w górę nowy wir pęcherzyków, jakby unosząc ją ku powierzchni, ku powietrzu. Gdyby zachowała świadomość o jedno uderzenie serca dłużej, mogłaby się jeszcze uratować.

Bóg ulitował się nad nią! Wynurzyła się, rozbijając lustro wody twarzą; wyrzuciła z siebie wodę i piła powietrze. Nie czuła rąk ani nóg, ale te same siły, które przedtem usiłowały ją utopić, teraz unosiły ją na wodzie. Po trzech czy czterech oddechach uświadomiła sobie, że inne dziewczęta także uwolniono. Pływały wokół niej, krztusząc się i rozchlapując wodę.

Joyce już zawracała w stronę brzegu, ciągnąc za sobą Trudi. Teraz Arleen poszła jej śladem.

Twardy grunt był ledwie kilka jardów dalej. Chociaż Carolyn ledwie mogła poruszać rękami i nogami, pokonała jakoś tę odległość i wkrótce wszystkie cztery stały na własnych nogach.

Wstrząsane głośnym łkaniem, szły, zataczając się, w stronę brzegu. Nawet teraz rzucały za siebie ukradkowe spojrzenia, w obawie, że to, co je zaatakowało - czymkolwiek było - mogłoby ścigać je aż tutaj, na płyciznę. Ale tamto miejsce pośrodku jeziora było zupełnie spokojne.

Zanim doszły do brzegu, Arleen wpadła w histerię. Głośno zawodziła, wstrząsana silnym dreszczem. Żadna nie podeszła, by ją pocieszyć. Ledwie starczyło im sił, by wlec się przed siebie, noga za nogą, nie będą sobie zawracać głowy Arleen. Wyprzedzając Trudi i Joyce, pierwsza weszła na nadbrzeżną trawę i padła w miejscu, gdzie zostawiła swoje ubranie. Próbowwała naciągnąć na siebie bluzkę, a nie mogąc trafić w rękawy, rozplakała się jeszcze rozpaczliwiej. W odległości jarda od brzegu, Trudi padła na kolana i zwymiotowała. Carolyn wlokła się do niej od nawietrznej; wiedziała, że gdyby doleciała do niej woń wymiocin, pójdzie za przykładem Trudi. Ten manewr nie przydał się na nic. Zduszony dźwięk wystarczył. Poczowała, jak żołądek podskoczył jej do gardła - zahaftowała trawę żółcią i lodami.

Nawet teraz, gdy akcja - początkowo erotyczna, później przerażająca już tylko przyprawiała o mdłości, William Witt nie mógł oderwać od niej oczu. Do końca życia miał pamiętać widok dziewcząt, wznoszących się z głębin - w których powinny się były utopić jak sądził - ich wysiłki czy też parcie z dołu, wypychające je na powierzchnię wody z takim impetem, że podskakiwały im piersi.

Wody, które je pochłonęły i oddały, były teraz nieruchome. Na powierzchni nie było jednej zmarszczki, nie pękł ani jeden bąbelek. Czy jednak mógł wątpić, że był świadkiem czegoś więcej niż przypadkowego zdarzenia?

W jeziorze było coś żywego. Fakt, że widział tylko następstwa - bicie rękami o wodę, krzyki - a nie to, co się naprawdę zdarzyło, wstrząsnął nim do głębi.

Nigdy nie będzie mógł zapytać dziewcząt, kim byli napastnicy. Z nikim nie będzie mógł się podzielić tym, co widział.

Po raz pierwszy odczuł ciężar swej dobrowolnie przyjętej roli podglądacza. Przysiągł sobie, że już nigdy nie będzie nikogo szpiegować. Tego przyrzeczenia dochował przez cały

dzień.

Ale teraz miał dosyć. Widział tylko zarys bioder i pośladków dziewcząt, leżących w trawie. Słyszał tylko - gdy wymioty już się skończyły - płacz i zawodzenia.

Wymknął się z kryjówki najciszej jak umiał.

Joyce usłyszała go. Usiadła w trawie.

- Ktoś się na nas gapi - powiedziała.

Wpatrywała się w listowie oświetlone słońcem; znów się poruszyło. Po prostu wiatr w liściach.

Arleen w końcu uporała się z bluzką. Siedziała, objawszy się ramionami - Chcę umrzeć - powiedziała.

- Wcale nie chcesz odparować Trudi. Dopiero co się uratowałyśmy.

Joyce znów zakryła twarz rękoma. Myślała, że już zapanowała nad łzami, a tu płacz wrócił jak fala.

- Chryste, co się właściwie stało? - zapytała. - Myślałam, że to po prostu... deszczówka.

Odpowiedziała jej Carolyn, głosem bezbarwnym, ale trzęsącym się:

- Pod całym miastem są pieczary. Pewnie w czasie burzy napełniły się wodą deszczową.

Pływałyśmy nad jedną z nich.

- Było tak ciemno - powiedziała Trudi. - Patrzyłaś w dół?

- Tam było jeszcze coś, nie tylko ciemność - odezwała się Arleen. Coś w wodzie.

Łkania Joyce wzmożyły się.

- Niczego nie widziałam - powiedziała Carolyn. - Ale czułam.

Spojrzała na Trudi.

- Wszystkie czułyśmy to samo.

- Nie - Trudi potrząsnęła głową - to były prądy z jaskiń.

- To coś próbowało mnie utopić - odezwała się Arleen.

- Po prostu prądy - powtórzyła Trudi. - To już mi się przytrafiło kiedyś nad morzem.

Prądy powrotne. Zupełnie podcięły mi nogi.

- Sama w to nie wierzysz - powiedziała Arleen bezbarwnym głosem. - Że też chce ci się kłamać. Wszystkie wiemy, co czułyśmy.

Trudi wbiła w nią wzrok.

- To znaczy co? Konkretnie.

Arleen potrząsnęła głową. Włosy przykleiły jej się do czaszki, tusz do rzęs rozmazał na policzkach - w niczym nie przypominała Najpiękniejszej Dziewczyny Roku, którą była jeszcze dziesięć minut temu.

- Wiem tylko, że to nie były żadne prądy - powiedziała. - Widziałam jakieś kształty.

Dwa. To nie były ryby. W niczym nie przypominały ryb. - Odwróciła oczy od Trudi i popatrzyła między nogi. - Czułam, jak mnie dotykają - powiedziała, wstrząsnąwszy się. - Tam w środku.

- Zamknij się - wybuchnęła Joyce. - Nie mów o tym.

- Ale to przecież prawda - odparła Arleen - Tak czy nie?

Znów podniosła głowę. Popatrzyła najpierw na Joyce, potem na Carolyn, w końcu na Trudi. Trudi skinęła potakująco głową.

- To w jeziorze chciało nas, ponieważ jesteśmy kobietami.

Łkania Joyce zwielokrotniły się.

- Uspokój się - warknęła Trudi. Musimy się nad tym wszystkim zastanowić.

- Co nam przyjdzie z zastanawiania się? - powiedziała Carolyn.

- Po pierwsze, co powiemy w domu - odparła Trudi.

- Powiemy, że poszliśmy popływać zaczęła Carolyn.

- I co dalej?

- ...poszliśmy popływać i...

- Coś nas zaatakowało? Chciało w nas wniknąć? Jakaś nieludzka istota?

- Tak - przytaknęła Carolyn. - Tak właśnie było.

- Nie bądź głupia - wtrąciła Trudi. - Wyśmieją nas.

- Ale to przecież prawda - nie ustępowała Carolyn.

- Uważasz, że to ma jakiegokolwiek znaczenie? Przede wszystkim powiedzą, że głupio zrobiliśmy idąc do wody. Potem powiedzą, że złapał nas kurcz czy coś takiego.

- Ma rację - powiedziała Arleen.

Ale Carolyn trwała przy swoich przekonaniach.

- A jeśli przyjdą tu inni? I przydarzy im się to, co nam? Albo się utopia? Załóżmy, że się utopia. Wtedy odpowiedzialność spadnie na nas.

- Ale jeśli to jest woda burzowa, to za parę dni już jej tu nie będzie - powiedziała

Arleen. - Jeśli piśniemy choć słówko, całe miasto będzie o nas gadać. Nigdy się z tego nie wygrzebiemy. To zniszczy nam całą przyszłość.

- Nie zgrywaj się na gwiazdę filmową - ucięła Trudi. Żadna z nas nie robi niczego, co nie spodobałoby się innej, zgoda? Zgadzasz się, Joyce? - Joyce potwierdziła zduszonym łkaniem. - Carolyn?

- Chyba tak - odpowiedziała.

- Musimy uzgodnić jakąś historyjkę.

- Najlepiej nic nie mówić - odezwała się Arleen.

- Nic nie mówić? - zdziwiła się Joyce. - Popatrz na nas.

- Niczego nie wyjaśniaj. Nigdy nie przeprasza - mruknęła Trudi.

- Co?

- Tak mówi mój tata. - Wspomnienie tej rodzinnej filozofii jakby poprawiło jej nastrój. -

Niczego nie wyjaśniaj...

- Już to słyszałyśmy - przerwała jej Carolyn.

- Więc umowa stoi - powiedziała Arleen. Wstała i zebrała z ziemi resztę ubrania. - Nic im nie mówimy.

Nikt się więcej nie sprzeciwiał. Idąc za przykładem Arleen, dokończyły ubierania i poszły w stronę drogi, zostawiając jezioru jego tajemnice i milczenie.

II

Początkowo nic się nie działo. Nie miały nawet złych snów. Odczuwały natomiast przyjemną ociążałość - wszystkie cztery; może była to reakcja po otarciu się o śmierć. Ukryły swoje siniaki i, strzegąc tajemnicy, żyły jak dawniej.

W pewnym sensie im się to udało. Nawet Arleen, która pierwsza dała wyraz przerażeniu wobec tej intymnej napaści, której wszystkie padły ofiarą, zaczęła szybko odnajdywać w tym wspomnieniu dziwną przyjemność; nie odważyłaby się tego wyznać nawet pozostałej trójce dziewcząt. Właściwie prawie ze sobą nie rozmawiały. Nie było takiej potrzeby. Wszystkie ogarnęło to samo dziwne przeświadczenie - że w jakiś niezwykle sposób zostały wybrane. Tylko Trudi, która zawsze odczuwała mesjanistyczne ciągoty, mogłaby w ten sposób określić ich odczucia. W przypadku Arleen obecne samopoczucie po prostu potwierdzało to, co zawsze o sobie wiedziała: była osobą o wyjątkowym uroku osobistym, do której nie stosowały się prawa rządzące resztą świata. Carolyn przybyło pewności siebie, było to jakby niewyraźne echo objawienia, którego doświadczyła, gdy śmierć wydawała się nieuchronna: że każda godzina, w której nie zaspokoiła jakiejś zachcianki, była godziną straconą. Joyce podchodziła do sprawy jeszcze prościej.

Uratowano ją od śmierci dla Randy'ego Krentzmana.

Nie kryła swej namiętności ani chwili. Tego samego dnia, kiedy rozegrały się wypadki na jeziorze, poszła prosto do Stillbrook do domu Krentzmanów i powiedziała mu bez ogródek, że kocha go i chce się z nim przespać. Patrzył na nią oszołomiony, a po chwili zapytał z pewnym skrepowaniem, czy się znają. Poprzednio jego krótka pamięć o mało nie złamała jej serca. Ale teraz coś się w niej zmieniło. Joyce nie była już wrażliwa jak dawniej.

- Owszem - odpowiedziała. - Znamy się. Spotkaliśmy się już ładnych kilka razy. Ale nie obchodzi mnie, czy mnie pamiętasz, czy nie. Kocham cię i chcę, żebyś się ze mną kochał.

Wpatrywał się w nią szeroko otwartymi oczyma przez cały czas, gdy mówiła, a potem powiedział: - To jakaś podpucha? Na co odpowiedziała, że to żaden żart, każde jej słowo jest prawdą, a że dzień jest ciepły i w domu oprócz ich dwojga nie ma nikogo - czy mogliby mieć lepsze warunki?

Oszołomienie nie ostudziło zapałów Krentzmana. Chociaż nie mógł pojąć, dlaczego ta dziewczyna ofiarowywała mu siebie gratis, takie okazje trafiały się zbyt rzadko, by je odrzucać. Zatem zgodził się, przybierając ton mężczyzny, który codziennie słyszy takie propozycje. Spędzili to popołudnie razem, odbywając akt miłosny nie raz, a trzy razy. Wyszła od niego kwadrans po szóstej w poczuciu, że zaspokoili jakąś silną potrzebę. To nie była miłość.

Krentzman myślał tylko o sobie, był kochankiem niedbałym i bez wyobraźni.

Ale być może tego popołudnia zapoczątkował w niej nowe życie, a przynajmniej oddał alchemii jej ciała łyżeczkę własnej substancji żywotnej - to było właściwie wszystko, czego od niego chciała. Ta zmiana priorytetów nie podlegała dyskusji. Miała jasny pogląd na sprawę rozrodczości. Reszta życia - przeszłość, przyszłość i teraźniejszość, jawiła jej się jako rozmazana plama.

Tej nocy spała mocno. Jak nie spała od lat, a wczesnym rankiem następnego dnia

zadzwońiła do niego z propozycją następnego spotkania - tego samego dnia, po południu.

„Byłem aż taki dobry?” - zapytał.

Powiedziała, że był więcej niż dobry; prawdziwy z niego byk; jego kutas to ósmy cud świata. Gładko przełknął i pochlebstwo, i propozycję randki.

Z całej czwórki Joyce miała chyba najwięcej szczęścia w doborze partnerów. Choć Krentzman był próżny i głupawy, był jednak nieszkodliwy, a nawet czuły na swój bezmyślny sposób. Popęd, który zaprowadził Joyce do jego łóżka - równie silny jak u Trudi i Carolyn - zawiódł je do mniej konwencjonalnych partnerów.

Carolyn zaczęła się zalecać do niejakiego Edgara Lotta, mężczyzny po pięćdziesiątce, który przed rokiem wyprowadził się z domu jej rodziców i zamieszkał przy tej samej ulicy. Nie zaprzyjaźnił się z żadnym z sąsiadów.

Był typem samotnika - za całe towarzystwo miał dwa jamniki. Te okoliczności, jak również fakt, że nie bywały u niego żadne kobiety, a on sam z upodobaniem nosił ubrania w jednolitej tonacji kolorystycznej (chusteczka, krawat i skarpetki zawsze w dobranych pastelach) naprowadziły wszystkich na myśl, że jest homoseksualistą. Ale chociaż Carolyn była w sprawach damsko-męskich zupełnie naiwna, poznała się na Lotcie lepiej niż starsze od niej. Nieraz zauważyła, że się jej przygląda; teraz pomyślała, że jego spojrzenia znaczyły coś więcej niż zwykle „dzień dobry”. Wyczekała, aż wyszedł z jamnikami na poranną przechadzkę, i wdała się z nim w pogawędkę; potem, gdy psy już oznaczyły granice swojego terytorium na ten dzień, spytała, czy może z nim iść do jego domu. Zapewniał ją potem, że miał jak najuczciwsze zamiary i że gdyby nie rzuciła się na niego, domagając się zalotów na kuchennym stole, nie tknąłby jej nawet palcem. Ale jak mógłby odrzucić taką propozycję? Mimo różnicy wieku i budowy spółkowali z rzadką zaciętością, wprawiając jamniki w istny szal zawiści; czekały wrzaskliwie i goniły własne ogony aż do utraty sił. Po

pierwszym razie wyznał Carolyn, że od sześciu lat nie tknął kobiety „od czasu, gdy zmarła mu żona, a on popadł w alkoholizm. Ona także - mówił - była niewiastą pokaźnych rozmiarów”. Na wspomnienie jej obwodu w talii znów stwardniał. Zwarli się ponownie. Tym razem psy po prostu spały.

Z początku wszystko szło gładko. Podczas rozbierania się, obydwójce powstrzymywali się od krytycznych uwag; żadne nie traciło czasu na wystawianie urody partnera - co byłoby śmieszne; żadne nie udawało, że to będzie trwać wiecznie. Byli tu razem, by robić to, do czego natura przeznaczyła ich ciała, nie dbając o zbędne upiększenia. Nie dla nich romans w blasku świateł. Dzień w dzień odwiedzała pana Lotta - jak nazywała go wobec rodziców - by kilka sekund po zamknięciu drzwi czuć. Jak mości głowę między jej piersiami. Edgar nie mógł wprost uwierzyć swemu szczęściu. Już to, że go uwiodła, było dostatecznie niezwykle (nawet w czasach jego młodości żadna kobieta nie okazała się na tyle miła); a fakt, że wciąż do niego przychodziła i nie mogła się od niego oderwać, aż dopełnili aktu - po prostu graniczył z cudem. Nie zdziwił się więc, kiedy po dwóch tygodniach i czterech dniach zaprzestała odwiedzin. Zmartwił się nieco, ale nie zdziwił. Po tygodniu niewidzenia spotkał ją na ulicy i zapytał: „Może byśmy znowu trochę pobaraszkowali?” Spojrzała na niego dziwnie i odmówiła. Nie prosił jej o wyjaśnienia, ale i tak mu powiedziała w czym rzecz. „Już cię nie potrzebuję” - rzuciła i poklepała się po brzuchu. Dopiero później, gdy siedział w stęchłym powietrzu swojego domu przy trzeciej szklaneczce whisky, zrozumiał, co znaczyły te słowa i gest. Wtedy wychylił czwartą i piątą. Wrócił do nałogu z niezwykłą szybkością. Chociaż bardzo się starał, by do tego układu nie dopuszczać uczuć, teraz, gdy dziewczyna odeszła, zrozumiał, że złamała mu serce.

Arleen nie miała takich problemów. Droga, którą obrała pod wpływem tego samego dyktatu, któremu poddały się tamte, zaprowadziła ją między ludzi, którzy nosili serca nie na

dłoni, ale na ramionach - wykonane atramentem barwy błękitu pruskiego. Zaczęło się to, podobnie jak u Joyce, w dzień po ich niedoszłym zatonięciu. Włożyła swoje najlepsze ciuchy, wsiadła do samochodu matki i pojechała do Eclipse Point - niewielkiego odcinka plaży na północ od Zummy, znanego ze swych nocnych barów i pedałów. Tamtejsi bywalcy wcale się nie zdziwili, widząc pośród siebie dziewczynę z zamożnego domu. Takie jak ona regularnie przyjeżdżały tu ze swoich domów, urządzonych z wyszukaną elegancją, by skosztować prostackich uciech albo dać się skosztować prostakom. Zwykle wystarczało im parę godzin, by miały dość, wracały do życia, w którym ich szofer najbardziej przypominał im proste życie.

Był czas, że do Point przyjeżdżały pewne znane osobistości, by - incognito - sycić tu swoje zdegenerowane instynkty. Jimmy Dean był tu stałym bywalcem w najburzliwszych okresach swojego życia; rozglądał się za palaczem, który szukał żywej popielniczki. W jednym z barów był stół do gry w bilard, poświęcony pamięci Jayne Mansfield; podobno dokonała na nim wyczynu, o którym do dziś mówi się tylko szeptem pełnym podziwu i głębokiego szacunku. W innym barze wyryto na parkiecie zarys ciała kobiety, która twierdziła, że nazywa się Weronika Lake; tu właśnie padła martwa z przepicia. Zatem Arleen szła dobrze udeptanym gościńcem - z przybytku luksusu do plugawego baru, który wybrała tylko ze względu na jego nazwę: Slick. Jednak w przeciwieństwie do wielu swoich poprzedniczek, nie potrzebowała alkoholu jako usprawiedliwienia swojej rozwiązłości. Po prostu proponowała, by ją brali. Zawsze znajdowali się chętni, między którymi nie robiła żadnej różnicy. Każdy, kto szukał - znajdował.

Wróciła następnego wieczoru i jeszcze następnego, chłonąc wzrokiem gachów jak w narkotycznym transie. Nie wszyscy korzystali z okazji. Po tym pierwszym wieczorze, niektórzy mieli się przed nią na baczności, podejrzewając, że tak wielka hojność była

możliwa tylko u szalonej lub zarażonej.

W niektórych odzywała się rycerskość, której istnienia sami nie podejrzewali, i próbowali ściągnąć ją z parkietu, zanim w kolejce ustawią się najgorsze szumowiny. Przeciw takim interwencjom protestowała głośno i dosadnie; mówiła, by zostawili ją w spokoju.

Wycofywali się. Niektórzy nawet wracali do kolejki.

Podczas gdy Carolyn i Joyce udawało się ukryć swoje sprawy przed światem, postępowanie Arleen musiało w końcu wyjść na jaw. Po tygodniu jej wieczornego znikania z domu i powrotów o świcie - tygodniu, w którym jedyną odpowiedzią na pytanie, dokąd idzie, było zagadkowe spojrzenie, prawie jakby sama nie była tego pewna - jej ojciec, Lawrence Farrell, postanowił ją śledzić. Uważał się za wyrozumiałego ojca. ale jeśli jego księżniczka wpadła w złe towarzystwo - piłkarzy albo może hippisów - to być może będzie zmuszony przemówić jej do rozumu. Gdy tylko wyjechała z Grove, pędziła jak szalona; musiał trzymać nogę na gazie, by zachować dyskretną odległość. Milę czy dwie przed plażą stracił ją z oczu. Przez godzinę objeżdżał parkingi nim wreszcie znalazł jej samochód, stojący przed barem Slick. Zła sława tego baru dotarła nawet do jego uszu liberała. Wszedł do środka, niepewny o bezpieczeństwo marynarki i portfela. W środku panowało wielkie ożywienie i dziko pokrzykujący mężczyźni - zwierzęta ze spęczniałymi od piwa kiszkami, z włosami po łopatki, otaczali kręgiem jakichś artystów występujących na parkiecie w oddalonym kącie baru. Ani

ślądu Arleen. Zadowolony, że się pomylił (pewnie przechadzała się po prostu plażą, przyglądając się falom bijącym o brzeg) szedł już do wyjścia, gdy usłyszał jak ktoś zaczyna skandować imię jego księżniczki.

- Arleen! Arleen!

Odwrócił się. Czy Arleen także oglądała te występy? Przebił się przez tłum gapiów.

Tam, w środku kręgu, znalazł swoje piękne dziecko.

Któryś wlewał jej w usta piwo, podczas gdy inny sprzął się z nią w akcie, o którym - jak wszyscy ojcowie - mógł myśleć tylko z nienawiścią, chyba że córka - w marzeniach sennych - jego właśnie miałaby za partnera. Leżąc pod tym mężczyzną wyglądała jak matka, czy też jak matka dawno temu, gdy jeszcze była w stanie odczuwać podniecenie. Rzuciła się i szczyrzyła zęby w dzikim pożądaniu mężczyzny, który ją posiadał. Lawrence wykrzyczał imię Arleen i podbiegł, by odciągnąć brutala, przeszkodzić mu w tym akcie. Ktoś powiedział, żeby czekał na swoją kolej. Wymierzył mu cios w szczękę; żłób zatoczył się i wpadł w tłumek czekających, niektórzy byli już rozpięci i gotowi do akcji. Napadnięty wypluł strzępek gęstej krwi i rzucił się na Lawrence'a, który na kolanach, pod gradem ciosów zawodził, że to jego córka, jego córka... Mój Boże, jego córka. Nie przestawał protestować, aż jego usta nie były więcej w stanie formułować słów. Nawet wtedy usiłował doczołgać się do Arleen i spoliczkować ją, by otrzeźwiała, by zrozumiała, co robi. Ale jej wielbiciel po prostu wyciągnęli go na dwór i cisnęli brutalnie na pobocze drogi. Poleżał tam chwilę, aż zebrał dość siły, by wstać. Zataczając się dobrnął do samochodu i czekał tam na nią przez kilka godzin, płacząc od czasu do czasu.

Wydawało się, że jego rozbita twarz i pokrwawiona koszula zupełnie jej nie poruszyła.

Kiedy powiedział jej, że widział wszystko, co tam robiła, przechyliła lekko głowę na bok, jakby nie była pewna, o czym mówi. Kazał jej wsiąść do swojego samochodu. Posłuchała bez

słowa. Jechali do domu w milczeniu.

Tego dnia nic jej nie powiedział. Arleen siedziała w swoim pokoju słuchając radia, a Lawrence rozmawiał z adwokatem o zamknięciu baru Slick.; z policją - o zaskarżeniu zbirów, którzy go pobili, i z psychologiem, o tym gdzie popełnił błąd wychowawczy. Tego dnia wczesnym wieczorem Arleen znów wyszła z domu, a przynajmniej próbowała wyjść.

Złapał ją już na podjeździe i tam zasypał wymówkami i oskarżeniami, z którymi wstrzymał się wczoraj. Przez cały ten czas Arleen po prostu przyglądała mu się szklanym wzrokiem. Jej obojętność wprawiała go w pasję. Nie chciała wejść do domu, chociaż nalegał, ani powiedzieć, dlaczego robiła to, co robiła. Jego niepokój przeszedł w furję, podniósł głos do krzyku, w zapamiętaniu posunął się do tego, że na cały głos wyzywał ją od kurew; wzdłuż całej ulicy Łuk zaczęły rozchyłać się firanki.

Zupełnie nie pojmując, o co w tym wszystkim chodzi, oślepiiony łzami wreszcie ją uderzył i mógłby jej zrobić jakąś krzywdę, gdyby nie interwencja Kate. Arleen nie zwlekała. Podczas gdy matka usiłowała powstrzymać szalejącego ojca, Arleen wymknęła się i pojechała autostopem na plażę.

Tego wieczoru policja zorganizowała w Slicku obławę. Aresztowano dwadzieścia jeden osób, oskarżonych przeważnie o wykroczenia związane z nielegalnym stosowaniem narkotyków, i bar zamknięto. Kiedy oficerowie policji weszli do lokalu, wypieszczona córeczka Lawrence'a Farrella wykonywała właśnie ten sam posuwisto-okrężny numer, który wykonywała co wieczór przez cały miniony tydzień albo i dawniej. Tego nie udało się ukryć przed dziennikarzami, mimo nieporadnych prób przekupstwa ze strony Lawrence'a.

Zaczytywano się tą historią wzdłuż całego wybrzeża. Arleen poszła do szpitala na wszechstronne badania.

Wykryto u niej dwie choroby weneryczne oraz zakażenie wszami łonowymi; doznała

również pewnych uszkodzeń fizycznych, których nie można było uniknąć przy podobnych wyczynach. Ale przynajmniej nie była w ciąży. Lawrence i Kathleen Farrelowie dziękowali Bogu, że chociaż tego im oszczędził.

Po sensacjach, związanych z wykryciem wypraw Arleen do Slicka, rodzicielska czujność bardzo się zaostrzyła. Nawet w East Grove mniej niedorostków toczyło się po ulicach po zapadnięciu zmroku. Trudno było nawiązać jakiś zakazany romans. Nawet Trudi, jako ostatnia z trójki, musiała po niedługim czasie rozstać się ze swoim partnerem, chociaż znalazła prawie idealną przykrywkę dla swojego procederu - religię. Starczyło jej sprytu, by uwieść niejakiego Ralpa Contreras, mieszkańca; pracował jako ogrodnik w luterańskim kościele pod wezwaniem Księcia Pokoju w Laureltree i jąkał się do tego stopnia, że właściwie nie mógł mówić. Trudi odpowiadała ta sytuacja. Wykonywał dla niej usługi, o które jej chodziło, i zachowywał na ten temat milczenie. W sumie był idealnym kochankiem. Trudi niewiele dbała o jego technikę, gdy tak dzielnie odgrywał przed nią rolę samca. Był po prostu wykonawcą.

Kiedy już spełni swoje zadania - jej ciało powie jej, kiedy nastąpi ta chwila - przestanie zaprzętać nim sobie głowę. Tak sobie w każdym razie mówiła.

Tak czy inaczej, przygody miłosne wszystkich tych dziewcząt (łącznie z Trudi) miały wkrótce wyjść na światło dzienne z powodu niedyskrecji Arleen. Chociaż Trudi sama mogłaby łatwo zapomnieć o schadzках z Ralphem - niemową, Palomo Grove nie chciało o nich zapomnieć.

III

Doniesienia prasowe na temat skandalicznego prowadzenia się małomiasteczkowej piękności, Arleen Farrell, były tak dosadne, jak na to pozwalali radcy prawni zatrudnieni przez te redakcje, ale szczegóły trzeba było pozostawić plotkom i domysłom. Kwitł

czarnorynkowy handel zdjęciami, o których twierdzono, że pochodzą z tamtych orgii, chociaż były tak ciemne, że nie można było mieć żadnej pewności, czy faktycznie przedstawiały tamte wydarzenia. Zainteresowano się przy okazji całą rodziną:

Lawrence'em, Kate, siostrą Arleen Jocelyn i jej bratem Craigiem. Ludzie, mieszkający na drugim końcu Grove, zmieniali trasy zakupów, by przejeżdżać łukowatą aleją obok domu niesławy. Trzeba było zabrać Craiga ze szkoły - koledzy niemiłosiernie dręczyli go docinkami na temat skompromitowanej starszej siostry; Kate zwiększyła dawki środków uspokajających i plątał jej się język przy wymawianiu słów dłuższych niż dwusylabowe.

Ale najgorsze miało dopiero przyjść. Trzy dni po zabranii Arleen ze spelunki uczęszczanej przez gangsterów-motocyklistów, w „Chronicle” ukazał się wywiad, którego udzieliła rzekomo jedna z pielęgniarek Arleen. Podobno Farrellówna przez prawie cały czas znajdowała się w stanie silnego podniecenia seksualnego, a z jej ust lał się potok sprośności, który przerywała tylko po to, by zalać się łzami bezsilnej złości. Już to było dostateczną rewelacją dziennikarską. Ale - jak dowodził artykuł - pacjentka przekroczyła granice chorobliwej lubieżności. Arleen Farrell uważała się za opętaną.

Opowiedziała wymyślną i dziwaczną historię. Kiedy wraz z trzema koleżankami poszła popływać na jeziorze, coś je zaatakowało i wniknęło w głąb ich ciał. Stwór, kiedy wstąpił w nie wszystkie, zażądał od Arleen - pewnie też i od pozostałych pływaczek - by zaszła w ciążę z kimkolwiek, kto się nadarzy. Stąd jej przygody w barze Slick. Po prostu diabeł, który przebywał w jej łonie, szukał w tym ordynarnym towarzystwie zastępczego ojca.

Artykuł był wyzbyty wszelkiej ironii; treść tzw. wyznania Arleen była dostatecznie absurda, by obejść się bez redaktorskich upiększeń. Tylko ślepi i niepiśmienni nie przeczytali tych niezwykłych wynurzeń, które brały swój początek w narkotykach i urodzie. Oczywiście nikt nie dopatrywał się w tych słowach ani cienia prawdy z wyjątkiem rodzin

koleżanek, z którymi Arleen odbyła przechadzkę 28 lipca, w sobotę. Chociaż nie wymieniła ich imion, wszyscy wiedzieli, że wraz z Joyce, Carolyn i Trudi tworzyła ścisłą paczkę. Ktokolwiek choćby przelotnie znał Arleen, nie mógł mieć żadnych wątpliwości co do tożsamości osób, które wpisała w swoje sataniczne fantazje.

Natychmiast stało się jasne, że trzeba uchronić te dziewczęta od groźnych następstw niedorzeczności, które wygłaszała Arleen. W domach McGuire'ów, Katzów i Hotchkissów odbywały się te same rozmowy, różniące się może tylko pieszczotliwymi zwrotami.

Rodzice pytali:

- Może chciałabyś wyjechać na trochę z Grove, aż to wszystko trochę przycichnie?

Na co dzieci odpowiadały:

- Nie, dziękuję, czuję się tu po prostu świetnie.

- Jesteś pewna, skarbie, że ta cała sprawa cię nie denerwuje?

- Czy wyglądam na zdenerwowaną?

- Nie.

- Bo i nie jestem.

Nasze dzieci są tak zrównoważone psychicznie - myśleli rodzice. Tak spokojnie przyjęły fakt obłędu koleżanki; są naszą chlubą.

Zachowywały się w ten sposób przez kilka tygodni: wzorowe córki, z godnym podziwu opanowaniem znosiły niedogodności obecnej sytuacji.

Później, w miarę jak ujawniały się pewne dziwactwa w ich trybie życia, na tym pięknym obrazku zaczęły występować skazy. Był to ledwie dostrzegalny proces i mógł ujść uwadze rodziców przez dłuższy czas, gdyby mniej bacznie przypatrywali się swoim maleństwom. Najpierw zauważyli, że ich córki mają dziwny rozkład dnia - śpią w południe, a spacerują o północy. Zaczęły miewać zachcianki na tę czy tamtą potrawę. Nawet Carolyn,

której przedtem nigdy nie zdarzało się odmówić zjedzenia czegokolwiek, co było jadalne, teraz nabrała chorobliwego wręcz wstrętu do niektórych rzeczy, zwłaszcza ryb i skorupiaków. Znikło pogodne usposobienie dziewcząt. Pojawiła się huśtawka nastrojów - to mówiły monosylabami, to wpadały w gadulstwo, kamienna obojętność przechodziła w szaloną egzaltację. Betty Krantz jako pierwsza posłała swoją córkę do domowego lekarza. Trudi nie sprzeciwiała się. Nie okazała również najłżejszego zdziwienia, gdy dr Gottlieb stwierdził, że jest w doskonałym stanie zdrowia oraz w ciąży.

Następnie rodzice Carolyn zaczęli podejrzewać, że tajemniczemu zachowaniu ich córki powinien przyjrzeć się lekarz. Rozpoznanie brzmiało podobnie; dodatkowe zalecenie brzmiało, że ich córka powinna próbować schudnąć o trzydzieści funtów, jeśli zamierza donosić ciążę.

Jeśli pozostała jeszcze jakakolwiek nadzieja, że te diagnozy nie pozostawały ze sobą w żadnym związku, to rozwiał je trzeci, ostatni dowód.

Rodzice Joyce McGuire najdłużej nie chcieli przyznać, że ich córka była wplątana w ten skandal, ale w końcu i oni kazali ją przebadać. Była zdrowa, podobnie jak Carolyn i Trudi. I jak tamte - w ciąży. Ta nowina kazała spojrzeć nowym okiem na opowieść Arleen Farrell.

Czy możliwe, by w jej szaleńczym bełkocie kryło się ziarno prawdy?

Rodzice skrzyknęli się i wspólnie opracowali jedyny scenariusz, który miał ręce i nogi.

Otóż dziewczęta najwyraźniej zawarły między sobą jakąś umowę. Z sobie tylko wiadomych względów postanowiły zająć w ciążę. Trzem się to udało. Arleen się nie powiodło, przyprawiło to wrażliwą dziewczynę o ciężki rozstrój nerwowy. Obecnie należało uporać się z trzema problemami. po pierwsze, wykryć przyszłych ojców i podać ich do sądów za nieodpowiedzialne ekscesy seksualne. Po drugie, usunąć ciążę możliwie szybko i bezpiecznie. Po trzecie, zachować całą sprawę w tajemnicy, aby opinia tych trzech rodzin nie ucierpiała

tak dotkliwie jak dobre imię Farrellów, których cnotliwi obywatele Grove traktowali obecnie jak pariasów.

Nie powiodło im się w żadnym z tych trzech przedsięwzięć. W sprawie ojców - po prostu dlatego, że żadna z dziewcząt, nawet kiedy zastosowano wobec nich rodzicielski przymus, nie ujawniła imienia winowajcy. W sprawie spędzenia płodów - ponieważ córki nie pozwoliły się zastraszyć i pozbyć tego, co zdobyły w takim znoju. I na koniec - nie udało im się ukryć całej tej przykrej sprawy, ponieważ skandale lubią rozgłos i wystarczyła jedna niedyskretna recepcjonistka z przychodni, by dziennikarze zaczęli węszyć za świeżymi dowodami przestępstwa.

Skandal wybuchł dwa dni po rodzicielskiej naradzie. Palomo Grove, które po wyznaniach Arleen zatrzęsło się w posadach, ale przetrzymało ten wstrząs, teraz odniosło niemal śmiertelną ranę. Opowieść Szalonej Dziewczyny była ciekawą lekturą dla ludzi, którzy interesowali się UFO oraz Skutecznymi Metodami Leczenia Raka, ale właściwie była to jednodniowa sensacja. Jednak ostatnie wydarzenia dotknęły czulszego nerwu. Oto solidna, dobrze zabezpieczona egzystencja czterech rodzin rozpada się w wyniku zмовy ich własnego potomstwa. Czy chodzi tu o jakiś tajemny kult? - pytała prasa. Czy możliwe, by ojciec był tylko jeden - jakiś uwodziciel młodych kobiet; już sama jego anonimowość budziła nieskończenie wiele domysłów. A co z Farrellówną, która pierwsza zaalarmowała opinię publiczną sprawą, określaną jako Zmowa Dziewic? Czy dlatego posunęła się dalej niż jej koleżanki, że - jak pierwsza doniosła „Chronicle” - była bezpłodna? Czy też pozostałe dziewczęta jeszcze nie wyznały wszystkich swoich wybryków? Taka historia nie mogła się szybko zakończyć. Było w niej wszystko: seks, opętanie, rodzinne dramaty, małomiasteczkowe świństwo, seks, obłąd i znowu seks. Co więcej, zanosilo się na jeszcze większe sensacje.

Prasa śledziła rozwój ciąży u trojga dziewcząt. Jeśli wszystko pójdzie po myśli dziennikarzy, nastąpią dalsze, niesłychane rewelacje. Dzieci, które przyjdą na świat, będą wszystkie trojczkami, będą miały ciemną skórę lub też urodzą się martwe.

Cóż za podniecające perspektywy!

IV

W oku cyklonu panował spokój; spokój i cisza. Dziewczęta wysłuchiwały lamentów i oskarżeń, których nie szczędzili im rodzice, dziennikarze i rówieśnicy, ale niewiele się tym przejmowały. Proces, który miał swój początek w jeziorze, posuwał się nieubłaganie do przodu, a one pozwalały, by zmieniał ich umysły podobnie jak zmieniał ich ciała. Były spokojne jak spokojne było tamto jezioro; ich czoła były tak gładkie i pogodne, że najgwałtowniejsza napaść nie pozostawiłaby na nich nawet zmarszczki.

W tym czasie nie poszukiwały swojego towarzystwa. Ich zainteresowanie sprawami koleżanek, jak zresztą całym światem, było równe zeru. Chciały tylko siedzieć w domu i pełnić, podczas gdy wokół szalały gwałtowne spory.

One też ucichły, wbrew poprzednim zapowiedziom, i nowe skandale przyciągnęły uwagę publiczną. Jednak równowaga Grove została trwale zachwiana. Stowarzyszenie Dziewic wyznaczyło miasteczku takie miejsce na mapie hrabstwa Ventura jakiego nigdy by sobie nie życzyło, ale skoro tak już się stało, postanowiło ciągnąć z tego zyski. Tej jesieni Grove gościło więcej turystów niż w czasie całej swojej historii. Ludzie chcieli się pochwalić, że byli w tamtym miasteczku - w Szalonym Mieście, w którym dziewczęta wpatrywały się lubieżnie we wszystko, co się porusza, gdy chciał tego diabeł.

W mieście zaszły także inne zmiany, choć nie tak widoczne jak przepelnione bary i ożywienie w dzielnicy handlowej. Za zamkniętymi drzwiami młode pokolenie Grove musiało staczać gwałtowne boje o swoje przywileje, ponieważ rodzice, zwłaszcza ojcowie córek,

cofnęli prawa, które dawniej uważano za oczywiste. Te rodzinne potyczki zagroziły całości niektórych rodzin, a inne zupełnie rozbiły. Konsumpcja alkoholu rosła w miarę jak rosły napięcia. Sklep spożywczo-monopolowy Marvina notował niezwykle wysokie obroty w handlu trunkami, a popyt na nie sięgnął szczytów w czasie świąt Bożego Narodzenia, kiedy to w połączeniu ze zwykłym w tym czasie świętowaniem, liczne przypadki opilstwa, cudzołóstwa, bicia żon i ekshibicjonizmu zmieniły Palomo Grove w istny raj grzeszników. Kiedy te publiczne igrzyska i bolesne rozgrywki w domowych zaciszach wreszcie się zakończyły, kilka rodzin postanowiło wyjechać z Grove na stałe, zapoczątkowując ledwie dostrzegalną reorganizację społecznej struktury miasta; domy uważane za atrakcyjne - jak te w Łukach (obecnie skażonych obecnością Farrellów) traciły na wartości i wykupywali je osobnicy, którzy minionego lata nie śmieliby nawet marzyć o zamieszkaniu w tej okolicy. Tak wiele następstw walki na wzburzonych wodach.

Ta walka miała oczywiście swoich widzów. Umiejętność trzymania języka za zębami, którą William Witt zdobył w swoim krótkim życiu podglądacza, okazała się bezcenna w miarę jak rozwijały się wypadki. Nie jeden raz był o krok od wyznania tego, co widział na jeziorze, ale oparł się pokusie wiedząc, że krótkotrwała chwała, którą by w ten sposób zyskał, będzie opłacona podejrzeniami, a może i karą. Mogło być jeszcze gorzej - wszystko wskazywało na to, że mu po prostu nie uwierzą. Nie dopuszczał jednak, by jego własne wspomnienie straciło barwy; regularnie powracał na miejsce zdarzenia. Poszedł tam już nazajutrz po tym, co się wydarzyło, próbując wypatrzyć mieszkańców jeziora. Ale woda już zaczynała opadać.

Przez noc poziom wód obniżył się mniej więcej o jedną trzecią. Po tygodniu woda całkiem znikła, odsłaniając w ziemi jakąś szczelinę - prawdopodobnie wejście do podziemnych korytarzy, które biegły pod miastem.

Nie on jeden chodził w to miejsce. Kiedy tylko Arleen wyznała, co zaszło tam owego pamiętnego popołudnia, niezliczone rzesze ciekawych ruszyły na poszukiwania tego miejsca. Osoby bardziej spostrzegawcze szybko je odnalazły; trawa była tam pożółkła od wody i pokryta zeschniętym szlamem. Parę osób próbowało nawet zejść w głąb jaskiń, ale szczelina okazała się prawie pionowym szybem, którym nie dało się tak po prostu zejść w dół. Po kilku dniach rozgłosu, pozostawiono to miejsce samemu sobie i samotnym odwiedzinom Williama. Te wyprawy były dla niego źródłem dziwnego zadowolenia, mimo lęku, który odczuwał - jakby tajemnego porozumienia z jaskiniami, udziału w ich tajemnicy, i oczywiście erotycznego dreszczyku, gdy stał w tym samym miejscu, co tamtego dnia, i wyobrażał sobie nagość kąpiących się dziewcząt.

Los dziewcząt niezbyt go interesował. Czytał i słyszał o nich od czasu do czasu, ale w przypadku Williama sprawdzało się powiedzonko: co z oczu, to z myśli. Były lepsze rzeczy do oglądania: lekkomyślne uwiedzenie i najniższe upodlenie; napady szału; pobicia; rozkrwawione nosy na do widzenia.

Kiedyś, myślał, spiszę to wszystko. Będzie się to nazywać „Księga Witta” i wszyscy, których opiszę - kiedy książka już będzie wydrukowana - dowiedzą się, że ich sekrety są moją własnością.

Kiedy zdarzało mu się - rzadko - myśleć o obecnym położeniu dziewcząt, najchętniej myślał o Arleen, po prostu dlatego, że przebywała w szpitalu, gdzie nie mógłby jej zobaczyć, nawet gdyby chciał; bezsilność działała na niego pobudzająco, jak na każdego podglądacza. Słyszał, że była chora umysłowo i nikt naprawdę nie wiedział, dlaczego. Wciąż chciała, by przychodzili do niej mężczyźni i chciała mieć dzieci tak jak tamte, ale nie mogła i dlatego się rozchorowała. Ale kiedy podsłuchiwał, jak ktoś mówił, że straciła całą urodę, zupełnie przestał się nią interesować.

„Wygląda na pół martwą - mówiono. - Nie wie o bożym świecie, tak ją nafaszerowali środkami uspokajającymi”.

Arleen Farrell jakby przestała wtedy istnieć - przetrwała tylko jako piękny obraz dziewczyny rozbierającej się nad brzegiem srebrzystego jeziora.

Wymazał ze swej pamięci myśl o tym, co to jezioro z nią zrobiło.

Howard Ralph Katz urodził się z osiemnastoletniej matki, Trudi, o godz. 3.46 przez cesarskie cięcie. Kiedy po raz pierwszy ujrzał światło sali operacyjnej był wątłą istotką - ważył tylko 4 funty i 3 uncje. Zgodnie z powszechną opinią, dziecko było podobne do matki, co rodzice przyjęli z należytą wdzięcznością, jako że nie mieli pojęcia, kim był jego ojciec.

Howard miał ciemne, głęboko osadzone oczy Trudi - już od urodzenia - gęstą czapeczkę kręconych, kasztanowatych włosów. Podobnie jak matka, która także była wcześniakiem, musiał walczyć o każdy oddech przez pierwsze sześć dni swojego życia, ale potem szybko nabierał sił. 19 kwietnia Trudi wróciła z synem do Palomo Grove, by chować niemowlę w miejscowości, która była jej najbliższa.

W dwa tygodnie po narodzinach Howarda Katza, druga ze Stowarzyszenia Dziewic została matką. Tym razem prasa miał zera bogatszy, niż narodziny chorowitego dziecka płci męskiej. Joyce McGuire powiła bliźnięta, dziewczynkę i chłopca, w odstępie jednej minuty, bez żadnych komplikacji. Nadała im imiona Jo-Beth i Tommy-Ray, ponieważ (choć nigdy by się do tego nie przyznała, za żadne skarby) miały dwóch ojców jednego w jeziorze, drugiego w osobie Randy'ego Krentzmana... Trzech - gdyby wliczyła ich Ojca Niebieskiego, chociaż obawiała się, że dawno już o niej zapomniał, by obdarzać swą łaską mniej na to zasługujących.

Siedem czy osiem dni po narodzinach bliźnięt McGuire, Carolyn także wydała na świat bliźnięta - chłopca i dziewczynkę, ale chłopiec urodził się martwy. Dziewczynkę, krzepką, o

mocnej budowie - nazwano Lindą.

Wydawało się, że wraz z jej narodzinami, saga o Stowarzyszeniu Dziewic osiągnęła swoje naturalne zakończenie. Na pogrzeb drugiego dziecka Carolyn przyszła niewielka grupka ludzi, ale w sumie te cztery rodziny pozostawiono samym sobie. Dosłownie: przyjaciele zaprzestali wizyt, znajomi przeczyli, jakoby znali ich kiedykolwiek. Historia Stowarzyszenia Dziewic splamiła dobre imię Palomo Grove i mimo korzyści, które miasto wyciągnęło z tego skandalu, wszyscy zapragnęli obecnie zapomnieć, że coś takiego w ogóle miało miejsce.

Rodzina Katzów, boleśnie odczuwając fakt, że wszyscy odwrócili się od nich, postanowiła opuścić Grove i wrócić do rodzinnego miasta Alana Katza - Chicago. Pod koniec czerwca sprzedali dom jakiemuś przybyszowi, który za jednym zamachem nabył piękny dom i dobre imię. Katzowie wyjechali dwa tygodnie później.

Wyjechali w dobry czas. Gdyby opóźnili swój wyjazd o kilka dni, byłiby świadkami ostatniej tragedii, związanej ze Stowarzyszeniem Dziewic. Wieczorem 26 lipca Hotchkissowie wyszli na niedługą chwilę, pozostawiając w domu Carolyn z niemowlęciem. Byli na mieście dłużej, niż planowali, i wrócili do domu dobrze po północy, 27 lipca. Carolyn uczciła pierwszą rocznicę swej kąpieli w jeziorze dusząc córkę i odbierając sobie życie. Zostawiła list pożegnalny, w którym z tą samą chłodną bezstronnością, z jaką kiedyś mówiła o Rowie Św. Andrzeja wyjaśniała, że opowieść Arleen Farrell była najzupełniej prawdziwa. Naprawdę poszły się kąpać w jeziorze, naprawdę zostały napadnięte. Do dziś nie wiedziała, kim był napastnik, ale wciąż czuła jego obecność w sobie i w dziecku; on był zły. Dlatego udusiła Lindę. Dlatego podetnie sobie żyły na nadgarstkach.

„Nie osądzajcie mnie zbyt surowo - prosiła. - Nigdy nie chciałam nikogo skrzywdzić”.

Rodzice w ten sposób zinterpretowali jej list: ktoś rzeczywiście napadł na dziewczęta i

zgwałcił je, a one z sobie wiadomych względów, postanowiły nie wyjawiać, kim był napastnik czy napastnicy. Teraz, kiedy Carolyn nie żyła, Arleen pomieszało się w głowie, a Trudi wyjechała do Chicago, rola wyjawienia całej prawdy - niczego nie ujmując ani nie dodając - przypadła Joyce McGuire, by można było wreszcie zamknąć historię Zmowy Dziewic.

Początkowo nie chciała się na to zgodzić. Twierdziła, że z tamtego dnia niczego nie pamięta. Uraz, którego doznała, wymazał to wspomnienie z jej pamięci. Jednak ani Hotchkissa, ani Farrella nie zadowolilo to wyjaśnienie.

Ponawiali naciski poprzez ojca Joyce. Dick McGuire nie był silnym człowiekiem ani psychicznie, ani fizycznie, a kościół, do którego należał, odmówił mu w tej sprawie wszelkiego poparcia, jednocząc się przeciw dziewczynie z nie-mormonami. Trzeba było powiedzieć prawdę.

W końcu, chcąc oszczędzić ojcu jeszcze większych przykrości i udręk ze strony tych ludzi, Joyce przerwała milczenie. Sześcioro rodziców wraz z pastorem Johnem, duchowym przywódcą społeczności mormońskiej na Grove i okolicę, zebrało się w jadalni McGuire'ów, by wysłuchać bladej, chudej dziewczyny, która kołysała do snu to jedno, to drugie dziecko, a kołysząc je, opowiadała o ich poczęciu. Najpierw ostrzegła słuchaczy, że nie spodoba im się to, co usłyszą, a ostrzegała ich nie bez kozery. Opowiedziała wszystko po kolei: o spacerze; jeziorze; kąpieli; stworach, które walczyły w wodzie o ich ciała; o ich ucieczce; namiętności, którą wzbudzał w niej Randy Krentzman, także i jego rodzina wyjechała z Grove wiele miesięcy temu, być może w następstwie jego własnej, cichej spowiedzi; o wspólnym wszystkim tym dziewczętom pragnieniu, by jak najskuteczniej zajść w ciążę...

- Więc to Randy Krentzman jest ojcem wszystkich tych dzieci? - zapytał ojciec Carolyn.

- On? - zdziwiła się Joyce. - Nie byłby w stanie.

- Więc kto?

- Obiecałaś opowiedzieć całą prawdę - przypomniał jej pastor.

- Właśnie to robię. Mówię wszystko, co wiem. Ja wybrałam Randy'ego Krentzmana.

Wszyscy wiemy, co robiła Arleen. Jestem pewna, że Carolyn znalazła kogoś innego. I Trudi też. Ojcowie się nie liczyli. Byli po prostu mężczyznami i tyle.

- Więc twierdzisz, dziecko, że masz w sobie diabła? - zapytał pastor.

- Nie.

- Więc w dzieciach?

- Nie, nie - teraz kołysała obie kołyski naraz. - Jo-Beth i Tommy-Ray nie są opętani. W każdym razie nie w sposób, o jakim pastor myśli. Są po prostu dziećmi Randy'ego. Może odziedziczyły po nim trochę urody... - pozwoliła sobie na leciutki uśmiech. - Chciałabym, żeby tak było. Był taki przystojny. Ale duch, który powołał je do życia, jest w jeziorze.

- Jeziora nie ma - odezwał się ojciec Arleen.

- Wtedy było. Może znowu będzie, kiedy spadnie ulewny deszcz.

- Nigdy do tego nie dopuszczę, jeśli tylko będę mógł.

Niezależnie od tego, czy Farrell uwierzył opowieści Joyce w całej rozciągłości, Farrell dotrzymał danego słowa. Wraz z Hotchkissem szybko zebrał na mieście dostateczne fundusze, by zablokować wejścia do podziemnych korytarzy. Większość ofiarodawców wypisywała czek po prostu po to, by pozbyć się Farrella z przedpokoju. Od czasu, gdy jego księżniczka straciła rozum, był równie przekonujący jak bomba zegarowa.

W październiku, kilka dni przed upływem piętnastu miesięcy od dnia, gdy dziewczęta wybrały się nad jezioro po raz pierwszy, zalano rozpadlinę betonem. Pójdą tam jeszcze raz, ale wiele lat później.

Do tej pory w Palomo Grove dzieci będą mogły się beztriosko bawić.

CZEŚĆ TRZECIA

WOLNI JAK WIATR

I

Spośród setek czasopism i filmów o treści erotycznej, które William Witt kupował w ciągu następnych siedemnastu lat, gdy dorastał do wieku męskiego - najpierw za pośrednictwem domu wysyłkowego, a potem w trakcie wypraw do Los Angeles, które odbywał w tym jedynie celu - najbardziej lubił te, w których mógł dojrzeć przebłysk życia z tamtej strony kamery. Czasem sam fotograf - wraz z całą aparaturą - odbijał się w lustrze wiszącym za plecami aktorów. Czasem ręka technika lub osoby, której zadanie polegało na utrzymywaniu gwiazd w stanie podniecenia między ujęciami - pozostała na krawędzi klatki, jak ramię kochanka, wypędzonego przed chwilą z łóżka.

Tak oczywiste błędy zdarzały się stosunkowo rzadko. Częstsze - i w odczuciu Williama o wiele bardziej znaczące - były subtelniejsze przejawy zakulisowej rzeczywistości. Na przykład kiedy wykonawca, mając wiele okazji do grzechu, niepewny, którą dziurkę powinien teraz zaspokoić, odwraca wzrok od kamery, szukając rady; albo kiedy na krzyk kamerzysty, że zasłaniają mu pole widzenia, ktoś nagle przesuwa nogę.

Przy takich okazjach, kiedy fikcja działała na niego podniecająco - przy czym nie wszystko było tam fikcją, bo sztywne jest sztywne albo nie, i niczego tu nie da się podrobić - William czuł, że lepiej rozumie Palomo Grove. Za kulisami życia miasteczka coś się kryło, coś, co kierowało jego procesami życiowymi tak dyskretnie i bezinteresownie, że nikt, oprócz Williama, nie wiedział o jego istnieniu. A i Williamowi zdarzało się o tym zapomnieć. Przez całe miesiące zajmował się interesami, tzn. handlem nieruchomościami, nie pamiętając o tajemniczej ręce, by potem znów dojrzeć coś przelotnie, jak w pornograficznym filmie. Może błysk w oku któregoś ze starszych mieszkańców, szczelinę w jezdni czy wodę płynącą w dół

Wzgórza ze zbyt obficie podlewanego trawnika. To wystarczyło, by przypomniał sobie jezioro, Zmowę Dziewic i zrozumiał, że całe miasteczko jest jakby fikcją (ale niezupełnie, bo ciało jest ciałem i nie można go podrobić), a on sam jednym z aktorów, odtwarzających dziwną historię Palomo Grove.

Od czasu, gdy zabetonowano dostęp do podziemnych korytarzy, dzieje miasteczka, wolne od dramatycznych wydarzeń, toczyły się swoim torem, podobnie jak dzieje Stowarzyszenia. Mimo swego piętna. Grove kwitło, a wraz z nim interesy Witta. W miarę jak Los Angeles rozrastało się i bogaciło, miasteczka leżące w głębi Doliny Simi, łącznie z Grove, stały się sypialniami tej metropolii. Ceny nieruchomości w miasteczku gwałtownie podskoczyły pod koniec lat siedemdziesiątych, mniej więcej wtedy, gdy William zajął się handlem. Ceny wzrosły ponownie, zwłaszcza w Windbluff, kiedy kilka pomniejszych gwiazd zdecydowało się na zakup domów na Wzgórzu, przydając okolicy blasku, jakiego jeszcze nie znała. Największy z tych domów - istny pałac, z którego okien rozciągał się panoramiczny widok na miasto i dolinę, nabył aktor komediowy Buddy Vance; w tej epoce jego telewizyjny show cieszył się największą oglądalnością na wszystkich stacjach. Raymond Cobb, aktor grający w westernach, zburzył dom stojący w niższych partiach Wzgórza, by na jego miejscu wznieść swoje własne rozległe rancho, na którym nie brakowało basenu w kształcie gwiazdy szeryfa. Między domami Vance'a i Cobba stał dom zupełnie niewidoczny zza drzew; mieszkała w nim gwiazda filmu niemego Helena Davis, niegdyś najbardziej obgadywana aktorka Hollywood. Obecnie, dobijając do osiemdziesiątki, żyła w zupełnym odosobnieniu; plotkarze Grove znajdowali nowy żer, gdy do miasta przyjeżdżał jakiś młody mężczyzna - każdy z nich miał sześć stóp wzrostu i był blondynem i podawał się za znajomego panny Davis. To przez nich dom zyskał przydomek Gniazdo Rozpusty.

Z Los Angeles sprowadzono także inne rzeczy. W Pasażu otwarto Klub Zdrowego

Życia i natychmiast zapisał się do niego tłum chętnych. Na skutek mody na chińską kuchnię powstały dwa lokale tego typu, dostatecznie chronione, by nie obawiać się konkurencji. Świetnie prosperowały sklepy oferujące Art Deco, amerykańskich naiwnych i zwykłą szmirę. Zapotrzebowanie na powierzchnię handlową było tak wielkie, że na Pasażu dobudowano jeszcze jeden poziom. Usługi, których Grove nie chciałoby opłacać w dawniejszych latach, obecnie stały się niezbędne - sklep z wyposażeniem basenów, nakładanie sztucznych paznokci, kursy karate.

Od czasu do czasu jakiś przybysz, czekając na swoją kolej do pedikiurzystki albo stojąc w sklepie zoologicznym, podczas gdy jego dzieci wybierały między trzema gatunkami szynszyli, napomykał o plotce, którą słyszał na temat tego miasteczka. Zdaje się, że jakiś czas temu zdarzyła się tu dziwna historia? Jeśli w pobliżu znajdował się mieszkaniec Grove z dłuższym stażem, natychmiast wekslował rozmowę na bezpieczniejsze tory. Chociaż wyrosło nowe pokolenie, tubylcy - jak lubili siebie nazywać - uważali, że o Zmowie Dziewic najlepiej zapomnieć.

Jednak było w mieście kilka osób, które nie były w stanie o niej zapomnieć. Jedną z nich był oczywiście William. Wciąż śledził życie tamtych ludzi. Joyce McGuire była cichą, niezwykle pobożną kobietą. Jej rodzice wyprowadzili się na Florydę kilka lat temu, zostawiając dom córce i wnukom. Teraz prawie nie opuszczała jego murów. Hotchkiss - jego żona wyjechała ze starszym o siedemnaście lat od siebie prawnikiem z San Diego; Hotchkiss chyba nigdy tego nie przeboleał. Rodzina Farrellów - wyjechali do Thousand Oaks, by się przekonać, że nie ma ucieczki przed niesławą. Ostatecznie osiedlili się w Luizjanie, zabierając ze sobą Arleen.

Arleen nigdy nie wróciła do pełni zdrowia. William słyszał, że jeśli w ciągu tygodnia potrafiła złożyć dziesięć słów w logiczną całość, to był to dobry tydzień. Jocelyn Farrell, jej

młodsza siostra, wyszła za mąż i wróciła do Blue Springs; widywał ją od czasu do czasu na mieście, kiedy odwiedzała znajomych.

Los tych rodzin był wciąż silnie związany z dziejami Grove; ale chociaż William wymieniał ukłony z nimi wszystkimi - McGuire'ami, Jimem Hotchkissem, nawet z Jocelyn Farrell - nigdy nie odezwali się do siebie ani słowem.

Nie było potrzeby. Wszyscy wiedzieli to, co wiedzieli. A ponieważ wiedzieli, żyli w ciągłym oczekiwaniu.

II

Młody mężczyzna był prawie dokładnie monochromatyczny; miał długie do ramion, czarne włosy, wijące się na karku, równie ciemne oczy ukrywał za okrągłymi okularami. Skórę miał zbyt białą jak na Kalifornijczyka. Zęby jeszcze bielsze, chociaż rzadko się uśmiechał. Niewiele też mówił. Kiedy już mówił - jąkał się.

Biały był nawet kabriolet marki Pontiac, który zaparkował w Pasażu Handlowym, tyle że śniegi i sól dwunastu chicagowskich zim pokryły karoserię rdzą. Przebył nim cały kraj, chociaż na trasie kabriolet kilkakrotnie odmawiał mu posłuszeństwa. W każdym razie, jeśli ktoś chciałby sprawdzić, czy w Palomo Grove przebywa jakiś obcy, wystarczyło, by rzucił okiem na rząd stojących tu samochodów.

Albo po prostu na tego chłopca. Czuł się tu beznadziejnie obco - w tych tanich sztruksowych spodniach i byle jakiej marynarce (miała za długie rękawy i była zbyt wąska w gorsie, jak wszystkie żakiety, które kupował).

W tym mieście oceniano ludzi według marki sportowego obuwia. Nie nosił sportowego obuwia; dzień w dzień nosił czarne sznurowane trzewiki, dopóki się całkiem nie rozpadły, a wtedy kupował identyczną parę. Czy był tu obcy czy nie, przyjechał z ważnego powodu i im szybciej przystąpi do sprawy, tym lepiej się poczuje.

Po pierwsze, potrzebował pewnych wskazówek. Wybrał sklep sprzedający mrożony jogurt - ponieważ z całego szeregu sklepów był najbardziej pusty - i niespiesznie otworzył drzwi. Człowiek za ladą powitał go tak przyjaźnie, że przez chwilę myślał, że tamten go rozpoznaje.

- Witam! Witam! Czym mogę służyć?

- Nie jestem... stąd - powiedział i zaraz pomyślał: „Głupio mówię”. - Chodzi mi o... chodzi mi o to, gdzie mógłbym kupić mapę.

- Chodzi panu o mapę Kalifornii?

- Nie, Palomo Grove. - Mówił krótkimi zdaniami. W ten sposób mniej się jąkał.

Uśmiech po tamtej stronie lady stał się jeszcze bardziej promienny.

- Tutaj nie potrzeba mapy. To miasto nie jest zbyt duże.

- No tak. A hotel?

- Oczywiście. Z tym nie ma problemu. Jest tu jeden całkiem blisko. Albo ten nowy, w Stillbrook Village.

- Który jest najtańszy?

- Hotel „Terrace”. Dwie minuty jazdy, od tyłu Pasażu.

- Świetnie.

Uśmiech, który skwitował te słowa, mówił: Wszystko jest tu świetne. Przybysz prawie w to uwierzył. Na parkingu lśniły wypucowane samochody; błyszcząły tablice wskazujące objazd na tyły Pasażu; fasada motelu, na której umieszczono wywieszkę „Witamy w Palomo Grove, przystani dobrobytu” była równie jaskrawa jak komiksy w porannej sobotniej prasie.

Kiedy dostał już pokój, z przyjemnością zaciągnął rolety, by trochę odpocząć w mroku.

Ostatni odcinek jazdy był męczący; postanowił pobudzić ospały organizm za pomocą gimnastyki i prysznic. Maszyna - jak określał swoje ciało - zbyt długo siedziała za

kierownicą, trzeba ją było rozruszać.

Przeprowadził dziesięciminutową rozgrzewkę, walcząc z niewidzialnym przeciwnikiem - był to rodzaj kick-boxingu, po którym nastąpił jego ulubiony zestaw kopnięć: siekiera, półksiężyc z wyskokiem, hak z obrotem i kopnięcia w tył ze skoku z obrotem. Jak zwykle, rozgrzewka mięśni rozgrzała mu umysł. Kiedy przeszedł do podnoszenia nóg i śladów, był gotów zwrócić się do połowy mieszkańców Palomo Grove z pytaniem, które go tu sprowadziło.

Pytanie brzmiało: kim jest Howard Katz? Mną - już mu nie wystarczyło.

Ja - to tylko maszyna. Potrzebował więcej danych.

To pytanie zadała mu Wendy tamtej nocy niekończących się dyskusji; rano odeszła na zawsze.

- Lubię cię, Howie - powiedziała - ale nie mogę cię kochać. Wiesz dlaczego? Bo cię nie znam.

- Wiesz, kim jestem? Człowiekiem z dziurą w środku.

- Dziwne określenie.

- I dziwne uczucie.

Dziwne, ale prawdziwe. Tam, gdzie inni mieli poczucie swojej ludzkiej tożsamości jakieś ambicje, opinie, uczucia religijne - on czuł tylko żalosną niepewność. Ci, którzy go lubili - Wendy, Richie, Lem - okazywali mu wiele cierpliwości. Spokojnie wysłuchiwali jego jękań i mamrotania i wydawało się, że cenią jego uwagi. (Mój ty prostaczku boży - powiedział kiedyś Lem; ta uwaga wciąż nie dawała Howie'emu spokoju., Ale dla reszty świata był po prostu Katzem-Tępakiem. Nie wyzywali go do otwartej walki - był zbyt silny, by walczyć z nim na rękę, nawet dla zawodników wagi ciężkiej, ale wiedział, co mówili za jego plecami. Zawsze chodziło im o to samo: Katzowi czegoś brakowało.

Nie mógł znieść faktu, że Wendy miała go dość. Zbyt zraniony, by bywać wśród ludzi przesiedział prawie cały tydzień w domu, przeżywając tamtą rozmowę. Nagle doznał olśnienia. Jeśli gdziekolwiek na ziemi jest miejsce, w którym mógłby się dowiedzieć, kim i czym jest naprawdę, to jest to z pewnością miasto, w którym przyszedł na świat. Podniósł roletę i wyjrzał na dwór. Światło dnia skrzyło się perliście, powietrze pachniało. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego matka zamieniła to piękne miasteczko na mroźne, wietrzne zimy i duszne lata Chicago. Teraz, kiedy już nie żyła (zmarła nagle, podczas snu) będzie musiał rozwikłać tę tajemnicę na własną rękę; może w ten sposób skompletuje brakującą część maszyny.

Właśnie gdy szła do frontowego pokoju, matka zawołała ze swojego pokoju na górze; wycucie, jak zwykle, miała świetne.

- Jo-Beth? Jesteś tam? Jo-Beth?

Zawsze z tą samą opadającą intonacją, która jakby ostrzegała: okaż mi swoją miłość teraz, bo może jutro już mnie nie będzie. Może nawet już za godzinę.

- Kochanie, jesteś tam jeszcze?

- Przecież wiesz, że tak, mamo!

- Możesz przyjść na słówko?

- Już jestem spóźniona.

- Tylko na chwilę, proszę cię. Co tu zmieni jedna chwila?

- Już idę, nie denerwuj się.

Jo-Beth ruszyła w górę po schodach. Ile razy na dzień odbywała tę trasę?

Odliczała swoje życie liczbą stopni, które wiodły w górę i w dół, w górę i w dół.

Joyce McGuire była tam, gdzie zawsze - leżała na sofie przy otwartym oknie, z poduszką pod głową. Nie wyglądała na chorą, a jednak prawie stale niedomagała.

Przychodzili specjaliści, badali ją, pobierali opłatę i wychodzili, wzruszając ramionami.

Fizycznie bez zarzutu, mówili. Zdrowe serce, zdrowe płuca, zdrowy kręgosłup. Tylko z głową coś nie tak. Ale o tym matka nie chciała nawet słyszeć. Znała kiedyś dziewczynę, której pomieszało się w głowie, poszła do szpitala i już nigdy z niego nie wyszła. Najbardziej na świecie matka obawiała się obłądu. Nie pozwalała używać tego słowa w domu.

- Czy mogłabyś poprosić pastora, żeby do mnie zadzwonił? - zapytała Joyce. - Albo żeby przyszedł dziś wieczór.

- On jest bardzo zajęty, mammo.

- Dla mnie nigdy nie jest zbyt zajęty - odpowiedziała Joyce. Nie skończyła jeszcze trzydziestu dziewięciu lat, ale zachowywała się tak, jakby była dwukrotnie starsza. Unosiła z poduszki głowę tak powoli. Jakby każdy cal był wielkim zwycięstwem nad siłą ciężenia: trzęsły się jej ręce. bezsilnie trzepotały powieki, w jej głosie brzmiało wieczne westchnienie. Obmyśliła dla siebie rolę filmowej gruźliczki i nie pozwoliła jej sobie odebrać wbrew opiniom lekarzy. Zgodnie z wymogami tej roli, ubierała się w kolory pastelowe, odpowiednie dla osoby przykutej chorobą do łóżka. Zapuściła długie włosy (miała bujne włosy brunetki) i nie próbowała wymodelować jakiejś fryzury czy spiąć je w kok. Zupełnie się nie malowała, co jeszcze pogłębiało wrażenie, że jest z nią bardzo źle. Tak czy inaczej, Jo-Beth była zadowolona, że matka nie wychodzi już między ludzi. Tylko by ją obgadywali. Ale z drugiej strony, siedziała zamknięta w czterech ścianach, każąc córce biegać to w górę, to w dół. W górę i w dół.

Kiedy Jo-Beth chciała krzyczeć ze złości - jak teraz - przypominała sobie, że matka miała swoje powody, by usunąć się ze świata. Niełatwo przyszło tej niezamężnej kobiecie wychowanie dzieci w mieście tak skorym do potępień jak Grove. W chorobę wpędził ją ludzki osąd i upokorzenia.

- Dopilnuję, żeby pastor John zadzwonił. Teraz posłuchaj, mammo. muszę już iść.

- Wiem, kochanie, wiem.

Jo-Beth zawracała do odejścia, ale Joyce zawołała za nią:

- Nie pocałujesz mnie przed wyjściem?

- Mammo...

- Zawsze pamiętałaś, żeby się ze mną pożegnać.

Jo-Beth posłusznie wróciła do okna i cmoknęła matkę w policzek.

- Uważaj na siebie - powiedziała Joyce.

- Wszystko jest w porządku.

- Nie podoba mi się, że tak późno kończysz pracę.

- To nie jest Nowy Jork, mammo.

Joyce rzuciła szybkie spojrzenie w stronę okna, za którym toczyło się życie.

- To nie ma znaczenia - z jej głosu znikł lekki ton. - Nigdzie nie jest bezpiecznie.

Stara śpiewka. Jo-Beth słyszała ją w tej czy innej wersji już od dzieciństwa. O tym, że świat jest Doliną Śmierci, nawiedzoną przez istoty zdolne czynić niewyobrażalne zło. To była główna pociecha, której pastor John udzielał jej matce. Oboje zgodnie wierzyli, że diabeł istnieje - w Palomo Grove.

- Zobaczymy się rano - powiedziała Jo-Beth.

- Kocham cię, skarbie.

- Ja też cię kocham, mammo.

Jo-Beth zamknęła drzwi i ruszyła w dół po schodach.

U podnóża schodów stał Tommy-Ray.

- Śpi?

- Nie.

- Cholera.

- Powinieneś zajrzeć do niej.

- Wiem, że powinienem. Ale będzie mi suszyć głowę o środe.

- Upiłeś się. Wciąż powtarzała, że piłeś whisky. To prawda?

- A jak myślisz? Gdybyśmy rośli w normalnym domu, gdyby w domu był alkohol, to nie upijałbym się tak szybko.

- Więc to jej wina, że się upiłeś?

- Więc ty też się mnie czepiasz? Cholera, wszyscy mają do mnie pretensję.

Jo-Beth uśmiechnęła się i objęła brata.

- Nikt się ciebie nie czepia. Wszyscy uważają, że jesteś wspaniały, i dobrze o tym wiesz.

- Ty też?

- Ja też.

Pocałowała go leciutko i podeszła do lustra, sprawdzić jak wygląda.

- Jak z obrazka - powiedział, stając obok. - Ty i ja.

- Robisz się coraz bardziej zarozumiały.

- Dlatego mnie kochasz - powiedział, wpatrując się w ich bliźniacze odbicie w lustrze. -

Czy ja staję się coraz bardziej podobny do ciebie, czy ty do mnie?

- Ani jedno, ani drugie.

- Czy widziałaś dwie twarze bardziej do siebie podobne?

Uśmiechnęła się. Rzeczywiście byli do siebie niezwykle podobni. Chłopięca smukłość

w połączeniu z regularnymi rysami dziewczęcej twarzy budziła zachwyt i uwielbienie.

Największą przyjemność sprawiał Jo-Beth spacer pod rękę z bratem - wiedziała, że obok

kroczy towarzysz, o którym mogłaby marzyć każda dziewczyna i że on myśli podobnie.

Oglądano się za nimi nawet na deptaku weneckim, rojnym od wymalowanych piękności.

Jednak od kilku miesięcy już nie wychodzili razem. Ona do późna pracowała w Barze Hamburgerowym, a on przebywał z kolegami z plażowej raczki: Seanem, Andym i innymi. Jo-Beth brakowało tej bliskości.

- Czy ostatnio nie czułaś się trochę dziwnie? - zapytał ni z tego ni z owego.

- Jak to - dziwnie?

- Sam nie wiem. Chyba tylko ja mam takie uczucie - jakby wszystko się kończyło.

- Już prawie lato. Wszystko dopiero się zaczyna.

- No tak... wiem. Ale Andy wyjechał na studia, krzyżyk na drogę. Sean znalazł sobie dziewczynę w Los Angeles, są ze sobą naprawdę blisko. Sam już nie wiem. Zostałem sam i na coś czekam, tylko nie wiem na co.

- Więc przestań czekać.

- Jak to?

- Wyjedź gdzieś.

- Chciałbym, ale... - przyjrzał się badawczo jej twarzy w lustrze. Ty naprawdę... nie czujesz nic dziwnego?

Odwzajemniła jego spojrzenie, niepewna, czy przyznać się do snów, w których unosiła ją fala, a całe jej dawne życie machało do niej z brzegu na pożegnanie. Ale jeśli nie

Tommy'emu, którego kochała najbardziej ze wszystkich istot i najbardziej mu ufała - to komu to powie?

- No dobrze powiedziała. - Rzeczywiście mam takie uczucie.

- Jakie?

Wzruszyła ramieniem:

- Nie wiem, może ja też czekam.

- Ale czy wiesz, na co?

- Nie.

- To tak jak ja.

- Przecież jesteśmy bliźniętami.

Jadąc do Pasażu Handlowego, rozmyślała nad tą rozmową z Tommy-Rayem. Jak zwykle. Tommy wypowiedział na głos ich wspólne odczucia.

Te ostatnie tygodnie były pełne oczekiwania. Coś wkrótce się wydarzy.

Przeczuwała to w snach. Czowała to w kościach. Miała tylko nadzieję, że stanie się to szybko, ponieważ jej obecne życie - matka. Grove, praca w barze - zbliżało się do punktu, kiedy Jo-Beth zaczynała tracić panowanie nad sobą. Obecnie trwał wyścig między zaworem bezpieczeństwa, odcinającym wybuch jej niecierpliwości, i tym czymś, co nadchodziło. Jeśli to nie nadejdzie do lata (cokolwiek to było, niech by nawet coś zupełnie nieprawdopodobnego), wtedy sama wyruszy na poszukiwania.

Jak Howie zdążył się zorientować, w tym mieście niewielu ludzi poruszało się pieszo.

W czasie spaceru w górę i w dół wzgórza - który zabrał mu trzy kwadranse - naliczył tylko pięciu przechodniów, przy czym wszyscy prowadzili - za rękę czy na smyczy - dzieci albo psy, co tłumaczyło ich szczególne zachowanie. Chociaż ta pierwsza wyprawa nie była zbyt daleka zaprowadziła go jednak do niezłego punktu widokowego, skąd mógł rozeznaczyć nieco w położeniu miasta. Zaostrzyła także jego apetyt.

Hamburger dla szaleńca - pomyślał i spośród barów i restauracji Pasażu wybrał Bar

Hamburgerowy Butricka. Bar był niewielki: najwyżej połowa stolików była zajęta. Siadł przy stole pod oknem, otworzył zniszczony egzemplarz Siddarthy Hessego i zaczął się od nowa

zmagać z niemieckim tekstem. Książka należała kiedyś do jego matki, czytywała ją wielokrotnie, jednak nie przypominał sobie, żeby powiedziała choć słowo w języku, który najwyraźniej świetnie znała. Howie nie znał niemieckiego. Lektura tej książki była jak bezgłośnie jąkanie; zmagał się z treścią słów i wychwytywał z nich odrobinę znaczenia, by znów się zgubić.

- Podać coś do picia? - zapytała kelnerka.

Już miał zamówić colę, gdy nagle w jego życiu wszystko się zmieniło.

Jo-Beth przekroczyła próg baru Butricka, podobnie jak to czyniła trzy wieczory w tygodniu przez ostatnie siedem miesięcy, ale dziś było tak, jakby wszystkie jej poprzednie wejścia były próbą przed tym obecnym: przed tym obrotem głowy: tym zderzeniem jej oczu z oczyma młodego mężczyzny przy stoliku numer pięć. Ogarnęła go całego jednym spojrzeniem. Usta miał półotwarte, nosił okulary w złoczonej oprawie: w ręku trzymał książkę. Nie znała nazwiska właściciela tej książki, nie mogła go znać. Nigdy przedtem go nie widziała. Jednak wyraz jego twarzy świadczył, że ją rozpoznaje: wiedziała, że sama patrzy na niego w ten sam sposób.

Zobaczyć tę twarz, to jakby się urodzić, pomyślał. Wyjść z zacisznego miejsca w świat przygód, które zapierają dech w piersiach. W całym tym świecie nie było nic piękniejszego od miękkiego wygięcia jej warg, gdy uśmiechnęła się do niego.

Wciąż się do niego uśmiechała, jak zwykła flirtowała. Przestań, powiedziała sobie, patrz w inną stronę. Pomyśli, że to jakaś wariatka, że tak wlepia w niego oczy. Ale przecież on też się we mnie wpatruje.

„Nie odwrócę oczu, dopóki on na mnie patrzy”.

„...dopóki on na mnie patrzy...”

- Jo-Beth! - dobiegło wołanie z kuchni. Zamrugła oczami.

- Pan zamawiał colę? - zapytała kelnerka.

Jo-Beth zerknęła w stronę kuchni - musiała iść, wołał ją Murray - ale zaraz wróci do tego chłopca z książką. Wciąż nie odrywał od niej oczu.

- Tak - usłyszała jego głos. Wiedziała, że to odnosiło się do niej.

Mówił: „Tak, idź, ja stąd nie odejdę”.

Kiwnęła głową i odeszła.

Całe to spotkanie trwało może pięć sekund, ale obydwójce wciąż drżeli.

W kuchni Murray jak zwykle odgrywał rolę męczennika.

- Gdzieś była?

- Spóźniłam się dwie minuty, Murray.

- Według mojego zegarka - dziesięć. W tamtym kącie siedzą trzy osoby. To twój stolik.

- Już wkładam fartuch.

- Pośpiesz się.

Howie obserwował drzwi kuchni, czekając na jej powrót. Zapomniał o Siddarthy. Kiedy się znów pokazała, nie spojrzała w jego stronę, ale podeszła do stolika w odległym kącie restauracji.

Fakt, że na niego nie spojrzała, nie sprawił mu przykrości. Doszli do porozumienia podczas tamtej pierwszej wymiany spojrzeń. Poczekają całą noc i cały następny dzień, jeśli będzie trzeba, aż ona skończy pracę i znów na niego spojrzy.

W ciemnościach pod Palomo Grove, ci, którzy spowodowali narodziny tych dwojga dzieci, wciąż trwali w zwarciu, jak wtedy, gdy po raz pierwszy spadli na ziemię; żaden nie zwolnił uścisku, w obawie, by tamten drugi nie wy dostał się na wolność. Nawet wtedy, gdy wypłynęli na powierzchnię, by złączyć się z pływaczkami, płynęli razem, jak zrosnięte biodrami bliźnięta.

Tamtego dnia Fletcher długo nie mógł zrozumieć, o co dżaffowi chodzi.

Przypuszczał, że tamten chciał wydobyć z dziewcząt te swoje nędzne terata.

Ale dżaff miał ambitniejsze zamysły. Chodziło mu o spłodzenie dzieci i, choć rzecz była tak plugawa, Fletcher musiał iść jego śladem. Bynajmniej się tym nie szczycił. W miarę jak dochodziły do niego wieści o następstwach tego czynu, jego wstyd rósł. Kiedyś, kiedyś, siedząc z Raulem przy oknie, marzył, by stać się niebem. Tymczasem zmagania z dżaffem doprowadziły do tego, że stał się uwodzicielem niewinnych dziewcząt, których przyszłość skazili swym dotykiem. Przygnębienie Fletchera sprawiało dżaffowi ogromną przyjemność. Gdy tak mijały im w ciemnościach długie lata, Fletcher wyczuwał, że myśli jego wroga wielokrotnie zwracały się ku dzieciom, które powołali na świat; zastanawiał się, które z nich nadejdzie pierwsze, by uratować swojego prawdziwego ojca.

Czas miał dla nich inne znaczenie niż to było w epoce przednunjańskiej.

Nie odczuwali głodu, nie spali. Wczepieni w siebie jak kochankowie czekali, ukryci we wnętrzu skały. Czasami dochodziły do nich głosy z powierzchni ziemi, odbijając się echem wzdłuż korytarzy, wytworzonych przez nikłe, ale stałe ruchy ziemi. Ale te urywane dźwięki nic im nie mówiły o rozwoju i poczynaniach ich dzieci, z którymi utrzymywali - w najlepszym razie - wątły kontakt psychiczny. Przynajmniej do dzisiejszego wieczoru.

Dziś wieczór ich potomkowie spotkali się; kontakt stał się nagle bardzo wyraźny, jak gdyby dzieci, widząc jak bardzo się od siebie różnią - zrozumiały nagle coś ze swych własnych natur i w ten sposób mimowolnie otworzyły swoje umysły wobec dawców swojego życia.

Fletcher odkrył swoją obecność w myślach chłopca imieniem Howard, syna Trudi Katz.

Widział dziecko wroga oczami chłopca, podobnie jak dżaff patrzył na Howie'ego oczyma swojej córki.

Na tę chwilę czekali. Wojna, którą prowadzili na terytorium połowy Ameryki wyczerpała ich obydwu, ale teraz na świecie były ich dzieci, które będą za nich walczyć; zakończą walkę, nierozstrzygniętą od dwóch dziesięcioleci. Tym razem będzie to walka na śmierć i życie.

Takie mieli w każdym razie rachuby. Teraz, po raz pierwszy w życiu.

Fletchera i dżaffa przeszył jeden ból - ten sam kolec przebił dusze ich obydwu.

To nie była wojna, do cholery. To wcale nie przypominało wojny.

- Stracił pan apetyt? - spytała kelnerka.

- Chyba tak - odparł Howie.

- Mam to zabrać?

- Tak.

- Podać kawę? Coś na deser?

- Jeszcze jedną colę.

- Jedna cola.

Kiedy Beverly odniosła talerz do kuchni, zastała tam Jo-Beth.

- Zmarnował dobrego hamburgera - powiedziała Beverly.

- Jak on się nazywa? - spytała Jo-Beth.

- Niby kto ja jestem? Biuro umawiania randek? Nie pytałam go.

- To idź i zapytaj.

- Sama go zapytaj. Zamówił jeszcze jedną colę.

- Dzięki. Rzucisz okiem na mój stolik?

- Możesz mi mówić Amorek.

Do tej chwili Jo-Beth udawało się zająć pracą i nie patrzeć na tamtego chłopca przez całe pół godziny; wystarczy. Nalała colę do szklanki i poszła do jego stolika. Z przerażeniem

stwierdziła, że stolik był pusty.

Szklanka o mało nie wypadła jej z ręki; widok pustego krzesła wstrząsnął nią do głębi.

Wtedy ujrzała kącikiem oka, że chłopiec wychodzi z toalety i wraca do stolika. Zobaczył ją i uśmiechnął się. Podeszła do niego, puszczając mimo uszu wezwania dwóch innych klientów.

Już wiedziała, o co ją najpierw zapyta.

- Czy my się skądś znamy?

Oczywiście znała odpowiedź.

- Nie.

- Dopiero, kiedy pani... pani... - zaciął się na tym słowie; mięśnie szczęki pracowały mu, jakby żuł gumę - ...pani...

- Ja pomyślałam to samo - powiedziała w nadziei, że nie będzie miał jej za złe, że dokończy jego myśl. Chyba nie miał. Uśmiechnął się, twarz mu złagodniała. - To dziwne - powiedziała. - Pan chyba nie jest z Grove?

- Nie. Z Chicago.

- To kawałek drogi stąd.

- Ale ja się tutaj urodziłem.

- Naprawdę?

- Nazywam się Howard Katz. Howie.

- Mam na imię Jo-Beth...

- O której kończysz?

- Około jedenastej. Dobrze, że przyszedłeś dziś wieczór. Pracuję tutaj tylko w poniedziałki, środy i piątki. Gdybyś przyszedł jutro, nie spotkalibyśmy się.

- Znaleźlibyśmy się i tak - powiedział z takim przekonaniem, że Jo-Beth zachciało się płakać.

- Muszę wracać do pracy - powiedziała.

- Poczekam.

O godz. 11.10 wyszli razem z baru Butricka. Noc była ciepła, ale duszna i parna.

- Po co przyjechałeś do Grove? - zapytała, gdy szli do jej samochodu.

- Żeby się z tobą spotkać.

Roześmiała się.

- Dlaczego nie? - zapytał.

- No dobrze. Więc dlaczego stąd wyjechałeś?

- Matka wyprowadziła się stąd do Chicago, kiedy miałem kilka tygodni i zabrała mnie

ze sobą. Właściwie nigdy nie mówiła o swoim mieście rodzinnym. Kiedy już o nim

wspominała, to tak, jakby to było jakieś piekło. Chyba sam chciałem się przekonać, jakie ono

jest. Może trochę lepiej zrozumieć ją i siebie.

- Mieszka w Chicago?

- Już nie żyje. Umarła dwa lata temu.

- To smutne. A twój ojciec?

- Nie mam ojca. To znaczy... ja... ja... - zająknął się, zawziął się i wygrał. - Ja nigdy go

nie znałem - dokończył.

- To jeszcze dziwniejsze.

- Dlaczego?

- Ze mną jest tak samo. Ja też nie wiem, kto jest moim ojcem.

- To chyba nie ma większego znaczenia, prawda?

- Kiedyś miało. Teraz już mniej. Mam brata - bliźniaka, wiesz? Tommy-Raya. Zawsze

byliśmy razem. Musisz go poznać. Polubisz go. Wszyscy za nim przepadają.

- Za tobą też. Założę się, że i ciebie... wszyscy... wszyscy kochają.

- Jak to?

- Jesteś piękna. Będę musiał bić się z połową chłopaków z hrabstwa Ventura, prawda?

- Nie.

- Nie wierzę.

- Oni mogą sobie popatrzeć. Ale nie dotknąć.

- Ja też?

Przystanęła na chwilę.

- Nie znam cię, Howie. No, znam cię i nie znam. Kiedy zobaczyłam cię w barze, rozpoznałam cię skądś. Tyle, że ja nigdy nie byłam w Chicago, a ty nie byłeś w Grove od... - zmarszczyła nagle brwi. - Ile masz lat?

- W kwietniu skończyłem osiemnaście.

Jeszcze silniej ściągnęła brwi.

- O co chodzi? - zdziwił się.

- Ja też.

- Co?

- Ja też skończyłam osiemnaście lat w kwietniu. Czternastego.

- Ja drugiego.

- Nie uważasz, że to wszystko zaczyna się robić coraz dziwniejsze? Zdawało mi się, że cię znam. Ty miałeś to samo wrażenie.

- To cię niepokoi.

- Widać to po mnie?

- Tak. Nigdy nie widziałem tak wy... Nigdy nie widziałem tak wyrazistej twarzy.

Chętnie bym cię pocałował.

W głębi skały, duchy zwijały się od bólu. Każde uwodzicielskie słowo, które słyszeli,

było niczym obrót noża w ranie. Ale nie były w stanie przerwać tej rozmowy. Mogły tylko trwać w myślach swoich dzieci i słuchać.

- Pocałuj mnie - powiedziała.

Zadrżały.

Howie położył dłoń na jej policzku.

Duchy zadrżały tak silnie, że zatrzęsała się ziemia wokół nich...

Podeszła pół kroku bliżej i dotknęła jego ust swoimi ustami, uśmiechając się.

...aż pękły betonowe bloki, które osiemnaście lat temu odcięły im drogę.

Dosyć! krzyczały w uszy swoich dzieci, dosyć! Dosyć!

- Poczujesz coś? - zapytał.

Roześmiała się:

- Tak. Czuję, jakby ziemia zadrżała.

III

Dziewczęta były nad jeziorem dwa razy.

Za drugim razem były tam rankiem następnego dnia po spotkaniu Howarda Ralpa Katza i Jo-Beth McGuire. Ranek był słoneczny: wiatr rozpędził duszną atmosferę poprzedniego wieczora i jego chłodne tchnienie obiecywało złagodzenie popołudniowego upału.

Buddy Vance znów spędził samotną noc w łóżku, które zbudował dla trojga. Jak mawiał (niestety powtarzano jego słowa dalej), troje w łóżku to samecny raj. Dwoje to małżeństwo - i piekło. Miał tego dostatecznie wiele, by się przekonać, że małżeństwo nie dla niego, ale ten ranek byłby jeszcze piękniejszy, gdyby wiedział, że czeka na niego jakaś kobieta, niechby nawet żona. Jego związek z Ellen w końcu przekroczył granice wyuzdania; będzie musiał wkrótce się jej pozbyć. Na razie opustoszałe łóżko jakby ułatwiało mu ten

nowy zestaw porannych ćwiczeń. Ponieważ nie nie ciągnęło go z powrotem na materac, bez większych oporów wkładał dres i zbiegał w dół Wzgórza.

Buddy miał 54 lata. Przez jogging czuł, jakby miał dwa razy tyle.

Ale ostatnio zmarło zbyt wielu jego rówieśników - dopiero co odszedł jego dawny agent Stanley Goldhammer; wszyscy padli ofiarą tych samych ekscesów, których on regularnie się dopuszczał - papierosy, alkohol, narkotyki. Ze wszystkich jego grzeszków kobiety najlepiej służyły jego zdrowiu, ale nawet z tej przyjemności musiał korzystać z umiarkowaniem. Nie potrafił już kochać się przez całą noc, jak w czasach, kiedy miał trzydzieści kilka lat. Ostatnio zdarzyło się kilka razy, że zawiódł na całej linii; bardzo to było niemiłe. Po tych niepowodzeniach udał się do swojego lekarza, zadając jakiegoś panaceum, niezależnie od ceny.

- Taki lek nie istnieje - powiedział Tharp. Leczył Buddy'ego od czasu jego kariery w telewizji; show Buddy Vance'a osiągał wtedy najwyższą oglądalność, a dowcip, który rzucał o ósmej wieczorem, powtarzała następnego ranka cała Ameryka. Tharp wiedział, że ten człowiek uchodził kiedyś za najdowcipniejszego człowieka na ziemi i jeszcze dalej.

- Buddy, dzień w dzień wykańczasz swoje ciało, a mówisz, że nie chcesz umierać.

Wciąż chcesz grać o całą stawkę.

- Tak.

- Jeśli tak dalej pójdzie, to dam ci jeszcze dziesięć lat. To znaczy, jeśli będziesz miał szczęście. Masz nadwagę, jesteś zestresowany. Widziałem już zdrowszych nieboszczyków.

- Lou, to ja rozśmieszam ludzi.

- Tak, a ja wypisuję akty zgonu. Weź się za siebie, do diabła, albo pójdiesz tam, gdzie Stanley.

- Myślisz, że się nad tym nie zastanawiam?

- Wiem, Bud, wiem.

Tharp wyszedł z za biurka i podszedł do Buddy'ego. Na ścianach wisiały zdjęcia i autografy gwiazd, którym doradzał i które leczył. Tyle wielkich nazwisk. Większość już nie żyła; zbyt wielu zmarło przedwcześnie. Sława ma swoją cenę.

- Cieszę się, że zaczynasz myśleć rozsądnie. Jeśli rzeczywiście podchodzisz do sprawy poważnie...

- Przecież sam tu przyszedłem! Czy można być jeszcze poważniejszym, do cholery?!

Lou, ty wiesz, że nienawidzę rozmów o tym świństwie. Nigdy w życiu nie opowiadałem kawałów o śmierci. Wiesz o tym? Ani razu.

Wszystko, tylko nie to. Nie to!

- Przecież to i tak wszystkich czeka, prędzej czy później.

- Decyduję się na później.

- No dobrze, więc przygotuję ci plan działania: dieta, ćwiczenia, praca. Ale posłuchaj mnie, Buddy, to nie będzie przyjemna lektura.

- Słyszałem takie powiedzonko: Śmiech przedłuża życie.

- Powiedz mi, gdzie jest napisane, że komicy nie umierają, a ja ci pokażę pewien nagrobek z kalamburem.

- No dobra. Kiedy mam zacząć?

- Zaczynaj dzisiaj. Odstaw piwko i trawkę, popływaj sobie od czasu do czasu w tym swoim basenie.

- Trzeba go oczyścić.

- Więc zajmij się tym.

Z basenem poszło jak z płatką. Kiedy tylko Buddy wrócił do domu, kazał Ellen zadzwonić do Przedsiębiorstwa Usług Basenowych; przysłali kogoś zaraz następnego dnia.

Reżym zdrowotny - tak jak ostrzegał Tharp był już trudniejszą sprawą, ale kiedy słabła jego wola, przypominał sobie, jak wygląda w niektóre poranki jego twarz w lustrze i o tym, że może zobaczyć swój członek tylko wtedy, gdy wciąga brzuch aż do bólu. Kiedy zawodziła próżność, myślał o śmierci, ale to już w ostateczności.

Zawsze był rannym ptaszkiem, więc wczesne wstawanie i poranne biegi nie sprawiały mu większej przykrości. Chodniki były puste; często - jak dziś - zbiegał w dół Wzgórza przez East Grove do lasów. Na miękkim terenie nie odbijał sobie boleśnie stóp tak jak na betonie, a jego sapaniu wtórował śpiew ptaków. W takie dni biegał tylko w jedną stronę; kazał Joe Luisowi czekać w limuzynie u stóp Wzgórza, aż przybiegnie z głębi lasu; w samochodzie czekały ręczniki i mrożona herbata. Potem dostaną się na górę do Coney Eye - jak - nazwał swoją posiadłość - łatwym sposobem na czterech kółkach. Zdrowie to jedno, ale masochizm - przynajmniej w miejscu publicznym - to drugie.

Oprócz wzmocnienia mięśni brzucha, biegi miały także inne zalety.

Buddy miał dla siebie mniej więcej godzinę, by zastanowić się nad gnębiącymi go sprawami. Dzisiaj, oczywiście, musiał myśleć o Rochelle. Sprawa rozwodowa zakończy się w sądzie w tym tygodniu i jego szóste małżeństwo będzie zamkniętym rozdziałem. Spośród sześciu małżeństw, to będzie drugie w kolejności co do krótkości trwania. Najszybciej potoczyły się jego czterdzieści dwa dni z Shashi; zakończył je strzał, który o mało nie odstrzelił mu jaj - oblewał się zimnym potem za każdym razem, gdy o tym myślał. Zresztą z Rochelle nie spędził wspólnie więcej niż miesiąc w roku, w którym się pobrali. Gdy skończył się - nie wolny od niespodzianek - miesiąc miodowy - wyniosła się z powrotem do Forth Worth, aby ustalić wysokość alimentów. To małżeństwo było niedobre od samego początku.

Powinien był to zrozumieć za pierwszym razem, gdy nie roześmiała się słysząc jego

skecz; zresztą w ogóle słyszała jego skecze pierwszy raz w życiu.

Jednak ze wszystkich jego żon, łącznie z Elizabeth, ta była najbardziej pociągająca fizycznie. Miała twarz jakby wykutą w kamieniu, ale rzeźbiarz był geniuszem.

Myślał o jej twarzy, kiedy zbiegł z chodnika i znalazł się w lesie. Może powinien do niej zadzwonić, poprosić by przyjechała do Coney - na ostatnią decydującą próbę. Już to raz zrobił - z Diane; ze wszystkich lat wspólnego życia przeżyli wtedy swoje najlepsze dwa miesiące, zanim odżyły stare żale. Ale tam to była Diane, to - Rochelle. Przenoszenie systemu reakcji z jednej kobiety na drugą nie miałooby sensu. Kobiety były tak cudownie różne. W porównaniu z nimi mężczyźni byli tacy nudni, pozbawieni gustu - tylko im jedno było w głowie. W następnym życiu chciałby urodzić się lesbijką.

Z oddali dobiegł śmiech - typowy chichot młodych dziewcząt. Dziwny dźwięk o tak wczesnej porze. Przystanął i nadstawił ucha, ale w powietrzu zamilkły nagle wszystkie dźwięki, łącznie ze śpiewem ptaków. Słyszał tylko wewnętrzne odgłosy własnego, przeciążonego organizmu. Czy się przesłyszał? Zupełnie możliwe - kobiety zaprzętały wszystkie jego myśli. Ale Kiedy już miał opuścić przycichły gąszcz, znowu zadźwięczał chichot, a wtedy wokół niego zaszły dziwne zmiany, bliskie halucynacji. Ten dźwięk jakby ożywił cały las. poruszył listowiem, rozjaśnił światło słońca.

Co więcej - zmienił kierunek promieni słonecznych. W niedawnej ciszy światło było blade, sączyło się gdzieś z dołu, na wschodzie. Gdy zabrzmiał śmiech, jak sygnał rozbłysło południowe słońce, zalewając blaskiem liście.

Buddy ani wierzył, ani nie wierzył własnym oczom - po prostu sycił się tym doświadczeniem jak kobiecą urodą - jak zahipnotyzowany. Rozpoznał kierunek, z którego dochodził śmiech, gdy zadźwięczał po raz trzeci; rzucił się pędem w tamtą stronę, wśród mieniącego się światła.

W odległości kilku jardów, między drzewami dojrzał jakiś ruch. Mignęła naga skóra.

Jakaś dziewczyna zdejmowała bieliznę. Obok inna dziewczyna, wybitnie urodziwa blondynka, również zaczynała się rozbierać. Instykt mówił mu, że nie są całkiem prawdziwe, ale wciąż posuwał się do przodu, ostrożnie, z obawy, że je spłoszy. Czy złudzenia można spłoszyć? Nie chciał ryzykować, gdy widok był tak piękny. Blondynka rozebrała się jako ostatnia.

Jak zauważył, były jeszcze trzy inne; wstępowały właśnie w nieruchome wody jeziora, wzbudzając migotliwe fale na brzegu. Blask poruszonej wody oświetlał twarz jasnowłosej - Arleen, jak wołały do niej dziewczęta ze środka jeziora. Biegając od drzewa do drzewa, Buddy znalazł się o dziesięć stóp od brzegu jeziora. Arleen zanurzyła się już w wodzie po uda. Chociaż pochylila się, by nabrać wody w dłonie i ochlapać się, woda była właściwie niewidoczna. Dziewczęta, które zanurzyły się głębiej niż ona i pływały, jakby unosiły się w powietrzu.

Duchy, pomyślał niejasno. To duchy. Podglądam przeszłość - ktoś puścił dla mnie starą taśmę. Ta myśl kazała mu wyjść z ukrycia. Jeśli to prawda, to mogą zniknąć w każdej chwili; zanim się to stanie, pełnym haustem zaczerpnie rozkosz tego widoku.

W trawie nie było śladu ich ubrań; niczym też nie okazywały, że widzą go na brzegu, gdy to jedna, to druga spoglądała w tę stronę.

- Nie płyn za daleko - zawołała do koleżanki jedna z czwórki dziewcząt. Bez rezultatu.

Dziewczyna coraz bardziej oddalała się od brzegu; płynąc, rozkładała i zwieriała nogi, rozkładała i zwieriała. Od czasu, gdy w okresie dojrzewania po raz pierwszy splamił prześcieradło podczas snu, nie pamiętał równie podniecającego przeżycia jak teraz, gdy przypatrywał się tym istotom, zawieszonym w połyskliwym powietrzu; żywioł, który je unosił, lekko zamazywał kontury dolnych partii ich ciał, ale nie na tyle, by nie mógł sycić

oczu każdym ich szczegółem.

- Ciepła! - zawołała ta, która wysforowała się najbardziej do przodu, najdalej od Buddy'ego. - Tutaj woda jest ciepła!

- Nie zgrywaj się!

- Chodź, sama się przekonasz!

Te słowa obudziły w Buddym następne pragnienie. Tyle już widział. Czy odważy się dotknąć? Jeśli one najwyraźniej go nie widziały, to może podejdzie do nich tak blisko, by przesunąć palcami wzdłuż ich pleców?

Gdy wszedł do jeziora, woda nie wydała dźwięku; prawie nie czuł jej dotyku na kostkach, łydkach. Zanurzał się coraz bardziej. Ale woda była dostatecznie realna, by nieść Arleen na swym grzbiecie. Dziewczyna unosiła się na powierzchni jeziora, jej włosy rozłożyły się jak wachlarz, łagodne ruchy jej ramion unosiły ją coraz dalej od Buddy'ego. Ruszył pośpiesznie za nią, woda nie stawiała mu oporu; w parę sekund pokonał połowę dzielącej ich odległości. Szedł z rozpostartymi ramionami, nie odrywając oczu od jej różowych warg sromowych, a ona biła nogami o wodę.

Dziewczyna, która wypłynęła najdalej, zaczęła nagle krzyczeć, ale Buddy nie zwracał na nią uwagi. Myślał tylko o tym, by dotknąć Arleen. Położył dłoń na jej ciele, a ona nie zaprotestuje, tylko będzie płynąć dalej, podczas gdy on będzie robić swoje. W pośpiechu nie patrzył, gdzie idzie, aż zaczepił o coś stopą. Upadł na twarz, wciąż wyciągając przed siebie ramiona. Upadek otrzeźwił go na tyle, że zrozumiał, co oznaczały krzyki dochodzące z jeziora. Nie były to już okrzyki radości, ale przerażenia. Uniósł głowę.

Tamte dwie pływaczki szamotały się w powietrzu, zwracając twarze ku niebu.

- O mój Boże - powiedział.

Topiły się. Przed chwilą nazwał je duchami, nie zaprzatając sobie zbytnio głowy

znaczeniem tego słowa. Teraz rozumiał straszną prawdę.

W tych widmowych wodach kąpiel zakończyła się kiedyś tragicznie dla kilku dziewcząt, on zaś sycił oczy widokiem topielic.

Poczuł wstręt do samego siebie, ale jakiś perwersyjny przymus kazał mu obserwować przebieg tragedii. Teraz wszystkie cztery walczyły we wzburzonej wodzie; twarze im ciemniały w miarę jak traciły oddech. Jakże to było możliwe? Wyglądało na to, że toną w wodzie o głębokości czterech czy pięciu stóp. Czy wpadły w jakiś wir? Niezbyt to było prawdopodobne w tak płytkiej i wyraźnie spokojnej wodzie.

- Pomóżcie im... - usłyszał swój głos. - Niech je ktoś ratuje...

Ruszył w ich stronę, jakby sam mógł je uratować. Arleen była najbliżej.

W jej twarzy, wykrzywionej rozpaczą i przerażeniem, nie było śladu dawnej urody. Jej rozszerzone źrenice jakby coś nagle dostrzegły w głębi wód u jej stóp. Przestała się szamotać; na jej twarzy ukazał się wyraz całkowitego poddania - konała.

- Nie - powiedział cicho Buddy, wyciągając do niej ramiona, jakby mógł w ten sposób unieść ją z przeszłości i przywrócić życiu. Ledwie dotknął ciała dziewczyny, zrozumiał, że ta sprawa musi się źle skończyć dla nich obojga. Ale za późno było na żal. Ziemia pod nimi zadrżała.

Spojrzał w dół. Zobaczył cienką warstewkę ziemi, z rzadka porosłą trawą. Pod ziemią - szara skała, a może beton? Tak! Beton! Kiedyś zatkano betonowym czopem otwór w ziemi; teraz beton pękał w jego oczach, szczeliny wciąż się powiększały. Obejrzał się w stronę brzegu, bezpiecznego lądu, ale już głęboka wyrwa odcięła mu odwrót - o niecały metr od niego bryła betonu wpadła w głąb ziemi. Wydobywało się stamtąd lodowate zimno.

Obejrzał się na pływaczki, ale miraż już zanikał. Na twarzach wszystkich pływaczek widział ten sam wyraz: z oczu wywróconych w głąb czaszki pozostały tylko białka - piły

śmierć otwartymi ustami. Teraz zrozumiał, że nie tonęły na płytkiej wodzie. Kiedy wtedy przyszły się tu kąpać, była tam głęboka jama, która zabrała ich życie, tak jak teraz zabierała jego życie; dziewczęta zatopiła woda, jego - duchy topielic.

Kiedy wstrząsy się nasilały, a beton kruszył się pod jego stopami na pył, Buddy zaczął przeraźliwie wzywać pomocy. Może usłyszy go jakiś inny poranny biegacz i przybiegnie mu z pomocą. Byle szybko - nie było czasu do stracenia.

Kogo oszukiwał? Przed kim się zgrywał, on - komik i zgrywus? Przecież już po nim, do jasnej cholery. Musi umrzeć.

Wyrwa między nim a lądem znacznie się poszerzyła, ale mógłby się uratować tylko wtedy, gdyby ją przeskoczył. Musi się spieszyć, zanim zwały betonu na dnie jeziora zapadną się w głąb szybu, wciągając go ze sobą. Teraz albo nigdy.

Skoczył. To był dobry skok. Jeszcze kilka cali i byłby uratowany. Nie sięgnął stopami ziemi, upadł, zaciskając w pięściach powietrze.

Jeszcze chwilę słońce padało na szczyt jego głowy. W następnej chwili zapadł się w ciemność, w lodowatą czerń, a za nim leciały odłamki betonu.

Słyszał, jak biły z trzaskiem o litą skałę. Potem zrozumiał, że to ON wydaje te dźwięki.

Spadał i słyszał, jak pękają jego kości i kręgosłup. Wciąż spadał.

Dzień rozpoczął się dla Howie'ego wcześniej, niż by sobie normalnie życzył po tak krótkim śnie, ale kiedy już wstał i przegimnastykował się, był zadowolony, że nie śpi.

Leżenie w łóżku w tak promienny poranek byłoby zbrodnią. Kupił sobie wodę sodową z automatu, siadł przy oknie, patrzył w niebo i dumał o tym, co przyniesie mu dzień.

Nieprawda, wcale o tym nie myślał. Myślał o Jo-Beth, tylko o Jo-Beth.

O jej oczach, uśmiechu, głosie, skórze, zapachu, o jej tajemnicy. Patrzył w niebo, a

widział Jo-Beth; był nią opętany.

Po raz pierwszy przeżywał coś podobnego. Nigdy jeszcze nie odczuwał równie silnych doznań. Budził się w nocy dwa razy, zlany potem. Nie pamiętał, co jeszcze mu się śniło, ale z pewnością śniła mu się Jo-Beth. Jakże by mogło być inaczej? Musi znów się z nią zobaczyć. Stracona była każda godzina, którą spędzał z dala od niej. Każda chwila, kiedy jej nie widział - ślepa; każda chwila, kiedy jej nie dotykał - martwa.

Kiedy rozstawali się zeszłego wieczoru, powiedziała, że wieczorami pracuje u Butricka, a w ciągu dnia - w księgarni. Pamiętając niewielkie rozmiary Pasażu Handlowego, wiedział, że bez trudu znajdzie jej miejsce pracy. Kupił całą torbę pączków, by zapełnić pustkę w żołądku, powstałą po wczorajszym poście. O tej drugiej pustce w sobie, którą przyjechał tu leczyć, zupełnie teraz nie myślał. Szedł wzdłuż szeregu sklepów, szukając jej księgarni. Znalazł ją między zakładem pielęgnacji psów i biurem handlu nieruchomościami. Była zamknięta, podobnie jak większość sklepów: jak wynikało z wywieszki na drzwiach, do otwarcia zostały jeszcze trzy kwadransy. Usiadł w słońcu, które przygrzewało coraz mocniej, jadł i czekał.

Kiedy tylko Jo-Beth otworzyła oczy, zrozumiała, że musi dzisiaj dać sobie spokój z pracą i odszukać Howie'ego. Wydarzenia poprzedniego wieczoru wciąż powracały w jej snach, za każdym razem w lekko zmienionej postaci, jakby stanowiły wymienne rzeczywistości - wybór z niezliczonych możliwości, które miały źródło w tym samym spotkaniu. Ale spośród wszystkich tych możliwości nie pomyślałaby o żadnej, w której nie byłoby Howie'ego. On istniał, czekał na nią od jej pierwszego oddechu; czuła to każdą komórką swego ciała. W jakiś nieuchwytny sposób ona i Howie należeli do siebie.

Jo-Beth świetnie wiedziała, że gdyby któraś z jej koleżanek przyznała się do podobnych przeżyć, dałaby jej delikatnie do zrozumienia, że jest śmieszna. Oczywiście już przedtem

zdarzało się, że czyjaś twarz budziła w niej tęsknotę; głośniejsz nastawiała radio, gdy nadawali pewną piosenkę o miłości. Ale nawet słuchając tej piosenki wiedziała, że jest to tylko odskocznia od rzeczywistości, która nie ma w sobie nic z piosenki.

Prawdziwą ofiarę tej rzeczywistości miała na co dzień przed oczyma. Jej matka - prowadząca życie więźnia - więziona przez dom i jej własną przeszłość; w dniach, kiedy zebrła dość chęci, by mówić, opowiadała jej o dawnych nadziejach i przyjaciółkach, z którymi je dzieliła. Ten smutny widok do tej pory hamował romantyczne porywy Jo-Beth; właściwie hamował wszystkie jej dążenia.

Ale sprawa między nią a tym chłopcem z Chicago nie zakończy się tak, jak wielki romans jej matki, porzuconej przez mężczyznę, którym pogardzała do tego stopnia, że nie była w stanie wymówić jego imienia. Jeśli wszystkie niedzielne kazania czegoś ją nauczyły - a nie opuściła ani jednego - to tego, że objawienie przychodzi w najmniej spodziewanym czasie i miejscu.

Anioł objawił Ewangelię Mormonów Josephowi Smithowi na farmie w Palmyra, w stanie Nowy Jork. Dlaczego by jej objawienie miało przyjść w jakichś ciekawszych okolicznościach? Dlaczego by nie w chwili, kiedy wchodziła do Baru Butricka; kiedy stała na parkingu z mężczyzną, którego znała zewsząd i znikąd?

Tommy-Ray był w kuchni; jego spojrzenie było równie przenikliwie, jak zapach kawy, którą właśnie parzył. Wyglądał tak, jakby spał w ubraniu.

- Późno się położyłeś? - zapytała.

- Tak jak ty.

- Niezupełnie. Wróciłam do domu przed północą.

- Ale nie spałaś.

- To spałam, to się budziłam.

- Nie spałaś. Dobrze słyszałem.

To raczej nieprawdopodobne, pomyślała. Ich sypialnie znajdowały się na przeciwległych krańcach domu: nie mógł jej słyszeć nawet idąc do łazienki.

- No więc? - rzucił.

- Co, no więc?

- Porozmawiaj ze mną.

Wyczuła w nim jakieś zdenerwowanie, wytrąciło ją to z równowagi.

- Tommy? Co ci jest?

- Słyszałem cię - powtórzył. - Słyszałem cię przez całą noc. Coś ci się przydarzyło wczoraj wieczorem, prawda?

Nie mógł wiedzieć o Howiem. Tylko Beverly mogła się domyślać, że coś zaszło w Barze Butricka, ale nie zdążyłaby rozpuścić plotek nawet gdyby chciała - co było wątpliwe.

Miała dość własnych sekretów do ukrycia przed ciekawymi.

Poza tym, o czym tu mówić? Że kokietowała klienta? Że się całowali na parkingu?

Jakie to mogło mieć znaczenie dla Tommy-Raya?

- Coś się stało wczoraj wieczorem - upierał się przy swoim. Poczułem, że coś się zmieniło. Ale to, na co czekaliśmy, cokolwiek to było... to nie przyszło do mnie. Więc musiało to przyjść do ciebie, Jo-Beth. Cokolwiek to było, przytrafiło się tobie.

- Poczęstujesz mnie kawą?

- Odpowiadaj.

- Co mam ci odpowiedzieć?

- Co się stało?

- Nic.

- Kłamiesz - w jego głosie było więcej zawodu niż oskarżenia. Dlaczego nie

powiedziałaś mi prawdy?

Było to rozsądne pytanie. Jo-Beth nie wstydziła się Howie'ego ani tego, co do niego czuła. Z Tommy-Rayem dzieliła każdy tryumf i klęskę swych osiemnastu lat. Nie wypaplałby tego sekretu mamie ani pastorowi. Ale patrzył na nią tak dziwnie. Nie mogła go rozgryźć. I jeszcze te słowa, że słyszał ją przez całą noc. Czy podsłuchiwał pod jej drzwiami?

- Muszę się zbierać - powiedziała. - Bo naprawdę spóźnię się do sklepu.

- Jadę z tobą.

- Po co?

- Przejadę się kawałek.

- Tommy...

Uśmiechnął się do niej.

- Co w tym złego, przewieźć własnego brata?

Prawie się nabrała na to przedstawienie, ale gdy kiwnęła głową na znak zgody, uśmiech nagle znikł z jego twarzy.

- Musimy mieć do siebie zaufanie - powiedział, kiedy już jechali samochodem. - Tak jak zawsze do tej pory.

- Wiem.

- Bo razem jesteśmy silni, prawda? - patrzył w okno szklanym wzrokiem. - A właśnie teraz muszę czuć się silny.

- Powinieneś się przespać. Może odwieźć cię z powrotem do domu. najwyżej się spóźnię.

Potrząsnął głową:

- Nienawidzę domu.

- Co ty wygadujesz?

- Ale to prawda. Oboje go nienawidzimy. Przez niego mam te koszmarne sny.

- Tommy, to nie jest wina domu.

- Właśnie, że tak. Ten dom, matka, całe to śmierdzące miasto! Popatrz sama! -

nieoczekiwanie wpadł we wściekłość. - Popatrz na tę kupę gówna! Nie chciałabyś rozwalić

tego pieprzonego miasta? - w zamkniętej przestrzeni samochodu jego krzyk był nie do

zniesienia. - Wiem, że chcesz - powiedział, wpatrując się w nią dziko rozszerzonymi oczami.

- Nie kłam, mała siostrzyczko.

- Tommy, nie jestem twoją małą siostrzyczką.

- Jestem starszy od ciebie o trzydzieści pięć sekund. - To był ich stały żart. Nagle żart

zmienił się w próbę sił. - Trzydzieści pięć sekund dłużej na tej kupie gówna.

- Przestań się wygłupiać - powiedziała, zatrzymując nagle samochód. - Nie mam

zamiaru tego słuchać. Najlepiej będzie jak wysiądziesz i się przespacerujesz.

- Chcesz, żebym krzyczał na ulicy? To będę. Myślisz, że nie? Będę wrzeszczał, aż się

zaważą te ich śmierdzące domy.

- Zachowujesz się jak skończony dupek.

- No, no, nieczęsto słyszę takie słowa z ust mojej siostrzyczki - powiedział z wyraźnym

zadowoleniem. - Dziś rano coś odmieniło nas oboje.

Miał rację. Czują, że jego furia rozpała jej gniew w sposób, na jaki nigdy dotąd sobie

nie pozwalała. Byli bliźniętami, podobnymi do siebie pod wieloma względami, ale w nim

zawsze było więcej buntu. Jo-Beth odgrywała rolę potulnej córki, skrywając pogardę, którą

miała dla zakłamania panującego w Grove, ponieważ matka - ofiara tego zakłamania - wciąż

potrzebowała aprobaty miasteczka. Ale zdarzyło się, że Jo-Beth zazdrościła Tommy-Rayowi

jego nieskrywanej pogardy i pragnęła - tak jak on - napluć konwenansom w oczy; wiedział, że

okupi swoje wykroczenia jednym uśmiechem. Wszystkie te lata żył według taryfy ulgowej.

Jego mowa oskarżycielska przeciwko miastu to narcyzm; uwielbiał siebie w roli buntownika.

To jej psuło poranek, którym pragnęła się rozkoszować.

- Porozmawiamy wieczorem, Tommy.

- Naprawdę?

- Przecież ci powiedziałam.

- Musimy sobie pomagać.

- Wiem.

- Zwłaszcza teraz.

Nagle przycichł, jakby cała wściekłość opuściła go w jednym oddechu, a wraz z nią cała energia.

- Boję się - powiedział cichutko.

- Nie ma się czego bać. Tommy. Po prostu jesteś zmęczony. Powinieneś wrócić do domu i położyć się.

- Tak, tak.

Byli w Pasażu. Nie chciało jej się odprowadzać samochodu na parking.

- Weź samochód powiedziała i jedź do domu. Wieczorem Lois mnie odwiedzie.

Kiedy wysiadała, schwycił ją za ramię, zaciskając palce tak silnie, że poczuła ból.

- Tommy... - zaczęła.

- Mówiłaś poważnie? Naprawdę nie ma czego się bać?

- Naprawdę - powiedziała.

Pochylił się, by ją pocałować.

- Ufam ci - powiedział, z ustami przy jej ustach. Jego twarz zasłaniała jej widok, trzymał jej ramię, jakby brał ją w posiadanie.

- Wystarczy, Tommy - powiedziała, uwalniając ramię. - Jedź do domu.

Wysiadając prawie trzasnęła drzwiami; nie rzuciła mu pożegnającego spojrzenia.

- Jo-Beth.

Przed nią stał Howie. Na ten widok żołądek podskoczył jej do gardła. Za sobą słyszała przeraźliwe dźwięki klaksonów. Szybko obejrzała się za siebie - Tommy-Ray nie odjechał, tarasował wjazd innym pojazdem. Wpatrywał się w nią; sięgnął do klamki; wysiadł. Hałas klaksonów nasilił się. Ktoś krzyknął, żeby usunął się z drogi, ale Tommy-Ray nie zwracał na tamtych uwagi. Patrzył tylko na Jo-Beth. Nie miała już czasu, by dać Howie'emu jakiś znak, żeby nie podchodził. Wyraz twarzy Tommy-Raya jasno świadczył, że wszystko zrozumiał z radosnego uśmiechu, jakim Howie powitał Jo-Beth.

Patrzyła na Howie'ego z beznadziejną rozpaczą.

- No, no, patrzcie państwo usłyszała za sobą głos Tommy-Raya. Jej rozpacz przeszła w strach.

- Howie... - zaczęła.

- Jezu, ależ był ze mnie idiota - powiedział Tommy-Ray.

Odwróciła się do niego, próbowała się uśmiechnąć:

- Tommy, chciałabym ci przedstawić Howie'ego.

Nigdy jeszcze nie widziała na twarzy Tommy-Raya takiego wyrazu; nie wiedziała, że ta uwielbiana twarz mogłaby wykrzywić się tak złośliwie.

- Howie? - zapytał - czy chodzi o Howarda?

Przytaknęła, rzucając szybkie spojrzenie na Howie'ego.

- Chciałabym przedstawić ci mojego brata. Brata bliźniaka. Howie, to jest Tommy-Ray.

Kiedy mężczyźni podeszli do siebie, by się przywitać, mogła widzieć teraz ich obydwu.

Słońce jednakowo oświetlało jednego i drugiego, ale w tym oświetleniu Tommy-Ray nie prezentował się korzystnie, mimo opalenizny.

Spod tej warstewki zdrowia przebijał niezdrowy odcień; oczy miał zapadnięte i pozbawione blasku; skóra na jego policzkach i skroniach była zbyt napięta. Wygląda jak trup - pomyślała nagle. Tommy-Ray wygląda jak trup.

Howie wyciągnął rękę na powitanie, ale Tommy-Ray zignorował go i zwrócił się nagle w stronę siostry:

- Na razie - powiedział ledwie dosłyszalnie. Protesty kierowców prawie go zagłuszyły, ale Jo-Beth usłyszała w jego głosie wyraźną pogroźkę.

Odwrócił się i poszedł do samochodu. Nie mogła widzieć jego przeproszającego uśmiechu, ale potrafiła go sobie wyobrazić. Oto wcielenie nieodpartego czaru podnosi ramiona w parodii poddania się, wiedząc, że napastnicy są bez szans.

- Co to było? - zapytał Howie.

- Sama nie wiem. Dziwnie się zachowuje od...

Chciała powiedzieć: od wczoraj, ale właśnie przed chwilą wykryła, że jego urok zaatakował rak, że ten rak musiał w nim istnieć od zawsze, tylko ona - podobnie jak i reszta świata - była zbyt olśniona, by go zauważyć.

- Może trzeba mu pomóc - powiedział Howie.

- Chyba lepiej zostawić go w spokoju.

- Jo-Beth! - dobiegło czyjeś wołanie. Wielkimi krokami nadchodziła jakaś kobieta w średnim wieku; prostota jej rysów i ubioru była bliska surowości. Czy to był Tommy-Ray? - zapytała, podchodząc.

- Tak.

- Całkiem już o nas zapomniał - stanęła o jard od Howie'ego, wpatrując się w niego z umiarkowanym zdziwieniem. - Idziesz do sklepu, Jo-Beth? - zapytała, nie odrywając oczu od Howie'ego. - Już jesteśmy spóźnione.

- Już idę.
- Czy twój znajomy także wejdzie? - zapytała znacząco kobieta.
- No tak, przepraszam... Howie, to jest Lois Knapp.
- Pani Lois Knapp - wtrąciła kobieta, jakby stan małżeński był talizmanem, chroniącym ją przed nieznanymi młodymi mężczyznami.
- Lois... to jest Howie Katz.
- Katz? - powtórzyła pani Knapp. Oderwała od Howie'ego oczy, by spojrzeć na zegarek.
- Pięć minut spóźnienia - stwierdziła.
- Nie szkodzi - odparowała Jo-Beth. - Przed dwunastą i tak nikt nie przychodzi.

Te nieogłędne słowa wyraźnie zgorszyły panią Knapp.

- Nie należy lekceważyć pracy danej nam przez Boga - zauważyła. - Proszę się pośpieszyć - odeszła sztywnym krokiem.
- Śmieszna paniusia - skwitował zajście Howie.
- Nie jest taka zła, na jaką wygląda.
- To byłoby trudne.
- Lepiej już pójdę.
- Dlaczego? - zaprotestował Howie. - Taki piękny dzień. Moglibyśmy gdzieś pójść.

Skorzystać z pogody.

- Piękny dzień będzie jutro, pojutrze i popojutrze. To jest Kalifornia, Howie.
- To nic, chodź ze mną.
- Poczekaj, najpierw spróbuję dogadać się z Lois. Nie chcę z wszystkimi zadzierać.

Mama by się denerwowała.

- Więc kiedy?
- Co kiedy?

- Kiedy będziesz wolna?

- Uparłeś się?

- Tak.

- Powiem Lois, że dziś po południu muszę się zająć Tommy-Rayem. Powiem, że

Tommy źle się czuje. Jest w tym dużo prawdy. Potem podjadę pod motel. Zgoda?

- Obiecujesz?

- Tak. - Już odchodząc zapytała: - Coś nie tak?

- Nie chcesz... nie chcesz mnie pocałować na ulicy, tak?

- Oczywiście, że nie chcę.

- A nie na ulicy?

Wciąż się wycofując, uciszyła go bez wielkiego przekonania.

- Powiedz, że tak.

- Howie.

- Po prostu powiedz, że tak.

- Tak.

- Widzisz, to nic trudnego.

Późnym rankiem tego dnia, kiedy popijały wodę z lodem w pustym sklepie, starsza

kobieta powiedziała:

- Howard Katz.

- Tak? - zapytała Jo-Beth, przygotowując się do wysłuchania wykładu na temat traktowania osobników rodzaju męskiego.

- Nie mogłam sobie przypomnieć, skąd znam to nazwisko.

- Teraz już wiesz?

- W Grove mieszkała pewna kobieta o tym nazwisku. Dawno temu zaczęła w skupieniu

wycierać serwetką wilgotne kółko, pozostawione przez szklanę na blacie lady. Jej milczenie i wysiłek, który włożyła w usunięcie tak małej plamy, świadczyły, że najchętniej zmieniałaby temat, gdyby Jo-Beth nie miała więcej pytań. A jednak czuła się w obowiązku poruszyć ten temat.

Dlaczego?

- Czy była twoją przyjaciółką?

- Nie, moją nie.

- Mojej matki?

- Tak - powiedziała Lois, wciąż trąc serwetką suchą ladę. - Tak, była jedną z przyjaciółek twojej mamy.

Nagle Jo-Beth przypomniała sobie:

- Jedną z czwórki - powiedziała. - Była jedną z tej paczki.

- Chyba tak.

- Miała dzieci?

- Wiesz, nie pamiętam.

Te słowa były najbardziej zbliżone do kłamstwa, na jakie mogłaby się zdobyć kobieta tak prawdomówna, jak Lois. Jo-Beth znała ją dobrze.

- Pamiętasz - powiedziała. - Powiedz mi, proszę cię.

- No więc tak. Chyba sobie przypominam. Miała chłopca.

- Howarda.

Lois skinęła głową.

- Jesteś pewna?

- Tak, jestem pewna.

Teraz zamilkła Jo-Beth. W świetle tego odkrycia próbowała na nowo ocenić wydarzenia

ostatnich dni. Co miały ze sobą wspólnego jej sny, przyjazd Howie'ego i choroba Tommy-Raya oraz jak się to wszystko wiązało z opowieścią, którą słyszała w dziesięciu różnych wersjach - opowieścią o kąpieli w jeziorze, która skończyła się śmiercią, szaleństwem i dziećmi?

Może matka będzie wiedziała.

Szofer Buddy Vance'a, Jose Luis, czekał w umówionym miejscu przez pięćdziesiąt minut, zanim doszedł do wniosku, że pewnie szef wrócił na Wzgórze o własnych siłach.

Zadzwoił do Coney z samochodowego telefonu. W domu była Ellen - szefa nie było.

Zastanawiali się, co robić; uzgodnili, że poczeka dziesięć minut, a potem pojedzie z powrotem drogą, którą szef wybrałby z największym prawdopodobieństwem.

Nie było go nigdzie wzdłuż tej trasy. Nie przyszedł też w tym czasie do domu. Znów zaczęli omawiać różne możliwości, przy czym Luis taktownie omijał najbardziej prawdopodobny wariant: że gdzieś po drodze Buddy natknął się na damskie towarzystwo. Po piętnastu latach służby u pana Vance'a wiedział, że szef miał wprost nadprzyrodzony dar uwodzenia kobiet.

Wróci do domu po dopełnieniu swych magicznych obrządków.

Buddy nie czuł bólu. Ten fakt napełniał go uczuciem wdzięczności, ale nie oszukiwał się na tyle, by nie wiedzieć, co to znaczy. Jego ciało musiało być zmasakrowane do tego stopnia, że przeciążony bólem mózg po prostu wyłączył bezpieczniki.

Ciemność, która zamknęła się wokół niego, nie posiadała żadnych cech oprócz tej, że nie pozwalała mu widzieć. A może nie miał już oczu, może wybił je sobie podczas spadania.

Jakkolwiek rzecz się miała, Buddy.

Pozbawiony wzroku i czucia, opadał, a opadając - obliczał. Najpierw po jakim czasie

Jose Luis dojdzie do wniosku, że jego szef nie wróci do domu: najwyżej w ciągu dwóch

godzin. Nietrudno będzie odnaleźć jego trasę przez las; kiedy odnajdą szyb, od razu zrozumieją, w jakim się znalazł niebezpieczeństwie. Zejdą do niego w dół jeszcze przed południem. Wyciągną go na powierzchnię i złożą mu kości około godziny czwartej - piątej. Może już było południe.

Mógł mierzyć upływ czasu jedynie za pomocą bicia własnego serca, które brzmiało w jego mózgu. Zaczął liczyć. Gdyby się zorientował, ile naprawdę trwa minuta, mógłby wziąć ją za podstawę obliczeń; po odliczeniu sześćdziesięciu wiedziałby, że przeżył godzinę. Ale gdy tylko zaczął liczyć, jego mózg rozpoczął zupełnie inne obliczenia.

Ile czasu żyłem, myślał. Nie - oddychałem, nie - istniałem, ale naprawdę żyłem?

Urodziłem się pięćdziesiąt cztery lata temu; ile to jest tygodni? Ile godzin? Lepiej przyjąć rok za jednostkę - tak jest łatwiej. Rok składa się w zaokrągleniu z 360 dni. Powiedzmy, że przespał z tego jedną trzecią. Sto dwadzieścia dni przechrapanie. O Boże, jak ten czas się kurczył.

Pół godziny dziennie na kiblu albo opróżniając pęcherz. Przez siedem i pół dnia w roku po prostu wydalal z siebie gnój. Golenie się i prysznic - jeszcze dziesięć dni; jedzenie - trzydzieści albo czterdzieści; gdyby to wszystko pomnożyć przez 54 lata...

Wstrząsnęło nim łkanie. Wydostań mnie stąd. Boże, pozwól, bym się stąd wydostał, a spróbuję żyć, jak nigdy dotąd nie żyłem; każda godzina, każda minuta (nawet śpiąc, nawet się wypróżniając) będzie próbą zrozumienia, tak bym z nadejściem następnej ciemności nie czuł się taki zagubiony.

O 11.00 Jose Luis wsiadł do samochodu i ruszył w dół Wzgórza, wypatrując po drodze szefa. Bez rezultatu. Wstąpił do Baru Przekąskowego w Pasażu, w którym pewien typ kanapki ochrzczono imieniem pana Vance'a, by uhonorować jego patronat (schlebiał mu - kanapka była prawie cała z mięsa), potem do sklepu z płytami, w którym szef nierzadko

dokonywał tysiąc dolarowych zakupów. Kiedy wypytywał Rydera, właściciela sklepu, wszedł jakiś klient i oznajmił wszystkim, których mogłoby to zainteresować, że w East Grove zdarzyła się jakaś lepsza awantura; czy kogoś zastrzelono?

Ruch na drodze wiodącej w stronę lasów został wstrzymany zanim Jose Luis tam dojechał; jakiś policjant w pojedynkę kierował samochody na objazd.

- Nie ma przejazdu - powiedział do Jose Luisa.

- Co się stało? Zastrzelili kogoś?

- Nikogo nie zastrzelili. Po prostu powstała wyrwa w jezdni.

Jose Luis wysiadł z samochodu i popatrzył w głąb lasu przez ramię policjanta.

- Mój szef - wiedział, że nie musi wymieniać nazwiska właściciela limuzyny - biegał tam dziś rano.

- No i?

- Jeszcze nie wrócił.

- O cholera. Lepiej chodź pan ze mną.

Przedzierali się między drzewami w ciszy, przerywanej tylko ledwie zrozumiałymi meldunkami dobiegającymi z radiotelefonu policjanta, na które tamten nie zwracał najmniejszej uwagi. Wyszli z gąszczu na polanę. Grupa umundurowanych policjantów ustawiała barierki na jej obrzeżach, by nie dopuścić nikogo do miejsca, w które obecnie prowadzono Jose Luisa. Ziemia pod stopami była spękana; pęknięcia rosły w miarę jak zbliżał się z policjantem do miejsca, gdzie stał komisarz; stał wpatrzony w ziemię. Jose Luis wiedział, co tam zobaczy, jeszcze zanim tam doszli. Pęknięcie w jezdni i wyrwy, które mijali po drodze były efektem groźniejszego zjawiska: wyrwy, szerokiej na całe dziesięć stóp, z której zionęła ciemność.

- Czego on chce? - zapytał komisarz, celując palcem w Luisa. - Przecież trzymamy tę

sprawę w tajemnicy.

- Chodzi o Buddy Vance'a - powiedział policjant.

- No więc?

- Nie wrócił do domu - powiedział Jose Luis.

- Poszedł pobiegać... - zaczął policjant.

- Niech on mówi - przerwał mu komisarz.

- On tutaj biega codziennie rano. Ale dzisiaj nie wrócił.

- Buddy Vance? - spytał komisarz. - Ten komik?

- Tak.

Komisarz oderwał wzrok od Jose Luisa i spojrzał w głąb wyrwy.

- O mój Boże - powiedział.

- Ile to ma głębokości? - zapytał Jose Luis.

- Co?

- Ta wyrwa.

- To nie wyrwa. To przepaść. Przed chwilą wrzuciłem tam kamień.

Wciąż czekam, aż uderzy o dno.

Buddy zrozumiał, że jest sam; świadomość tego faktu rosła powoli w jego mózgu jak wspomnienie, zbudzone w szlamie niepamięci. Nawet pomyślał w pierwszej chwili, że to naprawdę wspomnienie burzy piaskowej, która zaskoczyła go dawno temu w Egipcie podczas trzeciego miesiąca miodowego. Ale wtedy nie czuł się tak zagubiony i samotny jak w tym wirze powietrznym, który niósł go obecnie. I nie piasek zdarł zasłonę ciemności z jego oczu, by widziały; nie wiatr pobudził membranę jego uszu, by słyszały. To była zupełnie odmienna potęga, nie związana z naturą jak burza, uwięziona w kominie skalnym; burza nie pozwoliłaby się tak uwięzić.

Po raz pierwszy zobaczył szyb, w który wpadł: biegł w górę do słonecznego nieba, tak odległego, że nie mogło mu dać nawet odrobiny nadziei.

Kimkolwiek były duchy, które nagle wyłoniły się z niebytu przed jego oczyma, z pewnością pochodziły z czasów, kiedy gatunek ludzki był tylko błyskiem w oku ewolucji. Istoty straszliwe w swej prostocie: potęgi ognia, i lodu.

Nie mylił się zupełnie, a jednak wcale nie miał racji. Postaci, które wyłoniły się z ciemności niedaleko miejsca, gdzie leżał, to przypominały ludzi jak on sam, to znów czyste formy energii, splecione w uścisku jak potężne węże, wysłane przez wrogie szczepy, by zadusiły się na śmierć. Ta wizja rozpałała jego nerwy i zmysły. Ból, którego mu przedtem oszczędzono, począł się sączyć do jego świadomości cienką strużką, która rosła w strumień, a potem w powódź. Czuł, jakby go złożono na ostrzach noży, które wbijały mu się między kręgi, przebijały trzewia.

Zbyt słaby, by jęczeć, mógł być tylko niemym, cierpiącym świadkiem rozgrywających się przed nim wydarzeń i mieć nadzieję, że szybkie wybawienie lub śmierć zakończy jego katusze. Najlepiej śmierć, pomyślał. Bezbożny drań jak on nie mógł się spodziewać odkupienia, chyba że święte księgi myliły się i raj stał otworem przed cudzołożnikami, pijakami i bluźniercami. Lepiej umrzeć i mieć to wszystko za sobą. Koniec pieśni.

Chcę umrzeć, pomyślał.

Kiedy sformułował w myślach to życzenie, jeden z walczących stworów zwrócił się w jego stronę. Dostrzegł jego twarz. Była okolona brodą i tak rozbuchana emocjami, że korpus, na którym była osadzona, wydawał się maleńki, jak u płodu - głowa była przerośnięta, a oczy ogromne. Przerazenie, które poczuł w chwili, gdy stwór skierował na niego swój wzrok, było niczym w porównaniu z trwogą, kiedy tamten wyciągnął po niego ręce. Zapragnął wczłogać się w jakąś dziurę, gdzie nie dosięgną go palce upiora, ale jego ciało już nie reagowało na

prośby ani nakazy.

- Jestem dzaffem - usłyszał słowa brodatego ducha. - Daj mi swój umysł, potrzebuję terata.

Kiedy musnął twarz Buddy'ego koniuszkami palców, poczuł jak potok energii, biały jak błyskawica, kokaina lub nasienie, przemknął mu przez głowę i dalej w głąb organizmu.

Wtedy zrozumiał, jak bardzo się mylił. Nie był tylko miazgą ciała i kości. Mimo całej swej grzeszności miał coś, czego pragnął dzaff - jakiś zakątek swej istoty, który mógł przydać się potędze, która weń wstąpiła. Nazwał to „terata”. Buddy nie miał pojęcia, co oznacza to słowo.

Ale dobrze rozumiał przerażenie, które odczuł w momencie, gdy wstąpił w niego ten duch.

Jego dotknięcie było rzeczywiście błyskawicą, która wypaliła sobie drogę w głąb jego najskrytszej jaźni. Było też niby narkotyk - sprawiło, że przed jego oczyma zatańczyły wizje tej napaści. I było też gwałtem dokonany na Buddym - gdyż wydał na świat życie, którego przedtem w nim nie było, stworzenie zrodzone ze szpiku jego istoty.

Widział przez krótką chwilę, jak odchodziło. Było niewyraźne, prymitywne, pozbawione twarzy, ale obdarzone tuzinem szybko przebiegających odnóży. Świadomości miało tylko tyle, by wypełniać wolę dzaffa. Na jego widok brodata twarz roześmiała się.

Duch cofnął palce z Buddy'ego, puścił szyję wroga, którego dusił drugą ręką, i dosiadając terata ruszył w górę szybu, ku słońcu.

Drugi z walczących oparł się ciężko plecami o ścianę jaskini. Ze swojego miejsca Buddy widział go niezbyt wyraźnie. Nie miał tak wojowniczego wyglądu jak jego przeciwnik, bardziej ucierpiał w walce. Ciało miał wycieńczone, a twarz znużoną i otępiałą. Patrzył w górę szybu.

- Jaffe - zawołał.

Jego krzyk strząsnął pył z występów skalnych, o które uderzał Buddy, spadając na dno.

Z szybu nie dobiegła żadna odpowiedź. Mężczyzna popatrzył na Buddy'ego mrużąc oczy.

- Nazywam się Fletcher - powiedział miłym głosem. Podszedł do Buddy'ego; za nim sunęło delikatne światło. - Zapomnij o bólu.

Buddy zdobył się na ogromny wysiłek, próbując powiedzieć: *Pomóż mi.*

Ale niepotrzebnie. Sama bliskość Fletchera łagodziła jego męki.

- Razem ze mną wyobraź sobie to, czego najbardziej pragniesz - powiedział Fletcher.

Umrzeć - pomyślał Buddy.

Duch usłyszał jego bezsłowną odpowiedź.

- Nie - powiedział. - Nie wyobrażaj sobie śmierci. Proszę cię. To nie jest broń dla mnie.

Broń? - pomyślał Buddy.

- Broń przeciwko dżaffowi.

Kim jesteście?

- Kiedyś byliśmy ludźmi. Teraz duchami. Wrogami po wsze czasy. Musisz mi pomóc.

Potrzebuję ostatnich wytłoczyn twojego mózgu. W przeciwnym razie, do walki z dżaffem stanę nagi.

Przykro mi, ale już wszystko oddałem - pomyślał Buddy. - *Sam widziałeś, jak brał. A w ogóle, co to było?*

- Terata? Twoje zwierzęce lęki, które przybrały formę ciała stałego. Ten lęk wynosi go na powierzchnię, na świat. - Fletcher znów popatrzył w górę komina. - Ale na razie nie wyjdzie na powierzchnię. Dzień jest dla niego zbyt jasny.

Czy ciągle jeszcze jest dzień?

- Tak.

Skąd wiesz?

- Słońce w dalszym ciągu kieruje funkcjami mojego organizmu, nawet tutaj. Kiedyś

chciałem być niebem, Vance. Ale zamiast tego musiałem przez dwadzieścia lat żyć w ciemności, z dżaffem wiszącym mi u gardła. Teraz on przenosi wojnę na powierzchnię ziemi, a ja potrzebuję broni, którą mógłbym wydobyć z twojego umysłu.

- Ja już nie mam niczego - powiedział Buddy. - Jestem skończony.

- Trzeba ocalić Quiddity - powiedział Fletcher.

Quiddity?

- Morze Snów. Może nawet uda ci się zobaczyć wyspę, leżącą na tym morzu, kiedy będziesz umierał. Zazdroszczę ci, że możesz swobodnie opuścić ten świat...

Masz na myśli raj? - myślał Buddy. *Jeśli ci o to chodzi, to nie mam żadnych szans.*

- Raj jest tylko jedną z wielu opowieści znad brzegu Efemerydy. Są ich setki i poznasz je wszystkie. Więc się nie lękaj. Daj mi tylko cząstkę twojego umysłu, aby można było ocalić Quiddity.

Przed kim?

- Przed dżaffem, przed kim innym?

Buddy nigdy nie był marzycielem. Kiedy zapadał w sen - o ile nie był pod wpływem alkoholu lub narkotyków - był to sen człowieka, który żył dzień w dzień na zabój. Po występach na scenie albo wyczynach w łóżku - albo po jednym i drugim - oddawał się snom jak próbom ostatecznego zapomnienia, które teraz przyzywało go do siebie. Ze strachu przed nicością, który podział na jego złamany grzbiet jak uderzenie kija, usiłował złożyć słowa Fletchera w jakąś rozumną całość. Morze; brzeg; miejsce, w którym snują się opowieści, w których raj jest tylko jedną z możliwości? Jak to możliwe, że przeżył całe życie i nigdy nie słyszał o tym miejscu?

- Znasz je - powiedział Fletcher. - Przeżyłaś Quiddity już dwukrotnie w życiu. W noc, kiedy się urodziłaś, i w noc, kiedy po raz pierwszy spałaś u boku osoby, którą najbardziej

kochałeś. Kto to był, Buddy? Miałeś wiele kobiet, prawda? Która z nich była dla ciebie najważniejsza? Ostatecznie liczy się tylko jedna, prawda? Matka.

Skąd to wiesz, do cholery?

- Załóżmy, że strzeliłem i trafiłem...

Kłamiesz!

- No dobra, trochę pogrzebałem w twoich myślach. Wybacz, że naruszyłem twoją prywatność. Ale potrzebuję pomocy, Buddy, albo dżaff mnie wykończy. Przecież nie chcesz tego.

Nie chcę.

- Wysil dla mnie wyobraźnię. Podaruj mi coś więcej niż żal. Kto jest twoim ideałem, na kim się wzorujesz?

Na kim się wzoruję?

- Wyobraź ich sobie, dla mnie.

Komików! Wszystkich najlepszych komików!

- Armia komików? Dlaczego nie?

Na tę myśl Buddy uśmiechnął się. No właśnie, dlaczego nie? Przecież kiedyś uważał, że jego sztuka wypłeni ze świata złość. Może następcy prostaczków bożych zwyciężą tam, gdzie zawiodły bomby. Miła, śmieszna wizja. Komicy na polu bitwy, wystawiający na karabiny nagie pośladki, gumowymi kurczakami walący generałów po głowie; uśmiechnięte szeroko mięso armatnie; kalamburami zbijają z tropu polityków i podpiszą traktaty pokojowe jaskrawymi flamastrami.

Już nie uśmiechał się, a śmiał.

- Skoncentruj się na tej myśli powiedział dżaff, sięgając w głąb jego umysłu.

Śmiech sprawiał mu ból. Nawet dotyk Fletchera nie potrafił złagodzić tych nowych

męczarni.

- Nie umieraj - słyszał słowa Fletchera. Jeszcze nie teraz! Dla dobra Quiddity nie umieraj jeszcze!

Krzyki Fletchera nie zdały się na nic. Śmiech i ból wstrząsały Buddym od stóp do głów.

Patrzył na ducha, unoszącego się przed nim w powietrzu, i łzy ciekły mu po policzkach.

Przepraszam - pomyślał. - *Chyba nie dam rady. Nie chcę...*

Śmiech szarpał go na strzępy.

Po coś mnie prosił żebym sobie przypomniał?

- Jeszcze chwilę! - wołał Fletcher. - Potrzebuję tylko jednej chwili.

Za późno. Życie opuściło Buddy'ego; Fletcherowi zostały wyziewy zbyt słabe, by mógł je przeciwstawić džaffowi.

- Niech cię diabli! - wrzeszczał Fletcher nad trupem, jak kiedyś (dawno, dawno temu) krzyczał nad Jaffem, leżącym na podłodze Misji Św. Katarzyny. Tym razem nie udało się z leżącego ciała wykrzesać ani odrobiny życia. Buddy umarł. Wyraz jego twarzy był zarazem tragiczny i śmieszny - tak właśnie powinno być. W ten właśnie sposób przeszedł przez życie.

Umierając, otwierał przed Palomo Grove przyszłość brzemiennej podobnymi przeciwieństwami.

W ciągu następnych dni czas miał spleść Palomo Grove niezliczone figle, ale z pewnością żaden nie był dla ofiary żartu tak bolesny, jak dla Howie'ego był okres, dzielący go od ostatniego spotkania z Jo-Beth do następnego. Minuty rozrastały się w godziny; godziny wydawały się dostatecznie pojemne, by wydać na świat nowe pokolenie. Zabijał czas najlepiej jak umiał, trawiąc godziny na poszukiwania domu matki. W końcu po to tu przyjechał: chciał wejrzeć w głąb siebie, badając korzenie swojego drzewa genealogicznego.

Na razie tylko powiększył zamęt, panujący w jego uczuciach. Nie wiedział, że jest zdolny do przeżyć, których zaznał poprzedniego wieczora, a przeżycia te wciąż się potęgowały. Było to radośnie lekkie - przy tym pozarozumowe - przekonanie, że świat jest cudownie urządzony i zawsze taki będzie. Fakt, że czas pruł wątek, którym przeplatał osnowę dni, nie zmącił optymizmu Howie'ego; to była tylko taka gra, którą prowadziło z nim życie, by w całej rozciągłości potwierdzić jego odczucia.

Howie zaznał jeszcze jednej, bardziej wyrafinowanej sztuczki. Okazało się, że dom, w którym kiedyś mieszkała jego matka, pozostał nie zmieniony, jakby wbrew wszelkim prawom przyrody; był dokładnie taki sam, jak na starych fotografiach. Howie stał pośrodku ulicy i nie odrywał od niego oczu.

Ulica była zupełnie pusta - ani pojazdów, ani przechodniów. Ten zakątek Grove spowijała leniwa cisza poranku. Zdawało mu się, że lada chwila w oknie ukaże się jego matka - znów jako dziecko - i popatrzy na niego w zamyśleniu. Ta myśl nigdy nie przysłaby mu do głowy, gdyby nie wydarzenia poprzedniego wieczoru. To ich cudowne rozpoznanie w chwili, gdy spotkały się ich spojrzenia - jego nagłe przekonanie (które trwało), że spotkanie z Jo-Beth było radością, która już przedtem gdzieś na niego czekała - natchnęło go taką odwagą, że po raz pierwszy poważił się na śmiałe domysły i przypuszczenia, ta możliwość (to miejsce, z którego jego głębsza jaźń czerpała wiedzę o Jo-Beth i pewność, że ją spotka) byłaby dlań niedostępna jeszcze 24 godziny temu. A więc znów pętla. Zagadka ich spotkania zawiodła go do królestwa domniemywań, które błędziły od spraw miłości do fizyki i filozofii, by znów wrócić do miłości w taki sposób, że nie można już było odróżnić sztuki od nauki.

Nie potrafiłby również oddzielić tajemnicy, którą odczuwał, stojąc przed domem matki - od tajemnicy tej dziewczyny. Dom, matka i spotkanie stanowiły jedną niezwykłą opowieść. On był czynnikiem wiążącym je w całość.

Postanowił nie pukać do drzwi (ostatecznie, ile mógłby się dowiedzieć z tego skrawka przestrzeni?) i miał już zawrócić w stronę miasta, kiedy instynkt wstrzymał go i pchnął w górę ulicy, pnącej się łagodnym łukiem aż na szczyt. Tam zaskoczyła go rozległa panorama Grove, na wschód od Pasażu i dalej, gdzie odległe krańce miasta przechodziły w zwarty drzewostan. A raczej prawie zwarty; tu i ówdzie błyskały niezadrzewione przestrzenie.

Zdawało mu się, że w jednym z takich miejsc zebrał się tłum ludzi.

Ustawione kolisty lampy łukowe oświetlały coś, co było zbyt odległe, by mógł to zobaczyć. Czy kręcono tam film? Tyle godzin tego przedpołudnia spędził w oszołomieniu, że kiedy szedł pod górę, prawie niczego nie widział; mógłby natknąć się po drodze na wszystkie gwiazdy, które kiedykolwiek zdobyły Oscara, i nie zauważyłby ani jednej.

Gdy tak stał i patrzył, usłyszał jakiś szept. Rozejrzył się. Ulica była pusta. Nie było najłżejszego wiatru, który mógłby przynieść do niego ten dźwięk - nawet tu, na szczycie wzgórza jego matki. A jednak zabrzmiał znów - tak blisko jego ucha, że niemal w jego głowie. Głos był cichutki.

Wymawiał tylko dwie sylaby, złączone w ciągu dźwięków:

- ardhowardhowardhow...

Nie potrzebował stopnia naukowego z logiki, by powiązać tę tajemnicę z wydarzeniami, rozgrywającymi się w lasach, które rozciągały się u jego stóp. Nawet nie udawał, że rozumie procesy, zachodzące w nim i wokół niego. Najwyraźniej Grove rządziło się swoimi własnymi, niezwykłymi prawami, a on odniósł z tych sekretów zbyt wiele korzyści, by wzgardzić nowymi przygodami. Jeśli chęć zjedzenia hamburgera zawiodła go do miłości jego życia, to do czego doprowadzi go następny szept?

Bez trudu odnalazł drogę do lasu. Schodził w dół Wzgórza z przedziwnym uczuciem, że całe miasto było zwrócone właśnie w tamtą stronę; że całe miasto było jak przechylona taca,

której zawartość może się lada chwila zsunąć w ziejącą czeluść ziemi. Ta wizja nabrała jeszcze większej ostrości. Kiedy doszedł do lasu i zapytał, co się tu dzieje. Nikt nie spieszył się z odpowiedzią, tylko jakiś malec zapiszczał:

- Zrobiła się dziura w ziemi i on tam całkiem wleciał.

- Ale kto? - zapytał.

Tym razem odpowiedział nie chłopczyk, ale stojąca obok kobieta:

- Buddy Vance.

To nazwisko niewiele mu powiedziało; ta niewiedza widocznie odbiła się na jego twarzy, gdyż kobieta pospieszyła z dodatkową informacją:

- Był gwiazdą telewizyjną. Prześmieszny facet. Mój mąż szaleje za nim.

- Wydostali go stamtąd?

- Jeszcze nie.

- To nic - wtrącił mały. - On i tak nie żyje.

- Czy to prawda? - zapytał Howie.

- Tak, oczywiście - potwierdziła.

Cała ta scena nabrała obecnie zupełnie innego znaczenia. Tłum zgromadził się tu nie po to, by zobaczyć człowieka, wyrwanego śmierci. Przyszli tu, by choć przez chwilę popatrzeć na zwłoki, wnoszone do karetki. Chcieli tylko mówić innym: „Byłem tam, kiedy go wyciągali. Widziałem go - był przykryty prześcieradłem”. Ich niezdrowa ciekawość, zwłaszcza w dniu, który otwierał się przed nim jak kwiat, napełniała go wstrętem. Jeśli nawet ktoś go wzywał, to już przestał, albo też zew nie potrafił się przebić przez gęstą atmosferę tłumu. Nie było sensu stać tam dłużej: czekały na niego oczy, w które będzie się wpatrywał, i usta, które będzie całował. Odwrócił się od lasu i tego, kto go przywoływał; wrócił do motelu, by czekać na Jo-Beth.

IV

Tylko Abernethy zwracał się do Grillo po imieniu. Dla Saralyn - od dnia, w którym się poznali, do nocy, która ich rozdzieliła - był i pozostał Grillo; podobnie jak dla wszystkich swoich kolegów i znajomych. Dla nieprzyjaciół (który dziennikarz ich nie ma, zwłaszcza kiedy wypadnie z obiegu) był czasem Tym Idiotą Grillo albo Grillo - Sprawiedliwym, ale zawsze Grillo.

Tylko Abernethy odważyłby się kiedykolwiek zwrócić do niego per „Nathan”.

- Czego chcesz? - Grillo dopiero co wyszedł spod prysznic, ale gdy tylko usłyszał głos Abernethy'ego, gotów był rozpocząć mycie od początku.

- Co robisz w domu?

- Pracuję - skłamał Grillo. Zeszłej nocy hulał do późna. - Nad tym kawałkiem o zanieczyszczeniu środowiska, pamiętasz?

- Daj sobie z tym spokój. Coś się zdarzyło i chcę, żebyś tam pojechał. Buddy Vance, ten komik, zaginął.

- Kiedy?

- Dziś rano.

- Gdzie?

- W Palomo Grove. Wiesz, gdzie to jest?

- To taka nazwa na tablicy drogowej przy autostradzie.

- Próbują wydobyć go na wierzch. Teraz jest południe. Ile czasu potrzebujesz na dojazd?

- Godzinę. Może półtorej. I co w tym sensacyjnego?

- Jesteś za młody, by pamiętać „Show Buddy'ego Vance'a”.

- Oglądałem kilka powtórek.

- Nathan, posłuchaj mnie, dziecko... - Ze wszystkich tonów, które przybierał wobec niego Abernethy, najbardziej nienawidził tego wujowskiego - ...był kiedyś czas, że w czasie transmisji programu Vance'a pustoszały knajpy, był wielkim człowiekiem i Amerykaninem.

- Więc potrzebny ci sentymentalny kawałek?

- Nie, do cholery. Chcę informacji o jego żonach, picciu, o tym dlaczego wylądował w hrabstwie Ventura, chociaż przedtem paradował wokół Burbank w limuzynie długości trzech bloków.

- Innymi słowy, chodzi o brudy życia.

- Były jeszcze narkotyki, Nathan. - Grillo wyobraził sobie sztuczne przejęcie, malujące się na twarzy Abernethy'ego. - Musimy o tym powiedzieć naszym czytelnikom.

- Chcą brudów, więc ty też - powiedział Grillo.

- Więc podaj mnie do sądu. No rusz dupę, jedź tam.

- Więc nawet nie wiemy, gdzie on jest? Może się po prostu gdzieś urwał?

- Już tam oni dobrze wiedzą, gdzie on jest - powiedział Abernethy. - Może za kilka godzin uda im się wydobyć ciało.

- Wydobyć? Więc się utopił?

- Wpadł do dziury.

Ci komiccy - pomyślał Grillo. - Dla żartu daliby się powiesić.

Ale to wcale nie było zabawne. Kiedy dołączył do wesołej paczki Abernethy'ego po nagłym krachu w Bostonie - czuł się jak na wakacjach po okresie poważnego dziennikarstwa reportażowego, które przysporzyło mu rozgłosu i z którego w końcu go wygryziono. Praca w niskonakładowym brukowcu w rodzaju „County Reporter” wydała mu się prawdziwym wybawieniem. Abernethy był zakłamanym bufonem, odrodzonym chrześcijaninem, który określał przebaczenie słowem na cztery litery. Historyjki, które kazał Grillo wyszukiwać,

leżały wprost na ulicy i opowiadało się je jak z płatka, gdyż czytelnicy „Reportera” stawiali pismu tylko jedno wymaganie: by łagodził uczucie zawiści. Pragnęli tragicznych opowieści z życia sławnych i bogatych; ciemnych stron sławy. Abernethy dobrze znał swoją trzódkę. Wykorzystał nawet własną biografię, rozpisując się w artykułach redakcyjnych na temat swojego nawrócenia z alkoholizmu na fundamentalizm.

Abstynencja i modlitwa to była jego dewiza, jak z upodobaniem powtarzał.

Ta religijna podszewka pozwalała mu uprawiać rynsztokową dziennikarkę ze świętoszkowatym uśmiechem, a czytelnikom pławić się w tym rynsztoku bez poczucia winy. Przecież czytali o cenie, jaką opłacany jest grzech czy istnieje lektura bardziej chrześcijańska? Grillo już od dawna było nie do śmiechu. Nie raz, a setki razy chciał powiedzieć Abernethy'emu, żeby się odpieprzył - ale gdzie znalazłby pracę świetny reporter, który wyszedł na durnia, jeśli nie w małym piśmie typu „Reporter”? Myślał również o innych zajęciach, ale ani chęci, ani zdolności nie predestynowały go do żadnego z nich. Jak daleko sięgał pamięcią, zawsze pragnął opisywać świat - światu. W tej czynności było coś istotnego. Nie wyobrażał sobie żadnej innej. Świat niezbyt wiele wiedział o sobie samym. Trzeba było ludzi, którzy opisywaliby światu historię jego życia, dzień po dniu - bo jakże inaczej mógłby się uczyć na własnych błędach?

Publikował właśnie sensacyjne artykuły na temat jednego z tych błędów przypadku korupcji w senacie - kiedy odkrył (to wspomnienie wciąż przyprawiało go o mdłości), że dał się podpuścić właśnie tym, których zwalczał, i że wykorzystano jego stanowisko reportera do spraw afer, aby obrzucić błotem niewinnych ludzi. Grillo przeproszał, kajał się, złożył dymisję. Sprawa szybko poszła w zapomnienie, kiedy nowe cykle sensacyjnych artykułów zasypały jego ślady. Politycy, jak skorpiony i karaluchy, przetrwają wybuch atomowy, który zmiecie cywilizację z powierzchni ziemi.

Ale dziennikarze to ulotny ludek, jedno spotkanie i tracą swoją wiarygodność. Grillo uciekał na zachód, aż stanął nad brzegiem Pacyfiku. Zastanawiał się, czy nie skoczyć do wody, ale w końcu wybrał pracę u Abernethy'ego.

Coraz silniej odczuwał, że ta praca to błąd.

Pociesz się, powiedział sobie pewnego dnia. Stąd można już iść tylko w jednym kierunku: do góry.

Grove zaskoczyło go. Miało wszelkie cechy miasta tworzonego na papierze - centralnie umieszczony Pasaż Handlowy, cztery dzielnice uszeregowane według kierunków świata, podobnie jak i sam układ ulic - a jednak styl budownictwa był przyjemnie urozmaicony i odnosiło się wrażenie, że są w nim tajemnicze zakątki - może dlatego, że część miasta wzniesiono na Wzgórzu.

Jeśli i lasy kryły jakąś tajemnicę, to doszczętnie zdeptali je gapie, którzy przybyli na ekshumację. Grillo pomachał kartą akredytacyjną i zadał kilka pytań policjantom, stojącym przy barierce. Nie, nie zanosilo się na szybkie wydobywanie zwłok; jeszcze ich nie odnaleziono. Nie udało mu się też porozmawiać z ludźmi, kierującymi tą operacją. Przyjdź pan później, mówili.

Wydawało się, że rada jest dobra. Wokół rozpadliny prawie nic się nie działo.

Chociaż wokół leżało mnóstwo różnorodnego sprzętu, wydawało się, że nikt z niego nie korzysta. Postanowił odjechać na chwilę, by zadzwonić w kilka miejsc.

Odnalazł drogę do Pasażu i telefonu publicznego. Najpierw zadzwonił do

Abernethy'ego, by go zawiadomić, że dojechał, i zapytać, czy wysłali fotografa.

Abernethy'ego nie było w redakcji, więc Grillo zostawił dla niego wiadomość. Bardziej powiodło mu się przy drugim telefonie. Automatyczna sekretarka właśnie puściła znajomy

tekst: „Cześć. Tu Tesla i Butch. Jeśli chcesz rozmawiać z psem, to właśnie wyszedłem. A jeśli z Butchem...”, kiedy wtrąciła się Tesla:

- Halo?

- Tu Grillo.

- Grillo? Zamknij te głupią mordę, Butch! Przepraszam Grillo, on próbuje... -

Słuchawka upadła, słyhać było niesamowity rejwach, a po chwili zasnana Tesla podjęła na nowo słuchawkę. - Co ja mam z tym zwierzakiem. Po co ja go brałam, Grillo?

- Bo to był jedyny samiec, który zgodził się z tobą zamieszkać.

- Idź do cholery.

- Twoje własne słowa.

- Ja tak mówiłam?

- Owszem.

- Wyleciało mi z głowy! Słuchaj, Grillo, mam dobre wiadomości. Załatwiłam umowę na jeden z tych scenariuszy - film o rozbitkach - napisałam go w zeszłym roku. Chcą, żebym go przerobiła. Na historyjkę o kosmosie.

- Podejmiesz się?

- Dlaczego nie? Chcę, żeby nakręcili coś z moich rzeczy. Nikt się nie weźmie do filmowania żadnej z poważniejszych pozycji, dopóki nie zrobię przeboju. Więc niech szczególnie Sztuka. Ten film będzie tak głupi, że publika będzie popuszczać w gacie. Słuchaj, nie wyjeżdżaj mi tylko z żadnymi wykładami o niepodległej duszy artysty. Muszę coś zjeść.

- Wiem, wiem.

- No, to co słyhać? - zapytała.

Na to pytanie było wiele odpowiedzi - cała litania. Mógłby jej opowiedzieć, jak fryzjer, stojąc przed nim z garścią jego słomkowych kosmyków, które właśnie ściął, poinformował

Grillo z uśmiechem o placku łysiny, który pojawił się na czubku jego głowy. Albo jak doszedł dziś rano do wniosku, patrząc w lustro, że ta wydłużona, chuderława twarz nigdy nie nabierze - jak się od dawna łudził - wyrazu szlachetnej melancholii; że po prostu wygląda żałośnie. Albo że wciąż dręczyły go te sny o windzie; był w windzie, zablokowanej między piętrami, razem z Abernethym i kozą.

Abernethy nalegał, żeby Grillo ją całował. Ale zachował dla siebie te szczegóły swojej biografii i powiedział tylko:

- Potrzebuję pomocy.

- Konkretnie.

- Co wiesz na temat Buddy Vance'a?

- Wpadł do szybu. Było o tym w telewizji.

- Co wiesz o jego życiu?

- To dla Abernethy'ego?

- Tak.

- Więc chodzi o zwykły szmelc.

- Trafiłaś za pierwszym podejściem.

- No cóż, nie powiem, żebym się znała na komikach. Specjalizowałam się w temacie filmowe seks-bomby. Ale zajrzałam do materiałów, kiedy usłyszałam o tym wypadku.

Sześciokrotnie żonaty; raz z siedemnastolatką - trwało to 42 dni. Jego druga żona zmarła z przedawkowania...

Tak jak się Grillo spodziewał, Tesla była wyrocznią na temat: „Życie i Upadki

Buddy'ego Vance'a” (z domu - jakże by - Valentii). Goniłwa za spódniczkami, umiarkowana skłonność do narkotyków i sława; stały program telewizyjny; filmy; upadek.

- Możesz napisać o nim wzruszający artykuł, Grillo.

- Uprzejmie dziękuję.
 - Kocham cię tylko dlatego, że sprawiam ci przykrość. Czy może odwrotnie?
 - Bardzo śmieszne. A propos, on też?
 - Co?
 - Był śmieszny?
 - Vance? Chyba tak, na swój sposób. Nigdy go nie oglądałeś?
 - Chyba oglądałem, ale nie pamiętam jego występów.
 - To ten z gumową twarzą. Tylko spojrzawsz, już ci się chciało śmiać. Był także dziwny jako typ - półgłówek skrzyżowany z wszarzem.
 - Więc skąd to powodzenie u kobiet?
 - Świntuszyć?
 - Oczywiście.
 - Miał niesamowite podwieszenie.
 - Zgrywasz się.
 - Właściciel największego ptaka w telewizji. Wiadomość z pierwszej ręki.
 - Od kogo?
 - Proszę cię, Grillo - Tesli niemal odebrało mowę. - Czy wyglądam na plotkarę?
- Grillo roześmiał się.
- Dzięki za informację. Masz u mnie kolację.
 - Propozycja przyjęta. Dziś wieczorem.
 - Jeszcze tu chyba będę.
 - Więc ruszę twoim tropem.
 - Może jutro, jeśli jeszcze tu będę. Zadzwońię.
 - Jeśli nie, zginiesz.

- Mówię, że zadzwonię. Wracam do swoich „Rozbitków w Kosmosie”.

- Nie rób niczego, czego ja bym nie robiła. Aha, Grillo...

- Co?

Odłożyła słuchawkę bez słowa, zdobywając w ten sposób trzy kolejne punkty w grze:

„kto pierwszy się wyłączy”. Grali w to od czasu, kiedy pewnej nocy, w przypiływie pijackiego sentymentalizmu, Grillo przyznał się, że nie znosi pożegnań.

V

- Mamo?

Jak zwykle siedziała przy oknie.

- Pastor John nie przyszedł wczoraj wieczorem, Jo-Beth. Czy dzwoniłaś, jak obiecałaś?

- Popatrzyła córce badawczo w twarz i zrozumiała - Nie dzwoniłaś. Jak mogłaś o tym zapomnieć?

- Przepraszam cię, mamo.

- Wiesz jak mi na nim zależy. Mam swoje powody, Jo-Beth. Wiem, że ty myślisz inaczej, ale ja wiem swoje.

- Och nie, wierzę ci. Zadzwonię do niego później. Najpierw... muszę z tobą pomówić.

- Czy nie powinnaś być teraz w księgarni? - spytała Joyce Wróciłaś, bo źle się poczułaś? Słyszałam, jak Tommy-Ray...

- Mamo, posłuchaj mnie. Muszę cię zapytać o coś bardzo ważnego.

Na twarzy Joyce znów odbił się niepokój:

- Nie mogę teraz rozmawiać. Chcę się widzieć z pastorem.

- Przyjdzie później. Teraz chciałabym cię zapytać o jedną z twoich przyjaciółek. - Joyce

milczała, ale wyraz jej twarzy świadczył, że bardzo jest słaba i delikatna. Jo-Beth widziała u niej tę minę zbyt często, by dać się zastraszyć. - Mamo, wczoraj wieczorem poznałam

pewnego mężczyznę - postanowiła mówić bez ogródek. - Nazywa się Howard Katz. Jego matką była Trudi Katz.

Maska słabości opadła z twarzy Joyce, obnażając ukryty tam wyraz zadowolenia.

Sprawiało to lekko niesamowite wrażenie.

- A co, nie mówiłam? - mruknęła do siebie, odwracając głowę do okna.

- Czego nie mówiłaś?

- Przecież to nie mogło się po prostu skończyć.

- Mamo, mów jaśniej.

- To nie był przypadek. Wszystkie wiedziałyśmy, że to nie był zwykły przypadek. Mieli swoje powody.

- Kto?

- Muszę pomówić z pastorem.

- Mamo, kto miał powody?

Joyce wstała bez słowa odpowiedzi.

- Gdzie on jest? - zapytała nieoczekiwanie głośno. Ruszyła w stronę drzwi. - Muszę się z nim zobaczyć.

- Już dobrze, mamo! Już dobrze! Nie denerwuj się!

Kiedy była w drzwiach, odwróciła się w stronę Jo-Beth, jej oczy wezbrały łzami.

- Nie powinnaś się kontaktować z synem Trudi - powiedziała. Słyszysz? Nie możesz się z nim spotykać, rozmawiać, nawet myśleć o nim Obiecuj mi.

- Nie mogę tego obiecać. To jakaś bzdura.

- Niczego z nim nie robiłaś, prawda?

- O co ci chodzi?

- O Boże, więc stało się.

- Nic się nie stało.

- Nie kłam! - matka zacisnęła palce w kościste pięści. - Jo-Beth, musisz się modlić.

- Nie chcę się modlić. Przyszłam do ciebie, żebyś mi pomogła, nic więcej. Nie potrzeba mi żadnych modlitw.

- Już w ciebie wstąpił. Nigdy przedtem tak ze mną nie rozmawiałaś.

- Nigdy przedtem nie czułam tego, co teraz! - zawołała, niebezpiecznie bliska łez; dławiała ją złość i strach. Rozmowa z matką to strata czasu. Nic jej nie powie, będzie tylko namawiać do modlitwy. Jo-Beth ruszyła w stronę drzwi ze zdecydowaniem, które miało ostrzec matkę, że nikt jej nie zatrzyma.

Opór nie zdałby się na nic. Matka usunęła się z drogi, ale gdy dziewczyna schodziła ze schodów, zawołała:

- Jo-Beth, wracaj! Źle się czuję, Jo-Beth! Jo-Beth! Jo-Beth!

Howie otworzył drzwi: na progu stała jego piękna. Płakała.

- Co się stało? - zapytał, prowadząc ją do pokoju.

Zakryła twarz rękoma i zanosła się szlochem. Objął ją.

- Już dobrze, dobrze, nic się nie stało - mówił.

Łkania powoli ucichły; uwolniła się z jego objęć i stanęła samotnie na środku pokoju, wycierając łzy grzbietem dłoni.

- Przepraszam - powiedziała.

- Co się stało?

- To długa historia. Stare dzieje. Jeszcze z czasów naszych matek.

- One się znały?

- Tak. Były bliskimi przyjaciółkami.

- Więc to było zapisane w gwiazdach - uśmiechnął się.
 - Moja mama patrzy na to inaczej.
 - Ale dlaczego? Syn jej najlepszej przyjaciółki...
 - Czy twoja matka mówiła ci kiedyś, dlaczego wyjechała z Grove?
 - Była niezamężna.
 - Moja też.
 - Może jest twardsza niż moja...
 - Nie o to mi chodzi. Może to coś więcej niż przypadek. Całe moje życie dochodziły do mnie plotki o tym, co się zdarzyło przed moim urodzeniem. O mamie i jej koleżankach.
 - Nic o tym nie wiem.
 - Ja też niewiele wiem. Było ich cztery. Twoja matka, moja, dziewczyna o nazwisku Carolyn Hotchkiss - jej ojciec wciąż mieszka w Grove. Była jeszcze jedna. Zapomniałam, jak się nazywała. Arleen jakaś tam. Napadnięto na nie. Zdaje się, że zgwałcono.
- Howie już dawno przestał się uśmiechać.
- Moja matka? - powiedział cicho. - Dlaczego nic mi nie powiedziała?
 - Która matka powiedziałaaby swojemu dziecku, że je w ten sposób poczęła?
 - O mój Boże... - powiedział Howie. - Zgwałcona...
 - Może się mylę - powiedziała Jo-Beth, unosząc wzrok ku twarzy Howie'ego. Rysy mu stężały, jakby ktoś go przed chwilą spoliczkował. - Całe moje życie przeżyłam z tymi pogłoskami, Howie. Widziałam, jak doprowadzały moją matkę prawie do obłądzenia. Ciągle mówiła o diable. Strasznie się bałam, kiedy mówiła, że szatan nie spuszcza ze mnie oka. Modliłam się, żebym mogła być niewidzialna, żeby mnie nie widział.
- Howie zdjął okulary i rzucił je na łóżko.
- Słuchaj, właściwie wcale ci nie mówiłem, po co tu przyjechałem. Teraz... teraz... teraz

chyba czas, żebym ci powiedział. Nie mam zielonego pojęcia, kim naprawdę jestem.

Chciałem rozejrzeć się po Grove; zrozumieć dlaczego matka musiała stąd wyjechać.

- Teraz żałujesz, że tu przyjechałeś.

- Nie, gdybym tu nie przyjechał, nie spotkałbym ciebie. Nie za... za... zakochałbym się w tobie...

- ...we własnej siostrze, najprawdopodobniej?

Jego stężała twarz złagodniała.

- Nie, w to nie wierzę.

- Rozpoznałam cię, gdy tylko weszłam do baru. Ty rozpoznałeś mnie. Dlaczego?

- Miłość od pierwszego wejrzenia.

- Oby.

- Tak to czuję. Ty też. Wiem, że tak jest. Sama tak mówiłaś.

- To było dawno.

- Kocham cię, Jo-Beth.

- To niemożliwe. Nie znasz mnie.

- Znam! I nie pozwolę, żebyś odeszła przez jakieś plotki. Nawet nie wiemy, ile w nich jest prawdy. - Uniesienie zupełnie uwolniło go od jąkania. - Przecież to wszystko mogą być kłamstwa, no nie?

- Owszem - przyznała. - Ale po co by ludzie wymyślali takie historie? Dlaczego ani twoja matka, ani moja nigdy nam nie opowiedziały, kim byli nasi ojcowie?

- Dowiemy się.

- Od kogo?

- Zapytaj swoją mamę.

- Już próbowałam.

- I co?

- Powiedziała, że mam się trzymać od ciebie z daleka. Zabroniła nawet myśleć o tobie...

Kiedy mu opowiadała, co zaszło, łyzy jej obeschły. Teraz, gdy znów pomyślała o matce, popłynęły na nowo.

- Ale przecież nie mogę tak po prostu przestać, no powiedz - zwróciła się o poparcie właśnie do tego, o kim zabroniono jej myśleć.

Patrząc na nią Howie zapragnął być tym prostaczkiem bożym, którym Lem zawsze go nazywał. Być wolnym od krytyki jak są wolni tylko idioci, zwierzęta i oseski: tulić się do niej i lizać ją jak szczenię i nie dostać za to po uszach. Nie można było całkowicie wykluczyć możliwości, że Jo-Beth była rzeczywiście jego siostrą, ale jego libido nie uznawało tego tabu.

- Chyba już pójdę - powiedziała, jakby wyczuwając jego podniecenie. - Mama chciała zobaczyć się z pastorem.

- Pomodlą się trochę, a wtedy ja może zniknę, tak?

- Nie powinieneś tego mówić.

- Zostań jeszcze chwilę prosił przymilnie. - Nie musimy rozmawiać. W ogóle nie musimy niczego robić. Po prostu zostań.

- Jestem zmęczona.

- Więc będziemy spać.

Wyciągnął rękę, leciutko dotknął jej twarzy.

- Żadne z nas nie wyspało się tej nocy - powiedział.

Westchnęła i skinęła głową.

- Może to wszystko jakoś samo się ułoży, jeżeli nie będziemy się do tego mieszać.

- Może.

Przeprosił ją na chwilę i poszedł do łazienki oddać mocz. Kiedy wrócił, zdążyła już

zdejmując pantofle i położyć się na łóżku.

- Zmieszczę się? - zapytał.

Mruknęła, że tak. Położył się obok niej i starał się nie myśleć, jakie sobie przedtem robił nadzieje o tym, co będą robić w tej pościeli.

Znów westchnęła.

- Wszystko będzie dobrze - powiedział. - Śpij.

Kiedy Grillo wrócił do lasów, większość ciekawskich, którzy przyszedli na występ pożegnalny Buddy Vance'a, już się rozeszła. Widocznie doszli do wniosku, że nie opłaca im się tak długo czekać. Teraz, kiedy pozostało niewielu gapiów, strażnicy byli mniej nieubłagani. Grillo przeszedł przez linię i podszedł do policjanta, który, zdaje się, dowodził całą akcją. Przedstawił się i wylegitymował.

- Mam niewiele do powiedzenia - odparł zagadnięty. - Posłaliśmy w dół czterech grotołazów, ale Bóg wie ile czasu będzie potrzeba, żeby wydobyć ciało. Jeszcze go nie znaleźliśmy. Hotchkiss mówi, że tam pod ziemią płyną jakieś rzeki. Do tej pory ciało mogło dopłynąć nawet do Pacyfiku.

- Będziecie pracowali w nocy?

- Chyba będziemy musieli - popatrzył na zegarek. - Zostały jakieś cztery godziny, zanim się ściemni. Potem włączymy lampy.

- Czy już ktoś badał te groty? - pytał Grillo. - Czy sporządzano jakieś mapy?

- Nic mi o tym nie wiadomo. Niech pan lepiej zapyta Hotchkissa, to ten gość ubrany na czarno.

Grillo znów się przedstawił. Hotchkiss był wysokim, posępnym jegomościem; skóra zwisała mu w fałdach jak u kogoś, kto stracił znaczną tuszę.

- Słyszałem, że jest pan specem od podziemnych korytarzy - powiedział Grillo.
- Walkowerem - odpowiedział Hotchkiss. - Tylko dlatego, że nikt naprawdę się na tym nie zna. - Jego oczy nawet na chwilę nie zatrzymały się na Grillo; wciąż biegały, jakby szukając miejsca, gdzie mogłyby spocząć. - Ludzie... niechętnie myślą o tym, co jest pod nami.

- A pan myśli?

- Tak.

- Przeprowadzał pan jakieś badania?

- Wyłącznie jako amator. Po prostu nie można się uwolnić od pewnych pytań - powiedział Hotchkiss. - Tak właśnie było ze mną.

- Więc schodził pan w dół?

Hotchkiss złamał swoją zasadę i przez całe dwie sekundy nie odrywał oczu od twarzy Grillo, po czym powiedział:

- Proszę pana, te groty były zablokowane do dziś rana. Sam się tym zająłem, wiele lat temu. One zagrażały, zagrażają niewinnym.

Niewinnym - jakie dziwne określenie, pomyślał Grillo.

- Ten policjant, z którym rozmawiałem...

- Spilmont.

- Tak. Mówił, że pod ziemią płyną jakieś rzeki.

- Tu, pod ziemią, istnieje cały świat, proszę pana, o którym wiemy tyle co nic. Przy tym on ciągle się zmienia. Jasne, że tam są rzeki, ale także wiele innych rzeczy. Różne gatunki stworzeń, które nie znają słońca.

- Mają ciężkie życie.

- Potrafią się przystosować - odpowiedział Hotchkiss - Jak my wszyscy. Żyją mimo

różnych ograniczeń. W końcu wszyscy żyjemy wzdłuż linii podziemnego rowu, który może się otworzyć w każdej chwili. Przystosowaliśmy się jakoś.

- Wolę o tym nie myśleć.

- Jeśli pan tak woli.

- A pan?

Hotchkiss zacisnął wargi w ledwie dostrzegalnym uśmiechu i przymknął oczy.

- Kilka lat temu myślałem o wyjeździe z Grove. Z tym miastem wiążą się różne...

przykre skojarzenia.

- Ale pan został.

- Odkryłem, że jestem sumą moich... dostosowań - odparł Hotchkiss. - Odejdę, kiedy nie będzie już miasta.

- Kiedy?

- Palomo Grove stoi na kiepskim gruncie. Wydaje się, że teren jest dostatecznie twardy, ale jest w ciągłym ruchu.

- Więc całe to miasto mogłoby znaleźć się tam, gdzie Buddy Vance? Czy to ma pan na myśli?

- Może pan powtarzać moje słowa innym, tylko proszę bez nazwisk...

- Zgoda.

- Dowiedział się pan tego, o co panu chodziło?

- Aż za wiele.

- Nigdy za wiele, zwłaszcza złych wiadomości - zauważył Hotchkiss. - Pan pozwoli.

Krzętanina wokół wyrwy nagle się wzmogła. Rzucając na odchodnym zdanie, którego by pozazdrościł każdy komik, Hotchkiss odszedł od Grillo wielkimi krokami, by nadzorować wydobywanie zwłok Buddy Vance'a.

Tommy-Ray leżał w swoim pokoju i pocił się. Dzień był słoneczny; zamknął okna i zaciągnął zasłony. Odcinając w ten sposób dostęp powietrza, zmienił pokój w piec, ale upał i półmrok sprawiały mu ulgę. Ukołyszany żarem i mrokiem nie czuł się tak samotny i bezbronny jak w jasnej, otwartej przestrzeni Grove. Czuł zapach wydzielin swojego ciała, sączących się z jego porów; własny nieświeży oddech, który owiewał mu twarz. Jeśli Jo-Beth go oszukała, będzie musiał znaleźć sobie nowe towarzystwo; najlepiej zacząć od siebie. Słyszał, jak wróciła do domu wczesnym popołudniem i kłóciła się z matką, ale nie próbował dosłyszeć, o czym mówiły. Jeśli jej żaloszny romans już się walił - a tak na pewno było, to dlaczego tak głośno płakała na schodach? - ale była to jej własna wina. On miał ważniejsze sprawy na głowie.

Kiedy leżał w tym upale, przed oczyma przesuwwały mu się przedziwne obrazy. Powstawały z jakiegoś mroku, z którym jego zaciemniony pokój nie mógłby się równać. Może dlatego były jeszcze takie niejasne i niekompletne?

Części jakiegoś wzoru, który usilnie starał się zrozumieć, a on wciąż mu umykał. Była tam krew; była skała; było jakieś blade, błędne stworzenie, którego widok przejmował go odrazą. Był także jakiś człowiek, którego rysów nie mógł rozpoznać, ale kiedy wypocił z siebie dość wilgoci - zobaczy go wyraźnie.

A wtedy skończy się jego czekanie.

Najpierw ze szczeliny dobiegł krzyk przerażenia. Zgromadzeni wokół otworu mężczyźni, łącznie ze Spilmontem i Hotchkissem, zaczęli wyciągać tamtych na powierzchnię, ale zajścia rozgrywające się pod ziemią były tak gwałtowne, że nie można było zapanować nad nimi z powierzchni. Policjant stojący najbliżej szybu krzyknął nagle, kiedy lina, którą trzymał, zniecka zacisnęła się na jego okrytej rękawicą dłoni i szarpnęła nim w stronę

szybu jak rybą na haczyku. Uratował go Spilmont obejmował go od tyłu dostatecznie długo, by zdążyć uwolnić dłoń z rękawicy. Kiedy obaj runęli w tył na ziemię, krzyki w szybie zwielokrotniły się; zawtórowały im ostrzegawcze okrzyki wokół otworu.

- Otwiera się! krzyknął jakiś głos. - Jezu Chryste, otwiera się!

Grillo odczuwał fizyczny strach dopóki nie zwietrzył jakiejś sensacji; wtedy gotów był stawić czoła każdemu niebezpieczeństwu. Przepchnął się przed Hotchkissa i policjanta, by mu nie zasłaniaли widoku. Żaden go nie zatrzymywał - musieli się troszczyć o własne bezpieczeństwo. Z poszerzającego się otworu szybu biła kurzawa, oślepiając ratowników trzymających liny, od których zależało życie grotolazów. Na oczach Grillo lina wciągnęła jednego z tych ludzi w głąb szybu, skąd dobiegały krzyki świadczące o postępującej masakrze. Dołączył swój krzyk do tamtych, kiedy ziemia pod jego stopami zaczęła się rozpadać w pył. W ogólnym zamieszaniu ktoś wyskoczył zza Grillo, usiłując schwycić nieszczęśnika, ale na próżno.

Lina napięła się i wciągnęła ratownika w głąb ziemi, a jego niedoszły zbawca padł na twarz tuż obok na krawędzi szczeliny. Grillo postąpił trzy kroki w stronę leżącego, prawie nie widząc ziemi - o ile tam była - pod własnymi stopami. Czuł jednak, że cała drży - jej drżenie udzielało się jego stopom, a potem kręgosłupowi, wprawiając jego myśli w chaos. Zdał się na instynkt.

By zachować równowagę, szedł na szeroko rozstawionych nogach, aż doszedł do leżącego. Był to Hotchkiss - padając zranił się w twarz, patrzył nieprzytomnie. Grillo zawołał go po nazwisku. Hotchkiss ocknął się i schwycił ramię, które ofiarował mu Grillo; wokół nich otwarła się ziemia.

Jo-Beth i Howie leżeli obok siebie na motelowym łóżku; Żadne się nie obudziło,

choć oboje ciężko dyszeli i drżeli jak kochankowie uratowani przed zatonięciem. Oboje śnili o wodzie. O ciemnym morzu, które niosło ich ku jakiemuś cudownemu miejscu. Ale nie dopłynęli do celu podróży. Coś kryjącego się w głębiach pod ich śpiącymi jaźniami, sięgnęło po nich, wyciągnęło ich z łagodnej kołyski fal i cisnęło w głąb skalnego szybu, w ból i przerażenie. Wokół nich, krzycząc przeraźliwie, spadali w dół ludzie i rozbijali się na śmierć, a liny dążyły za nimi jak posłuszne węże.

W tym tumultcie słyszeli swoje nawoływania i płacz, ale nie zdążyli się połączyć - skończyło się spadanie i podchwycił ich wstępujący prąd. Był lodowato zimny strumień wody z rzeki, która nie znała słońca; teraz parła w górę szybu, niosąc ludzkie zwłoki, śniących kochanków i wszystko, co było częścią koszmaru. Ściany rozpląnęły się i stopiły z niebem.

W momencie gdy z szybu rzuciła się woda, Grillo i Hotchkiss znajdowali się cztery jardy od jego krawędzi; uderzenie wody obaliło ich na ziemię, zalał ich deszcz lodowatych bryzgów. Przenikliwie zimno sprawiło, że Hotchkiss otrząsnął się z odrętwienia. Schwycił Grillo za ramię wrzeszcząc:

- Niech pan patrzy!

W napierającej wodzie było coś żywego. Grillo widział przez ułamek sekundy jakiś kształt - lub kształty - które wydawały się ludzkie, w chwili gdy na nie patrzył, ale gdy znikły, odcisnęły się w jego mózgu zupełnie innymi znakami, jak wspomnienie zgasłych fajerwerków. Otrząsnął się z tego złudzenia i znów popatrzył w wodę. Ale tamto już odpłynęło.

- Musimy stąd uciekać! - słyszał krzyk Hotchkissa. Ziemia wciąż pękała. Z trudem powstali, ich stopy ślizgały się w błocie, poszukując punktu oparcia. Rzucili się przed siebie na oślep przez deszcz i kurzawę; dopiero gdy potknęli się o linię, zrozumieli, że wydostali się ze strefy największego zagrożenia. Jeden z ratowników, z na pół oderwaną dłonią, leżał tam,

gdzie rzuciła go lina. Dalej, za liną, za ciałem, pod osłoną drzew stał Spilmont i garstka policjantów. Ulewa nie była tu zbyt silna, stukała o liście jak zwykły letni deszcz; z tyłu dogorywała burza, która wyrwała się na świat z głębi ziemi.

Pławiąc się we własnym pocie, Tommy-Ray patrzył w sufit i śmiał się.

Takiego uniesienia nie czuł od przedostatniego lata w Topanga, kiedy zbłąkana fala wyniosła wodę na fantastyczną wysokość. On, Andy i Sean godzinami śmigali tam na swoich deskach.

- Jestem gotów - powiedział, wycierając słoną wodę z oczu. - Gotów i pełen zapachu.

Chodź i bierz mnie, kimkolwiek, do cholery, jesteś.

Zwinięty w kłębek na łóżku, z zaciśniętymi zębami i powiekami, Howie wyglądał jak martwy. Jo-Beth popęzła w tył, przyciskając do ust rękę, by zagłuszyć panikę. Boże miłosierny, przebacz mi - jęczała, dusząc się od szlochu. Nawet wspólne leżenie w łóżku było grzechem. Było wbrew prawom boskim śnić to, co śniła (o Howiem, nagim, unoszonym obok niej przez wody ciepłego morza, ich włosy splecione w uścisku, którego pragnęła dla ich ciał) - i oto skutek. Straszne nieszczęścia - krew, skały i morderczy deszcz, który zabił Howie'ego, gdy spał.

- Boże miłosierny, przebacz mi...

Otworzył oczy tak nagle, że zapomniała o modlitwie.

- Howie? Żyjesz.

Rozprostował kości i sięgnął po okulary, leżące obok łóżka. Założył je.

Teraz wyraźnie widział jej przerażenie.

- Więc tobie też się to śniło.

- To nie było jak sen. To było naprawdę - trzęsła się od stóp do głów. - Howie, co my zrobiliśmy?

- Nic - powiedział odkasłując - niczego nie zrobiliśmy.
 - Mama miała rację. Nie powinnam...
 - Przestań - powiedział, spuszczać nogi na podłogę. Wstał. - Nie zrobiliśmy nic złego.
 - Więc co to było?
 - Zły sen.
 - Obydwoje mieliśmy ten sam sen?
 - Może nie taki sam - powiedział w nadziei, że ją uspokoi.
 - Pływałam, a ty obok mnie. Potem byłam pod ziemią. Krzyczeli jacyś mężczyźni...
 - No już dobrze... - powiedział.
 - Mieliśmy ten sam sen.
 - Tak.
 - Widzisz? Cokolwiek jest między nami... jest złe. Może to dzieło szatana.
 - Sama w to nie wierzysz.
 - Już nie wiem, w co wierzę - powiedziała. Zrobił ruch w jej kierunku ale wstrzymała go jednym gestem. - Nie, Howie, tak nie można. Nie powinniśmy się dotykać. - Ruszyła w stronę wyjścia. - Muszę iść.
 - Przecież to... to... bzdura - powiedział, ale jego zająkliwe słowa nie potrafiły jej zatrzymać. Już mozoliła się z zasuwką, którą zasunął gdy przyszła.
 - Ja to zrobię - pochylił się i odryglował drzwi. Nie próbował jej pocieszać, milczał.
- Jo-Beth przerwała ciszę: - Do widzenia.
- Odchodzisz tak szybko, nie zdążyliśmy się zastanowić nad tym wszystkim.
 - Boję się, Howie. Miałeś rację, nie wierzę, że diabeł jest w to zamieszany. Ale jeśli nie on, to kto? Czy znasz odpowiedź na to pytanie?

Ledwie panowała nad wzburzeniem; wciąż przełykała, jakby chciała połknąć powietrze

i nie mogła. Widząc ją tak zrozpaczoną, zapragnął wziąć ją w ramiona, ale zaproszenie z zeszłego wieczoru było teraz zakazem.

- Nie, nie znam odpowiedzi - rzekł.

Wzięła jego słowa za wskazówkę, by teraz odejść. Liczył do pięciu patrząc, jak ona odchodzi; kazał sobie stać w miejscu i pozwolić jej odejść wiedząc, że to, co zaszło między nimi dwojgiem, było bardziej znaczące, niż jakiegokolwiek inne doświadczenie jego osiemnastu lat na tej planecie. Doliczył do pięciu i zamknął drzwi.

CZEŚĆ CZWARTA

SCENY Z ŻYCIA ZWIERZĄT

I

Grillo nigdy nie słyszał u Abernethy'ego tak rozradowanego głosu. Po prostu piał z radości, kiedy usłyszał od Grillo, że historyjka o Buddym Vansie przerodziła się w kataklizm, a Grillo widział to wszystko na własne oczy.

- Siadaj do pisania! - polecił. - Wynajmij w miasteczku pokój, ja pokryję rachunek, i bierz się do pisania! Zarezerwuję ci miejsce na pierwszej stronie.

Jeśli Abernethy próbował pobudzić zapał Grillo za pomocą wyświechtanych komunałów z drugorzędnych filmów, to mu się to nie udało. Po wydarzeniach w pieczarach był jak odrętwiały. Ale propozycja najęcia pokoju była bardzo na czasie. Chociaż wysuszył się jakoś w barze, kiedy razem z Hotchkissem opowiadał Spilmontowi o tym, co się zdarzyło, czuł się brudny i zmęczony.

- A ten Hotchkiss? - zapytał Abernethy. - Co on wie?

- Tego nie wiem.

- Dowiedz się. I zdobądź więcej materiału na temat Vance'a. Widziałeś już jego dom?

- Nie zdążyłem.

- Jesteś na miejscu - powiedział Abernethy. - Artykuł jest twój, więc bierz się do roboty.

Zemścił się na Abernethym, choć bez wielkiego polotu: najął najdroższy pokój w hotelu „Palomo” w Stillbrook Village, zamówił do pokoju szampana i specjalny rodzaj hamburgera, przy czym dał kelnerowi tak hojny napiwek, że tamten zapytał go, czy się nie pomylił. Na rauszu czuł się lekki i beztroski; w tym nastroju lubił dzwonić do Tesli. Nie było jej w domu. Zostawił dla niej wiadomość, podając swoje aktualne zamiary. Następnie wyszukał Hotchkissa w książce telefonicznej i wykręcił numer. Słyszał, jak Hotchkiss zdawał Spilmontowi sprawę z tego, co zaszło; ani słówkiem nie wspomniał o tym, co widzieli, biegnąc od wyrwy. Grillo także pominął to milczeniem. Fakt, że Spilmont nie poruszył tego tematu, świadczył, że nikt nie był dostatecznie blisko wyrwy, by widzieć to co oni. Chciał porównać swoje spostrzeżenia z Hotchkissem, ale rozmowa nie doszła do skutku. Albo go nie było w domu, albo postanowił nie podnosić słuchawki.

Ponieważ nie mógł dalej iść tym tropem, zainteresował się willą Vance'a. Była prawie dziewiąta wieczorem, ale przecież mógł przespacerować się na Wzgórze i rzucić okiem na posiadłość denata. Może nawet namówi domowników, by wpuścili go do środka, o ile język nie skołowaciał mu zbyt od szampana. Z pewnych względów ta pora była korzystna. Jeszcze rano sprawa Vance'a była wydarzeniem dnia. Jego krewni, jeśli lubili widzieć się w centrum uwagi - a niewielu tego nie lubi - mogli marudzić z wyborem dziennikarzy, z którymi podzielał się swoimi zwierzeniami. Ale teraz śmierć Vance'a zaćmiła większa, świeższa tragedia. Dlatego towarzystwo zebrane w willi mogło się okazać rozmowniejsze niż w południe.

Żałował, że wybrał się tam pieszo. Zbocze Wzgórza okazało się bardziej strome, niż mogło się wydawać z dołu, i było kiepsko oświetlone. Ale spacer miał także swoje dobre strony. Grillo miał całą ulicę dla siebie; zszedł z chodnika i kroczył środkiem drogi,

podziwiając gwiazdy, które właśnie wschodziły. Rezydencję Vance'a odnalazł bez trudu.

Droga kończyła się przed bramą wjazdową na teren posiadłości. Wyżej niż Coney Eye było już tylko niebo.

Główna brama była nie strzeżona, ale zamknięta. Wszedł furtką; kręta ścieżka biegła pod kolumnadą wybujałych, zimozielonych krzewów - zalewało je na przemian zielone, żółte i czerwone światło - pod fronton budynku. Była to ogromna budowla, jedyna w swoim rodzaju; pałac, który przeczył wszelkim kanonom estetycznym obowiązującym w Grove. Nie miał w sobie śladu stylu pseudo-śródziemnomorskiego czy hiszpańskiego, nic z cech ranczo, domostw pseudo-tudorskich czy nowo-kolonialnych. Cała budowla przypominała jarmarczną karuzelę; fasada była pomalowana tymi samymi jaskrawymi barwami, którymi mieniły się drzewa w świetle reflektorów; okna były okolone mnóstwem żarówek, teraz wygaszonych. Grillo zrozumiał teraz, że Coney Eye stanowiło jakby część Coney Island było hołdem Vance'a, złożonym dzielnicy rozrywek. W środku paliły się światła. Zapukał, wiedząc, że obserwują go kamery, umieszczone nad drzwiami. Jakaś kobieta o orientalnej powierzchowności - może Wietnamka - otworzyła drzwi i oznajmiła, że owszem, pani Vance jest w domu. Jeśli poczeka w hallu, ona zorientuje się, czy pani domu go przyjmie. Grillo podziękował i czekał, podczas gdy kobieta poszła na górę.

Jak z zewnątrz, tak i w środku był to przybytek żartu. Każdy cal ścian hallu był obwieszony oleodrukami o tematyce wesołomiasteczkowej - jaskrawymi afiszami, reklamującymi Tunel Miłości, Przejazdki Pociągiem-Widmem, karuzele. Pokaz Wybryków Natury, Zapasy, Pokazy Dziewcząt, Tańczące Myszy, Mistyczne Huśtawki. Była to w większości prymitywna twórczość - praca malarzy, którzy wiedzieli, że ich sztuka jest na usługach handlu - pozbawiona trwałych wartości. Obrazy traciły przy bliższym kontakcie; te krzykliwe, pewne siebie malunki należało oglądać z głębi stłoczonej masy ludzkiej, a nie

badać je w świetle reflektorów. Vance zdawał sobie z tego sprawę. Wieszając obrazy ściśle obok siebie na wszystkich ścianach, nakłaniał widzów, by wędrowali wzrokiem od jednego do drugiego, nie przyglądając się zbyt długo jakiemuś fragmentowi. Oglądając tę wystawę, Grillo uśmiechnął się mimo całego jej bezguścia, co zapewne było celem Vance'a; ale uśmiech zamarł na jego ustach, gdy u szczytu schodów ukazała się Rochelle i ruszyła schodami w dół.

Jeszcze nigdy nie widział twarzy o rysach tak doskonale pięknych. Kiedy się zbliżała, z każdym jej krokiem spodziewał się wykryć jakieś skazy na tej doskonałości - ale ich nie znajdował. Widząc pewien rozmach w rysunku tej ciemnej twarzy, domyślał się w niej karaibskiej krwi. Włosy, ściągnięte w ciasny węzeł w tyle głowy, podkreślały jej pięknie sklepione czoło i symetrycznie zarysowane brwi. Nie nosiła żadnych ozdób, a jej czarna suknia była zupełnie zwyczajna.

- Panie Grillo - powiedziała. - Jestem wdową po Buddym. - To słowo, mimo czerni jej sukni, wydawało się tu zupełnie nie na miejscu. Nie wyglądała na kobietę, która właśnie uniosła zboląłą głowę z mokrej od łez poduszki. - W czym mogę być panu pomocna?

- Jestem dziennikarzem...

- Ellen już mi mówiła.

- Chciałbym zadać kilka pytań na temat pani męża.

- Jest dość późno.

- Prawie całe popołudnie byłem w lesie.

- A tak - powiedziała. - To pan jest TYM panem Grillo.

- Słucham?

- Jeden z policjantów... - zwróciła się do Ellen: - Jak on się nazywał?

- Spilmont.

- Spilmont. Był tutaj, opowiedział mi, co się stało. Wspomniał o pana wielkim bohaterstwie.

- Nie było takie wielkie.

- Wystarczająco. Zasłużył pan sobie na spokojny wieczór, tymczasem pan wciąż pracuje.

- Chciałbym uzyskać wywiad.

- Dobrze. Niech pan wejdzie.

Ellen otworzyła jakieś drzwi na lewo od hallu. Rochelle wprowadziła Grillo do środka, wykładając zasady, których powinien się trzymać.

- Odpowiem na pańskie pytania na ile potrafię, o ile ograniczy się pan do zawodowego życia Buddy'ego. - Mówiła bez akcentu. Czyżby europejska edukacja? - Nic nie wiem o jego poprzednich żonach, więc niech pan nie próbuje mnie wypytywać. Nie będę także wdawać się w sprawę jego nałogów. Czy napije się pan kawy?

- Z największą przyjemnością - odpowiedział Grillo i zdał sobie sprawę, że zachowuje

się podobnie jak przy innych wywiadach: przybiera ton swego rozmówcy.

- Kawa dla pana Grillo, Ellen - powiedziała Rochelle, prosząc gościa, by usiadł i woda dla mnie.

Pokój, w którym się znajdowali, biegł przez całą długość domu; był wysoki na dwa piętra - drugie piętro było obudowane galerią, która biegła wzdłuż wszystkich czterech ścian.

Podobnie jak w hallu, tu także ściany były obwieszane malowidłami bez ładu i składu. Jego wzrok kusiły apele, ostrzeżenia i zaproszenia: „Największe przeżycie twojego życia!” -

skromnie obiecywał jeden z nich; „Tyle przyjemności, ile tylko możesz znieść!” głosił inny.

„I jeszcze trochę!”

- To tylko część kolekcji Buddy'ego - powiedziała Rochelle. - W Nowym Jorku jest tego więcej. Sądzę, że są to największe prywatne zbiory.

- Nie wiedziałem, że ktoś to zbiera.

- Buddy nazywał to prawdziwą sztuką amerykańską. Być może jest tak naprawdę, co świadczyłoby, że... - urwała, nie ukrywając niechęci dla tej krzykliwej parady szmiry. Ten grymas, w twarzy o bezbłędnym rysunku, był szczególnie wymowny i przykry.

- Przypuszczam, że wyprzeda pani te zbiory - powiedział Grillo.

- To będzie zależec od testamentu - powiedziała. - Być może zbiory przypadną komuś innemu.

- Nie mają dla pani wartości sentymetalnej?

- Sądzę, że ta kwestia odnosi się do życia prywatnego.

- Tak, chyba tak.

- Ale jestem przekonana, że ta obsesja Buddy'ego była zupełnie niewinna. - Wstała i nacisnęła kontakt umieszczony między dwiema tablicami, przedstawiającymi przód pociągu-widma.

Za szklaną ścianą w odległym końcu pokoju zapaliły się wielobarwne światła. - Pozwoli pan, że zademonstruję - powiedziała, idąc wzdłuż pokoju, skąpana w jaskrawych kolorach. Zgromadzono tu elementy, które nie mieściły się w innych pokojach willi. Rzeźbiona twarz, wysokości może dwunastu stóp, z szeroko otwartymi ustami o wyszczerbionych zębach dawniej służyła jako wejście do któregoś z pawilonów. Reklama ściany śmierci - napis sporządzony był ze światła. Płaskorzeźba lokomotywy naturalnej wielkości, prowadzonej przez kościotrupy wyglądała, jakby pędziła z tunelu wprost na widza.

- Mój Boże - to było wszystko, co Grillo zdołał powiedzieć.

- Teraz pan wie, dlaczego od niego odeszłam - powiedziała Rochelle.

- Nie wiedziałem o tym. Więc pani tu nie mieszkała?

- Próbowałam. Ale niech się pan rozejrzy po tym domu. To tak, jakby się wchodziło w głąb mózgu Buddy'ego. Chciał na wszystkim pozostawić swój ślad. Na wszystkich. Dla mnie nie było tu miejsca. Chyba że stosowałam się do jego reguł gry. - Wpatrywała się w gigantyczną twarz. - Obrzydlistwo - powiedziała. - Nie uważa pan?

- Nie znam się na tym.

- To nie jest dla pana przykre?

- Gdybym miał kaca, poczułbym się jeszcze gorzej.

- Wciąż mi powtarzał, że nie mam poczucia humoru, ponieważ nie uważałam, że te jego... obrazy są zabawne. W gruncie rzeczy nie uważałam, żeby on sam był zabawny. Jako kochanek, tak... był cudowny. Ale zabawny? Nie.

- Czy to wszystko mówi mi pani w zaufaniu?

- Jakie to ma znaczenie, jeśli powiem, że tak? Miałam w życiu dość przepraw z prasą, by wiedzieć, że olewacie sobie moją prywatność.

- A jednak mówi mi pani to wszystko.

Odwróciła się od ogromnych ust, by popatrzeć na niego.

- No tak - zapanowało krótkie milczenie. Potem powiedziała: - Zimno mi - i weszła z powrotem do pokoju. Ellen nalewała kawę.

- Zostaw - powiedziała Rochelle - ja to zrobię.

Zanim Wietnamka wyszła z pokoju, zatrzymała się w drzwiach ułamek sekundy dłużej, niż wymagałaby usłużność.

- Taka to jest historia życia Buddy'ego Vance'a - powiedziała Rochelle. - Żony, bogactwo i wesołe miasteczko. Obawiam się, że nie ma w niej nic szczególnie odkrywczego.

- Czy nie wie pani, czy miał jakieś przeczucia? - zapytał Grillo, kiedy usiedli.

- Że umrze? Wątpię. To nie było w jego stylu. Śmietanki?

- Tak, proszę. I cukier.

- Niech się pan częstuje. Czy właśnie o takich rzeczach chcieliby czytać pańscy czytelnicy? Że Buddy miał sen o własnej śmierci?

- Zdarzały się dziwniejsze rzeczy - powiedział Grillo i mimowolnie pomyślał o rozpadlinie i tych, którzy zdołali z niej uciec.

- Nie sądzę - powiedziała Rochelle. - Nigdzie nie widzę śladu niezwykłych rzeczy. Już nie - zgasła zewnętrzne światła. - Kiedy byłam mała, mój dziadek nauczył mnie, jak wpływać na zachowanie innych dzieci.

- Jak?

- Po prostu myśląc o tym. Robił to przez całe życie i przekazał mi tę umiejętność. To było łatwe. Kiedy chciałam, upuszczaly lody na ziemię albo śmiały się, a nie wiedziały, dlaczego. Nie zastanawiałam się nad tym zbytnio. To była epoka cudów. Cuda były wszędzie. Ale utraciłam tę umiejętność. Wszyscy ją tracimy. Wszystko zmienia się na gorsze.

- Pani nie może zbytnio uskarżać się na swój los. Wiem, że opłakuje pani...

- Mam gdzieś opłakiwanie - przerwała mu gwałtownie. - On umarł, a ja siedzę i

czekam, jaki też będzie jego ostatni wygląd.

- Testament?

- Testament. Te żony. Bękarty zaczną wyskakiwać ze wszystkich kątów. Udało mu się w końcu wciągnąć mnie w jeden z tych cholernych numerów z niespodzianką - mimo ładunku emocjonalnego tych słów, Rochelle wypowiedziała je dość spokojnie. - Może pan wracać do domu i przetworzyć to wszystko w prozę o nieprzemijającej wartości.

- Pozostanę w mieście, dopóki nie odnajdą ciała pani męża.

- Nie odnajdą. Przerwali akcję.

- Co?

- Spilmont przyszedł tu właśnie po to, żeby mi to wyjaśnić. Stracili już pięciu ludzi.

Poza tym jest jasne, że nie ma wielkich szans, by go odnaleźli. Nie warte ryzyka.

- Czy to sprawia pani przykrość?

- Że nie mogę urządzić mu pogrzebu? Właściwie nie. Lepiej pamiętać kogoś jako żywego, uśmiechniętego człowieka niż jako kogoś, kogo wyciągają z dziury w ziemi. Jak pan widzi, takie jest zakończenie pana artykułu. Prawdopodobnie w Hollywood zostanie odprawiona msza za jego duszę. A reszta, jak się to mówi, to już historia telewizji. - Wstała, dając mu do zrozumienia, że wywiad się skończył.

Grillo nie zdążył zadać mnóstwa pytań, w większości związanych z tematem, na który - jak twierdziła - chętnie porozmawia, a nawet go nie tknęła: chodziło o karierę zawodową Vance'a. Wiedział, że było w niej kilka luk, których Tesli nie udało się zapełnić. Zamiast naciskać wdowę, aż straci cierpliwość, Grillo postanowił dać sobie spokój z pytaniami. Dostarczyła mu więcej informacji, niż się spodziewał.

- Dziękuję, że zgodziła się pani na rozmowę - powiedział, potrząsając jej ręką. Palce

miała cienkie jak wierzbowe gałązki. - Była pani niezwykle uprzejma.

- Ellen odprowadzi pana do wyjścia - powiedziała.

- Dziękuję.

Dziewczyna czekała na niego w hallu. Otwierając frontowe drzwi, dotknęła jego ramienia. Spojrzał zdziwiony. Dała mu znak, by milczał i wcisnęła mu do ręki skrawek papieru. Bez jednego słowa wyprowadziła go za próg; drzwi zatrzęsły się za nim.

Obejrzał świstek dopiero wtedy, gdy znalazł się poza zasięgiem kamer wideo. Widniało na nim nazwisko tej kobiety - Ellen Nguyen - i jakiś adres w Deerdell Village. Być może nad Buddym Vancem zamknęła się ziemia, ale jego historia jakoś wciąż przedostawała się na powierzchnię. Grillo wiedział z własnego doświadczenia, że historyjki potrafią to robić. Był głęboko przekonany, że niczego, ale to niczego nie można naprawdę ukryć, niezależnie od tego, jak potężnym siłom zależy na milczeniu wokół sprawy.

Spiskowcy mogą spiskować, a bandyci mogą próbować zamknąć usta kneblem - ale prawda, albo wersja zbliżona do prawdy, wyjdzie na jaw prędzej czy później, bardzo często w cudacznej postaci. Rzadko zdarzało się, by życie ukryte za życiem manifestowało się w postaci wyraźnych faktów.

Prawda ujawniała się w rysunkach na ścianie, komiksach, plotkach, piosenkach o miłości. To o niej rozmawiali ludzie, kiedy alkohol zaszumiał im w głowie, o niej mówili w łóżku między jednym a drugim numerem, o niej czytali na ścianach toalet.

Sztuka podziemia, jak postaci, które widział w wezbranej wodzie, wychodziła z głębin, by zmienić świat.

II

Jo-Beth leżała w ciemności w swoim łóżku i przyglądała się, jak lekki wietrzyk wydymał firanki w głąb pokoju, a potem wsysał je w mrok nocy.

Rozmawiała z matką natychmiast po powrocie do domu, powiedziała jej, że nie zobaczy się więcej z Howiem. Była to pochopna obietnica, ale wątpiła, czy matka w ogóle ją słyszała. Była zupełnie roztrzęsiona, chodziła w kółko po pokoju, załamując ręce i mrucząc modlitwy. Te modlitwy przypomniały Jo-Beth, że miała wezwać pastora i nie zrobiła tego. Opanowała się jak mogła i zeszła na dół, żeby zadzwonić do kościoła. Jednak pastora Johna nie było. Poszedł z duszpasterską pociechą do Angie Datlow, której mąż Bruce zginął podczas próby wydobycia ciała Buddy'ego Vance'a. W ten sposób Jo-Beth po raz pierwszy usłyszała o tej tragedii. Szybko zakończyła rozmowę i drżąc, odłożyła słuchawkę. Nie potrzebowała dokładnego opisu śmierci tych ludzi. Widziała ich, podobnie jak Howie. Ich wspólny sen został zakłócony transmisją z szybu, w którym zginęli Datlow i jego towarzysze. Siedziała w kuchni w szumie lodówki i radosnego rozgwaru ptaków i owadów, dochodzącego z tylnego podwórka, usiłując dociec sensu w tym bezsensie. Może dała sobie wmówić zbyt optymistyczny pogląd na świat, ale przeżyła tyle lat w przekonaniu, że jeśli sama nie potrafi zrozumieć pewnych rzeczy, to byli wokół niej inni, którzy to potrafili. Ta świadomość była jej pociechą. Ale teraz nie była już tego pewna. Gdyby opowiedziała komuś ze swej parafii - a ci ludzie stanowili w większości jej najbliższe otoczenie - co zdarzyło się w motelu (sen o wodzie, sen o śmierci), popatrzyliby na sprawę oczyma jej matki: to była sprawka szatana. Kiedy to samo powiedziała Howiemu, odparł, że sama w to nie wierzy, i miał rację. To była bzdura. A jeśli to była bzdura, to jakich jeszcze innych bzdur nakładzono jej w głowę?

Niezdolna do uporządkowania tego zamętu wydarzeń i myśli, zbyt zmęczona, by je po prostu odpędzić od siebie - poszła do swojego pokoju, by się położyć. Po niedawnych koszmarach sennych opierała się zaśnięciu, ale zmęczenie wzięło górę. Gdy poddała się drzemce, przed jej oczyma przesunął się sznur czarno-białych, mieniących się perłowo scen.

Howie w barze Butricka; Howie w Pasażu, twarzą w twarz z Tommy-Rayem; jego twarz na poduszce, kiedy myślała, że umarł. Potem sznur pękł i perły rozsypały się we wszystkich kierunkach. Zapadła w sen.

Kiedy się ocknęła, zegar wskazywał 8.35. W domu panowała głęboka cisza. Wstała i zeszła na dół jak najciszej, by uniknąć nawoływań matki.

Zrobiła sobie kanapkę i zaniosiła ją do swojego pokoju, a teraz, gdy ją zjadła, leżała i patrzyła na firanki, poddające się woli wiatru.

Światło wieczoru było miękkie jak krem morelowy, ale teraz odeszło.

Ciemność była coraz bliżej. Czowała, jak nadciąga - skracając odległości, uciszając odgłosy życia; nigdy nie czekała nocy z takim przygnębieniem.

Rodziny z pobliskich domów pogrążą się w żałobie. Owdowiałe kobiety, osieroczone dzieci przeżyją swoją pierwszą noc rozpaczy. W innych domach ludzie przypomną sobie o troskach, które odłożyli na później, będą je roztrząsać, płakać nad nimi. Miała teraz w swym sercu cień, który łączył jej życie z tamtą tragedią, tragedią innych ludzi. Zaznała straty i ciemność, która tak wiele odebrała światu, a dała tak mało, już nigdy nie będzie taka jak dawniej.

Brzęk szyby obudził Tommy-Raya. Usiadł w pościeli. Dzień minął mu w gorączce, którą sam wywołał. Od rana upłynęło chyba już dwanaście godzin, a czego on w tym czasie dokonał? Po prostu spał, pocił się i czekał na znak.

Czy to był ten znak - brzęczenie szyb niby klekot zębów umierającego?

Zrzucił okrycie. Już przedtem zdjął z siebie bieliznę. W lustrze mignęło mu odbicie jego ciała - smukłego, połyskliwego jak ciało młodego węża.

Pochłonięty zachwytem, potknął się o coś; próbując wstać, zrozumiał, że zapomniał, jaki jest rozkład jego pokoju. Nagle ten pokój wydał mu się obcy, a on - pokojowi. Poziom

podłogi opadał - nigdy przedtem tego nie zauważył. Szafa skurczyła się do rozmiarów walizki czy też groteskowo urosła. Czując mdłości, zapragnął uchwycić się czegoś solidnego i stałego, by zorientować się w swoim położeniu. Chciał dotrzeć do drzwi - ale czy to jego ręka czy pokój przeszkodziły temu zamiarowi - w każdym razie uchwycił się ramy okiennej. Stał wczepiony w drewno, czekając aż miną mu mdłości. Gdy stał, wyczuwał jak ledwie zauważalne drżenie drewna przeniknęło przez kostki jego palców i nadgarstki w głąb ramion i sunęło łopatkami do kręgosłupa. Przesuwając się coraz dalej, drżenie wprawiało jego szpik kostny w jakiś szalony taniec - taniec bezsensowny, aż wspiał się na ostatnie kręgi i doszedł do czaszki. Tutaj ruch, który zaczął się jako brzęk szyby, znów przetworzył się w dźwięk - sumę grzechotu i stuków, która zabrzmiała jak wezwanie.

Nie kazał się prosić. Puścił ramę okienną i ruszył chwiejnie w stronę drzwi. Nadepnął na ubranie, które zrzucił z siebie podczas snu. Podniósł koszulkę polo i dżinsy, myśląc niejasno, że powinien się ubrać przed wyjściem z domu, ale szedł dalej, wlokąc ubranie za sobą schodami w dół i tylnym wyjściem na dwór, w czerń nocy.

Podwórko było duże i nie uporządkowane; przez wiele lat nikt go nie uprzętał. Parkan był zniszczony, a krzaki, które posadzono, by oddzielały podwórko od drogi, rozrosły się w nieprzebitą ścianę listowia. Kierował się w stronę tej niewielkiej dżungli, ponaglany przez licznik Geigera, tykający w jego głowie, głośniejszy z każdym jego krokiem.

Jo-Beth uniosła głowę z poduszki - poczuła, że bolą ją zęby. Dotknęła twarzy w miejscu, gdzie czuła ból - było podrażnione, jakby od uderzenia.

Wstała i prześliznęła się przez hall do łazienki. Zauważyła, że drzwi do sypialni

Tommy-Raya były teraz otwarte. Jeśli nawet tam był, to nie mogła go widzieć. Zasłony były zasunięte, wewnątrz - smolista ciemność.

Szybkie oględziny twarzy w łazienkowym lustrze uspokoiły ją - chociaż płacz nie

przeszedł bez śladu, poza tym nie dostrzegła żadnych zmian. Jednak ból szczęki nie mijał, promieniował aż do podstawy czaszki. Nigdy przedtem nie odczuwała niczego podobnego. Ból nie był ciągły, lecz rytmiczny, jak puls, którego jednak nie wytwarzało jej własne serce: przybył do niej z innego źródła.

- Przestań - mruknęła, zacisnąwszy zęby. usiłując powstrzymać te rytmiczne wstrząsy, ale nie potrafiła nad nimi zapanować. Pierścień bólu coraz ściślej obejmował jej głowę, jakby chciał wycisnąć z niej wszystkie myśli.

Nie wiedząc już, co robić, zaczęła przyzywać Howie'ego - by przeciwstawić jego obraz, skrzący się światłem i śmiechem, temu bezdusznemu werblowi, idącemu z ciemności. To był zakazany obraz - obiecała matce, że usunie go ze swej pamięci - ale poza nim nie miała innej broni. Jeśli nie będzie walczyć, ten natrętny werbel grzmiący w jej głowie rozbije jej myśli na miazgę; każe jej się poruszać w rytmie, który sam wyznaczył - tylko w tym rytmie.

„Howie...”

Uśmiechnął się do niej z przeszłości. Uchwyciła się tego jasnego wspomnienia; pochylona nad umywalką, opłukała sobie twarz zimną wodą.

Woda i wspomnienie osłabiły siłę ataku. Wyszła niepewnym krokiem z łazienki i poszła do pokoju Tommy-Raya. Czymkolwiek była ta dolegliwość, z pewnością zaatakowała także jego. Od najwcześniejszego dzieciństwa razem łapali każdy wirus i razem chorowali. Może ta nowa, dziwna choroba dopadła go wcześniej niż ją, dlatego tak się zachowywał w Pasażu.

Ta myśl przyniosła jej nadzieję. Jeśli jest chory, to można go wyleczyć.

Wyleczyć ich oboje.

Jej podejrzenia potwierdziły się, kiedy przekroczyła próg. Buchnęło na nią nieznośnym zaduchem, jak w pokoju chorego.

- Tommy-Ray? Jesteś tutaj?

Otworzyła szerzej drzwi, by wpuścić więcej światła. Pokój był pusty; na łóżku leżała skłębiona pościel, a dywan był pofałdowany. Jakby odtańczył na nim tarantellę. Przeszła przez pokój, by otworzyć okno, ale zdążyła tylko odsunąć zasłony. Ledwie spojrzała na dwór, a już rzuciła się pędem po schodach, nawołując Tommy-Raya. W świetle, padającym z otwartych drzwi kuchni, zobaczyła go jak idzie, zataczając się, przez podwórze, ciągnąc dzinsy za sobą.

Gęstwina w końcu ogrodu poruszyła się; kryło się w niej coś więcej niż tylko wiatr.

Mój synu - powiedział mężczyzna ukryty pośród drzew - *nareszcie się spotkaliśmy*.

Tommy-Ray nie widział wyraźnie tego, kto przyzywał go do siebie, ale nie miał wątpliwości, że to właśnie ten człowiek. Na jego widok zgiełk w jego głowie ucichł.

Podejść - zażądał nieznajomy miłym, przypochlebnym głosem; stał na wpół ukryty w cieniu.

To „mój synu” nie może chyba być stuprocentową prawdą. Ale gdyby było, czy nie byłoby wspaniale? Po wszystkich tych docinkach, które słyszał w dzieciństwie, po wszystkich tych godzinach, kiedy daremnie usiłował go sobie wyobrazić - widzi wreszcie swojego utraconego ojca, który wywołał go z domu za pomocą szyfru, znanego tylko ojcom i synom.

To wspaniale, cudowne.

Gdzie jest moja córka? - zapytał mężczyzna. - *Gdzie jest Jo-Beth?*

- Chyba w domu.

Czy mógłbyś ją tu przyprowadzić?

- Zaraz po nią pójde.

Idź natychmiast!

- Najpierw chciałbym cię zobaczyć. Chcę się upewnić, że to nie żadna sztuczka.

Obcy zaśmiał się.

Już rozpoznaję w tobie mój głos - powiedział. - Mnie też robili różne sztuczki. Potem jesteśmy ostrożniejsi, prawda?

- Tak.

Oczywiście musisz mnie zobaczyć - powiedział, wychodząc zza drzew. - Jestem twoim ojcem. Jestem dżaffem.

Ledwie Jo-Beth zbiegła ze schodów, usłyszała głos matki, dochodzący z jej pokoju.

- Jo-Beth? Co się dzieje?

- Wszystko w porządku, mammo.

- Chodź tutaj! Coś strasznego... śniło mi się...

- Chwileczkę, mammo. Nie wstawaj.

- Straszny...

- Zaraz wracam. Nie wychodź z pokoju.

Oto stał przed nim we własnej osobie: ojciec, o którym Tommy-Ray śnił w tysiącu postaci od czasu, gdy zrozumiał, że inni chłopcy mieli jeszcze jednego rodzica, z którym dzielili płęć, który znał się na męskich sprawach i przekazywał tę wiedzę swoim synom. Czasami fantazjował, że jest synem jakiegoś gwiazdora filmowego; któregoś dnia pod dom podjedzie cicho jakaś limuzyna, wysiądzie z niej mężczyzna o słynnym uśmiechu i powie dokładnie to, co przed chwilą powiedział dżaff. Ale ten człowiek był lepszy niż wszyscy gwiazdorzy razem wzięci. Wyglądał raczej niepozornie, ale podobnie jak od ludzie, których twarze zachwycały świat, biła, od niego przedziwna pewność siebie, jakby posiadał władzę zbyt potężną, by musiał ją demonstrować. Tommy-Ray jeszcze nie wiedział, skąd w tamtym brała się ta potęga, ale wszystkie jej oznaki były jasno widoczne.

Jestem twoim ojcem - powtórzył dżaff. - Wierzysz mi?

- Tak. Wierzę ci.

I będziesz mi posłuszny jak kochający syn?

- Tak.

Dobrze - powiedział dzaff. - Więc teraz idź po moja córkę. Wołałem ją, ale nie chce przyjść. Wiesz, dlaczego...

- Nie.

Pomyśl.

Tommy-Ray zastanowił się, ale nic nie przychodziło mu do głowy.

Dotknął jej mój wróg.

Katz - pomyślał Tommy-Ray. Chodzi mu o tego idiotę Katza.

Powolałem was do żyda, ciebie i Jo-Beth, żebyście byli moimi agentami. Mój wróg zrobił to samo. Splodził dziecko.

- Więc Katz nie jest twoim wrogiem - zawołał Tommy-Ray, wyteżając umysł, by zrozumieć. - Jest synem twojego wroga?

A teraz dotknął twojej siostry. Ta skaza nie pozwala jej zbliżyć się do mnie.

- Nie na długo.

Z tymi słowami Tommy-Ray pobiegł z powrotem do domu, nawołując Jo-Beth lekkim, jasnym głosem.

W głębi domu Jo-Beth usłyszała jego wołanie i uspokoiła się. W jego głosie nie było cierpienia. Gdy weszła do kuchni, stał już w drzwiach szeroko rozłożywszy ramiona, lekko pochylony i szczyrzył zęby w uśmiechu. Lśniący od potu i prawie nagi, wyglądał jakby właśnie nadbiegł brzegiem morza.

- Mam dla ciebie cudowną niespodziankę - uśmiechał się.

- Co?

- Na dworze. Chodź ze mną.

Wszystkie żyły jakby mu nabrzmiały. Dostrzegła w jego oczach błysk, któremu nie ufała. Jego uśmiech wzmógł jej podejrzenia.

- Nigdzie nie idę. Tommy...

- Dlaczego się sprzeciwiasz? - zapytał, przechylając głowę na bok. - To, że cię dotknął, jeszcze nie znaczy, że do niego należysz.

- Co ty pleciesz?

- Mówię o Katzu. Wiem, co zrobił. Nie wstydz się. Już ci wybaczyłem. Ale musisz sama przyjść i przeprosić.

- Wybaczyłeś?! - gdy podniosła głos, ból w jej czaszce rozpoczął nowe harce. - Nie masz prawa wybaczyć mi albo nie wybaczyć, ty dupku! Z jakiej racji ty...

- Nie ja - powiedział Tommy-Ray, wciąż jednakowo uśmiechnięty. - Nasz ojciec.

- Co?

- Jest na dworze.

Potrząsnęła głową. Ból wzmagał się.

- No chodź. Jest na podwórku. - Puścił framugę drzwi i ruszył przez kuchnię w jej stronę. - Wiem, że to boli, ale dżaff złagodzi ból.

- Nie podchodź do mnie!

- Jo-Beth, to JA, Tommy-Ray! Nie ma się czego bać.

- Właśnie, że tak! Nie wiem, o co tu chodzi, ale boję się.

- Myślisz tak, ponieważ Katz zostawił na tobie ślad swojego dotyku. Nie zrobię ci nic złego, przecież wiesz. Przecież wszystko odczuwamy razem. Co boli ciebie, boli i mnie. Nie lubię bólu - roześmiał się. - Jestem dziwakiem, ale nie do tego stopnia.

Mimo że dręczyły ją wątpliwości, dała się przekonać tym argumentem, ponieważ to była prawda. Przez dziewięć miesięcy przebywali razem w jednym łonie; byli połówką

jednego jaja. Nie zrobi jej krzywdy.

- Chodź, proszę cię - powiedział, wyciągając do niej rękę. Podała mu swoją. Ból głowy natychmiast ustąpił, odczuła wielką ulgę. Zamiast harmideru w jej głowie zabrzmiał szept.

Usłyszała swoje imię:

Jo-Beth.

- Tak? - zapytała.

- To nie ja - powiedział Tommy-Ray. - To dzaff cię woła...

Jo-Beth.

- Gdzie on jest?

Tommy-Ray wskazał na zarośla. Nagle wydały się bardzo odległe od domu - były prawie na końcu podwórka. Nie wiedziała, w jaki sposób tak szybko pokonała taką odległość, ale zdawało się, że wiatr, który igrał z firankami, ma ją teraz w swojej mocy i niesie ją w stronę zarośli.

Tommy-Ray puścił jej dłoń.

- No idź - słyszała jego ponaglenia. - Przecież właśnie na to czekaliśmy...

Zawahała się. Sposób, w jaki kołysały się drzewa, szumiące niespokojnie, nasuwał jej na myśl złe skojarzenia - jak grzyba atomowego albo krwi w wodzie. Ale nawołujący ją głos miał głęboki i kojący ton, a twarz tego człowieka - teraz widoczna - wzruszyła ją. Jeśli miała nazwać kogoś ojcem, to ten mężczyzna odpowiadał jej wyobrażeniom. Podobała jej się jego broda i potężne czoło. Zachwyciła ją precyzja, z jaką jego wargi sformowały te słowa:

Jestem dzaffem. Twoim ojcem.

- Naprawdę?

Naprawdę.

- Dlaczego przychodzisz dopiero teraz?

Podejdź bliżej. Powiem ci.

Już miała się zbliżyć, kiedy z domu dobiegł krzyk:

- Nie pozwól, by ten stwór cię dotknął!

To krzyczała matka; Jo-Beth nigdy by nie przypuszczała, że potrafi wydać z siebie tak donośny głos. Słyszac go. zastygła w miejscu, a potem odwróciła się, by odejść. Przed nią stał Tommy-Ray. Ponad jego ramieniem dostrzegła matkę - szła bosą przez trawnik, w niedopiętej nocnej koszuli.

- Jo-Beth, nie podchodź do niego! - zawołała.

- Mamo?

- Odejdź!

Prawie już od pięciu lat nie przekroczyła progu domu; nieraz powtarzała, nigdy już nie wyjdzie na dwór. Teraz wybiegła z domu z przerażeniem w oczach, wydając rozkazujące - nie błagalne - okrzyki.

- Odejdźcie stąd obydwój!

Tommy-Ray obrócił się w jej stronę: - Idź do domu. To ciebie nie dotyczy.

Matka zwolniła kroku.

- Ty nic nie wiesz, synu - powiedziała. - Nie masz o niczym najmniejszego pojęcia.

- To jest nasz ojciec - zaprotestował Tommy-Ray. - Wrócił do nas. Powinnaś być wdzięczna.

- Wdzięczna temu stworowi? - krzyknęła matka; oczy jej zognomniały. - Właśnie on złamał mi serce. Wasze też złamie, jeśli mu pozwolicie. - Stała w odległości jarda od

Tommy'ego. - Nie pozwól, by was skrzywdził - powiedziała cicho, dotykając policzka syna.

Tommy-Ray odtrącił jej rękę.

- Ostrzegałem cię - powiedział. - Ta sprawa ciebie nie dotyczy.

Reakcja matki była natychmiastowa. Podeszła do Tommy-Raya i uderzyła go w twarz otwartą dłonią; policzek odbił się echem od ścian domu.

- Ty głuptasie! - krzyknęła. - Nawet teraz nie widzisz, że on jest zły?!

- Widzę, że wariatka jest wariatką - warknął Tommy-Ray. - Te twoje pacierze i gadki o diable... Flaki mi się od tego przewracają. Wciąż próbujesz zrujnować moje życie. A teraz chcesz zniszczyć i to. Nic z tego! Tata wrócił! Więc odczep się, do cholery!

Zdaje się, że ten wybuch rozśmieszył mężczyznę, ukrytego wśród drzew; Jo-Beth słyszała, że się roześmiał. Obejrzała się szybko. Nie spodziewał się tego i nieco poluzował swoją maskę. Twarz, która przed chwilą wydawała się prawdziwie ojcowska, teraz nabrzmiała, czy też nabrzmiało coś poza nią.

Oczy i czoło były teraz większe; czoło i usta, które wydawały jej się tak pięknie wykrojone, były teraz w zaniku. W miejsce ojca pojawił się potwornie wielki embrion.

Krzyknęła zaskoczona.

W tej samej chwili gąszcz drzew rozszumiał się, jakby targany burzą.

Gałęzie biły o siebie jak pokutnicy, katujący się biczami, zdzierając korę i szarpiąc liście z taką furią, że Jo-Beth była pewna, iż wyrwą z ziemi korzenie i rzucą się na nią.

- Mamo! - zawołała i zwróciła się w stronę domu.

- Dokąd idziesz? - wstrzymał ją Tommy-Ray.

- To nie jest nasz ojciec! - zawołała. - To jakieś oszustwo! Popatrz! To straszne oszustwo!

Tommy-Ray albo widział i było mu wszystko jedno, albo też był pod tak przemożnym wpływem dżaffa, że widział tylko to, czego tamten sobie życzył.

- Zostaniesz ze mną! - krzyknął, chwytając Jo-Beth za ramię. - Z nami!

Usiłowała się wyrwać, ale trzymał ją zbyt mocno. Wtedy wmieszała się matka; uderzyła

pięścią na odlew, aż zwolnił uchwyt. Jo-Beth puściła się pędem w stronę domu, zanim zdążył ją pochwycić. Gdy biegła przez trawnik, dogoniła ją zawierucha liści - i matka; schwyciła ją za rękę i razem biegły do drzwi.

- Zamknij drzwi na klucz! Na klucz! - zawołała matka, kiedy wpadły do środka.

Ledwie zaryglowała drzwi, matka zawołała, by szła za nią.

- Dokąd?

- Do mojego pokoju. Wiem, jak powstrzymać tego stwora. Szybko!

W pokoju unosił się zapach perfum matki i zleżającej pościeli, ale tym razem ta znajoma woń dodała jej otuchy. Czy pokój może jej zapewnić bezpieczeństwo, było mocno wątpliwe.

Jo-Beth słyszała, jak na dole otwarto kopniakiem drzwi kuchenne; potem łoskot, jakby ktoś rozrzucił po kuchni zawartość lodówki. Zapadła cisza.

- Szukasz klucza? - zapytała Jo-Beth, widząc, że matka sięga pod poduszkę. - Jest w drzwiach z drugiej strony.

- To przynieś go! Szybko!

Zza drzwi dobiegł cichy trzask; Jo-Beth zawahała się. Ale jeśli nie zamkną drzwi na klucz, nie będą miały żadnych możliwości obrony. Matka mówiła, że powstrzyma džaffa, ale szukała modlitewnika, nie klucza, a przecież modlitwy niczemu nie zapobiegną. Tylu ludzi umiera z błagalną modlitwą na ustach. Nie miała wyboru - jednym szarpnięciem otworzyła drzwi.

Wyjrzała na schody. Był tam džaff, płód z zarostem; wpatrywał się w nią ogromnymi oczyma. Uśmiechał się maleńkimi ustami. Szedł po schodach.

Jo-Beth sięgnęła po klucz.

Już jesteśmy - odezwał się džaff.

Klucz uwiązał w zamku. Zaczęła nim obracać na prawo i lewo, aż nagle zamek puścił -

klucz wyskoczył z zamka i wysliznął się z jej palców. Dżaffowi zostały jeszcze trzy stopnie.

Nie spieszył się. Jo-Beth przykucnęła, by podnieść klucz; po raz pierwszy po powrocie do domu odczuła na nowo to bolesne pulsowanie w głowie, które przedtem zapowiedziało jego przybycie. Ten szum nie pozwalał jej zebrać myśli.

Po co przykucnęła? Czego tu szuka? Zobaczyła klucz i przypomniała sobie. Schwyciła go (dżaff był już na górze), wstała, cofnęła się w głąb pokoju, zatrzasnęła drzwi i przekręciła klucz.

- On już tu jest! - powiedziała do matki.

- Oczywiście - potwierdziła matka. Znalazła to, czego szukała.

To nie był modlitewnik, ale nóż; ośmiocalowy nóż kuchenny, który zaginął jakiś czas temu. - Wiedziałam, że on przyjdzie. Jestem gotowa.

- Tym go nie pokonasz - powiedziała Jo-Beth. - Przecież on nawet nie jest człowiekiem, prawda?

Matka popatrzyła na drzwi.

- Mamo, odpowiedz.

- Nie wiem, kim on jest. Zastanawiałam się nad tym... przez wszystkie te lata. Może to diabeł. Może nie. Tak długo się bałam - ciągnęła - a teraz, kiedy przyszedł, wszystko wydaje się takie proste.

- Więc mi wytłumacz - powiedziała Jo-Beth - bo nic z tego wszystkiego nie rozumiem.

Kim on jest? Co zrobił Tommy-Rayowi?

- Powiedział mu prawdę. To znaczy, w pewnym sensie. On rzeczywiście jest waszym ojcem. Czy raczej jednym z nich.

- Po co mi tylu ojców?

- Przez niego stałam się dziwką. Pragnienia, których nie chciałam, doprowadziły mnie

prawie do obłądu. Waszym ojcem jest mężczyzna, z którym spałam, ale ten stwór... -

wskazała nożem na drzwi; słyhać było pukanie - naprawdę powołał was do życia.

Słyszę, co mówisz - odezwał się bezgłośnie džaff - *Każde twoje słowo.*

- Odejdź - powiedziała matka, podchodząc do drzwi.

Jo-Beth próbowała ją odciągnąć, ale matka nie zwracała na nią uwagi.

Miała swoje powody. Chciała stać nie przy drzwiach, ale przy córce.

Schwyciła Jo-Beth za ramię, przyciągnęła do siebie i przyłożyła nóż do jej gardła.

- Odejdź - powiedziała do istoty, stojącej na podeście schodów. - Zrobię to jak Bóg na

niebie. Spróbuj tu wejść, a twoja córka zginie. - Trzymała Jo-Beth równie silnie jak Tommy-

Ray. Kilka minut temu nazwał ją wariatką. Albo jej obecna zagrywka była bluffem godnym

Oscara, albo Tommy-Ray miał rację. Tak czy owak Jo-Beth nie miała szans.

Dżaff ponownie zastukał w drzwi.

Córko! - zawołał.

- Odpowiedz mu - zażądała matka.

- ...tak...

Czy obawiasz się o swoje życie? Mów prawdę. Powiedz mi prawdę. Kocham cię i nie chcę, by stała ci się jakaś krzywda.

- Ona się boi - powiedziała matka.

Niech ona mówi - powiedział džaff.

Jo-Beth odpowiedziała bez wahania:

- Tak. Tak! Ona ma nóż i...

Byłabyś głupia - mówił džaff do matki - *gdybyś zabiła jedyną istotę, która nadała twojemu życiu jakiś sens. Ale byłabyś do tego zdolna, prawda?*

- Nie pozwolę, byś ją miał - odparła matka.

Cóż, niech tak będzie - zaśmiał się cicho. - Zawsze jest jakieś jutro.

Po raz ostatni potrząsnął drzwiami, jakby chciał się upewnić, że naprawdę są zamknięte na klucz. Potem śmiech i szcęk klamki ucichły, a zabrzmiało niskie, gardłowe stękanie, jakby w bólu rodziła się jakaś istota, która już od pierwszego oddechu wiedziała, że musi się pogodzić z tym, co ją czeka. Ten ton rozpaczy przejmował równie wielkim - jeśli nie większym - chłodem jak uprzednie namowy i groźby. Potem zaczął cichnąć.

- Odchodzi - powiedziała Jo-Beth. Matka nie odejmowała noża od jej szyi - Mamo, on odchodzi. Puść mnie.

Piąty stopień w dole schodów skrzypnął dwa razy, potwierdzając przekonanie Jo-Beth, że ich dręczyciele rzeczywiście odchodzili. Ale minęło pół minuty, zanim matka nieco rozluźniła palce zaciśnięte na ramieniu Jo-Beth, i jeszcze minuta, zanim puściła ją zupełnie.

- Ten stwór wyszedł z domu - powiedziała. - Ale zaczekaj jeszcze trochę.

- A Tommy? Musimy iść go poszukać.

Matka potrząsnęła głową:

- Musiałam go utracić. Szukanie nic nie da.

- Musimy spróbować - nalegała Jo-Beth.

Otworzyła drzwi. Z drugiej strony podestu, oparte o balustradę, stało coś, co mogło być dziełem rąk Tommy-Raya i nikogo innego. Kiedy byli dziećmi, robił dla niej tuziny lalek - prymitywne zabawki, które jednak nosiły zawsze charakterystyczne cechy jego usposobienia.

Zawsze się uśmiechały. Teraz zrobił nową kukłę - ojca rodziny. Kukła była sporządzona z jedzenia.

Głowa z hamburgera; oczy - dwie dziury zrobione palcem; ręce i nogi z warzyw; tułów z mleka w kartonowym opakowaniu; mleko sączyło się z główek czosnku i strąków ostrej papryki, umieszczonych nad nogami. Jo-Beth patrzyła na tę ordynarną kukłę. Kukła patrzyła

na nią twarzą z mięsa. Nie uśmiechała się. Nie miała nawet ust. Tylko dwie dziury w hamburgerze. Z krocza kukły spływało mleko męskości, plamiąc dywan.

Matka miała rację. Utraciły Tommy-Raya.

- Wiedziałaś, że ten łajdak wróci - powiedziała.

- Domyślałam się, że wróci po pewnym czasie. Nie do mnie. Jemu nie chodzi o mnie.

Byłam mu tylko potrzebna jako macica, jak my wszystkie...

- Zmowa Dziewic - wtrąciła Jo-Beth.

- Skąd o tym wiesz?

- Och, mammo... ludzie gadali, jeszcze kiedy byłam malutka...

- Ileż ja się najadłam wstydu - powiedziała matka. Zakryła twarz dłonią. Druga ręka, w której wciąż trzymała nóż, zwisała bezwładnie u jej boku. - Taki straszny wstyd. Chciałam się zabić. Ale pastor mnie powstrzymał. Mówił, że muszę żyć. Dla Boga. I dla ciebie, i Tommy-Raya.

- Musiałaś być bardzo silna - powiedziała Jo-Beth; oderwała oczy od kukły i popatrzyła na matkę. - Kocham cię, mammo. Mówiłam, że się ciebie boję, ale wiem, że nie zrobiłabyś mi nic złego.

Matka podniosła na nią oczy: po jej twarzy toczyły się łzy i spadały na suknię.

Powiedziała bez chwili namysłu:

- Zabiłabym cię bez wahania.

III

- Mój wróg wciąż żyje - powiedział džaff.

Tommy-Ray prowadził go ścieżką, o której wiedziały tylko dzieci wychowane w Grove; biegła tyłem Wzgórza na wysoki punkt widokowy.

Było to miejsce zbyt kamieniste dla zakochanych, grunt zbyt niepewny, by na nim

budować; ale ci, którzy zadali sobie trud, by wspiąć się na tę wyżynę, mieli stąd niezrównany widok na Laureltree i Windbluff.

Stali tam teraz - Tommy-Ray i jego ojciec, ciesząc oczy rozległym widokiem. W górze nie było gwiazd i niewiele świateł w domach u ich stóp.

Chmury wygasiły światła nieba, a sen - światła miasta. Ojciec i syn stali i rozmawiali, wolni od świadków.

- Kto jest twoim wrogiem? - zapytał Tommy-Ray. - Powiedz, a pójdę i wydrę mu gardło.

- Wątpię, czy by ci na to pozwolił.

- Nie drwij ze mnie - zaprotestował Tommy-Ray. - Nie jestem takim tępakiem. Wiem, kiedy traktujesz mnie jak dziecko. Nie jestem dzieckiem.

- Musisz mi to udowodnić.

- Udowodnię. Nie boję się niczego.

- Zobaczymy.

- Chcesz mnie przestraszyć?

- Nie. Po prostu przygotować.

- Do czego? Do spotkania z twoim wrogiem? Po prostu powiedz mi, jaki on jest.

- Nazywa się Fletcher. Był moim wspólnikiem, jeszcze przed twoim urodzeniem. Ale oszukał mnie. W każdym razie próbował.

- Jakie prowadziliście interesy?

- Ach! - dzaff roześmiał się; Tommy-Ray słyszał już ten śmiech wielokrotnie i za każdym razem bardziej mu się podobał. Facet miał poczucie humoru, nawet jeśli czasem - jak teraz - Tommy-Ray niezupełnie rozumiał, na czym polegał dowcip. - Nasze interesy? - powtórzył dzaff. W skrócie, chodziło o zdobycie władzy. Ściślej - o pewien rodzaj władzy,

zwany Sztuką. Kiedy ją zdobędę, będę mógł wstąpić w sny Ameryki.

- Żartujesz sobie ze mnie?

- Nie chodzi o wszystkie sny, tylko o ważne sny. Wiesz, Tommy-Ray, jestem badaczem.

- Tak?

- Tak. Ale co jeszcze pozostało na świecie do zbadania? Niewiele. Kilka piędzi pustyni, tropikalna dżungla...

- Kosmos - podrzucił Tommy-Ray, spoglądając w górę.

- To znaczy skrawki pustyni, rozdzielone pustą przestrzenią. Nie - prawdziwa tajemnica

- jedyna tajemnica, istnieje wewnątrz naszych głów. Tam właśnie się dostanę.

- Nie chodzi ci o to, co robią psychoanalitycy, prawda? Ty rzeczywiście chcesz tam w jakiś sposób być?

- Właśnie.

- A Sztuka pozwala się tam dostać?

- Otóż to.

- Mówiłeś, że chodzi ci o sny. Wszyscy śpimy, mamy sny. Możemy się tam dostać w każdej chwili, po prostu zasypiając.

- Większość marzeń sennych to zwykle przestawianki. Ludzie zbierają swoje wspomnienia i próbują ustawić je w jakimś porządku. Ale jest jeszcze inny rodzaj snu. Marzenie, które wyjaśnia, czym są narodziny, miłość i śmierć. Sen, który wyjaśnia, po co się żyje. Wiem, że jest to niejasne...

- Mów dalej. Mimo wszystko, chcę dowiedzieć się czegoś więcej.

- Istnieje morze umysłów. Nazywa się Quiddity - mówił dzaff. - Na wodach tego morza unosi się wyspa, która ukazuje się każdemu z nas we śnie przynajmniej dwa razy w życiu: u

jego początku i końca. Pierwsi odkryli ją Grecy. Platon pisał o niej szyfrem. Nazwał ją

Atlantyda... - urwał, zgubił wątek opowieści, myśląc o jej istocie.

- Bardzo chciałbyś się tam dostać, prawda? - spytał Tommy-Ray.

- Bardzo. Chcę pływać w tym morzu, kiedy mi przyjdzie ochota i wracać na brzeg, by słuchać niezwykłych opowieści.

- Sprytnie.

- Co mówisz?

- Sprytnie pomyślane.

- Twoja brutalna bezpośredniość podnosi mnie na duchu, synu. Widzę, że się dogadamy. Możesz być moim agentem w terenie, jak sądzisz?

- Jasne - Tommy-Ray uśmiechnął się szeroko. Po chwili zapytał: - Co robi taki agent?

- Nie mogę pokazywać się byle komu - powiedział dzaff. - Poza tym... nie przepadam za światłem dnia. Jest takie... mało tajemnicze. Ale ty mógłbyś działać na mój rachunek.

- Więc zostajesz tutaj? Myślałem, że może gdzieś wyjedziemy.

- Owszem, później. Ale najpierw mój wróg musi zginąć. Jest słaby. Nie będzie

próbował wyjechać z Grove, zanim nie zdobędzie czyjegoś poparcia. Będzie pewnie szukał własnego dziecka.

- Katza?

- Właśnie.

- Więc powinienem zabić Katza.

- To byłoby korzystne, gdyby nadarzyła się odpowiednia sposobność.

- Moja w tym głowa.

- Chociaż z drugiej strony, powinieneś mu być wdzięczny.

- Jak to?

- Gdyby nie on, wciąż jeszcze tkwiłbym pod ziemią. Ciągłe czekałbym, że ty albo Jo-

Beth wpadniecie na trop tajemnicy i odszukacie mnie. To, co ona i Katz zrobili...

- Ale co zrobili?! Spali ze sobą?

- To ma dla ciebie jakieś znaczenie?

- Jasne, że ma.

- Dla mnie też. Na samą myśl, że potomek Fletchera dotyka twojej siostry, ogarniał mnie wstręt. Fletchera też to brzydziło, choć ten fakt nie ma większego znaczenia.

Przynajmniej pod jednym względem się zgadzaliśmy. Chodziło o to, kto pierwszy wydostanie się na powierzchnię i który z nas będzie silniejszy, gdy już obaj się tam znajdziemy.

- Ty.

- Tak, ja. Mam pewną przewagę nad Fletcherem. Moje wojska, moje terata, zdobywam najłatwiej u konających. Zabrałem takie jedno Vance'owi.

- Gdzie ono jest?

- Kiedy wchodziliśmy na to wzgórze, zauważyłeś, że coś za nami idzie, pamiętasz?

Powiedziałem ci, że to pies. Oszukałem cię.

- Pokaż je.

- Może ci się nie spodobać.

- Oj, tato, proszę cię!

Dżaff gwizdnął. Na ten dźwięk poruszyły się drzewa za jego plecami; ukazała się jakaś twarz, która połamała na drzazgi drzewa na podwórku.

Tym razem twarz ukazała się wyraźnie. Wyglądała jak jakiś morski stwór, wyrzucony przez fale na brzeg; potwór z morskich głębin, który zdechł i wypłynął na powierzchnię, a potem prażyło go słońce i dziobały mewy, tak że zanim ujrzało go ludzkie oko, miał pięćdziesiąt oczodołów i dwanaście ust i był w połowie obdarty ze skóry.

- Sprytnie - powiedział Tommy-Ray. - Wziąłeś to jakiemuś komikowi? Nie jest zbyt zabawne.

- Pochodzi od człowieka, który stał jedną nogą na tamtym świecie. Był przerażony i opuszczony. Tacy zawsze wytwarzają doskonałe okazy. Kiedyś opowiem ci o miejscach, w których poszukiwałem zagubionych dusz, z których mógłbym wydobyć terata. Napatrzyłem się na różne rzeczy. Gdybyś wiedział, z jakimi mętami miałem do czynienia... - Popatrzył w dal na miasto. - Ale tutaj? Gdzie ja tutaj znajdę podobne obiekty?

- Chodzi ci o umierających?

- Chodzi mi o ludzi, którzy nie potrafią się bronić. Ludzi, którzy nie mają żadnych mitologii, które by ich chroniły. Ludzi przestraszonych. Ludzi zagubionych. Szaleńców.

- Mógłbyś zacząć od matki.

- Ona nie jest szalona. Może chciałaby oszaleć. Może żałuje, że nie jest w stanie odrzucić wszystkiego, co widziała i przecierpiała jako zwykłe halucynacje; ona wie, że to prawda. Potrafi się też bronić. Ma wiarę, choć tak idiotyczną. Nie... Tommy-Ray, ja potrzebuję nagich i bezbronnych. Ludzi bez bóstw. Ludzi straconych.

- Znam takich kilku.

Gdyby Tommy-Ray potrafił czytać w myślach ludzi, których codziennie mijał, mógłby zaprowadzić ojca - bez przesady - do setek domów. Do ludzi, robiących zakupy w Pasażu, ładujących do wózków świeże owoce i zdrowe płatki zbożowe, ludzi o cerach zdrowych jak jego cera, o oczach patrzących jasno jak jego oczy, wydawali się zrównoważeni i szczęśliwi pod każdym względem. Może od czasu do czasu chodzili do psychoanalityka - ot, po prostu, by płynąć dalej przez życie bez większych przechyłów; może podnosili głos na dzieci albo płakali w poduszkę, gdy kolejne urodziny doliczały im jeszcze jeden rok - ale w sumie uważali, że żyją w zgodzie ze sobą i całym światem. Mieli wysokie konta w banku; słońce

zapewniało im ciepło przez większość dni w roku, a kiedy zawodziło, rozpalali ogień w kominku i wierzyli, że ich tężyzna fizyczna pozwoli im przetrwać chłody.

Gdyby ich zapytano, powiedzieliby, że wierzą w to czy tamto. Ale nikt ich nie pytał.

Nie tutaj, nie teraz. Zbyt daleko zaszli w to stulecie, by mówić o wierze bez grymasu zakłopotania; nie szczydzili wysiłków i zabiegów, by uczucie zakłopotania nie zepsuło jakości ich życia. Bezpieczniej jest nie mówić o wierze ani o bóstwach, które ją budziły w sercach ludzi - chyba że podczas ślubów, chrztów i pogrzebów, i tylko za pomocą oklepanych formułek.

Właśnie. W głębi ich serc wiara opadała z siłą, u wielu była już martwa. Żyli od jednego wydarzenia do drugiego; pustka, wypełniająca przestrzeń między tymi wydarzeniami, napełniała ich niejasną trwogą; wypełniali swoje życie rozrywkami, by uniknąć pustki tam, gdzie powinna być ciekawość; oddychali z ulgą - kiedy dzieci wyrastały z wieku, gdy zadaje się pytanie: po co właściwie człowiek żyje.

Jednak nie wszyscy potrafili tak dobrze maskować swój strach.

Kiedy Ted Elizando i jego koledzy z klasy mieli trzynaście lat, pewien nauczyciel o postępowych poglądach powiedział im, że supermocarstwa dysponują wystarczającymi arsenałami pocisków, by wieleset razy doszczętnie zniszczyć cywilizację. Ta myśl niepokoiła go, jak się zdaje, o wiele bardziej niż jego rówieśników, więc nie zwierzał się nikomu z dręczących go snów o Armageddonie, z obawy że go wyśmieją. Udało się; Ted oszukał kolegów i samego siebie. W ciągu wczesnych lat młodzieńczych prawie zupełnie zapomniał o tych lękach. W wieku 21 lat znalazł dobrą pracę w Thousand Oaks i ożenił się z Loretą. W następnym roku zostali rodzicami. Pewnej nocy, kiedy Dawn miała kilka miesięcy, wrócił koszmar ognia, niosącego zagładę. Roztrzęsiony, zlany potem, Ted wstał, żeby sprawdzić,

czy z córką wszystko w porządku. Spała w swoim łóżeczku, rozplaszczona na brzuszku, jak to miała w zwyczaju. Pilnował jej snu przez godzinę czy dwie, a potem wrócił do łóżka. Odtąd ten porządek wydarzeń powtarzał się prawie co noc, aż nabrał wszelkich cech rytuału. Czasem niemowlę obracało się na bok i otwierało na chwilę oczy, ocienione długimi rzęsami. Uśmiechało się, widząc tatę przy swoim łóżeczku.

Ale nocne czuwanie zaczęło odbijać się na Tedzie. Po wielu nocach niedostatecznego snu był zupełnie wyczerpany; z coraz większym trudem bronił się przed strachem, który dopadał go, kiedy mrok nocy wchłaniał światło dnia. Koszmar dręczył go również w biały dzień, gdy pracował siedząc za biurkiem. Wiosenne słońce, padające na rozłożone przed nim dokumenty, rosło w oślepiającą jasność atomowego grzyba. W każdym powiewie wiatru, nawet pachnącym kwiatami, słyszał odległe krzyki i płacz.

Pewnej nocy, gdy trzymał straż przy łóżeczku Dawn, usłyszał świst nadlatujących pocisków. Zdjęty przerażeniem wziął Dawn w ramiona, próbując utulić jej płacz. Kapryszące dziecko zbudziło Loretę. Znalazła go w jadalni, z przerażenia nie mógł wymówić słowa.

Wpatrywał się w córkę.

Upuścił ją, gdy zobaczył, jak zwęglało się jej ciało, czerniała skóra, a kończyny zmieniały w dymiące szczapy.

Przez miesiąc przebywał w szpitalu, a potem wrócił do Grove, gdyż lekarze zgodnie orzekli, że największe szansę na powrót do zdrowia miał we własnym domu. Po roku Loretta wystąpiła o rozwód, jako powód podając zbyt dużą różnicę charakterów. Otrzymała rozwód, a także przyznano jej opiekę nad dzieckiem.

Bardzo niewielu ludzi odwiedzało Teda ostatnimi czasy. Przez ostatnie cztery lata od czasu załamania nerwowego pracował w Sklepie Zoologicznym w Pasażu; to zajęcie nie przekraczało na szczęście jego możliwości.

Czuł się szczęśliwy wśród zwierząt, które - podobnie jak on - nie potrafiły niczego udawać. Sprawiał wrażenie człowieka, dla którego zabrakło miejsca na ziemi - zostało tylko ostrze brzytwy. Ted dogadzał kaprysom Tommy-Raya, któremu matka nie pozwalała hodować żadnego zwierzątka; pozwalał mu przebywać w sklepie bez ograniczeń (kilkakrotnie nawet budząc niezadowolenie chłopca, kiedy wychodził, by załatwić jakieś sprawy), bawić się z psami i węzami. Tomy-Ray dobrze poznał Teda i jego życie, chociaż nigdy nie zaprzyjaźnili się naprawdę, na przykład nigdy nie odwiedzał Teda w domu, tak jak dziś w nocy.

- Przeprowadziłem ci gościa, Teddy. Chciałbym, żebyście się poznali.

- Już późno.

- To bardzo pilne. Widzisz, mam wspaniałą wiadomość i tylko z tobą mogę się nią podzielić.

- Wspaniałą wiadomość?

- Chodzi o mojego ojca. Wrócił do domu.

- Twój ojciec wrócił? Naprawdę, bardzo się cieszę, Tommy-Ray.

- Nie chciałbyś go zobaczyć?

- No, ja...

Oczywiście, że chce - powiedział džaff, wychodząc z cienia; wyciągnął do Teda rękę. -

Przyjaciele mojego syna są moimi przyjaciółmi.

Widząc potęgę, którą Tommy-Ray przedstawił jako swojego ojca. Ted cofnął się spłoszony w głąb domu. To był zupełnie nowy koszmar. Nawet w dawnych, złych czasach nie nachodziły go tak otwarcie. Skradały się jak złodzieje. Ten mówił, uśmiechał się i napraszał się do środka.

Chcę czegoś od ciebie - powiedział džaff.

- O co chodzi, Tommy-Ray? To mój dom. Nie możesz tak po prostu wchodzić i brać, co chcecie.

To jest coś, czego nie chcesz - powiedział džaff, wyciągając do Teda rękę. - *Coś, bez czego będziesz o wiele szczęśliwszy.*

Tommy-Ray patrzył zdumiony, pełen podziwu - Ted dziko potoczył oczami wydając dźwięki, jakby miał za chwilę zwymiotować. Ale niczego z siebie nie wyrzucił, przynajmniej nie z żołądka. Danina, której żądał od niego džaff, już zaczęła wydobywać się z jego porów; soki jego ciała kipiały i nabierały gęstości, blednąc oddzielały się od jego skóry, przesiąkały przez koszulę i spodnie. Tommy-Ray jak zaczarowany kołysał się na boki. Było to jak jakiś groteskowy akt magiczny. W powietrzu przed Tedem, lekceważąc prawo ciężenia, unosiły się krople cieczy; dotykały się i zlewały w większe krople, a te łączyły się dalej, aż na wysokości jego piersi bujały bryłki zbitej materii, jak kawałki sera o nieświeżym, szarawym odcieniu.

Na wezwanie džaffa ciecz wciąż się wydzielała, zwiększając bryłę powstającego ciała.

Zaczynało już nabierać kształtów - ukazywały się pierwsze, prymitywne zarysy skrytego przerażenia Teda. Na ten widok Tommy-Ray wyszczerzył zęby w uśmiechu: stworowi podrygiwały nogi, oczy miało nie od pary.

Biedny Ted, nosił w sobie takie dziecko i nie mógł się go pozbyć. Jak powiedział džaff, bez tego poczuje się lepiej.

To była pierwsza z długiego szeregu wizyt, które złożyli tej nocy; każda pozyskiwała im nową bestię, wydobytą z zagubionej duszy.

Wszystkie były blade, miały w sobie jakiś nieokreślony gadzi pierwiastek, ale pod każdym innym względem były to stwory o zróżnicowanych cechach. Najtrafniej ujął to džaff, kiedy przygody tej nocy dobiegały końca.

- To rodzaj sztuki - powiedział - to wydobywanie na wierzch tego, co ukryte. Nie

uważasz?

- No tak. Podoba mi się to.

- Oczywiście nie jest to tamta Sztuka, tylko jej echo. Tak, jak chyba każda inna sztuka.

- Gdzie teraz pójdziemy?

- Muszę odpocząć. Znaleźć jakieś zaciemnione, chłodne miejsce.

- Znam parę takich miejsc.

- Nie. Musisz wracać do domu.

- Po co?

- Bo chcę, żeby jutro rano. po przebudzeniu. Grove myślało, że świat jest taki, jaki był.

- Co mam powiedzieć Jo-Beth?

- Powiedz, że niczego nie pamiętasz. Jeśli zaczną cię naciskać, przeproś ją.

- Nie chcę iść.

- Wiem - dzaff położył rękę na jego ramieniu, pocierając mu mięśnie. - Ale przecież nie możemy dopuścić, żeby wysłano za tobą grupę poszukiwaczy. Mogliby odkryć rzeczy, które pokażemy im dopiero wtedy, gdy to my uznamy, że przyszedł czas.

Tommy-Ray uśmiechnął się szeroko.

- A kiedy to będzie?

- Chciałbyś, żeby całe Grove wywróciło się do góry dnem?

- Liczę godziny.

Dzaff roześmiał się.

- Jaki ojciec, taki syn - powiedział. - Spokojnie, chłopcze. Ja wrócę.

Śmiejąc się, wprowadził swoje bestie w głąb nocy.

IV

Dziewczyna moich marzeń myliła się - pomyślał Howie po przebudzeniu: w Kalifornii

nie co dzień świeci słońce. Kiedy uniósł story, zobaczył, że świt się spóźnia: na niebie ani odrobiny błękitu. Sumiennie wykonał poranną gimnastykę - okrojona na tyle, na ile pozwalała mu jego obowiązkowość.

W niewielkim tylko stopniu - albo wcale - pobudziła jego organizm; tyle, że się spocił.

Wziął prysznic, ogolił się, ubrał i zszedł do Pasażu.

Nie przygotował sobie żadnych przekonywających argumentów, kiedy zobaczył Jo-Beth. Już z doświadczenia wiedział, że wszelkie wysiłki ułożenia jakiejś mowy mogą się tylko zakończyć beznadziejną jękaniną, gdy tylko otworzy usta. Najlepiej czekać, co przyniesie chwila. Jeśli Jo-Beth będzie go unikać, on będzie nalegał. Jeśli będzie skruszona, on okaże wyrozumiałość.

Musiał załatać wyrwę, która zeszłej nocy pojawiła się w ich miłości - tylko to było ważne.

Jeśli istniało jakieś wyjaśnienie tego, co przydarzyło im się w motelu, to nie udało mu się go odnaleźć, chociaż wiele godzin łamał sobie nad tym głowę. Doszedł tylko do jednego: że ich wspólny sen - a to, że śnili jeden sen nie było trudne do zrozumienia. Jeśli się wzięło pod uwagę natężenie ich uczuć - został przez jakąś wadliwą rozdzielnię telepatyczną skierowany na tory koszmaru, co było i niezrozumiałe, i niezasłużone.

To była jakaś astralna pomyłka. Nie mieli z tym nic wspólnego, najlepiej o tym zapomnieć. Przy odrobinie dobrej woli obojga, będą mogli podjąć nic miłości tam, gdzie ją wczoraj zostawili: przed Barem Hamburgerowym Butricka, kiedy wszystko wokół tchnęło obietnicą.

Poszedł prosto do księgarni. Za ladą stała Lois - pani Knapp. Poza tym, nikogo.

Przywitał się z uśmiechem i zapytał, czy Jo-Beth już przyszła. Pani Knapp spojrzała na zegarek. a następnie odrzekła lodowato, że nie, jeszcze jej nie ma i że się spóźnia.

- To ja poczekam - powiedział, nie zrażony chłodnym przyjęciem tej kobiety. Podeszedł do regału, stojącego najbliżej okna: mógł tam jednocześnie przerzucać książki i wyglądać na Jo-Beth.

Wszystkie książki, które miał przed sobą były treści religijnej. Jedna z nich przyciągnęła jego uwagę: „Dzieje Zbawiciela”. Na okładce widniał rysunek, przedstawiający jakiegoś człowieka, klęczącego przed oślepiającym światłem, oraz informacja, że te stronic zawierały Największe Przesłanie Wieku. Przekartkował ten szczupły tomik, niewiele grubszy od broszury: wydał go Kościół Mormonów. Przejrzysty tekst i ilustracje przedstawiały historię Wielkiego Białego Boga starożytnej Ameryki. Na podstawie tych obrazków można było zauważyć, że niezależnie od wcielenia, które przyjmował Pan - czy był Quetzalcoatlem w Meksyku, Tonga-Loa - bogiem słońca oceanu w Polinezji, Illa-Tici, Kukuleanem czy też przybierał jedną z sześciu innych postaci - zawsze wyglądał tak jak idealny bohater białych ludzi: wysoki, o bladej karnacji, orlim nosie, niebieskooki. Jak twierdziła broszura, powrócił obecnie do Ameryki, by święcić tysiąclecie.

Tym razem będzie nosić swoje prawdziwe imię: Jezus Chrystus.

Howie przeszedł do innego regału, szukając książki, która bardziej odpowiadałaby jego nastrojowi. Może poezja miłosna albo poradnik na temat seksu. Ale w miarę jak badał rzędy tomów, stawało się jasne, że każda książka w tej księgarni wyszła z tego samego wydawnictwa albo którejś z jego filii. Były tam modlitewniki, pobożne pieśni przeznaczone do rodzinnego śpiewania, opasłe tomy poświęcone budowie Zim - miasta Boga na ziemi, czy też znaczeniu chrztu. Była między nimi książka przedstawiająca w obrazkach życie Josepha Smitha, ze zdjęciami jego domostwa i świętego gaju, w którym podobno miał wizję.

Umieszczony obok tekst zwrócił uwagę Howie'ego: „Ujrzałem dwie osoby, których jasności i chwały nie oddałby żaden opis, stojące w powietrzu przede mną. Jedna z nich wymówiła

moje imię i rzekła... ”

- Dzwoniłam do domu Jo-Beth. Nikt nie odpowiada. Widocznie musieli gdzieś wyjść.

Howie uniósł znad książki głowę:

- Jaka szkoda - powiedział, niezbyt wierząc słowom tej kobiety.

Jeśli rzeczywiście dzwoniła, to zrobiła to bardzo cicho.

- Prawdopodobnie ona dziś nie przyjdzie - ciągnęła pani Knapp, unikając jego wzroku.

Mamy bardzo nieformalną umowę. Pracuje w godzinach, które jej najbardziej odpowiadają.

Wiedział, że to kłamstwo. Dopiero poprzedniego ranka strofowała Jo-Beth za

niepunktualność; godziny jej pracy nie miały w sobie nic nieformalnego. Ale pani Knapp,

mimo że była dobrą chrześcijanką, postanowiła, zdaje się, pozbyć się go ze sklepu. Może

przyłapała go na głupim uśmiešku, kiedy przeglądał książki.

- Nie ma najmniejszego sensu, by pan tu czekał powiedziała. Mógłby pan tak czekać

cały dzień.

- Czy może odstrasza pani klientów - spytał Howie, zmuszając ją, by jasno

przedstawiła swoje obiekcje wobec niego.

- Nie - powiedziała z nikłym, bezradnym uśmiechem - wcale tego nie twierdzą.

Podszedł do lady. Mimo woli cofnęła się, zupełnie jakby się go przestraszyła.

- Więc co pani twierdzi? - zapytał, z trudem zachowując uprzejmość. - Co się pani we

mnie nie podoba? Mój dezodorant? Moja fryzura?

Znów spróbowała przywołać swój nikły uśmiech, ale tym razem jej się to nie udało,

mimo iż wyszła z dobrej szkoły obłudy; przez jej twarz przebiegł tylko skurcz.

- Nie jestem diabłem - powiedział Howie. - Nie przyjechałem tu, żeby kogoś krzywdzić.

Nic na to nie powiedziała.

- Ja się tu u... u... urodziłem - mówił. - W Palomo Grove.

- Wiem - potwierdziła.

A to coś nowego - pomyślał.

- Co jeszcze pani wie? - zapytał dość łagodnie.

Patrzyła w stronę drzwi. Wiedział, że odmawia cichą modlitwę do Wielkiego Białego

Boga, prosząc go, by ktoś wszedł i uwolnił ją od tego przeklętego chłopaka i jego pytań. Nie wysłuchał jej ani Bóg, ani klient.

- Co pani o mnie wie? - ponowił pytanie. - Chyba... nic takiego strasznego?

Lois Knapp nieznacznie wzruszyła ramionami:

- Chyba nie.

- No więc?

- Znałam pańską matkę - powiedziała tylko, jakby te słowa miały wystarczyć. Nie

odpowiedział; musiała wypełnić napięte milczenie dalszymi wyjaśnieniami. - Oczywiście nie znałam jej dobrze. Była trochę starsza ode mnie. Ale wtedy wszyscy się tu znali. To było dawno temu. Oczywiście po tym, jak zdarzył się ten wypadek...

- Tak to pani na... na... nazywa - przerwał jej Howie.

- Co?

- Pani nazywa to wypadkiem, ale to by... by... był zwykły gwałt, prawda?

Z jej miny można by sądzić, że nie spodziewała się nigdy usłyszeć tego słowa (czy też innego, nawet w przybliżeniu nie tak nieprzyzwoitego) w swoim sklepie.

- Nie pamiętam powiedziała jakby z wyzwaniem. - A nawet gdybym pamiętała... -

przerwała, zaczerpnęła oddech i zmieniła taktykę. - Najlepiej, gdyby pan wrócił tam, skąd pan przyjechał.

- Ale ja właśnie wróciłem. To jest moje miasto rodzinne.

- Nie o to mi chodziło - wreszcie przestawała ukrywać rozdrażnienie. - Nie widzi pan,

co się dzieje? Wraca pan akurat wtedy, kiedy ginie pan Vance.

- A co to ma, do diabła, z tym wspólnego? - wypalił Howie. Co prawda nie zwracał zbytnej uwagi na to, co się wokół niego działo w ciągu ostatniej doby, ale wiedział, że operacja wydobywania ciała Vance'a pociągnęła za sobą kolejne ofiary. Nie rozumiał tylko związku.

- Nie zabiłem Buddy'ego Vance'a. A już na pewno nie zrobiła tego matka.

Najwyraźniej pogodzona już z rolą zwiastuna, Lois dała spokój niedomówieniom i powiedziała resztę jasno, wyraźnie i szybko, żeby mieć to już wreszcie za sobą.

- W tym samym miejscu, gdzie zgwałcono pana matkę - powiedziała - zginął pan Vance.

- Dokładnie w tym samym?

- Tak, dokładnie w tym samym miejscu, tak słyszałam. Nie mam zamiaru iść i tego sprawdzać. Na świecie jest już dość zła, nie ma potrzeby go szukać.

- I pani uważa, że ja w jakiś sposób mam z nim coś wspólnego.

- Tego nie mówiłam.

- Nie. Ale pani tak my... my... myśli.

- Skoro pan pyta - owszem, tak myślę.

- I chce pani, żebym wyszedł z tego sklepu i nie kalał go więcej swoją obecnością?

- Tak. Zależy mi na tym - powiedziała po prostu.

Skinął głową:

- Dobra. Już idę. Ale musi mi pani jedno obiecać: powie pani Jo-Beth, że tu byłem.

Na twarzy pani Knapp odmalował się wyraźny sprzeciw. Ale jej strach dawał mu nad nią władzę, która sprawiała mu ogromną przyjemność.

- Chyba niezbyt wygórowane żądanie? - zapytał. - Przecież to nie kłamstwo.

- Nie.

- Więc jej pani powie?

- Tak.

- W imię Wielkiego Białego Boga Ameryki? - zapytał. - Jakże on się nazywa...

Quetzalcoatl? - wyglądała na zbitą z tropu. - No nic powiedział. - Idę. Przykro mi, że zakłóciłem poranny ruch w interesie.

Zostawił ją przerażoną i wyszedł na dwór. W ciągu tych dwudziestu minut, które spędził w księgarni, pękły pokłady chmur i przebiło się słońce, oświetlając Wzgórze. Za kilka minut zaświeci ono także śmiertelnikom w Pasażu, śmiertelnikom takim jak on. A więc dziewczyna jego marzeń mówiła prawdę.

V

Grillo obudził się na dźwięk telefonu, wyrzucił w bok ramię, przewrócił na pół pełny kieliszek szampana - swój ostatni toast zeszłego wieczoru: „Za Buddy'ego, który odszedł stąd, ale nie z naszej pamięci” - zaklął, znalazł słuchawkę i przyłożył ją do ucha:

- Hallo? - warknął.

- Obudziłam cię?

- Tesla?

- Kocham mężczyzn, którzy pamiętają, jak mi na imię.

- Która godzina?

- Późna. Powinieneś wstać i pracować. Masz skończyć swoją pańszczyznę dla Albernethy'ego zanim przyjadę.

- Co mówisz? Wybierasz się tutaj?

- Mam u ciebie kolację za te wszystkie plotki o Vansie - powiedziała. - Więc znajdź jakąś drogą restaurację.

- O której tu będziesz?

- Och, nie wiem. Około... - odłożył słuchawkę, gdy Tesla była w środku zdania i uśmiechnął się do telefonu; ona teraz wścieka się na samą siebie po tamtej stronie przewodu. Ale kiedy wstał, przestał się uśmiechać.

W głowie poczuł dudnienie głośne jak perkusja prowadząca, gdyby dopił wczoraj ten ostatni kieliszek, pewnie teraz nie mógłby nawet wstać.

Zadzwoił do obsługi i zamówił kawę do pokoju.

- Czy jeszcze jakiś sok? - zapytano z kuchni.

- Nie, tylko kawę.

- Jajka, rogaliki...

- Jezus Maria, nie. Żadnych jajek. W ogóle nic, tylko kawę.

Myśl o tym, by zasiać do pracy była mu niemal równie wstrętne jak myśl o jedzeniu.

Postanowił, że raczej skontaktuje się z tą kobietą z Willi Vance'a, Ellen Nguyen, której adres, minus numer telefonu, miał w kieszeni.

Znaczna dawka kofeiny postawiła go na nogi; wsiadł do samochodu i ruszył w dół do Deerdell. Kiedy wreszcie odnalazł ten dom, uderzył go kontrast między nim a miejscem pracy tej kobiety. Był niewielki, nijaki i mocno zniszczony. Grillo miał już przedsmak czekającej go rozmowy: niezadowolona pracownica będzie wylewać kubły pomoy na swego pracodawcę.

Czasami tacy informatorzy na coś się przydawali, choć równie często potrafili tylko wyssać z palca złośliwe oszczerstwa. Tym razem nie był tego pewien. Czy dlatego, że Ellen, gdy mu otwierała drzwi, a potem parzyła następną kawę, tchnęła taką szczerością i wrażliwością; czy dlatego, że za każdym razem, gdy wracała z przyległego pokoju od nawołującego ją dziecka - miał grypę, wyjaśniła - i na nowo podejmowała opowieść, wszystkie fakty zachowywały konsekwentną ciągłość; czy też po prostu dlatego, że jej opowieść rzucała cień nie tylko na

opinię Vance'a, ale i na jej własną? Ten ostatni wzgląd, bardziej chyba niż wszystkie pozostałe, przekonał go, że może zawierzyć jej słowom. Opowieść, którą usłyszał, rozdzielała winę demokratycznie.

- Byłam jego kochanką - wyjaśniła - przez prawie pięć lat. Nawet kiedy Rochelle była w domu, co prawda niedługo, potrafiliśmy urządzić się tak, żeby być razem. Często. Ona chyba o wszystkim wiedziała. Dlatego pozbyła się mnie przy pierwszej nadarzającej się okazji.

- Więc pani już nie pracuje w Coney?

- Nie. Czekala tylko na jakiś pretekst, żeby mnie zwolnić, a pan go dostarczył.

- Ja? W jaki sposób?

- Powiedziała, że flirtuję z panem. Typowe, że tym argumentem się posłużyła. - Nie pierwszy już raz Grillo wyczuł w niej głębie uczuć, teraz była to pogarda, której prawie nie zdradzała jej bierna postawa. - Ona przykłada do wszystkich własną miarkę - ciągnęła. - Pan wie jaką.

- Nie - powiedział szczerze Grillo - nie wiem.

Ellen spojrzała na niego zdumiona.

- Niech pan poczeka. Nie chcę, żeby Philip słuchał tego wszystkiego.

Poszła do pokoju syna, powiedziała kilka słów, których Grillo nie dosłyszał, a następnie zamknęła drzwi i podjęła przerwana opowieść.

- Już się nauczył zbyt wielu wyrazów, których nie powinien znać, w pierwszym roku szkoły. Chcę, żeby miał szansę być, sama nie wiem, niewinnym? Tak, niewinnym, choćby przez krótki czas. Brudy i tak przychodzą szybko, prawda?

- Brudy?

- No, wie pan ludzie, którzy oszukują i zdradzają. Seks. Przemoc.

- No tak, rzeczywiście - przytaknął Grillo.
- Więc mówiłam o Rochelle?
- Tak?
- Z nią sprawa jest prosta. Zanim wyszła za Buddy'ego, była zwykłą dziewczyną.
- Była kim?
- Dobrze pan słyszał. Dlaczego tak się pan dziwi?
- Nie wiem, jest taka piękna. Przecież można się dorobić w inny sposób.
- Ona ma duże wymagania - odparła Ellen. Znow ta pogarda, zmieszana ze wstrętem.
- Czy Buddy o tym wiedział, kiedy się żenił?
- O czym? O wymaganiach czy puszczaniu się?
- O tym i o tym.
- Jestem pewna, że wiedział. Chyba dlatego, między innymi, ożenił się z nią. Widzi pan, Buddy ma duże skłonności do perwersji. Przepraszam, miał. Niezupełnie jeszcze do mnie dotarło, że on nie żyje.
- Musi pani być trudno o tym mówić tak szybko po jego stracie. Przepraszam, że panią do tego nakłoniłem.
- Przecież sama to zaproponowałam. Chcę, żeby ktoś o tym wiedział. Właściwie to chcę, żeby wszyscy wiedzieli. Proszę pana, on mnie kochał. Przez wszystkie te lata naprawdę kochał właśnie mnie.
- Zakładam, że pani także go kochała?
- O tak - powiedziała cicho. - Bardzo. Oczywiście on myślał tylko o sobie, ale przecież wszyscy mężczyźni są tacy, prawda? - Nie zostawiła Grillo dość czasu, by wskazał na siebie jako wyjątek. - Wychowuje się was w przekonaniu, że świat kręci się wokół was. Wychowując Philipa, popełniam ten sam błąd. Sama to widzę. Z Buddym było o tyle inaczej,

że - przynajmniej przez jakiś czas - świat rzeczywiście kręcił się wokół niego. Był jednym z najbardziej wielbionych mężczyzn Ameryki. Przez kilka lat. Wszyscy znali jego twarz, wszyscy znali na pamięć jego skecze. I oczywiście chcieli wszystko wiedzieć o jego prywatnym życiu.

- Zatem żeniąc się z kobietą taką jak Rochelle wiele ryzykował?

- No myślę. Zwłaszcza, że próbował udoskonalić swój show i namawiał jedną z sieci telewizyjnych, żeby dała mu program. Ale, jak mówiłam, miał w sobie tę perwersję. Głównie była to chęć samozniszczenia.

- Powinien był ożenić się z panią - powiedział Grillo.

- I nie wyszedłby na tym najgorzej - zauważyła. - Mogłoby go spotkać coś o wiele gorszego - ta myśl wywołała w niej widoczne wzruszenie; jego brak był tak wyraźny, kiedy opowiadała o swojej roli w tej historii. W jej oczach stanęły łzy. W tej samej chwili chłopczyk zawołał ze swojego pokoju. Przycisnęła usta ręką, by zdławić szloch.

- Ja pójdę - powiedział Grillo wstając. - Ma na imię Philip?

- Tak - potwierdziła. Ledwie rozumiała, co mówiła.

- Ja się nim zajmę, niech się pani nie martwi.

Kiedy wychodził, ocierała łzy brzegiem dłoni. Otworzył drzwi do pokoju chłopca.

- Cześć, jestem Grillo.

Chłopiec, którego twarz zachowała wiele z uroczystej symetrii rysów swej matki, siedział na łóżku, otoczony chaosem zabawek, kredek i zabazgranych kartek. W kącie pokoju stał telewizor; siedł właśnie jakiś film rysunkowy przy wyłączonej fonii.

- Jesteś Philip, prawda?

- Gdzie mama? - zapytał chłopczyk. Nie krył nieufności wobec Grillo, przechylił się, szukając wzrokiem matki.

- Zaraz przyjdzie - uspokoił go Grillo, podchodząc do łóżka.

Rysunki, z których większość zsunęła się na podłogę i leżały tu i tam, zdawały się przedstawiać tę samą pękatą postać. Grillo przykucnął i podniósł jeden z nich.

- Kto to jest? - zagadnął.

- Baloniarz - powiedział Philip poważnie.

- Czy on się jakoś nazywa?

- Baloniarz - padła odpowiedź, zabarwiona niecierpliwością.

- Czy on jest z telewizji? - zapytał Grillo, przyglądając się wielobarwnej, pociesznej istocie z rysunku.

- Nie.

- Więc skąd?

- Z mojej głowy - odpowiedział Philip.

- Czy on jest miły?

Chłopiec potrząsnął głową.

- Gryzie?

- Tylko ciebie.

- Nie jesteś zbyt uprzejmy - Grillo usłyszał głos Ellen. Obejrzał się przez ramię.

Próbowała ukryć łzy, ale najwyraźniej jej syn nie dał się oszukać.

Rzucił Grillo oskarżycielskie spojrzenie.

- Nie powinien pan podchodzić do niego zbyt blisko - powiedziała Ellen. - On naprawdę poważnie chorował, prawda Philipie?

- Już jestem zdrowy.

- Nie, nie jesteś. Masz siedzieć w łóżku, a ja odprowadzę pana Grillo do wyjścia.

Grillo wstał i położył rysunek na łóżko, obok innych.

- Dziękuję, że mi pokazałeś baloniarza - powiedział.

Philip nie odpowiedział. Zabrał się z powrotem do pracy - kolorował szkarłatną kredką następny rysunek.

- To, co panu mówiłam... - odezwała się Ellen, kiedy Philip już nie mógł ich słyszeć

- ...to nie wszystko. Jest tego o wiele więcej, ale jeszcze nie jestem gotowa, by to opowiadać.

- Kiedy pani będzie gotowa, chętnie posłucham - odparł Grillo. - Może mnie pani odnaleźć w hotelu.

- Może zadzwonię, może nie. Cokolwiek panu mówię, to tylko część prawdy.

Najważniejszy w tym wszystkim jest Buddy, a jego już nigdy nie uda się panu opisać do końca. Nigdy.

Te pożegnalne słowa nie odstępowały Grillo przez całą powrotną drogę przez Grove do hotelu. To było dosyć zwyczajne stwierdzenie, a jednak miało swoją wagę. Buddy Vance rzeczywiście znajdował się w samym centrum tej historii. Jego śmierć była tyle zagadkowa, co tragiczna; ale z pewnością bardziej zagadkowe było jego życie. Miał w ręku dość poszlak, by rozbudziły w nim ogromną ciekawość tego życia. Wesołomiasteczkowa kolekcja, słoczona na ścianach Coney Eye (Prawdziwa Sztuka Ameryki); cnotliwa kochanka, która wciąż jeszcze go kochała; i żona-nierządnica, która najpewniej nie kochała go nigdy. Nawet pomijając jego wyjątkowo absurdalną śmierć, która sama w sobie była świetnym materiałem na artykuł, cała ta historia była po prostu sensacyjna. Pytanie brzmiało nie: Czy ją opowiedzieć, ale - jak?

Pogląd Abernethy'ego na tę sprawę byłby jednoznaczny. Wolałby domysły od faktów i brudy od ludzkiej godności. Ale tu, w Grove, czaiły się tajemnice. Grillo widział, jak unosiły się właśnie z grobu Buddy'ego Vance'a; jak szły prosto w niebo. Powinien opowiedzieć tę historię uczciwie i dobrze, gdyż w przeciwnym razie tylko pogłębi cały ten zamęt, co nikomu

nie wyjdzie na zdrowie.

A więc po kolei: musi zrelacjonować fakty, o których dowiedział się w ciągu ostatnich 24 godzin, od Tesli, Hotchkissa, Rochelle, a teraz od Ellen.

Zabrał się do pracy natychmiast po powrocie do hotelu; ślęcząc przy maleńkim biurku w swoim pokoju, sporządził na brudno pierwszy szkic „Opowieści o Buddym Vansie”. W czasie pracy zaczął odczuwać bóle w plecach - pierwsze objawy gorączki; na czoło wystąpił mu pot. Nie zauważył tego - przynajmniej do czasu, gdy sporządził dwadzieścia kilka stron notatek i odnośników. Dopiero gdy wstał od biurka i przeciągnął się, zrozumiał, że chociaż nie dosięgły go zęby baloniarza, to dosięgła go grypa jego twórcy.

VI

Wspinając się pod górę na trasie między Pasażem a domem Jo-Beth, Howie jasno zrozumiał, dlaczego z takim naciskiem twierdziła, że to, co zaszło między nimi - zwłaszcza wspólny koszmar w motelu - było sprawką diabła. Nie było w tym nic dziwnego, jeśli się wzięło pod uwagę fakt, że pracowała u boku niezwykle pobożnej niewiasty w księgarni, wyłożonej literaturą mormońską od podłogi po sufit. Chociaż rozmowa z Lois Knapp szła jak po grudzie, dała mu lepszy wgląd w trudności, które go czekały.

Musiał w jakiś sposób przekonać Jo-Beth, że ich wzajemne uczucie nie sprzeciwiało się żadnym prawom boskim ani ludzkim; że w nim, Howiem, nie kryła się żadna demoniczna przymieszka. Znając układ terenu, mógł lepiej planować przyszłe posunięcia.

Tak się jednak złożyło, że nie mógł wykorzystać siły swojej perswazji.

Najpierw, nawet nie wpuszczono go do domu. Pukał i dzwonił przez całe pięć minut, wyczuwając instynktownie, że ktoś jest w środku. Dopiero kiedy wycofał się na ulicę i stamtąd wykrzykiwał w stronę osłoniętych storami okien, usłyszał brzęk łańcucha przy drzwiach; wrócił pod nie i poprosił kobietę, która przyglądała mu się nieufnie przypuszczalnie

była to Joyce McGuire - o chwilę rozmowy z córką. Zwykle szło mu gładko z matkami.

Jąkanie i okulary sprawiały, że wyglądał jak pilny student z lekką skłonnością do introspekcji

- całkiem nieszkodliwy typ. Ale pani McGuire wiedziała, że pozory mylą. Jej reakcja była powtórką zachowania Lois Knapp.

- Nie powinien pan tu przychodzić. Niech pan wraca do domu. Niech pan da nam spokój.

- Chciałbym tylko porozmawiać przez chwilę z Jo-Beth. Ona jest w domu, prawda?

- Owszem, jest. Ale nie chce z panem rozmawiać.

- Jeśli można, chciałbym to usłyszeć od niej samej.

- Och, rzeczywiście? - powiedziała pani McGuire i ku jego zdziwieniu otworzyła drzwi.

W głębi domu było ciemno, a na dworze jasno, ale zdołał dostrzec Jo-Beth, stojącą w mroku w drugim końcu hallu. Była ubrana na ciemno. Jakby szykowała się na pogrzeb. W tym stroju była jeszcze bledsza niż zwykle.

Tylko w jej oczach migotało światło dworu.

- Powiedz mu - odezwała się matka.

- Jo-Beth - powiedział Howie - czy możemy porozmawiać.

- Nie powinieneś tu przychodzić - powiedziała Jo-Beth cicho. Jej głos prawie ginął we wnętrzu domu. Między nimi stało martwe powietrze. - To niebezpieczne dla nas wszystkich.

Nie powinieneś tu przychodzić nigdy więcej.

- Ale muszę z tobą porozmawiać.

- To nie ma sensu, Howie. Jeśli nie odejdziesz, spotka nas nieszczęście.

- Jakie nieszczęście?

Odpowiedziała nie Jo-Beth, ale jej matka.

- Nie ma w tym pana winy - powiedziała; w jej głosie nie było dawnej zawziętości. -

Nikt pana o nic nie obwinia. Ale musi pan zrozumieć, Howardzie, że to, co stało się z pana matką i ze mną, jeszcze się nie skończyło.

- Nie, obawiam się, że nie rozumiem odparł. Nie rozumiem kompletnie niczego.

- Może to i lepiej - usłyszał. - Najlepiej, żeby pan zaraz stąd poszedł. - Zaczęła zamykać drzwi.

- Ch...ch...ch... - zaczął Howie; zanim wykrztusił „chwileczkę”, miał przed sobą drzwi wykładane drewnem, dwa cale od swojego nosa.

- Gówno - zaklął, gładko tym razem.

Jak dureń wpatrywał się przez kilkanaście sekund w zamknięte drzwi, podczas gdy z tamtej strony ryglowano je i zakładano łańcuchy. Trudno było sobie wyobrazić bardziej druzgocącą porażkę. Nie tylko pani McGuire kazała mu się wynosić; zawtórowała jej także Jo-Beth. Zamiast podjąć jeszcze jedną próbę i przegrać, zostawił sprawę tak jak była; odszedł. Miejsce następnej wizyty było już ustalone, zanim zszedł ze schodka i ruszył w dół ulicy.

W głębi lasów, po przeciwległej stronie Grove, znajdowało się miejsce. w którym pani McGuire, jego matka i komik przeżyli swoje różnorakie nieszczęścia. Gwałt, śmierć i katastrofa odcisnęły na nim swoje piętno.

Być może były gdzieś drzwi, które nie zatrzasną się przed nim tak szybko.

- Tak jest lepiej - powiedziała matka, kiedy odgłos kroków Howarda ucichł na dobre.

- Wiem - powiedziała Jo-Beth, wciąż wpatrując się w zaryglowane drzwi.

Matka miała rację. Jeśli wydarzenia minionej nocy - nadejście dzaffa i fakt. że zabrał Tommy-Raya jak swego - czegokolwiek dowodziły, to tego, że nikomu nie można ufać. Z przeszłości wyłoniła się jakaś potęga i zabrała jej brata, o którym sądziła, że go zna, a wiedziała, że go kocha; teraz odszedł od niej duszą i ciałem. Howie także wyłonił się z

przeszłości - z przeszłości mamy. Wydarzenia w Grove - czymkolwiek naprawdę były -

dotyczyły także jego. Może był ich ofiarą, a może sprawcą. Ale czy był winny czy niewinny, gdyby przekroczył próg ich domu, odebrałby im tę niewielką nadzieję na wybawienie, którą ocaliły z nocnej napaści.

To jednak nie zmniejszyło bolesnego ucisku w sercu, gdy patrzyła na drzwi, które przed nim zamknięto. Nawet teraz palce swędziały ją, by odsunąć zasuwę i otworzyć je szeroko; przywołać go do siebie i przytulić; powiedzieć mu, że między nimi jeszcze wszystko może być dobrze. A co teraz było między nimi dobrego? To, że byli razem, przeżywając przygodę, za którą jej serce tęskniło całe życie, całowała i tuliła chłopca, który był może jej własnym bratem? A może w tej powodzi czepiać się starych, uznanych cnót, chociaż ubywało ich z każdą napływającą falą.

Matka miała na to odpowiedź - zawsze tę samą w obliczu niebezpieczeństwa.

- Musimy się modlić, Jo-Beth. Modlić się o uwolnienie od naszych ciemnych. „A wtedy zjawi się Zły, a Pan spali go tchnieniem swych ust i zniszczy jasnością swojego nadejścia...”

- Mamo, nie widzę żadnej jasności. Chyba nigdy jej nie widziałam.

- Ona przyjdzie - powiedziała matka z naciskiem. - Wszystko stanie się jasne.

- Ja tak nie myślę - odparła Jo-Beth.

Przypomniała sobie Tommy-Raya; wrócił do domu późną nocą. Kiedy zapytała go o dzaffa, uśmiechnął się tym swoim niewinnym uśmiechem, jakby nic się nie stało. Czy był jednym z tych Złych, o których zagładę matka tak żarliwie się modliła? Czy i jego Pan spali tchnieniem swojego oddechu?

Miała nadzieję, że nie. Modliła się, by go oszczędził, kiedy wraz z matką przyklękły, by rozmawiać z Bogiem; modliła się, by Pan nie sądził Tommy-Raya zbyt surowo. Ani jej, gdyż

pragnęła iść śladem chłopca, który stał u jej drzwi w świetle słońca iść za nim, gdziekolwiek by szedł.

Chociaż światło dnia ostro biło w wierzchołki drzew, pod baldachimem gałęzi panowała atmosfera nocy. Zwierzęta i ptaki, które zapewne tam mieszkały, nie opuściły swoich legowisk i gniazd. Światło, albo to co żyło w świetle, nakazało im milczenie. Howie czuł, że zewsząd go obserwują.

Śledzą każdy jego krok, jakby był myśliwym, który zjawił się pośród nich w zbyt jaskrawym świetle księżyca. Nie chcieli go tutaj. A jednak pragnienie, by iść dalej, rosło w nim z każdym krokiem. Poprzedniego dnia przywołał go tutaj jakiś szept; Howie zlekceważył później ten szept, składając go na karb zmęczenia umysłu, który płata mu figle. Ale teraz każda komórka jego ciała potwierdzała prawdziwość wezwania. Był tutaj ktoś, kto chciał go widzieć: rozmawiać z nim; poznać go. Wczoraj odrzucił wezwanie. Dziś go posłucha.

Pod wpływem jakiegoś impulsu, który niecały zrodził się w jego umyśle, podczas marszu odrzucił w tył głowę i słońce, przedzierając się przez listowie, biło w jego wzniesioną twarz. Nie mrużył oczu przed ostrym blaskiem, ale otwierał je jeszcze szerzej. Zalew światła, który atakował siatkówkę jego oczu w rytmicznych odstępach, jakby wprawiał go w stan hipnozy. Przeważnie niechętnie zrzekał się kontroli nad swoimi procesami myślowymi. Pił tylko wtedy, gdy zmusili go do tego rówieśnicy i przestawał, gdy tylko poczuł, że traci kontrolę nad maszyną; narkotyki były nie do pomyślenia. Ale w tym lesie chętnie poddał się odurzeniu; otwierał słońcu drogę, by wypaliło w nim rzeczywistość.

Udało się. Kiedy znów rozejrzał się wokół, był prawie oślepiiony barwami, których nie znalazłby w żadnym źdźble trawy. Oczami duszy bystro ogarnął przestrzeń, uwolnioną od rzeczy dotykalnych. Nagle wzrok zaczął mu się wypełniać, pęcznieć i kipieć obrazami, które

musiał wydobyć z jakiegoś niezbadanego zakątka kory mózgowej, ponieważ nie przypominał sobie podobnych przeżyć.

Ujrzał przed sobą okno, równie rzeczywiste - nie, bardziej rzeczywiste - jak drzewa, między którymi błędził. Okno było szeroko otwarte, za nim rozciągał się widok na morze i niebo.

Ta wizja ustąpiła innej, nie tak kojącej. Otoczyły go ogniska, w których zdaje się płonęły książki. Szedł przez ogień bez obaw, wiedząc, że te wizje nie zrobią mu żadnej krzywdy, pragnął jedynie, by było ich więcej.

Nawiedziła go trzecia wizja, o wiele dziwniejsza niż poprzednie. W chwili gdy przygasały ogniska, z barw mieniących się w jego oczach powstały ryby - zawirowały przed nim tęczowymi ławicami, niby szkółka młodego narybku.

Roześmiał się głośno na ten widok tak niedorzeczny; jego śmiech wywołał następne niezwykle wydarzenie: wszystkie trzy wizje splotły się w jeden obraz, uzupełniony o las, którym szedł, aż ogień, ryby, morze, niebo i drzewa utworzyły jedną barwną mozaikę.

Pływające ryby miały płomyki zamiast płetw. Niebo przechodziło w zieleń i zrzucało na ziemię płatki rozgwiazd. Trawa ustępowała jak fala pod jego stopami, czy raczej pod jego umysłem, który widział stopy, ponieważ stopy utraciły dla niego wszelkie znaczenie - podobnie jak nogi i cała reszta maszyny. W tej mozaice on był umysłem; kamykiem, który poruszono, by toczył się dalej.

Uczucie radości zakłóciło pytanie: Jeśli był samym umysłem, to czym była maszyna?

Niczym? Czymś, co należało odrzucić? Zatopić rybami, spalić słowami?

Gdzieś w jego wnętrzu zaczął tykać zegar paniki.

Straciłem panowanie nad sytuacją, pomyślał. Mój Boże. Mój Boże.

Mój Boże!

Sza, zaszemrał czyjś głos w jego umyśle. - Nie dzieje się nic złego.

Przystanął, a przynajmniej tak mu się zdawało.

- Kto tam? - zapytał, a przynajmniej sądził, że zapytał.

Wokół wciąż ta mozaika, przemieszczająca się co chwila w nowy paradoksalny układ.

Próbował zburzyć ją krzykiem; odejść stąd w jakieś zwyczajniejsze miejsce.

- Chcę widzieć! - krzyknął ze wszystkich sił.

Ja jestem tutaj, Howardzie - usłyszał odzew. - Jestem tutaj.

- Niech one znikną! - błagał.

Co ma zniknąć?

- Te obrazy! Niech one znikną!

Nie bój się. To jest prawdziwy świat.

- Nie! - wrzeszczał Howie. - To nieprawda! Nieprawda!

Zakrył twarz dłońmi w nadziei, że odgrodzi się od tego zamętu, ale one - jego własne ręce - spiskowały z wrogiem.

Oto pośrodku dłoni tkwiły jego oczy i patrzyły na niego. Tego było za wiele. Z piersi

Howarda wyrwał się skowyt przerażenia; runął twarzą w przód. Pojaśniały ryby; płomienie rozbłysły; czuł, że pragnęły go pochłonąć.

Kiedy upadł na ziemię, znikły, jakby ktoś przekręcił kontakt.

Przez chwilę leżał nieruchomo, by się upewnić, że to nie jest jakaś nowa sztuczka.

Obrócił dłonie wnętrzem do góry, by się przekonać, że są ślepe i wstał z ziemi. Nawet teraz czepiał się jakiejś niskiej gałęzi, by nie tracić kontaktu ze światem.

Rozczarowałaś mnie, Howardzie - usłyszał głos tego, kto go wezwał.

Po raz pierwszy od czasu, gdy usłyszał ten głos, znalazł źródło, z którego pochodziło;

było to miejsce odległe od Howie'ego o jakieś dziesięć jardów, gdzie na polanie drzewa

utworzyły polankę; była tam plama światła.

Skąpany w świetle stał tam jakiś mężczyzna z włosami związanymi w koński ogon, ślepy na jedno oko. Jego bliźniaczy brat wpatrywał się w Howie'ego z ogromną uwagą.

Czy dobrze mnie widzisz? - zapytał.

- Tak, bardzo dobrze. Kim pan jest?

Nazywam się Fletcher. A ty jesteś moim synem.

Howie jeszcze mocniej uchwycił się gałęzi.

- Jestem kim?

Na wynędzniałej twarzy Fletchera nie było uśmiechu, najwyraźniej jego słowa, choć tak absurdalne, nie były pomyślane jako żart. Wystąpił spoza kręgu drzew.

Nienawidzę się ukrywać - powiedział. - *Zwłaszcza przed tobą. Ale tylu ludzi się tu kręci...* - zamachał bezładnie ramionami. - *W tę i we w tę! Wszyscy chcą sobie popatrzeć na ekshumację. Wyobrażasz sobie? Tak marnować dzień!*

- Czy pan powiedział, że jestem pana synem?

Owszem - potwierdził Fletcher. - *To moje ulubione słowo. Jak na dole. tak i na górze. prawda? Jedna kula na niebie, dwie między nogami.*

- Więc to żart - powiedział Howie.

Sam wiesz, że nie - odparł Fletcher z zupełną powagą. - *Wołałem cię od tak dawna.*

Ojciec wołał syna.

- Jak wdarłeś się do mojego mózgu?

Byłeś mi tutaj potrzebny, potrzebowałem twojej pomocy - powiedział. - *Ale ty opierałeś mi się. Prawdopodobnie postąpiłbym tak samo w twojej sytuacji. Odwróciłbym się od płonącego krzaka. Pod tym względem jesteśmy tacy sami. Rodzinne podobieństwo.*

- Nie wierzę ci. Powinieneś być pozwolić, by wizje trwały dłużej. Byliśmy na hajcu,

prawda?

Już od dawna tego nie robiłem. Zawsze lubiłem meskalinę, chociaż teraz jest już chyba niemodna.

- Nie znam się na tym - odparł Howie.

Nie uznajesz narkotyków?

- Nie.

Cóż, to niezbyt dobry początek, ale chyba od tej chwili wszystko może już iść lepiej.

Twój ojciec, widzisz, był uzależniony od meskaliny. Bardzo pragnąłem tych wizji. Tobie się także podobają. W każdym razie podobamy ci się przez chwilę.

- Zrobiło mi się od nich niedobrze.

Tylko dlatego, że za szybko i za dużo naraz. Przyzwyczaisz się.

- Nie ma mowy.

Ależ będziesz musiał, Howardzie. To nie była rozrywka, to była lekcja.

- Lekcja czego?

Bycia i stawania się. Alchemia, biologia i metafizyka jako jedna dyscyplina nauki.

Minęło wiele czasu, zanim posiadałem tę gałąź wiedzy, ale dzięki niej jestem tym, czym jestem.

- Fletcher uderzył lekko palcem wskazującym o swoje usta... - *Zdaję sobie sprawę, że jest to raczej żalostny widok. Ojcowie potrafią się zaprezentować bardziej korzystnie, ale ja zrobiłem, co mogłem. żebyś poznał smak cudu, zanim zobaczysz cudotwórcę we własnej osobie.*

- To tylko sen - powiedział Howie. - *Patrzyłem zbyt długo w słońce i przepaliłem sobie głowę.*

Ja także lubię wpatrywać się w słońce - powiedział Fletcher. - Ale nie, to nie sen.

Jesteśmy tutaj w tej samej chwili, dzieląc się myślami, jak to czynią cywilizowane istoty. To

tak rzeczywiste, jak rzeczywiste może być życie. - Otworzył ramiona. - Chodź ze mną, Howie.

Obejmij mnie.

- Nic z tego.

Czego się boisz?

- Nie jesteś moim ojcem.

No dobrze. Jestem jednym z nich. Był jeszcze jeden. Ale uwierz mi, Howardzie, tylko ja liczę się jako twój ojciec.

- Trujesz, człowieku.

Dlaczego tak się złościysz? Czy z powodu tego nieszczęsnego romansu z córką dżaffa?

Daj sobie z nią spokój, Howardzie!

Howie zdjął okulary nagłym ruchem i popatrzył na Fletchera zwężonymi źrenicami:

- Skąd wiesz o Jo-Beth?

Cokolwiek jest w twoim umyśle, synu, jest i w moim. W każdym razie od czasu, gdy się zakochałeś. Posłuchaj. To mi się nie podoba, tak samo jak tobie.

- Kto powiedział, że mi się to nie podoba?

Nigdy w życiu się nie zakochałem, ale poprzez ciebie poznaję smak miłości - nie jest słodka.

- Masz jakąś władzę nad Jo-Beth...?

Ona nie jest moją córką, tylko dżaffa. On jest w jej mózgu, tak jak ja w twoim.

- Ależ to sen - powtórzył Howie. - To musi być sen.

Więc spróbuj się obudzić.

- Co?

Jeśli to sen, chłopcze, to spróbuj się obudzić. Wtedy zostawimy sceptycyzm za sobą i weźmiemy się do roboty.

Howie na powrót włożył okulary; twarz Fletchera nabrała ostrości. Nie widział na niej uśmiechu.

No dalej, wyliczaj swoje wątpliwości, bo nie mamy wiele czasu - powiedział Fletcher. -

To nie zabawa. To nie sen. To jawa. I jeśli mi nie pomożesz, to w opalach będzie nie tylko twój romans za dychę.

- Odwal się! - krzyknął Howie, zaciskając dłoń w pięść. - Obudzę się! Zobacz!

Zebrał wszystkie siły i wymierzył cios w stojące obok drzewo, nad jego głową zatrzęsły się liście.

Kilka z nich spadło do jego stóp. Znow uderzył w szorstką korę. Poczł ból, jak za pierwszym razem. Podobnie przy trzecim i czwartym uderzeniu.

Ale obraz Fletchera nie znikał; trwał nie zmieniony w świetle słońca. Howie znow wymierzył cios w drzewo, czując, że pęka mu skóra na kostkach i sączy się krew. Chociaż ból narastał z każdym uderzeniem, otaczające go zjawiska nie ustępowały. Zdecydowany złamać ten opór, Howie wciąż boksował pień, jakby uprawiał jakieś nowe ćwiczenie, które miało wzmocnić maszynę, a nie uszkodzić ją. Nic bez bólu, mój królu.

- Po prostu sen - mówił sobie.

Nie obudzisz się - ostrzegał Fletcher - *przestań, zanim sobie coś złamiesz. Palców nie wygrywa się na loterii. Trzeba było kilku eonów, żeby wykształciły się palce...*

- Po prostu sen - mówił Howie - sen i tyle.

Przestań, słyszysz?

Ale Howiem powodowała nie tylko chęć wyrwania się z tego snu. Kilka innych szalejących w nim furii przydawało wagi jego ciosom. Gniew przeciwko Jo-Beth i jej matce, a także własnej matce; przeciwko samemu sobie, za swoją niewiedzę, za to że był prostaczkim bożym, podczas gdy wszyscy inni byli tacy cholernie mądry i we wszystkim

go wyprzedzali. Jeżeli uda mu się wyrwać z kleszczy tego złudzenia, to już nigdy nie pozwoli zrobić z siebie durnia.

Howardzie, złamiesz sobie rękę...

- Zaraz się obudzę.

I co wtedy?

- Zaraz się obudzę.

Ale co zrobisz, jeśli ona będzie chciała, żebyś jej dotknął, a ty będziesz miał złamaną rękę?

Howie zatrzymał się i spojrzał na Fletchera. Ból nagle stał się nie do zniesienia. Kątem oka widział, że kora drzewa zabarwiła się szkarłatem.

Poczuł, że zbiera mu się na wymioty.

- Ona... nie chce... żebym jej dotykał - powiedział cicho. - Nie... wpuściła mnie... do domu...

Ręka zwisała mu bezwładnie u boku. Czuł, że sączy się z niej krew, ale nie byłby w stanie na nią spojrzeć. Pot, spływający z jego twarzy, nagle stężał w kłującą, lodowatą pokrywę. Stawy miękły mu jak woda. Niepewnie stojąc na nogach, usunął pulsującą bólem rękę przed oczu Fletchera (ciemnych, jak jego własne; nawet to ślepe oko było ciemne) i wyciągnął ją w kierunku słońca.

Przez liście przedarł się jakiś promień i padł mu na twarz.

- To... nie jest sen - powiedział cicho.

Można to udowodnić w łatwiejszy sposób - usłyszał Howie poprzez skowyt, który wypełniał mu mózg.

- Za... zaraz... zwymiotuję - powiedział. - Nienawidzę widoku...

Nie słyszę cię, synu.

- Nie znoszę widoku... mojej...

Krwi? - zapytał Fletcher.

Howie skinął głową. To był błąd. Rozluźniony z wiązadeł mózg obrócił się w jego czaszce. Język zyskał zdolność widzenia, uszy poczuły smak wosku, oczy - mokry dotyk powiek, gdy się zamykały. Koniec ze mną, pomyślał i upadł na ziemię.

Tak długo czekałem w głębi skały, synu, żeby zobaczyć światło. A teraz. kiedy już tu jestem, nie będę mógł nim się cieszyć. Ani tobą. Nie mam czasu, by się tobą nacieszyć, tak jak ojcowie radują się, widząc swoich synów.

Howie jęknął. Świat był tuż obok. Wystarczy, by otworzył oczy, a świat już będzie na niego czekał. Ale Fletcher powiedział, żeby nie robił niczego na siłę.

Mam cię - powiedział Fletcher.

To była prawda. Howie czuł, że opasują go ojcowskie ramiona, tulą go.

Czuł, że są ogromne. Albo może to Howie się skurczył; znów był malutkim dzieckiem.

Nigdy nie planowałem ojcostwa - mówił Fletcher. - *W znacznym stopniu narzuciły mi je okoliczności. Widzisz, dżaff postanowił splodzić kilkoro dzieci, żeby mieć agentów z krwi i kości. Musiałem zrobić to samo.*

- Jo-Beth? - zaszemrał Howie.

Tak?

- Czy ona jest jego czy twoja?

Jego, oczywiście jego.

- Więc my... nie jesteśmy rodzeństwem?

Oczywiście, że nie. Ona i jej brat pochodzą od niego, a ty ode mnie. Dlatego musisz mi pomóc, Howie. Jestem od niego słabszy. Jestem marzycielem. Zawsze nim byłem. Marzyciel - narkoman. On już działa, wytwarza te swoje przeklęte terata...

- Swoje co?

Swoje stwory. Swoje wojsko. To właśnie wydobył z komika, a ono wyniosło go na powierzchnię ziemi, A ja? Nie mam niczego. W umierających nie ma zbyt wiele fantazji. Jest tylko strach. On uwielbia strach.

- Kim on jest?

Dżaff? Moim wrogiem.

- A ty?

Jego wrogiem.

- To żadna odpowiedź. Potrzebuję czegoś więcej.

To by zabrało zbyt wiele czasu. My nie mamy czasu, Howie.

- Mamy tylko kości.

Howie poczuł, że Fletcher się uśmiecha.

Och, kości... mogę ci je dać - powiedział jego ojciec. - Kości ptaków. Ości ryb. Rzeczy pogrzebane w ziemi, jak wspomnienia. Aż do praprzyczyny.

- Czy ja zgłupiałem, czy ty mówisz głupstwa?

Tyle mam ci do powiedzenia, a tak mało czasu. Może najlepiej będzie, gdy ci to pokażę.

Howie wyczuł w jego głosie napięcie i niepokój.

- Co chcesz zrobić?

Otworzę przed tobą swój umysł, synu.

- Boisz się...

To będzie trochę szalone. Ale nie mam innej drogi.

- Wolałbym nie.

Za późno - powiedział Fletcher.

Howie poczuł, jak obejmujące go ramiona rozluźniają uchwyt; czuł, że wypada z

ojcowskich objęć. To był z pewnością pierwszy z koszmarów: spadanie. Ale świat myśli był z grawitacją na bakier. Uwolniony z ramion ojca widział, że jego twarz nie oddala się już od niego, ale zbliża, ogromnieje - aż Howie wpadł do jej wnętrza.

Nie było już słów, które ograniczają myśli; były tylko myśli, mnóstwo myśli. Zbyt wiele, by je zrozumieć; Howie z trudem ratował się przed zatonięciem.

Nie walcz - usłyszał polecenie ojca. - Nawet nie próbuj pływać. Podдай się. Zanurz się we mnie. Bądź we mnie.

- Wtedy nie będę już sobą - odparł. - Jeśli się utopię, to nie będę ja, to będziesz ty. Nie chcę być tobą.

Zaryzykuj. Nie masz innego wyjścia.

- Nie chcę! Nie będę! Muszę... panować nad sytuacją.

Zaczął walczyć z otaczającym go żywiołem. Jednak w głąb jego umysłu przenikały jakieś idee i obrazy. Myśli zaszczerpione w jego umyśle przez inny umysł, przekraczały jego obecną zdolność pojmowania.

Między tym światem, zwanym Kosmosem - a także Glinianą Kulą jak również Helter

Incendo - między tym światem a metakosmosem. zwanym także Alibi lub też Exordium

(Wstępem) czy Samotnią rozciąga się morze zwane Quiddity...

W umyśle Howie'ego pojawił się obraz tego morza - znajomy widok pośród całego tego zamętu. Howie unosił się już na jego wodach podczas krótkiego snu, który dzielił z Jo-Beth.

Niosła ich łagodna fala; ich włosy splątały się. Ciała leciutko ocierały o siebie. Znajomy obraz ukoił jego lęk.

Teraz uważniej słuchał słów Fletchera.

...i jest wyspa na tym morzu...

Dojrzał ją, choć była tak odległa.

Zwie się Efemerydą...

Piękne słowo i piękne miejsce. Szczyty gór giną w obłokach, ale dolne partie zboczy były oświetlone - nie słońcem, lecz światłem ducha.

Chcę tam być, pomyślał Howie. Chcę tam być razem z Jo-Beth.

Zapomnij o niej.

Powiedz mi, co tam jest? Co jest na Efemerydzie?

Wielkie Tajemne Widowisko - odpowiedziały myśli jego ojca - które oglądamy trzykrotnie. W godzinę naszych urodzin, w godzinę naszej śmierci i przez jedną noc, kiedy śpimy u boku miłości naszego życia.

Jo-Beth.

Mówiłem, że masz o niej zapomnieć.

Byłem tam z Jo-Beth! Razem unosiliśmy się na morzu.

Nie.

Tak. To znaczy, że ona jest miłością mojego życia. Sam to przed chwilą powiedziałeś.

Mówiłem, że masz o niej zapomnieć.

Ale prawda! Mój Boże, to prawda!

Coś, co dżaff powołał do życia jest zbyt nieczyste, by można je pokochać. Zbyt zepsute.

Nie widziałem nic piękniejszego niż ona.

Odrzuciła cię - przypomniał Fletcher.

Więc odzyskam jej uczucie.

Widział ją teraz wyraźnie, wyraźniej niż wyspę czy morze, na którym unosiła się wyspa. Uchwycił się wspomnienia Jo-Beth i za jego pomocą wydzwignął się z pułapki ojcowskiego mózgu. Wróciły nudności, zaraz potem światło, rozbryzgujące się o liście nad jego głową.

Howie otworzył oczy. Fletcher już go nie obejmował - o ile kiedykolwiek to robił.

Howie leżał w trawie na plecach. Ramię ścięło mu od łokcia po nadgarstek; dłoń była dwa razy większa niż zwykle. Ból w ręce był pierwszym dowodem, że to nie sen. Drugim - że właśnie obudził się ze snu.

Mężczyzna z końskim ogonem był prawdziwy; co do tego nie było wątpliwości. Co znaczyło, że wieści, które przyniósł, mogły być prawdziwe.

Był rzeczywiście jego ojcem, na dobre czy złe. Uniósł głowę z trawy, gdy Fletcher powiedział:

Nie rozumiesz powagi naszego położenia. Dżaff napadnie na Quiddity, jeżeli go nie powstrzymam.

- Nie chcę nic o tym wiedzieć.

Odpowiedzialność spada także na ciebie oświadczył Fletcher. - Nie splodziłbym ciebie, gdybym nie wierzył, że możesz mi pomóc.

- Jakież to wzruszające. To mnie przekonuje, że byłem upragnionym dzieckiem. Zaczął się zbierać, odwracając wzrok od zranionej ręki. - Trzeba było nie pokazywać mi tej wyspy, Fletcher. Teraz wiem, że miłość moja i Jo-Beth jest prawdziwą miłością. Jo-Beth nie jest skalana, i nie jest moją siostrą. To oznacza, że mogę ją odzyskać.

Bądź mi posłuszny! - zawołał Fletcher. - *Jesteś moim dzieckiem. Należy mi się twoje posłuszeństwo!*

- Jak chcesz niewolnika, to go sobie poszukaj - odparował Howie. - Ja mam coś lepszego do roboty.

Odwrócił się od Fletchera, a przynajmniej tak mu się wydawało do chwili, kiedy tamten ukazał się tuż przed nim.

- Jak to zrobiłeś, do diabła?

Mogę robić wiele rzeczy. Takie różne sztuczki, nic trudnego. Nauczę cię. Ale nie odchodź, Howardzie.

- Nikt nie nazywa mnie Howardem - powiedział Howie, unosząc rękę, by odepchnąć Fletchera.

Na krótką chwilę zapomniał o zmasakrowanej dłoni - teraz miał ją przed oczyma.

Kostki były mocno zapuchnięte, grzbiet dłoni i palce lepkie od krwi. Przykleiły się do niej żółta trawa - jaskrawa zieleń na jaskrawej czerwieni. Przejęty wstrętem Fletcher cofnął się o krok.

- Ty też nie lubisz widoku krwi, co? - powiedział Howie.

Kiedy odchodził, w wyglądzie Fletchera zaszła jakaś subtelna zmiana. Zbyt subtelna, by Howie mógł ją w pełni wychwycić. Czy chodziło o to, że cofnął się w plamę światła słonecznego, a ono jakby przeniknęło go na wskroś? Czy też wyzwoliła się cząstka błękitu, uwięziona w jego brzuchu, i wpłynęła w głąb jego oczu? Cokolwiek to było, już minęło.

- Zawrzyjmy umowę - powiedział Howie.

Jaką?

- Ty mnie zostawisz w spokoju, a ja ciebie...

Jest tylko nas dwóch, synu. Przeciw całemu światu.

- Kompletnie zwariowałeś, wiesz o tym? - zawołał Howie. Oderwał oczy od Fletchera i popatrzył na drogę, którą przebył. Więc mam to po tobie. Stąd ten prostaczek boży! Koniec z tym. Dziękuję, postoję. Jest ktoś, kto mnie kocha.

Ja cię kocham! - zawołał Fletcher.

- Kłamiesz.

No dobrze, więc się nauczę.

Howie odwrócił się i odszedł, trzymając zakrwawione ramię przed sobą.

Potrafię się nauczyć! - słyszał za sobą wołanie ojca. - *Howardzie, posłuchaj mnie! Ja się jeszcze nauczę!*

Nie biegł. Nie miał siły. Ale doszedł do drogi i nie upadł, co było zwycięstwem ducha nad materią, w sytuacji gdy nogi ugiwały się pod nim ze słabości. Odpoczywał przez chwilę, zadowolony, że Fletcher nie pójdzie za nim na otwartą przestrzeń. Miał sekrety, których strzegł przed oczami zwykłych ludzi. Howie odpoczywał i planował następne ruchy. Najpierw pójdzie do motelu i opatrzy rękę. Potem? Do domu Jo-Beth. Miał dobre wieści i znajdzie jakiś sposób, żeby je przekazać, nawet gdyby miał czekać na taką sposobność przez całą noc.

Słońce świeciło ostro i jasno. Gdy szedł, rzucało jego cień wprost pod jego stopy. Nie odrywając oczu od chodnika, idąc tam, gdzie szedł jego cień, wracał krok po kroku do normalnego życia.

Fletcher pozostał w lesie, przeklinając własną nieporadność. Nigdy nie był dobry w perswazji. Przeskakiwał od banałów do wizjonerstwa, nie wykorzystując odpowiednio śródpoła: umiejętności zwykłej rozmowy, którą większość ludzi potrafi opanować przed dziesiątym rokiem życia. Nie umiał przekonać syna bezpośrednią argumentacją; z kolei Howard odrzucił jego objawienia, które mogłyby mu uświadomić niebezpieczeństwo grożące jego ojcu. Nie tylko jego ojcu; całemu światu. Fletcher ani przez chwilę nie wątpił, że dzaff pozostanie równie groźny jak w Misji Św. Katarzyny, kiedy nuncjo po raz pierwszy go rozrzędziło. Nawet bardziej niż przedtem. Miał swoich agentów w Kosmosie; dzieci, które będą mu posłuszne, ponieważ umiał posłużyć się słowami. Właśnie w tej chwili Howard szedł prosto w objęcia jednego z tych agentów. Właściwie był dla niego stracony. Pozostało mu tylko jedno: iść samemu do Grove i szukać ludzi, u których mógłby wywołać hallucigenia.

Zwlekaniem niczego by nie zyskał. Do zmierzchu, zanim dzień zapadnie się w ciemność, pozostawało mu kilka godzin; dzaff będzie miał wtedy jeszcze większą przewagę. Chociaż niezbyt mu się uśmiechał spacer ulicami Grove pod ostrzałem ciekawskich spojrzeń - nie miał innego wyboru. Może uda mu się kogoś przyłapać na marzeniach, nawet w świetle dnia.

Spojrzał w niebo i pomyślał o pokoju w Misji, w którym spędził z Raulem tyle szczęśliwych godzin, słuchając Mozarta, przypatrując się odmianie chmur, które przybywały znad oceanu. Zmieniały się, wciąż się zmieniały te niestałe kształty, w których odnajdywali echo rzeczy ziemskich: drzewo, psa, ludzką twarz. Pewnego dnia, gdy zakończy walkę z dzaffem, przyłączy się do tych chmur. Wtedy smutek pożegnań - odszedł Raul, odszedł Howard, wszystko wymykało mu się z rąk - wtedy smutek pożegnań zniknie.

Tylko istoty o stałym ciele odczuwają ból. Istoty zmienne żyją we wszystkim, wszędzie.

W jednej krainie, przez jeden niekończący się dzień.

Och, dostać się tam!

VII

Tego ranka najokropniejszy koszmar, dręczący Williama Witta, Boswella Palomo Grove, stał się jawą. Wyszedł ze swej atrakcyjnej parterowej willi w Stillbrook - której wartość, jak chwalił się przed klientami, wzrosła o trzydzieści tysięcy dolarów od czasu, gdy nabył ją pięć lat temu - by rozpocząć zwykły dzień pracy w handlu nieruchomościami w najmilszym jego sercu mieście na świecie. Ale tego ranka wszystko było jakieś inne.

Gdyby go zapytano, na czym ta inność polegała, nie potrafiłby udzielić przekonującej odpowiedzi, ale czuł, że z jego ukochanym Grove coś jest nie tak. Przez większość ranka wystawał w oknie swoich biur, które wychodziło wprost na supermarket. W Grove prawie wszyscy robili tu zakupy przynajmniej raz na tydzień; dla wielu spełniał on

podwójną rolę bazaru i miejsca spotkań. William szczylił się faktem, że potrafiłby wymienić z imienia i nazwiska aż 98 procent ludzi, którzy wchodzili w drzwi tego supermarketu.

Dla wielu z nich wyszukiwał domy; przeprowadzał ich, kiedy ich rodziny już nie mieściły się w domach zakupionych kiedyś przez nowożeńców; przesiedlał wiele z tych osób, już w średnim wieku, po odejściu ich dzieci w świat; i wreszcie sprzedawał te domy w obce ręce, gdy właściciele umierali.

Z kolei jego znała większość z tych ludzi. Zwracali się do niego po imieniu, robili uwagi na temat jego muszek (były jego znakiem rozpoznawczym - miał ich sto jedenaście), przedstawiali go przyjezdnym znajomym.

Ale gdy dzisiaj wyglądał przez okno, ten codzienny rytuał nie sprawiał mu żadnej radości. Czy chodziło po prostu o to, że śmierć Buddy'ego Vance'a, która rozrosła się w jeszcze większą tragedię, tak bardzo przygnębiła ludzi, że nawet nie pozdrawiali się wzajemnie, przechodząc przez parking? Czy też, podobnie jak on, obudzili się dziś z uczuciem dziwnego oczekiwania, jakby miała się odbyć jakaś impreza, której przez niedbalstwo nie wpisali do terminarza, ale nie mogli na nią nie iść, gdyż bardzo by nad tym faktem ubolewano?

Stał i patrzył, niezdolny do oceny tego, co widział i czuł, aż doszczętnie stracił humor.

Postanowił zająć się wycenami. Trzeba było obejrzeć i wycenić trzy domy: dwa w Deerdell i jeden w Windbluff Kiedy jechał do Deerdell, jego niepokój nie zmniejszał się. Słońce paliło chodniki i gazony jakby chciało je spopielić; migotliwe powietrze drgało jakby miało rozkruszyć cegły i dachówki i zniszczyć do cna jego ukochane Grove.

Dwie posesje w Deerdell bardzo się różniły co do stopnia zniszczenia; podliczając ich wady i zalety musiał poświęcić tej czynności całą swoją uwagę. Gdy już z tym skończył i ruszył w stronę domu w Windbluff, nie myślał o swych lękach dostatecznie długo, by dojść

do wniosku, że chyba trochę przesadzał. Wiedział, że czekające go zadanie dostarczy mu wiele przyjemności. Dom na Wild Cherry Glade, tuż pod Łukami, był duży i ładny. Już wychodząc z samochodu zaczął układać slogan reklamowy do Listy Lepszych Domów: Bądź królem Wzgórza! Doskonały dom dla Ciebie i Twojej rodziny!

Z dwóch kluczy na kółku wybrał ten od drzwi wejściowych i wszedł do środka. Na skutek procesów sądowych, posesja od wiosny stała pusta i nie wystawiano jej na sprzedaż; powietrze wewnątrz domu było pełne kurzu i stęchlizny. Lubił ten zapach. Puste domy wzruszały go w jakiś sposób. Lubił myśleć o nich jak o domach, które czekają; białe płótna, na których nabywcy wymalują swój własny raj. Chodził po całym domu, sporządzając szczegółowe notatki o każdym pokoju; obmyślał przy tym kuszące zwroty:

„Obszerny dom w doskonałym stanie. Zadowolili nawet najbardziej wymagającego nabywcę. 3 sypialnie, 2 1/2 łazienki, podłogi wielopoziomowe, główny salon wyłożony boazerią z brzozy, kompletnie wyposażona kuchnia, kryte patio... ”

Wiedział, że dom z takim metrażem, o takiej lokalizacji osiągnie dobrą cenę.

Obszedłszy pokoje parteru, otworzył drzwi wychodzące na podwórkę i wyszedł na dwór. Domy, nawet na niższych partiach Wzgórza, leżały w znacznej odległości od siebie. Na to podwórkę nie wychodziły okna żadnego z tych domów. W przeciwnym razie sąsiedzi pewnie uskarżaliby się na jego zaniedbanie. Trawnik, łaciaty i spalony słońcem, urósł do pół łydki; drzewa należało przyciąć. Przeszedł przez stwardniałą od słońca przestrzeń, by obmierzyć basen. Od śmierci właścicielki, pani Lloyd, nie spuszczano z niego wody. Poziom wody był niski; jej powierzchnia zarosła warstwą alg zieleńszych niż trawa, która zdążyła wyrosnąć między płytami, biegnącymi wzdłuż basenu. Woda cuchnęła. Nie musiał obmierzać basenu miarką; wiedział, że jego wyćwiczone oko było niemal równie dokładne jak miarka.

Spisywał w notesie wymiary, gdy na wodzie w środku basenu ukazała się lekka

zmarszczka i sunęła powoli w jego stronę pod nieruchomą powierzchnią.

Odsunął się od brzegu, dopisując „natychmiast” obok uwagi o wezwaniu ludzi z

Przedsiębiorstwa Usług do Spraw Basenów. Cokolwiek się tak bujnie mnożyło w brudnej wodzie - grzyby czy ryby - niewiele już temu zostało życia.

Woda znów się poruszyła; te szybkie ruchy przypomniały mu o zupełnie innym dniu, innej wodzie, nawiedzanej przez złego ducha. Odsunął od siebie to wspomnienie - w każdym razie usiłował je odsunąć - odwrócił się od basenu i ruszył w stronę domu. Ale wspomnienie zbyt długo pozostawało zapomniane; teraz go nie odstępowało. Zobaczył czwórkę dziewcząt - Carolyn, Trudi, Joyce i Arleen, śliczną Arleen - tak wyraźnie, jakby oglądał je dopiero wczoraj. Widział, jak się rozbierają. Słyszał, jak gwarzą o tym i owym; jak się śmieją. Przystanął i obejrzał się na basen. Gęsta woda znów znieruchomiła.

Cokolwiek ta woda wylęgła, czy cokolwiek tam przychodziło na nocleg - teraz spało.

Spojrzał na zegarek. Był poza biurem tylko godzinę i trzy kwadranse. Gdyby zwiększył tempo i skończył tu szybko, mógłby wymknąć się na chwilę do domu i obejrzeć jakiś film video z własnej kolekcji. Ta myśl, którą w części zrodziły erotyczne wspomnienia, pobudzone przez widok basenu, kazała mu z nowym zapałem wrócić do zajęć. Zamknął na klucz tylne wejście i wszedł na schody.

Zatrzymał się w pół drogi, słysząc na górze jakiś hałas.

- Kto tam? - zapytał.

Nikt nie odpowiedział, ale hałas powtórzył się. Zapytał jeszcze raz; był to dialog - pytanie i hałas, pytanie i hałas. Może w domu były jakieś dzieci?

Włamania do pustych domów - modne kilka lat temu - stawały się ostatnio znów coraz bardziej powszechne. Ale po raz pierwszy udało mu się przyłapać włamywacza na gorącym uczynku.

- Schodźcie na dół? - zapytał, przydając swojemu głosowi tyle głębi basso profundo, na ile mógł się zdobyć. - Czy mam iść po was na górę?

W odpowiedzi usłyszał ten sam chrobot, który słyszał już dwukrotnie, jakby nieduży pies z nieprzyciętymi pazurami przebiegł po podłodze z twardego drewna.

No dobra, pomyślał William. Ruszył w górę, starając się iść jak najcięższym krokiem, by nastraszyć włamywaczy. Znał nazwiska i przydomki większości dzieci z Grove. Te, których nie znał, mógł z łatwością wskazać na szkolnym boisku. Ukarze je dla przykładu, by na przyszłość zniechęcić innych urwisów.

Kiedy wszedł na górę, wszystko ucichło. Przez okno biło południowe słońce, łagodząc resztki jego niepokoju. Nic mu tutaj nie groziło. Niebezpieczeństwo to ulice Los Angeles o północy i zgrzyt noża po murze podczas pościgu. A tutaj było Grove, było słoneczne piątkowe popołudnie.

Jakby na potwierdzenie tej myśli, z zielonych drzwi głównej sypialni nadszedła pędem nakręcana zabawka - biała stonoga długości półtorej stopy, rytmicznie stukająca o podłogę plastikowymi odnóżami. Dzieciak wysłał do niego tę zabawkę na znak poddania.

Uśmiechając się wyrozumiale, William schylił się, by ją podnieść, i popatrzył na podłogę za uchylonymi drzwiami.

Ledwie jednak dotknął zabawki, natychmiast na nią spojrział; jego palce potwierdziły - zbyt późno - to, co powiedziały mu oczy. To wcale nie była zabawka. Wyczuł ręką miękką i ciepłą pokrywę; ruchy tego zwierzęcia były odrażające. Chciał je rzucić, ale przywarło do jego dłoni i sunęło dalej.

Cisnąwszy notes i ołówek, oderwał je od dłoni drugą dłonią i rzucił na podłogę. Upadło na rozczłonkowany grzbiet i wymachiwało tuzinem nóg jak przewrócona krewetka. Bez tchu zatoczył się na ścianę. Zza drzwi jakiś głos powiedział:

- Niech się pan nie certuje. Prosimy do środka.

Nie był to głos dziecka, ale już kilka chwil temu William zrozumiał, że jego pierwszy scenariusz był zbyt optymistyczny.

- Panie Witt - odezwał się inny głos. Był wyższy niż tamten, i znajomy.

- Tommy-Ray? - William nie potrafił ukryć uczucia ulgi. - Czy to ty, Tommy-Ray?

- Jasne. No niech pan wejdzie, czekamy.

- Co się tu dzieje? - zapytał William; omijając z daleka szamoczące się zwierzę, popchnął drzwi. Perkalowe zasłony pani Lloyd były zasunięte, by nie dopuścić słońca; w porównaniu z jaskrawym światłem dworu, pokój wydał się podwójnie mroczny. Ale udało mu się dostrzec Tommy-Raya, stojącego pośrodku pokoju, a za nim, w najciemniejszym kącie - jeszcze jakąś postać. Zdaje się, że któryś z nich wchodził do cuchnącego basenu; mdły odór podrażnił nozdrza Williama.

- Nie powinniście tu wchodzić - zwrócił się z wymówką do Tommy-Reya. - Wiesz, że naruszacie cudzą własność? Ten dom...

- Ale pan na nas nie doniesie? - zapytał Tommy-Ray. Podszedł do Williama, całkiem zasłaniając towarzysza.

- To nie takie proste... - zaczął William.

- Właśnie, że proste. - powiedział Tommy-Ray zdecydowanym tonem. Podszedł bliżej jeszcze jeden krok i jeszcze jeden; nagle wyminął Williama i zatrzasnął drzwi. Ten dźwięk zaniepokoił towarzysza Tommy-Raya - czy raczej towarzyszy jego towarzysza; teraz oczy Williama na tyle przywykły do mroku, by mógł dojrzeć, że na skulonym w kącie brodatym mężczyźnie uwijało się mnóstwo stworzeń, połączonych rodzinnym podobieństwem z tamtą stonogą. Pokrywały go całego niby żywa zbroja. Czołgały się po jego twarzy, trwały nieruchomo na jego ustach i oczach; gromadziły się w pachwinie, by ją masować. Wpiły mu

się w pachy i brykały na żołądku. Było ich tak wiele, że jego masa dwukrotnie przewyższała rozmiary przeciętnego człowieka.

- Chryste Panie! - powiedział William.

- Nieźle, co? - zagadnął Tommy-Ray.

- Słyszałem, że znacie się z Tommy-Rayem od dłuższego czasu - odezwał się dżaff. -

Niech mi pan powie, czy był grzecznym dzieckiem?

- Co to wszystko znaczy, do cholery? - zapytał William, patrząc na Tommy-Raya. Oczy chłopca połyskiwały w mroku.

- To mój ojciec. On jest dżaffem.

- Chcielibyśmy pokazać panu sekrety pańskiej duszy - powiedział dżaff.

William natychmiast pomyślał o sekretnych zbiorach, które trzymał pod kluczem w domu. Jak ten odrażający stwór zdołał się o nich dowiedzieć?

Czyżby Tommy-Ray go szpiegował? Podglądał podglądacza?

William potrząsnął głową.

- Nie mam żadnych sekretów - powiedział cicho.

- Pewnie mówi prawdę - powiedział Tommy-Ray. - Dupek i nudziarz.

- To nieładnie - odezwał się dżaff.

- Wszyscy to mówią - upierał się Tommy-Ray. Popatrz na niego: nosi te pieprzone muszki i wszystkim kiwa makówką.

Słowa Tommy-Raya mocno dopiekły Williamowi. To, czego tu wysłuchiwał, oraz widok dżaffa wprawiały w drżenie jego policzek.

- Najnudniejszy dupek w całym wszawym miasteczku - powtórzył Tommy-Ray.

W odpowiedzi dżaff oderwał jedno ze stworzeń od swojego brzucha i rzucił nim w Tommy-Raya. Trafił. Stworzenie to - które miało ogony w kształcie biczów i maleńką

główkę, wczepiło się w twarz Tommy-Raya, prac bruchem w jego usta. Stracił równowagę i, zataczając się na boki, wbił w pasożyta palce. Gad odpadł od jego twarzy, wydając śmieszny dźwięk pocałunku; ukazał się szeroki uśmiech Tommy-Raya do wtóru śmiechu dżaffa.

Tommy-Ray odrzucił stwora z powrotem do jego pana; nie chciało mu się lepiej przycelować i gad upadł na podłogę w odległości stopy od miejsca, gdzie stał William. Ten cofnął się, a ojciec i syn znów się roześmiali.

- Nic panu nie zrobi - powiedział dżaff - chyba, że mu każę. - Przywołał gada, z którym zabawiał się chłopiec, a gad, naburmuszony, schronił się na jego brzuchu. - Pewnie zna pan większość z tych istot - powiedział dżaff.

- Tak - mruknął Tommy-Ray - i one też go znają.

- Na przykład to - powiedział dżaff, wyciągając zza siebie zwierzę wielkości kota. - To pochodzi od tej kobiety... jak ona się nazywa. Tommy?

- Nie pamiętam.

Dżaff przesunął gadzinę, która przypominała olbrzymiego wyblakłego skorpiona, w dół do swych stóp. Była nieomalże nieśmiała; chciała wycofać się do kryjówki.

- Ta z psami. Tommy - podpowiedział dżaff. - Mildred jakoś-tam.

- Duffin - powiedział William.

- Brawo, brawo! - zawołał dżaff, wskazując na Williama grubym kciukiem. - Duffin!

Jak łatwo się zapomina. Duffin!

William znał Mildred. Nawet widział ją dziś rano na placu - tym razem bez zgrai pudli.

Stała tam i patrzyła przed siebie, jakby przyjechała tu tylko po to, aby zapomnieć, po co właściwie przyjechała. William nie mógł zrozumieć, co miała wspólnego z tym skorpionem.

- Widzę, że cię zamurowało, Witt - powiedział dżaff. - Zastanawiasz się, czy Mildred

hoduje jakieś nowe zwierzątko. Otóż nie. Prawda jest taka, że to jest najskrytszy sekret

Mildred, który stał się ciałem. Właśnie tego chcę od ciebie. To, co głęboko ukryte. Sekret.

Chociaż William był pełnokrwistym heteroseksualnym podglądaczem, natychmiast zrozumiał zboczony podtekst prośby dżaffa. On i Tommy-Ray nie byli ojcem i synem; jeden chędożył drugiego. Całe to gadanie o ukrytej, tajemnej treści to zwykłe mydlenie oczu.

- Nie chcę mieć z tym wszystkim nic wspólnego - powiedział William. - Tommy-Ray ci powie. Te rzeczy mnie nie interesują.

- Strach to nie są żadne „te rzeczy” - powiedział dżaff.

- Każdy to ma - powiedział Tommy-Ray.

- Niektórzy więcej niż inni. Ty, podejrzewam, więcej niż ktokolwiek inny. Przyznaj się.

Winiarnie. Różne paskudztwa gnieźdzą ci się w głowie. Chcę je po prostu wydobyć i mieć na własność.

Jeszcze jedna insynuacja. William słyszał, że Tommy-Ray zbliżył się do niego o krok.

- Ręce przy sobie - ostrzegł William. To był czysty bluff; uśmiezek Tommy-Raya świadczył, że on o tym wie.

- Potem poczujesz się lepiej - powiedział dżaff.

- O wiele - dodał Tommy-Ray.

- To nie boli. No... może trochę na początku. Ale kiedy już pozbędziesz się tego paskudztwa, będziesz innym człowiekiem.

- Mildred była po prostu jedną z nich - powiedział Tommy-Ray. - Zeszłej nocy zaliczył ich całą gromadę.

- To nieprawda.

- Mówiłem, do kogo ma iść i on tam szedł.

- Umiem wyczuć niektóre typki, wiesz? Mam dobrego nosa.

- Louise Doyle... Chris Seapara... Harry O'Connor...

William znał ich wszystkich.

- ...Gunther Rothberry... Martine Nesbitt...

- Martine mogła się pochwalić naprawdę niezłymi rzeczami - powiedział džaff. - Jedno z nich wyszło na dwór. Dla ochłody.

- W basenie? - zapytał William.

- Widziałeś je?

William potrząsnął głową.

- Naprawdę powinieneś je zobaczyć. Dobrze jest wiedzieć, co ludzie ukrywali przed nami przez wszystkie te lata. - Trafił na nerw, ale William domyślił się, że tamten o tym nie wie. - Myślisz, że znasz tych ludzi, a oni wszyscy kryją w sobie lęki, do których nigdy by się nie przyznali; czarne miejsca, które maskują uśmiechem. Te tutaj... - uniósł ramię, do którego przywarło stworzenie, podobne do nagiej małpy - ...mieszkają właśnie w tej okolicy. Ja po prostu wyciągam je na zewnątrz.

- Martine też? - zapytał William; zamajaczyła mu leciutka nadzieja ucieczki.

- Jasne - powiedział Tommy-Ray. - Jeden z najlepszych okazji.

- Nazywam je terata powiedział džaff. - To znaczy istota, która rodzi się potwornie zniekształcona. Dziw natury. Jak ci się to podoba?

- Ja... chciałbym zobaczyć, co wydała z siebie Martine - powiedział William.

- Ładna kobieta z brzydkimi myślami - podsumował džaff. - Tommy-Ray, idź mu pokaż. Potem przyprowadź go z powrotem.

- Robi się.

Tommy-Ray nacisnął klawisz, ale zawahał się, jakby odczytał myśli Williama.

- Naprawdę chcesz zobaczyć? - zapytał.

- Owszem, chciałbym - powiedział William. - Martine i ja... - lekko przeciągnął ostatnie

słowa.

Dżaff złapał przynętę.

- Ty z tą kobietą, Williamie?

- Raz czy dwa - skłamał. Nawet nie tknął Martine, zresztą wcale nie miał na to ochoty, ale miał nadzieję, że to uzasadni jego ciekawość.

Zdaje się, że to trafiło dżaffowi do przekonania.

- Tym bardziej powinienes zobaczyć, co przed tobą ukrywała. Zaprowadź go, Tommy-Ray! Pokaż mu!

Młody McGuire posłuchał i poprowadził Williama w dół. Szedł i pogwizdywał; jego lekki krok i swoboda zadawały kłam piekielnej kompanii, w której przebywał. Williama wciąż korciło, żeby zapytać chłopaka dlaczego; chciał lepiej zrozumieć to, co działo się w Grove. Jakże to możliwe, by zło było takie beztroskie? Jak istoty, tak wyraźnie zepsute jak Tommy-Ray, mogą iść tanecznym krokiem, podśpiewywać i wymieniać uwagi jak zwyczajni ludzie?

- To nienormalne, prawda? - powiedział Tommy-Ray, biorąc od Williama klucz od tylnego wyjścia.

Odczytał moje myśli, przestraszył się William, ale następna uwaga Tommy-Raya świadczyła, że tak nie było.

- Te puste domy są jakieś nienormalne. Chyba tylko ty myślisz inaczej. Przyzwyczałeś się do nich, co?

- Owszem.

- Dżaff nie przepada za słońcem, więc wyszukałem dla niego ten dom. Żeby miał się gdzie schować.

Kiedy wyszli na dwór, Tommy-Ray skrzywił się na widok jasnego nieba.

- Chyba robię się podobny do niego - skomentował. - Kiedyś uwielbiałem plażę.

Topanda, Malibu. A teraz robi mi się niedobrze, kiedy pomyślę, jak tam jest... jasno.

Poszedł pierwszy w stronę basenu; pochylił głowę i gawędził:

- Więc ty i Martine kręciliście ze sobą? Miss świata to ona nie jest, rozumiemy się? I

miała w sobie niezłe cudactwo. Powinieneś zobaczyć, jak to z nich wyłazi... Fiu fiu! Jest na co popatrzeć! Oni jakby wypacali to z siebie. Przez te małe otworki...

- Pory.

- Co?

- Te otworki to są pory.

- Aha. No dobra.

Doszli do basenu. Tommy-Ray stanął na krawędzi:

- Dżaff umie je przywołać, wiesz? W myślach. Ja wołam je po imieniu; albo imionami ludzi, do których należały. - Obejrzał się na Williama i przyłapał go, jak badał wzrokiem ogrodzenie, szukając w nim jakiejś dziury. - Nudzi ci się? - zapytał.

- Nie... nie, skąd... Ja tylko... Wcale mi się nie nudzi.

Chłopiec odwrócił się w stronę basenu.

- Martine? - zawołał. Powierzchnia wody poruszyła się.

- Idzie - powiedział Tommy-Ray. - Zobaczysz, oko ci zbieleje.

- Na pewno - powiedział William i podszedł bliżej. Kiedy stwór zaczął wynurzać się na powierzchnię, William wyrzucił ramiona i pchnął Tommy-Raya w krzyże. Chłopiec wrzasnął i zachwiał się. William przez chwilę widział terata ukryte w basenie - było jak okręt wojenny wyposażony w odnóża. Tommy-Ray upadł na nie, chłopiec i bestia zwarli się w gwałtownej walce. William nie czekał, by zobaczyć, które z nich ugryzło drugie.

Popędził w stronę uszkodzonego miejsca w parkanie, przecisnął się na drugą stronę i

już go nie było.

- Pozwoliłeś mu uciec - powiedział dzaff, kiedy po pewnym czasie Tommy-Ray wrócił do legowiska na piętrze. - Widzę, że nie mogę na tobie polegać.

- Oszukał mnie.

- Dlaczego tak cię to dziwi, do diabła? Jeszcze się nie nauczyłeś? Ludzie ukrywają swoje twarze za maskami. Dlatego są tak interesujący.

- Chciałem za nim biec, ale już go nie było. Chcesz, żebym poszedł do jego domu?

Może go zabić?

- Spokojnie - przerwał mu dzaff. - Niech opowiada ludziom niestworzone historie przez dzień czy dwa. To nam nic nie zaszkodzi. Zresztą, kto mu uwierzy? Po prostu wyniesiemy się stąd, kiedy się ściemni.

- No tak, są jeszcze inne puste domy.

- Nie musimy już szukać - powiedział dzaff. - Wczoraj w nocy znalazłem dla nas stałą kwaterę.

- Gdzie?

- Ona jeszcze nie jest zupełnie gotowa, by nas przyjąć, ale będzie.

- Kto?

- Zobaczysz. Teraz chciałbym, żebyś załatwił coś dla mnie w terenie.

- Nie ma sprawy.

- To nie zajmie ci wiele czasu, niedługo wrócisz. Dawno temu zostawiłem na południu wybrzeża coś, co jest dla mnie ważne. Chcę, żebyś mi to przywiózł, a ja w tym czasie pozbędę się Fletchera.

- Chcę to zobaczyć.

- Podoba ci się idea śmierci, prawda?

Tommy-Ray wyszczerzył zęby.

- Tak, podoba mi się. Mój przyjaciel Andy miał odlotowy tatuaż: czaszkę z puszczelami, o, tutaj - Tommy-Ray wskazał na swoją pierś. Dokładnie na sercu. Ciągłe powtarzał, że umrze młodo. Mówił, że pojedzie do Bombora, tam są naprawdę niebezpieczne skały. Fale rozbijają się w drobny mak, wiesz? Mówił, że poczeka na ostatnią falę, a kiedy już będzie wysoko w górze, po prostu zeskoczy z deski. Po prostu. Uniesie się w górę i zginie.

- No i co? - zapytał dzaff. - Zginął?

- Zginął, akurat - odparł Tommy-Ray z pogardą. - To facet bez jaj.

- Ale ty mógłbyś tego dokonać.

- Teraz, zaraz? Nie ma sprawy.

- No, nie spiesz się tak. Jeszcze będzie przyjęcie.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Niezła impreza. To miasto jeszcze nie znało takiego przyjęcia.

- Kto jest zaproszony?

- Połowa Hollywood. A druga połowa będzie żałować, że jej nie zaproszono.

- A my?

- Oczywiście będziemy. Możesz być tego pewien. Będziemy na posterunku.

Nareszcie, pomyślał William, stojąc pod drzwiami Spilmonta przy Peaseblossom Drive, nareszcie mam historyjkę, którą mogę komuś opowiedzieć. Udało mu się zbiec z upiornego siedziska dzaffa z opowieścią, którą będzie mógł komuś wyznać. Wyznaczył już adresata.

Spilmont był jednym z tych wielu nabywców, któremu William pomógł w zakupie domu; nawet dwóch. Znali się dostatecznie dobrze, by mówić sobie po imieniu.

- Billy? - powiedział Spilmont, oglądając Williama od stóp do głów. - Coś kiepsko wyglądasz.

- To prawda.
- Wejdźże.
- Oskar, stało się coś strasznego - powiedział, kiedy Spilmont wprowadził go do środka.
- Nigdy nie widziałem czegoś tak okropnego.

- Siadaj, siadaj. Judith, to jest Bill Witt. Co ci podać. Billy? Coś do picia? Chryste, ależ ty się cały trzęsiesz.

Judith Spilmont była prawdziwą matką - ziemią - szerokobiodra i piersiasta. Przyszła z kuchni i powtórzyła słowa męża. William poprosił o wodę z lodem, ale nie mógł się powstrzymać i zaczął opowiadać jeszcze zanim dostał szklankę do ręki. Ledwie otworzył usta, zrozumiał, jak absurdalnie zabrzmiała jego opowieść. Można ją było opowiadać przy ognisku, a nie w biały dzień, kiedy tuż pod oknem pokoju dzieci słuchacze z wrzaskiem uciekały spod zraszaczy trawnika i znów pod nie biegły. Ale Spilmont słuchał go sumiennie, wyprawivszy z pokoju żonę, kiedy już podała wodę. William ciągnął swoją opowieść - pamiętał nawet nazwiska osób, z którymi miał kontakt zeszłej nocy - i co jakiś czas wyjaśniał, że wie, iż to wszystko brzmi absurdalnie, ale naprawdę się zdarzyło. Na tej też nucie zakończył opowiadanie:

- Sam wiem, jak to brzmi.
- No tak, rzeczywiście niezwykła historia - przyznał Spilmont. - Gdyby mi ją opowiedział ktoś inny, nie słuchałbym tak cierpliwie. Ale do cholery. Bill... Tommy-Ray McGuire? To taki miły chłopak.
- Zaprowadzę cię tam - powiedział William - jeśli weźmiemy broń.
- Nie, w tym stanie nie możesz jechać.
- Sam nie pojedziesz.
- Hej, sąsiedzie, masz przed sobą człowieka, który kocha swoje dzieci. Myślisz, że chcę

je osierocić? - zaśmiał się Spilmont. - Słuchaj, teraz jedź do domu. Nie wychodź z mieszkania. Zadzwoń do ciebie, jak tylko czegoś się dowiem, zgoda?

- Zgoda.

- Na pewno jesteś w stanie prowadzić? Mógłbym kogoś...

- Mieszkam bardzo blisko.

- No tak.

- Nic mi nie będzie.

- Ale na razie zatrzymaj to dla siebie. Bill, dobrze?

- No tak, oczywiście. Rozumiem.

Spilmont patrzył, jak William dopija wodę z lodem, potem odprowadził go do drzwi i machnął mu ręką na pożegnanie. William zrobił, jak mu zalecano. Pojechał prosto do domu, zadzwonił do Valerie, powiedział jej, że nie wraca do biura, zaryglował wszystkie drzwi i okna, roześmiał się, zwymiotował, wziął prysznic i czekał przy telefonie na dalsze wieści na temat zepsucia moralnego, które nawiedziło Palomo Grove.

VIII

Grillo poczuł nagle, że jest zupełnie wykończony. Położył się mniej więcej kwadrans po trzeciej, polecając telefonistce, żeby aż do odwołania nie łączyła rozmów do jego apartamentu. Obudziło go pukanie do drzwi. Usiadł; głowę miał tak lekką, że prawie odpływała w górę.

- Obsługa hotelowa - powiedział kobiecy głos.

- Niczego nie zamawiałem - powiedział Grillo. Nagle zrozumiał: - Tesla?

Rzeczywiście była to Tesla, atrakcyjna na swój zwykły, wyzywający sposób. Grillo już dawno doszedł do wniosku, że trzeba pewnej formy geniuszu, aby - za pomocą pewnych ubrań i jakiegoś typu biżuterii przemienić szarość w olśniewający urok, zaś elegancję w kicz.

Tesla potrafiła odmieniać się w obu kierunkach, przy czym odmiana zdawała się zachodzić w niej samorzutnie. Dziś miała na sobie białą męską koszulę, zbyt obszerną na jej szczupłą figurkę; na szyi jakiś tani meksykański wisiorek z wizerunkiem Madonny; obcisłe niebieskie spodnie, buty na wysokich obcasach (nawet teraz ledwie sięgała mu do ramienia) i srebrne kolczyki w kształcie węży, ginące w rudych kędziorach, na które naniosła pasemka blond - ale tylko pasemka, ponieważ, jak tłumaczyła, blondynkom jest łatwiej wżyciu, ale cała głowa blond to już zbytne dogadzanie sobie.

- Spałeś? - powiedziała.

- Tak.

- Przepraszam.

- Muszę się odlać.

- Ależ proszę, proszę.

- Czy mogłabyś sprawdzić, kto do mnie dzwonił - wrzasnął z łazienki. patrząc na swoje odbicie w lustrze. Pomyślał, że wygląda nędznie, jak niedożywiony poeta, którym pragnął być, ale przestał, gdy tylko poczuł głód.

Ale dopiero gdy - z ptakiem w jednej ręce (który jeszcze nigdy nie wydawał się równie odległy i równie mały), a drugą trzymając się futryny, żeby nie upaść, kiwał się niepewnie nad muszlą - przyznał sam przed sobą, że jest naprawdę chory. - Lepiej do mnie nie podchodź

- powiedział do Tesli, kiedy zataczając się wrócił do pokoju. - Chyba mam grypę.

- Więc wracaj do łóżka. Od kogo się zaraziłeś?

- Od jednego dzieciaka.

- Dzwonił Abernethy - powiedziała Tesla. - Oraz niejaka Ellen.

- To właśnie od jej dzieciaka.

- A ona kto?

- Ona miła osoba. Czego chciała?

- Chciała z tobą pilnie porozmawiać. Nie zostawiła telefonu.

- Chyba go nie ma - powiedział Grillo. - Muszę się dowiedzieć, o co jej chodziło.

Pracowała u Vance'a.

- Skandal?

- Tak - zaczął szczerkać zębami. - Cholera. Jakby mnie palił ogień.

- Może by cię odwieźć do Los Angeles?

- Nie ma mowy, Tesla. Tutaj kroi mi się niezły temat.

- Niezłe tematy są wszędzie. Abernethy może tu przysłać kogoś innego.

- Ale ten jest dziwny. Dzieje się tu coś, czego nie rozumiem. - Usiadł, w głowie mu

dudniło. - Wiesz, że byłem na miejscu, kiedy zginęli ratownicy, którzy szukali ciała Vance'a?

- Nie, a co się stało?

- Nie wiem, co mówili w wiadomościach, ale to nie było żadne podziemne pęknięcie

tamy. W każdym razie, nie tylko to. Po pierwsze, na długo przed wypływem wody słyszałem

jakieś krzyki. Zdaje się, że tam na dole oni głośno się modlili, Tesla. Modlili się. A potem ten

straszny gejzer. Woda, dym, jakieś szczątki. Ciała, i jeszcze jeden stwór. Nie, dwa stwory.

Wydobyły się z głębi ziemi ukradkiem.

- Wdrapały się na górę?

- Nie, wyfrunęły.

Tesla patrzyła na niego twardo przez dłuższą chwilę.

- Przysięgam, Tesla. Może to byli ludzie... może nie. Wyglądali raczej jak... sam nie

wiem... jak jakaś forma energii. Powiem ci, zanim zapytasz: byłem trzeźwy jak owieczka.

- Tylko ty to widziałeś?

- Nie, był ze mną taki jeden, Hotchkiss. Chyba prawie wszystko widział. Ale nie

odbiera telefonów; nie potwierdzi tego, co mówię.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że mówisz jak czubek z papierami?

- To chyba tylko potwierdza to, co zawsze o mnie myślałaś, prawda? Że pracuję u Abernethy'ego, grzebiąc się w brudach ludzi sławnych i bogatych...

- Że nie chcesz się we mnie zakochać.

- Że nie chcę się w tobie zakochać.

- Wariat.

- Szaleniec.

- Słuchaj, Grillo, kiepska ze mnie pielęgniarzka, więc nie oczekuj współczucia. Ale jeśli chcesz bardziej konkretnej pomocy w czasie, kiedy będziesz sobie chorował, po prostu daj mi odpowiednie namiary.

- Mogłabyś wpaść do Ellen. Powiedz jej, że mały zaraził mnie grypą. Niech ma wyrzuty sumienia. Tam jest wspaniały temat, a ja na razie mam tylko parę faktów.

- Takim cię lubię, Grillo. W łóżku, ale z tarczą.

Tesla wybrała się do domu Ellen Nguyen późnym popołudniem; nie chciała brać samochodu, chociaż Grillo ostrzegał, że czeka ją długi spacer.

Zerwał się lekki wiatr i towarzyszył jej w drodze przez miasto. Był to rodzaj społeczności, w której chętnie umieściłaby akcję kryminału; może z wątkiem człowieka z bombą atomową w walizce. Byłaby to bardziej parabola apatii niż zła. Ludzie woleliby nie wierzyć temu, co się im mówi. Po prostu robiliby dalej swoje w błogiej obojętności.

Bohaterka filmu próbowałaby wstrząsnąć tymi ludźmi, żeby zrozumieli, co im grozi. To jej się nie uda. W końcu tłum, wściekły, że próbuje zburzyć jego martwy spokój, wypędza ją za rogatki miasta; w tym momencie zakołysze się ziemia i wybuchnie bomba. Obraz znika.

Koniec. Oczywiście nikt nie przyjąłby takiego scenariusza do produkcji, ale ostatecznie była

wytrawną mistrzynią w pisaniu scenariuszy, które nigdy nie ujrzały taśmy filmowej. Jednak tematy same do niej przychodziły. Nie mogła wejść do nieznanego domu czy spotkać nowych ludzi, żeby ich zaraz nie udratyzować. Nie zaprzętała sobie zbytnio głowy analizą scenariuszy, które wytwarzał jej umysł, pod względem obsady i miejsca akcji, chyba że - jak w tym wypadku - były zbyt oczywiste, by je pominąć. Prawdopodobnie przecucie powiedziało jej, że pewnego dnia Palomo Grove wyleci w powietrze.

Miała niezawodne wycucie kierunku. Odnalazła od razu drogę do domu Ellen Nguyen.

Kobieta, która otworzyła drzwi, wydawała się tak delikatna, że Tesla obawiała się mówić głośniejszym niż szeptem, a już na pewno nie próbowałaby wyciągnąć z niej żadnych

niedyskretnych zwierzeń. Po prostu podała fakty: przyszła na prośbę Grillo, ponieważ złapała grypę.

- Niech się pani nie martwi, nic mu nie będzie - powiedziała, widząc zmartwioną minę

Ellen. - Po prostu chciałam wyjaśnić, dlaczego sam nie przyszedł z panią porozmawiać.

- Proszę wejść - powiedziała Ellen.

Tesla opierała się. Nie była w nastroju do rozmowy z tak subtelną istotą.

Ale tamta obstawała przy swoim.

- Nie mogę tutaj rozmawiać - powiedziała, zamykając drzwi. - I nie mogę zostawiać

Philipa samego na dłuższy czas. Już nie mam telefonu. Do pana Grillo musiałam dzwonić od sąsiadów. Czy mogłaby pani przekazać mu pewną wiadomość?

- Oczywiście - powiedziała Tesla, a pomyślała: jeśli to list miłosny, to zaraz wyląduje w koszu. Wiedziała, że ta Nguyen była w typie Grillo. Pełna kobiecej słodyczy, łagodny głos. W sumie, przeciwieństwo Tesli.

Szerzące zarazę dziecko siedziało na kanapie.

- Pan Grillo ma grypę - powiedziała matka. - Może dałbyś mu jakiś rysunek, to by się

lepiej poczuł?

Chłopczyk poszedł do swojego pokoju i Ellen mogła teraz mówić.

- Czy mogłaby mi pani powiedzieć, że sytuacja w Coney zmieniła się? - zapytała.

- Zmiana sytuacji w Coney - powtórzyła Tesla. - Co to konkretnie oznacza?

- Że w domu Buddy'ego odbędzie się przyjęcie wspominkowe na jego cześć. Pan Grillo

będzie wiedział, o co chodzi. Rochelle, jego żona, przysłała po mnie kierowcę. Chce, żebym pomogła w domu.

- A jaki ma to związek z Grillo?

- Chciałabym wiedzieć, czy chce dostać zaproszenie.

- Chyba mogę za niego powiedzieć, że tak. Kiedy to będzie?

- Jutro wieczorem.

- Krótki termin.

- Ludzie przyjdą, ze względu na pamięć o Buddym - powiedziała Ellen. - Wszyscy go kochali.

- Szczęściarz - zauważyła Tesla. - Więc jeśli Grillo będzie chciał z panią porozmawiać, może się skontaktować z panią w domu Vance'a?

- Nie. Nie powinien tam dzwonić. Niech zostawi wiadomość u sąsiada, pana Fulmera. On będzie się zajmował Philipem.

- Fulmer. Dobrze. Już zapisałam.

Temat rozmowy wyczerpał się. Tesla przyjęła od małego ozdrowieńca rysunek, żeby go zanieść Grillo wraz z najlepszymi życzeniami od matki i syna, i ruszyła z powrotem, obmyślając po drodze różne historyjki.

IX

- William?

Nareszcie Spilmont zadzwonił. W tle nie było już słychać śmiechu dzieci.

Zapadł wieczór. Kiedy zabrakło słońca, woda w zraszaczach trawy byłaby nie tyle przyjemnie chłodna, co lodowata.

- Nie mam zbyt wiele czasu - powiedział. - Już dość go dziś zmarnowałem.

- I co? - William spędził całe popołudnie wyczekując telefonu, w szalonym podnieceniu. - No mów.

- Pojechałem tam, do Wild. Cherry Glade, jak tylko wyszedłeś.

- No i?

- No i nic, stary. Jedno wielkie zero. Nikogo tam nie było. Przygotowałem się na Bóg wie co i wyszedłem na durnia. Pewnie o to ci chodziło, co?

- Nie, Oskarze. Mylisz się.

- Słuchaj, chłopie - tylko raz. Tylko raz dałem się nabrać, okay? Nikt nie będzie mówił, że nie mam poczucia humoru.

- To nie był kawał.

- Wiesz, rzeczywiście przez chwilę dałem się nabrać. Powinieneś pisać książki, a nie handlować nieruchomościami.

- Nikogo tam nie było? Najmniejszego śladu? Zajrzałeś do basenu?

- Przestań! - powiedział Spilmont. - Tak, basen był pusty, tak samo dom i garaż.

Nigdzie nikogo.

- Więc się wynieśli. Uciekli, zanim przyjechałeś. Tylko nie wiem jak. Tommy-Ray mówił, że dzaff nie znosi...

- Dosyć! - krzyknął Spilmont. - I bez ciebie mam dokoła zbyt wielu czubków. Zostaw to, słyszysz? I nie próbuj tych numerów z innymi, Witt. Już ostrzegłem kogo trzeba, słyszysz?

Zapamiętaj sobie: jeden raz wystarczy!

Spilmont odłożył słuchawkę bez pożegnania; William słyszał sygnał przerwanej

rozmowy przez całe pół minuty, zanim słuchawka wypadła mu z ręki.

- Kto by pomyślał? - powiedział dzaff, głaszcząc swojego najnowszego pupila. - Strach kryje się w najmniej oczekiwanych miejscach.

- Chcę go potrzymać - powiedział Tommy-Ray.

- Uważaj go za swoją własność - dzaff pozwolił, by chłopiec wziął terata z jego objęć.

- Nie jest zbyt podobny do Spilmonta.

- Ależ jest - sprzeciwił się dzaff. - Nie ma wierniejszego portretu tego człowieka niż ten.

To jego esencja. Strach czyni człowieka tym, czym jest.

- Naprawdę?

- To, co tam chodzi i nazywa siebie Spilmontem, jest tylko łupiną. Nędzną resztką.

Podszedł do okna i odsunął zasłony. Terata, które łąsiły się do niego podczas wizyty

William, nie odstępowały go na krok. Odpędził je od siebie.

Odstąpiły z szacunkiem, ale gdy tylko wrócił na dawne miejsce, poczołgały się z powrotem w jego cień.

- Słońce prawie zaszło - powiedział. - Musimy iść. W Grove jest Fletcher.

- Tak?

- A tak. Wrócił o czwartej czy piątej po południu.

- Skąd wiesz?

- Nie można nienawidzić kogoś tak mocno jak ja nienawidzę Fletchera i nie wiedzieć, gdzie się znajduje.

- Więc pójdziemy go zabić?

- Kiedy będziemy mieć dość zabójców - powiedział dzaff. - Nie chcę żadnych pomyłek, jak z tym Wittem.

- Najpierw pójdę po Jo-Beth.

- Po co? Nie jest nam potrzebna.

Tommy-Ray rzucił terata Spilmonta na podłogę:

- Jest potrzebna mnie.

- To, oczywiście, czysto platoniczne uczucie.

- Co to znaczy?

- Powiedziałem to z ironią, Tommy-Ray. Chodzi o to, że ty pragniesz jej cieleśnie.

Tommy-Ray rozważał to przez chwilę. Potem powiedział:

- Być może.

- Bądź szczery.

- Nie wiem, czego chcę, ale wiem na pewno, czego NIE chcę. Nie chcę, żeby ten pieprzony Katz jej dotykał. Ona należy do rodziny, prawda? Sam mówiłeś, że takie sprawy się liczą.

Dżaff skinął głową: - Mówisz bardzo przekonująco.

- Więc idziemy po nią?

- Jeśli to takie ważne - powiedział ojciec - to dobrze, chodźmy po nią.

Kiedy Fletcher zobaczył Grove po raz pierwszy, był bliski rozpacz.

Podczas wielomiesięcznych zmagania z dżaffem widział wiele takich miast; z góry zaplanowane społeczności, wyposażone we wszelkie możliwe udogodnienia i urządzenia oprócz jednego - zdolności odczuwania; miasta, w których życie zdawało się tętnić, a naprawdę było go tam niewiele albo wcale. Zdarzyło się już dwukrotnie, że wróg prawie już go dopadł, kiedy grzęzli w takiej próżni. Chociaż nie był przesądny, zastanawiał się, czy trzeci raz nie okaże się tym razem ostatnim.

Dżaff zdobył już tutaj przyczółek; Fletcher nie miał co do tego wątpliwości. Bez trudu

znajdzie tutaj słabe i bezbronne istoty, z których chętnie czerpał swoją energię. Ale Fletcherowi - którego hallucigenia rodziły się z barwnych marzeń innych ludzi - niewiele mogło ofiarować miasto, skarłałe od samozadowolenia i wygodnego życia. Większe szansę miałby w jakimś getcie albo domu wariatów, gdzie ludzie żyli na skraju przepaści, niż w tej starannie nawadnianej pustyni. Ale nie miał wyboru. Nie miał do swojej dyspozycji agenta - człowieka, który naprowadziłby go na trop; sam musiał iść między tych ludzi jak pies, wężący za marzycielem.

Znalazł kilku marzycieli w Pasażu, ale odprawili go, gdy tylko spróbował nawiązać rozmowę. Chociaż usilnie starał się podtrzymać pozór normalności, już od zbyt dawna nie był człowiekiem. Ludzie, do których podchodził, przyglądali mu się dziwnie, jakby zapomniał odegrać jakiejś części przedstawienia; jakby potrafili przejrzeć go na wskroś i dojrzeć w nim nuncjanina.

Dostrzegłszy to, odwracali się od niego. Parę osób nie odeszło. Jakaś stara kobieta stała w pewnej odległości od niego i po prostu uśmiechała się, kiedy spojrzał w jej stronę. Dwoje dzieci porzuciło wystawę ze zwierzątkami domowymi, by przyglądać się właśnie jemu, zanim matka przywołała je do siebie. Zbiory były tak nędzne, jak się Fletcher obawiał. Gdyby dżaff mógł wybierać pole ich ostatniej bitwy, nie mógłby dokonać lepszego wyboru.

Jeśli wojna między nimi miała się zakończyć w Palomo Grove - Fletcher przeczuwał, że jeden z nich tu zginie - dżaff z pewnością wyjdzie z niej zwycięzcą.

Gdy zapadł zmierzch i Pasaż opustoszał, on także odszedł, by toczyć się wyludnionymi ulicami. Nie było ani jednego przechodnia. Nikt nawet nie wyprowadził psa. Wiedział, dlaczego tak było. To zbiorowisko ludzkie, mimo rozmyślnej znieczulicy, nie potrafiło powstrzymać naporu sił nadprzyrodzonych. Chociaż mieszkańcy Grove nie potrafiliby wyrazić słowami swojego niepokoju, wiedzieli, że tego wieczoru w ich mieście straszy;

schronili się przed swoje telewizory. Fletcher widział, jak we wszystkich domach jarzyły się ekrany, a wszystkie odbiorniki były nastawione zbyt głośno. Jakby miały zagłuszyć pieśń syren dochodzącą z dworu - gdyby syreny śpiewały tej nocy. Ukołysane w ramionach teleturniejowych konferansjerów i bohaterek oper mydlanych, małe mózdzki obywateli Grove zapadały w niewinny sen, podczas gdy istota, która mogła uratować ich przed zagładą, błąkała się po ulicach, odpędzana przez wszystkich i opuszczona.

X

Gdy zmierzch przechodził w ciemność nocy, Howie, ze swojego posterunku na rogu ulicy zobaczył. Jak pewien mężczyzna (później dowiedział się, że był to pastor) przyszedł pod dom McGuire'ów, przedstawił się przez zamknięte drzwi, a następnie - gdy otwarto zamki i odsunięto zasuwę - wszedł to wnętrza sanktuarium. Howie podejrzewał, że dziś już nie powtórzy się podobna szansa. Właśnie teraz nadarzała się najlepsza sposobność, by prześliznąć się za plecami matki - dozorczy i dotrzeć do Jo-Beth. Przeszedł przez jezdnię, upewniwszy się wcześniej, że w pobliżu nikt się nie kręcił.

Próżne obawy. Na ulicy panowała niezwykła cisza. Tylko z domów dobiegał hałas; telewizory nastawiono tak głośno, że podczas kiedy stał na czatach. rozróżniał dziewięć programów, które aktualnie szły; nucił do wtóru przewodnich melodii, śmiał się ze skeczy. Teraz więc, nie zauważony przez nikogo, przemknął pod dom, przeszedł górą przez bramę i ruszył chodnikiem na tylne podwórko. W tym momencie w kuchni zapaliło się światło.

Cofnął się od okna. Ale do kuchni weszła nie pani McGuire, a Jo-Beth; posłusznie przygotowywała kolację dla gościa matki. Patrzył na nią jak urzeczony.

Zajęta tą przyziemną czynnością - w prostej, ciemnej sukience, w blasku wąskiej świetlówki - była wciąż najbardziej niezwykłym zjawiskiem, jakie widział. Kiedy podeszła bliżej okna, by opłukać w zlewie pomidory, Howie wyszedł z ukrycia. Zauważyła jakiś ruch i

podniosła oczy. Przyłożył do ust palec na znak milczenia. Zamachała rękami, by odszedł, na jej twarzy odbiła się panika. Posłuchał w ostatniej chwili, właśnie gdy w drzwiach kuchni ukazała się jej matka. Wywiązała się krótka rozmowa, której Howie nie dosłyszał, po czym pani McGuire wróciła do salonu. Jo-Beth zerknęła za siebie, by sprawdzić, czy matka odeszła, i zrećnie odryglowała drzwi. Jednak nie uchyliła drzwi na tyle, by mógł wejść. Wsunęła tylko twarz w powstałą szczelinę i szepnęła:

- Nie powinienes tu przychodzić.
- Ale przyszedłem, i cieszę się, że tu jestem.
- Ja nie.
- A powinnaś. Chcę ci coś powiedzieć. Coś wspaniałego. Wyjdź na dwór.
- Nie mogę - szepnęła. - Mów ciszej.
- Musimy porozmawiać. To sprawa życia i śmierci. Nie... to coś więcej niż życie czy śmierć.
- Coś ty ze sobą zrobił? Popatrz na swoją rękę.

Jego zabiegi oczyszczenia rany były w najlepszym razie pobieżne i nie mógł wyciągać okruchów kory z żywego ciała bez uczucia odrazy.

- To ma związek z tą sprawą - powiedział. - Jeśli nie chcesz wyjść na dwór, to pozwól mi wejść.
- Nie mogę.
- Proszę cię. Wpuść mnie.

Czy to jego rana, czy słowa sprawiły, że dała się ubłagać? W każdym razie otworzyła drzwi. Chciał wziąć ją w ramiona, ale potrząsnęła głową z taką zgrozą, że cofnął się o krok.

- Idź na górę - nie tyle szepnęła, co poruszyła bezgłośnie wargami.
- Dokąd?

- Drugie drzwi na lewo. - Udzielając tych wskazówek, musiała mówić nieco głośniej. -

Do mojego pokoju. Różowe drzwi. Poczekaj, aż zaniosę im jedzenie.

Tak bardzo chciał ją pocałować. Ale nie przeszkadzał jej w przygotowaniach. Rzuciła mu szybkie spojrzenie i poszła do salonu. Howie usłyszał z ust gościa jakąś formułkę powitalną; uznał, że musi wymknąć się z kuchni właśnie teraz. Był pewien niebezpieczny moment, kiedy zawahał się, nie wiedząc, gdzie są schody, i mógłby być dostrzeżony z salonu. Zaczął wchodzić po schodach wprost nad ich głowami, z nadzieją, że rozmowa zagłuszy dźwięk jego kroków. Zdawało się, że tak właśnie było. Rytm dialogu nie zmienił się. Dotarł do różowych drzwi i bez przeszkód ukrył się w pokoju.

Pokój Jo-Beth! Nigdy by nawet nie marzył, że znajdzie się tutaj, pośród kolorów malwy, że zobaczy miejsce, gdzie spała, ręcznik, którym wycierała się po wyjściu spod prysznic. Jej bieliznę. Kiedy przyszła, poczuł się jak złodziej, któremu przeszkodzono. Udzieliło jej się jego przykre zakłopotanie; zaczerwienień!, unikali nawzajem swoich oczu.

- Trochę nabałaganione - powiedziała cicho.

- Wszystko jest okay - powiedział - przecież się mnie nie spodziewałaś.

- No tak - nie podeszła, żeby go objąć, nawet się nie uśmiechnęła. - Mama wpadłaby w szal, gdyby wiedziała, że tu jesteś. Od początku miała rację, kiedy mówiła, że w Grove są potwory. Jeden z nich wczoraj tu przyszedł, Howie. Chciał zabrać mnie i Tommy-Raya.

- Dżaff?

- Wiesz, kto to jest?

- Podobny stwór przyszedł i po mnie. Nie tyle przyszedł, co mnie wezwał. Nazywa się Fletcher. Podaje się za mojego ojca.

- Wierzysz mu?

- Tak, wierzę.

Oczy Jo-Beth wezbrały łzami.

- Nie płacz - powiedział Howie. - Nie widzisz, co to wszystko znaczy? Nie jesteśmy rodzeństwem. Nie robimy nic złego.

- Właśnie to, że jesteśmy razem, jest powodem tego wszystkiego - wybuchła. - Nie rozumiesz?! Gdybyśmy się nie spotkali...

- Ale spotkaliśmy się.

- Gdybyśmy się nie spotkali, oni nigdy by tu nie przyszli.

- Czy nie lepiej, że znamy prawdę o nich, o sobie? Olewam tę ich wojnę. I nie pozwolę, żeby nas rozdzieliła.

Ujął jej prawą dłoń swoją zdrową lewą ręką. Nie opierała się, pozwoliła, by przyciągnął ją do siebie łagodnie.

- Musimy wyjechać z Palomo Grove - powiedział. - Wyjedziemy razem gdzieś, gdzie nas nie znajdą.

- A mama? Tommy-Ray już przepadł, Howie. Sama to mówiła. Tylko ja jej zostałam.

- Jaki będzie z ciebie pożytek, kiedy dżaff cię dopadnie? - sprzeciwił się Howie. - Jeśli teraz wyjedziemy, nasi ojcowie nie będą mieli o co się bić.

- Tu nie chodzi tylko o nas - przypomniała Jo-Beth.

- No tak, masz rację - przypomniał sobie, czego dowiedział się od Fletchera. - Chodzi o to miejsce, które nazywają Quiddity. - Mocniej ścisnął jej rękę. - Byliśmy tam, ty i ja. No, prawie byliśmy. Chcę dokończyć tę podróż...

- Nie rozumiem.

- Zrozumiesz. Kiedy już wyruszymy w podróż, będziemy wiedzieli, o co w niej naprawdę chodzi. To będzie jak sen na jawie - zdał sobie sprawę, że ani razu nie zaciął się ani zająknął. - Mieliśmy się nienawidzić, wiesz? Tak to sobie zaplanowali Fletcher i dżaff.

Mieliśmy poprowadzić ich wojnę dalej. Ale my tego nie zrobimy.

Po raz pierwszy uśmiechnęła się:

- Nie, nie zrobimy.

- Słowo?

- Słowo.

- Kocham cię, Jo-Beth.

- Howie...

- Za późno. Już to powiedziałem.

Nagle pocałowała go. Było to lekkie, miłe cmoknięcie, w które wpił się ustami, zanim zdążyła go odepchnąć; rozwarł jej zaciśnięte wargi językiem, którym w tamtej chwili otworzyłby nawet sejf, gdyby zamknięto w nim smak jej ust. Tuliła się do niego równie mocno jak on tulił się do niej; ich zęby zetknęły się, a języki bawiły w berka.

Lewą ręką, którą go dotąd obejmowała, odnalazła jego obolałą prawicę i przyciągnęła ją do siebie. Mimo odrętwienia palców i przesadnie skromnego kroju sukienki, wyczuł miękkość jej piersi. Zaczął się biedzić z guzikami na karczku sukni; odpiął ich dostatecznie wiele, by wsunąć pod materiał rękę - żeby jego ciało zetknęło się z jej ciałem. Uśmiechnęła się wprost w jego usta; jej ręka, poprowadziwszy jego dłoń tam, gdzie jej najbardziej pragnęła, zsunęła się na przód jego dzinsów. Wzwód, który zaczął odczuwać, patrząc na jej łóżko, zdążył już przepaść pod wpływem zdenerwowania. Ale jej dotyk i pocałunki, które teraz zlały się w jedno zwarcie ust, podnieciły go na nowo.

- Chcę się rozebrać - powiedział.

Odjęła usta od jego ust.

- Teraz, kiedy oni są na dole?

- Przecież są zajęci.

- Będą tak rozmawiać godzinami.

- Nam też potrzeba wielu godzin - szepnął.

- Czy masz jakieś... zabezpieczenie?

- Nie musimy iść do końca. Chciałbym, żebyśmy przynajmniej zetknęli się blisko, całym ciałem, skóra do skóry.

Cofnęła się jakby nieprzekonana, ale jej czynności przeczyły wyrazowi jej twarzy:

rozpinała sukienkę do końca. Howie zdjął marynarkę i koszulkę, a następnie wziął się do trudnego dzieła - rozpięcia paska, przy czym jedną ręką praktycznie nie mógł się posłużyć.

Jo-Beth zrobiła to za niego.

- Ależ tu duszno - powiedział - Mogę otworzyć okno?

- Mama zamknęła wszystkie okna na głucho. Żeby diabeł nie mógł wejść.

- Ale wszedł - zażartował Howie.

Podniosła na niego oczy. Suknię miała rozpiętą, obnażone piersi.

- Nie mów tak - poprosiła, odruchowo zakrywając się rękami.

- Chyba nie uważasz mnie za diabła - powiedział, a po chwili - ...prawda?

- Nie wiem, czy coś, co wydaje się takie... takie...

- Dokończ.

- ...zakazane... może być dobre dla mojej duszy - powiedziała z całą powagą.

- Sama się o tym przekonasz - powiedział, podchodząc bliżej. - Zobacysz.

- Chyba powinienem porozmawiać z Jo-Beth - powiedział pastor John. Odechciało mu się potakiwać tej paniusi, kiedy zaczęła mówić o tym zwierzu, który zgwałcił ją tak dawno temu, a teraz wrócił i zabrał jej syna.

Przedstawianie abstrakcyjnych pojęć jakby były jego własnym, jedynie słusznym dogmatem to jedno (dzięki temu parafianki lgnęły do niego jak muchy do miodu), ale kiedy rozmowa zaczęła trącić obłędem, pastor zaczął się dyplomatycznie wycofywać. Najwyraźniej pani McGuire była o krok od załamania nerwowego. Potrzebował towarzystwa trzeciej osoby; w przeciwnym wypadku, ona zaczęła wygadywać największe brednie. Już tak kiedyś było.

Nie byłby pierwszym sługą kościoła, który padł ofiarą kobiety w pewnym wieku.

- Nie chcę, żeby Jo-Beth więcej nad tym myślała - odpowiedziała. - Stwór, który spłodził ją w moim ciele...

- Pani McGuire, jej ojcem był mężczyzna.

- Wiem - powiedziała, świadoma tonu wyższości w swoim głosie. - Ale ludzie składają się nie tylko z ciała, ale także ducha.

- Oczywiście.

- Mężczyzna dał jej ciało. A kto obdarzył ją duchem?

- Bóg w niebiosach - odpowiedział, wdzięczny za możliwość powrotu na bezpieczny grunt. - On także obdarzył ją ciałem, za pośrednictwem mężczyzny, którego pani wybrała.

„Bądź więc doskonała jak doskonały jest twój Ojciec Niebieski.”

- To nie był Bóg - sprzeciwiła się Joyce. - Wiem, że to nie On. Dżaff nie ma w sobie nic boskiego. Powinien go pastor zobaczyć, wtedy by pastor wiedział.

- Jeśli on istnieje, to jest istotą ludzką, pani McGuire. I uważam, że o jego odwiedzinach powinienem porozmawiać z Jo-Beth. Jeśli rzeczywiście tu był.

- On tu był! - zawołała z rosnącym zdenerwowaniem.

Wstał i oderwał palce wariatki od rękawa swojego surduta.

- Jestem pewien, że Jo-Beth poczyniła różne cenne spostrzeżenia powiedział, cofając się o krok. - Może by ją pani zawołała?

- Pastor mi nie wierzy - powiedziała Joyce. Niewiele brakowało, by zaczęła krzyczeć. I płakać.

- Ależ wierzę... Ale doprawdy... chciałbym przez chwilę porozmawiać z Jo-Beth. Czy jest na górze? Zdaje się, że tak. Jo-Beth! Jesteś tam? Jo-Beth?

- Czego on chce? - zapytała, odrywając wargi od jego warg.

- Nie zwracaj na niego uwagi.

- A jeśli tu po mnie przyjdzie?

Usiadła, spuściła stopy na podłogę i nasłuchiwała kroków pastora na schodach. Howie przytulił twarz do jej pleców i, sięgając pod jej ramieniem - po drodze wstrzymując strumyczek potu - delikatnie dotknął jej piersi. Cichutko, prawie boleśnie, westchnęła.

- Nie powinniśmy - powiedziała półgłosem.

- On by tu nie wszedł.

- Słyszę go.

- Nie.

- Właśnie, że słyszę - syknęła.

Z dołu ponownie dobiegło wołanie:

- Jo-Beth! Chciałbym cię prosić na słówko. Twoja matka również.

- Muszę się ubrać - odparła, sięgając po ubranie. Howie przyglądał jej się; przez głowę przemknęła mu przyjemnie perwersyjna myśl - cieszyłby się, gdyby w pośpiechu włożyła jego bieliznę, a on jej. Gdyby dotknął członkiem miejsca, które uświęciła jej szparka, nasyciła swym zapachem, zwilżyła - wtedy Howie pozostałby taki twardy jak teraz aż do sądnego dnia.

Czy Jo-Beth nie wyglądałaby seksownie, gdyby jej szparka kryła się tuż za rozcięciem jego slipów? Następnym razem, obiecał sobie. Skończyło się wahanie i niepewność. Jo-Beth

wpuściła do swojego łóżka - desperata.

Chociaż tylko przyłgnęli do siebie, nic więcej, to zaproszenie zmieniło między nimi wszystko. Chociaż denerwował się widząc, że Jo-Beth ubiera się ledwie zrzuciła z siebie ubranie, nigdy już nie zapomni, że razem byli nadzy.

Podniósł dzinsy i koszulkę i zaczął je na siebie wciągać, patrząc jak ona patrzy, gdy on ubiera maszynę.

Złapał się na tej myśli i zmienił ją. Kości i mięśnie, w których przebywał, nie były żadną maszyną. To było ciało, delikatne ciało. Czuł ból w ręce; ból wzrodu; ból w sercu - a przynajmniej jakiś ciężar w piersiach, który był zupełnie jak ból serca. Jak na maszynę był zbyt wrażliwy; i zbyt kochany.

Przerwała na chwilę krzątanie i szybko spojrzała w stronę okna.

- Słyszałeś?

- Nie, a co?

- Ktoś woła.

- Pastor?

Potrząsnęła przecząco głową; zrozumiała, że głos, który słyszała przed chwilą (wciąż go słyszała), nie dochodził z dworu, ale z pokoju: brzmiał w jej własnej głowie.

- To dżaff - powiedziała.

Z gardłem wysuszonym na wiór po uroczystych przemowach, pastor John podszedł do zlewu, wziął jakiś kubek, spuścił wodę z kranu aż była lodowato zimna i napił się. Czas zakończyć wizytę, chociaż ostatecznie nie widział się z córką. Na tydzień wystarczy mu rozmów o ciemnościach panujących w duszy ludzkiej. Wylewając z kubka resztki wody, spojrział w górę i zobaczył w szkle swoje odbicie. Gdy patrzył dalej, taksujące i z aprobatą, zauważył, że coś poruszyło się na dworze w ciemności. Odstawił kubek do zlewu. Kubek

potoczył się na krawędzi blatu tam i z powrotem.

- Pastor?

Za nim stała Joyce McGuire.

- Wszystko w porządku - powiedział, niepewny, które z nich dwojga chciał uspokoić.

Bzdurne wymysły tej kobiety odbiły się i na nim. Znów spojrział w okno.

- Zdawało mi się, że widziałem coś na podwórku - powiedział - ale tam nic nie ma...

Nadchodzi! Nadchodzi! Pod dom podchodził jakiś blady, niewyraźny kształt.

- Nie, nie jest - powiedział.

- Co nie jest, co pan mówi?

- Nic nie jest w porządku - powiedział pastor, odstępując od zlewu. Wcale nie jest w porządku.

- Wrócił - stwierdziła Joyce.

Ostatnim słowem, które pragnął wymówić na tym świecie było „Tak”, więc

zachowywał spokój; po prostu cofał się od okna o stopę, o dwie stopy, potrząsając przecząco głową. Widziadło dostrzegło jego wyzwanie. On widział, że ono widzi. Pragnąc wydrzeć mu całą nadzieję, wystąpiło nagle z mroku i ujawniło się w całej postaci.

- Panie Boży wszechmogący - jęknął. - Co to jest?

Słyszał, że stojąca za nim pani McGuire zaczyna się modlić. Nie była to gotowa modlitwa (kto ułożyłby modlitwę w oczekiwaniu na coś takiego?), ale potok błagań.

- Chryste, wspomóż nas! Panie, ratuj nas! Zachowaj nas od szatana!

Zachowaj nas od złych mocy!

- Posłuchaj - powiedziała Jo-Beth. - To mama.

- Słyszę.

- Coś się stało.

Kiedy szła przez pokój, Howie zabiegł jej drogę i oparł się plecami o drzwi.

- Ona się po prostu modli.

- Nigdy się tak nie modliła.

- Pocałuj mnie.

- Howie??

- Jeśli się modli, to znaczy, że jest zajęta. Jeśli jest zajęta, to może poczekać. Ja nie mogę. Ona ma te swoje modlitwy, ja nie. Mam tylko ciebie, Jo-Beth. - Oszłomiła go ta potoczysta wymowa. - Pocałuj mnie. Jo-Beth.

Kiedy przechyliła głowę, by go pocałować, na dole stłukła się jakaś szyba, a gość matki wydał tak przeraźliwy krzyk, że Jo-Beth odepchnęła Howie'ego i otworzyła drzwi.

- Mamo! - krzyknęła. - Mamo!

Człowiekowi zdarza się mylić. Rodzi się, by nigdy nie poznać prawdy - to rzecz nieunikniona. Ale umierać dla niewiedzy i to w sposób tak brutalny - to chyba niezbyt sprawiedliwe. Unosząc zakrwawioną twarz i kilka innych skaleczeń, pastor John czołgał się przez kuchnię jak najdalej od rozbitego okna - i tego, co je rozbiło - na ile mu pozwalały roztrzęsione kończyny. Jak to możliwe, że znalazł się w tak rozpaczliwym położeniu. Jego życie nie było bez zarzutu, ale nie popełnił zbyt poważnych grzechów i oddawał Bogu co Boskie. Odwiedzał strapione sieroty i wdowy, jak nakazywała Ewangelia; chronił się przed brudem tego świata najlepiej jak umiał. A jednak dopadły go demony. Słyszał je, chociaż nie otwierał oczu.

Tupały miriadami nóg, przełaząc przez zlew i stojące obok stosy naczyń.

Słyszał, jak ich mokre ciała spadały z pluskiem na kafelki, kiedy ich fala przelała się przez skraj zlewu, jak sunęły przez kuchnię, popędzane przez jakąś postać, która mu przez chwilę mignęła za oknem (to dżaff! Dżaff!); postać była cała nimi oblepiona od stóp do głów,

jak pszczelarz, nadmiernie wielbiący swój rój.

Pani McGuire przestała się modlić. Może umarła; ich pierwsza ofiara. Może na tym poprzestaną, a jego zostawią w spokoju. Dla takiej modlitwy warto było wyszukać odpowiednie słowa. „Błagam Cię, Panie - mrucał, usiłując jak najbardziej skurczyć się w sobie - spraw, by oślepli na mnie, by ogłuchli na mnie; Ty jeden usłysz moje błagania, nie odwracaj ode mnie swoich wybaczących oczu. Na wieki wieków...”

Jego prośby przerwało gwałtowne łomotanie w tylne drzwi i górujący nad tym hukem głos Tommy-Raya, syna marnotrawnego.

- Mamo? Słyszysz mnie, mamo? Wpuść mnie, dobrze? Wpuść mnie, a przysięgam, że nie pozwolę, by ich weszło jeszcze więcej! Przysięgam, że je powstrzymam. Tylko mnie wpuść!

Pastor John słyszał, jak pani McGuire odpowiedziała szlochem, który bez ostrzeżenia przeszedł w wycie. Jeszcze żyła i wpadła w furję.

- Jak śmiesz - krzyknęła przeraźliwym głosem - Jak śmiesz!

Na ten wrzask pastor otworzył oczy. Skończył się napływ demonów przez okno. To znaczy, przestały sunąć przed siebie, ale ruch nie ustawał w tym bladym potoku. Czułki obracały się na wszystkie strony, odnóża przygotowywały się do nowych poleceń, błyszczały oczy na słupkach. W niczym nie przypominały istot, które znał; a jednak znał je. Nie ważył zapytać samego siebie - skąd.

- Otwórz, mamo - powtórzył Tommy-Ray. - Muszę się zobaczyć z Jo-Beth.

- Zostaw nas w spokoju.

- Zobaczę się z nią, a ty mi w tym nie przeszkodzisz! - szalał Tommy-Ray. W ślad za tym stwierdzeniem zabrzmiał trzask pękającego drewna - kopał w drzwi. Obydwie zasuwki i zamek wyskoczyły z futryny. Nastąpiła chwila ciszy. Potem delikatnie pchnął drzwi. W

oczach jarzył mu się ohydny blask; pastor John widywał taki blask w oczach konających.

Jakieś wewnętrzne światło przepowiadało im śmierć. Aż do tej chwili pastor uważał je za oznakę bliskiej szczęśliwości. Już więcej nie popełni takiej pomyłki.

Tommy-Ray rzucił szybkie spojrzenie na matkę, która zasłaniała sobą drzwi kuchenne, a potem na jej gościa.

- Mamy gości, mamuśka?

Pastor John potrząsnął głową.

- Pan ma na nią wpływ - zwrócił się do niego Tommy-Ray. - Niech jej pan powie, żeby mi oddała Jo-Beth, dobrze? To nam wszystkim ułatwi sprawę.

Pastor John obrócił się do Joyce McGuire.

- Niech pani tak zrobi - powiedział bez ogródek - bo inaczej wszyscy zginiemy.

- Słyszysz, mamuśka? Tak radzi sługa boży. On wie, kiedy przegrywa. Każ jej zejść na dół, mamó, bo się zdenerwuję, a wtedy zdenerwują się przyjaciele ojca. No już, wołaj ją!

- Nie ma takiej potrzeby.

Słyszając głos siostry. Tommy-Ray wyszczerzył zęby w uśmiechu; połączenie roziskrzonych oczu i zachwycającego uśmiechu przeniknęło patrzących lodowatych chłodem.

- Jesteś - powiedział.

Jo-Beth stała w drzwiach, za matką.

- Jesteś gotowa? - zapytał grzecznie; można by sądzić, że to jakiś chłopiec zaprasza dziewczynę na pierwszą randkę.

- Musisz obiecać, że zostawisz mamę w spokoju.

- Dobrze - powiedział Tommy-Ray tonem człowieka niewinnie oskarżonego. - Nie chcę zrobić mamuśce nic złego, przecież wiesz.

- Jeśli zostawicie ją w spokoju... pójdę z wami.

Howie - w połowie schodów - usłyszał umowę, którą zawarła Jo-Beth i bezgłośnie powiedział: nie. Nie mógł widzieć przerażających stworów, które przyprowadził Tommy-Ray, ale słyszał je: wydawały dźwięki, jakie słyszał w koszmarnych snach - dyszały, flegmiście mlaskały. Nie pozwolił, by jego wyobraźnia podłożyła pod te dźwięki obrazy; sam się przekona, jak jest naprawdę, aż nazbyt szybko. Zszedł jeszcze jeden krok niżej, obmyślając, jak mógłby przeszkodzić Tommy-Rayowi w uprowadzeniu siostry. Tak był tym pochłonięty, że nie próbował interpretować dźwięków dochodzących z kuchni. Ale zanim zszedł na najniższy stopień, miał już gotowy plan. Plan był dosyć prosty. Wywołał jak największe zamieszanie w nadziei, że Jo-Beth i jej matka skorzystają z tego i uciekną w bezpieczne miejsce. Jeśli w rozgardiaszu, który rozpęta, uda mu się przyłożyć Tommy-Rayowi, to tym lepiej.

Podjąwszy ten zamiar, zaczerpnął głęboki oddech i wyszedł z za węgła.

Jo-Beth znikła. Znikł też Tommy-Ray oraz straszydła, które przyprowadził. Za otwartymi drzwiami stała noc; przed drzwiami, z twarzą na progu, z wyciągniętymi ramionami leżała skulona matka, jakby w ostatnim świadomym wysiłku chciała zatrzymać odchodzące dzieci. Idąc do niej, Howie czuł, jak posadzka kleiła się do jego bosych stóp.

- Umarła? - zapytał czyjś blaszany głos.

Howie odwrócił się. Pastor John wbił się między ścianę a lodówkę tak głęboko, jak mu na to pozwalał spasiony zad.

- Nie, nie umarła - Howie delikatnie obrócił panią McGuire twarzą ku górze - w czym ma pan znaczne zasługi.

- Co mogłem zrobić?

- Pan powinien wiedzieć, nie ja. Myślałem, że zna pan swój zawód.

Howie ruszył w stronę drzwi.

- Nie idź za nimi, chłopcze - zawołał pastor. - Zostań tu ze mną.

- Zabrali Jo-Beth.

- Z tego, co wiem, ona i tak w połowie należy już do nich. Ona i Tommy-Ray to dzieci diabła, szatańskie nasienie.

„Myślisz, że jestem diabłem?” - zapytał ją Howie jeszcze pół godziny temu. Teraz ona jest skazana na piekło; i przez kogo? Przez własnego pastora. Czy to znaczy, że oboje są napiętnowani? A może to nie była sprawa grzechu i niewinności, ciemności i światła? Może w jakimś sensie stali między skrajnościami, w miejscu zarezerwowanym dla kochanków? Te myśli przemknęły mu przez głowę jak błyskawica - to wystarczyło; przekroczył próg i poszedł w noc - zmierzy się z każdym, ktokolwiek tam jest.

- Zabij ich wszystkich - usłyszał za sobą krzyk tego bogobojnego człowieka. - Nie ma wśród nich ani jednej czystej duszy. Zabij ich wszystkich!

Te słowa rozwścieczyły Howie'ego, ale nie przyszła mu do głowy żadna cięta riposta.

Krzyknął tylko za siebie: - Odwal się pan! - i ruszył na poszukiwania Jo-Beth.

Z kuchni padało dość światła, by mógł się rozeznać w topografii podwórka. Zobaczył okalające je drzewa i zaniedbany trawnik, ciągnący się aż do drzew. Jak w domu, tak i na dworze nie było brata, siostry ani potęgi, która się na nich zawzięła. Ponieważ nie miał szansy, by zaskoczyć wroga znienacka, po tym jak z głośnym przekleństwem na ustach opuścił jasno oświetlone wnętrze, szedł przed siebie, wołając Jo-Beth na ile starczyło mu głosu, w nadziei, że ona będzie w stanie mu odpowiedzieć. Żadnego odzewu.

Rozszczękały się tylko psy, obudzone przez jego krzyki. No jazda, czekajcie, myślał.

Niech wasi właściciele ruszą się z foteli. Nie czas oglądać teraz teleturnieje. Tu na dworze, w nocy, rozgrywał się inny spektakl. Na ulice miasta wyległy tajemnice; otwierała się ziemia,

wydając na świat cuda i dziwy. Na ulicach Palomo Grove rozgrywało się Wielkie Tajemne Widowisko.

Ten sam wiatr, który niósł szczekanie psów, poruszał drzewami. Ten szum odwrócił uwagę Howie'ego od odgłosów wojska. Dopiero kiedy oddalił się od domu na pewną odległość, usłyszał za sobą chór pomrukiwań i mlaskań. Odwrócił się za siebie. Cały mur wokół drzwi, przez które dopiero co wyszedł, był pokryty zbitą masą żywych stworzeń. Podobnie dach, który spadał ukosem z pierwszego piętra na parterową kuchnię; poruszały się tam jakieś większe stwory, szurały stopami po dachówkach, pomrukiwały gardłowo. Były zbyt wysoko, by dosięgło je światło padające z domu; widać tylko było ich sylwetki na niebie bez gwiazd. Nie było wśród nich ani Jo-Beth, ani Tommy-Raya. Żadne z tej gromady nie przypominało ludzkich postaci nawet z grubsza.

Howie już miał się odwrócić od tego widoku, kiedy usłyszał za sobą głos Tommy-Raya.

- Założę się, że nigdy nie widziałeś czegoś podobnego. Katz.

- Sam chyba wiesz najlepiej - odparł Howie tonem równie łagodnym jak czubek noża, który właśnie kłuł go w krzyże.

- Odwróć się, ale pomalutku - rozkazał Tommy-Ray. - Dżaff prosi cię na słówko.

- Raczej na kilka słówek - odezwał się inny głos.

Był cichy, niewiele głośniejszy od wiatru szumiącego w drzewach, ale każda jego sylaba, doskonale modulowana, brzmiała jak muzyka.

- Mój syn, którego masz za sobą, uważa, że powinniśmy cię zabić, Katz. Mówi, że zalatuje od ciebie jego siostrą. Bogiem a prawdą to nie wiem, czy bracia powinni wiedzieć, jak pachną ich siostry, ale być może jestem człowiekiem starej daty. Zbyt daleko zaszliśmy w to tysiąclecie, by się przejmować kazirodztwem. Zapewne ty wyrobiłeś sobie własny pogląd na tę sprawę.

Howie odwrócił się; zobaczył dżaffa, stojącego kilka kroków za Tommy-Rayem. Po wszystkim, co usłyszał o nim od Fletchera, spodziewał się zobaczyć jakiegoś wielkiego wojownika. Jednak wróg jego ojca niczym szczególnym się nie wyróżniał. Wyglądał na nieco zaniedbanego patrycjusza.

Nadmiernie wybujała broda zakrywała jego mocne, zdecydowane rysy; sposób, w jaki stał, wskazywał na ogromne, ledwie skrywane zmęczenie. Do jego piersi przywarła jakaś terata; ta żyłasta, odarta ze skóry istota sprawiała o wiele bardziej przygnębiające wrażenie niż sam dżaff.

- Co mówiłeś, Katz?

- Niczego nie mówiłem.

- Chodzi mi o twoje zdanie na temat namiętności Tommy-Raya do siostry - zwyrodniałej miłości braterskiej. Czy może uważasz, że my wszyscy jesteśmy zwyrodniałcami? Ty. Ja. Oni. Sądzę, że w Salem wszyscy poszliby na stos. W każdym razie... on koniecznie chce ci spłatać jakiegoś figła. Ciągle mówi o kastracji.

Teraz Tommy-Ray przesunął nóż kilka cali niżej - z brzucha Howie'ego w pachwinę.

- Powiedz mu, jak chciałbyś go porznać.

Tommy-Ray uśmiechnął się szeroko:

- Po prostu pozwól mi to zrobić.

- Widzisz? Muszę użyć całej mojej władzy rodzicielskiej, by utrzymać go w ryzach.

Teraz posłuchaj, co zrobię, Katz. Dam ci fory. Uwolnię cię, żeby się przekonać, czy ogiery ze stajni Fletchera dorównują moim. Nie znasz swojego ojca z czasów przednuncjańskich.

Byłoby dla ciebie lepiej, gdyby był dobrym biegaczem, co?

Uśmiech Tommy-Raya przeszedł w śmiech; czubek noża celował teraz w fałdę na dżinsach Howie'ego.

- A teraz, żeby cię trochę rozerwać...

Tommy-Ray złapał Howie'ego i obrócił nim gwałtownie; wyciągnął jeńcowi koszulkę ze spodni i rozciął ją od góry do dołu obnażając plecy. Przez chwilę nic się nie działo, tylko nocne powietrze chłodziło jego spoconą skórę.

Potem coś dotknęło jego pleców. Tommy-Ray przesuwiał po jego plecach rozcapierzonymi, poślinionymi palcami, idąc po żebrach od dołu do góry.

Howie wstrząsnął się i wygiął plecy w łuk, by nie czuć dotyku tych palców.

Wtedy dotyk zwielokrotnił się - to nie mogły być tylko palce; kilkanaście z każdej strony kręgosłupa, wbijały mu się w mięśnie tak mocno, że przecięły skórę.

Kiedy Howie spojrział przez ramię, zobaczył jakąś białą, wieloczłonową kończynę grubości ołówka, porośniętą ostrą szczeciną - wbijała się ostrym końcem w jego ciało.

Krzyknął i wyrwał się Tommy-Rayowi; jego wstręt przeważał obawę przed nożem. Dżaff przyglądał mu się; ramiona miał puste.

Stworzenie, które przedtem trzymał na rękach, pełzło teraz po plecach Howie'ego. Czuł na kręgosłupie dotyk jego zimnego brzucha; otworami gębowymi przyssało się do karku Howie'ego.

- Zabierz to ze mnie! - krzyknął do dżaffa. - Zabierz to do cholery!

Tommy-Ray oklaskiwał Howie'ego, który kręcił się w kółko jak pies z pchłą na ogonie.

- Ruszaj, stary, biegnij! - pokrzykiwał.

- Na twoim miejscu nie robiłbym tego - powiedział dżaff.

Howie miał już odpowiedź, zanim zaczął się zastanawiać, o co dżaffowi chodziło. Gad mocno wgrzył mu się w kark. Howie wrzasnął i padł na kolana. Na okrzyk bólu, z dachu i muru kuchennego odpowiedział chór cmokań i pomruków. Udręczony Howie zwrócił się w stronę dżaffa.

Patrycjuszowi opadła z twarzy maska; za nią ukazało się coś niby płód, ogromny i

łśniący. Ten widok mignął mu tylko przez chwilę; głośny płacz Jo-Beth kazał mu spojrzeć w stronę drzew, gdzie Tommy-Ray trzymał ją w mocnym uścisku, i ten widok (jej oczy we łzach, otwarte usta) mignął mu przeraźliwie szybko. Ból w karku był tak silny, że Howie zamknął oczy, a kiedy je znów otworzył, Jo-Beth, Tommy i ich nienarodzony ojciec już odeszli.

Wstał z ziemi. Wojsko dżaffa zafalowało. Gady, które obsiadły niższe partie muru zaczęły spadać na ziemię, a w ślad za nimi - stworzenia siedzące wyżej, w takim tempie, że wkrótce bataliony sunęły przez trawnik trzema lub czterema warstwami. Kilka oderwało się ze zwartej czołówki i ruszyło w stronę Howie'ego, każde na swój własny sposób. Większe stwory zeskakiwały z dachu i dołączały do pościgu. Niewielka przewaga, którą podarował mu dżaff, topniała z każdą chwilą. Howie na łeb na szyję wypadł na ulicę.

Fletcher aż nazbyt wyraźnie odczuwał przerażenie i wstręt chłopca, ale starał się o tym nie myśleć. Howie odmówił ojcowskiej prośbie - nie chciał szukać przekłętogo potomstwa dżaffa; z pewnością zwiodły go pozory. Jeśli teraz cierpiał skutki swojej samowoli, to był to jego ciężar - niech sam go dźwiga. Jeśli przeżyje, być może nabierze rozumu. Jeżeli nie, wtedy jego życie, którego cel zaprzepaścił w chwili, gdy odwrócił się od swojego twórcy, zakończy się równie nędznie jak życie Fletchera. I będzie w tym jakaś sprawiedliwość.

To były bezlitosne myśli, ale Fletcher starał się nie tracić ich z pola uwagi, przyzywając wizerunek syna za każdym razem, gdy czuł ból chłopca.

A jednak to nie wystarczyło. Chociaż usilnie odpędzał od siebie lęki Howie'ego, domagały się jego uwagi, aż w końcu nie miał wyboru - musiał je do siebie dopuścić. W pewnym sensie dopełniły one tę noc rozpacz - musiał je przyjąć w siebie. On i jego dziecko spleli się we wzór upadku i klęski.

Zawołał do chłopca:

„Howardhowardhowardhow...”

To był ten sam zew, który wydał po uwolnieniu z głębi skał.

„Howardhowardhowardhow...”

Wysyłał to wezwanie w rytmicznych odstępach, jak latarnia morska stojąca na wysokim urwisku. Ufając, że syn ma dostatecznie wiele sił, by go usłyszeć, skupił uwagę na ostatecznej rozgrywce. Teraz, kiedy dzaff był bliski zwycięstwa, Fletcherowi pozostał ostatni, rozstrzygający gambit - posunięcie, którego wolał do tej pory unikać, wiedząc, jak silne jest w nim pragnienie przeobrażenia się. Przez tyle lat cierpiał udrękę, pozostając na tym samym poziomie bytu pod wpływem przymusu moralnego, chociaż nie było godziny, w której nie myślał o ucieczce. Tak pragnął się uwolnić od tego świata i jego nonsensów, wyprząc się z kępującej go anatomii i wznieść się do stanu muzyki. - Jak Schiller mówił o sztuce jako takiej. Może przyszedł właśnie czas, by posłuchać tego instynktu i w swych ostatnich chwilach życia jako Fletcher uszczknąć nieco zwycięstwa klęsce, która była prawie pewna? Jeśli tak, to musi dobrze przemyśleć sposób odejścia, jak również dobrze wybrać teren działania. Mieszkańcy Palomo Grove nie będą mogli obejrzeć powtórki przedstawienia. Jeśli on, szaman, którego odrzucili, umrze, nie zwróciwszy niczyjej uwagi, zginie coś więcej niż kilkaset osób.

Do tej pory starał się nie myśleć zbyt wiele o następstwach spodziewanego tryumfu dzaffa, wiedząc, że mógłby się załamać pod ciężarem odpowiedzialności. Ale teraz, gdy zbliżała się ostateczna konfrontacja, zmusił się, by spojrzeć prawdzie w oczy. Gdyby dzaff przechwycił Sztukę i przy jej pomocy zdobył wolny wstęp do Quiddity - co by to oznaczało? Po pierwsze, istota nie oczyszczona przez trudy samowyrzeczeń, posiadałaby władzę nad miejscem, które jest zamknięte przed wszystkimi, oprócz oczyszczonych i doskonałych.

Fletcher nie rozumiał do końca, czym jest Quiddity (być może nie pojąłby tego żaden człowiek), ale był pewien, że dżaff, który posłużył się nuncjo, by nieuczciwym sposobem pokonać swoje ograniczenia, zaprowadzi tam zamęt i zniszczenie. Ludzie odwiedzali morze snów i wyspę (czy może wyspy; słyszał kiedyś, że dżaff wspominał o archipelagach) w trzech punktach zwrotnych swojego życia: niewinności, śmierci i miłości. Przez krótkie chwile stapiali się na brzegach Efemerydy w jedno z absolutem; widzieli rzeczy i słyszeli opowieści, które strzegły ich od obłądzenia, kiedy stawali z życiem twarzą w twarz. Tam, na krótko, odnajdywali sens i cel; przeblysłk wieczności; tam rozgrywało się Widowisko, Wielkie i Tajemne Widowisko, dla którego tworzone wiersze i obrządki, by były jego pamiątką. Gdyby ta wyspa stała się miejscem zabaw dżaffa, straty byłyby niepowetowane. Tajemnica zmieniłaby się w banał; rzeczy święte odarto by ze świętości, a ród ludzki, który zachowywał zdrowe zmysły dzięki swym sennym wyprawom na te wyspy, znikąd nie otrzyma już pomocy.

Fletcher drażył także inny niepokój, który trudniej było mu objąć umysłem, gdyż był mniej jasny. Wiązał się z historią, którą dżaff opowiedział mu podczas swojej pierwszej wizyty w Waszyngtonie, kiedy to obiecał Fletcherowi sfinansowanie badań, które miały rozwikłać zagadkę nuncjo. Opowiadał o pewnym człowieku, zwanym Kisoona - szamanie, który znał Sztukę i jej potęgę; dżaffowi udało się go odnaleźć w miejscu, które - jak twierdził - było pętlą czasu. Fletcher słuchał opowieści, ale właściwie jej nie wierzył, jednak późniejsze wydarzenia rozrosły się do tak fantastycznych rozmiarów, że Pętla Kisoona wydawała się przy nich zwykłym głupstwem. Fletcher nie mógł dojść, jaką rolę w tym wielkim przedsięwzięciu odgrywał ów szaman - dlaczego próbował nakłonić dżaffa, by go zamordował, ale instynkt mówił mu, że sprawa nie była jeszcze zakończona. Kisoona był ostatnim ze Szkoły, który pozostał przy życiu; należał do istot ludzkich wyższego rzędu, które

strzegły Sztukę przed osobnikami w rodzaju dżaffa, od czasu gdy homo sapiens zaczął marzyć. Dlaczego więc dopuścił do Pętli człowieka pokroju dżaffa, który z daleka cuchnął niezdrową ambicją? Właściwie dlaczego się tam ukrywał? I co się stało z innymi członkami Szkoły?

Za późno, by szukać odpowiedzi na te pytania; ale chciał je zaszcześcić także w umysłach innych ludzi. Po raz ostatni spróbuje przerzucić pomost między sobą a synem. Gdyby Howard odrzucił jego idee, wtedy wszystko pójdzie na marne, kiedy on - Fletcher - odejdzie.

Wracał w ten sposób do punktu wyjścia - posępnego dzieła ustalania metody i miejsca. Musi być w tym coś z teatru: widowiskowy ostatni akt, który odciągnie mieszkańców Palomo Grove sprzed telewizorów i wybiegną zdumieni na ulice miasta. Rozważywszy kilka możliwości, wybrał jedną z nich i, wciąż przywołując syna, ruszył na miejsce swego ostatecznego uwolnienia.

Uciekając przed armią dżaffa, Howie słyszał wołanie Fletchera, ale zalewające go fale paniki nie pozwalały mu zlokalizować jego źródła. Pędził na oślep przed siebie, a terata sunęły tuż za nim. Dopiero kiedy się zorientował, że odbiegł dostatecznie daleko, by zaczerpnąć oddechu, odebrał rozkojarzonymi zmysłami swoje imię na tyle wyraźnie, że zmienił kierunek biegu i pobiegł tam, skąd pochodził zew. Mknął z szybkością, o jaką nigdy by siebie nie podejrzewał. I chociaż oddech rzeził mu w płucach, wytchnął z siebie kilka słów odpowiedzi:

- Słyszę cię - powiedział wciąż biegnąc. - Słyszę cię... ojczy.

XI

Tesla mówiła prawdę - kiepska z niej była pielęgniarka, ale świetnie umiała postawić na swoim. Kiedy tylko Grillo się obudził i znalazł ją znów w swoim pokoju, powiedziała mu

prosto z mostu, że chorowanie w cudzym łóżku jest aktem męczeństwa, z którym mu było bardzo do twarzy. Jeśli nie chciał słuchać banałów, powinien się zgodzić, by odwiozła go do Los Angeles i umieściła jego złożone niemocą ciało w jego własnej pościeli, której nieświeży zapach ukoi mu stargane nerwy.

- Nie chcę jechać - opierał się.

- A co ci z tego przyjdzie, jeśli tu zostaniesz, oprócz tego, że Abernethy będzie płakał i płacił?

- To już coś.

- Nie bądź małoduszny. Grille.

- Jestem chory. Mam prawo być małoduszny. Poza tym, tutaj rozgrywa się cała historia.

- Pisanie lepiej ci pójdzie w domu; tutaj tylko leżysz w kałuży potu i rozczulasz się nad sobą.

- Może masz rację.

- Oho! Czyżby wielki człowiek zaczynał mięknać?

- Pojadę za dwadzieścia cztery godziny. Pozbieram się trochę do kupy.

- Wiesz, wyglądasz jakbyś miał trzynaście lat - powiedziała Tesla łagodniejszym tonem.

Nigdy cię takim nie widziałam. To nawet trochę seksowne. Podobasz mi się, kiedy jesteś taki słaby i bezbronny.

- Teraz mi to mówisz?

- Przeszło, minęło. Wiesz, był czas, że oddałabym za ciebie swoją prawą rękę...

- A teraz?

- Teraz mogę najwyżej odwieźć cię do domu.

Grove mogłoby posłużyć jako plan do filmu, opowiadającego o przejściu jakiejś strasznej katastrofy - myślała Tesla, wioząc Grillo w stronę autostrady; ulice były zupełnie wyludnione. Chociaż Grillo tyle jej opowiadał o tym, co widział lub podejrzewał, Tesla wyjeżdżała, nie zobaczywszy niczego.

No i proszę - czterdzieści metrów przed samochodem, jakiś młody mężczyzna wypadł, potykając się, zza rogu i popędził przez jezdnię. Gdy był już po drugiej stronie, nogi odmówiły mu posłuszeństwa i upadł na chodnik.

Zdaje się, że nie potrafił wstać. Odległość była zbyt duża, a światło zbyt słabe, by mogła dokładnie ocenić jego stan, ale był najwyraźniej ranny. Ciało miał w jakiś sposób zniekształcone - przez garb czy opuchlinę. Podjechała bliżej.

Siedzący obok niej Grillo, któremu zaleciła drzemkę aż do Los Angeles. otworzył oczy.

- Jesteśmy na miejscu?

- Ten facet... - kiwnęła w stronę garbusa. - Zobacz, jest chyba jeszcze bardziej chory niż ty.

Zobaczyła kątem oka, że Grillo wyprostował się nagle i wpatrzył w przednią szybę.

- On ma coś na plecach - mruknął.

- Nie widzę.

Zatrzymała samochód w pobliżu chłopca, który wciąż usiłował się podnieść i wciąż mu się to nie udawało. Grillo miał rację. Chłopak rzeczywiście miał coś na plecach.

- Ma plecak - powiedziała.

- Ależ skąd - powiedział Grillo, sięgając do klamki. - To jest coś żywego.

- Nie wychodź - zwróciła się do Grillo.

- Wyglupiasz się?

Kiedy otwierał drzwiczki - ta czynność kosztowała go tyle wysiłku, że zakręciło mu się

w głowie - widział, że Tesla szuka czegoś w schowku na rękawiczki.

- Zgubiłaś coś?

- Kiedy zabili Yvonne - sięgnęła, z obrzydzeniem grzebiąc w tym chłampie -
przysięgam sobie, że nigdy więcej nie wyjdę z domu nieuzbrojona.

- Co mówisz?

Wyciągnęła ze skrytki pistolet:

- I nigdy nie wyszłam.

- Umiesz się tym posługiwać?

- Wolalabym nie, ale umiem - wysiadła z samochodu.

Grillo też zaczął się zbierać. W tym momencie samochód potoczył się do tyłu po lekko opadającej stromiźnie ulicy. Przechylił się, żeby zaciągnąć ręczny hamulec ruchem tak gwałtownym, że zakręciło mu się w głowie. Kiedy wreszcie wydostał się jakoś na zewnątrz, nogi uginały się pod nim i sam nie wiedział, gdzie się znajduje. Gdy Grillo trzymał się kurczowo drzwiczek, czekając aż mu przejdzie oszołomienie, kilka jardów dalej Tesla podchodziła właśnie do chłopca. Wciąż usiłował się podnieść. Mówiła mu, żeby się trzymał, że pomoc już nadchodzi, ale w odpowiedzi tylko patrzył na nią przerażony. Miał powód.

Grillo miał rację. To co uznała za plecak, było naprawdę żywe.

Był to jakiś gatunek (czy też kilka gatunków) zwierzęcia. Całe lśniło, pasąc się na ciele chłopca.

- Co to za świństwo? - zapytała.

Tym razem odpowiedział jej - wyjęczał ostrzeżenie:

- Niech... niech pani ucieka... - usłyszała - ...oni mnie ścigają.

Szybko spojrzała na Grillo - stał wczepiony w drzwiczki samochodu, zęby mu szczykały. Stamtąd nie mogła spodziewać się pomocy, a położenie chłopca chyba wciąż się

pogarszało. Przy każdym drgnięciu odnoży pasożyta - było ich wiele; wiele stawów, wiele oczu - twarz chłopca ściągała się z bólu.

- ...niech pani ucieka - wycharczał - ...na litość boską... oni nadchodzą.

Obejrzała się chwiejnie za siebie. Spojrzała tam, gdzie patrzył umęczonymi oczyma - w głąb ulicy, którą przebiegł. Dojrzała tam jego prześladowców. Teraz pożałowała, że nie posłuchała jego rady, że spojrzała mu w twarz.

Nie mogła już odegrać roli faryzeusza. Jego nieszczęście było teraz jej nieszczęściem.

Nie mogła go tak zostawić. Jej oczy wyszkolone w postrzeganiu rzeczywistości próbowały odrzucić dowody, które nadchodziły ulicą, ale nie mogła. Nie było sensu przeczyć tej makabrze. Istniała w całej swej niedorzeczności i czołgała się w ich stronę białawą pomrukującą falą.

- Grillo! - krzyknęła. - Wracaj do samochodu!

Błada armia usłyszała jej słowa i przyspieszyła pochód.

- Do samochodu, Grillo! Wsiadaj, do Jasnej cholery!

Widziała, jak omackiem szuka klamki - nieprzytomny, rozkojarzony.

Kilka pomniejszych stworów oderwało się od czoła kolumny i pędziło w stronę pojazdu, pozostawiając chłopca swoim większym braciom. Było ich wiele, dostatecznie wiele, by rozerwać ich troje na strzępy, łącznie z samochodem. Mimo różnorodności form (nie było, zdaje się dwóch podobnych okazów), miały w oczach tę samą tępą nieustępliwość, ten sam zamiar. To były niszczyciele.

Schyliła się i ujęła ramię chłopca, uchylając się jak mogła od ramion pasożyta, chwytnych niczym zapadki. Zrozumiała, że wczepił się w chłopca zbyt ściśle. Każda próba ich rozdzielenia wzmogłaby tylko napastliwość gada.

- Wstawaj - powiedziała do chłopca. - Uciekniemy.

- Niech pani ucieka - powiedział cicho. Był zupełnie bez sił.

- Nie. Uciekniemy razem. Nie odstawiaj bohatera. Idziemy razem.

Obejrzała się w stronę samochodu. Grillo zatrząskiwiał drzwiczki, kiedy oddziały piechurów dobiegały do samochodu i wskakiwały na maskę i dach.

Jeden z nich, wielkości pawiana, zaczął bić własnym ciałem o przednią szybę.

Inne szarpały za klamki - próbowały wyważyć szyby z opraw ostrymi czułkami.

- One przysły po mnie - powiedział chłopiec.

- Jeśli odejdziemy, pójdą za nami? - spytała Tesla.

Skinął głową. Tesla pomogła mu wstać i przerzuciwszy sobie przez ramię jego prawą rękę (zauważyła, że dłoń miał zmasakrowaną) oddała jeden strzał w nadchodzącą masę - trafiła któregoś z większych gadów, ale nie wstrzymała pościgu ani na chwilę - odwróciła się i pobięła, ciągnąc chłopca za sobą.

- W dół Wzgórza - powiedział.

- Dlaczego?

- Do Pasażu...

- Dlaczego? - spytała powtórnie.

- Tam jest... mój ojciec.

Nie sprzeciwiała się. Miała tylko nadzieję, że ten ojciec, kimkolwiek był, potrafi im pomóc, gdyż jeśli uda im się ująć pościgowi, to nie będą w stanie się bronić, gdy bieg się zakończy.

Kiedy skręcali za następny róg - zgodnie z ledwie dosłyszalnymi wskazówkami chłopca

- usłyszała brzęk pękającej szyby samochodowej.

Niedaleko od miejsca, gdzie rozegrała się ta scena, dzaff i Tommy-Ray pilnujący Jo-

Beth, patrzyli, jak Grillo na oślep szuka stacyjki, udaje mu się - nie bez trudu - uruchomić

silnik i wreszcie odjeżdża, strącając z maski samochodu terata, które rozbiło przednią szybę.

- Łobuz - powiedział Tommy-Ray.

- To nic - uspokoił go džaff. - Jest ich o wiele więcej tam, skąd przybył. Poczekaj do jutrzejszego przyjęcia. Użyjemy sobie.

Stworzenie jeszcze żyło; wydało żalosny pisk.

- Co z nim zrobimy? - zastanawiał się Tommy-Ray.

- Zostaw je.

- Ofiara ruchu ulicznego - odpowiedział chłopiec. - Ludzie to znajdą.

- Nie przeżyje do rana. Zanim znajdą je sprzątacze, nikt nie będzie już wiedział, jak naprawdę wyglądało.

- Jakie zwierzę jadłoby coś takiego? - zdziwił się Tommy-Ray.

- Takie, które jest dostatecznie głodne - odparł džaff. Zawsze jest jakieś głodne

stworzenie, prawda, Jo-Beth?

Dziewczyna milczała. Już nie płakała ani nie odzywała się. Przyglądała się tylko bratu z żalosnym zakłopotaniem.

- Dokąd idzie Howie? - głośno zastanawiał się džaff.

- Na dół, do Pasażu - poinformował Tommy-Ray.

- Fletcher go woła.

- Tak?

- Właśnie o to mi chodziło. Tam, dokąd pójdzie syn, znajdziemy i ojca.

- Chyba, że terata wykończą go przedtem.

- Nie, wydałem im odpowiednie polecenie.

- A ta kobieta?

- Czy to nie było wspaniałe? Istna samarytanką. Oczywiście umrze, ale jaką będzie

miała wspaniałą śmierć, przekonana o własnej pieprzonej szlachetności.

Ta uwaga wywołała reakcję dziewczyny:

- Czy nic nie jest w stanie cię wzruszyć?

Dżaff spojrział na nią bacznie.

- Ależ tak, mnóstwo rzeczy. Wyraz twojej twarzy. Jego twarzy - popatrzył na Tommy-

Raya, który uśmiechnął się szeroko i znów przyjrzał się Jo-Beth. - Chcę tylko mieć jasny pogląd na sprawy. Wejrzeć w głąb rzeczy, poza uczucia: w przyczyny.

- Niby w jaki sposób? Zabijając Howie'ego? Niszcząc Grove?

- Tommy-Ray już to zrozumiał, na swój sposób. Ty także zrozumiałabyś, gdybyś dała mi czas na wyjaśnienia. To długa historia. Ale uwierz mi, że Fletcher jest naszym wrogiem, podobnie jak jego syn. Zabiliby mnie, gdyby mogli...

- Howie by cię nie zabił.

- Ależ tak. Jest synem swojego ojca, nawet jeśli o tym nie wie. Wkrótce osiągniemy cel, Jo-Beth. Nazywa się on Sztuką. Kiedy ją zdobędę, podzielę się...

- Nie chcę od ciebie niczego.

- Pokażę ci pewną wyspę...

- Nie.

- ...i brzeg...

Wyciągnął rękę i pogładził jej policzek. Wbrew temu, co mówił jej rozum, jego słowa podziałały na nią kojąco. Widziała przed sobą nie kształt embriona, ale twarz człowieka, który wiele przeszedł w życiu; ciężkie przejścia wyorały w niej bruzdy i może zasiały tam mądrość.

- Potem będziemy mieć wiele czasu na rozmowy - powiedział. Na tej wyspie dzień nigdy się nie kończy.

- Dlaczego nas nie doganiają? - zapytała Tesla Howie'ego.

Już dwa razy wydawało się rzeczą pewną, że prześladowcy dopędzą ich i rozprawią się z nimi, i za każdym razem zwalniały w chwili, gdy mogły osiągnąć swój cel. Rosło w niej podejrzenie, że pościg był wyreżyserowany.

Jeśli tak - denerwowała się - to przez kogo? I o co chodziło reżyserowi?

Chłopiec - parę przecnic temu przedstawił się niewyraźnie jako Howie - z każdym krokiem ciążył jej coraz bardziej. Ostatnie ćwierć mili do Pasażu dłużyło się Tesli jak tor przeszkód przygotowany dla amerykańskiej floty morskiej. Gdzie był Grillo, kiedy go najbardziej potrzebowała?

Zabłądził w labiryncie ślepych i łukowatych uliczek, które tak utrudniały przejazd przez miasto, czy też padł ofiarą bestii, atakujących samochód?

Tymczasem sprawy miały się zupełnie inaczej. Wierząc, że spryt Tesli pozwoli jej wymykać się hordzie bestii dostatecznie długo, by on zdążył zorganizować pomoc, Grillo popędził jak szaleniec - najpierw do budki telefonicznej, a następnie pod adres, który tam zdobył. Chociaż ręce i nogi miał jak nalane ołowiem, a zęby wciąż mu szczękały, umysł - jak sądził - miał zupełnie jasny, choć wiedział - z doświadczeń tamtych kilku miesięcy po nagłej klęsce, które spędził w mniejszym lub większym pijackim zamroczeniu - że ta jasność mogła być złudna. Ileż knotów napisał pod wpływem alkoholu - w trakcie pisania wydawały się esencją logiki, ale gdy wytrzeźwiał, ich lektura była jak lektura „Finnegans Wake”. Może teraz też tak było i tracił cenny czas zamiast walić w drzwi pierwszego lepszego domu i prosić o pomoc. Instynkt mówił mu, że jej nie zdobędzie. Wszyscy natychmiast pozbyliby się nieogolonego osobnika, plotącego coś o potworach, wszyscy oprócz Hotchkissa.

Hotchkiss był w domu, nie spał.

- Grillo? Człowieku, co się z panem dzieje?

Hotchkiss też nie miał się czym chwalić: wyglądał na tak wykończonego, jakim czuł się

Grillo. W ręku miał kufel piwa, a w oczach wspomnienie kilku poprzednich.

- Niech pan jedzie ze mną - powiedział Grillo - wyjaśnię wszystko po drodze.

- Dokąd?

- Ma pan broń?

- Tak, pistolet.

- Niech go pan przyniesie.

- Chwileczkę, najpierw...

- Żadnych rozmów - uciął Grillo. - Nie wiem, w którą stronę poszli, a my...

- Niech pan posłucha - przerwał mu Hotchkiss.

- Co jest?

- Syreny. Włączyli sygnały alarmowe.

Alarmy w supermarkecie włączyły się w chwili, gdy Fletcher zaczął rozbijać okna wystawowe. Równie głośno rozbrzmiały w sklepie spożywczo-monopolowym Marvina, a także w sklepie zoologicznym - tam hałas wzmógł jeszcze jazgot rozbudzonych zwierząt. Im szybciej Grove otrząśnie się z letargu, tym lepiej; nie znał lepszego sposobu rozbudzenia go, niż napad na jego handlową duszę. Kiedy alarmy już wyły, splądrował dwa z sześciu sklepów w poszukiwaniu odpowiednich rekwizytów. Dramat, który zamyślił, musiał być świetnie rozplanowany w czasie, aby poruszyć umysły tych, którzy przyjdą go obejrzyć. Jeśli przedsięwzięcie się nie powiedzie, on przynajmniej nie zobaczy następstw niepowodzenia. Zznał w życiu zbyt wiele nieszczęścia, a zbyt mało pomocy przyjaciół w ciężkich chwilach. Z nich wszystkich Raul chyba był mu najbliższy. Gdzie teraz był? Najprawdopodobniej już nie żył, a jego duch błąkał się w ruinach Misji Św. Katarzyny.

Wspomniawszy tamto miejsce, Fletcher stanął jak wryty. A co z nuncjo?

Czy możliwe, by resztki Wielkiego Dzieła, jak dżaff lubił je nazywać, wciąż znajdowały się na szczycie urwiska? Jeśli tak, i jeśli ktoś niewtajemniczony przypadkiem je znajdzie, to ta cała nieszczęsna historia może się powtórzyć.

Jego dobrowolne męczeństwo, które właśnie przygotował, pójdzie na marne.

Oto jeszcze jedno zadanie, którym obarczy Howarda, zanim rozstaną się na zawsze.

W Grove rzadko brzmiały syreny przez dłuższy czas, a już na pewno nie tyle naraz.

Kakofonia dźwięków popłynęła przez miasto - od lesistych krańców Deerdell do rezydencji wdowy po Vansie na szczycie Wzgórza.

Chociaż pora była zbyt wczesna, by dorośli mieszkańcy Grove udali się na spoczynek, jednak większość z nich - zarówno ci, których dotknął dżaff, jak i inni - czuli się dziwnie wytrąceni z równowagi. Rozmawiali szeptem, o ile w ogóle się odzywali; stali w drzwiach albo pośrodku jadalni nie pamiętając, po co w ogóle wstawali ze swoich wygodnych foteli.

Wielu z nich - gdyby ich ktoś zagadnął - z trudem przypomnieliby sobie własne nazwiska.

Ale syreny przyciągnęły ich uwagę, potwierdzając to, o czym ich zwierzęce instynkty wiedziały już od świtu: działo się coś niedobrego, nienormalnego, sprzecznego z rozumem.

Schronienie mogli znaleźć tylko za zamkniętymi drzwiami - zamkniętymi na cztery spusty.

Jednak nie wszyscy byli tak bierni. Niektórzy odsunęli rolety, patrząc, czy ktoś nie kręci się w okolicy; inni posunęli się tak daleko, że podeszli do frontowych drzwi (przy czym mężowie lub żony wołali za nimi, że nie ma po co wychodzić na dwór; wszystko, co warto zobaczyć, mogą obejrzeć w telewizji). Jednak wystarczyło, że jedna osoba odważyła się wyjść z domu, by inne poszły jej śladem.

- Sprytnie - powiedział dżaff.

- O co mu chodzi? - zainteresował się Tommy-Ray. - Po co mu ten hałas?

- Chce, żeby ludzie zobaczyli terata. Może ma nadzieję, że uda mu się podburzyć ich przeciwko nam. Już raz tego próbował.

- Kiedy?

- Kiedy szliśmy przez Amerykę. Nie było wtedy żadnej rewolucji i teraz też nie będzie.

Ludziom brak wiary; nie znają marzeń. A jemu potrzeba jednego i drugiego. To, co robi, świadczy o jego rozpaczliwym, beznadziejnym położeniu. Przegrał i wie o tym. - Zwrócił się

do Jo-Beth: - Ucieszysz się, kiedy ci powiem, że odwołuję pogoń idącą za Katzem. Już wiemy, gdzie jest Fletcher. A tam gdzie jest Fletcher, będzie i jego syn.

- Już nas nie gonią - powiedziała Tesla.

Rzeczywiście, horda zatrzymała się.

- Co to znaczy, do diabła?

Jej ciężar nie odpowiedział. Podniósł tylko z trudem głowę i popatrzył w stronę supermarketu - był to jeden z kilku sklepów w Pasażu, w którym wybito szyby.

- Idziemy na rynek? - zapytała.

Chrząknął.

- Jak sobie życzysz.

Fletcher, pochłonięty przygotowaniami wewnątrz sklepu, podniósł głowę i zobaczył chłopca. Nie był sam: Jakaś kobieta, pół-niosąc go, pół-ciągąc, prowadziła go przez plac w stronę hałd stłuczonego szkła. Fletcher oderwał się od swych zajęć i podszedł do okna.

- Howard? - zawołał.

To Tesla podniosła głowę; Howie nie zmarnował cennej energii na ten ruch. Człowiek, który wyszedł ze sklepu, nie wyglądał na wandala. Zresztą nie wyglądał również na ojca tego chłopca; ale ostatecznie Tesla nigdy nie miała talentu do wyszukiwania rodzinnego

podobieństwa. Był to wysoki mężczyzna o żółtawej cerze; sądząc po jego niepewnym chodzie, był w równie kiepskim stanie jak jego potomek. Ubranie miał zupełnie mokre, jak zauważyła. Szczypanie w zatokach powiedziało jej, że to benzyna. Idąc, zostawiał na podłodze strumyczek tej cieczy. Nagle przeraziła się, że pościg doprowadził ich prosto w ramiona szaleńca.

- Niech się pan nie zbliża - powiedziała.

- Muszę porozmawiać z Howardem, zanim przyjdzie dżaff.

- Kto?

- Ten, kogo tu przyprowadziliście. Jego i jego armię.

- Nie można było inaczej. Z Howiem jest bardzo źle. To stworzenie na plecach...

- Niech no zobaczę...

- Żadnych zapalek ani zapalniczek - ostrzegła Tesla - albo zaraz mnie tu nie będzie.

- Rozumiem - powiedział, unosząc dłonie jak magik, który udowadnia, że nie planuje żadnych sztuczek. Tesla kiwnęła głową na znak, że może do nich podejść.

- Niech go pani położy.

Zrobiła, jak jej polecił; jej mięśnie aż zaśpiewały z ulgi. Gdy tylko Howie znalazł się na ziemi, ojciec chwycił oburącz pasożyta. Ten rzucił się gwałtownie i jeszcze mocniej zacisnął odnóża wokół swojej ofiary. Howie, ledwie przytomny, walczył o oddech.

- Ten gad go zabija! - krzyknęła Tesla.

- Niech go pani złapie za łeb!

- Co?!

- Przecież pani słyszała! Trzeba mu przytrzymać łeb!

Spojrzała na mężczyznę, potem na gada i wreszcie na Howarda.

Trzy mgnienia oka. W czwartym chwyciła gada. Wżarł się paszczką w kark

Howie'ego, ale zwolnił ją na chwilę, by wbić ją w rękę Tesli. W tym momencie skapany w benzynie człowiek szarpnął. Bestia odpadła od ciała chłopca.

- Puszczaj! - krzyknął mężczyzna.

Nie potrzebowała zachęty - jednym szarpnięciem uwolniła rękę za cenę strzępu ciała, który pozostał w paszczy zwierzęcia. Ojciec Howie'ego rzucił je za siebie, do sklepu, gdzie uderzyło w piramidę puszek, a one runęły na zwierzę.

Tesla oglądała swoją rękę. Dłoń miała przebitą pośrodku na wylot. Nie ją jedną zainteresowała ta rana.

- Czeka panią podróż - powiedział mężczyzna.

- Cóż to, wróży pan z ręki?

- Chciałem, żeby chłopiec jechał za mnie, ale teraz widzę, że... pani zajmie jego miejsce.

- No, no, mój panie, zrobiłam wszystko, co mogłam.

- Nazywam się Fletcher. Błagam, niech mnie pani teraz nie porzuca. Ta rana przypomina mi, jak nuncjo po raz pierwszy mnie skaleczyło...

Pokazał jej swoją dłoń; rzeczywiście była tam blizna, zupełnie, jakby ktoś przebił rękę gwoździem.

- Muszę pani powiedzieć o wielu sprawach. Howie nie chciał słuchać, ale wiem, że pani tak nie postąpi. Nie, na pewno nie. Jest pani częścią tej historii. Urodziła się pani po to, żeby teraz być tutaj, ze mną.

- Nic z tego nie rozumiem.

- Będzie się pani zastanawiać nad tym jutro. Teraz niech pani działa. Proszę mi pomóc.

Mamy bardzo mało czasu.

- Muszę pana ostrzec - powiedział Grillo, wioząc Hotchkissa w stronę Pasażu. - To, co

widzieliśmy, te stwory, które wydostały się z głębi ziemi, to dopiero początek. Po Grove grasują dziś stworzenia, jakich nigdy przedtem nie widziałem.

Zwolnił, ponieważ dwóch pieszych przekraczało jezdnię, dążąc tam, skąd dochodził zew syren. Nie byli sami. Zewsząd nadchodzili inni, kierując się w stronę Pasażu, jakby wybierali się do wesołego miasteczka.

- Niech im pan powie, żeby wracali do domu - powiedział Grillo; wychylił się z samochodu, wykrzykując ostrzeżenia. Ale nikt nie zwracał uwagi na niego ani na Hotchkissa.

- Jeśli zobaczą to, co ja widziałem, wybuchnie straszna panika - stwierdził Grillo.

- Może to im dobrze zrobi - powiedział z goryczą Hotchkiss. - Przez tyle lat uważali mnie za wariata, dlatego że zamurowałem wejście do pieczar. Dlatego że mówiłem, że śmierć Carolyn to było morderstwo...

- Nie rozumiem...

- Moja córka, Carolyn...

- Co się z nią stało?

- Powiem panu innym razem, Grillo. Kiedy będzie czas na łyzy.

Wjechali na parking przy Pasażu. Było tam już trzydzieścioro czy czterdzieścioro growian; niektórzy kręcili się tu i tam, oglądając szkody, które wyrządzono w niektórych sklepach, inni po prostu stali, wsłuchani w syreny jak w muzykę sfer niebieskich. Grillo i Hotchkiss wysiedli z samochodu i poszli do supermarketu.

- Czuję benzynę - powiedział Grillo.

Hotchkiss także ją poczuł.

- Musimy usunąć stąd tych ludzi - powiedział. Podniesionym głosem i pistoletem próbował zapanować nad gromadą. Jego wysiłki przyciągnęły uwagę jakiegoś niedużego, łysego człowieczka.

- Hotchkiss, to pan dowodzi akcją?

- Nie, Marvin, jeśli pan się tym zajmie.

- Gdzie jest Spilmont? Powinien tu być jakiś przedstawiciel władzy. Wybili mi wszystkie szyby.

- Na pewno policja już tu jedzie - powiedział Hotchkiss.

- Zwyczajny wandalizm - mówił Marvin. Jakieś chłopaczki z Los Angeles przyjechały, żeby tutaj sobie porozrabiać.

- Chyba nie - powiedział Grillo. Od zapachu benzyny kręciło mu się w głowie.

- A pan co za jeden!?! - zapytał Marvin wrzaskliwie.

Zanim Grillo zdążył odpowiedzieć, jeszcze jedna osoba dołączyła do tej pokrzykującej gromadki.

- Tam ktoś jest!

Grillo spojrzał w stronę supermarketu. Szczypiące go oczy potwierdziły ten fakt.

Rzeczywiście - w ciemnym sklepie poruszały się jakieś postacie.

Chrzęszcząc rozbitym szkłem podszedł do witryny i rozpoznał jedną z nich:

- Tesla?

Usłyszała go. Uniosła głowę i krzyknęła:

- Grillo, nie podchodź!

- Co się tu dzieje?

- Nie podchodź, słyszysz!

Nie posłuchał, przelazł przez dziurę w rozbitym oknie wystawowym. Na posadzce, twarzą w dół, leżał chłopiec, którego ratowała; był nagi do pasa.

Za nim stał jakiś mężczyzna, którego Grillo znał i nie znał. To znaczy nie znał jego nazwiska, ale instynktownie wiedział, kto to jest. Już po chwili przypomniał sobie, skąd go

zna. Był to jeden z tych, którzy wydostali się ze szczeliny w ziemi.

- Hotchkiss! - wrzasnął. - Niech pan tu podejdzie!

- Jeden wystarczy - odezwała się Tesla. - Nie przyprowadzaj do nas nikogo więcej.

- Do nas?! - zdziwił się Grillo. - Od kiedy to my?

- On się nazywa Fletcher - odpowiedziała Tesla. - Chłopiec nazywa się Howard Katz.

To ojciec i syn. Wszystko wyleci w powietrze, Grillo. A ja tu zostanę do tego czasu.

Hotchkiss podszedł do Grillo:

- A niech to jasna cholera - zaklął cicho.

- Chodzi o jaskinie, prawda?

- Tak.

- Czy możemy zabrać chłopca? - zapytał Grillo.

Tesla kiwnęła głową:

- Ale pośpieszcie się. Za chwilę będzie po nas wszystkich. Odwróciła od Grillo oczy i popatrzyła na plac czy też w noc, stojącą za placem. Ktoś jeszcze miał tu przyjść. Pewnie tamten drugi upiór.

Grillo i Hotchkiss postawili chłopca na nogi.

- Poczekajcie - Fletcher podszedł do tych trzech mężczyzn; zapach benzyny nasilił się.

Ale ten człowiek wydzielał z siebie coś więcej niż woń. Kiedy dotknął syna, Grillo doznał jakby lekkiego wstrząsu elektrycznego - doznali go wszyscy trzej. Na krótką chwilę zapomniał o wszelkiej cielesnej słabości, a jego umysł wzniósł się lekko w przestrzeń, utkana marzeniami jak gwiazdami. Wszystko to nagle minęło - zbyt nagle, prawie brutalnie - gdy Fletcher odjął dłoń od twarzy syna. Grillo popatrzył na Hotchkissa. Sądząc po wyrazie jego twarzy, Hotchkiss także przeżył swoją chwilę chwały.

W oczach miał łzy.

- Co teraz będzie? - zwrócił się Grillo do Tesli.

- Fletcher odchodzi.

- Dlaczego? Dokąd?

- Donikąd i wszędzie.

- Skąd wiesz?

Ponieważ jej powiedziałem - usłyszał głos Fletchera. - Trzeba ratować Quiddity.

Spojrzał na Grillo; na jego twarzy widniał najlżejszy cień uśmiechu.

Zabierzcie mojego syna, panowie - powiedział. - Wynieście go z linii ognia.

- Co?

- Po prostu odejdźcie stąd, Grillo - powiedziała Tesla. - Cokolwiek się teraz zdarzy, on właśnie tego chce.

Zgodnie ze wskazówkami wynieśli chłopca przez rozbitą witrynę;

Hotchkiss wyszedł pierwszy, by odebrać bezwolne ciało chłopca, które leciało im przez ręce jak świeżo zmarły nieboszczyk. Kiedy Grillo oddał chłopca, usłyszał za sobą głos Tesli.

Powiedziała tylko:

- Dżaff!

Drugi z uciekinierów, wróg Fletchera, stał na skraju parkingu. Tłum, który urósł pięciokrotnie, rozstał się, mimo że nikt o to nie prosił wprost, otwierając korytarz między dwoma wrogami. Dżaff nie przyszedł sam. Za nim stały dwa wspaniałe okazy kalifornijczyków, nie znane Grillo, ale znane Hotchkissowi.

- Jo-Beth i Tommy-Ray - powiedział.

Słyszając te imiona czy też jedno z nich, Howie podniósł głowę.

- Gdzie? - zapytał cichym głosem. Zanim mu odpowiedziano, już ich zobaczył. -

Puście mnie - próbował odepchnąć Hotchkissa. - Zabiją ją, jeśli ich nie powstrzymamy. Nie

rozumiecie?! Oni ją zabiją!

- Gra idzie o coś więcej niż tylko o twoją dziewczynę - powiedziała Tesla i Grillo znów się zdziwił, że w tak krótkim czasie dowiedziała się tak wiele. Źródło jej informacji, Fletcher, wyszedł teraz z supermarketu; przeszedł obok nich wszystkich - Tesli, Grillo, Howie'ego i Hotchkissa i stanął naprzeciw dżaffa na drugim końcu korytarza, biegnącego przez tłum.

Pierwszy odezwał się dżaff:

Co ty wyprawiasz? Twoje wygłupy rozbudziły połowę miasta.

Tę połowę, której nie skaziłeś - odparł Fletcher.

Nie prowokuj mnie. Popłaszcz się trochę. Powiedz, że oddasz swoje jaja, jeśli pozwolę ci żyć.

Nigdy mi na tym zbytnio nie zależało.

Na jajach?

Na życiu.

Miałeś wielkie plany - powiedział dżaff i zaczął powolutku iść w stronę Fletchera. - *Nie zaprzeczaj.*

Nie takie jak twoje.

To prawda. Moje plany miały konkretny cel.

Nie dostaniesz Sztuki.

Dżaff podniósł rękę i potarł kciuk o palec wskazujący, jakby szykował się do liczenia pieniędzy.

Za późno. Już ją czuję w palcach.

Dobrze - powiedział Fletcher. - *Chciałeś, żebym cię błagał, więc cię błagam. Quiddity musi pozostać czyste. Proszę cię, nie dotykaj go.*

Niczego nie zrozumiałeś, co? - powiedział dżaff. Zatrzymał się w pewnej odległości od

Fletcher. Teraz zbliżył się i chłopak, prowadząc przy sobie siostrę.

Moja krew - powiedział džaff, wskazując na swoje dzieci. - *Zrobią dla mnie wszystko.*

Prawda, Tommy-Ray?

Chłopiec uśmiechnął się szeroko.

- Wszystko.

Zajęta rozmową dwóch mężczyzn, Tesla nie zauważyła, że Howie uciekł Hotchkissowi, gdy zniecka szepnął jej do ucha:

- Rewolwer.

Zabrała ze sobą broń, wychodząc z supermarketu. Niechętnie wsunęła ją w zranioną dłoń Howie'ego.

- On ją zabije - powiedział cicho.

- To jego córka - odparła Tesla szeptem.

- Pani myśli, że to ma dla niego jakieś znaczenie?

Obejrzała się i zrozumiała, o co chłopcu chodziło.

Zmiany, które w džaffie wprowadziło Wielkie Dzieło Fletchera (nazywał je „nuncjo”) najwyraźniej doprowadziły go do granic obłądu. Chociaż miała zbyt mało czasu, by sycić się wizjami, którymi dzielił się z nią Fletcher, i tylko w nieznacznym stopniu zrozumiała sprawy Sztuki, Quiddity, Kosmosu i Metakosmosu, wiedziała dość, by zdać sobie sprawę, że podobna władza w rękach takiej jednostki doprowadziłaby do niewyobrażalnych nieszczęść.

Przegrałeś, Fletcher - powiedział džaff. - *Ty i twój potomek nie umiecie... iść z duchem czasu. Natomiast ci dwoje to sama awangarda.*

Wszystkiego należy spróbować, prawda?

Ręka Tommy-Raya spoczywała na ramieniu Jo-Beth; teraz wędrowała w stronę jej piersi. Ktoś w tłumie zaczął protestować, ale umilkł, kiedy džaff popatrzył w jego stronę. Jo-

Beth szarpnęła się, ale Tommy-Ray nie zamierzał jej puścić. Przyciągnął ją z powrotem do siebie i pochylił ku niej głowę.

Strzał przerwał ten pocałunek; kula wryła się w asfalt u stóp Tommy-Raya.

- Puść ją - powiedział Howie; głos miał cichy, ale słysząc go było z daleka.

Tommy-Ray posłuchał, patrząc na Howie'ego z lekkim zdziwieniem.

Z tylnej kieszeni spodni wyjął nóż. Tłum zrozumiał, że nie obędzie się bez rozlewu krwi. Niektórzy odeszli, zwłaszcza ci, którzy przyszli tu z dziećmi.

Większość została.

Stojący za Fletcherem Grillo przechylił się i szepnął do Hotchkissa:

- Czy mógłby go pan stąd wyprowadzić?

- Chłopaka?

- Nie, dżaffa.

- Nawet nie próbujcie - szepnęła Tesla. - Nic go nie powstrzyma.

- Więc co robić?

- Bóg jeden wie.

- Chciałeś mnie zastrzelić z zimną krwią na oczach wszystkich tych miłych ludzi? -

zwrócił się do Howie'ego Tommy-Ray. - No jazda. Rozwal mnie. Ja się nie boję. Lubię śmierć, a śmierć lubi mnie. Pociągnij za cyngiel, Katz. Jeśli jesteś facetem z jajami.

Szedł powoli do Howie'ego. Ten ledwie mógł się utrzymać na nogach, ale nie spuszczał Tommy-Raya z muszki.

Dżaff przerwał ten impas, przyciągając do siebie Jo-Beth. Dziewczyna krzyknęła.

Howie spojrział na nią, a wtedy Tommy-Ray rzucił się na niego z nożem. Przewrócił go jednym pchnięciem; z ręki Howie'ego wypadł pistolet. Tommy-Ray brutalnie kopnął leżącego między nogi i rzucił się na niego z nożem.

Nie zabijaj go - rozkazał džaff.

Puścił Jo-Beth i ruszył do Fletchera. Z jego palców, w których - jak twierdził - czuł już Sztukę, wydzielały się rosnące krople jak ektoplazma i pękały w powietrzu. Podszedł do walczących. Jakby chciał im przeszkodzić, ale tylko popatrzył na nich, jak na dwa gryzące się psy, i poszedł dalej - do Fletchera.

- Lepiej odejźmy - powiedziała cicho Tesla do Grillo i Hotchkissa. - Już nic nie możemy zrobić.

Jej słowa sprawdziły się już po kilku sekundach, kiedy Fletcher wyjął z kieszeni płaską paczuszkę zapalek, na której widniał napis: „Artykuły Spożywczo-Kolonialne Marvina”. To, co miało za chwilę nastąpić, zelektryzowało wszystkich widzów. Wyczuwali zapach benzyny. Wiedzieli, skąd pochodzi. Teraz pojawiły się zapalki. Zanosilo się na samospalenie. Ale nikt już teraz nie odchodził. Chociaż żaden z nich nie rozumiał wiele - albo nie rozumiał niczego - z rozmowy dwóch bohaterów dramatu, prawie wszyscy instynktownie wyczuwali, że są świadkami doniosłych wydarzeń. Jakże mogliby odwrócić oczy, jeśli po raz pierwszy w życiu mieli szansę popatrzeć na bogów?

Fletcher otworzył paczuszkę; wyciągnął zapalke. Właśnie ją pocierał, kiedy nowe pociski potęgi wystrzeliły z dłoni džaffa w kierunku Fletchera. Trafiły w jego palce, wytrącając mu z ręki zapalke i pudełeczko.

Nie trać czasu na takie sztuczki - powiedział džaff. - Przecież wiesz, że ogień nie robi mi nic złego. Tobie też nie; chyba, że sam tego chcesz. A jeśli chcesz zginąć, to wystarczy, jeśli mnie o to poprosisz.

Tym razem, zamiast strzelać do Fletchera trucizną z pewnej odległości, wolał zrobić to z bliska. Podszedł do wroga i dotknął go. Fletcherem wstrząsnął dreszcz. Powoli, nieznacznie powoli odwracał głowę, szukając wzrokiem Tesli. W jego oczach dostrzegła otchłań

cierpienia; przygotowując się do końcowej rozgrywki, otworzył swą duszę przed światem i złość dzaffa miała łatwy dostęp do jego jaźni. Jego błagalne spojrzenie mogło oznaczać tylko jedno. Dotyk dzaffa zatruwał chaosem całe jestestwo Fletchera.

Jedynym ratunkiem była dla niego śmierć i o nią prosił.

Nie miała zapalek, ale miała pistolet Hotchkissa. Bez słowa wyrwała mu go z ręki. Ten ruch przyciągnął wzrok dzaffa; przez jedną przerażającą chwilę patrzyła w jego szalone oczy, widziała, jak rozrasta się wokół nich ogromna, widmowa głowa; drugi dzaff, kryjący się za tym pierwszym.

Wycelowała w ziemię tuż za Fletcherem i strzeliła. Nie było iskry, chociaż na to właśnie liczyła. Wycelowała jeszcze raz, usuwając z umysłu wszystkie myśli prócz tej jednej - o iskrze. Już przedtem wzniecała ogień. Na papierze - by zająć umysł czytelnika. Teraz chciała, by ciało zajęło się płomieniem.

Powoli wypuściła powietrze przez usta, tak jak co rano, kiedy zasiadała do maszyny do pisania - pociągnęła za spust.

Wydało jej się, że zobaczyła ogień jeszcze nim nastąpił wybuch. Jak podczas burzy z piorunami; iskra była błyskawicą, która poprzedzała grom.

Powietrze wokół Fletchera rozbłysło żółcią. Potem buchnęło płomieniem.

Żar był gwałtowny i silny. Porzuciła pistolet i odbiegła nieco w bok, by lepiej widzieć to, co nastąpi. Poprzez zawieruchę ognia Fletcher spojrział jej w oczy; w jego spojrzeniu była słodycz, którą miała zabrać ze sobą w dalsze, pełne przygód życie; to spojrzenie będzie jej przypominać, jak niewiele wie o rządzących światem zasadach. Że człowiek może cieszyć się, że płonie; że samospalenie może mu przynieść korzyść i samorealizację - tego nie powiedziałaaby jej żadna nauczycielka.

Poprzez ogień widziała, że dzaff odchodzi, lekceważąco wzruszywszy ramionami. Jego

palce - te, którymi dotknął Fletchera - zajęły się ogniem.

Zdmuchnął je jak pięć świec. Nieco dalej - Howie i Tommy-Ray cofali się przed żarem, odkładając nienawiść na później. Objęła tę scenę jednym krótkim spojrzeniem, by natychmiast wrócić do widowiska, jakim był płonący Fletcher. Nawet w tej krótkiej chwili zaszła w nim zmiana. Chociaż stał w huczącym słupie ognia, płomień nie pożerał go, ale przeobrażał, sypiąc wokół bryzgami jasnej materii.

Reakcja dzaffa na te błyski światła - cofał się przed nimi jak wściekły pies, którego polewają wodą - uświadomiła Tesli ich znaczenie.

Były dla Fletchera tym, czym dla dzaffa były krople, wytrącające zapalki z czyjejś ręki - rodzajem jakiejś potężnej, wyzwolonej energii. Dzaff nie mógł ich znieść. Jasność tych światel wydobywała na jaw jego twarz, ukrytą za zewnętrzną twarzą. Ten widok i cudowne przemiany, zachodzące we Fletcherze, sprawiły, że Tesla podeszła do ognia niebezpiecznie blisko.

Poczuła swąd własnych palących się włosów. Ale ciekawość przeważyła.

Ostatecznie to ona do tego doprowadziła. Ona była twórcą. Jak pierwsza małpa człekokształtna, która podsyciła płomień i w ten sposób odmieniła los całego plemienia.

Rozumiała, że na to właśnie liczył Fletcher: na odmianę losu plemienia, na jego przeobrażenie. To nie było zwyczajne widowisko. Płonące cząsteczki, odrywające się od ciała Fletchera, niosły w sobie intencje założyciela rodu.

Odpryskiwały od słupa ognia jak świetliste ziarenka, i szybowały w powietrzu w poszukiwaniu żyznej gleby. Tą glebą byli growianie; byli gotowi na przyjęcie tych robaczek świętojańskich. Teslę uderzył fakt, że nikt nie uciekał. Może poprzednie zajścia pełne przemocy wypłoszyły stąd ludzi tchórzliwych. Pozostali wprost czekali na czary; niektórzy nawet wychodzili z kręgu, by powitać światło, jak komunikanci, podchodzący do barierki.

Pierwsze zbliżyły się dzieci; wychwytyjąc płonące drobiny, udawały, że nie mogą nikogo skrzywdzić. Drobiny wybuchały światłem, padając na ich otwarte dłonie i nadstawione buzie, błyskały krótkim echem w ich oczach.

Z kolei do ognia zbliżyli się rodzice tych małych śmiazków. Niektórzy z tych, których dotknął ogień, wołali do małżonków: „Wszystko w porządku! To nie boli! To jest po prostu... światło!”

Tesla wiedziała, że było to coś więcej. To był Fletcher. Gdy tak rozdawał siebie innym, jego fizyczna istota rozpadała się stopniowo. Już prawie zanikły jego ręce, pierś i lędźwie, zaś jego głowa i szyja czepiały się ramion, a ramiona tułowia strzępami pylistej materii, z którą igrały płomienie. I one się rozpadały i przemieniały w światło. Tesla wciąż patrzyła. W pewnej chwili przypomniała jej się pieśń, którą słyszała w dzieciństwie: „Jezus pragnie mnie uczynić promykiem słońca”. Stara pieśń dla nowej ery.

Pierwszy akt tej ery właśnie się kończył. Z postaci Fletchera już nic prawie nie zostało: ogień spopielił mu usta i oczy, czaszka rozpadała się, mózg rozpływał się i jaśniejac unosił się w powietrzu jak nasionka dmuchawca w sierpniowym wietrze.

Kiedy rozproszył się w powietrzu, jego resztki po prostu znikły w płomieniach.

Zabrakło paliwa i ogień zgasł. Nie przygasał stopniowo; nie pozostawił popiołu ani nawet dymu. Była chwila światła, żaru i cudów.

W następnej chwili wszystko znikło.

Tesla była zbyt pochłonięta Fletcherem, by liczyć, ilu obecnych dotknął swym światłem. Z pewnością wielu. Może wszystkich. Może sama ich liczebność wstrzymała dżaffa przed próbą odwetu. Przecież miał armię, która czekała na niego w mroku nocy. Ale wołał jej nie wzywać. Odszedł prawie niepostrzeżenie. Tommy-Ray poszedł za nim. Jo-Beth została.

Kiedy Fletcher rozpadał się na cząstki, Howie stanął przy Jo-Beth z bronią w ręku.

Tommy-Ray mógł tylko rzucić kilka niewyraźnych gróźb i pójść za ojcem.

Taki był ostatni popis szamana Fletchera. Ten popis nie pozostanie bez echa, ale dopiero za kilka godzin, kiedy odbiorcy jego światła obudzą się ze snu. Były też bardziej doraźne następstwa. Dla Grillo i Hotchkissa satysfakcja że prawdziwe było świadectwo ich zmysłów podczas wydarzeń przy pieczarach; dla Jo-Beth i Howie ego - ponowne złączenie po wypadkach które doprowadziły ich na krawędź śmierci; a dla Tesli - świadomość, że wraz z odejściem Fletchera, spadło na nią ciężkie brzemie odpowiedzialności.

Ale ta noc magii najciężej doświadczyła samo Grove. Na jego ulicach rozgrywały się przerażające sceny. Jego mieszkańców nawiedziły duchy.

Wkrótce wybuchnie wojna.

CZEŚĆ PIĄTA

NIEWOLNICZY I KOCHANKOWIE

I

Następnego dnia byle pijak rozeznałby się w stanie Grove. Zachowywało się jak ktoś, kto poprzedniej nocy zdrowo sobie popił, a rano musi wstąpić i udawać, że nic się nie stało. Stoi przez kilka minut pod lodowatym prysznicem, na śniadanie pije wodę mineralną i czarną kawę, a następnie idzie do pracy krokiem bardziej zdecydowanym niż zwykle, z przylepionym do twarzy uśmiechem jak aktorka, która właśnie dowiedziała się, że nie dostanie Oscara. Tego ranka częściej niż zwykle rozbrzmiewały okrzyki: „Dzień dobry! Cześć! Jak leci?“, sąsiedzi częściej kiwali do siebie wesoło z samochodów; więcej radiodbiorników nadawało prognozę pogody (słońce! słońce! słońce!) przez szeroko otwarte okna, by udowodnić, że w tym domu nie ma żadnych sekretów. Gdyby jakiś przybysz odwiedził tego ranka Grove po raz pierwszy, odniósłby wrażenie, że bierze ono udział w turnieju miast USA. Panujący tu ogólnie nastrój wymuszonej jowialności przyprawiłby go o

skurcze żołądka.

W Pasażu, gdzie trudno byłoby nie zauważyć następstw dionizyjskiej nocy, mówiono o wszystkim, tylko nie o tym, co się naprawdę zdarzyło.

Z Los Angeles - mówili jedni - zjechali się tu na motocyklach chuligani, żeby niszczyć i rozrabiać. Ta wersja nabierała wiarygodności w miarę jak ją powtarzano. Niektórzy utrzymywali, że słyszeli ryk motocykli. Niektórzy posunęli się do twierdzenia, że je widzieli, i dodawali nowe fakty do zbiorowego zmyślenia, pewni, że nikt nie wyrazi głośno swoich wątpliwości.

W parę godzin uprzątnięto całe szkło i zabito deskami stłuczone witryny.

Jeszcze przed południem obstalowano nowe szyby. Wprawiono je przed drugą. Jeszcze nigdy - od czasu Zmowy Dziewic - miasto nie było równie zgodne w swym dążeniu do przywrócenia równowagi - ani równie obłudne.

Ponieważ za zamkniętymi drzwiami, w łazienkach, sypialniach i gabinetach, sprawy miały się zupełnie inaczej. Tutaj znikwały uśmiechy, miarowy krok przechodził w nerwową dreptanię, płacz i połykanie tabletek, które wyszukiwano z pasją poszukiwaczy złota. Tutaj ludzie przyznawali się sami przed sobą - nawet nie przed swoimi partnerami czy psami - że dziś zdarzyło się coś złego i już nigdy nie będzie tak dobrze jak przedtem.

Tutaj ludzie usiłowali przypomnieć sobie opowieści słyszane w dzieciństwie - stare, cudaczne historie, które wiek dojrzały wstydliwie wymazywał z ich pamięci - w nadziei, że pomogą im uporać się z obecnym lękiem.

Niektórzy próbowali utopić niepokój w alkoholu. Inni zaczęli się objadać.

Jeszcze inni zastanawiali się, czy nie powinni zostać księżmi.

W sumie, był to cholernie dziwny dzień.

Może mniej dziwny dla tych, którzy musieli radzić sobie z nieubłaganymi faktami,

niezależnie od tego, jak bardzo te fakty kłóciły się z tym, co jeszcze wczoraj uznano by za rzeczywistość. Dla tych niewielu szczęśliwców, którzy wiedzieli z całą pewnością, że na ulice Grove wyległy potwory i bóstwa, pytanie brzmiało nie: „Czy to prawda? ”, ale: „Co to wszystko znaczy? ”

William Witt odpowiedziałby bezsilnym wzruszeniem ramion. W żaden sposób nie potrafił zrozumieć, kim były potwory, które napędziły mu takiego strachu w domu przy Wild Cherry Glade. Jego późniejsza rozmowa ze Spilmontem, który powiedział, że jest to historia wyssana z palca, doprowadziła go niemal do obłądu. Albo zawiązano spisek w celu ukrycia machinacji dżaffa, albo też on, William Witt, tracił rozum. Zresztą te dwie możliwości wcale się nawzajem nie wykluczały, co jeszcze bardziej go przygnębiało. W obliczu tak wielkich zagrożeń, Witt zamknął się w domu; opuścił go na krótko tylko raz poprzedniego wieczoru, kiedy wyszedł do Pasażu. Przybył tam, gdy wszystko już się kończyło i niewiele mu z tego pozostało w pamięci; przypominał sobie tylko, że po powrocie do domu urządził sobie prawdziwy Babilon - video. Zwykle dosyć oszczędnie gospodarował filmami; wolał obejrzeć jeden czy dwa, niż przelecieć cały tuzin.

Ale ostatni seans przeszedł w hulankę. Kiedy następnego ranka Robinsonowie, jego sąsiedzi, wychodzili z dziećmi na plac zabaw, on wciąż siedział przed telewizorem - story w oknach były zaciągnięte, puszki po piwie utworzyły u jego stóp całe miasteczko - a on patrzył i patrzył.

Uszeregował swoje zbiory z precyzją wyrafinowanego bibliotekarza; zaopatrzył każdą pozycję w adnotacje i kontradnotacje. Znał wszystkie pseudonimy gwiazd tych spoconych eposów; znał rozmiary ich biustów i członków; początki ich kariery; ich specjalizacje. Scenariusze, mimo całej ich prymitywności, mógł wyrecytować bez zajknięcia; ulubione sceny znał na pamięć, nie zapominałby o żadnym stęknieniu czy wytrysku.

Ale dzisiejszy seans nie podniecił go. Oglądał film za filmem i odkładał je na bok jak narkoman, który włamał się do składu narkotyków i szuka specyfiku, którego nikt nie potrafił mu dostarczyć, a wokół telewizora rósł stos kaset. Seks na dwie strony, na trzy strony, oralny, analny, złoty deszcz, krępowanie rąk i nóg, biczowanie, sceny z lesbijkami, z użyciem dildo, gwałty, miłość romantyczna - obejrzał te wszystkie filmy, ale żaden nie doprowadził go do wytrysku. Jego poszukiwania przeszły jakby w pościg za samym sobą. To, co mnie podnieci, będzie mną - błąkała mu się po głowie jakaś nie dokończona myśl.

Był w rozpaczliwym położeniu. Po raz pierwszy w życiu - wyjąwszy wydarzenia związane ze Zmową Dziewic - podglądanie czyjejs intymności nie było w stanie go podniecić. Po raz pierwszy chciał, by aktorzy dzielili jego przeżycia, tak jak on dzielił ich przeżycia. Zawsze z zadowoleniem wyłączał video, kiedy doznał rozładowania; nawet z lekka lekcewazył ich wdzięki, kiedy już było po wszystkim. Teraz opłakiwał ich jak kochanków, których utracił, zanim zdążył ich poznać dostatecznie blisko; widział ich wszystkie tajemne zakamarki, ale nie pozwolono mu się nimi nasycić.

Jednak o świcie, gdy jego nastrój sięgnął dna, przez głowę przebiegła mu przedziwna myśl: a gdyby tak sprowadził ich do siebie, zmaterializował ich samym żarem swego pragnienia. Przecież marzenia się spełniają. Artystom wciąż się to zdarza, a przecież w każdym z nas jest coś z artysty. Ta myśl, ledwie zarysowana, nie pozwalała mu odejść od ekranu. Oglądał „Ostatnie dni Pompei”, „Born to be Made”, „Sekrety więzienia dla kobiet” - znał te filmy jak historię własnego życia, ale one - w przeciwieństwie do jego minionych dziejów - mogły jeszcze żyć w czasie teraźniejszym.

Nie był jedynym growianinem, którego prześladowały podobne myśli, chociaż żaden z nich nie cierpiał na manię seksualną w równym jak on stopniu. Ta sama myśl - że jakaś upragniona osoba lub osoby mogłyby być wywołane z głębi umysłu, by stać się towarzyszem

zabawy - nawiedziła wszystkich ludzi, którzy zebrali się tłumnie w Pasażu poprzedniego wieczoru.

Gwiazdy oper mydlanych, konferansjerzy teleturniejów, krewni, którzy zmarli lub odeszli, rozwiedzeni małżonkowie, zaginione dzieci, bohaterowie komiksów - tyle było postaci, ile umysłów, które je przywoływały do siebie.

W przypadku niektórych osób - na przykład Williama Witta - postaci z marzeń materializowały się w takim tempie (wspomagany u wielu przez obsesję, u innych - przez tęsknotę lub zawiść), że już przed świtem, w kątach ich pokojów tworzyły się zbitki materii, tam gdzie powietrze gęstniało, przygotowując się do cudu.

W pokoju Shuny Melkin, córki Christine i Larry'ego Melkinów, pewna słynna królowa rocka - która zmarła przed wielu laty z przedawkowania narkotyków, ale pozostała jedynym, obsesyjnym idolem Shuny Melkin - zaczęła ujawniać swoją obecność śpiewem tak cichym, że można by go wziąć za wiatr zawodzący pod okapem, ale Shuna dobrze znała tę melodię.

Na strychu domu Ossie Lartona były zadrapania, które rozpoznał - uśmiechając się do siebie - jako ślad bólów porodowych wilkołaka; utrzymywał z nim skrytą zażyłość od czasu, gdy zrozumiał, że można sobie wyobrazić podobne stwory. Miał na imię Eugeniusz - ten wilkołak; to imię, w młodocianym wieku lat sześciu, kiedy Ossie po raz pierwszy powołał swego towarzysza do życia, wydawało się odpowiednie dla człowieka, który w czasie pełni księżyca porastał futrem.

W przypadku Karen Conroy, trzy tematy z jej ulubionego filmu „Miłość zna twoje imię” - był to romans, który nie przyciągnął do kin wielu widzów, ale ona przeplakała na nim sześć seansów pod rząd podczas dawnej wycieczki do Paryża - były wyczuwalne w jej saloniku jak delikatne francuskie perfumy.

I tak dalej i temu podobne.

Nim minęło popołudnie, nie było w tym tłumie osoby, której nie nawiedziłoby uczucie - oczywiście w wielu wypadkach ignorowane - że ma niespodziewanych gości. Populacja Palomo Grove, powiększona o setkę upiorów, przybyłych na wezwanie džaffa, miała się wkrótce znów powiększyć.

- Sama przyznałaś, że nie wiesz, co się naprawdę zdarzyło wczoraj wieczorem...
- Grille, nie chodzi o przyznawanie albo nie...
- No dobra. Nie kłóćmy się. Dlaczego każda nasza rozmowa musi kończyć się wrzaskiem?
- Nikt tutaj nie wrzeszczy.
- No dobrze. Proszę cię tylko, żebyś pomyślała nad tym, że zlecenie, którym cię obarczył...
- Zlecenie?
- Teraz się naprawdę wydzierasz. Ja tylko mówię, żebyś się przez chwilę zastanowiła. Może to być twoja ostatnia podróż w życiu.
- Ewentualność wzięto pod uwagę.
- Więc pozwól mi jechać z tobą. Nigdy nie byłaś na południe od Tijuana.
- Ty też nie.
- Tam będą ciężkie warunki.
- Słuchaj, opracowywałam artystyczne filmy dla ludzi, którzy z trudem rozumieli o co chodzi w historyjce o Słoniu Trąbalskim. Wiem, co to są ciężkie warunki. Jeśli chcesz zrobić coś naprawdę pożytecznego, to zostań tutaj i wracaj do zdrowia.
- Już jestem zdrowy. Nigdy nie czułem się lepiej.
- Chcę, żebyś był tutaj, Grillo. Żebyś obserwował. To jeszcze się nie skończyło. Do

końca jeszcze daleko.

- Niby co mam obserwować, na co czekać? - Grillo przyznał jej rację przez zaniechanie dyskusji.

- Zawsze miałeś nosa do zakulisowych wydarzeń. Kiedy tylko dżaff zrobi następny ruch, choćby to robił najciszej, ty się o tym dowiesz. Aha, widziałeś Ellen wczoraj wieczorem? Była w tym zbiegowisku, razem z małym. Na początek mógłbyś się dowiedzieć. Jak ona się czuje następnego ranka...

Nie chodziło o to, że obawy Grillo o jej bezpieczeństwo były bezpodstawne, czy też o to, że byłby jej niemiły jako towarzysz podróży, w którą się wybierała. Ale z powodów, których nie umiała przedstawić w delikatny sposób, więc ich nie przedstawiała, jego obecność byłaby przeszkodą, której nie miała prawa ryzykować - ze względu na jego własne dobro, jak i powodzenie przedsięwzięcia. Jednym z ostatnich dokonań Fletchera było nakłonienie Tesli, by odbyła podróż do misji; napomknął nawet, że jego wybór był w jakiś sposób wyznaczony z góry. Jeszcze niedawno odrzuciłaby podobny mistycyzm, ale po ostatniej nocy musiała przyjąć bardziej elastyczne podejście. Nie należało wyśmiewać świata tajemnic, który dotąd traktowała z lekceważeniem w swoich scenariuszach o duchach i statkach powietrznych. Ten świat tropił ją, aż dopadł i wrzucił - z całym jej cynizmem - w wir swoich cudów i koszmarów. Te ostatnie objawiły się w formie wojska dżaffa, te pierwsze - w przeobrażeniu Fletchera: ciało obrócone w światło.

Wyznaczona ziemską posłanką zmarłego, Tesla odczuła dziwne odprężenie, mimo niebezpieczeństw, które na nią czekały. Nie musiała już ćwiczyć się w cynizmie; nie musiała ustawicznie dzielić pojęć na prawdziwe (trwałe, rozsądne) i fantastyczne (bezcieleśne, bezużyteczne). Jeżeli kiedyś(kiedy?) zasiądzie znów do maszyny do pisania, gruntownie przerobi scenariusze, które pisała z przymrużeniem oka: opowie je z całym przekonaniem -

nie dlatego, że każda fantazja musi być prawdziwa, ale ponieważ żadna rzeczywistość nigdy taka nie była.

Wyjechała z Grove około dziesiątej rano, wybierając drogę biegnącą w pobliżu Pasażu, gdzie proces przywracania status quo znacznie posunął się do przodu. Jeśli się pośpieszy, przekroczy granicę przed zapadnięciem zmroku, a do misji Św. Katarzyny czy też - jeśli nadzieje Fletchera były uzasadnione - na pustkowie, gdzie niegdyś stał budynek misji, przyjedzie przed świtem.

Zgodnie z poleceniem ojca, poprzedniej nocy Tommy-Ray wrócił niepostrzeżenie do Pasażu, długo po tym, jak ludzie rozeszli się do domów.

Policja zdążyła tam już przyjechać, ale Tommy-Ray bez trudu wykonał swoje zadanie: odnalazł terata, które własnoręcznie wczepił w ciało Katza.

Dżaffowi nie chodziło o to, by nie dostało się w ręce policji; chciał je odzyskać z innych powodów. Jeszcze nie zdechło; gdy tylko wróciło do swego twórcy, wyrzuciło z siebie wszystko, co widziało i słyszało. Dżaff położył na nie ręce niby uzdrowiciel i wydobył potrzebne informacje z jego systemu nerwowego.

Kiedy usłyszał to, co chciał wiedzieć, zabił informatora.

No dobrze... zdaje się, że wyruszysz w podróż, o której wspominałem, wcześniej niż to kiedyś planowałem.

- A co z Jo-Beth? Ten drań Katz znów ją ma.

Zeszłej nocy na próżno namawialiśmy ją, żeby dołączyła do naszej rodziny. Odrzuciła nas. Teraz niech sama sobie radzi w tym zamęćcie.

- Ale...

Ani słowa więcej na ten temat. Twoja obsesja na tle tej dziewczyny jest naprawdę śmieszna. I bez dąsów! Zbyt długo ci pobażano. Myślisz, że kiedy uśmiechniesz się tym swoim

uśmiechem, to dostaniesz wszystko, co zechcesz? Jej nie dostaniesz.

- Mylisz się. Udowodnię ci to.

Ale nie teraz. Teraz musisz wyjechać.

- Najpierw Jo-Beth - powiedział Tommy-Ray i chciał odejść, ale ręka džaffa spadła mu na ramię, zanim ruszył się z miejsca. Gdy uczył dotyk džaffa, zaskowitył z bólu.

Skończ z tymi wygłupami!

- Boli!

O to mi chodziło!

- Ale ty naprawdę robisz mi krzywdę... Przestań!

Synu, przecież to ciebie kocha śmierć, tak czy nie?

Tommy-Ray czuł, że nogi się pod nim uginają. Z oczu popłynęły mu łzy, z nosa śluz, zmoczył się w spodnie.

Chyba nawet w połowie nie jesteś tym mężczyzna za jakiego się podajesz - odezwał się džaff. - Nawet w połowie.

- Przepraszam... nie rób mi więcej nic złego, proszę cię...

Nie sądzę, by prawdziwi mężczyźni wciąż węszyli za własnymi siostrami. Znajdują sobie inne kobiety. I nie mówią o śmierci jak o dziecinnej zabawce, a potem nie smarkają się. gdy tylko poczują lekki ból.

- Dobrze! Dobrze! Już rozumiem! Tylko przestań, proszę cię, przestań!

Dżaff puścił go. Tommy-Ray upadł na ziemię.

Ta noc była zła dla nas obu - powiedział ojciec. - Obydwu nam coś odebrano... Tobie - siostrę... Mnie - satysfakcję zniszczenia Fletchera. Ale czekają nas jeszcze piękne chwile. Zdaj się na mnie.

Pochylił się, by podnieść Tommy-Raya. Gdy chłopiec poczuł palce ojca na swoim

ramieniu, uchylił się bojaźliwie. Ale tym razem dotyk był łagodny, nawet kojący.

Chciałbym cię posłać w pewne miejsce - powiedział dżaff. - Chodzi mi o Misję Św.

Katarzyny...

II

Dopiero kiedy Fletcher odszedł z życia Howie'ego, chłopiec zrozumiał, jak wiele pytań pozostało bez odpowiedzi; ile problemów, które tylko ojciec pomógłby mu rozwiązać. W nocy nie zaprzętał tym sobie głowy, spał twardo.

Dopiero rano zaczął żałować, że nie chciał wysłuchać Fletchera. Jemu i Jo-Beth pozostała tylko jedna droga: mogli spróbować złożyć z różnych poszlak historię, w której najwyraźniej grali znaczne role - z poszlak i świadectwa matki Jo-Beth.

Zesłonocna inwazja odmieniła Joyce McGuire. Przez wiele lat próbowała nie dopuścić do swojego domu zła, a gdy w końcu przegrała, poczuła się w jakiś sposób wyzwolona.

Najgorsze już się stało, czego jeszcze mogłaby się obawiać? Przeszła przez własne, prywatne piekło - i przeżyła. Boskie wstawiennictwo - w osobie pastora - okazało się bezskuteczne. To Howie wyruszył na poszukiwania jej córki i w końcu przyprowadził ją do domu, oboje byli obszarpani i pokrwawieni. Zaprosiła go do domu, nalegała nawet, by został na noc.

Następnego ranka chodziła po domu z miną kobiety, której powiedziano, że jej guz jest łagodny i zostało jej jeszcze kilka ładnych lat życia.

Kiedy wczesnym popołudniem wszyscy troje siedli, by porozmawiać, nie od razu dała się namówić do opowiedzenia swojej przeszłości, a gdy już zaczęła, mówiła i mówiła.

Popłakiwała od czasu do czasu, zwłaszcza gdy mówiła o Arleen, Carolyn i Trudi, ale w miarę, jak relacjonowane wydarzenia nabierały tragicznego wymiaru, jej opowieść stawała się coraz bardziej beznamiętna. Czasem dorzucała nowe szczegóły lub przerywała, by pochwalić kogoś, kto pomógł jej w czasie tych trudnych lat, gdy samotnie wychowywała Jo-Beth i

Tommy-Raya, wiedząc, że mówiono o niej jako o tej rozpustnicy, której udało się przetrwać.

- Ileż to razy chciałam wyjechać z Grove - powiedziała. - Tak jak Trudi.

- Wyjazd chyba w niczym jej nie pomógł - wtrącił Howie. - Zawsze była nieszczęśliwa.

- Ja pamiętam ją inną. Zawsze była w kimś zakochana.

- Czy pani wie... w kim była zakochana, zanim przyszedłem na świat?

- Chodzi ci o to, czy wiem, kto był twoim ojcem?

- Tak.

- Mam dobry pomysł. Twoje drugie imię było jego pierwszym imieniem. Ralph

Contreras. Był ogrodnikiem przy kościele luterańskim. Często się nam przyglądał, kiedyśmy

wracały ze szkoły. Dzień w dzień. Twoja matka była bardzo ładna, wiesz? Nie jak jakaś

gwiazda filmowa, jak Arleen, ale miała takie ciemne oczy... ty masz oczy po niej... W oczach

miała coś nieuchwytnego. Ralph chyba zawsze ją kochał. Oczywiście dużo to on nie mówił.

Okropnie się jąkał.

Howie uśmiechnął się.

- Więc to był naprawdę on. Na mnie przeszło.

- Nie zauważyłam.

- Wiem, to dziwne. Już się nie jąkam. Zupełnie jakby spotkanie z Fletcherem uwolniło

mnie od jąkania. Proszę mi powiedzieć, czy Ralph wciąż mieszka w Grove.

- Nie. Wyjechał, zanim się urodziłeś. Pewnie myślał, że będą go chcieli zlinczować.

Twoja matka była białą dziewczyną z klasy średniej, a on...

Urwała, widząc wyraz twarzy Howie'ego.

- A on? - ponaglił ją Howie.

- ...był Latynosem.

Howie kiwnął głową.

- Człowiek codziennie dowiaduje się czegoś nowego, prawda? - powiedział lekkim tonem coś, co najwyraźniej ciężko go dotknęło.

- W każdym razie dlatego właśnie wyjechał - ciągnęła Joyce. - Jestem pewna, że gdyby tylko twoja matka wymieniła jego nazwisko, oskarżono by go o gwałt. A to nie był żaden gwałt. Wszystkie nas pchało coś do tego, coś, co wszczepił w nas diabeł.

- To nie diabeł, mamó - powiedziała Jo-Beth.

- To ty tak uważasz - odparła z westchnieniem. Wydawało się, że opuszcza ją cała energia, gdy tylko zabrzmiało stare słownictwo. - I może masz rację. Ale ja jestem za stara, żeby zmieniać sposób myślenia.

- Za stara? - zdziwił się Howie. - O czym pani mówi? Wczoraj zrobiła pani coś niezwykłego.

Joyce wyciągnęła rękę i pogładziła go po policzku.

- Musicie pozwolić mi wierzyć w to, w co wierzę. To tylko słowa, Howardzie. Dla was to dżaff, dla mnie - diabeł.

- A jak się to wszystko ma do Tommy-Raya i do mnie, mamó? - spytała Jo-Beth. -

Dżaff powołał nas do życia.

- Często się nad tym zastanawiałam - odpowiedziała Joyce. - Kiedy byliście jeszcze bardzo mali, nie spuszczałam z was oka, czekając aż ujawni się w was zło. Tak było w wypadku Tommy-Raya. Zabrał go ten, który dał mu życie. Może ciebie, Jo-Beth, uratowały moje modlitwy. Chodziłaś ze mną do kościoła, poznawałaś zasady wiary. Ufałaś Bogu.

- Więc uważasz, że Tommy-Raya nie da już się uratować?

Matka przez chwilę milczała, ale kiedy przemówiła, było jasne, że nie ma na ten temat żadnych wątpliwości:

- Tak - powiedziała wreszcie. - Już przepadł.

- Nie wierzę - powiedziała Jo-Beth.

- Nawet po tym, co chciał wczoraj zrobić? - wtrącił Howie.

- Howie, on nie wie, co robi. Jest pod wpływem dżaffa. Znam go lepiej niż siostra zna brata...

- Słucham?

- Jesteśmy bliźniętami. Czuję to, co on.

- W nim jest zło - powiedziała matka.

- Więc jest i we mnie - odparowała Jo-Beth. Wstała. - Kochałaś go jeszcze trzy dni temu. Teraz mówisz, że już po nim. Oddałaś go dżaffowi. Ja go tak nie zostawię. - Po tych słowach wyszła z pokoju.

- Może ona ma rację - powiedziała Joyce cicho.

- Że można uratować Tommy-Raya? - spytał Howie.

- Nie. Że może i w niej jest diabeł.

Howie znalazł Jo-Beth na podwórku; stała z twarzą wzniesioną ku niebu, oczy miała zamknięte. Obejrzała się.

- Uważasz, że mama ma rację - powiedziała. - Że Tommy-Raya trzeba spisać na straty.

- Nie, nie uważam, jeśli ty wierzysz, że można przemówić mu do rozumu. Przywrócić do normalnego życia.

- Nie mów tak tylko po to, by mi sprawić przyjemność. Jeśli myślisz inaczej, masz mi powiedzieć.

Położył rękę na jej ramieniu.

- Słuchaj, przecież gdybym wierzył w to, co mówiła twoja matka, to nie wróciłbym, prawda? Ale jestem znanym uparciuchem, pamiętasz? Jeśli uważasz, że możemy złamać władzę dżaffa nad Tommy-Rayem, to ją złamiemy, do diabła. Tylko nie żądaj, żebym go

polubił.

Odwróciła się i stanęła z nim twarzą w twarz, odgarniając pukiel włosów, który wiatr zarzucił jej na twarz.

- Nigdy bym nie pomyślał, że będę cię obejmował pod domem twojej matki -
powiedział Howie.

- Cuda się zdarzają.

- Nie, cuda są czymś dziełem. Cudem jesteś ty, ja, słońce, a największym cudem jest to, że jesteśmy tu wszyscy troje.

III

Po odjeździe Tesli, Grille zadzwonił najpierw do Abernethy'ego. Powiedzieć mu czy nie - to był tylko jeden z jego dylematów. Pytanie, które nabrało teraz większej ostrości niż kiedykolwiek przedtem, brzmiało:

Jak? Grillo nie miał w sobie nic z powieściopisarza. Dla swego pisania szukał stylu, który wyłożyłby fakty w możliwie najprostszy sposób. Żadnych ozdobników; żadnych słowotwórczych zrywów. Wzorował się w tym bynajmniej nie na jakimś dziennikarzu, ale na Jonathanie Swifcie, autorze Podróży Guliwera, człowieku, któremu tak bardzo zależało na jasnym przekazie satyrycznych treści, że podobno czytywał służącym, to co napisał, by zyskać pewność, że jego styl nie zniekształcił treści. Grillo traktował tę anegdotę jako kamień probierczy. Wszystko to było bardzo piękne, kiedy pisał reportaże na temat bezdomnych w Los Angeles czy narkomanii. Fakty były jasne same w sobie.

Ale ta historia - poczynając od sprawy jaskiń, a na samospaleniu Fletchera kończąc - nie była już tak prosta. Jak mógł napisać reportaż o tym, co widział zeszłej nocy, a nie napisać, co przy tym czuł?

Dawał Abernethy'emu wymijające odpowiedzi. Nie miałyby sensu udawanie, że w

ogóle nic się w Grove nie stało. O akcie wandalizmu doniosły wszystkie miejscowe stacje, chociaż nie traktowały tej sprawy jako szczególnie ważnej. Abernethy już o tym wiedział.

- Byłeś tam, Grillo?

- Później, już po fakcie. Usłyszałem sygnały alarmowe i...

- I?

- Niewiele jest tu do opowiadania. Wybili kilka szyb.

- Chuligani z Los Angeles na gościnnych występach.

- Ludzie tak mówią?

- Ludzie mówią? Grillo, do cholery, to ty jesteś reporterem, nie ja. Czego ci trzeba?

Narkotyków? Kielicha? Odwiedzin jakiejś lafiryndy Muzy?

- Muzy nie były lafiryndami.

- A kogo to obchodzi - były czy nie były? Masz napisać reportaż, który ludzie będą chcieli czytać. Pewnie były jakieś obrażenia...

- Raczej nie.

- No to je wymyśl.

- Właściwie to mam coś...

- Co? CO?!

- Założę się, że jeszcze nikt o tym nie napisał.

- Byłoby lepiej dla ciebie, Grillo, żeby to było coś dobrego. Uważaj, możesz wylecieć z roboty.

- W domu Vance'a ma się odbyć przyjęcie. Żeby uczcić jego odejście.

- Okay. Wkręc się tam. Chcę mieć wszystko na jego temat i na temat jego przyjaciół. Z nim było kiepsko. Tacy mają też kiepskich przyjaciół. Chcę mieć nazwiska, daty, kontakty.

- Abernethy, czasem mówisz tak, jakbyś oglądał zbyt wiele filmów.

- To znaczy jak?

- Zostawmy to.

Przez dłuższą chwilę, po odłożeniu słuchawki, prześladowała Grillo wizja Abernethy'ego, który wysiaduje nocami, by uczyć się na pamięć urywków gazetowej epiki, doskonaląc się w profesji redakcyjnego wygi, który niejedno przeszedł już w życiu. Nie on jeden, pomyślał Grillo. Każdemu w zakamarkach mózgu grał jakiś film, nad którego tytułem widniało jego własne nazwisko. Ellen była skrzywdzoną przez los kobietą, skrywającą jakąś straszną tajemnicę. Tesla - postrzeleńcem, wypuszczonym z zachodniego Hollywoodu w świat, z którym nie potrafiła dojść do ładu. Ten wątek doprowadził go oczywiście do pytania: kim był on sam? Młodym reporterem, który trafił na rewelacyjny materiał? Człowiekiem o nieskazitelnej uczciwości, któremu nie dawały spokoju przestępstwa, wymierzone w skorumpowany system społeczny? Żadne z tych określeń nie było adekwatne, chociaż może pasowałyby do niego zaraz po przyjeździe, gdy pełen entuzjazmu zabrał się za reportaż o Buddym Vansie. Rozwój wydarzeń jakby usunął go w cień. Inni, szczególnie Tesla, wysunęli się na plan pierwszy.

Patrząc w lustro, zastanawiał się, jak wygląda gwiazda bez firmamentu.

Może mógłby zmienić zawód? Zostać konstruktorem raket, żonglerem, kochankiem.

Może kochankiem? Kochankiem Ellen Nguyen? To brzmiało nieźle.

Długo nie otwierała drzwi, a kiedy wreszcie stanęła w progu, potrzebowała zdaje się dobrych kilku sekund, żeby go rozpoznać. Grillo już miał jej podpowiedzieć, kiedy na jej twarzy ukazał się uśmiech i powiedziała:

- Proszę... niech pan wejdzie. Przeszła panu grypa?

- Jestem jeszcze trochę rozbity.

- Ja chyba także ją złapałam.. - powiedziała, zamykając drzwi. - Kiedy się dziś

obudziłam, czułam się jakby... sama nie wiem...

Zasłony były wciąż zasunięte. Mieszkanie wydało mu się jeszcze mniejsze, niż je zapamiętał.

- Pewnie napiłby się pan kawy.

- Jasne. Dzięki.

Odeszła do kuchni, zostawiając Grillo samego pośrodku pokoju, w którym każdy mebel był zawalony magazynami, zabawkami albo nie posortowanym praniem. Dopiero kiedy zaczął sobie szykować jakieś miejsce do siedzenia, zorientował się, że nie jest sam. U wylotu korytarza, prowadzącego do dzieciennego pokoju, stał Philip. Spacer do Pasażu zeszłej nocy był trochę przedwczesny. Chłopczyk wciąż wyglądał mizernie.

- Cześć - powiedział Grillo. - Jak się masz?

Niespodziewanie, chłopiec uśmiechnął się całą buzią.

- Widziałeś? - zapytał.

- Ale co?

- W Pasażu - powiedział Philip. - Na pewno widziałeś. Wiem. Te piękne światelka.

- Owszem, widziałem.

- Opowiedziałem o wszystkim Baloniarzowi. Dlatego wiem, że mi się to nie śniło.

Podszedł do Grillo, wciąż się uśmiechając.

- Dostałem twój rysunek - powiedział Grillo. - Dziękuję.

- Już ich nie potrzebuję.

- A to dlaczego?

- Philip - Ellen wróciła z kawą. - Nie naprzykrzaj się panu Grillo.

- On się nie naprzykrza - Grillo popatrzył na Philipa. - Może później porozmawiamy o

Baloniarzu - dodał.

- Może - odpowiedział chłopczyk takim tonem, jakby zależało to wyłącznie od dobrego zachowania Grillo. - To idę - oświadczył, zwracając się do matki.

- Dobrze, kochanie.

- Czy mam się z nim przywitać? - zwrócił się do Grillo.

- Tak, jak najbardziej - odparł zapytany, niepewny, o co chłopcu chodzi.

Philip odszedł do swojego pokoju z zadowoloną miną.

Ellen uprzątała różne rzeczy, robiąc miejsce dla siebie i Grillo. Krzątała się pochylona, odwrócona do Grillo tyłem. Prosty szlafrok o kroju kimona ściśle przylegał do jej ciała.

Pośladki miała wydatne jak na kobietę tego wzrostu. Kiedy się odwróciła, szarfa obwiązująca kimono rozwiązała się. Fałdy szlafroka rozchyliły się na jej dekolcie. Miała ciemną, gładką skórę. Podając mu kawę, uchwyciła jego aprobujące spojrzenie; nie próbowała owinać się ściślej. Rozchylone kimono przyciągało wzrok Grillo za każdym razem, gdy się poruszyła.

- Cieszę się, że pan przyszedł - powiedziała, gdy usiedli. - Zmartwiłam się, kiedy pana znajoma...

- Tesla.

- Tesla. Kiedy Tesla powiedziała mi, że się pan rozchorował. Czułam się za to odpowiedzialna - wypła łyżeczek kawy. Gdy kawa spłynęła jej na język, rzuciła się gwałtownie w tył. - Gorąca - powiedziała.

- Philip mówił, że wczoraj wieczorem byliście w Pasażu.

- Pan też. Nie wie pan, czy kogoś zraniono? Tyle tam natłuczono szyb.

- Ucierpiał tylko Fletcher - odparł Grillo.

- Chyba go nie znam.

- Ten, który się spalił.

- Ktoś się spalił? O Boże, to straszne.

- Na pewno to pani widziała.

- Nie - zaprzeczyła. - Widzieliśmy tylko szkło.

- I światła. Philip mówił o światłach.

- Tak - powiedziała z wyraźnym zdziwieniem. - Mnie też o tym mówił. Wie pan, niczego takiego nie pamiętam. Czy to ważne?

- Ważne jest tylko to, że obojgu wam nic się nie stało - użył tej oklepanej formułki, by ukryć zmieszanie.

- No tak, z nami wszystko w porządku - powiedziała, patrząc mu prosto w oczy, zakłopotanie nagle znikło z jej twarzy. - Jestem zmęczona, ale nic mi nie jest.

Odstawiła filiżankę, tym razem negliż rozchylił się na tyle, że Grillo zobaczył jej piersi. Dokładnie wiedziała, co robi - nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości.

- Czy miała pani jakieś wiadomości z rezydencji? - odczuwał niezaprzeczalną przyjemność, rozmawiając o interesach, podczas gdy myślał o seksie.

- Mam tam iść - powiedziała Ellen.

- Kiedy ma być to przyjęcie?

- Jutro. To krótki termin, ale chyba wielu przyjaciół Buddy'ego oczekiwało jakiejś uroczystości pożegnalnej.

- Chciałbym się tam dostać.

- Będzie pan o nim pisał?

- Oczywiście. To pewnie będzie spora impreza?

- Chyba tak.

- Ale chodzi mi o coś jeszcze. Obydwoje wiemy, że w Grove dzieje się coś niezwykłego. Wczoraj wieczorem, nie tylko w Pasażu... - urwał, widząc, że na wzmiankę o wczorajszej nocy jej twarz nabrała roztargnionego wyrazu. Czy była to dobrowolna amnezja,

czy też naturalny proces, który wywołały czary Fletchera? Podejrzał, że raczej to pierwsze.

Philip, mniej oporny wobec zmian w istniejącym stanie rzeczy, nie miał podobnych kłopotów z pamięcią. Kiedy Grillo z powrotem skierował rozmowę na przyjęcie. Ellen znów słuchała uważnie.

- Czy mogłaby pani ułatwić mi wejście?

- Musi pan zachować ostrożność. Rochelle wie, jak pan wygląda.

- Czy nie mógłbym dostać oficjalnego zaproszenia? Jako przedstawiciel prasy?

Potrząsnęła głową.

- Nie będzie żadnej prasy - wyjaśniła. - To ściśle prywatna impreza. Nie wszyscy znajomi Buddy'ego są chciwi rozgłosu. Niektórzy z nich mają go dokładnie dosyć. Niektórzy woleliby nigdy go nie zaznać. Spotykał się z przeróżnymi ludźmi... Jak to ich nazywał?...ostrymi graczami. Pewnie chodziło o mafię.

- Tym bardziej powinienem tam pójść.

- Cóż, postaram się to panu załatwić, zwłaszcza że przeze mnie pan chorował. Będzie tylu gości, że może zginie pan w tłumie...

- Byłbym wdzięczny za pomoc.

- Jeszcze kawy?

- Nie, dziękuję. - Spojrzał na zegarek, ale nie widział godziny.

- Pan jeszcze nie idzie - powiedziała. To było stwierdzenie, nie pytanie.

Podobnie, jak z jego odpowiedzią:

- Nie. Nie pójdę, jeśli pani woli, żebym został.

Wyciągnęła bez słowa rękę, by dotknąć go przez materiał koszuli.

- Wolałabym, żebyś został.

Odruchowo popatrzył w stronę pokoju Philipa.

- Nie martw się - uspokoiła go. - Będzie się bawił godzinami. - Wsunęła zgięty palec między guziki jego koszuli. - Chodź ze mną do łóżka. - Wstała i zaprowadziła go do swojej sypialni. W przeciwieństwie do bałaganu, panującego w innych pomieszczeniach, ten pokój miał spartański wygląd. Przymknęła rolety w oknach, nadając pokojowi szarość pergaminu, a potem usiadła na łóżku i popatrzyła na Grillo. Pochylił się i pocałował ją w twarz; wsunął dłoń pod jej negliż i lekko potarł jej pierś.

Przycisnęła jego rękę mocniej do siebie, nalegając na bardziej szorstkie traktowanie.

Potem pociągnęła go w dół na siebie. Ponieważ znacznie różnili się wzrostem, jego podbródek wspierał się o czubek jej głowy, ale potrafiła to wykorzystać w grze miłosnej; szybko rozpięła mu koszulę i lizała skórę na jego piersiach, jej język znaczył mokry ślad od jednej brodawki do drugiej.

Ani na chwilę nie zwolniła z uchwytu jego dłoni. Wbiła mu boleśnie paznokcie w skórę. Udało mu się wyrwać rękę i sięgnął do szarfy jej negliżu, ale jej ręka była szybsza.

Zsunął się z Ellen, chciał usiąść i rozebrać się, ale schwyciła go za koszulę równie silnie jak przed chwilą i, nie puszczając go od siebie, przyciskając twarz do jego ramienia, drugą ręką rozwiązała luźny węzeł szarfy i odrzuciła poły na bok. Pod negliżem była zupełnie naga.

Nawet podwójnie naga - krocze miała dokładnie wygolone.

Teraz odwróciła twarz i przymknęła oczy. Jedną ręką wciąż trzymając go za koszulę, a drugą złożywszy bezwładnie wzdłuż ciała, jakby podawała mu siebie samą na tacy: Weź mnie, częstuj się. Położył rękę na jej brzuchu, przesuwał ją w stronę krocza; naciskał mocno na skórę, która z wyglądu i w dotyku była jak polerowana.

Nie otwierając oczu, powiedziała niegłęboko:

- Wszystko, co chcesz.

Ta oferta na chwilę zbiła go z tropu. Był przyzwyczajony, że partnerzy uzgadniają

pewne szczegóły, ale ta kobieta, zupełnie się nie certując, ofiarowała mu swoje ciało, by nim rozporządzał według własnego uznania.

Poczuł się nieswojo. Gdy był wyrostkiem, taka pasywność wydałaby mu się nieodparcie pociągająca. Teraz jego dusza liberała doznała wstrząsu.

Wymówił jej imię w nadziei, że da mu jakiś znak, ale zignorowała go.

Dopiero gdy znowu wstał, by zdjąć koszulę, otworzyła oczy i powiedziała:

- Nie, Grillo. Tak jak teraz.

Twarz miała zaciętą, w jej głosie brzmiał gniew; zapragnął odpowiedzieć jej tym samym. Nakrył ją sobą, ujął jej głowę w swoje ręce i wsunął język głęboko w jej usta. Jej ciało rwało się do niego, trąc o Grillo tak silnie, że musiała odczuwać tyleż bólu, co przyjemności.

Pokój, w którym niedawno pili kawę zadrżał. Jakby przeszło lekkie trzęsienie ziemi. Po stole przesunęły się drobinki kurzu pod wpływem poruszeń jakiejś ledwie widzialnej postaci, która wychylnęła z najmroczniejszego kąta pokoju i skierowała się w stronę sypialni, raczej sunąc niż idąc. Jej kształt, choć szczątkowy, był zbyt wyrazisty, by uznać ją za zwyczajny cień, ale zbyt nikły, by zasłużyć na miano ducha. Czymkolwiek ten kształt kiedyś był, czy też czymkolwiek zamierzał być, nawet w obecnym stanie miał przed sobą wytyczony cel.

Przyzywany przez kobietę, która właśnie marzyła, by stał się jawą, podszedł do sypialni. Nie wpuszczono go, więc stał mroczny u drzwi, czekając na dalsze polecenia.

Z pokoju dziecinnego wyszedł Philip i poszedł do kuchni, szukając czegoś do zjedzenia.

Otworzył pudło z herbatnikami, dokopał się do herbatników w czekoladzie i ruszył z powrotem; w jednej ręce niósł trzy ciastka dla siebie, a w drugiej trzy dla kolegi, którego pierwsze słowa brzmiały:

- Jestem głodny.

Grillo uniósł głowę znad wilgotnej twarzy Ellen. Otworzyła oczy:

- O co chodzi?

- Ktoś stoi za drzwiami.

Podniosła głowę i boleśnie ugryzła go w podbródek. Skrzywił się.

- Przestań - powiedział.

Ugryzła go jeszcze mocniej.

- Ellen...

- Więc ty też mnie gryź - powiedziała. - Nie zdążył ukryć głupawej miny. Złapała go na tym. - Mówię serio, Grillo. - Wsunęła zgięty palec między jego wargi, napierając dłonią na jego podbródek. - Otwórz - powiedziała. - Chcę, żebyś sprawiał mi ból. Nie bój się. Chcę tego. Nie jestem ze szkła. Nie stłukę się.

Wyzwolił się z jej uścisku.

- Proszę cię, zrób to - powiedziała.

- Naprawdę tego chcesz?

- Ile razy mam ci to powtarzać?

Położyła rękę, którą przed chwilą odtrącił, na tył jego głowy. Pozwolił, by znów przyciągnęła do siebie jego twarz, i zaczął leciutko kąsać jej wargi, szyję, czekając, że zaprotestuje. Nie protestowała. Zaczęła teraz jęczeć, tym głośniejsze, im mocniej ją gryzł. Jej reakcja rozwiała wszelkie obawy Grillo.

Sunął niżej, z szyi na piersi; jęki narastały miarowo. Między jękami szeptała jego imię, pobudzając go do większej aktywności. Jej skóra zaczerwieniła się nie tylko od ugryzień, ale również od podniecenia. Nagle wystąpił na niej pot. Wsunął dłoń między jej nogi, drugą ręką przytrzymując jej ramiona nad głową. Jego palce łatwo weszły w wilgotny srom. Utrzymanie jej w tej pozycji kosztowało go sporo wysiłku; zaczął dyszeć, mokra koszula lepiła mu się do

pleców. Mimo całej niewygodności, ta sytuacja podniecała go.

Jej ciało otwarte, wydane na pastwę jego żądz, jego - uwięzione, zapieczętowane suwakami i guzikami. Bolał go członek, stwardniały, niewygodnie ułożony; jednak pod wpływem bólu tężał jeszcze bardziej. Ból i tężenie syciły się nawzajem, jak on sycił się Ellen i jej żądaniem, by zadawał jej jeszcze więcej bólu i jeszcze szerzej ją otwierał.

Wyprostowanymi palcami czuł żar jej sromu; piersi miała poznaczone bliźniaczymi półksiężycami, odcisniętymi przez jego zęby. Sutki sterczały jak ostrza strzał: ssał je i międlił zębami. Jęki Ellen przeszły w szloch; leżąc pod nim, zginała i prostowała nogi z taką siłą, że oboje o mało nie spadli z łóżka. Kiedy na chwilę zwolnił napór, schwyciła jego dłoń i wsunęła jego palce jeszcze głębiej w siebie.

- Nie przerywaj - nakazała.

Podjął jej rytm i zdwoił go; parła biodrami na jego rękę, aż jego palce wniknęły w nią po kostki. Przyglądał się jej, a krople potu spadały z jego twarzy na jej twarz. Nie otwierając zaciśniętych powiek, uniosła głowę, by lizać jego czoło i okolice ust; nie całowała go, a tylko wilżyła lepka śliną.

Wreszcie poczuł, że cała tężeje; wstrzymała jego rękę, a jej oddech stał się krótki i płytki. Potem mocno przywarła do niego - pokazała się krew - i rozluźniła się. Głowa opadła jej w tył. Jej ciało było nagle tak bezwładne jak wtedy, gdy położyła się i obnażyła dla niego. Zsunął się z niej. Jej serce, niczym piłka squashowa, uderzało o ściany jego czaszki i klatki piersiowej.

Przez jakiś czas leżeli jak otumanieni. Nie wiedział, czy minęły sekundy czy minuty.

Najpierw poruszyła się Ellen; siadła i otuliła się szlafrokiem.

Grillo otworzył oczy.

Zawiażywała szarfę, niemal pedantycznym ruchem obciągając odzież z przodu. Patrzył,

jak idzie do drzwi.

- Chwileczkę - powiedział. Sprawa nie była jeszcze zakończona.

- Następnym razem - odparła.

- Co?

- Słyszałeś - padła odpowiedź jak rozkaz. - Następnym razem.

Wstał z łóżka; zdawał sobie sprawę, że jego wzwód pewnie ją teraz śmieszy, ale był wściekły za jej brak wzajemności. Półuśmiechając się, patrzyła jak podchodzi.

- To dopiero początek - powiedziała. Pocierała ślady ugryzień na szyi.

- I co mam teraz zrobić? - spytał Grillo.

Otworzyła drzwi. Chłodny powiew musnął mu twarz.

- Liź palce - poradziła.

Dopiero teraz przypomniał sobie tamten szmer i był prawie pewien, że zobaczy Philipa, cofającego się od dziurki od klucza. Ale był tam tylko przeciąg, który wysuszył ślinę na jego twarzy w cienką, napiętą maskę.

- Kawy? - zapytała i, nie czekając na odpowiedź, poszła do kuchni.

Grillo stał i patrzył za nią. Czuł, że jego osłabione chorobą ciało zaczyna reagować na adrenalinę, która przesycała cały jego organizm. Drżała mu głowa, ręce i nogi; drżenie jakby promieniowało na zewnątrz ze szpiku jego kości.

Nasłuchiwał odgłosów parzenia kawy, szumu wody, płukania filiżanek.

Bez zastanowienia podniósł palce, przesycone intensywną wonią Ellen, do nosa i ust.

IV

Mistrz skeczu, Lamar, wysiadł z limuzyny przed domem Buddy'ego Vance'a i spróbował zetrzeć uśmiech z twarzy. Było to dla niego trudne nawet wtedy, gdy sprawy układały się jak najlepiej, a teraz, gdy szły jak najgorzej - umarł jego dawny partner; tak wielu

ostrzych słów, które padły między nimi, już nigdy nie da się zapomnieć - teraz było to prawie niemożliwe. Po każdej akcji następuje reakcja, a reakcją Lamara na śmierć był szeroki uśmiech.

Czytał kiedyś o tym. Jak powstawał uśmiech. Pewien antropolog wysunął teorię, że był on wymyślną formą reakcji małpy człekokształtnej na niepożądanych członków stada - osobników słabych lub niezrównoważonych. W sumie oznaczał on: „Jesteś zawałidrogą. Wynoś się stąd!” Ten grymas, którym kiedyś skazywano innych na wygnanie, rozwinął się w śmiech - to, czym dla zawodowego idioty jest obnażenie zębów. W gruncie rzeczy oznaczał także pogardę. Jak również i to, że obiekt wesołości jest zawałidrogą - kimś, kogo należy unieszkodliwić grymasami.

Lamar nie wiedział, na ile ta teoria wytrzymała krytykę, ale dostatecznie długo pracował w branży rozrywkowej, by uznać, że nie jest pozbawiona słusznych przesłanek. Podobnie jak Buddy, zbił majątek, udając głupiego.

Zasadnicza różnica - jak sądził Lamar (i wielu ich wspólnych znajomych) leżała w tym, że Buddy rzeczywiście był głupi. Co nie oznaczało, że nie opłakiwał zmarłego; boleśnie odczuł jego stratę. Królowali na estradzie przez czternaście lat był to ich wspólny sukces. Kiedy umarł jego partner - mimo że zerwali znajomość, Lamar poczuł się uboższy.

Zerwanie miało ten skutek, że Lamar spotkał się z olśniewającą Rochelle tylko raz i to przypadkiem, podczas jakiejś kolacji charytatywnej; stolik Lamara i jego żony, Tammy, sąsiadował ze stolikiem, przy którym siedział Buddy i jego żona, przypadająca na dany rok. Posłużył się tym określeniem - wśród wybuchów wesołości - w kilku skeczach. Wykorzystał tę okazję, by zrobić Buddy'emu małe świństewko: podczas gdy świeżo zaślubiony małżonek opróżniał pęcherz z szampana, Lamar przysiadł się bezczelnie do stolika Rochelle. Spotkanie było krótkie - Lamar wrócił do swojego stolika natychmiast, gdy się zorientował, że Buddy

go wypatrzył - ale widocznie zrobił na Rochelle wrażenie, ponieważ zadzwoniła do niego osobiście, zapraszając go na przyjęcie w Coney Eye. Przekonał Tammy, że nudziłaby się na takiej imprezie, i przyjechał dzień wcześniej, by pobyć z wdową sam na sam.

- Cudownie wyglądasz - powiedział, przekraczając próg domu Buddy'ego Vance'a.

- Mogło być gorzej - odparła. Ta odpowiedź nie miała specjalnego znaczenia, dopóki nie poinformowała Lamara, godzinę później, że przyjęcie na cześć Buddy'ego zarządził sam solenizant.

- Chodzi ci o to, że on wiedział, że umrze? - spytał Lamar.

- Nie, chodzi o to, że on tu wrócił.

Gdyby Lamar w tym momencie pił, prawdopodobnie odegrałby numer z krztuszeniem się i parsaniem, ale cieszył się, że tego nie zrobił, kiedy zrozumiał, że mówiła najzupełniej poważnie.

- To znaczy... przyszedł jego duch?

- To chyba odpowiednie słowo. Naprawdę nie znam się na tym. Nie jestem wierząca, więc nie bardzo wiem, jak to wytłumaczyć.

- Nosisz krzyżyk zauważył Lamar.

- Należał do mojej matki. Nigdy przedtem go nie nosiłam.

- Więc dlaczego nosisz go teraz? Obawiasz się czegoś?

Sączyła wódkę, którą sama nalała. Było za wcześnie na koktajle, ale alkohol ją pocrzepiał.

- Może trochę - przyznała.

- Gdzie Buddy jest teraz? - zapytał Lamar; był z siebie dumny, że potrafi zachować poważną minę. - To znaczy... czy jest w domu?

- Nie wiem. Przeszedł do mnie w środku nocy, powiedział, że chce, żebym urządziła

stypę, i odszedł.

- Jak tylko dostał czek do ręki?

- To nie jest temat do żartów.

- Przepraszam, masz rację.

- Powiedział, że chce, żeby wszyscy tu przyszli, by uczcić tę okazję.

- A więc zdrowko - powiedział Lamar, unosząc kieliszek. W twoje ręce, Buddy, gdziekolwiek jesteś. Skol.

Gdy wychylił toast, przeprosił ją na chwilę i poszedł do łazienki. Ciekawa kobitka, myślał. Oczywiście głupia z niej gęś i - jak mówią faszeruje się każdym chemicznym świństwem, jakie jej wpadnie w ręce, ale sam też nie był święty. W zaciszu wyłożonej czarnym marmurem łazienki, gdzie rzędy masek na ścianach patrzyły na niego spode łba, przygotował sobie kilka niuchów kokainy, a gdy już nawąchał się do błógiego nasycenia, wrócił myślami do pięknej kobiety w pokoju na dole. Będzie ją miał i tyle. Najchętniej w łóżku Buddy'ego; później wytrze się jego ręcznikami.

Odszedł od swojego głupawo uśmiechniętego odbicia i wyszedł na podest.

Gdzie właściwie jest sypialnia Buddy'ego, zastanawiał się. Czy miała sufit wyłożony lustrami jak tamten burdel w Tucson, do którego chodzili kiedyś we dwóch, dawno temu, a Buddy, chowając tego swojego węża boa, powiedział: pewnego dnia. Jimmy, będę miał taką łazienkę.

Lamar otworzył z pół tuzina drzwi, zanim znalazł główną sypialnię. I ona, jak wszystkie tamte pokoje, była ozdobiona rekwizytami wesołego miasteczka. Na suficie nie było lustra. Ale łóżko było bardzo duże. Wystarczająco szerokie, by pomieścić trzy osoby; trójka była ulubioną liczbą Buddy'ego.

Lamar miał już wrócić na dół, gdy usłyszał szum wody w przyległej łazience.

- Rochelle, to ty?

Ale w łazience było ciemno. Pewnie ktoś po prostu zostawił nie dokręcony kran. Lamar uchylił drzwi szerzej. Z głębi łazienki dobiegł głos Buddy'ego:

- Proszę nie zapalać światła.

Gdyby w organizmie Lamara nie było koki, uciekłby z tego domu, zanim by duch zdążył powiedzieć coś więcej, ale narkotyk zwolnił jego reakcje na tyle, że Buddy zdążył zapewnić partnera, że nie ma się czego bać.

- Mówiła, że tu byłeś - powiedział Lamar ledwie dosłyszalnie.

- Nie uwierzyłeś jej?

- Nie.

- Kim jesteś?

- Jak to, kim jestem? Jestem Jimmy. Jimmy Lamar.

- Oczywiście. Wejdz. Musimy porozmawiać.

- Nie... zostanę tutaj.

- Nie słyszę, co mówisz.

- Zakręć wodę.

- Musi lecieć, kiedy sikam.

- To ty sikasz?

- Tylko wtedy, kiedy piję.

- Ty pijesz?

- Masz mi to za złe? Pomyśl, ona siedzi tam na dole, a ja nie mogę jej tknąć.

- Tak, to fatalne.

- Będziesz musiał zrobić to za mnie. Jimmy.

- Ale co?

- Przelecieć ją. Nie jesteś chyba pedałem?

- Przecież wiesz, że nie.

- Oczywiście.

- Tyle bab razem zaliczyliśmy.

- Byliśmy kumplami.

- Najlepszymi. Słuchaj, Jesteś naprawdę kochany, że odstępujesz mi Rochelle.

- Jest twoja. A w zamian za to...

- Co?

- Bądź znów moim przyjacielem.

- Buddy, brakowało mi ciebie.

- A mnie ciebie. Jimmy.

- Miałaś rację - powiedział Lamar po powrocie na dół. - Buddy rzeczywiście tu jest.

- Widziałeś go?

- Nie, ale rozmawiał ze mną. Chce, żebyśmy byli przyjaciółmi - on i ja. A także ty i ja.

Bliskimi przyjaciółmi.

- Więc będziemy.

- Dla Buddy'ego.

- Dla Buddy'ego.

Na piętrze dzaff ponownie rozważył ten nowy element gry i uznał, że jest dobry.

Początkowo zamierzał udawać Buddy'ego - co było dziecinnie łatwe, po tym jak wchłonał

jego myśli - tylko przed Rochelle. Zjawił się tu pod tą postacią dwa dni temu i zastał ją w

łóżku, pijaną. Bez trudu wmówił jej, że jest duchem jej męża; jedyną trudnością było

powstrzymanie się przed egzekwowaniem praw małżeńskich. Teraz, kiedy partner Buddy'ego

uległ temu samemu złudzeniu, miał w domu dwóch agentów, którzy przydadzą mu się, gdy

napłyną goście.

Po wydarzeniach minionej nocy cieszył się, że starczyło mu przezorności, by zorganizować to przyjęcie. Machinacje Fletchera zaskoczyły go. Podczas aktu samounicestwienia jego wrogowi udało się wszczepić w umysł stu albo i dwustu osób okruchy własnej snotwórczej duszy. Nawet w tej chwili tamci ludzie widzieli w marzeniach osoby, które ubóstwiali; i materializowali je.

Doświadczenie podpowiadało mu, że nie będą to stwory szczególnie brutalne; z pewnością nie dorównają jego własnym terata. Ponadto, po śmierci swego sprawcy, który nie zapewni im dostatecznej energii, nie przetrwają zbyt długo w tym wymiarze bytu. Mogłyby jednak wyrządzić wiele szkody jego misternym planom. Stwory, które wydobędzie z serc ludzi Hollywoodu, mogą mu się jeszcze przydać; nie pozwoli, by ostatnia wola Fletchera pokrzyżowała jego plany.

Podróż, którą rozpoczął, kiedy po raz pierwszy usłyszał o Sztuce - tak dawno temu, że nawet nie pamiętał, od kogo - zakończy się wkrótce, gdy wkroczy do Quiddity. Po tylu latach przygotowań będzie to jak powrót do domu. Będzie złodziejem w niebie, a zatem królem nieba, jeśli nikt inny nie ubiegnie go w kradzieży tronu. Przejmie we władanie sny świata, będzie jedyną wyrocznią dla wszystkich ludzi i będzie poza wszelkim osądem.

Zostały mu więc dwa dni. W ciągu pierwszej doby zaspokoi swoją ambicję.

W ciągu drugiego dnia dojdzie do miejsca, gdzie świt i zmierzch, południe i noc trwają w tej samej bezkresnej chwili.

Zatem czekała go tylko wieczność.

V

Wyjeżdżając z Grove Tesla jakby obudziła się ze snu, w którym jakiś instruktor od marzeń sennych pouczał ją, że całe życie jest snem. Od tej chwili niełatwo będzie oddzielić

sens od bezsensu; koniec z aroganckimi twierdzeniami, że to doświadczenie jest rzeczywiste, a tamto nie. Może żyję w jakimś filmie, myślała prowadząc samochód. Właściwie był to niezły pomysł na scenariusz; opowieść o kobiecie, która odkrywa, że losy ludzkości są jedną ogromną sagą rodzinną, spisaną przez zapoznany zespół Genu i Przypadku, a jej widzami są aniołowie, kosmici i mieszkańcy Pittsburga, którzy przypadkiem trafili na tę stację telewizyjną. Może napisze taki scenariusz, kiedy skończy się ta przygoda.

Trasa była łatwa, przynajmniej do Tijuany, i Tesla mogła sobie trochę pofantazjować. Ledwie jednak przekroczyła granicę, musiała posłużyć się mapą, którą zakupiła na tę podróż - i odłożyć na później dalsze intrygi i prorocтва. Instrukcji, których udzielił jej Fletcher, nauczyła się na pamięć jak mówki, którą wygłasza absolwent uczelni, wspomagane mapą, okazały się w podróży bardzo przydatne. Ponieważ nigdy przedtem nie była na tym półwyspie, dziwiło ją, że jest taki opuszczony. To nie było środowisko, w którym człowiek mógłby działać, a jego dzieło - przetrwać. Mogła oczekiwać, że zostanie ruiny Misji zżarte przez słońce i wiatr, albo może wichry zmiotły już je do Pacyfiku, którego szum nasilał się w miarę jak zbliżała się do Wybrzeża.

Nic bardziej mylnego. Gdy wyjechała zza wzgórza, które wskazał jej Fletcher, natychmiast spostrzegła, że Misja Św. Katarzyny była świetnie zachowana. Ten widok poruszył ją do głębi. Jeszcze kilka minut jazdy i stanie w miejscu, gdzie zrodził się epos, którego poznała tylko małą część.

Równie silnie byłby poruszony chrześcijanin, mając przed sobą Betlejem.

Albo może Golgotę.

Przekonała się jednak, że nie było to wzgórze czaszek. Przeciwnie, chociaż nie odbudowano Misji w całości - jej szczątki wciąż leżały rozrzucone na znacznym obszarze - ktoś najwyraźniej chronił ją przed dalszym zniszczeniem. Motywy tej konserwacji wyjaśniły

się dopiero, gdy Tesla zatrzymała samochód w pewnej odległości od budynku i pieszo pokonała ostatni, piaszczysty odcinek drogi. Misja, wzniesiona w świętym celu, później opuszczona, a następnie wykorzystywana w celu, który jej budowniczy z pewnością uznaliby za heretycki, została ponownie poświęcona.

Im bardziej zbliżała się do spękanych murów, tym więcej znajdowała na to dowodów.

Najpierw - kwiaty, ułożone między rozrzuconymi kamieniami w niezgrabne bukiety i wieńce; mieniły się żywymi barwami w przejrzystym morskim powietrzu.

Dalej znalazła jeszcze bardziej przekonujące dowody: niewielkie zawiniątka zawierające artykuły domowe - bochenek chleba, dzbanek, klamka od drzwi - owinięte skrawkami zabazgranego papieru. Leżały wśród kwiatów w takiej obfitości, że nie mogła stąpnąć, by nie nadepnąć na któreś z nich. Słońce ginęło za horyzontem, a jego ciemniejące złoto wzmagało wrażenie, że jest to miejsce nawiedzane przez duchy. Szła przez to rumowisko najciszej jak umiała, z obawy, że zakłóci spokój mieszkańcom - ludziom albo innym istotom. Jeśli nadprzyrodzone stwory mogły przebywać w hrabstwie Ventura (chodziły ulicami miasta, zupełnie się nie płosząc), to tutaj, na tym odludnym przyczółku, tym bardziej należało się spodziewać jakichś niezwykłych istot.

Nie zaprzętała sobie głowy domysłami, kim byli i jaką przyjęli postać - o ile w ogóle mieli jakąś postać. Ale jeśli liczba darów i modlitw błagalnych leżących u jej stóp miałyby o czymś świadczyć, to o tym, że modlitwy te były wysłuchiwane.

Zawiniątka i napisy rozrzucone na dworze były wzruszające, ale te wewnątrz Misji wzruszały jeszcze bardziej. Gdy weszła przez wyrwę w murze, znalazła się pośród milczącego tłumu wizerunków: kilkudziesięciu zdjęć i rysunków przedstawiających mężczyzn, kobiety i dzieci. Były przytwierdzone do kamiennych ścian wraz ze szczątkami odzieży: jakimś butem, nawet okularami. Przedmioty, które widziała na dworze, były darami.

Te zaś - jak zgadywała - naszykowano dla jakiegoś opiekuńczego bóstwa zaginionych, by posłużyło się nimi jak pies gończy, wietrzący ich ślad. Należały do zaginionych; zgromadzono je w nadziei, że bóstwa skierują zbłąkanych na znajomą drogę i doprowadzą ich w ten sposób do domu.

Gdy stała w złotawym świetle, oglądając te zbiory, czuła się jak intruz.

Przejawy religijności przemawiały do niej rzadko albo wcale. W uczuciach, tak pewnych swego, było tyle samozadowolenia, w obrazach - tyle retoryki.

Ale ten prostoduszny przejaw wiary poruszył w niej nerw, który, jak sądziła, obumarł od hipokryzji. Przypomniała sobie uczucia, których doświadczyła, gdy po pięcioletnim, dobrowolnym wygnaniu wróciła na łono rodziny na Boże Narodzenie. Tak jak się spodziewała, odczuwała przymus i skrępowanie, ale kiedy w wigilię szła o północy Piątą Aleją, jakieś zapomniane uczucie zniemacka pozbawiło ją tchu, w oczach miała łzy: przypomniała sobie, że kiedyś wierzyła. Nikt jej tej wiary nie uczył, nie wmuszał - wiara była w niej. Te pierwsze łzy były łzami wdzięczności za szczęście przywróconej wiary; następne były żalem za wiarą, która odeszła tak szybko jak przyszła - niby duch, który w nią wstąpił, by zaraz ją opuścić.

Tym razem wiara nie odchodziła. Nabierała mocy jak słońce nabierało mocniejszej barwy, zapadając się w głąb morza.

Jej zadumę przerwał szmer czyichś kroków, dobiegający z głębi ruin.

Spłoszona, czekała chwilę, by jej przyśpieszone tętno znów się uspokoiło.

- Kto tam?

Nikt nie odpowiedział. Poszła ostrożnie wzdłuż ściany wyłożonej twarzami zaginionych i przez drzwi pozbawione górnej belki weszła do następnego pomieszczenia. Były tam dwa okna, jak oczy osadzone w cegle, przez które wpadało słońce dwiema wiązkami

czerwonawych promieni. Mogła posłużyć się tylko instynktem, ale nie miała żadnych wątpliwości, że właśnie tutaj znajdowało się najświętsze miejsce tej świątyni.

Chociaż brakowało dachu, a wschodnia ściana była poważnie uszkodzona, miejsce to wydawało się naładowane energią, jakby przez lata narastała tu jakaś moc. Było jasne, że za pobytu Fletchera, pomieszczenie to służyło jako laboratorium. Wokół widziała powywracane ławy, a strącone z nich przyrządy najwyraźniej leżały tam, gdzie spadły. Ani dary, ani malowidła nie naruszały charakteru tego miejsca, miejsca chronionego. Chociaż wokół przewróconych sprzętów zgromadził się piasek, w którym tu i tam kiełkowały jakieś rośliny, sala pozostała tym, czym była: świadectwem cudu albo jego przeminięcia.

W najdalszym kącie, niedostępnym dla promieni idących od okien, stał kustosz tego świętego zakątka. Tesla ledwie go widziała. Dostrzegła tylko, że albo był zamaskowany, albo jego twarz była uformowana jak prymitywna maska. Do tej pory nie widziała powodu, by obawiać się o własne bezpieczeństwo. Chociaż była sama, nie odczuwała żadnego niepokoju. To było sanktuarium, nie miejsce przemocy. Poza tym, przybywała z polecenia bóstwa, które kiedyś pracowało w tej właśnie sali. Będzie mówić z jego upoważnienia.

- Mam na imię Tesla. Przysłała mnie doktor Richard Fletcher.

Zauważyła, że na dźwięk tego nazwiska, ukryty w kącie mężczyzna powoli uniósł głowę. Po chwili usłyszała, że westchnął.

- Fletcher? - zapytał.

- Tak. Zna go pan?

Zamiast odpowiedzieć, zapytał z silnym latynoskim akcentem:

- A czy my się znamy?

- Już panu mówiłam. On mnie tu przysłał. Przyjechałam tu, żeby zrobić coś, o co mnie prosił.

Mężczyzna odszedł od ściany na tyle, że wszedł w snop światła.

- Czy nie mógł sam przyjechać? - zapytał.

Minęło kilka chwil, zanim Tesla zdobyła się na odpowiedź. Zakręciło jej się w głowie na widok grubo ciosanego czoła i spłaszczzonego nosa tego mężczyzny. Po prostu jeszcze nigdy nie widziała z bliska tak brzydkiej twarzy.

- Fletcher już nie żyje - powiedziała po chwili, przejęta wstrętem, i zdziwiona, że instynkt nie pozwolił jej użyć słowa umarł.

Odrażające rysy nabrały wyrazu rozpacz, przy czym ich ruchliwość nadała temu uczuciu wymiar prawie karykaturalny.

- Byłem tu, kiedy odszedł - powiedział. - Czekałem... aż wróci.

Tesla zrozumiała, kim był, gdy tylko wypowiedział te słowa. Fletcher mówił jej, że być może ocalał żywy dowód na istnienie Wielkiego Dzieła.

- Raul? - zapytała.

Głęboko osadzone oczy otwarły się szeroko. Nie miały białek.

- Pani go naprawdę zna - wszedł głębiej w wiązkę światła, które tak okrutnie uwydatniło rysy jego twarzy, że Tesla z trudem znosiła jego widok.

Niezliczoną liczbę razy widziała na ekranie istoty, których planowa brzydota była bardziej odstręczająca niż ta - a ostatniej nocy zraniła ją bestia prawdziwie koszmarna - ale mieszane uczucia, których doświadczała na widok tej hybrydy, przygnębiały ją bardziej niż wszystko, co do tej pory widziała. Ta istota tak bardzo przypominała człowieka, ale instynkt Tesli nie dał się oszukać. Jej reakcja o czymś jej mówiła, ale nie było pewne - o czym.

Odłożyła te wątpliwości, by zająć się pilniejszymi sprawami.

- Przyjechałam, żeby zniszczyć resztki nuncjo.

- Dlaczego?

- Fletcher chce tego. Na świecie wciąż są jego wrogowie, chociaż jego samego już tu nie ma. Obawia się tego, co mogłoby się stać, gdyby znaleźli tutaj tę substancję.

- Ale ja czekałem... - powiedział Raul.

- Dobrze pan zrobił. Dobrze, że pilnował tego miejsca.

- Nie ruszyłem się stąd na krok. Tyle lat. Zostałem tu, gdzie mój ojciec powołał mnie do życia.

- Jak udało się tu panu wyżyć?

Raul oderwał oczy od Tesli i milcząco patrzył w słońce, które znikowało w morzu.

- Ludzie się mną opiekują - odparł. - Nie rozumieją, co się tu zdarzyło, ale wiedzą, że mam z tym jakiś związek. Kiedyś na tym wzgórzu byli bogowie. Oni tak uważają. Pokażę coś pani.

Wprowadził Teslę do następnego pomieszczenia. Była tam inna sala, bardziej ogołociona ze sprzętów, oświetlona jednym oknem. Ściany były pokryte malowidłami; naiwność tych fresków jeszcze bardziej podkreślała siłę bijącego z nich uczucia.

- To jest historia tamtej nocy - powiedział Raul. - Tak, jak to oni widzieli.

Było tu nie więcej światła niż w tamtej sali, ale mrok przydawał wizerunkom tajemniczości.

- Taka Misja była kiedyś - powiedział Raul, wskazując niemal emblematyczny wizerunek skały, na której się znajdowali. - A to jest mój ojciec.

Przed wzgórzem stał Fletcher, jego twarz, biała i dzika, ostro odbijała od ciemnego tła, oczy miał jak dwa księżyce. Z jego uszu i ust wyskakiwały jakieś dziwne kształty i unosiły się nad jego głową jak satelity.

- Co to jest? - zdziwiła się Tesla.

- Jego myśli. Ja to malowałem.

- Jakie myśli wyglądają w ten sposób?
- Rzeczy, które urodziły się w morzu - brzmiała odpowiedź. - Wszystko pochodzi z morza. Fletcher mi mówił. Na początku było morze. Na końcu będzie morze. A pośrodku...
- Quiddity - wtrąciła Tesla.
- Co?
- Nie mówił panu o Quiddity:
- Nie.
- O miejscu, do którego ludzie idą, żeby śnić?
- Nie jestem człowiekiem - łagodnie przypomniał jej Raul - jestem wynikiem jego eksperymentu.
- Właśnie eksperyment zrobił z pana człowieka. Przecież właśnie na tym polega działanie nuncjo, prawda?
- Nie wiem - powiedział Raul po prostu. - Nie jestem wdzięczny za to, co ze mnie zrobiło. Byłem szczęśliwszy jako... małpa. Gdybym pozostał małpą, już nie żyłbym.
- Proszę tego nie mówić - powiedziała Tesla. - Pana pretensje sprawiłyby Fletcherowi przykrość.
- Fletcher mnie zostawił - przypomniał jej Raul. - Nauczył mnie dość, bym zrozumiał, że pewne rzeczy są dla mnie nieosiągalne, a potem odszedł ode mnie.
- Miał powody. Widziałam jego wroga, džaffa. Trzeba go powstrzymać.
- Tam... - Raul wskazał jakiś bardziej oddalony fragment ściany - Tam jest džaff. Portret był dość udany. Tesla rozpoznała to żarłoczne spojrzenie, rozdętą głowę. Czy Raul naprawdę widział džaffa w jego wyższym stadium rozwoju, czy też ten portret mężczyzny, wyobrazonego jako monstrualny osesek, był podszeptem instynktu? Nie zdążyła o to zapytać. Raul już prowadził ją w inne miejsce.

- Chce mi się pić - powiedział. - Resztę możemy obejrzeć później.

- Będzie za ciemno.

- Nie. Po zachodzie słońca przyjdą tu ze świecami. Porozmawiajmy trochę. Niech mi pani powie, jak umarł mój ojciec.

Droga do Misji Św. Katarzyny zajęła Tommy-Rayowi więcej czasu niż kobiecie, z którą się ścigał, z powodu pewnego wydarzenia, które - chociaż pozbawione większego znaczenia - uświadomiło mu pewien rys własnego charakteru; miał go później poznać jeszcze lepiej.

W małym miasteczku na południe od Ensenada, gdzie zatrzymał się wczesnym wieczorem, by przepłukać wysuszone gardło, trafił do baru, który za jedyne dziesięć dolarów oferował rozrywkę, o jakiej w Palomo Grove nikomu by się nie śniło. Była to propozycja nie do odrzucenia. Wpłacił żadaną sumę, kupił piwo i wpuszczono go do zadymionego pomieszczenia, najwyżej dwa razy większego od jego sypialni. Publiczność składała się z około dziesięciu mężczyzn, siedzących w niedbałych pozach na trzeszczących krzesłach.

Przyglądali się jakiejś kobiecie, spółkującej z dużym czarnym psem. Nie znalazł w tej scenie nic podniecającego, podobnie jak chyba i pozostali widzowie, przynajmniej w sferze seksu.

Pochylali się do przodu z przejęciem, którego nie rozumiał do chwili, gdy jego znużony organizm odczuł efekt wypitego piwa; patrzył teraz tylko na tę kobietę, aż jej twarz zaczęła nań wywierać hipnotyczny wpływ. Kiedyś mogła być ładna, ale twarz i ciało miała już zniszczone, a na ramionach wyraźne ślady nałogu, który doprowadził ją do obecnego upadku.

Drażniła ogara ze zręcznością świadcząca o znacznej wprawie, a następnie ustawiła się przed nim na czworakach. Ogar węszył chwilę, a potem wziął się leniwie do dzieła. Dopiero gdy na nią wszedł, Tommy-Ray zrozumiał, jaki wpływ na niego - a pewnie i na pozostałych -

wywierał wyraz jej twarzy. Kobieta miała wygląd osoby umarłej. Ta myśl była jakby drzwiczkami do jego jaźni, przez które wchodzi się do jakiegoś cuchnącego, żółtego pomieszczenia miejsca, gdzie można tarzać się w gnoju. Widywał to spojrzenie już przedtem nie tylko u dziewcząt w świerszczykach, ale i u znanych osób, które zniemacka sfotografowano.

Seks - bomby odarte z seksu, gwiazdy filmowe, których światło już zgasło; trupy udające żywych ludzi. Kiedy znów skupił się na scenie, rozgrywającej się przed jego oczami, ruchy psa stały się rytmiczne; obrabiał dziewczynę z psim zapamiętaniem, z pyska sączyła mu się ślina i spadała na jej plecy.

I właśnie teraz, kiedy myślało się o niej jak o zmarłej, ten pokaz rzeczywiście stawał się podniecający. Im bardziej podniecało się zwierzę, tym bardziej podniecał się Tommy-Ray i tym bardziej martwa wydawała mu się kobieta, czująca w sobie narząd psa, a na sobie jego spojrzenie, aż rozpoczął się wyścig między nim a psem który z nich dojdzie do mety pierwszy.

Zwyciężył pies; przyspieszał rytm aż do oszalałego zapamiętania i nagle przestał. Na ten sygnał jakiś mężczyzna siedzący w pierwszym rzędzie wstał i rozdzielił tę parę; zwierzę natychmiast straciło całe zainteresowanie. Gdy wyprowadzono jej partnera, kobieta pozostała na środku sceny, by pozbierać ubranie, które prawdopodobnie zdejmowała przed przybyciem Tommy-Raya. Potem wyszła tym samym bocznym wejściem, którym odszedł pies ze swym stręczycielem; jej twarz pozostała tą samą martwą maską, co na początku. Oczekiwano, zdaje się, dalszego ciągu widowiska, ponieważ nikt nie ruszał się z miejsca. Ale Tommy-Ray widział już wszystko, czego mu było trzeba. Poszedł do wyjścia, przepychając się przez miękką masę nowo przybyłych gości, i wszedł do mrocznego baru.

O wiele później, tuż przed Misją, zorientował się, że padł ofiarą jakiegoś kieszonkowca.

Wiedział, że było za późno, by wracać; zresztą mijałoby się to z celem. Złodziejem mógł być każdy z mężczyzn, którzy tłoczyli się w drzwiach, kiedy wychodził. Poza tym, stracone dolary nie poszły na marne.

Odnalazł nową definicję śmierci. Nawet nie nową. Po prostu swoją pierwszą i jedyną.

Kiedy wjeżdżał na wzgórze, na którym stała Misja, było już dobrze po zachodzie słońca, ale podczas wejścia ogarnęło go wyraźne uczucie déjà vu.

Czy oglądał to miejsce oczami dzaffa? Czy było tak w istocie czy nie, fakt, że rozpoznawał okolicę był dla niego korzystny. Pewien, że agentka Fletchera przybyła tu przed nim, postanowił zostawić samochód w niższej partii wzgórza i przebyć ostatni odcinek na własnych nogach, aby nie ostrzec jej o swym przybyciu. Było zupełnie ciemno, ale nie szedł na oślep. Stopy znały tę drogę, chociaż pamięć jej nie znała.

Był zdecydowany na użycie siły, gdyby okoliczności tego wymagały.

Dzaff zaopatrzył go w pistolet - zdobył go na jednej z wielu swych ofiar, z których wydobywał terata. Pomysł użycia broni całkiem mu odpowiadał.

Teraz, po wspinaczce, od której czuł ból w piersiach, widział już przed sobą Misję. Za jego plecami wschodził księżyc koloru wielorybiego brzucha.

Oświetlał niezdrowym blaskiem ruiny i skórę na jego dłoniach i ramionach;

Tommy-Ray zatęsknił za lusterkiem - chciałby przyjrzeć się teraz swojej twarzy. Z pewnością dostrzegłby kości, ukryte pod ciałem; czaszka lśniłaby pewnie jak jego zęby.

Przecież to właśnie oznaczał uśmiech. Cześć, świecie, tak będę wyglądał, kiedy rozpadnie się miękka tkanka.

Z głową pełną takich myśli, szedł do Misji wśród więdnących kwiatów.

Chatka Raula stała w odległości 50 jardów od głównego budynku; była to prymitywna

budowla, w której z trudem mieściły się dwie osoby. Wyjaśnił Tesli, że jego utrzymanie całkiem zależało od hojności miejscowej ludności; dostawał odzież i żywność w zamian za pilnowanie Misji. Mimo ubóstwa środków, którymi rozporządzał, dokładał starań, by z tej budy zrobić chatkę.

Wszędzie były oznaki dużej wrażliwości mieszkańca chatki. Przysadziste świece, stojące na stole, były osadzone w kręgu kamyków, dobranych według gładkości; na prostym łóżku leżał koc, ozdobiony piórami morskich ptaków.

- Mam tylko jedną wadę - powiedział Raul, kiedy usadowił Teslę na jedynym krześle. - Odziedziczyłem ją po ojcu.

- Jaką?

- Palę papierosy. Jednego na dzień. Zapalimy razem.

- Kiedyś paliłam - zaczęła Tesla ale rzuciłam...

- Dzisiaj pani zapali - powiedział Raul tonem nie znoszącym sprzeciwu. - Zapalimy na cześć mojego ojca.

Z małej blaszanej puszkii wyjął skręta i zapałki. Kiedy przypalał papierosa, przyglądała się jego twarzy. Podobnie jak w pierwszej chwili, tak i teraz ten widok wyprowadził ją z równowagi. Jego rysy nie były ani małpie, ani ludzkie - były zupełnie nieudaną kombinacją jednych i drugich.

A jednak pod każdym innym względem - wysławiania się, manier, sposobu. w jaki teraz trzymał papierosa w długich, ciemnych palcach - był tak wysoko cywilizowany. Do tego stopnia, że matka Tesli chętnie widziałaby go jako zięcia - gdyby nie był małpą.

- Wie pani, Fletcher nie odszedł - powiedział, podając jej skręta.

Wzięła go ociągając się; niechętnie wsuwała w usta to, czego dotykały jego wargi. Ale Raul nie spuszczał jej z oka, światło świec migotało w jego źrenicach. Gdy spełniła jego

prośbę, uśmiechnął się z zadowoleniem. - Jestem pewien, że zmienił się w coś innego. Coś odmiennego.

- Więc uczcijmy to - powiedziała, zaciągając się ponownie. Dopiero teraz przyszło jej do głowy, że może tytoń, który palono w tej okolicy, jest trochę mocniejszy niż w Los Angeles.

- Co w nim jest? - zapytała.

- Coś dobrego. Smakuje pani?

- Więc przynoszą panu także narkotyki?

- Sami uprawiają te rośliny - powiedział rzeczowym tonem.

- Nieźle sobie radzą - powiedziała i zaciągnęła się po raz trzeci, zanim oddała mu papierosa. Był rzeczywiście mocny. Wypowiedziała już połowę zdania, chociaż nie potrafiłaby sformułować jego drugiej połowy, jeszcze zanim zdała sobie sprawę, że mówi.

- ...o tej nocy będę opowiadać moim dzieciom... tyle że nie będę mieć żadnych dzieci...

no więc moim wnukom... opowiem im, jak siedziałam z człowiekiem, który kiedyś był

małpą... pan nie ma nic przeciwko temu, że to mówię? Ale ja pierwszy raz... więc

siedzieliśmy i rozmawialiśmy o jego przyjacielu... i moim... który kiedyś był człowiekiem...

- A kiedy im to pani będzie opowiadać - odezwał się Raul - co im pani powie o sobie?

- O sobie?

- Gdzie będzie pani miejsce w tej historii? Kim pani się stanie?

Zastanawiała się przez chwilę.

- Czy muszę czymś się stawać? - spytała wreszcie.

Raul podał jej resztkę papierosa.

- Wszystko czymś się staje. Siedząc tutaj, stajemy się.

- Czym?

- Starszymi. Bliższymi śmierci.

- Cholera. Nie chcę zbliżyć się do śmierci.

- Nie ma pani wyboru - powiedział Raul po prostu.

Tesla potrząsnęła głową. Jej głowa kiwała się dalej, długo po tym, jak Tesla nią potrząsnęła.

- Chcę zrozumieć - powiedziała wreszcie.

- Coś w szczególności?

Znów popadła w zamyślenie, przebiegając wszystkie możliwe pytania, aż wybrała jedno.

- Wszystko - powiedziała.

Roześmiał się; jego śmiech zadźwięczał jej w uszach jak srebrne dzwonki. Już miała powiedzieć „Niezła sztuczka”, kiedy spostrzegła, że podniósł się i stoi w drzwiach.

- Ktoś jest w Misji - usłyszała.

- ...przyszli zapalić świece - rzuciła. Wydawało jej się, że poszła za Raulem najpierw jej głowa, a potem dopiero reszta jej ciała.

- Nie - powiedział, wychodząc w ciemność. Oni nie wchodzi tam, gdzie są dzwony.

Rozważając pytania Raula, wpatrywała się w płomyk świecy i teraz, potykając się w ciemnościach, wciąż widziała przed sobą odbicie tego płomienia niby błędny ognik, który mógłby zaprowadzić ją w przepaść, gdyby nie szła za głosem Raula. Kiedy podeszli do murów Misji, nakazał jej pozostać w miejscu, ale nie posłuchała i poszła za nim.

Rzeczywiście byli tu ludzie, którzy zwykle zapalali świece; ich blask bił rześzystą łuną z pokoju z portretami.

Chociaż papieros Raula spowolnił jej procesy myślowe, pozostały dostatecznie sprawne, by zaczęła się obawiać, że zbyt długo zwlekała, wystawiając swoją misję na

niebezpieczeństwo. Dlaczego natychmiast nie odnalazła nuncjo i nie wrzuciła go do oceanu, tak jak zalecał Fletcher? Złość na siebie samą dodała jej odwagi. Udało jej się wyprzedzić Raula w mroku sali portretowej i pierwsza weszła do oświetlonego świecami laboratorium. To nie świece jarzyły się w laboratorium, a gościem nie był jeden z wiernych. Pośrodku sali dymiło niewielkie ognisko, a jakiś człowiek - teraz obrócony do niej plecami - grzebał gołymi rękoma w rumowisku laboratorium. Nie oczekiwała, że go rozpozna, kiedy się odwróci w jej stronę, co było głupie, gdyby się nad tym zastanowić. W ciągu ostatnich dni poznała większość aktorów z tej sztuki, jeśli nie z nazwiska, to przynajmniej z widzenia. Tego znała bardzo dobrze. Tommy-Ray McGuire. Stali teraz twarzą w twarz. W oczach patrzących z tej doskonale pięknej twarzy migotały iskierki obłędu - dziedzictwo dżaffa.

- Witam - powiedział; było to uprzejme, nie zobowiązujące powitanie. - Zastanawiałem się, gdzie się pani podziewa. Dżaff mówił, że tutaj.

- Nie dotykaj nuncjo - ostrzegła. - Jest niebezpieczne.

- O to mi właśnie chodziło - powiedział z szerokim uśmiechem.

Zauważyła, że chłopiec trzyma coś w ręku. Uchwycił jej spojrzenie i uniósł rękę, żeby mogła się lepiej przyjrzeć.

- Mam je - powiedział. Fiolka była rzeczywiście taka, jak ją opisywał Fletcher.

- Wyrzuć to - Tesla starała się zachować spokój.

- Pani także chciała je wyrzucić?

- Tak. Przysięgam, że tak! W tej fiołce jest śmierć.

Widziała, jak jego oczy biegają z jej twarzy na twarz Raula, którego oddech słyszała z tyłu, nieco z boku. Tommy-Ray jakby nic sobie nie robił z ich liczebnej przewagi. Tesla zaczęła nawet wątpić, czy jakiegokolwiek zagrożenie ciała lub zdrowia mogłoby zetrzeć z jego

twarzy tę zadowoloną z siebie minę. Może nuncjo? Boże Wszechmocny jakie barbarzyństwo
czaiło się w tym sercu, czekając aż nuncjo podsyci je i pomnoży?

Spróbowała jeszcze raz:

- Zniszcz je, Tommy-Ray, zanim ono zniszczy ciebie.
- Nie ma mowy - odparł. - Dżaff już będzie wiedział, co z nim zrobić.
- A co będzie z tobą, kiedy już nie będziesz pracował dla dżaffa? On nie dba o ciebie.
- Jest moim ojcem i kocha mnie - odpowiedział Tommy-Ray z przekonaniem, które byłoby wruszające w człowieku nietkniętym obłędem.

Ruszyła w jego stronę:

- Posłuchaj mnie przez chwilę, Tommy-Ray, dobrze?...

Schował nuncjo do kieszeni, z drugiej wyjął pistolet.

- Jak to pani nazwała? - zapytał, kierując na nią broń.
- Nuncjo - zwolniła nieco kroku, ale wciąż szła przed siebie.
- Nie. Jakoś inaczej.
- Powiedziałam, że to śmierć.

Uśmiechnął się.

- Taa - powiedział przeciągle. - To znaczy, że ono zabija?
- Tak.
- Podoba mi się to.
- Nie, Tommy...
- Nie mów mi, co lubię a czego nie. Powiedziałem, że lubię śmierć i tak właśnie jest.

Tesla nagle zdała sobie sprawę, że zupełnie błędnie przewidziała tę scenę.

Gdyby ona ją napisała, Tommy-Ray trzymałby ją na muszce, aż udałoby mu się wycofać i uciec. Ale Tommy-Ray miał w zanadrzu inny scenariusz.

- Jestem Chłopcem Śmierci - powiedział i pociągnął za cyngiel.

VI

Grillo, wyprowadzony z równowagi epizodem w domu Ellen, uciekł do swojego pisania; było to rodzaj umartwienia, którego potrzebował tym bardziej, im głębiej zanurzał się w morzu niedomówień i dwuznaczności.

Skierował się w stronę suchego lądu - faktów - i spisał je prozą, z której sam Swift byłby dumny. Z tego sprawozdania wyselekcjonuje później materiał, który prześle Abernethy'emu. Teraz jego obowiązkiem było spisanie wszystkiego, co zapamiętał.

Kiedy osiągnął półmetek, zadzwonił Hotchkiss, proponując, by spotkali się na godzinkę; popiją sobie i porozmawiają. Zazaczył, że w Grove były tylko dwa bary: bar Starsky'ego był mniej ugrzeczniony, a zatem bardziej dla nich odpowiedni. Godzinę po tym telefonie, spisawszy z grubsza wypadki minionej nocy, Grillo wyszedł z hotelu, by spotkać się z Hotchkissem.

U Starsky'ego było prawie pusto. W kącie, podśpiewując pod nosem, siedział jakiś staruszek, a przy barze dwóch młodzików; sądząc z wyglądu, nie powinni jeszcze pić. Poza tym, Grillo i Hotchkiss mieli bar dla siebie.

Mimo to w trakcie całej rozmowy Hotchkiss mówił prawie szeptem.

- Niewiele pan o mnie wie - powiedział na wstępie. - Zrozumiałem to wczoraj wieczorem. Pora, żeby się pan dowiedział.

Nie potrzebował zachęty. Opowiadał bez emocji, jakby brzemień uczuć było tak wielkie, że nie zostawiało już miejsca na łzy. Grillo odpowiadało to.

Jeśli opowiadający potrafił mówić tak beznamiętnie, to tym samym upoważniał go do tego samego; mógł szperać między wierszami opowieści Hotchkissa, wyszukując szczegóły, które tamten pominął. Było zrozumiałe, że najpierw mówił o udziale Carolyn w tej historii;

nie chwalił Carolyn ani jej nie potępiał. Po prostu opisał ją i tragedię, która zabrała mu córkę. Następnie zarzucił szerzej sieć swojej opowieści, wspominając inne bohaterki dramatu: naszkicował portret Trudi Katz, Joyce McGuire i Arleen Farrell, a potem opowiedział, co stało się z każdą z nich. Hotchkiss mówił, a Grillo pracowicie uzupełniał szczegóły: odtwarzał drzewo genealogiczne, którego korzenie tkwiły tam, dokąd wciąż nawracała opowieść Hotchkissa: w głębi ziemi.

- Tam są wszystkie odpowiedzi na nasze pytania - powtarzał. - Uważam, że Fletcher i dzaff, kimkolwiek i czymkolwiek są, byli odpowiedzialni za to, co stało się z moją Carolyn. I z pozostałymi dziewczętami.

- Przez cały ten czas siedzieli w jaskiniach?

- Przecież sami widzieliśmy, jak się stamtąd wydostawali - zachnął się Hotchkiss. -

Owszem, uważam, że czekali tam, w głębi ziemi, przez wszystkie te lata - pociągnął łyk szkockiej. - Po tym, co stało się wczoraj w nocy, nie kładłem się. Starałem się uporządkować wszystkie fakty. Usiłowałem zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi.

- No i?

- Postanowiłem zejść do jaskiń.

- Po jakiego diabła?

- Kiedy siedzieli tam, zamknięci przez wiele lat, musieli przecież coś robić. Może zostawili jakieś ślady. Może uda się nam znaleźć tam jakiś sposób, by ich zniszczyć.

- Fletchera już nie ma - przypomniał mu Grillo.

- Czyżby? Ja już niczego nie jestem pewien. Wie pan, Grillo, niektóre rzeczy przeczekują. Wydaje się, że znikły, ale one czekają swego czasu gdzieś w ukryciu. W umyśle. W głębi ziemi. Schodzimy odrobinę w dół i już jesteśmy w przeszłości. Każdy krok to tysiąc lat.

- Moja pamięć nie sięga tak daleko - zażartował Grillo.

- Ależ tak - zaprotestował Hotchkiss zupełnie serio. - Pamięć cofa się tak daleko, że staje się odrobinką w morzu. Właśnie to nie daje nam spokoju - podniósł rękę. - Wygląda na ciało stałe, prawda? A to jest przede wszystkim woda. - Wydawało się, że zмага się z jakąś myślą, ale mu umknęła.

- A te stworzenia dzaffa, które wyglądają, jakby je wykopał z ziemi - zapytał Grille - czy to właśnie je ma pan nadzieję tam znaleźć?

Hotchkiss replikował myślą, której przed chwilą nie potrafił sformułować:

- Kiedy umarła... to znaczy Carolyn... kiedy Carolyn umarła, śniło mi się, że się rozpuszcza. Nie rozkłada się, ale rozpuszcza. Jakby morze zabrało ją z powrotem do siebie.

- Czy wciąż się to panu śni?

- Nie. Teraz nic mi się nie śni.

- Każdemu coś się śni.

- W takim razie wymażuję sny z pamięci - odparł Hotchkiss. - No jak, idziemy?

- Dokąd?

- Do jaskiń.

- Pan naprawdę się tam wybiera? Myślałem, że tam nie uda się nikomu wejść.

- Możemy spróbować. Najwyżej umrzemy - odparł Hotchkiss.

- Muszę pisać reportaż.

- Niech pan posłucha, przyjacielu. Pański reportaż jest właśnie tam, w jaskiniach. Tylko tam. Dokładnie pod naszymi stopami.

- Muszę pana uprzedzić... Cierpię na klaustrofobię...

- Szybko ją z pana wypocimy - odpowiedział Hotchkiss z uśmiechem, który, jak sądził

Grillo, mógłby mieć w sobie choć odrobinę więcej otuchy.

Chociaż przez większą część popołudnia Howie dzielnie walczył z sennością, wczesnym wieczorem oczy dosłownie same mu się zamykały. Kiedy powiedział Jo-Beth, że chce wrócić do hotelu, wtrąciła się matka, twierdząc, że czułaby się o wiele spokojniejsza, gdyby pozostał w ich domu. Przygotowała dla niego pokój gościnny (poprzedniej nocy spał na kanapie) i Howie poszedł się położyć. Przez ostatnie dni jego ciało zebrało niezłe cięgi. Ręka była wciąż mocno poraniona, w dalszym ciągu odczuwał ból w plecach, chociaż terata nie przebiło mu ciała zbyt głęboko. Mimo tych dolegliwości, zasnął prawie natychmiast. Jo-Beth przygotowała kolację dla matki (sałatka, jak zawsze) i dla siebie; wykonywała te dobrze znane czynności domowe jakby przez ostatni tydzień nic się na świecie nie zmieniło; zdarzało się, że - pochłonięta pracą - zapominała na chwilę o koszmarze. Wtedy wyraz twarzy matki lub widok błyszczącego nowością zamka na tylnych drzwiach przywoływał tamte wspomnienia. Zupełnie nie potrafiła się z nimi uporać: to był nie kończący się ciąg bólu i upokorzeń. Na to wszystko nakładała się przebiegła twarz dżaffa. Była blisko Jo-Beth - zbyt blisko; chwilami tak blisko, że przekonywał ją do swoich wizji, jak przekonał Tommy-Raya. Ze wszystkich udręk najbardziej dojmująca była ta: że mogła naprawdę przejść do obozu wroga. Kiedy tłumaczył jej, że bardziej sobie cenił rozumowy niż emocjonalny stosunek do życia - ona go rozumiała. Nawet odczuła wzruszenie. I jeszcze ta denerwująca rozmowa o Sztuce i wyspie, którą chciał jej pokazać...

- Jo-Beth?

- Tak, mamo?

- Dobrze się czujesz?

- Tak, oczywiście, tak.

- O czym myślałaś? Miałaś taką minę...

- Tak tylko... myślałam sobie o tym, co się wczoraj zdarzyło.

- Powinnaś o tym zapomnieć.

- Może wpadłabym na chwilę do Lois. Porozmawiałybyśmy sobie trochę. Nie masz nic przeciwko temu?

- Nie. Ja tu będę z Howardem.

- To jadę.

Ze wszystkich znajomych Jo-Beth w Grove, nikt nie był równie doskonałym uosobieniem zwyczajnego, uporządkowanego życia - z którego ona była wyłączona - jak właśnie Lois. Mimo skłonności do krytykowania postaw moralnych innych ludzi, żywiła mocną i prostą wiarę w to, co dobre. Pragnęła - ująwszy rzecz w skrócie - by świat był spokojnym miejscem, w którym dzieci, wychowywane w atmosferze miłości, mogłyby z kolei wychowywać własne dzieci. Wiedziała, że istnieje także zło. Była nią każda siła zagrażająca tej wizji. Terrorysta, anarchista, szaleniec. Jo-Beth już wiedziała, że te siły mają sprzymierzeńców w mniej rzeczywistym wymiarze bytu. Jednym z nich był jej ojciec.

Właśnie teraz było to dla niej szczególnie ważne, by znaleźć się w towarzystwie osób, których definicja dobra pozostała niezmienna.

Kiedy wysiadała z samochodu, z domu Lois dobiegł gwar i śmiech - miły dźwięk po tylu godzinach niepewności i trwogi. Zapukała do drzwi.

Wrzawa nie ustawała. Zdaje się, że w domu było mnóstwo ludzi.

- Lois! - zawołała, ale radosny gwar był tak głośny, że nikt nie usłyszał jej wołań ani pukania; zastukała więc w szybę i zawołała jeszcze raz.

Odsunęła się firanka, ukazała się pytająca twarz Lois, która bezgłośnie wymówiła imię Jo-Beth. Za nią widać było pokój pełen ludzi. Kilka sekund później stała już w drzwiach, a wyraz jej twarzy był tak niezwykły, że Jo-Beth ledwie ją poznała: Lois uśmiechała się zapraszająco. W domu chyba paliły się wszystkie żarówki, oślepiający potok światła wylewał się za próg.

- Niespodziewana wizyta - powiedziała Lois.

- Tak, pomyślałam sobie, że wpadnę. Ale ty... masz gości.

- No tak. Jest trochę zamieszania.

Obejrzała się za siebie, w głąb domu. Zdaje się, że urządziła u siebie bal przebierańców.

Jakiś mężczyzna w kompletnym stroju kowboja wchodził po schodach - jego ostrogi migotały - a przed nim inny, w pełnym umundurowaniu wojskowego. Przez hall, pod rękę z kobietą w czerni, przechodził gość przebrany - dość nieoczekiwanie - za chirurga, ze sterylną maską na twarzy. Było już dostatecznie dziwne, że Lois planowała to przyjęcie nie wspominawszy o nim Jo-Beth nawet słówkiem: w księgarni miały tyle czasu na pogaduszki. Ale najdziwniejsze było to, że ta spokojna, zrównoważona Lois w ogóle je urządziła.

- Ale to chyba nie ma znaczenia powiedziała Lois. - Przecież jesteś moją koleżanką i powinnaś mieć w tym swój udział.

Jo-Beth miała właśnie spytać: Udział w czym?, ale nie zdążyła: Lois chwyciła ją za ramię z siłą posiadacza, wciągnęła do środka i zatrzasnęła drzwi.

- Czy to nie cudowne? - wykrzyknęła Lois. Po prostu promieniała.

- Czy zapraszałaś już tych ludzi do siebie?

- Tych ludzi?

- No, Gości. Lois zadowolona się potaknięciem Jo-Beth i paplała dalej. - Kritzlerów, tych z domu obok, odwiedzili Goście z „Maskarady”, no wiesz, tego serialu o siostrach.

- Telewizyjnego?

- No oczywiście, że telewizyjnego. A mój Mel... wiesz, jak on przepada za starymi westernami...

Jo-Beth niewiele z tego wszystkiego rozumiała (o ile w ogóle), ale nie przerywała trajkotu Lois z obawy, że jakimś nietrafnym pytaniem zdradzi swoje niewtajemniczenie, a wtedy Lois odmówi jej dalszych zwierzeń.

- A ja? Ja jestem największą szczęściarą - zachłystywała się Lois. - Coś niesamowitego.

Przyszli wszyscy z „Dzień za dniem”. Całą rodziną. Alan, Virginia, Benny, Jayne.

Przyprowadzili nawet Morgana, wyobrażasz sobie?

- Ale skąd się tu wzięli, Lois?

- Po prostu zjawili się w kuchni. I oczywiście opowiadają mi wszystkie rodzinne plotki...

Tylko księgarnia pasjonowała Lois w tym stopniu, co „Dzień za dniem”, historia ulubionej rodziny Ameryki. Nigdy nie omieszkała opowiedzieć Jo-Beth - ze wszystkimi szczegółami - odcinka, który widziała poprzedniego wieczora, jakby stanowił część jej własnego życia. Teraz chyba całkiem poddała się iluzji. Mówiła o Pattersonach, jakby naprawdę ją odwiedzili.

- Są dokładnie tak uroczy, jak się spodziewałam - mówiła. - Chociaż nie oczekiwałam, że będę rozmawiać z ludźmi z „Maskarady”. Bo wiesz, Pattersonowie są tacy zwyczajni, właśnie to w nich kocham. Są tacy...

- Lois, przestań.

- O co ci chodzi?

- To ty mi powiedz, o co tu chodzi.

- Ależ wszystko w porządku. Wszystko jest cudowne. Mam u siebie Gości. Nigdy nie byłam tak szczęśliwa.

Uśmiechnęła się do mężczyzny w bladoniebieskiej marynarce, a on kiwnął do niej przyjaźnie.

- To jest Todd z „Ostatniego Śmiechu”... - przedstawiła go Lois.

Jo-Beth równie mało ceniła sobie późnowieczorne programy satyryczne co serial „Dzień za dniem”, ale ten człowiek wydał jej się dziwnie znajomy.

Podobnie jak dziewczyna, której pokazywał karciane sztuczki, i mężczyzna, który najwyraźniej rywalizował z tamtym o jej względy. Można by wziąć go pomyłkowo - nawet z tej odległości - za gospodarza „Hideaway”, ulubionego teleturnieju matki.

- Co się tu dzieje? - zapytała Jo-Beth. - To jakiś bal sobowtórów?

Uśmiech, przylepiony do twarzy Lois, przekrzywił się nieco.

- Nie wierzysz mi.

- Jak to?

- Nie wierzysz w to, co ci mówiłam o Pattersonach.

- Nie. Pewnie, że nie.

- Ale przecież oni przyszli, Jo-Beth - powiedziała z nieoczekiwaną powagą. - Chyba

zawsze chciałam się z nimi spotkać, a teraz przyszli - wzięła Jo-Beth za rękę, jej uśmiech

rozbłysł na nowo. - Sama zobaczysz. I nie martw się, do ciebie też ktoś przyjdzie, jeśli naprawdę będziesz tego pragnąć. Tak jest w całym mieście. Przychodzą nie tylko ludzie z telewizji, ale także z reklamy i tygodników ilustrowanych. Wspaniali, cudowni. Nie ma się czego bać - podeszła trochę bliżej. - Naprawdę zrozumiałam to dopiero wczoraj w nocy. Oni są tacy sami jak my. Oni też nas potrzebują. Albo jeszcze bardziej niż my potrzebujemy ich. Więc nie zrobią nam żadnej krzywdy...

Otworzyła drzwi, zza których dobiegały wybuchy śmiechów. Jo-Beth weszła za nią.

Światło, które oślepiło ją już w hallu, było tu jeszcze jaskrawsze, chociaż żadnego źródła światła nie było widać. Zupełnie, jakby znajdujący się w pokoju ludzie przyszli tu już oświetleni; płonęły blaskiem ich włosy, oczy i zęby olśniewały. Wsparty o kominek stał Mel - tęgi, łysy i napuszony - omiatając spojrzeniem pokój pełen sławnych ludzi.

Zgodnie z zapowiedzią Lois, do Palomo Grove rzeczywiście przybyły gwiazdy, o których mówiła. Rodzina Pattersonów: Alan, Virginia, Benny i Jayne, nawet ich pies - kundel Morgan - królowali pośrodku pokoju, razem z kilkoma innymi bohaterami serialu: panią Kilne, sąsiadką, która zatruwała Virginii życie, oraz Haywardami, właścicielami narożnego sklepiku. Alan Patterson żywo rozprawiał z Hester d'Arcy, nieszczęsną heroiną „Maskarady”. Jej nadmiernie rozbudzona siostra, która wytruła połowę rodziny, by zdobyć niezmiernie bogactwa, stała w kącie, puszczając oko do mężczyzny z reklamówki zachwalającej męskie slipy, który przyszedł w swym zwyczajnym stroju - prawie nago.

- Proszę o uwagę! - zawołała Lois, przekrzykując gwar. - Proszę wszystkich o uwagę!

Chciałabym przedstawić państwu jedną z moich przyjaciółek. Jedną z moich najlepszych przyjaciółek...

Znajome twarze, jak okładki kilkunastu „Tygodników telewizyjnych”, zwróciły się z ciekawością w stronę Jo-Beth. Chciała uciec z tego domu wariatów, zanim i ją dotknie

szaleństwo, ale Lois mocno trzymała ją za rękę. Zresztą było to częścią ogólnego szaleństwa.

Jeśli chciała je zrozumieć, powinna tu zostać.

- ...oto Jo-Beth McGuire - powiedziała Lois.

Wszyscy uśmiechnęli się do niej, nawet tamten kowboj.

- Zdaje się, że trzeba pani drinka - powiedział Mel, kiedy Lois przedstawiła jej po kolei wszystkich gości.

- Nie piję alkoholu.

- Mimo wszystko wygląda pani tak, jakby go pani potrzebowała - odparł. - Chyba od dziś wszyscy powinniśmy zmienić nasz sposób bycia, prawda? Albo może od wczoraj wieczorem - popatrzył na Lois, która zanosila się od śmiechu. - Nigdy nie widziałem jej tak uszczęśliwionej - powiedział. - Przez to sam jestem szczęśliwy.

- Ale czy pan wie, skąd wzięli się wszyscy ci ludzie? - zapytała Jo-Beth.

Mel wzruszył ramionami.

- Wiem tyle co i pani. Przejdźmy na drugą stronę, dobrze? Pani nie chce się napić, ale ja tak. Lois zawsze odmawiała sobie takich drobnych przyjemności. Zawsze jej mówiłem: Pan Bóg nie patrzy. A nawet jak patrzy, to nic go to nie obchodzi.

Przecisnęli się między gośćmi w hallu. Zebrało się tu nieco ludzi, którzy uciekli od ścisku w salonie. Było wśród nich kilkoro członków rady kościelnej: Maeline Mallett, Al Grisby, Ruby Shepherd. Uśmiechnęli się do Jo-Beth; niczym nie dali jej do zrozumienia, że znajdują w tym zgromadzeniu coś niewłaściwego. Może sami przyprowadzili tu swoich Gości?

- Był pan w nocy w Pasażu? - zapytała Mela, kiedy nalewał jej soku pomarańczowego.

- Owszem, byłem.

- A Maeline? Lopolis? Kritzlerowie?

- Chyba tak. Zapomniałem, kto tam był, ale jestem pewien, że większość z nich... Na pewno nie chce pani, żebym dolał czegoś do soku?

- Może tak... - powiedziała niejasno, składając w myślach cząstki tej tajemnicy.

- Brawo! - pochwalił ją Mel. - Pan Bóg nie patrzy, a nawet jeśli...

- To Go to nic nie obchodzi.

Wzięła szklaneczkę.

- Właśnie. Nic Go to nie obchodzi.

Najpierw spróbowała troszeczkę, a potem pociągnęła spory łyk.

- Co tu jest? - spytała.

- Wódka.

- Czy świat zaczyna wariować, panie Knapp?

- Chyba tak - odparł. - Co więcej, całkiem mi się to podoba.

Howie obudził się tuż po dziesiątej, nie dlatego że dostatecznie wypoczął, ale przewracając się we śnie na drugi bok, uraził chorą rękę. Ból otrzeźwił go jak uderzenie w twarz. Usiadł i w świetle księżyca oglądał pulsujące bólem kostki. Skaleczenia znów się otworzyły. Ubrał się i poszedł do łazienki, by obmyć krew, a potem zaczął szukać bandaża.

Przyniosła mu go matka Jo-Beth; zręcznie opatrzyła mu rękę i poinformowała, że Jo-Beth poszła do Lois Knapp.

- Długo tam siedzi - powiedziała.

- Jeszcze nie ma pół do jedenastej.

- Mimo wszystko.

- Może bym się tam po nią wybrał?

- Naprawdę mógłbyś? Weź samochód Tommy-Raya.

- To daleko?

- Nie.

- To się przejdę.

Ciepła noc i ten spacer w ciemności, kiedy nie ścigały go żadne psy gończe, przypomniały mu pierwszą noc, którą spędził w Grove; przypomniawszy sobie, jak zobaczył Jo-Beth w Barze Hamburgerowym Butricka; jak z nią rozmawiał; jak zakochał się w ciągu kilku sekund. Nieszczęścia, które od tamtej pory spadły na Grove, były bezpośrednim skutkiem tamtego spotkania. Jednak mimo siły swojego uczucia dla Jo-Beth nie mógł tak naprawdę uwierzyć, że właśnie ono pociągnęło za sobą tak doniosłe następstwa. Czy możliwe, że poza wrogością dzielącą dzaffa i Fletchera - poza Quiddity i walką o panowanie nad nią - istniał jeszcze potężniejszy spisek? Zawsze zaprzętał sobie głowę takimi imponderabiliami: próbował wyobrazić sobie nieskończoność, albo co poczułby, gdyby dotknął słońca? Przyjemność leżała nie w samym rozwiązaniu, ale w napięciu, które wiązało się z pokonywaniem problemu. W tym wypadku różnica polegała na jego miejscu w tym problemie. Słońce i nieskończoność niepokoiły umysły cięższe niż jego. Ale to, co czuł wobec Jo-Beth, niepokoiło tylko jego; jeżeli - jak podpowiadał mu jakiś głęboko ukryty instynkt (może podszept Fletchera?) - ich spotkanie było maleńkim, ale istotnym wątkiem jakiejś ogromnej opowieści. Howie nie może pozostawiać tej sprawy owym wielkim umysłom. Odpowiedzialność - przynajmniej w części - spadała na niego; na nich oboje. Bardzo nad tym ubolewał. Tak pragnął mieć trochę czasu dla siebie, by zalecać się do Jo-Beth, jak pierwszy lepszy małomiasteczkowy konkurent. Układać plany na przyszłość, nie czując na ramionach brzemienia niejasnej przeszłości. Ale było to nieosiągalne.

Jeśli na poparcie tej tezy potrzebował bardziej konkretnego dowodu, to znajdzie go w domu Lois Knapp.

- Ktoś do ciebie, Jo-Beth.

Odwróciła się i zobaczyła tę samą minę, którą sama musiała mieć przed dwiema godzinami, kiedy wchodziła do salonu.

- Howie - powiedziała.

- Co się tu dzieje?

- Jest przyjęcie.

- No tak, to widzę. Ale skąd się tu wzięli ci wszyscy aktorzy? Przecież wszyscy nie mogą mieszkać w Grove.

- To nie aktorzy. Oni są z telewizji. Jest trochę ludzi z filmu. Niewielu, ale...

- Chwileczkę. - Przynął się do niej i zapytał: - Czy to są znajomi Lois?

- Oczywiście.

- To miasteczko to prawdziwa karuzela. Kiedy już myślałem, że wiem, co jest grane...

- Ale oni nie są aktorami, Howie.

- Dopiero co powiedziałaś, że są.

- Nie, mówiłam, że są z telewizji. Widzisz tam rodzinę Pattersonów? Przyprawdzili nawet psa.

- Wabi się Morgan - uzupełnił Howie. - Moja matka oglądała ten program.

Wspomniany pies, sympatyczny kundel, przedstawicie! długiej serii sympatycznych kundli, usłyszał swoje imię i przybiegł do nich w podskokach, a za nim Benny, najmłodsze dziecko Pattersonów.

- Cześć - zawołał malec. - Jestem Benny.

- Howie, a to jest...

- Jo-Beth. Tak, już się poznaliśmy. Howie, czy mógłbyś pograć ze mną w piłkę na dworze? Nudzi mi się.

- Na dworze jest ciemno.

- Wcale nie - powiedział Benny, wskazując na drzwi, prowadzące na patio. Drzwi były otwarte. Tak jak mówił Benny, noc na dworze wcale nie była ciemna. Zupełnie jakby jasność, wypełniająca dom, o której nie zdążył jeszcze porozmawiać z Jo-Beth, przesączyła się na zewnątrz.

- Widzisz? - powiedział Benny.

- Widzę.

- To chodź, dobrze?

- Za chwilę.

- Słowo honoru?

- Słowo honoru. Aha, a jak ci naprawdę na imię?

Malec miał zaskoczoną minę.

- Benny - powiedział. - Zawsze tak miałem na imię. - Wyszedł w jasną noc razem z mieszkańcem.

Zanim Howie uszeregował w kolumnę niezliczone pytania, które mu się cisnęły na usta, poczuł, jak ktoś przyjaźnie klepnął go w plecy, a głęboki głos zapytał:

- Podać coś do picia?

Howie podniósł zabandażowany kikut na znak przeprosin, że nie podaje ręki.

- Cieszę się, że pan przyszedł. Jo-Beth mówiła mi o panu. W ogóle to jestem Mel, mąż Lois. Zdaje się, że znacie się już z Lois.

- Tak.

- Nie wiem, gdzie przepadła. Zdaje się, że uwodzi ją jeden z tych kowbojów. - Podniósł kieliszek. - A ja na to jak na lato. - Udał zawstydzienie. - Co ja wygaduję. Powinienem wyrzucić łobuza za drzwi, strzelić mu w łeb, co? - uśmiechnął się szeroko. - Oto Nowy

Zachód, czyż nie? Nic mnie to nie obchodzi. Jeszcze jedną wódeczkę, Jo-Beth? Napijesz się czegoś, Howie?

- Owszem.

- Śmieszne, prawda? Dopiero kiedy przychodzą te sny, człowiek zaczyna sobie zdawać sprawę, kim naprawdę jest. Ja... ja jestem tchórzem. I nie kocham jej - odwrócił się. - Nigdy jej nie kochałem. - Odszedł zataczając się. - Nigdy jej nie kochałem. Suka. Wredna suka.

Howie patrzył, jak Mel ginie w tłumie, a potem spojrział na Jo-Beth.

Powiedział bardzo powoli:

- Nie mam pojęcia, o co w tym wszystkich chodzi. A ty?

- Ja mam.

- Więc mi wytłumacz. Jasno i wyraźnie.

- To ma związek z tym, co się stało wczoraj w nocy. Z tym, co zrobił twój ojciec.

- Chodzi o to, że się spalił?

- Tak, czy raczej o to, co z tego wynikło. Wszyscy ci ludzie... - uśmiechnęła się, obrzucając ich spojrzeniem - ...Lois, Mel, Ruby... wszyscy byli wtedy w Pasażu. To, co pochodziło od twojego ojca...

- Nie mów tak głośno, dobrze? Przyglądają się nam.

- Wcale nie mówię głośno, Howie. Nie przesadzaj.

- Mówię ci, że się przyglądają.

Czuł siłę ich spojrzeń; twarze, które widział w eleganckich tygodnikach lub na ekranie telewizyjnym, wpatrywały się w niego z dziwnym natężeniem, prawie niespokojnie.

- Więc niech się przyglądają - powiedziała. - Nie zrobią nikomu nic złego.

- Skąd wiesz?

- Jestem tu cały wieczór. To jest zupełnie jak zwyczajne przyjęcie...

- Język ci się płacze.

- Chyba mogę się zabawić raz na jakiś czas?

- Nie twierdzę, że nie. Uważam tylko, że nie jesteś w stanie ocenić, czy są niebezpieczni, czy nie.

- O co ci chodzi, Howie? Chcesz mieć ich wszystkich dla siebie?

- Nie, nie. Oczywiście, że nie.

- Nie chcę mieć nic wspólnego z dzaffem...

- Jo-Beth.

- Może on i jest moim ojcem, ale to nie znaczy, że mi się to podoba.

Na dźwięk słowa „dzaff” w pokoju zapadła cisza. Teraz wszyscy obecni: kowboje, gwiazdy oper mydlanych, aktorzy z komedii sytuacyjnych, piękne kobiety i cała reszta - patrzyli prosto na nich.

- O cholera - zaklął Howie cicho. - Nie powinnaś tego mówić. - Popatrzył na otaczających ich ludzi. - To pomyłka. Ona nie to miała na myśli. Ona nie jest... nie należy... Chodzi o to, że jesteśmy razem. Ona i ja. Jesteśmy razem, widzicie? Moim ojcem był Fletcher, a jej... jej nie. - Miał uczucie, jakby wciągały go ruchome piaski. Im bardziej się szamotał, tym głębiej się zapadał.

Pierwszy przemówił któryś z kowbojów. Miał oczy, które w prasie określono by jako lodowato - błękitne.

- Pan jest synem Fletchera?

- Tak... owszem.

- Więc pan wie, co mamy robić.

Nagle Howie zrozumiał znaczenie spojrzeń, które skupiły się na nim, ledwie wszedł do pokoju. Te istoty - Fletcher nazywał je „hallucigenia” - znały go; przynajmniej tak im się

zdawało. Zrozumiał, kim dla nich był; pragnienie, które widział w ich oczach, nie mogło być bardziej czytelne.

- Niech nam pan powie, co mamy robić - odezwała się jakaś kobieta.

- Przyszliśmy tu ze względu na Fletchera - powiedziała inna.

- Fletcher nie żyje.

- Więc ze względu na ciebie. Jesteś jego synem. Co mamy robić?

- Czy chcesz, żebym skończył z córką dżaffa? - zapytał kowboj, zwracając na Jo-Beth błękitne oczy.

- Jezus Maria, nie!

Chciał ująć Jo-Beth za ramię, ale już jej przy nim nie było - cofała się powoli w stronę drzwi.

- Wracaj! - zawołał. - Nic ci nie zrobią!

Sądząc po jej minie, słowa Howie'ego niezbyt podniosły ją na duchu w tym towarzystwie.

- Jo-Beth... Ja nie pozwolę, by cię skrzywdzili.

Chciał biec za nią, ale zausznicy jego ojca nie pozwoliliby odejść swojemu jedyemu przewodnikowi. Nie zdążył do niej podejść, gdy czyjaś ręka schwyciła go za koszulę, a potem druga i trzecia, aż błagalne, pełne uwielbienia twarze otoczyły go ciasnym kręgiem.

- Nie mogę wam pomóc! - krzyczał - puście mnie!

Widział kątem oka, jak przestraszona Jo-Beth otwiera drzwi i wymyka się z domu.

Wołał za nią, ale wzmagający się chór błagań zagłuszał każde jego słowo. Ze zdwojoną siłą zaczął sobie torować drogę w tym ścisku.

Może i były to sny, ale całkiem solidnie zbudowane; ciepłe i zdaje się - wystraszone.

Potrzebowały wodza i wybrały właśnie jego. Nie był przygotowany do objęcia tej roli -

zwłaszcza jeśli oddzielała go od Jo-Beth.

- Dajcie mi przejść, do cholery! - krzyczał, przedzierając się przez tłum połyskliwych, oświetlonych od tyłu postaci. Ich zapach nie stygł; przeciwnie, wzmagał się w miarę jak on coraz bardziej im się opierał. Dopiero kiedy schylił się i przedostał między swoimi wielbicielami jak tunelem, udało mu się od nich uwolnić. Poszli za nim hurmem do przedpokoju. Drzwi frontowe były otwarte. Rzucił się do wyjścia jak gwiazda obłożona przez fanów i przepadł w mroku, zanim zdążyli go zatrzymać. Jakiś instynkt nie pozwalał im wyjść na otwartą przestrzeń, chociaż parę tych stworów, łącznie z Bennym i Morganem, ruszyło jednak za nim, a wołanie chłopca „Wróć do nas jak najszybciej!” biegło za nim ulicą jak groźba.

VII

Kula trafiła Tesłę w bok jak cios mistrza wagi ciężkiej. Strzał rzucił ją w tył; zamiast uśmiechniętej twarzy Tommy-Raya widziała teraz gwiazdy, migocące w otworze w dachu.

Rosły w mgnieniu oka, pokrywając połyskliwą opuchlizną kojącą ciemność.

Następujące teraz wypadki przekraczały jej zdolność pojmowania. Słyszała jakieś zamieszanie i wystrzał, a potem przeraźliwe krzyki kobiet, które - jak mówił Raul - miały tu przyjść mniej więcej o tej porze. Ale nie odnajdywała w sobie dość woli, by zainteresować się sprawami, rozgrywającymi się na ziemi.

Całą jej uwagę pochłonęło nieprzyjemne widowisko wysoko w górze: niezdrowo nabrzmiałe niebo, które za chwilę zaleje ją nieczystym światłem.

Czy to śmierć? - zastanawiała się. Jeśli tak, to ludzie bardzo ją przeceniają. Przyszło jej do głowy, że można by z tego zrobić scenariusz filmowy. O kobiecie, która...

Zgubiła tę myśl, tracąc przytomność.

Ten drugi strzał, który słyszała Tesla, był przeznaczony dla Raula.

Skoczył przez ognisko i rzucił się na bandytę. Kula przeszła bokiem; Raul uskoczył, by uniknąć następnej, z czego skorzystał Tommy-Ray, by pomknąć do drzwi w tłum kobiet, który rozpadł się na dwoje, kiedy ponad ich okrytymi welonami głowami oddał trzeci strzał. Kobiety wybuchły wrzaskliwym lamentem i uciekły, ciągnąc dzieci za sobą. Nie wypuszczając z ręki fiolki z nuncjo, Tommy-Ray pobiegł w dół wzgórza, w miejsce, gdzie zostawił samochód. Jednym rzutem oka za siebie upewnił się, że towarzysz tej kobiety - którego dziwaczny wygląd i nieoczekiwany manewr zbiły go na chwilę z tropu - już go nie ścigał.

Raul przyłożył dłoń do policzka Tesli. Była rozpalona, ale żyła. Zdjął koszulę, zwinął ją w kłębek i przyłożył do jej rany; na koszuli umieścił jej bezwładną rękę, by przytrzymywała opatrunek. Potem wyszedł w mrok i zaczął zwoływać ukrywające się kobiety. Znał je wszystkie z imienia i nazwiska; one też go znały i ufały mu. Przyszły na jego wezwanie.

- Zaopiekujcie się Teslą - polecił im i poszedł śladem Chłopca Śmierci i jego zdobyczy.

Tommy-Ray dostrzegł swój samochód, czy raczej jego upiorny kształt w świetle księżycy, gdy nagle stopa mu się obsunęła. Usiłował utrzymać i fiolkę, i pistolet, ale i jedno, i drugie wypadło mu z ręki. Runął na twarz między ostre kamienie. Rozcięty mu policzek, podbródek, ramiona i dłonie.

Kiedy wstał, ze skaleczeń sączyła się krew.

- Moja twarz! - zawołał, błagając Boga, by jego uroda nie doznała uszczerbku.

To nie był koniec przykrości. Za sobą słyszał kroki Brzydala, schodzącego w dół wzgórza.

- Chcesz umrzeć, co? - mruknął w stronę swojego prześladowcy. - Nie ma sprawy!

Masz to jak w banku.

Sięgnął po pistolet, ale ten zsunął się dalej w dół. Za to fiolkę miał w zasięgu ręki. Gdy

ją podnosił z ziemi, zauważył, że substancja nie była już tak bierna jak przedtem. Przeniknęła ciepłem jego skrwawioną dłoń. Za szkłem wrzał ruch. Tommy-Ray mocniej uchwycił fiolkę, by mu się znowu nie wyśliznęła z palców. Reakcja była natychmiastowa: płyn rozżarzył się.

Wiele lat upłynęło od czasu, gdy resztką nuncjo dopełniła swego celu na osobach Fletchera i Jaffe'a. Ta fiołka leżała, niewidoczna dla ludzkich oczu, ukryta między kamieniami, zbyt czczonymi, by ktoś odważył się je poruszyć.

Nuncjo ostygło; zapomniało o swym przesłaniu. Entuzjazm Tommy-Raya pobudził jego dawne ambicje.

Tommy-Ray patrzył, jak parło na ścianki naczynia, jasne jak nóż. Jak błysk wystrzału.

Rozbiło ściany swojego więzienia i, przecisnąwszy się między rozcapierzonymi palcami chłopca - zasłonił się dłonią przed tym atakiem - sięgnęło jego poranionej twarzy.

Dotknęło go tak lekko - jak ciepły bryzg nasienia, spadający w oko i kącik ust, gdy się spuszczał. Ale ten dotyk rzucił nim gwałtownie w tył; chłopiec runął na kamienie, które pokaleczyły mu plecy, pośladki i łokcie.

Chciał krzyczeć, ale z jego ust nie wydobył się żaden dźwięk. Próbował otworzyć oczy, by sprawdzić, gdzie upadł, ale i to mu się nie udało.

Chryste! Nie mógł nawet oddychać. Dłonie, w które wniknęło nuncjo, miał jak przyśrubowane do twarzy, szczelnie zasłaniały mu oczy, nos i usta. Czuł się tak, jakby go zamknięto w trumnie o dwa numery za małej. Znów krzyknął przez knebel własnej dłoni - nadaremnie. W jego mózgu odezwał się jakiś głos:

- Przestań. Przecież sam tego chciałeś. Żeby zostać Chłopcem Śmierci, musisz najpierw ją poznać. Poczuc ją, zrozumieć. Przeżyć.

W tej dziedzinie - jak chyba w żadnej dyscyplinie wiedzy w swoim krótkim życiu -

Tommy-Ray był pojętym uczniem. Przestał opierać się panice - dał się jej nieść jak surfowi

w Zuma w stronę ciemności jakiegoś nieznanego brzegu. Nuncjo płynęło wraz z nim. Czuł, że odmieniało go z każdą sekundą, tańcząc na czubkach jego zeszywniałych włosów, wybijając jakiś rytm - rytm śmierci - między uderzeniami jego serca.

Nagle wypełniło się nim; albo on wypełnił się nuncjo; czy też stało się jedno i drugie.

Ręce odpadły od jego twarzy jak ssawki i znów mógł oddychać.

Kilkakrotnie wciągnął głęboko powietrze w płuca, usiadł i popatrzył na swoje dłonie.

Były zakrwawione - krwią ze skaleczeń na twarzy, same również były pokaleczone. Ale plamy krwi bladły wobec innego, bardziej przejmującego widoku. Obdarzony wzrokiem mieszkańca zaświatów, widział, jak rozkłada się jego własne ciało. Skóra ciemniała, nabrzmiwała gazami i pękała; z pęknięć sączyła się ropa wymieszana z wodą. Na ten widok uśmiechnął się szeroko; poczuł, że pęka mu twarz, kiedy uśmiech rozszerzył się od kącików ust aż po uszy. Uśmiech obnażył nie tylko kości jego twarzy, postępujący rozkład ukazywał kości jego ramion, nadgarstków i palców. W jego piersi - zakrytej koszulą - serce i płuca miękły i rozpływały się, podobnie jak jądra i skurczony członek.

Ale Tommy-Ray uśmiechał się coraz szerzej, aż z jego twarzy znikły wszystkie mięśnie, a on uśmiechał się uśmiechem Chłopca Śmierci - całą gębą; nikt nie mógłby wyszczerzyć się bardziej.

Ta wizja trwała krótko; przyszła i przeszła. Tommy-Ray klęczał na ostrych kamieniach, oglądając swoje zakrwawione dłonie.

- Jestem Chłopcem Śmierci - powiedział. Wstał i zwrócił się twarzą do tego szczęściarza, który jako pierwszy zobaczy go tak przeistoczonym.

Mężczyzna zatrzymał się nagle kilka kroków od niego.

- Przyjrzyj mi się - odezwał się Tommy-Ray. - Jestem Chłopcem Śmierci.

Biedak po prostu gapił się dalej, nic nie rozumiejąc. Tommy-Ray roześmiał się.

Zupełnie przeszła mu chęć, by go zabić. Postanowił pozostawić przy życiu tego świadka, by mógł w przyszłości opowiadać innym: „Byłem tam wtedy. To było coś niesamowitego.

Widziałem, jak Tommy-Ray umarł, a potem zmartwychwstał”.

Postał chwilę, popatrzył na resztki fiolki i kilka płam nuncjo na kamieniach. Nie opłacało się tego zbierać i zanosić dżaffowi. W zamian przywiezie mu coś lepszego - siebie samego odmienionego; oczyszczonego z trwogi; oczyszczonego z ciała. Nie patrząc więcej na świadka, odwrócił się i odszedł, pozostawiając tamtego w całkowitym oszołomieniu.

Chociaż chwała rozkładu już go opuściła, pozostało mu coś na kształt podwójnego widzenia, z którego nie zdawał sobie sprawy do chwili, gdy jego wzrok przyciągnął jakiś kamyk. Pochylił się i podniósł go - niebrzydki, może podaruje go Jo-Beth. Dopiero kiedy wziął go do ręki, zobaczył, że to wcale nie był kamień, ale czaszka jakiegoś ptaka, spękana i brudna. W jego oczach - bił od niej blask.

Śmierć jest świetlista - pomyślał. - Bije od niej blask, kiedy ja na nią patrzę.

Schował czaszkę do kieszeni i nie spiesząc się ruszył w dół wzgórza, do samochodu.

Zaczął zjeżdżać na wstecznym biegu, ale droga była dość szeroka, by zawrócić. Wtedy ruszył w ciemność, w ostre zakręty z szybkością, która byłaby samobójcza, gdyby samobójstwo nie było teraz jedną z jego wielu zabawek.

Raul dotknął resztki rozlanego nuncjo. Zaperliło się i ruszyło w górę, wijąc się wzdłuż wyłobień skóry na opuszkach palców, wniknęło w szpik kostny dłoni, nadgarstka i przedramienia aż wyczerpało się, doszedłszy do łokcia. Czuł - albo tak mu się zdawało - jakieś nieznaczne zmiany zachodzące w mięśniach, jakby jego ręka, która nigdy nie zatraciła małpich proporcji, lekko upodobniała się do ludzkiej. Trwał w tym uczuciu tylko przez chwilę; stan Tesli obchodził go bardziej niż jego własny.

Kiedy już wspinał się z powrotem na wzgórze, przyszło mu do głowy, że może krople

nuncjo, rozlane na ziemi, uleczyłyby tamtą kobietę. Jeśli szybko nie uzyska jakiejś pomocy, ona z pewnością umrze. Nic nie straci. Jeśli pozwoli działać Wielkiemu Dziełu.

Z tą myślą zawrócił do Misji; wiedział, że gdyby dotknął rozbitej fiołki, to właśnie on skorzystałby z dobroczynnego działania substancji. Trzeba będzie znieść Tesłę w dół wzgórza, do rozlanych na ziemi cennych kropli.

Kobiety obstawiły Tesłę świecami. Już teraz wyglądała na umarłą.

Szybko im powiedział, co należy zrobić. Otuliły ją i pomagały mu ją nieść przez jakiś czas. Nie była ciężka. Raul podtrzymywał jej głowę i ramiona, dwie kobiety niosły dolną część jej tułowia, a trzecia tamowała ranę zwiniętą koszulą, teraz przemokłą do suchej nitki. Szli powoli, potykając się w ciemnościach, ale Raul, który już dwa razy miał kontakt z nuncjo, bez trudu odnalazł tamto miejsce. Swój ciągnie do swego. Ostrzegł kobiety, by nie dotykały rozlanej cieczy ręką ani bosą stopą, wziął Tesłę w ramiona i położył ją na ziemi; rozlane nuncjo otoczyło jej głowę jak aureola. Pozostało także w resztkach fiołki - było tego najwyżej łyżeczka. Bardzo delikatnie odwrócił głowę Tesli w stronę fiołki. Wyczuwając bliskość Tesli, płyn zaczął skrzyć się i migotać jak tańczące świetliki...

...trująca jasność, która spadła na Tesłę w chwili, gdy przeszła ją kula Tommy-Raya, nagle nabrała kształtu; zmieniła się w szare, bliżej nieokreślone miejsce, w którym teraz leżała, nie mając pojęcia, jak się tu dostała. Nie pamiętała Misji, Raula, Tommy-Raya. Zapomniała nawet, jak się nazywa.

To wszystko zostało za murem, którego nie mogła przekroczyć. Może nigdy już nie przejdzie na tamtą stronę. Ani ją to martwiło, ani cieszyło. Pozbawiona pamięci, nie miała czego opłakiwać.

Nagle z tamtej strony muru coś zaskrobało. Słyszała, jak podśpiewywało w trakcie pracy, niby kochanek żłobiący kamienną ścianę jej celi, zdecydowany, że dostanie się do

środku. Nasłuchiwała i czekała; wróciła jej częściowo pamięć i Tesla nie była już tak obojętna wobec możliwości ucieczki. Najpierw przypomniała sobie swoje imię - słyszała, jak ktoś nucił je po tamtej stronie, potem wystrzał i przeszywający ból, szeroki uśmiech Tommy-Raya, Raula, Misję i...

Nuncjo.

Przybyła tu w poszukiwaniu tej właśnie potęgi, a teraz nuncjo szukało Tesli, żłobiąc ściany otchłani zapomnienia. Zbyt krótko rozmawiała z Fletcherem o przeistaczającej mocy tego preparatu, ale dobrze rozumiała ogólne zasady jego działania. Nuncjo było gotowe biec z każdą sztafetą. Był to wyścig na przekór entropii - ku jakiemuś celowi, niejasnemu nawet dla jego klienta-ofiary, nie wspominając już o przedmiocie doświadczenia. Czy była gotowa na ten probierczy dotyk? Pod jego wpływem zło rozrastało się w Jaffie, a Fletcher zmienił się w świętego, który sam nie wie, o co w tym wszystkim chodzi.

A jak oddziała na nią?

W ostatniej chwili Raul zwątpił w skuteczność tego lekarstwa i postanowił odciągnąć Tesłę na bok, z dala od nuncjo, ale ono już biegło z uszkodzonej fiołki w kierunku jej twarzy. Tesla wciągnęła je w płuca jak ciekły oddech. Krople preparatu, rozrzucone wokół jej głowy, potoczyły się w kierunku jej czaszki i karku.

Oddychała głęboko; jej ciało zareagowało drgawkami na wniknięcie Zwiastuna. Potem drżenie jej stawów i nerwów ustało równie nagle, jak się zaczęło.

Raul powiedział cicho:

- Nie umieraj. Tylko nie umieraj.

Miał już - w ostatniej próbie ratunku - przyłożyć usta do jej ust, kiedy zobaczył jakiś ruch za jej zamkniętymi powiekami. Oczy Tesli błędziły na prawo i lewo jak oszalałe, przyglądając się czemuś, co tylko ona mogła widzieć.

- Żyje... - szepnął Raul.

Stojące za nim kobiety - które widziały to zajście na własne oczy, ale nic z niego nie rozumiały - poczęły się modlić i zawodzić, czy to w podzięcie, czy w trwodze. Raul też nie wiedział, co myśleć, ale dołączył do ich chóru swoje ciche modlitwy, nie bardziej pewien swoich uczuć niż tamte kobiety.

Nagle mury ustąpiły. Jak tama, która najpierw pęka na niewielkim odcinku, a potem rozpada się na całej długości pod naporem idącej fali.

Kiedy mury rozpadły się w gruz, Tesla spodziewała się zobaczyć świat takim, jakim go zostawiła. Myliła się. Nie było śladu Misji, nie było Raula. Przed nią rozciągała się pustynia, oświetlona słońcem, które jeszcze nie zdążyło osiągnąć całej swej oślepiającej mocy; wiejący w tym pustkowiu wiatr porwał Tesłę, w chwili gdy runęły mury, i poniósł ją ponad ziemią. Pędzili z przerażającą szybkością; Tesla nie mogła zwolnić pędu czy choćby zmienić kierunek lotu, gdyż nie miała kończyn ani tułowia. Była tutaj myślą, czystą myślą w czystym miejscu.

Potem, daleko na horyzoncie zamajaczył widok, który zadał temu kłam.

Ślad ludzkiej działalności - miasto, leżące w środku pustki. Zbliżała się do miasta z niesłabnącą szybkością. To chyba nie był cel jej podróży, o ile taki cel w ogóle istniał. Tesli przyszło na myśl, że być może będzie tak podróżować bez końca. Może ten stan był po prostu stanem ruchu, podróżą bez celu i końca. Gdy sunęła główną ulicą, zdążyła się zorientować, że chociaż miasto było zbudowane porządnie i solidnie - domy i sklepy ciągnęły się zwartym szeregiem po obu stronach - było także wyprane z wszelkiego charakteru. To znaczy - było nie zamieszkane i pozbawione jakichkolwiek znaków szczególnych. Na sklepach i skrzyżowaniach nie było tablic ani napisów; nigdzie śladu człowieka. Zaledwie zanotowała ten dziwaczny fakt, już była po drugiej stronie miasta i znów pędziła nad spaloną przez słońce

równiną. Widok miasta, choć tak przelotny, wzmógł jej podejrzenia, że była tutaj zupełnie sama. Jej podróż miała być nie tylko bezkresna, ale i samotna. To piekło, myślała; albo równie dobra namiastka piekła.

Zaczęła się zastanawiać, po jak długim czasie jej umysł ucieknie w obłąd od tej okropności. Po upływie doby? Tygodnia? I czy w ogóle istniało tutaj podobne rozróżnienie czasu? Usiłowała spojrzeć w niebo, ale słońce miała za sobą, a ponieważ była pozbawiona ciała, nie rzucała cienia, z którego mogłaby odczytać położenie słońca; nie była też w stanie odwrócić się i sama popatrzeć na słońce.

Ale zobaczyła coś jeszcze - dziwniejsze niż tamto miasto; samotną wieżę stalową czy pylon, stojącą pośrodku pustkowia, przytwierdzoną do podłoża linami, jakby w każdej chwili mogła odlecieć z wiatrem. Tesla minęła ją w kilka sekund. I znów ten widok nie przyniósł jej żadnej pociechy. Ale gdy tylko przeleciała dalej, zawładnęła nią nowa myśl: że ona, obłoki i piasek przed czymś uciekali. Czy w bezludnym mieście, które dopiero co znikło, czaił się jakiś stwór, a teraz, podrażniony obecnością człowieka, ruszył za Teslą w pogoń? Nie mogła się obejrzeć za siebie, nie słyszała, nie mogła nawet wyczuć drgań ziemi, wzbudzanych przez jego stopy, w miarę jak się zbliżał. Ale przyjdzie na pewno. Jeśli nie teraz, to wkrótce. Prześladowca był bezlitosny; nie było przed nim ucieczki. Chwila, w której go zobaczy, będzie ostatnią chwilą jej życia.

Nagle dostrzegła miejsce, w którym będzie mogła się schronić. Była to jakby nieduża chata o kamiennych, pobielanych ścianach - jeszcze dość odległa, zbliżała się raptownie. Niesamowity pęd osłabł. Ta jazda miała chyba jakiś cel, była nią ta chatka.

Wbiła wzrok w tę budowlę, wypatrując mieszkańców, gdy kątem oka dostrzegła jakiś ruch w pewnej odległości na prawo od chatki. Choć lot był teraz wolniejszy, Tesla wciąż posuwała się ze znaczną szybkością i nie mogła przyjrzeć się okolicy dokładniej; dostrzegła

tylko przelotnie jakąś postać. Ale była to postać ludzka, postać kobiety ubranej w łachmany. To było wszystko, co udało jej się zobaczyć. A jednak, nawet gdyby chatka była równie opuszczona jak tamto miasto, pocieszała się myślą - choć słaba to była pociecha - że jeszcze jakiś człowiek oprócz niej wędrował przez ten bezmiar pustyni. Tesla wypatrywała oczy za tamtą kobietą, ale już jej nie było; odeszła, tak jak przyszła. Przed Teslą - wraz z chatką - wyrósł teraz nowy, pilniejszy problem: chata była tuż-tuż, a przy tej szybkości Tesla mogłaby równie dobrze rozbić doszczętnie i chatkę, i siebie samą. Pogodziła się z tym na myśl, że taka gwałtowna śmierć byłaby lepsza niż niekończąca się podróż, która napęłniała ją lękiem. Nagle znieruchomiała; zatrzymała się tuż przed drzwiami. W ułamek sekundy szybkość spadła z dwustu mil na godzinę do zera.

Drzwi były zamknięte, ale z tyłu, ponad swoim ramieniem (choć była bezcielesna, nie mogła wyrzec się określeń w rodzaju „z tyłu” i „ponad”)

Tesla wyczuła czyjąś obecność. Kątem oka dostrzegła węża grubości nadgarstka, tak ciemnego, że nawet w jasnym świetle słońca nie mogła rozróżnić żadnych szczegółów jego budowy. Nie miał żadnych wzorów na skórze; głowy, oczu, pyska, odnóży. Miał jednak siłę. Dostateczną, by pchnięciem otworzyć drzwi chaty. Potem cofnął się, pozostawiając Tesłę w niepewności, czy widziała całe zwierzę, czy tylko jedną z jego kończyn.

Wnętrze chaty było niewielkie; Tesla objęła je jednym spojrzeniem.

Ściany były z litego kamienia, podłoga - gołą ziemią. Nie było łóżka, żadnych w ogóle sprzętów. Było tylko niewielkie ognisko, płonące pośrodku klepiska; dym ogniska mógłby uchodzić przez otwór w dachu, ale nie uchodził i stał w powietrzu między Teslą a jedynym mieszkańcem chaty.

Wydawał się równie stary jak kamienie, z których zbudowano ściany chaty - równie nagi i brudny jak one. Cienka jak papier skóra ciasno - jakby miała pęknąć - opinała jego

ptasie kości. Opalił sobie nierówno brodę nad ogniem, pozostawiając gdzieś kępki siwego zarostu. Tesla zdziwiła się, że miał na to dość rozumu. Wyraz jego twarzy świadczył o daleko posuniętej katalepsji.

Ale zobaczył ją, gdy tylko weszła, chociaż była istotą bezcielesną.

Odchrząknął i splunął w ogień.

- Zamknij drzwi - powiedział.

- Więc mnie widzisz? - zapytała. - Słyszysz?

- Oczywiście. Ale zamknij drzwi.

- Jak mam to zrobić? Nie mam rąk... W ogóle niczego.

- Możesz to zrobić - odparł. - Po prostu wyobraź sobie siebie.

- Słucham?

- Czy to takie trudne, do cholery? Tyle razy na siebie patrzyłaś. Wyobraź sobie, jak wyglądasz. Spraw, by twój obraz stał się rzeczywisty. No już. Zrób to dla mnie - ni to się przymilał, ni to próbował ją zastraszyć. - Musisz zamknąć drzwi...

- Próbuję.

- Zbyt słabo.

Milczała przez chwilę, zanim odważyła się zapytać:

- Ja umarłam, prawda?

- Umarłaś? Nie.

- Nie?

- Nuncjo uchroniło cię przed śmiercią. Żyjesz, a jakże, ale twoje ciało jest wciąż w

Misji. Chcę, żeby było tutaj. Mamy coś do załatwienia.

Ta dobra nowina - że żyje, chociaż duch oddzielił się od ciała - dodała jej energii.

Myślała usilnie o tym ciele, które już prawie utraciła, o ciele, w które wrosła w ciągu

trzydziestu dwóch lat życia. Nie było bez wad, ale należało do niej. Żadnego silikonu, niczego w nim nie wycinano ani podciągano. Lubiła swoje dłonie i smukłe przeguby, swoje asymetryczne piersi (brodawka lewej piersi była dwukrotnie większa od prawej), swoją cipkę, pośladki. Najbardziej podobała jej się własna twarz - ze wszystkimi nieregularnościami i zmarszczkami śmiechu.

Sztuka w tym, żeby sobie to wszystko wyobrazić. Zobaczyć obraz najważniejszych części składowych i w ten sposób przenieść je w inne miejsce, tutaj, gdzie był jej duch. Jak się domyślała, starzec pomagał jej w tym.

Chociaż nie odrywał oczu od drzwi, wpatrywał się w głąb siebie. Na szyi wystąpiły mu ścięgna niby struny harfy, bezwargie usta ściągał kurcz.

Jego energia wspomagała jej wysiłki. Tesla czuła, że traci lekkość i nabiera masy. Jak zupa gęstniejąca na ogniu jej wyobraźni. Była chwila niepewności, kiedy prawie żałowała, że traci swobodę, jaką rozporządza myśl, ale wtedy przypomniała sobie uśmiech, z którym tego ranka wychodziła spod prysznic. To było wspaniałe uczucie - dojrzewała w tym ciele, uczyła się nim cieszyć dla niego samego. Choćby prosta przyjemność, jakiej się zaznaje przy nieskrępowanym beknięciu, a jeszcze bardziej - przy porządnym pierdnięciu, takim, które w Butchu (jej psie) budziło poczucie winy. Albo przyuczanie języka do różnych gatunków wódki; oczu - do zachwyty nad Matissem. Skojarzenie ciała z umysłem miało więcej zalet niż wad.

- Prawie gotowe - usłyszała głos starego.

- Tak, czuję to.

- Jeszcze trochę. Przywołuj do siebie swój obraz!

Spojrzała na ziemię, świadoma, że jest w stanie to zrobić. Zobaczyła własne stopy -

bose na progu chaty. Podobnie materializowała się reszta jej ciała. Tesla była zupełnie naga.

- Teraz... - powiedział mężczyzna siedzący przy ognisku - zamknij drzwi.

Odwróciła się i zamknęła drzwi, bynajmniej niezakłopotana własną nagością, zwłaszcza po trudach sprowadzenia tutaj swojego ciała. Trzy razy w tygodniu chodziła na gimnastykę. Wiedziała, że ma płaski brzuch i prężne pośladki. Poza tym, gospodarz domu ani nie krępował się własną nagością, ani tym, że jego spojrzenie nie było tylko pobieżnym rzutem oka.

Ale nawet jeśli w tych oczach płonęła kiedyś lubieżność, to już dawno wygasła.

- A więc, ja mam na imię Kissoon, a ty Tesla. Usiądź, porozmawiamy.

- Mam mnóstwo pytań.

- Dziwiłbym się, gdyby było inaczej.

- Więc mogę pytać?

- Pytaj. Ale najpierw usiądź.

Przysiadła po drugiej stronie ognia. Podłoga była ciepła, tak jak i powietrze. Już po upływie pół minuty zaczęła się pocić. To było przyjemne uczucie.

- Po pierwsze - zaczęła - jak ja się tu dostałam? I w ogóle gdzie jestem?

- Jesteś w stanie Nowy Meksyk. A jak się tu znalazłaś? Cóż, na to trudniej

odpowiedzieć, ale rzecz sprowadza się do tego: obserwowałem ciebie... ciebie i kilka innych osób, czekając, aż nadarzy się sposobność, by sprowadzić tutaj któreś z was. Fakt, że znalazłaś się w stanie bliskim śmierci, oraz nuncjo pomogły przełamać twój opór wobec tej podróży. Właściwie miałaś niewiele do powiedzenia.

- Na ile orientujesz się w wydarzeniach w Grove? - zapytała Tesla.

Z jego warg dobiegły suche dźwięki, jakby próbował zwilżyć śliną wnętrze ust. Kiedy się wreszcie odezwał, w jego głosie brzmiało zmęczenie.

- Mój Boże, wiem aż nazbyt wiele - odparł.

- O Sztuce, o Quiddity... o tym wszystkim?

- Tak - w jego głosie wciąż brzmiało zniechęcenie. - Znam tę historię od podszewki. To ja puściłem to wszystko w ruch, chociaż jestem zwyczajnym durniem. Stwór, którego znasz jako džaffa, siedział kiedyś tu, gdzie ty. Był wtedy zwyczajnym człowiekiem, Randolphem Jaffe'em, który robił na ludziach pewne wrażenie, musiał taki być, żeby się tu w ogóle dostać, ale i tak był tylko człowiekiem.

- Czy przybył tu w ten sam sposób, co ja? - spytała Tesla. - Chodzi mi o to, czy umierał?

- Nie. Po prostu pragnął Sztuki bardziej niż większość ludzi, którzy chcieli ją zdobyć. Nie pozwolił się zwieść żadnym blagom, zasłonom dymnym i sztuczkom, które zbijają z tropu większość ludzi. Szukał, aż mnie znalazł.

Kissoon wpatrywał się w Tesłę zmrużonymi oczami. Jakby mógł w ten sposób zaostrzyć swój wzrok i wniknąć w głąb jej czaszki.

- Co mam powiedzieć - powiedział. - zawsze ten sam problem: co powiedzieć innym.

- Mówisz, jak Grillo - zauważyła. - Śledziłeś go?

- Raz czy dwa razy, kiedy przeciął mi drogę. Ale on nie ma znaczenia. Ty tak. Ty jesteś bardzo ważna.

- Pod jakim względem?

- Choćby dlatego, że tu jesteś. Od czasu Randolpha nikt się tu nie pokazał, no i zobacz, co z tego wynikło. To nie jest zwyczajne miejsce, Tesla. Na pewno już się tego domyśliłaś. To jest Pętla - czas wyjęty z czasu - którą sporządziłem dla siebie.

- Wyjęty z czasu? Nie rozumiem.

- Od czego zacząć? - zastanawiał się. - To jest to następne pytanie. No więc... wiesz już o Sztuce. O Quiddity. Czy wiesz także o Szkole?

Potrząsnęła przecząco głową.

- Jest to, czy też był, jeden z najstarszych zakonów w religiach świata. Maleńka sekta, zawsze było nas siedemnaścioro, która wierzyła w jeden dogmat: Sztukę, jedno niebo: Quiddity, i jeden cel: zachowanie w czystości jednego i drugiego. Oto jego znak - podniósł jakiś niewielki przedmiot, leżący przed nim na ziemi, i rzucił w jej stronę.

W pierwszej chwili Tesla wzięła go za krucyfiks. Był to rzeczywiście jakiś krzyżyk, z figurą ludzką o rozkrzyżowanych rękach i nogach. Jednak po dokładniejszych oględzinach stwierdziła, że było inaczej. Na każdym z czterech ramion symbolu widniały jeszcze jakieś znaki, które były zniekształconą, albo rozwiniętą, wersją centralnej postaci.

- Wierzysz mi? - zapytał.

- Tak, wierzę ci.

Odrzuciła symbol na przeciwległą stronę ogniska, tam gdzie siedział.

- Trzeba ratować Quiddity, ratować je za wszelką cenę. Fletcher na pewno mówił ci o tym?

- Owszem, mówił. Czy należał do Szkoły?

Na twarzy Kissoona ukazała się pogarda.

- Nie, nigdy nie udało mu się zdobyć tego stopnia. Był płatnym pracownikiem. Dżaff zatrudnił go, by opracował chemiczny wytrych do Sztuki i do Quiddity.

- To znaczy - nuncjo?

- Tak.

- Czy nuncjo było skuteczne?

- Mogłoby takim być, gdyby nie to, że nuncjo dotknęło samego Fletchera.

- Dlatego walczyli?

- Tak. Oczywiście - potwierdził Kisson. - Ale ty już o tym wiesz. Fletcher na pewno ci

o tym mówił.

- Nie mieliśmy wiele czasu. Jego wyjaśnienia były bardzo fragmentaryczne, wiele rzeczy było niejasnych.

- Geniusz to on nie był. Udało mu się odkryć nuncjo, bo miał więcej szczęścia niż rozumu.

- Spotkałeś go?

- Już ci mówiłem. Od czasu odwiedzin Jaffe'a nikt tu więcej nie przychodził. Jestem tu sam.

- Nieprawda - przerwała. - Widziałam kogoś na dworze...

- Liksa? Tego węża, który otworzył ci drzwi? To takie stworzonko mojej produkcji. Nic nadzwyczajnego. Ale ich hodowla sprawia mi przyjemność...

- Nie, nie o tym mówiłam - powiedziała Tesla. - Na pustyni była jakaś kobieta.

Widziałam ją.

- Naprawdę? - przez twarz Kisoona przemknął jakby lekki cień. - Kobieta? -

uśmiechnął się lekko. - Cóż, musisz mi to wybaczyć. Rzeczywiście, od czasu do czasu miewam marzenia. Kiedyś potrafiłem wyczarować marzeniem wszystko, czego tylko zapragnąłem. Czy była naga?

- Chyba nie.

- Piękna?

- Nie byłam dostatecznie blisko, by się przyjrzeć.

- Szkoda. Ale dla ciebie tak jest lepiej. Tutaj jesteś słaba, a nie chciałbym, żeby cię skrzywdziła jakaś moja zazdrosna kochanka. - Mówił teraz lekkim, prawie niedbałym tonem: brzmiało to sztucznie. - Jeśli znów ją zobaczysz, nie podchodź do niej. Nie zbliżaj się do niej pod żadnym pozorem.

- Dobrze.

- Mam nadzieję, że przyjdzie do mnie. Co prawda, nie stać mnie teraz na wiele. Ta

powłoka - popatrzył na swoje zwiędłe ciało - nie jest już taka jak kiedyś. Ale mógłbym sobie popatrzeć. Lubię patrzeć. Nawet na ciebie. jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Co to znaczy: nawet na mnie? - oburzyła się Tesla.

Kissoon roześmiał się cichym, bezradosnym śmiechem.

- No tak, przepraszam. To miał być komplement. Tyle lat jestem sam, nie potrafię zachować się w towarzystwie.

- Z pewnością mógłbyś wrócić do ludzi - powiedziała. - Sprowadziłeś mnie tutaj. Czyba ruch w odwrotnym kierunku jest możliwy?

- I tak i nie.

- To znaczy?

- To znaczy, że mógłbym, ale nie mogę.

- Dlaczego?

- Jestem ostatnim ze Szkoły. Ostatnim żyjącym strażnikiem Quiddity. Resztę wymordowano, a wszystkie próby znalezienia następców spełzły na niczym. Czy masz mi za złe, że schodzę ludziom z drogi? Że przyglądam im się z bezpiecznej odległości? Jeśli umrę, nie odtworzywszy w jakiś sposób tradycji Szkoły, nie będzie komu chronić Quiddity. Czyba wiesz już dostatecznie wiele, by rozumieć, jakim by się to skończyło kataklizmem. Mógłbym się stąd wydostać i rozpocząć to doniosłe dzieło tylko w innej postaci. W innym... ciele.

- Kim są ci mordercy? Wiesz?

Znów ten lekki cień na jego twarzy.

- Podejrzewam pewne osoby - odparł.

- Ale nie chcesz powiedzieć.

- Historia Szkoły notuje wiele ataków, wymierzonych w jej dobre imię. Szkoła ma wrogów wśród ludzi, pod-, nie- i nadludzi. Gdybym wdał się w wyjaśnienia, nigdy bym nie skończył.

- Czy spisano jej dzieje choć w części?

- Chodzi o to, czy mogłabyś je badać? Nie. Ale możesz czytać między wierszami innych historii, a wszędzie znajdziesz Szkołę. To tajemnica tajemnic. Tworzono i rozbudowywano całe religie tylko po to, by odwrócić od niej uwagę, odwieść poszukiwaczy prawd ducha od Szkoły, Sztuki i tego, co z niej wynika. To nie było trudne. Ludzie łatwo tracą właściwy trop, jeśli się ich sprytnie zmyli czym innym. Obietnicami Objawienia, zmartwychwstania i podobnymi rzeczami...

- Twierdzisz, że...

- Nie przerywaj mi, proszę cię - powiedział Kissoon. - Inaczej stracę wątek.

- Przepraszam - powiedziała Tesla.

Chyba wciska mi ciemnotę - myślała. - Próbuje mi wmówić całą tę niezwykłą historię.

- A więc, jak mówiłem... Szkołę można znaleźć wszędzie, jeśli się wie, gdzie jej szukać.

Niektórzy to wiedzieli. W ciągu tych lat kilku osobom, mężczyznom i kobietom, na przykład Jaffe'owi, udało się przebić przez te dymne zasłony i grę pozorów; nie ustawali w poszukiwaniach wskazówek, łamali kody i kody ukryte wewnątrz innych kodów, aż zbliżyli się do Sztuki.

Oczywiście Szkoła musiała wtedy interweniować, przy czym każdy przypadek rozpatrywaliśmy indywidualnie. Niektórych spośród poszukiwaczy: Gurdieffa, Melville'a, Emily Dickinson - ciekawy zestaw - po prostu przyjęliśmy jako uczniów i wtajemniczaliśmy ich w arkana najświętszej i najbardziej tajemnej wiedzy, by mogli zająć nasze miejsce, gdy śmierć przerzedzi nasze szeregi. Innych odrzuciliśmy z braku kwalifikacji.

- Co z nimi zrobiliście?

- Wykorzystaliśmy nasze umiejętności, by wymazać z ich pamięci wszystkie

wspomnienia odkrycia, którego dokonali. Oczywiście czasami kończyło się to tragicznie. Nie można nagle przeszkodzić człowiekowi w poszukiwaniu sensu życia i oczekiwać, że będzie dalej żyć, zwłaszcza jeśli cel poszukiwań był w zasięgu jego ręki. Podejrzewam, że jedna z osób, które odrzuciliśmy, przypomniawszy sobie, czego dokonała lub dokonał...

- ...i wymordowała członków Szkoły.

- Jest to chyba najbardziej prawdopodobna teoria. Musiał to być ktoś, kto dowiedział się o Szkole i jej działalności. W ten sposób dochodzimy do Randolphe'a Jaffe'a.

- Trudno mi o nim myśleć jako o „Randolphie” - powiedziała Tesla. - Czy w ogóle jako o człowieku.

- Jest nim, możesz mi wierzyć. Jest także największym błędem w moim rozumowaniu.

Zbyt dużo mu powiedziałem.

- Więcej niż mnie?

- Teraz sytuacja jest rozpaczliwa - mówił Kisson. - Jeśli cię nie wtajemniczę i nie uzyskam od ciebie pomocy, wszyscy będziemy zgubieni. Ale w wypadku Jaffe'a... to była z mojej strony zwykła głupota. Pragnąłem, by ktoś dzielił ze mną samotność, i źle wybrałem towarzysza. Gdyby żyli tamci, nie pozwoliliby mi na tak beznadziejne głupstwo. Dostrzegliby w Jaffe zepsucie. Ja go nie widziałem. Cieszyłem się, że Jaffe mnie odnalazł. Chciałem, by tu został. By był tu ktoś, kto pomoże mi dźwigać brzemień Sztuki. Tymczasem wzięłem na siebie jeszcze większy ciężar. Zawierzyłem człowiekowi, który był dość potężny, by dostać się do Quiddity, lecz był pozbawiony jakiegokolwiek ogłady duchowej.

- Ma także swoje wojsko.

- Wiem.

- Skąd się wzięło?
 - Stąd, gdzie wszystko ma swój początek. Z umysłu.
 - Wszystko?
 - Znowu zadajesz pytania.
 - Nie mogę się powstrzymać.
 - Tak, wszystko. Świat i wszystko, co w nim jest: tworzenie i niweczenie; bogowie, wszy i mątwy. Wszystko ma swój początek w umyśle.
 - Nie wierzę ci.
 - Myślisz, że mnie to obchodzi?
 - Umysł nie jest w stanie stworzyć wszystkiego - Nie mówiłem o umyśle człowieka.
 - A!...
 - Gdybyś słuchała uważniej, nie zadawałabyś tylu pytań.
 - Przecież chcesz, żebym to wszystko zrozumiała, inaczej nie marnowałbyś na mnie tyle czasu.
 - Czasu wyjętego z czasu. Ale owszem... tak, chcę, żebyś zrozumiała. Ważne jest, żebyś zrozumiała, z uwagi na ofiarę, którą masz złożyć.
 - Jaką ofiarę?
 - Już ci mówiłem. Nie mogę się stąd wydostać w moim ciele. Znaleźliby mnie i zamordowali, jak tamtych...
- Wstrząsnął nią dreszcz, mimo panującego upału.
- Nie bardzo rozumiem.
 - Rozumiesz.
 - Chcesz, żebym ci pomogła jakoś się stąd wydostać? Wynieść twoje myśli na zewnątrz?

- Prawie trafiłaś.

- Czy nie mogłabym po prostu działać w twoim imieniu? Być twoją agentką? Potrafię radzić sobie z ludźmi.

- Jestem o tym przekonany.

- Powiedz mi wszystko, a ja zrobię, co trzeba.

Kissoon pokręcił głową.

- Nie wiesz tylu rzeczy. Nie wiesz, jak wygląda ten ogromny obraz, z którego nawet nie próbowałem zdjąć zasłony. Wątpię, byś potrafiła objąć go wyobraźnią.

- Spróbuj się przekonać.

- Na pewno tego chcesz?

- Na pewno.

- Otóż w tym wszystkim chodzi nie tylko o dżaffa. Może zbrukać Quiddity, ale ono przetrwa.

- Więc po co to całe gadanie? - wybuchnęła Tesla. - Trujesz mi tu o potrzebie jakiejś ofiary. I na co ta ofiara? Jeśli Quiddity da sobie radę, to po co to wszystko?

- Czy nie możesz mi po prostu zaufać?

Popatrzyła na niego przenikliwie. Ogień już przygasł, ale jej oczy zdążyły przywyknąć do bursztynowego zmroku. Jakąś cząstką swej istoty bardzo chciała komuś zaufać. Ale przez większą część dorosłego życia uczyła się, czym grozi takie zaufanie. Tylu już mężczyzn, agentów, kierowników studiów filmowych prosiło, by im zaufała; gdy im zaufała, robili ją w konia. Za późno, by zmieniać podejście do życia. Była cyniczna do szpiku kości. Gdyby kiedykolwiek wyzbyła się cynizmu, nie byłaby już Tesłą, a ona lubiła być Tesłą. Z czego wynikało - jak dzień z nocy - że cynizm również jej odpowiadał.

Więc powiedziała:

- Nie, przykro mi, ale ci nie ufam. Nie bierz tego do siebie. Zawsze bym tak

zareagowała, niezależnie od tego, kim byłbyś ty. Chcę wiedzieć, co tu jest grane?

- Co to znaczy?

- Chcę znać Prawdę. Inaczej, nie dam ci niczego.

- Pewna jesteś, że możesz odmówić?

Odwróciła od niego twarz i obejrzała się za siebie, zaciskając usta, z oskarżeniem w oczach - tak, jak to robiły jej ulubione bohaterki.

- Grozisz mi - powiedziała.

- Można i tak to ująć - odparł.

- Do diabła z tobą, ty...

Wzruszył ramionami. Jego bierność - patrzył na nią prawie leniwie - rozwścieczyła

Tesłę jeszcze bardziej.

- Nie muszę tu siedzieć i wysłuchiwać tego wszystkiego, rozumiesz?!

- Nie?

- Nie! Ukrywasz coś przede mną.

- Teraz jesteś śmieszna.

- Nie sędzę.

Wstała. Nie podążył wzrokiem za jej twarzą, zatrzymał oczy na wysokości jej krocza.

Na myśl, że jest naga w jego obecności, ogarnęło ją nagle skrępowanie. Chciała znów mieć na sobie swoje ubranie - pewnie wciąż leżało w Misji - choćby i było nieświeże i zakrwawione.

Jeśli chce tam wrócić, to powinna zaraz wyruszyć w drogę. Poszła w stronę drzwi.

Usłyszała za sobą głos Kissoona:

- Poczekaj, Tesla. Proszę cię, poczekaj. To był mój błąd. Przyznaję, to ja popełniłem

błąd. Wróc, dobrze?

Mówił pojednawczym tonem, ale wyczuła w jego głosie ostrzejszy pogłos.

Wścieka się - pomyślała. Przy całym tym uduchowionym spokoju, po prostu zalewa go krew. Oto lekcja sztuki konwersacji - wyczuć zjeżoną sierść pod łagodnym mrużeniem.

Odwróciła się, by usłyszeć więcej; nie była już pewna, że potrafi wydobyć prawdę z tego człowieka. Dość jej było jednej pogróżki, by zwątpić.

- Mów dalej - powiedziała.

- Nie siądziesz?

- Właśnie - powiedziała. Musiała udawać, że się nie boi, chociaż nagle ogarnął ją lęk; musiała sobie wmówić, że jej skóra wystarczy jej za ubranie. Będzie stać, wyzywająco naga. - Nie usiądę.

- Więc spróbuję ci to wyjaśnić najszybciej jak potrafię - ze swego zachowania dokładnie usunął wszelkie dwuznaczniki. Był uprzedzająco grzeczny, wprost uniżony.

- Musisz zrozumieć, że nawet ja nie znam wszystkich faktów - powiedział. - Ale mam nadzieję, że znam ich dostatecznie wiele, by uzmysłwić ci czekające nas niebezpieczeństwo.

- Jakim nam?

- Mieszkańcom Kosmosu.

- Znowu zaczynasz?

- Fletcher ci tego nie wyjaśniał?

- Nie.

Westchnął.

- Wyobraź sobie, że Quiddity jest morzem.

- Wyobrażam sobie.

- Po jednej stronie tego morza jest rzeczywistość, którą zamieszkujemy. Kontynent bytu

- jeśli wolisz - na którego obrzeżach leżą sen i śmierć.

- Nieźle ci to idzie.
- A teraz przypuśćmy, że po drugiej stronie tego morza rozciąga się inny kontynent.
- Inna rzeczywistość.
- Tak. Równie ogromna i skomplikowana jak nasza. Z tą samą mnogością dążeń, gatunków i apetytów. Ale - podobnie jak Kosmos, jest zdominowana przez jeden określony gatunek istot o dziwnych apetytach.
- Nie podoba mi się to.
- Chciałaś znać prawdę.
- Nie mówiłam, że ci wierzę.
- Ten drugi kontynent to Metakosmos, a te istoty to Iad Uroboros. Istnieją naprawdę.
- A te ich apetyty? - zapytała, niezupełnie pewna, czy naprawdę chce to wiedzieć.
- Pragną czystości. Niepowtarzalności. Szaleństwa.
- Niezły apetycik.
- Miałaś rację, zarzucając mi, że nie mówię całej prawdy. Wyjawiałem ci tylko jej część. Szkoła naprawdę pilnowała wybrzeży Quiddity, by ludzka ambicja nie użyła go do złych celów. Ale strzegła morza także przed...
- ...inwazją z zewnątrz?
- Tegośmy się właśnie obawiali. Może nawet spodziewali. To nie był z naszej strony przejaw jakiejś paranoi. Najgorsze sny, w których śni nam się zło, to te, w których wyczuwamy obecność Iad po tamtej stronie morza. Najstraszniejsze koszmary, najohydniejsze zwidy, które nawiedzają ludzkie umysły, są echem ich umysłów. Nikt nie powie ci bardziej przerażających rzeczy, Teslo, niż te, o których teraz mówię. Tę prawdę potrafią znieść tylko jednostki o najsilniejszej psychice.
- Czy usłyszę teraz jakieś dobre wieści?

- A obiecywał ci je kto? Kto kiedykolwiek zapowiadał dobre nowiny?

- Jezus - odparła. - A także Budda. Mahomet.

- To tylko strzępy opowieści, które Szkoła rozbudowała w kulty. Aby zbić z właściwego tropu.

- Nie mogę w to uwierzyć.

- Dlaczego? Jesteś chrześcijanką?

- Nie.

- Buddystką? Mahometanką? Wyznawczynią hinduizmu?

- Nie. Nie. Nie.

- A mimo to usilnie pragniesz wierzyć w dobre nowiny. To wygodne.

Poczuła silne uderzenie - spoliczkował ją nauczyciel, który w trakcie całego sporu wyprzedzał ją o trzy czy cztery kroki, prowadząc stale i skrycie do punktu, w którym mogła już tylko mówić głupstwa. Bo absurdem było czepianie się nadziei na niebo, kiedy olewała wszystkie religie po kolei.

Jednak poczuła się niepewnie nie dlatego, że Kissoon zdobył ważny punkt w tej dyskusji. Obrywała już w niezliczonych sporach, a potem jej przeciwnicy brali jeszcze gorsze cięgi. Natomiast zupełnie przybił ją fakt, że stała na straconych pozycjach już wtedy, gdy zaprzeczała tylu innym faktom, które jej wyjawiał. Jeśli prawdą była choć cząstka tego, co jej mówił, i świat, w którym żyła - Kosmos - znalazł się w niebezpieczeństwie, to jakim prawem przejmowała się bardziej swoim nędznym życiem niż apelem Kissoona o pomoc, której tak rozpaczliwie potrzebował. Nawet zakładając, że potrafiłaby się wydostać z tego czasu wyjętego z czasu i wrócić do świata, musiałaby wciąż się zastanawiać, czy porzucając Kissoona na pastwę losu, nie zaprzepaściła jedynej szansy Kosmosu na przetrwanie. Musi tu zostać; rzec się samej siebie na jego korzyść nie dlatego, że wierzyła w każde jego słowo, ale

dlatego, że nie mogła ryzykować pomyłki.

- Nie bój się - usłyszała. - Sytuacja nie jest gorsza niż pięć minut temu, kiedy tak się stawiałaś. Po prostu teraz znasz prawdę.

- Słaba pociecha - powiedziała.

- To prawda - przyznał cichym głosem. - Doskonale to rozumiem. A ty musisz

zrozumieć, że ciężko jest mi dźwigać to brzemień w pojedynkę i że załamie się pod nim. Jeśli mi nikt nie pomoże.

- Rozumiem - powiedziała.

Odeszła od ognia i przyłgnęła plecami do ściany, by znaleźć w niej oparcie, a także ochłodę. Stojąc tak, pochylona, wpatrywała się w ziemię, świadoma, że Kissoon także wstaje.

Nie patrzyła na niego, ale słyszała jego postękiwania. A potem prośbę.

- Muszę zająć twoje ciało - powiedział. - A to niestety oznacza, że musisz je opuścić.

Ogień przygasł, ale dym gęstniał. Uciskał ją szczyt czaszki - nie mogłaby unieść głowy i spojrzeć na Kissoona, nawet gdyby chciała. Poczwała, że drży. Najpierw zadrżały jej kolana, potem palce rąk. Zbliżając się, Kissoon nie przestawał mówić. Słyszała jego niegłośnie szuranie.

- To nie będzie bolało - mówił. - Jeśli tylko będziesz stać nieruchomo i patrzeć w ziemię...

Powoli rodziła się w niej myśl: czy Kissoon w jakiś sposób zagęszczał dym, by nie mogła go widzieć?

- Zaraz będzie po wszystkim...

Mówi jak anestezjolog - myślała. Drżała coraz silniej. Im bliżej był Kissoon, tym silniej osaczał ją dym. Teraz była pewna, że dzieje się tak za sprawą Kissoona. Nie chciał, żeby na niego patrzyła. Dlaczego? Czy szedł do niej z nożem, którym wyłuska jej mózg, by wśliznąć

się do wnętrza jej czaszki?

Poskramianie własnej ciekawości nigdy nie było jej mocną stroną. Im bliżej podchodził, tym silniej pragnęła rozedrzeć ciężką zasłonę dymu i spojrzeć mu prosto w twarz. Ale to było trudne. Ciało jej osłabło, jakby krew w nim zrzędła. Dym ciążył jej jak czapka z ołowiu, która wpijała się w jej czoło. Im silniej się opierała, tym był cięższy.

On naprawdę nie chce, żebym patrzyła - myślała, a ta myśl podsyciała jej namiętne pragnienie, by właśnie patrzeć. Wparła się w ścianę. Był teraz w odległości dwu jardów.

Wyczuła go węchem; woń jego potu była stęchła i gorzka. Pchaj! Nie poddawaj się! mówiła sobie. To tylko dym. Kissoon chce ci wmówić, że zaraz cię zmiażdży, a to tylko dym.

- Odpręż się - powiedział niegłośnie; znów ten ton anestezjologa.

Zamiast się odprężyć, ostatnim aktem woli spróbowała unieść głowę.

Ołowiana czapka wbiła się w jej skronie; czaszka Tesli pękała pod brzemieniem tej korony. Ale jej głowa poruszyła się, drżąca, gdy Tesla zmagająca się z ciężarem. Gdy ruch już się zaczął - sprawa poszła łatwiej.

Dźwignęła w górę podbródek o cal, o dwa cale, unosząc jednocześnie oczy, aż spojrzała prosto na Kissoona.

Stał, cały powykrzywiany. Wszystkie jego stawy były trochę niespójne, łącząc ramię z barkiem, rękę z ramieniem, udo z biodrem pokraccznymi zygzakami; tylko z jego pachwiny sterczała jedna prosta linia... Tesla patrzyła, wstrząśnięta.

- Co to znaczy, do cholery?! - zawołała.

- Nie mogłem się opanować - powiedział. - Przepraszam.

- Ach, tak?

- Kiedy mówiłem, że chcę twojego ciała, nie to miałem na myśli.

- Skąd znam ten tekst?

- Uwierz mi - powiedział Kissoon. - Po prostu moje ciało zareagowało na twoje.

Odruchowo. Potraktuj to jako komplement.

W innej sytuacji Tesla śmiałaby się. Gdyby na przykład mogła otworzyć drzwi i odejść, gdyby nie zagubiła się poza czasem, gdyby na progu nie siedział gad, a wokół nie rozciągała się pustynia. Za każdym razem, gdy sądziła, że wie już, o co w tym wszystkim chodzi, znów traciła orientację.

Ten człowiek sprawiał jej jedną niespodziankę za drugą, a żadna nie była przyjemna.

Wyciągnął do Tesli rękę, źrenice mu zogromniały, wypierając białka oczu. Pomyślała o Raulu, o tym, że w jego spojrzeniu było jakieś piękno, mimo że miał twarz mieszańca. W tym spojrzeniu nie było piękna, było przy tym zupełnie nieczytelne. Żadnych pragnień, ani śladu złości. Jeśli kryło się w nim jakieś uczucie, to było głęboko ukryte.

- Nie mogę tego zrobić - powiedziała.

- Musisz. Oddaj mi ciało. Muszę je mieć, w przeciwnym razie Iad zwycięży. Czy chcesz tego?

- Nie!

- Więc przestań się opierać. Twój duch będzie bezpieczny w Trinity (Trójca).

- Gdzie?!

Oczy mu nagle zabłyśły przelotną wściekłością, nad którą nie zdołał zapanować; wścieka się na samego siebie, pomyślała.

- Trinity? Trójca? - rzuciła to pytanie tylko po to, by opóźnić chwilę, gdy Kissoon dotknie jej i zapanuje nad nią. - Jaka Trinity?

Kiedy zadawała to pytanie, wydarzyło się kilka rzeczy naraz, z szybkością, która uniemożliwiła jej oddzielenie jednej od drugiej, ale najważniejsze było to, że w momencie gdy pytała go o Trójcę, stracił panowanie nad sytuacją. Najpierw poczuła, że dym nad nią

rzednie, że już nie przytłacza jej kamieniem. Jednak nie spuszczała z niego wzroku i w momencie swego wyzwolenia ujrzała go zupełnie odmienionym. To była chwila, nie więcej, ale tak wstrząsająca, że Tesla miała ją zapamiętać na zawsze. Kissoon ukazał się jej zakrwawiony od pasa w górę, bryzgi krwi sięgały do jego twarzy. Tesla wiedziała, że widzi to naprawdę, w chwili gdy podniósł ramiona, by zakryć krwawe plamy, ale jego dłonie i ramiona także spływały krwią. Czy była to jego krew? Zanim zorientowała się, czy jest ranny, odzyskał władzę nad wizją, ale był jak sztukmistrz, który usiłuje żonglować zbyt wielu piłeczkami naraz; gdy złapał jedną, upadła mu inna. Krew znikła, stał przed nią bez jednego zadrapania, ale wymknął mu się jakiś sekret, który siłą swej woli trzymał dotąd w ukryciu. Wstrząs, który wywołał, był o wiele potężniejszy niż widok krwawych plam; fala uderzeniowa zatrzęsała drzwiami. Uderzenie nie mogło być dziełem liksów, nawet gdyby zaatakowały gromadnie; Kissoon był wyraźnie przerażony. Spuścił z oczu Tesłę, kierując je na drzwi; ręce zwisły mu bezwładnie, twarz miał wypraną z wszelkiego wyrazu. Czowała, że każdą cząstkę swojej energii obrócił na jeden jedyny cel: uciszenie potęgi, szalejącej za drzwiami, czymkolwiek ona była. Ten fakt miał określone następstwa: Kissoon - po tym jak sprowadził tu Tesłę i nie pozwalał jej odejść - zupełnie i nieodwołalnie stracił nad nią władzę. Tesla poczuła, jak rzeczywistość, którą opuściła, wpiła jej się w plecy i pociągnęła z powrotem. Tesla nawet nie próbowała się opierać. Poddała się tej sile, równie nieuniknionej jak prawo ciężenia.

W ostatnim przelotnym błysku ujrzała Kissoona znów zbroczonego krwią; stał przed drzwiami, twarz miał pozbawioną wszelkiego wyrazu.

Potem drzwi nagle się otworzyły.

Przez chwilę Tesla była przekonana, że potęga, która biła o drzwi, czeka teraz przed wejściem, by unicestwić ją i Kissoona. Wydało jej się nawet, że dostrzegła jak blask bijący od

tej potęgi - błysk oślepiająco jasny - skąpał twarz Kissoona. Ale w ostatniej chwili wola Kissoona wzięła górę nad tą potęgą i rześiste światło przygasło w tym samym momencie, gdy świat zażądał powrotu Tesli i wyciągnął ją na zewnątrz chaty.

Odrzucona tam, skąd przybyła, pędziła z prędkością dziesięciokrotnie większą niż uprzednio; tak szybko, że nie potrafiłaby rozróżnić elementów krajobrazu - stalowej wieży, miasteczka; docierały do jej świadomości, gdy była już wiele mil dalej.

Ale tym razem nie była sama. Ktoś pochylał się nad nią, wołając jej imię:

- Tesla! Tesla! Tesla!

Znała ten głos. To był Raul.

- Słyszę cię - powiedziała cicho. Mimo oszałamiającego pędu, niewyraźnie majaczyła jej jakaś inna ciemność,znaczona punktami światła, może były to świece, i ludzkimi twarzami.

- Tesla!

- Prawie jestem - powiedziała, z trudem łapiąc powietrze. - Już prawie wróciłam.

Teraz pustynia ustępowała placu, ciemność zdobywała przewagę. Tesla szeroko otworzyła oczy, by widzieć Raula wyraźniej. Gdy przykucnął, by ją powitać, uśmiechał się szeroko.

- Wróciłaś - powiedział.

Pustyni już nie było. Była tylko noc. Tesla leżała na kamieniach, nad nią świeciły gwiazdy oraz, jak zgadywała - świece. Trzymały je jakieś kobiety, otaczające Tesłę ciasnym kręgiem. Na twarzach kobiet malowało się zdumienie.

Ciało Tesli dzieliło od gołej ziemi ubranie, które zrzuciła z siebie, kiedy - będąc w Pętli Kissoona, przywoływała do siebie swoje ciało, odtwarzając je.

Dotknęła twarzy Raula, by upewnić się, że naprawdę powróciła do świata

rzeczywistego, a także dlatego, że po prostu pragnęła go dotknąć. Policzki Raula były mokre.

- Ciężko się napracowałeś - powiedziała, sądząc, że to pot. Po chwili zrozumiała swoją pomyłkę. To nie był pot, ale łzy.

- Biedny Raul - usiadła i objęła go. - Czy zniknęłam zupełnie?

Przytulił się do niej.

- Najpierw rozptywałaś się jak mgła - powiedział - a potem... po prostu ciebie nie było.

- Dlaczego tu jesteście? - zapytała. - Kiedy do mnie strzelał, byłam w Misji.

Na wspomnienie strzału spojrzała w miejsce na ciele, gdzie trafiła ją kula.

Nie było tam rany, nie było nawet krwi.

- To nuncjo - stwierdziła - ono mnie uleczyło.

Kobiety także to zauważyły. Widząc niedraśniętą skórę, cofały się, mamrocząc modlitwy.

- Nie... - mruknęła, wciąż przyglądając się swojemu ciału. - To nie chodzi o nuncjo. To jest ciało, które sobie wyobraziłam.

- Jak to, wyobraziłaś sobie? - zapytał Raul.

- No, wyczarowałam - odparła. Prawie nie zauważyła jego zmieszania, ponieważ sama miała zagadkę do rozwikłania. Brodawka jej lewej piersi, dwukrotnie większa od swojej towarzyszki, znajdowała się teraz po prawej stronie. Tesla wpatrywała się w nią, potrząsając głową. Nie mogła się mylić.

W jakiś sposób po drodze do Pętli albo z powrotem, przekręcono ją na opak.

Uniosła nogi, by się im lepiej przyjrzeć. Kilka zadrapań - dzieło psa Butcha - zdobiące uprzednio jedną łydkę, teraz znaczyło drugą.

- Nic z tego nie rozumiem - powiedziała do Raula.

Ponieważ nawet nie pojmował jej pytania, nie wiedział, co odpowiedzieć, więc tylko

wzruszył ramionami.

- To nic - powiedziała Tesla i zaczęła się ubierać.

Dopiero teraz zainteresowała się, co stało się z nuncjo.

- Czy całe nuncjo wniknęło mi do krwi?

- Nie. Zabrał je Chłopiec Śmierci.

- Tommy-Ray? Boże! Więc teraz dzaff ma półtora syna.

- Ale i ty miałaś kontakt z nuncjo - powiedział Raul. - Ja zresztą też. Przeniknęło mi w głąb ręki. Doszło aż do łokcia.

- Więc teraz my jesteśmy przeciwko nim.

Raul potrząsnął głową.

- Na nic nie mogę ci się przydać.

- Możesz i musisz - przerwała. - Musimy znaleźć odpowiedź na wiele pytań. Sama nie dam rady. Musisz iść ze mną.

Jego niechęć była tak wyraźna, że nie potrzebowała słów.

- Wiem, że się boisz. Ale proszę cię, Raul. Przywróciłeś mnie do życia...

- Nie ja.

- Ale w tym pomogłeś. Przecież nie chciałbyś, żeby to wszystko poszło na marnotrawstwo, prawda?

W swych namowach usłyszała jakby ton Kisoona: niezbyt jej się to podobało. Ale przecież jeszcze nigdy w całym swoim życiu nie dowiedziała się tylu rzeczy, co w czasie, który spędziła z Kisoone. Osiągnął swój cel, nie tknąwszy jej nawet palcem. Ale gdyby ją spytano, czy był oszustem czy prorokiem, zbawcą czy szaleńcem - nie umiałaby odpowiedzieć. Być może ta dwuznaczność stanowiła najbardziej stromy odcinek krzywej przyrostu jej wiedzy, chociaż sama nie umiałaby powiedzieć, jakie korzyści odniosła z tej

nauki.

Wróciła do Raula i jego niechęci. Nie było czasu na dogłębną dyskusję.

- Po prostu musisz ze mną iść - powiedziała. - Nie możesz się z tego wywinąć.

- Ale Misja...

- Raul, Misja jest pusta. Jedyńm jej skarbem było nuncjo, a nuncjo już nie ma.

- Łączyły mnie z nią wspomnienia - odparł cichym głosem. Czas, którego użył - czas przeszły - świadczył, że się zgadza.

- Będiesz jeszcze miał inne wspomnienia - przekonywała. - Inne wydarzenia, które przyjemniej będzie pamiętać. A teraz... jeśli chcesz się z kimś pożegnać, to się żegnaj, bo zaraz nas tu nie będzie...

Skinął głową i zaczął coś mówić do kobiet po hiszpańsku. Tesla znała w tym języku kilka słów; wystarczyły, by się upewniła, że Raul rzeczywiście żegna się z tymi ludźmi.

Zostawiła go z nimi i ruszyła w górę wzgórza do samochodu.

Kiedy szła, rozwiązanie zagadki przekręconego ciała przyszło do niej samo. Otóż w chacie Kissoona wyobraziła sobie swoje ciało takim, jakim je najczęściej widziała: odbite w lustrze. Ileż razy w ciągu tych trzydziestu kilku lat życia patrzyła na swoje własne odbicie, tworzące portret, w którym lewa strona była prawą i na odwrót.

Z Pętli wróciła dosłownie jako inna kobieta - kobieta, która zawsze istniała tylko jako odbicie w lustrze. Teraz to odbicie stało się ciałem i krwią, i szło przez świat. Miała nadzieję, że w głębi tej czaszki umysł pozostał nie zmieniony, chociaż oddziałało nań nuncjo, a także fakt poznania Kissoona.

Takie kontakty miały swoją wagę.

Była więc zupełnie nowym człowiekiem, który ma światu do powiedzenia zupełnie nowe rzeczy. Dziś jest najważniejsza pora, by to zrobić.

Kto wie, czy będzie jakieś jutro.

CZEŚĆ SZÓSTA

SEKRETY W WIĘKSZOŚCI UJAWNIONE

I

Tommy-Ray siedział na kierownicy od swych szesnastych urodzin.

Cztery kółka oznaczały wolność od matki, pastora. Grove i wszystkiego, co reprezentowali. Teraz, nie zdejmując nogi z gazu, wracał do tego miasta, z którego jeszcze kilka lat temu uciekałby, gdzie pieprz rośnie. Chciał znów iść ulicami Grove, niosąc w swym ciele niezwykłą nowinę, wrócić do ojca, który tyle go nauczył. Zanim nastał dzaff, najlepsze, co miał z życia, to był wiatr wiejący od morza i zachodni przyływ w Topanga; on stał na grzbiecie fali, wiedząc, że z plaży patrzą za nim wszystkie dziewczęta. Ale zawsze wiedział, że te wspaniałe chwile nie mogą trwać wiecznie. Każde lato przynosiło nowych bohaterów. Sam był jednym z nich, wypierając mistrzów surfingu starszych ledwie o parę lat, a jednak już nie tak giętkich. Młodzieńcy tacy jak on, bohaterowie surfu minionego lata, nagle odchodzili w cień. Nie był głupi. Wiedział, że będzie jednym z nich, że to tylko kwestia czasu.

Ale teraz czuł, że ma przed sobą cel i inteligencję, jakiej nie miał do tej pory. Odkrył sposoby rozumowania i działania, których istnienia te głupki w Topanga nawet nie podejrzewały. Za większość tych rzeczy winien był wdzięczność dzaffowi. Ale nawet jego ojciec, mimo swych wszystkich chaotycznych rad, nie przygotował go na wydarzenia, które rozegrały się w Misji. Teraz Tommy-Ray był mitem. Śmiercią za kółkiem samochodu marki Chevy, pędzącą do domu. Znał muzykę, przy której ludzie będą tańczyć aż do upadłego. Wiedział też, co z nimi będzie, gdy już padną, gdy obrócą się w padlinę. Wiedział, jak ten proces zachodził w tkankach jego własnego ciała. To wspomnienie wywołało u niego wzwód.

Ale tego wieczoru zabawa dopiero się zaczynała. Niecałe sto mil na północ od Misji, droga biegła przez niewielką wioskę, na której obrzeżu znajdował się cmentarz. Księżyc wciąż stał wysoko. Oświetlał bladą poświatą mogiły, wypłukując barwy z położonych tu i ówdzie wiązanek kwiatów.

Zatrzymał samochód, by się lepiej przyjrzeć. W końcu było tu teraz jego królestwo.

Czuł się tu u siebie.

Jeśli potrzebował dalszych dowodów na to, że wydarzenia w Misji nie były urojeniem wariata, znalazł je, gdy otworzył bramę i znalazł się na cmentarzu. Nie było wiatru; nie poruszał trawą, która wybujała na wysokość kolan w miejscach, gdzie nikt nie troszczył się o mogiły. A jednak panował tu ruch. Gdy poszedł parę kroków dalej, ujrzał jak zewsząd wyłaniają się ludzkie postacie. Były to postacie zmarłych. Nawet gdyby nie świadczył o tym ich wygląd, to świetlistość ich ciał - były równie jasne jak czerep, który znalazł przy samochodzie - określałaby ich jako członków jego własnego klanu.

Wiedzieli, kto ich odwiedził. Nie odrywali od niego oczu, czy też - w przypadku nieboszczyków o najdłuższym stażu - oczodołów, kiedy podchodzili, by złożyć mu hołd.

Żaden nawet nie spojrzał pod nogi, chociaż teren był nierówny. Świetnie znali ten spłachetek ziemi, wiedzieli, w którym miejscu zapadły się źle postawione groby, gdzie jakieś poruszenia w głębi ziemi wypchnęły pod powierzchnię czyjąś trumnę. Zbliżali się powoli.

Tommy-Rayowi nie śpieszyło się. Przysiadł na grobie, w którym złożono - jak głosił napis na płycie - siedmioro dzieci wraz z matką i patrzył na sunące ku sobie duchy.

W miarę jak się zbliżały, widział je coraz wyraźniej. Nie był to przyjemny widok.

Wydobywające się z nich wiatry odmieniały ich dawne kształty.

Twarze miały zbyt szerokie albo nadmiernie wydłużone, oczy wybałuszone, obwisłe policzki; szły z rozdziawionymi ustami. Ich brzydota przypomniała Tommy-Rayowi pewien

film o pilotach, zmagających się z siłą grawitacji; różnica polegała na tym, że ci nie byli ochotnikami. Cierpieli wbrew swojej woli.

Wcale nie odstręczały go te zniekształcone twarze, dziury w ich nieszczęsnych ciałach, ich kończyny, porżnięte czy odrąbane od tułowia. Wszystko to oglądał w komiksach, jeszcze zanim ukończył sześć lat, albo w wesołym miasteczku, na przejażdżce śmierci. Straszne rzeczy są wszędzie, jeśli tylko chce się je dostrzec. Na papierkach z balonowych gum do żucia, w porannych wydaniach niedzielnych komiksów czy w sklepach - na bawełnianych koszulkach i okładkach albumów. Uśmiechnął się na tę myśl. To były przyczółki jego imperium, znajdowały się wszędzie. Żadne miejsce nie było wolne od dotyku Chłopca Śmierci.

Najszybszym z jego pierwszych poddanych okazał się jakiś mężczyzna.

Jak się zdaje, zmarł młodo, niedawno. Miał na sobie dzinsy o dwa numery za duże i podkoszulek ozdobiony ręką, ułożoną w znak pogardy wobec świata.

Nosił także kapelusz; zdjął go w odległości kilku jardów od Tommy-Raya.

Włosy miał ścięte prawie do gołej skóry; widniało na niej kilka długich cięć. Pewnie od tych właśnie ran zginął. Już nie krwawiły, słychać było tylko wiatry, zawodzące w jego trzewiach.

W niewielkiej odległości od Tommy-Raya mężczyzna przystanął.

- Możesz mówić? - zapytał Chłopiec Śmierci.

Mężczyzna otworzył jeszcze szerzej usta - już teraz zbyt szerokie - by odpowiedzieć na to pytanie. Wysiłając gardło, starał się sprostać zadaniu jak umiał najlepiej. Przypatrując mu się, Tommy-Ray przypomniał sobie pewnego kuglarza z nocnego przedstawienia, który połykał, a następnie zwracał żywe złote rybki. Było to już ładnych parę lat temu, ale ten widok wpisał się na trwałe w wyobraźnię chłopca. Popis człowieka, który dzięki ćwiczeniom

potrafił odwrócić czynności swojego organizmu, wymiotując to, co przetrzymał w gardle - bo na pewno nie w żołądku (żadna rybka, choćby o najgrubszych łuskach, nie przeżyłaby w kwasie) - wart był mdłości, które Tommy-Ray wtedy odczuwał. Obecnie mężczyzna w koszulce ze znakiem „Pieprzę was” dawał podobne przedstawienie, ale przy użyciu słów, nie rybek. Nareszcie wydobył je z siebie, równie suche jak jego wnętrzności.

- Tak - powiedział. - Potrafię mówić.

- Wiesz, kim jestem? - zapytał Tommy-Ray.

Mężczyzna wydał przeciągły jęk.

- Tak czy nie?

- Nie.

- Jestem Chłopcem Śmierci, a ty Człowiekiem, Który Ma Wszystko Gdzieś. Co ty na to? Niezła z nas para, co?

- Przyszedłeś tu dla nas - powiedział umarły.

- O co ci chodzi?

- Nie pochowano nas. Nie odmówiono nad nami modlitwy.

- Nie oczekuj ode mnie pomocy. Nie będę tu nikogo chować. Przyszedłem się tu rozejrzeć, bo to mój teren. Będę Królem Zmarłych.

- Naprawdę?

- Możesz być tego pewien.

Nadeszła inna dusza pokutująca - kobieta o rozłożystych biodrach; teraz ona wyrzuciła z siebie kilka słów.

- Ty... - mówiła z mozołem - ...ty świecisz.

- Tak? To mnie nie dziwi. Ty też świecisz. I to jak.

- Jesteśmy z jednej paczki - powiedziała kobieta.

- Każdy z nas - przytaknął trzeci nieboszczyk.

- Ratuj nas - poprosiła kobieta.

- Już mówiłem Człowiekowi: „Odpieprzcie się” - odparł Tommy-Ray. - Nie będę nikogo chował.

- Pójdziemy za tobą - odezwała się kobieta.

- Pójdziecie za mną? - Tommy-Raya przebiegł dreszczyk podniecenia na myśl, że powróci do Grove, prowadząc za sobą taką kongregację. Może przy trasie było więcej takich miejsc jak to, które jeszcze bardziej zasilą jego szeregi.

- To mi się podoba - odparł. - Jak to zrobimy?

- Ty prowadź - padła odpowiedź. - My pójdziemy za tobą.

Tommy-Ray wstał.

- Dlaczego by nie?

Poszedł do samochodu. Idąc, myślał: Teraz to już ze mną naprawdę koniec. - I wcale o to nie dbał.

Siadł za kierownicą i obejrzał się za siebie, na cmentarz. Skądś przywiał wiatr; Tommy-

Ray widział, że towarzystwo, które sobie wybrał, jakby się w tym wietrze rozpływało.

Rozpadały się ich ciała, jakby były z piasku, i rozwiewał je wiatr. Drobin kurzu, tworzące

ich ciała, sypnęły mu w twarz. Zmrużył oczy, ale patrzył dalej. Ich ciała nikły, ale wciąż

słyszał ich zawodzenie. Były jak wiatr, czy też same były wiatrem i w ten sposób dawały

znak, że istnieją. Kiedy całkowicie rozplynęły się w powietrzu. Tommy-Ray odwrócił się i

przycisnął pedał gazu. Samochód skoczył do przodu, wzbijając nowy tuman kurzu, który

połączył się z postępującymi w tyle szeregami.

Tommy-Ray nie mylił się oczekując, że spotka po drodze więcej takich miejsc, w

których zyska nowe zastępy duchów. Teraz zawsze już będę miał rację - myślał. - Śmierć

nigdy się nie myli. Nigdy, przenigdy. Po godzinie jazdy trafił na następny cmentarz; wzdłuż frontowego muru biegła w tę i w tę gromadka na pół rozwianych obłoków pyłu - jak pies na uwięzi, niecierpliwie oczekujący przybycia swego pana. Najwyraźniej wieść o jego nadejściu już tu dotarła. Dusze już czekały, by dołączyć do gromady.

Nie musiał nawet zmniejszać szybkości. Gdy nadjeżdżał, powitała go burza piaskowa, zasypując na chwilę samochód, a następnie uniosła się w powietrze, by dołączyć do dusz, podążających w tyle. Tommy-Ray po prostu jechał dalej.

Przed świtem szeregi dusz pokutujących powiększyły się o nowych członków.

Wcześniej tej nocy, na pewnym skrzyżowaniu, doszło do zderzenia. Na jezdni leżało stłuczone szkło; stała kałuża krwi; jeden z pojazdów - teraz ledwie można było rozpoznać w nim samochód - leżał na poboczu drogi. Tommy-Ray zwolnił, by się lepiej przyjrzeć; nie spodziewał się spotkać tu żadnych duchów. A jednak usłyszał znajomy już skowyt wiatru: z mroku wyłoniły się sylwetki dwojga nieszczęśników - kobiety i mężczyzny. Jeszcze nie zdawali sobie sprawy ze swego położenia. Wiatr przewiewał ich na wskroś - czy też wiał z nich; przy każdym niepewnym kroku groziło im, że upadną i jeszcze bardziej rozbiją strzaskane głowy. Ale chociaż zmarli tak niedawno, wyczuli w Tommy-Ray'u pana i zbliżyli się posłusznie. Uśmiechnął się - podniecały go ich świeże rany - odłamki szkła wbite w twarze, w oczy.

Nie było żadnej rozmowy. Kiedy podeszli bliżej, wydawało się że odebrali jakiś sygnał od swych towarzyszy śmierci, kroczących za samochodem Tommy-Raya: przystając na całkowity rozpad swoich ciał, nowo przybyli dołączyli do wiatru.

Tommy-Ray jechał dalej na czele powiększonego legionu.

Po drodze miał więcej takich spotkań; było ich jakby więcej w miarę jak posuwał się na północ. Zdaje się, że wieści o jego nadejściu biegły pod ziemią, od mogiły do mogiły,

przekazywane szeptem przez pogrzebanych, tak że wzdłuż całej trasy oczekiwały go pyliste widma. Nie wszystkie z nich zebrały się tam, by dołączyć do kompanii. Niektóre najwyraźniej chciały tylko popatrzeć na sunący drogą pochód. Kiedy spoglądały na Tommy-Raya, na ich twarzach malował się strach. Był teraz Widmem, jadącym Pociągiem Duchów, a one strwożonymi widzami. Wydawało się, że nawet umarli podlegali jakiejś hierarchii i wielu z nich uważało, że towarzystwo Tommy-Raya to dla nich zbyt wysokie progi; zbyt wielkie miał ambicje, gust zbyt zdeprawowany. Woleli spokojny rozkład niż przygodę u jego boku. Wczesnym rankiem wjechał do tamtej bezimiennej miejsciny, w której stracił portfel, ale światło dnia nie wydobyło na jaw armii w postępującej za nim kurzawie. Jeśli ktoś popatrzył w jego stronę - a niewielu było chętnych przy takiej zawierusze - zobaczył obłok kurzu, ciągnący za samochodem, nic więcej.

Miał tu do załatwienia inną sprawę niż zbiórka zatraconych dusz - chociaż nie wątpił, że w tej nędznej miejscinie śmierć była nagła i gwałtowna i wielu zmarłych nie dostało pochówku z błogosławieństwem kapłana.

Tommy-Rayowi chodziło o zemstę na kieszonkowcu. A jeśli nie na nim, to przynajmniej na spelunce, w której go okradzione. Łatwo odnalazł ten lokal.

Wbrew swoim oczekiwaniom, zastał drzwi frontowe otwarte mimo tak wczesnej pory.

Tu i tam wciąż siedziały - w różnych stadiach upadku - wczorajsze pijaczyny. Jeden leżał twarzą do podłogi w kałuży wymiocin, dwóch innych rozwalało się na krzesłach przy stolikach. Za barem stał jakiś mężczyzna; Tommy-Ray przypomniał sobie niejasno, że był to bramkarz, który brał od niego opłatę za występy w tylnej salce - kawał chłopca. W wyniku niezliczonych razów, jego twarz nabrała trwałych przebarwień.

- Szukasz pan kogo? - zapytał.

Tommy-Ray zignorował go i poszedł w stronę salki, w której oglądał wspólny występ

kobiety i psa. Drzwi były otwarte. W salce nie było nikogo - aktorzy rozeszli się do swoich domów i bud. Kiedy zawrócił do sali z wyszynkiem, barman stanął tuż przed nim.

- Pytałem cię o coś, do cholery! - warknął.

Ślepotą tego człowieka nieco stropiła Tommy-Raya. Czy nie widział, że mówi do odmienionej istoty? Czy lata opilstwa i psich występów do tego stopnia stępiły mu wzrok, że nie widzi, iż w odwiedzinie przyszedł Chłopiec Śmierci? Większy z niego dureń niż myślał.

- Zejdź mi z drogi - powiedział Tommy-Ray.

Mężczyzna chwycił Tommy-Raya za koszulę na piersi.

- Już tu byłeś - stwierdził.

- Owszem.

- Zostawiłeś tu co?

Przyciągnął Tommy-Raya bliżej do siebie - stali teraz prawie nos w nos.

Miał cuchnący oddech.

- Na twoim miejscu puściłbym mnie - ostrzegł Tommy-Ray.

Mężczyzna wyglądał na rozbawionego.

- Chcesz, żeby ci wyrwać jaja - powiedział. - A może chcesz wziąć udział w przedstawieniu? - na tę myśl źrenice mu się rozszerzyły. Po to tu przyszedłeś? - Na próbę?

- Mówiłem ci... - zaczął Tommy-Ray.

- Mam gdzieś, to co mówiłeś. Teraz ja mówię. słyszysz? - położył ogromną dłoń na ustach Tommy-Raya. - No to jak?... pokażesz mi coś czy nie?

Kiedy Tommy-Ray przyglądał się napastnikowi, przypomniawszy mu się scena z tylnej salki: kobieta o szklanym spojrzeniu, pies o szklanym spojrzeniu. Już widział śmierć w życiu.

Otworzył usta. przyciśnięte ręką tego mężczyzny i dotknął językiem nieświeżej skóry jego dłoni.

Tamten wyszczerzył zęby.

- Więc zgoda? - zapytał.

Odjął dłoń od twarzy chłopca.

- No więc pokażesz mi to? - powtórzył.

- Chodźcie... powiedział Tommy-Ray cichym głosem.

- Co?!

- Nie mówię do ciebie. Chodźcie, przybywajcie... - patrzył teraz w stronę drzwi.

- Słuchaj mały, nie odstawiaj mi tu jakichś numerów. Jesteś sam.

- Chodźcie! - krzyknął Tommy-Ray.

- Zamknij się, do diabła!

- Wchodźcie!

Jego krzyk rozwścieczył mężczyznę. Uderzył Tommy-Raya w twarz z taką siłą, że koszula puściła i chłopiec runął na podłogę. Nie wstał. Patrzył tylko w drzwi i jeszcze raz poprosił:

- Chodźcie, proszę was - powiedział cichszym głosem.

Czy legion posłuchał go dlatego, że tym razem prosił, a nie żądał? Czy też po prostu żołnierze zwierali szeregi i dopiero teraz mogli ruszyć mu na odsiecz? Jakkolwiek rzecz się miała, zaczęli łomotać w zamknięte drzwi.

Barman stęknął i odwrócił się w tamtą stronę. Nawet jego kaprawe oczy musiały zauważyć, że to nie zwykły wiatr napierał na drzwi. Dobijał się do drzwi zbyt miarowo, uderzał pięścią zbyt potężną. A to wycie, och, to wycie w niczym nie przypominało odgłosów burzy, które barman słyszał w swoim życiu. Popatrzył na Tommy-Raya.

- Co to za sztuczki?

Tommy-Ray leżał tam, gdzie go rzucono, i uśmiechał się do mężczyzny tym swoim

legendarnym, przeprasającym uśmiechem, który już nie będzie taki sam od czasu, gdy został Chłopcem Śmierci.

„Teraz umrzesz - mówił ten uśmiech. - Ty umieraj, a ja sobie popatrzę. Umieraj powoli albo szybko. Wszystko mi jedno. Chłopcze Śmierci na niczym nie zależy”.

Gdy uśmiechał się coraz promiennie, z trzaskiem otwarły się drzwi: szczątki zamka i drewna, niesione przez nawałnicę, posypały się na bar.

Duchy tej burzy były niewidoczne na słonecznym dworze, ale teraz, w mgnieniu oka zagęszczały proch, z którego się składały, ukazując patrzącym zarysy swych postaci. Jeden z mężczyzn, bezwładnie rozpartych przy stoliku, obudził się akurat wtedy, gdy tuż przed nim materializowały się trzy duchy, poczynając od głowy; ich nie dokończone tułowia kłębiły się niżej w tumanach kurzu. Pijak zerwał się i zapał plecami o ścianę, ale dopadły go. Tommy-Ray usłyszał jego przenikliwy krzyk, ale nie widział, jaką śmierć mu zadały. Obserwował widma, które szły na barmana.

W ich twarzach była tylko żarłoczność. Zdaje się, że wspólna podróż w tej karawanie stopniowo zacierała dzielące ich różnice. Nie różniły się już od siebie tak znacznie jak przedtem. Może ich pyły przemieszały się w zamieci i duchy upodobniły się do siebie wzajemnie. Pozbawione cech własnych, budziły jeszcze większą zgrozę niż wtedy, gdy czekały u cmentarnych bram.

Ten widok przejął go dreszczem przerażenia, jako istotę, w której zachowały się resztki człowieczeństwa i błogości - jako Chłopca Śmierci. Oto jego żołnierze: o wielkich oczach, jeszcze większych ustach - proch i pragnienie w formie jednego wyjącego legionu.

Barman zaczął się głośno modlić, ale nie ograniczył się do samych pacierzy.

Schyliwszy się. Jedną ręką podniósł Tommy-Raya z podłogi i przyciągnął do siebie.

Następnie, wraz z zakładnikiem, otworzył drzwi do salki, gdzie zwykle odbywały się występy

pornograficzne, i wycofał się tam. Tommy-Ray słyszał, jak mężczyzna coś powtarza, może refren jakiejś modlitwy? „Santo Dios! Santo Dios!” (Boże Święty!). Ale ani te słowa, ani zakładnik nie wstrzymały pochodu wiatru i jego pylistego brzemienia. Duchy wpadły tam za nim, szeroko otworzywszy drzwi. Tommy-Ray widział, jak ich paszcze jeszcze bardziej zogromniały; obu mężczyzn otoczył krąg niewyraźnych twarzy. Kurz wypełnił mu oczy, zanim zdążył przymknąć powieki. Poczł, że barman zwalnia chwyt, a po chwili zalała go fala ciepłej wilgoci. Wycie wiatru przeszło nagle w skowyt tak przenikliwy, że na próżno zatykał uszy - ostre dźwięki drążyły kości jego czaszki jak świdry.

Kiedy otworzył oczy, zobaczył, że jest cały czerwony. Piersi, ramiona, ręce, nogi - wszystko miał zalane czerwienią. Barman, źródło tego barwnika, leżał na scenie, na której poprzedniego wieczoru Tommy-Ray widział tamtą kobietę z psem. W jednym kącie sceny znajdowała się jego głowa, ustawiona pionowo; jego ramiona i ręce splecione w błagalnym geście - w drugim. Pozostałe szczątki poniewierały się pośrodku sceny; szyja wciąż pulsowała.

Tommy-Ray starał się zapanować nad mdłościami (ostatecznie był Chłopcem Śmierci), ale tego już było za wiele. Czego innego się spodziewałeś, powtarzał sobie. Przecież sam ich tu wezwałeś. Nie sprowadziłeś tu zespołów cyrkowców, ale rozszalałą, dziką horde.

Roztrzęsiony, walcząc z chęcią zwymiotowania, upokorzony, wstał z podłogi i wrócił do baru. Wyczyny jego legionu były tu równie przerażające jak te, od których właśnie uciekł. Wszystkich trzech klientów baru zgładzono równie brutalnie jak barmana. Ledwie rzuciwszy na nich okiem, Tommy-Ray poszedł do drzwi przez tę arenę zniszczenia i zbrodni.

Zajścia wewnątrz baru musiały przyciągnąć gapiów, nawet mimo tak wczesnej pory.

Ale szalona siła wiatru - w którym jego widmowe wojsko znów rozpadło się w pył - trzymała większość z nich z dala, oprócz największych śmiałków, chłopaków i dzieci, ale i ci tracili

rezon, podejrzewając, że zawodzące wokół nich powietrze nie jest zupełnie puste.

Patrzyli, jak jakiś jasnowłosy, zboczony krwią chłopiec wychodzi z baru, przekracza jezdnię i idzie w stronę samochodu, ale nie próbowali go zatrzymać. Zauważywszy, że mu się przyglądają, Tommy-Ray wyprostował zgarbione plecy i ruszył dziarskim krokiem. Kiedy będą wspominać Chłopca Śmierci - myślał - niech go pamiętają jako kogoś przerażającego.

W miarę jak jechał dalej, Tommy-Ray nabierał przekonania, że legion nie idzie już za nim. Pewnie żołnierze zasmakowali w tej morderczej zabawie i zamiast dotrzymywać kroku przywódcy, postanowili wybić miasteczko do nogi. Fakt dezercji niezbyt go zmartwił.

Właściwie nawet się ucieszył.

Niezwykłe przeżycia, których łaknął jeszcze wczoraj wieczorem, straciły już nieco na atrakcyjności.

Lepił się od krwi tamtego mężczyzny, cuchnął nią cały; był obolały po tym, jak tamten go potraktował. Dosyć naiwnie oczekiwał, że kontakt z nuncjo zapewni mu nieśmiertelność.

Właściwie co mu z tego przyszło, że został Chłopcem Śmierci, jeśli śmierć wciąż miała nad nim władzę? Ucząc się na błędach, tak blisko otarł się o śmierć, że wołał zbyt wiele o tym nie myśleć. Podobnie rzecz się miała z jego wybawcami - z jego legionem. Był równie naiwny sądząc, że podlegali jego władzy.

Nie byli już tymi niepewnymi siebie, uniżonymi uciekinierami, za których ich wziął poprzedniej nocy. Jeśli nawet byli nimi przedtem, to wspólny marsz odmienił ich naturę. Teraz myśleli tylko o mordowaniu; prędzej czy później i tak wymknęliby się spod jego władzy. Dobrze, że odeszli.

Niedaleko granicy zatrzymał się, by otrzeć krew z twarzy, włożył zakrwawioną koszulę na lewą stronę w nadziei, że ukryje najbardziej widoczne plamy, i pojechał dalej. Kiedy dojeżdżał do granicy, dostrzegł w lusterku tuman kurzu i zrozumiał, że jego ulga na myśl o

utracie legionu była przedwczesna. Jeśli żołnierze zatrzymali się gdzieś po drodze, by dokonać rzezi, to już się z tym uporali. Przycisnął pedał gazu w daremnej nadziei, że zdoła im się wymknąć, ale już go zwietrzyli i biegli za nim jak sfora wiernych, ale śmiertelnie groźnych psów; dopędziły go i po dawnemu ciągnęły za samochodem wirującą kurzawą. Po przekroczeniu granicy obłok nieco przyspieszył. Nie włókł się już z tyłu, ale towarzyszył samochodowi z lewa i prawa. W tym manewrze więcej było zamysłu niż po prostu przywiązania. Duchy mocowały się z oknami i dobijały do drzwi po przeciwległej stronie, aż wreszcie je otworzyły.

Tommy-Ray przechylił się, usiłując je zatrzaskać. W tej samej chwili głowa barmana, mocno poturbowana przez niosącą ją burzę, wystrzeliła z kurzawy i spadła na siedzenie obok chłopca. Drzwi zatrzaskały się, a chmura cofnęła się, by posłusznie podążać śladem Tommy-Raya jako jego orszak.

Najchętniej wyrzuciłby ten łup na drogę, ale wiedział, że w ten sposób okazałby swą słabość na oczach całego legionu. Żołnierze przynieśli mu tę głowę nie tylko po to, by mu się przypodobać, chociaż może tak by to tłumaczyli. To było ostrzeżenie, a nawet groźba. „Nie próbuj ich oszukiwać ani zdradzać” mówiły rozwarte usta tej skrwawionej, zakurzonej kuli „bo skończysz tak jak ja”.

Wziął sobie do serca to bezgłośnie przesłanie. Chociaż pozornie zachował przywództwo, zmieniły się relacje między nim a żołnierzami. Co kilka mil obłok przyspieszał i, sforując się to w tym, to w tamtym kierunku, wskazywał mu miejsce, gdzie znajdowały się kolejne grupki ich pobratymców. Wielu z nich czekało w najmniej oczekiwanych miejscach - na nędznych skwerkach i pomniejszych skrzyżowaniach (często właśnie na skrzyżowaniu); raz na motelowym parkingu; innym razem przy zabitej deskami stacji benzynowej - czekała tam cała trójka: mężczyzna, kobieta i dziecko, jakby wiedzieli, że ten transport na pewno nadejdzie.

W miarę jak rosły szeregi, przybierała na sile burza, wyrządzając wzdłuż autostrady pomniejsze szkody - spychała samochody na pobocze, zrywała znaki drogowe. Mówiono nawet o tym w komunikacie radiowym. Tommy-Ray usłyszał go. Komunikat donosił o jakimś niespodziewanym wicherze, który szedł z oceanu na północ, w kierunku hrabstwa Los Angeles.

Słuchając komunikatu, Tommy-Ray zastanawiał się, czy słyszał go także ktoś w Palomo Grove. Może Daff albo Jo-Beth. Miał nadzieję, że tak było.

Miał nadzieję, że słyszeli i rozumieli, co nadchodzi. Od czasu gdy jego ojciec wyłonił się z głębi ziemi, miasto widziało już różne dziwne rzeczy, ale z pewnością żadna nie mogła się równać z wichrem, który szedł za nim, ani z powietrzem, kipiącym od duchów.

II

W sobotni poranek głód wypędził Williama z domu. Szedł ociągając się, jak mężczyzna, który niespodziewanie czuje w czasie orgii potrzebę opróżnienia pęcherza i, wychodząc do łazienki, wciąż ogląda się za siebie. Ale głodu, podobnie jak parcia na pęcherz, nie można było ignorować bez końca, a William bardzo szybko wyczerpał skromne zasoby swojej lodówki.

Ponieważ tak się składało, że pracował w Pasażu Handlowym, nigdy nie kupował żywności na zapas, ale codziennie krążył przez kwadrans po supermarkecie, wybierając artykuły, na które właśnie przyszedł mu apetyt.

Tym razem nie był w sklepie już od dwóch dni i, jeśli nie chciał zamorzyć się głodem pośród pikantnych, ale niejadalnych delikatesów, zgromadzonych w domu o szczelnie zasuniętych zasłonach, musiał postarać się o coś do jedzenia. Łatwo powiedzieć. Jego umysł był tak obsesyjnie pochłonięty towarzystwem, w którym do tej pory przebywał, że zwykle czynności, które wykonywał przed ukazaniem się w miejscu publicznym, nastęrczały mu

teraz poważnych trudności.

Do niedawna prowadził niezwykle uporządkowane życie. Koszule, które nosił w tygodniu, były zawsze prane i prasowane w niedzielę, leżały na serwantce wraz z pięcioma ze stu jedenastu muszek, dobranymi do odcienia koszuli. Jego kuchnię, zawsze nieposzlakowanie czystą, można było fotografować w celach reklamowych: zlew pachniał cytryną, pralka płynem do dekatyzacji tkanin o woni kwiatów, a sedes - lasem sosnowym.

Teraz w domu zapanował Babilon. Wychodząc, widział swój najlepszy garnitur na osławionej dwupłciowej Marcelii St. John. Siedziała okrakiem na jednej ze swoich dziewcząt. Ściągnięto mu jego muszki, potrzebne w konkursie trzech mężczyzn - chodziło o to, który z nich nałoży ich najwięcej na wzwiedziony organ. Wygrał Moses Jasper zwany Rurą - zaliczył siedemnaście muszek.

William nawet nie próbował sprzątać czy odbierać części swojej garderoby - niech się goście bawią. Z dolnej szuflady wygrzebał jakąś bawełnianą koszulkę i dżinsy, których nie nosił od dobrych kilku lat, włożył je na siebie i poszedł w dół Wzgórza, do Pasażu.

Mniej więcej w tym czasie Jo-Beth budziła się z najgorszym kacem w swoim życiu.

Najgorszym, bo pierwszym.

Z minionej nocy pozostały jej tylko niejasne wspomnienia. Pamiętała oczywiście, że wybrała się do Lois, pamiętała jej gości i to, że przyszedł tam Howie, ale nie była pewna, jak się to wszystko skończyło. Czując zawroty głowy i mdłości, wstała i poszła do łazienki.

Słyszac odgłosy jej krzątanimy, matka weszła na górę i czekała pod drzwiami łazienki.

- Dobrze się czujesz? - zapytała.

- Nie - powiedziała szczerze Jo-Beth. - Czuję się okropnie.

- Piłaś wczoraj.

- Tak - przyznała. Nie było sensu zaprzeczać.

- Gdzie byłaś?

- U Lois.

- W domu Lois nigdy nie było alkoholu.

- Wczoraj był. I to dużo.

- Nie kłam, Jo-Beth.

- Nie kłamię.

- Lois nigdy nie trzymałaby w domu tej trucizny.

- Może najlepiej będzie, jak sama ci to powie - Jo-Beth nic sobie nie robiła z

oskarżycielskich spojrzeń matki. - Powinniśmy wybrać się razem do księgarni i porozmawiać

z Lois.

- Nie mam zamiaru wychodzić z domu - oświadczyła matka zdecydowanym tonem.

- Przedwczoraj wieczorem wyszłaś na podwórko. Dzisiaj możesz wsiąść do samochodu.

Jeszcze nigdy nie rozmawiała z matką w ten sposób: w jej głosie pobrzmiwał gniew,

skierowany częściowo przeciw matce, po tym jak zarzuciła jej kłamstwo, a częściowo

przeciw sobie samej, za to że nie umiała się uporać ze wspomnieniami minionej nocy. Co

zaszło między Howiem a nią? Czy się pokłócili? Chyba tak. Z całą pewnością rozstali się na

ulicy... ale dlaczego? Jeszcze jeden powód, by porozmawiać z Lois.

- Mamo, wiem, co mówię. Jedziemy obydwie do Pasażu.

- Nie, nie mogę - opierała się matka. - Naprawdę nie mogę. Tak się dzisiaj źle czuję.

- Nieprawda.

- Mówię ci, że tak. Mój żołądek...

- Przestań, mamo! Dość tego! Nie możesz udawać chorej przez resztę swojego życia

tylko dlatego, że się boisz. Ja też się boję, mamo.

- To dobrze, że się boisz.

- Wcale nie. Dżaff właśnie tego chce. On się tym żywi - strachem, który się czai w człowieku. Wiem, bo widziałam to na własne oczy. To jest okropne.

- Możemy się modlić. Modlitwa...

- ...już nam nie pomoże. Nie pomogła pastorowi. Nie pomoże i nam. - Podnosiła coraz bardziej głos, a od tego zaczynało jej się kręcić w głowie, ale wiedziała, że musi powiedzieć swoje, zanim zupełnie wytrzeźwieje, a wraz z trzeźwością wróci obawa urażenia matki. - Zawsze mówiłaś, że poza domem jest niebezpiecznie - ciągnęła. Nie chciała sprawiać matce przykrości, ale nie potrafiła powstrzymać wybuchu. - No i rzeczywiście, jest niebezpiecznie. Nawet bardziej niż myślałaś. Ale tu w środku, mammo... - stuknęła się w pierś, myśląc o swym sercu, myśląc o Howiem i Tommy-Ray, i strasznej obawie, że straciła ich obu. - ...w środku jest jeszcze gorzej. Człowiek ma coś... marzenia... przez krótki czas, a potem mu je odbierają, zanim zdąży się nimi nacieszyć.

- Mówisz bez sensu, Jo-Beth - powiedziała matka.

- Lois ci powie - odparła. - Zawiozę cię do Lois, sama się przekonasz.

Howie siedział przy oknie i czekał, aż słońce osuszy mu skórę z potu. Ta woń była mu równie znajoma jak własna twarz w lustrze, a może jeszcze bardziej, gdyż jego twarz wciąż się zmieniała, a zapach potu - nie.

Potrzebował pociechy: czegoś znanego, bliskiego, teraz, gdy niczego na świecie nie był pewien oprócz tego, że nic nie było pewne. Nie mógł się uporać z chaosem własnych uczuć. To, co wydawało się proste jeszcze wczoraj, kiedy stał w słońcu za domem i całował Jo-Beth, już nie było proste.

Fletcher może i umarł, ale zostawił w Grove swoje dziedzictwo - senne widziadła, które uważały Howie'ego za jakąś namiastkę swego utraconego twórcy. Nawet gdyby nie podzielały opinii Fletchera na temat Jo-Beth a po wczorajszej konfrontacji było jasne, że

myślały tak. Jak Fletcher nie mógłby mimo to spełnić ich oczekiwań. Przyjechał tu jako poszukiwacz przygód, a został - chociaż przelotnie - kochankiem. Teraz chciano go mianować generałem. Oczekiwali rozkazu wymarszu i planów przyszłych bitew. Nie mógł im dać jednego ani drugiego. Fletcher również nie potrafiłby im zapewnić takiego dowództwa. Armia, którą powołał, musiałaby wyłonić przywódcę z własnych szeregów albo rozwiązać się.

Tyle razy powtarzał sobie te argumenty, że prawie w nie uwierzył czy raczej nieomal przekonał samego siebie, że nie był tchórzem, mimo iż chciał w nie wierzyć. Ale ta sztuczka mu nie wyszła. Wciąż powracał ten sam, nieubłagany fakt: kiedyś, w lesie, Fletcher ostrzegał go, że musi wybrać między Jo-Beth a własnym losem, a on nic sobie z tej rady nie robił. Konsekwencją jego ucieczki przed przeznaczeniem - bezpośrednią czy pośrednią, to już nie miało znaczenia - była publiczna śmierć Fletchera, pomyślana jako ostatnia, rozpaczliwa próba uchwycenia się nadziei. I oto on, syn marnotrawny, świadomie odwracał się od skutków tej ofiary.

A jednak, a jednak... zawsze to „jednak”. Gdyby dołączył do armii Fletchera, dałby się wciągnąć w wojnę, której oboje z Jo-Beth skwapliwie starali się uniknąć. Jo-Beth stałaby się jednym z jego wrogów po prostu prawem krwi.

To, czego pragnął teraz bardziej niż czegokolwiek kiedykolwiek w życiu - bardziej niż włosów łonowych, którym nakazywał porost w wieku jedenastu lat; bardziej niż motocykla, który ukradł w wieku lat czternastu; bardziej niż przywrócenia matce życia na dwie minuty, żeby zdążył jej powiedzieć. Jak bardzo żałował wszystkich tych chwil, kiedy przez niego płakała; bardziej niż Jo-Beth, pragnął właśnie teraz - pewności. Chciał, żeby mu ktoś powiedział, która droga jest właściwa, jaki postępek słuszny; chciał czerpać pociechę z zapewnień, że nie on był odpowiedzialny w razie gdyby miało się okazać, że to nie ta droga i

nie ten postęp. Ale nie było nikogo, kto mógłby mu to powiedzieć. Sam musiał o tym zdecydować. Musiał siedzieć w słońcu, suszyć spotniałą skórę i przemyśleć całą sprawę do końca.

Pasaż nie był tak ruchliwy jak w inne sobotnie ranki, a jednak w drodze do supermarketu William spotkał kilka znajomych osób. Jedną z nich była jego asystentka Valerie.

- Dobrze się pan czuje? - zainteresowała się. - Dzwoniłam do pana do domu, ale pan ani razu nie odebrał.

- Chorowałem.

- Wczoraj nawet mi się nie chciało otwierać biura. Po tym co się stało wtedy w nocy.

Zupełny rozgardiasz. Wie pan, Roger tam poszedł, kiedy włączyły się alarmy.

- Roger?

Wytrzeszczyła na niego oczy:

- Tak, Roger.

- A tak - przytaknął William; nie wiedział, czy mowa o mężu, bracie czy psie Valerie i niewiele go to obchodziło.

- On też chorował - dodała.

- Może powinna pani wziąć kilka dni urlopu - zaproponował William.

- To byłoby naprawdę miłe. Teraz wyjeżdża tylu ludzi, zauważył pan? Po prostu sobie wyjeżdżają. Więc interesy Firmy nie ucierpią.

Rzucił coś uprzejmie, że powinna dobrze wypocząć, i pożegnał się.

Muzyka z taśmy, którą usłyszał w markecie, przypomniła mu o tym, co zostawił w domu. Tak bardzo przypominała ścieżkę dźwiękową jego kilku dawniejszych filmów - popłuczyny nieokreślonych melodii, w niczym nie związane ze scenami, którym

towarzyszyły. Smagnięty tym wspomnieniem popędził wzdłuż długich stoisk, napełniając koszyk bardziej instynktownie niż planowo. Nie troszczył się o żywność dla gości. Oni sycili się sobą nawzajem.

Nie był jedynym klientem w tym sklepie, który zlekceważył zakup praktycznych artykułów (płynów czyszczących, proszków do prania itd.) na rzecz żywności, nie wymagającej długiego czasu przygotowania. Mimo całego roztargnienia zauważył, że inni robili to samo co on: nie patrząc zapełniali byle czym wózki i koszyki, jakby jakieś nowe, przyjemne czynności wyparły z ich życia obowiązek gotowania i jedzenia. Na twarzach kupujących (których kiedyś znał z imienia i nazwiska, a teraz ledwie rozpoznawał) widział ten sam skryty wyraz, który - jak wiedział - sam miał na twarzy przez całe swoje życie. Robili zakupy, udając, że ta sobota niczym nie różniła się od innych, a przecież wszystko się zmieniło. Każdy z nich miał jakiś sekret, czy też prawie każdy. Ci, którzy go nie mieli - albo wyjeżdżali z miasta, jak Valerie, albo udawali, że nie zauważają niczego dziwnego, a to, na swój sposób, był także jakiś sekret.

Gdy podchodząc do kasy, dorzucił do swojego koszyka dwie garście batoników Hersheya, zobaczył twarz, której nie widział przez wiele długich lat - twarz Joyce McGuire. Przyszła pod rękę ze swoją córką, Jo-Beth. Jeśli widział je kiedyś razem, to musiało to być jeszcze nim Jo-Beth stała się dorosłą kobietą. Kiedy teraz stały obok siebie, ich podobieństwo zapierało dech w piersiach. Wpatrywał się w nie, nie umiejąc odpędzić wspomnienia tamtego dnia nad jeziorem i wspomnienia Joyce, gdy się rozbierała.

Zastanawiał się, czy córka miała pod luźnym ubraniem takie samo ciało: małe, ciemne brodawki, długie, opalone uda?

Nagle zdał sobie sprawę, że nie on jeden w tym sklepie przypatrywał się kobietom McGuire; właściwie wszyscy robili to samo. Nie mógł też wątpić, że do wszystkich tych głów

zakradła się podobna myśl: że oto mieli przed sobą - żywą, realną - jedną z pierwszych zapowiedzi apokalipsy, która zakradła się do Grove. Osiemnaście lat temu Joyce McGuire została matką w okolicznościach, które wtedy wydawały się pospolitym skandalem. Teraz znów pojawiła się między ludźmi, właśnie gdy najbardziej absurdalne plotki na temat Zmowy Dziewic zdawały się potwierdzać. Rzeczywiście w Grove pojawiły się (czy też kryły się w jego czeluściach) Jakieś stwory, które podporządkowały swej woli inne, mniej ważne istoty. To pod ich wpływem w łonie Joyce McGuire rozwijały się dzieci z krwi i kości. Czy ten sam wpływ powołał do życia jego sny? One także wzięły swoją krew i ciało z umysłu.

Obejrzał się znów na Joyce i zrozumiał coś, czego nigdy dotąd nie zauważył: że jego i tę kobietę (podglądacza i podglądaną) złączyła na zawsze bliska więź. To olśnienie trwało tylko chwilę, było zbyt nieuchwytnie, by mogło trwać dłużej. Ale pod jego wpływem odstawił koszyk, przepchał się przez kolejkę, stojącą przed kasą, i poszedł prosto do Joyce McGuire. Widziała, jak nadchodzi, i przez jej twarz przemknął strach. Uśmiechnął się do niej.

Próbowała się cofnąć, ale córka trzymała ją za rękę.

- Wszystko w porządku, mamó - usłyszał głos Jo-Beth.

- Tak... - powiedział, wyciągając rękę do Joyce. - Tak, wszystko w porządku.

Naprawdę. Ja... tak się cieszę, że panią widzę.

Ta szczerść i prostota zdawały się rozwiewać jej niepokój - wygładziła zmarszczone czoło. Nawet się uśmiechnęła.

- William Witt - powiedziała, ujmując jego dłoń. - Pan mnie pewnie nie pamięta, ale...

- Pamiętam panią.

- Cieszę się.

- Widzisz, mamó? - odezwała się Jo-Beth. - To nie takie straszne.

- Nie widziałem pani na mieście od bardzo dawna - powiedział William.

- Ja... trochę chorowałam.

- A teraz?

- Już mi chyba lepiej.

- To dobra wiadomość.

Gdy to mówił, z któregoś przejścia między stoiskami dobiegł odgłos płaczu. Jo-Beth słyszała go wyraźniej niż inni obecni; dziwne napięcie, które wytworzyło się między jej matką a panem Witt (widywała go prawie co rano od czasu, gdy podjęła pracę, ale nigdy w tak niedbałym stroju) całkowicie ich pochłonęło. Zdawało się, że wszystkie osoby z kolejki usilnie próbują niczego nie zauważać. Puściła ramię matki i ruszyła na zwiady, nasłuchując między stoiskami, aż wykryła źródło płaczu. Ruth Gilford, recepcjonistka z przychodni, gdzie leczyła się matka, (Jo-Beth znała ją) stała przed stosem pudełek z płatkami zbożowymi, trzymając w każdej dłoni po innym opakowaniu płatków, z twarzą zalaną łzami. Na wózku obok kobiety piętrzyła się góra podobnych pudełek, jakby idąc wzdłuż stoisk po prostu wrzucała je do wózka nie patrząc.

- Pani Gilford? - zwróciła się do niej Jo-Beth.

Nie przestając płakać, kobieta próbowała mówić pośród łkań, co dało w sumie monolog rozmazany i chwilami bez związku.

- ...nie wiem, czego chce... - mówiła niewyraźnie - ...po tylu latach... nie wiem, czego on chce...

- Czy mogłabym w czymś pani pomóc? - zapytała Jo-Beth. - Może odwiedzić panią do domu?

- ...nie wiem, o co mu chodzi... - powtórzyła.

- Komu? - dopytywała się Jo-Beth.

- ...tyle lat... ukrywał coś przede mną...

- Pani mąż?

- ...nic nie mówiłam, ale wiedziałam... Zawsze wiedziałam... kochał inną... a teraz sprowadził ją do domu...

Zaniosła się od płaczu. Jo-Beth podeszła do niej, bardzo delikatnie wyjęła z jej rąk pudełka z płatkami i odłożyła je na półkę. Pozbawiona swoich talizmanów, Ruth Gilford wczepiła się w Jo-Beth.

- ...pomóż mi... - wyjąkała.

- Oczywiście.

- Nie chcę wracać do domu. On tam kogoś ma.

- Dobrze. Jeśli pani nie chce.

Łagodnie odciągała kobietę od wystawy płatków. Kiedy Ruth znalazła się poza ich zasięgiem, jej rozpacz nieco przycichła.

- Ty jesteś Jo-Beth, prawda? - zdołała wyjąkać.

- Tak.

- Czy mogłabyś iść ze mną do samochodu... Chyba sama nie dałabym rady.

- Już idziemy. Wszystko będzie dobrze - uspokajała ją Jo-Beth. Szła po prawej stronie kobiety, aby zasłonić ją od natrętnych spojrzeń ludzi z kolejki, gdyby chcieli się na nią gapić.

Sądziła, że raczej nie zechcą. Rozstrój nerwowy Ruth Gilford był dla nich zbyt drażliwym widokiem, by mu się przyglądać bez skrępowania; zbyt jaskrawo przypominał im o ich własnych sekretach, które ledwie zdołali ukryć.

Matka stała przy drzwiach w towarzystwie Williama Witta. Jo-Beth postanowiła dać sobie spokój z prezentacjami, ponieważ Ruth i tak nie panowała nad sobą; chciała tylko powiedzieć matce, że spotkają się w księgarni, która była jeszcze zamknięta, gdy przyjechały.

Po raz pierwszy w życiu Lois spóźniła się z otwarciem sklepu. Ale matka już przejęła

inicjatywę w swoje ręce.

- Pan Witt odwiezie mnie do domu, Jo-Beth - powiedziała. - Nie martw się o mnie.

Jo-Beth popatrzyła na Witta: wyglądał prawie jak zahipnotyzowany.

- Jesteś pewna? - zapytała. Nigdy przedtem nie przyszło jej do głowy, że może właśnie ten wazelinowaty pan Witt był typem, przed którym matka zawsze ją ostrzegała. Typ skrytego, milczącego człowieka, ukrywającego najbardziej zwyrodniałe sekrety. Ale matka nalegała; machnęła jej ręką na pożegnanie prawie niedbale.

- Obłąd - myślała Jo-Beth, prowadząc Ruth do samochodu. - Cały świat zwariował.

Ludzie zmieniają się w jednej chwili, jakby całe lata udawali kogoś innego: mama - chorą, pan Witt - schludnego, Ruth Gilford - panującą nad innymi i sobą. Czy wymyślali siebie na nowo, czy zawsze tacy byli?

Kiedy dochodziły do samochodu, Ruth Gilford opanował nowy, jeszcze gwałtowniejszy atak płaczu. Próbowwała wrócić do supermarketu, upierając się, że nie może wrócić do domu bez płatków. Jo-Beth łagodnie jej to wyperswadowała i zaproponowała, że odwiezie ją do domu, na co Ruth z wdzięcznością przystała.

Wioząc Ruth do domu, Jo-Beth wróciła myślami do matki, gdy niespodziewanie wyminął je konwój czterech czarnych długich limuzyn; przemknęły obok z cichym szumem i ruszyły w górę Wzgórza. Ich obecność tak nie pasowała do tej okolicy, jakby nadszedły z innego wymiaru.

Goście, pomyślała Jo-Beth. Jakby ich tu było za mało.

III

- Zaczyna się - powiedział džaff.

Stał w oknie najwyższego piętra Coney Eye i patrzył na podjazd.

Było prawie południe. Sunące podjazdem limuzyny zapowiadały przyjazd pierwszych

gości. Chętnie widziałby teraz obok siebie Tommy-Raya, ale chłopiec nie wrócił jeszcze z wyprawy do Misji. Nie szkodzi. Lamar świetnie go zastępował. Była pewna trudna chwila, kiedy džaff odłożył wreszcie maskę Buddy'ego Vance'a, ukazując komikowi swoją prawdziwą twarz, ale nie musiał go zbyt długo namawiać. Pod pewnymi względami wolał jego towarzystwo od Tommy-Raya - bardziej zmysłowe, bardziej cyniczne. Co więcej, doskonale znał gości, którzy wkrótce mieli tu przybyć, by uczcić pamięć Buddy'ego Vance'a; wiedział o nich nawet więcej niż sama wdowa, Rochelle. Od zeszłego wieczoru coraz głębiej zapadała w narkotyczne odrętwienie. Korzystając z sytuacji, Lamar dokonywał na niej seksualnych nadużyć, ku wielkiemu rozbawieniu džaffa. Kiedyś (bardzo dawno temu) być może postąpiłby tak samo. Nie, nie być może, ale na pewno. Rochelle Vance była niezaprzeczenie piękną kobietą, a jej uzależnienie, podsycane przez skryty gniew, czyniło ją jeszcze bardziej pociągającą.

Ale to były sprawy ciała, sprawy, należące do innego życia.

Miał przed sobą pilniejsze zadania, a mianowicie wydobywanie ukrytej mocy z ludzi, którzy właśnie zbierali się na dole. Lamar przestudiował z nim listę gości, wygłaszając taką czy inną bezlitosną uwagę przy każdym prawie nazwisku. Skorumpowani prawnicy, zżerani przez nałóg aktorzy, nawrócone kurwy, stręczyciele, faceci z zaburzeniami wzwołu, najemni mordercy, biali ludzie o czarnych duszach, lizusy, kokainiści, nieszczęśni bogacze. Jeszcze nieszczęśliwsi biedacy, egotyści, onaniści i hedoniści - Lamar. Czy było coś lepszego od tego łowiska, na którym upoluje siły, chroniące go od złego, gdy już Sztuka otworzy swoje podwoje? W tych spętanych nałogiem, oszołomionych, zapatrzonych w siebie duszach znajdzie odmiany strachu, jakich nigdy nie znalazłby u zwykłych dorobkiewiczów.

Wyciągnie z nich terata jakie się światu nawet nie śniły. Wtedy będzie gotów.

Fletcher nie żył, a jego armia, jeśli w ogóle ją miał, przycupnęła gdzieś bojaźliwie.

Nic już nie stało między džaffem a Quiddity.

Kiedy stał przy oknie przyglądając się, jak jego ofiary wysiadają z samochodów, witając się uśmiechami niby fałszywe brylanty i pocałunkami-dziobnięciami. Jego myśli podążyły - o dziwo - do Sali Niedoreczonych Listów w Omaha, stan Nebraska, w której - tyle żywotów temu - po raz pierwszy tknęło go przecucie, że Ameryka ma swoje drugie, tajemne życie. Przypomnił sobie, jak Homer otwierał drzwi tego skarbcza, a potem umierał przy tych drzwiach, kiedy kres jego życiu położył tępy nóż, który džaff wciąż nosił w kieszeni marynarki. Wtedy śmierć miała jeszcze swoją wagę. Była doświadczeniem, które budziło grozę. Dopiero kiedy wstąpił do Pętli, zdał sobie sprawę, jak bezzasadne były podobne obawy. Jeśli nawet pomniejszy szarlatan w rodzaju Kissoona mógł zatrzymać czas. Prawdopodobnie tamten szaman miał tam wciąż bezpieczne schronienie, praktycznie niedosięgłe dla jego duchowych wierzyteli czy też tłumu żadnego linczu. Przesiadywał w Pętli, snując plany zdobycia władzy. Lub jej blokady.

To ostatnie przyszło mu teraz do głowy po raz pierwszy, jak odporne hasło z krzyżówki, nad którym się biedził, sam o tym nie wiedząc. Kissoon powstrzymywał tę chwilę, bo jeśli tylko wypuści ją z ręki, odwiąże z łańcucha własną śmierć...

- No dobrze... - mruknął.

- Dobrze, co? - podchwycił Lamar, stojący z tyłu.

- A nic, myślałem nad czymś - zbył go džaff. Odwrócił się od okna: - Wdowa już jest na dole?

- Próbuję ją otrzeźwić.

- Kto wita gości?

- Nikt.

- Zajmij się tym.

- Myślałem, że chcesz, żebym był tutaj.

- Później. Jak już się wszyscy zjadą, przyprowadzaj mi ich jednego po drugim.

- Jak sobie życzysz.

- Jedno pytanie.

- Tylko jedno?

- Dlaczego się mnie nie boisz?

Lamar zwęził swoje i bez tego wąskie oczy. Po chwili powiedział:

- Wciąż potrafię dostrzec śmieszność.

Nie czekając na ripostę džaffa odszedł, by podjąć obowiązki pana domu.

Dżaff wrócił do okna. Do bramy wjeżdżała następna limuzyna, tym razem biała; szofer okazywał strażnikom zaproszenie.

- Po jednym - mruknął do siebie džaff. - Wszyscy frajerzy po kolei.

Zaproszenie na przyjęcie w Coney Eye przyniósł do Grillo około dziesiątej rano

specjalny posłaniec; była nim Ellen Nguyen. Zachowywała się życzliwie, ale załatwiła sprawę krótko i energicznie; nie zostało w niej śladu tej intymności, która wybujała między nimi wczorajszym popołudniem.

Zapraszał ją do swojego hotelowego pokoju, ale oświadczyła zdecydowanie, że nie ma czasu.

- Muszę wracać do willi. Zdaje się, że Rochelle zupełnie się wyłączyła. Chyba już nie musisz się obawiać, że cię rozpozna. Ale będzie ci potrzebne zaproszenie. Wpisz tu byle jakie nazwisko. Będzie mnóstwo strażników, więc go nie zgub. Na to przyjęcie nie uda ci się wejść na piękne oczy.

- A gdzie ty będziesz?

- Chyba wcale tam nie przyjdę.

- Zdawało mi się, że właśnie się tam wybierasz.

- Tylko, żeby pomóc w przygotowaniach. Kiedy tylko zaczniesz przyjęcie, ja znikam.

Nie chcę rozmawiać z tymi ludźmi. To wszystko pasożyty. Żaden z nich nie kochał

Buddy'ego naprawdę. Wszystko na pokaz.

- No cóż, jak cię widzą, tak cię piszą.

- Więc idź i pisz - powiedziała i zwróciła się do wyjścia.

- Czy moglibyśmy przez chwilę porozmawiać? - zapytał Grillo.

- O czym? Spiesz mi się.

- O tobie i o mnie. O tym, co się zdarzyło wczoraj.

Popatrzyła na niego, nie widząc.

- Co było, to było - powiedziała. - Byliśmy we dwoje. O czym tu mówić?

- Choćby o tym, czy moglibyśmy spotkać się jeszcze raz?

Znow to niewidzące spojrzenie.

- Raczej nie - powiedziała.

- Nie dałaś mi szansy, żeby... - zaczął.

- Och nie - przerwała, pragnąc sprostować błędny wniosek, który miał na myśli. - Ty

byłeś świetny, ale... wszystko się zmieniło.

- Od wczoraj?

- Tak - potwierdziła. - Nie będę ci wykladać kawy na ławę... - zawiesiła głos, a po

chwili podjęła nową myśl. - Oboje jesteśmy dorośli. Wiemy, jak jest z tymi rzeczami.

Już miał zaprzeczyć, powiedzieć, że już nie wie, jak jest z tymi czy innymi rzeczami;

wiedział tylko jedno - ta rozmowa tak bardzo nadwerżyła jego szacunek dla samego siebie, że nie powinien go dobijać dalszymi wyznaniem.

- Bądź ostrożny na przyjęciu - rzuciła, ponownie zwracając się ku wyjściu.

Nie mógł się powstrzymać, by nie rzucić jej w ślad:

- Dzięki choć za to.

Odpowiedziała nikłym, zagadkowym uśmiechem i odeszła.

IV

Droga powrotna do Grove bardzo się dłużyła Tommy-Rayowi, ale bardziej jeszcze Tesli i Raulowi, choć z powodów mniej metafizycznych. Po pierwsze, samochód Tesli nie był bynajmniej wozem rajdowym; przebył już ciężką trasę w tamtą stronę i był już bardzo sfatygowany. Po drugie, chociaż nuncjo uratowało ją od bliskiej śmierci, miało także działanie uboczne, które w całej pełni uświadomiła sobie dopiero po przekroczeniu granicy. Chociaż prowadziła realny samochód po twardej powierzchni autostrady, nie panowała już nad tą rzeczywistością tak pewnie jak przedtem. Czuła, jak nawołują ją inne miejsca i nawiedzają obce stany ducha. W przeszłości zdarzało jej się prowadzić w stanie silnego zamroczenia alkoholowo-narkotycznego, ale jej obecny stan był nieporównanie bardziej szalony, jakby jej mózg wyszperał z zakamarków pamięci każdą drobinę LSD, każdy środek uspokajający i halucynogeny, który kiedykolwiek zażywała, i dał jej teraz czadu, wstrzykując w jej umysł dawkę każdego z nich. To pokrzykiwała jak dzikuska (słyszała swój głos jak głos jakiejś innej osoby), to unosiła się w powietrzu, a droga rozplątywała się przed nią, to znów nachodziły ją myśli brudniejsze niż nowojorskie metro i z trudem powstrzymywała się, by nie skończyć z tym nędznym, śmiesznym życiem jednym ruchem kierownicy.

Przez to wszystko przebijały się dwa fakty. Pierwszy, to siedzący obok Raul, zaciskający na desce rozdzielczej ręce o pobielających kostkach; biła od niego ostra woń strachu. Drugi, to miejsce, które odwiedziła w wywołanym przez nuncjo śnie. - Pętli Kissoona. Chociaż nie było tak rzeczywiste, jak ten samochód, w którym jechała, ani jak

zapach Raula, było równie natrętne.

Podczas jazdy pamięć tamtego miejsca nie opuszczała jej ani na chwilę.

Nazwał je Trinity - Trójca - i to miejsce, czy też sam Kisson, chciało, by tam wróciła.

Czuła, jak ją do siebie przyciąga niemal fizycznie. Opierała się temu uczuciu, choć może nie z całym przekonaniem. Chociaż cieszyła się, że ją przywrócono życiu, jednak to, co w Trinity widziała i słyszała, rozbudziło w niej ciekawość tego miejsca, a nawet pragnienie powrotu. Im silniej mu się opierała, tym bardziej opadała z sił. Gdy wjeżdżali na peryferie Los Angeles, była jak osoba od wielu dni pozbawiona snu: w każdej chwili majaczenia na jawie mogły się wedrzeć w tkankę rzeczywistości.

- Musimy zatrzymać się na chwilę - powiedziała Raulowi, świadoma, że jej słowa przechodzą w bełkot. - Inaczej oboje wylądujemy na tamym świecie.

- Chcesz się przespać?

- Sama nie wiem - obawiała się, że sen napyta jej tyle samo nowych kłopotów, ile rozwiąże już istniejących. - Przynajmniej bym odpoczęła. Napiłabym się kawy, uporządkowała mętlik w głowie.

- Tutaj? - spytał Raul.

- Co tutaj?

- Tu się zatrzymamy?

- Nie, pojedziemy do mnie. Wyrobimy się w pół godziny. To znaczy, jeśli polecimy jak na skrzydłach...

„Ależ ty już fruwasz, mała, i tak pewnie zostanie - powiedziała sobie. - Jesteś kobietą, która powstała z martwych. Czego mogłabyś oczekiwać? Że życie będzie się turlało dalej, jak gdyby nigdy nic? Wybij to sobie z głowy. Nic już nie będzie jak dawniej”.

Ale West Hollywood nie zmieniło się: wciąż to samo, z lekka upiększone, Miasto

Chłopców, te same bary, te same eleganckie sklepy, w których kupowała swoją biżuterię. Skręciła na lewo od Santa Monica w kierunku North Huntley Drive, gdzie mieszkała od pięciu lat - od czasu gdy zamieszkała w Los Angeles. Zbliżało się południe - smog dławiał miasto.

Zaparkowała w garażu pod budynkiem i zaprowadziła Raula do mieszkania nr 5. Okna mieszkania jej sąsiada z dołu - wiecznie skwaszonego, zamkniętego w sobie małego człowieka, z którym w ciągu tych pięciu lat wymieniła najwyżej trzy zdania, przy czym dwa z nich były obraźliwe - były otwarte i musiał widzieć, jak przechodziła. Tesla obliczyła, że potrzebował najwyżej dwudziestu minut, by poinformować cały blok, że panienska z Klubu Samotnych Serc, jak ją nazywał, wróciła do miasta, wygląda jak zmora, a towarzyszy jej Quasimodo. No i dobrze. Miała teraz inne zmartwienia, na przykład jak wsunąć klucz do zamka - jej rozkojarzone zmysły, mimo wciąż ponawianych prób, nie potrafiły sprostać temu zadaniu. Wyręczył ją Raul - wyjął klucz z jej drżących palców i otworzył drzwi.

Mieszkanie, jak zwykle, wyglądało jak obszar dotknięty kataklizmem.

Otworzyła na oścież drzwi i okna, by wpuścić trochę mniej skisłego powietrza i włączyła automatyczną sekretarkę, by posłuchać, kto dzwonił. Jej menedżer telefonował dwukrotnie, za każdym razem donosząc, że nie było dalszych wiadomości na temat scenariusza o rozbitkach; dzwoniła Saralyn, pytając, czy Tesla nie wie, gdzie podziewa się Grillo. Po Saralyn - matka Tesli - bardziej to przypominało litanię grzechów niż wiadomość telefoniczną - przewinienia, popełnione przez świat w ogóle, a ojca Tesli w szczególności. Wreszcie Miskey de Falco, który dorabiał sobie na boku, nagrywając orgazmatyczne postękiwania dla filmów porno i szukał partnerki do jakiejś sceny. W tle - szczekanie psa. I jak tylko wrócisz - dodał na zakończenie - „zabieraj zaraz to cholerne bydlę, zanim mnie zeżre z kopytami i doprowadzi do ruiny finansowej”.

Zauważyła, że podczas gdy słuchała taśmy, Raul przyglądał się jej, nie kryjąc oszołomienia.

- Ludzie z branży - wyjaśniła, kiedy Mickey się pożegnał. - Świetni, prawda? Słuchaj, idę się położyć. Chyba wszystko jasne, gdzie co jest? Lodówka, telewizor, toaleta. Obudź mnie za godzinę, zgoda?

- Dobrze, za godzinę.

- Napiałabym się herbaty, ale nie ma na to czasu - przyjrzała mu się, gdy tak stał i wlepił w nią oczy. - Czy wyrażam się zrozumiale?

- Tak... - odparł z wahaniem.

- Mówię niewyraźnie?

- Właśnie.

- Tak myślałam. No dobra. Mieszkanie jest twoje. Nie odbieraj telefonów. Zobaczymy się za godzinę.

Nie czekając, co powie. Tesla poszła do łazienki, rozebrała się do naga, chwilę zastanawiała się, czy brać prysznic; zdecydowała, że tylko ochłapie zimną wodą twarz, ramiona i piersi i poszła do sypialni. W pokoju panował upał, ale Tesla dobrze wiedziała, że nie może otworzyć okna. Kiedy obudzi się jej najbliższy sąsiad - a wstawał mniej więcej o tej właśnie porze - zaraz puści jakąś operę. Albo zaduch w pokoju, albo „Łucja z Lamermoor”.

Wybrała zaduch.

Pozostawiony samemu sobie, Raul wyszperał w lodówce naręczce wiktuałów, zaniósł je do okna, usiadł i zaczął się trząść. Nie pamiętał, by kiedykolwiek przedtem tak się bał, od czasu gdy Fletcher zaczął wpadać w obłąd. Teraz, podobnie jak wtedy, zasady rządzące światem zmieniły się nagle i bez ostrzeżenia; już nie wiedział, czego ma się w życiu trzymać.

W głębi serca już nie wierzył, że jeszcze kiedyś zobaczy Fletchera. Świątynia, której strzegł w

Misji, z latarni morskiej, wskazującej zbłąkanemu drogę do domu, stała się cmentarnym pomnikiem. Sądził, że sam tam umrze, opuszczony, otoczony opieką innych jako półgłówek, którym był pod wieloma względami. Właściwie nie potrafił pisać - umiał tylko nabazgrać swoje nazwisko.

Nie umiał czytać. Większość przedmiotów, znajdujących się w mieszkaniu tej kobiety, była dla niego zupełną zagadką. Czuł się zagubiony.

Przestał rozczulać się nad sobą, kiedy z przyległego pokoju dobiegł jakiś okrzyk.

- Tesla? - zawołał.

Nie słyszał artykułowanej odpowiedzi, tylko stłumione okrzyki. Wstał i skierował się w stronę, skąd dochodził ten dźwięk. Zawahał się z ręką na klamce - wolałby nie wchodzić bez zaproszenia. Znów zabrzmiał krzyk.

Otworzył drzwi.

Jeszcze nigdy nie widział nagiej kobiety. Na widok leżącej w łóżku Tesli stanął jak wryty. Rozrzuconymi na boki rękami szarpała prześcieradło, tocząc nieprzytomnie głową. Ale jakaś mgła, unosząca się nad jej ciałem, przypomniawszy mu o tym, co się zdarzyło na trakcie wiodącym do Misji.

Znów się od niego oddalała. Wracała do Pętli. Jej okrzyki przeszły teraz w jęk. Nie był to jęk rozkoszy. Tesla szła tam wbrew sobie.

Znów zawołał ją po imieniu - tym razem bardzo głośno. Zerwała się raptownie, siadła na łóżku, wpatrując się w Raula rozszerzonymi źrenicami.

- Jezu! - krzyknęła. Dyszała jak po biegu. - Jezu Chryste!

- Krzyczałaś... - powiedział, próbując usprawiedliwić swoją obecność w jej pokoju.

Chyba dopiero teraz zdała sobie sprawę z całej sytuacji: swojej nagości, jego zakłopotania i fascynacji. Sięgnęła po prześcieradła, by się okryć, ale zapomniała o tym zamiarze

wspomniawszy, co przed chwilą przeżyła.

- Byłam tam - powiedziała.

- Wiem.

- W Trinity. W Pętli Kissoona.

Jeszcze podczas jazdy wzdłuż wybrzeża wyłożyła mu jak umiała najlepiej wizję, która ją nawiedziła w chwili, gdy nuncjo przywracało jej zdrowie zarówno po to, by utrwalić w pamięci szczegóły tej wizji. Jak też by nie dopuścić do jej powrotu, wyzwalając wspomnienia z zaryglowanej celi swojego życia wewnętrznego, by dzielić je z innym człowiekiem.

Odmalowała odrażający obraz Kissoona.

- Widziałaś go? - zapytał Raul.

- Nie dotarłam do chaty. Ale on chce, żebym wróciła. Czuję, jak mnie tam ciągnie - położyła dłoń na żołądku. - Czuję go teraz, Raul.

- Jestem przy tobie. Nie pozwolę ci odejść.

- Wiem i cieszę się.

Wyciągnęła do niego ramię.

- Weź mnie za rękę, dobrze? - Podszedł niepewnie do łóżka. - Proszę, Raul - nalegała.

Posłuchał jej. - Znow widziałam tamto miasto. Wygląda zupełnie jak prawdziwe, ale tam nikogo nie ma, kompletnie nikogo. Jest jak... jakaś scena... jakby miały się tam odbyć jakieś występy.

- Występy?

- Wiem, że to bez sensu, ale mówię ci po prostu, jak to odbieram. Tam wydarzy się coś straszego, Raul. Najgorsze, co może być.

- Nie wiesz, co?

- A może to już się stało? - zastanawiała się. - Może właśnie dlatego w tym mieście nie

ma nikogo. Nie, nie. To nie tak. To się jeszcze nie skończyło, to się dopiero wkrótce wydarzy.

Usiłowała uporządkować zamęt w myślach. Gdyby scenografia tamtego miasta miała jej posłużyć do jakiegoś filmu - co to - byłaby za scena?

Strzelanina na głównej ulicy? Mieszkańcy zabarykadowani w swoich domach, czekający, aż gangsterzy w białych kapeluszach załatwią swoje porachunki z gangsterami w czarnych? Być może. Albo też miasto, porzucone przez mieszkańców na widok niszczycielskiego potwora, wyłaniającego się zza horyzontu? Klasyczny scenariusz filmowy z lat pięćdziesiątych: próby nuklearne budzą ze snu jakiegoś gigantycznego stwora...

- To już bliżej - stwierdziła.

- Co?

- Może to jakiś film o dinozaurach. Albo o monstrualnie wielkiej tarantuli. Nie wiem.

Ale to całkiem prawdopodobne. Niech to szlag trafi! Wiem o tym mieście to i owo, ale nie mogę zrozumieć, co jest grane.

Z sąsiedniego domu przypląnęły tony arcydzieła Donizettiego. Znała je tak dobrze, iż mogłaby śpiewać do wtóru, gdyby miała odpowiedni głos.

- Zrobię kawę - oznajmiła. - Dobudzę się. Czy mógłbyś pożyczyć od Rona trochę mleka?

- Jasne.

- Po prostu powiedz mu, że jesteś moim znajomym.

Raul wstał z łóżka, uwalniając rękę z jej dłoni.

- Ron mieszka pod czwartym - zawołała za nim. Poszła do łazienki, by wziąć wreszcie prysznic, wciąż wytrącona z równowagi zagadką tamtego miasta. Ledwie się umyła i znalazła czystą koszulkę i dzinsy, gdy do pokoju wrócił Raul i rozdzwonił się telefon. Z drugiej strony linii: opera i Ron.

- Skąd go wytrzasnąłeś? - pytał. - I czy ma brata?

- Czy w tej dzielnicy nie można mieć prywatnego życia - odgryzła się Tesla.

- Nie powinnaś tak się nim popisywać, dziewczyno - mówił Ron. - Co to za jeden?

Kierowca ciężarówki? Piechota morska? Ma takie szerokie bary.

- Zgadza się.

- Jak ci się znudzi, przyślij go do mnie.

- To mu pochlebi - powiedziała Tesla i odłożyła słuchawkę. - Masz wielbiciela -

zwróciła się do Raula. - Ron uważa, że jesteś bardzo seksowny.

Raul wydawał się mniej zakłopotany, niż Tesla mogła oczekiwać.

Dlatego zapytała:

- Jak myślisz, czy wśród małp są pedały?

- Pedały?

- Homoseksualiści. Mężczyźni, którzy śpią z innymi mężczyznami.

- Ron jest taki?

- Jest taki? - roześmiała się. - Tak, jest. To taka dzielnica. Dlatego lubię tu mieszkać.

Zaczęła odmierzać łyżeczką kawę. Słyszac dźwięk granulek spadających do filiżanek, poczuła, że tamta wizja wraca.

Upuściła łyżeczkę. Odwróciła się do Raula. Był daleko od niej, po drugiej stronie pokoju, który jakby wypełniał się kurzem.

- Raul? - wykrztusiła.

- Co się stało? - raczej widziała ruch jego ust niż słowa; w świetle, z którego

odchodziła, zamarł wszelki dźwięk. Ogarnęła ją panika. Wyciągnęła do Raula obydwa ramiona.

- Nie pozwól mi odejść - krzyknęła przeraźliwie. - Nie chcę tam iść! Nie...

Wtedy wdarł się między nich obłok kurzu. W kurzawie nie mogła dostrzec Raula. Ich wyciągnięte ku sobie ręce nie mogły się spotkać, nie objęły jej mocne ramiona Raula. Czowała, że jakaś siła znów ściąga ją nad pustynię, że mknie poprzez znajome obszary. Przez tę samą spieczoną żarem ziemię, którą już dwukrotnie przemierzyła.

Jej mieszkanie znikło zupełnie. Znów była w Pętli, sunęła przez miasto.

Barwa nieba była równie delikatna, jak za pierwszym razem. Słońce wciąż stało nisko nad horyzontem. Tym razem widziała je wyraźnie. Mogła nie tylko na nie spojrzeć, ale wpatrywać się w jego tarczę, nie odwracając oczu. Odróżniała nawet pewne szczegóły. Wybuchy energii, wyrzucane poza obręb słońca niby ogniste ramiona. Skupiska płam, znaczących jego płomienne oblicze. Spojrzenie w dół powiedziało jej, że zbliża się do tamtego miasta.

Po przejściu pierwszej fali paniki, Tesla zaczęła brać się w garść. Jesteś tu już trzeci raz - skarciła ostro samą siebie - i powinnaś wreszcie zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi. Nakazała sobie zwolnić tempo, i rzeczywiście - poruszała się teraz wolniej. Zbliżając się do peryferii miasta, mogła mu się lepiej przyjrzeć. Gdy widziała je po raz pierwszy, instynkt mówił jej, że jest ono w jakimś sensie nieprawdziwe. Teraz potwierdziło się tanto wrażenie.

Drewniane ściany domów były nietknięte przez słońce i niepogody, nie były nawet pomalowane. W oknach nie było firanek, w drzwiach - dziurek od klucza. Co kryło się za tymi drzwiami i oknami?

Nakazała swemu szybującemu jestestwu, by wzięło kurs na jeden z domów, i zajrzała przez okno do środka. Przez szczeliny w nie wykończonym dachu wciskało się światło słoneczne, oświetlając wnętrze budynku. Było puste - bez mebli, pozbawione wszelkich oznak ludzkiego bytowania. Nie było nawet podzielone na pokoje. Budynek był zupełną atrapą. Jeśli ten był taki, to zapewne i następny. Dalsze oględziny potwierdziły jej

podejrzenia. Dom obok był także całkowicie wyludniony.

Odchodząc od okna, poczuła szarpnięcie, podobne do tych, które odczuwała w tamtym świecie: Kisoona próbował przyciągnąć ją do siebie.

Teraz wolałaby, żeby Raul nie próbował jej cucić, o ile jej ciało było jeszcze obecne w świecie, z którego odeszła. Chociaż bała się tego miejsca i mocno nie dowierzała człowiekowi, który ją wzywał, ciekawość przeważała.

Tajemnice Palomo Grove były tak dziwaczne, że pośpieszne wyjaśnienia Fletchera na temat dzaffa. Sztuki i Quiddity rzuciły niewiele światła na znaczenie tego właśnie miejsca.

Odpowiedzieć na jej pytania mógł Kisoona - co do tego nie miała najmniejszych wątpliwości.

Gdyby potrafiła przedrzeć się przez pokręte ścieżki jego rozmowy, mogłaby mieć pewną nadzieję, że zrozumie, w czym rzecz. Podbudowana tą nową nadzieją, z mniejszą obawą myślała o powrocie do chatki. Gdyby jej groził albo dostał erekcji, Tesla po prostu odejdzie.

To było w jej mocy. Wszystko było w jej mocy, jeśli tylko pragnęła tego dostatecznie silnie.

Jeśli mogła patrzeć w słońce i nie stracić wzroku, to z pewnością poradzi sobie z nieporadnymi zakusami Kisoona na jej ciało.

Ruszyła przez miasto; zdała sobie sprawę, że teraz idzie - w każdym razie postanowiła, że nie wyrzeknie się tego złudzenia. Gdy tylko wyobraziła sobie - podobnie jak za pierwszym razem - że jest tu obecna - proces transferu jej ciała potoczył się automatycznie. Nie czuła, co prawda, ziemi pod stopami - ani też czynność chodzenia nie kosztowała jej najmniejszego wysiłku - ale z tamtego świata przyniosła określoną umiejętność poruszania się, więc korzystała z niej, czy było to konieczne czy nie. Pewnie nie było. Zapewne sama myśl wystarczyłaby, aby w oka mgnienia przenieść Teslę z miejsca na miejsce. Ale - rozumowała - im więcej przeniesie tu rzeczywistości, którą znała najlepiej, tym większą władzę zdobędzie nad tym miejscem. Zastosuje tutaj zasady, które do niedawna przywykła uważać za

uniwersalne. Jeśli się zmienia, będzie przynajmniej wiedziała, że nie ona jest za to odpowiedzialna. Im więcej nad tym myślała, tym jawniej odczuwała własną cielesność. Cień, który rzucała na ziemię, pogłębiał się, stopami wyczuwała żar piasku.

Chociaż bardzo ją podniosła na duchu świadomość, że zachowała swoje przyrodzone zmysły, czuła, że Kissonowi wyraźnie się to nie podobało.

Ciągnął ją ku sobie ze zdwojoną siłą - zupełnie, jakby ujął jej żołądek w dłonie i szarpnął.

- Dobra, dobra... - mruknęła. - Pójdę do ciebie. Ale wtedy, kiedy ja będę chciała, a nie ty.

Stan, z którym się oswajała, zawierał coś więcej niż tylko ciężar i cień; był w nim również zapach i dźwięk. Te dwie ostatnie kategorie były dla niej niespodzianką - niemiłą niespodzianką. W jej nozdrza biła odrażająca woń; rozpoznała w niej bez wahania odór zepsutego mięsa. Czy gdzieś na ulicy leżało martwe zwierzę? Nic takiego nie dostrzegła. Ale dźwięk posłużył jej za następną wskazówkę. Jej słuch, wyostrzony bardziej niż kiedykolwiek przedtem, wychwycił szum roju owadów. Nadstawiła uszu, próbując ustalić, skąd pochodził.

Odgadła i ruszyła w kierunku jednego z domów, stojących po drugiej stronie ulicy. Był równie bezimienny jak tamte, do których zaglądała przez okna, ale nie był pusty.

Wzmagający się odór i głośniejsze brzęczenie potwierdziły jej domysł. Za tą banalną fasadą kryła się padlina.

Zaczęła podejrzewać, że były jej znacznie ilości. Odór był trudny do zniesienia. Tesla czuła, jak buntują się jej wnętrzności. Ale musiała się przekonać na własne oczy. Jaką tajemnicę kryło to miasto.

Gdy była w połowie jezdni, uczuła w żołądku następne szarpnięcie.

Próbowała się opierać, ale tym razem Kisson nie spieszył się, by uwolnić ją z haczyka.

Pociągnął jeszcze mocniej i Tesla spostrzegła, że - wbrew swojej woli - idzie wzdłuż jezdni.

W jednej chwili zbliżała się do Cuchnącego Domu, w następnej - była dwadzieścia jardów dalej.

- Chcę to zobaczyć - powiedziała, zgrzytając zębami, w nadziei, że Kissoon ją usłyszy.

Nawet jeśli jej nie słyszał, pociągnął jeszcze raz. Tym razem była przygotowana na szarpnięcie - stawiała mu czynny opór, żądając, by jej ciało wróciło w okolice tamtego domu.

- Nie powstrzymasz mnie - powiedziała.

W odpowiedzi szarpnął jeszcze raz i, mimo jej największych wysiłków, odciągnął ją jeszcze dalej od celu.

- Żebyś szczeł! - wrzasnęła, wściekła, że jej przeszkadza.

Użył jej gniewu przeciw niej. Kiedy marnotrawiła energię na wybuch wściekłości, szarpnął ponownie i udało mu się tym razem przeholować ją przez całą prawie długość ulicy na drugi kraniec miasta. Nic na to nie mogła poradzić. Był od niej po prostu silniejszy; im bardziej szalała z gniewu, tym większą zdobywał nad nią władzę. Sunęła teraz ze znaczną szybkością coraz dalej od miasta, idąc bezwolnie za jego wezwaniem, podobnie jak za pierwszym razem.

Widząc, że gniew osłabiał jej opór, Tesla spokojnie nakazała sobie opanowanie, podczas gdy pustynia umykała w szalonym pędzie spod jej stóp.

„Spokojnie, kobieto - mówiła sobie. On chce cię zastraszyć. To zwykły, ordynarny cham. Ani mniej, ani więcej. Weź się w garść”.

Rada, której sobie udzieliła, poskutkowała. Tesla czuła. Jak odradza się w niej wola.

Nie pozwoliła sobie na luksus samozadowolenia. Po prostu skorzystała z odzyskanej władzy, by pokazać, że jest panią siebie. Oczywiście Kissoon nie zaniechał roszczeń; Tesla czuła, jak jego pięść zaciska się na jej trzewiach z niesłabnącą siłą. Czuła ból. Ale stawiała mu czoła:

opierała się, aż wreszcie zatrzymała się zniecała.

Kissoon osiągnął przynajmniej jedno: miasto było teraz drobinką na horyzoncie. Nie starczyłoby jej sił, by wrócić tam na własnych nogach.

Nie była pewna, czy zniósłaby te szarpnięcia na tak długiej trasie - o ile w ogóle spróbowałaby marszu.

Ponownie udzieliła sobie bezgłóskiej rady: powinna teraz postać spokojnie przez chwilę i rozejrzeć się w sytuacji. Przegrała pojedynek w mieście - ta sprawa była oczywista. Ale kiedy już stanie przed Kissoonem, postawi mu dwa nieprzyjemne pytania. Po pierwsze - skąd właściwie brał się ten odór, i po drugie - dlaczego Kissoon tak się bał, że Tesla sama to sprawdzi. Ale ponieważ wiedziała, jak jest silny - nawet z tej odległości - musiała mieć się na baczności. Jej największym błędem w tej sytuacji byłoby przekonanie, że na trwałe odzyskała władzę nad samą sobą. Przybyła tu na życzenie Kissoona, a on, nawet jeśli sam był więźniem, lepiej niż Tesla znał się na miejscowych prawach. Każdej chwili mogła paść ofiarą jego władzy, której granic mogła się tylko domyślać. Musi postępować z większą ostrożnością albo straci tę niewielką kontrolę nad własnym życiem, którą jeszcze miała.

Odwróciła się od miasta i poszła w stronę chaty. Nie utraciwszy cielesności, zyskanej w mieście, poruszała się mimo to z lekkością, zupełnie obcą jej dotychczasowemu doświadczeniu. Był to jakby chód księżycowy: szła długim, lekkim krokiem, z szybkością nieosiągalną dla najlepszych nawet sprinterów. Czując jej bliskość, Kissoon przestał szarpać jej wnętrzości, ale nie pozwalał jej zapomnieć o swojej obecności i o sile, której mógłby wobec niej użyć, gdyby przyszła mu taka ochota.

Przed Teslą wyrosła teraz druga z miejscowych osobliwości - wieża.

W przytwierdzonych do boków wieży linach wiał wiatr. Tesla zwolniła kroku, by dokładniej przyjrzeć się budowli. Niewiele tam było do oglądania. Miała może sto stóp

wysokości, była wykonana ze stali, na jej szczycie znajdowała się zwykła, drewniana platforma, osłonięta z trzech stron blachą falistą.

Tesla nie potrafiła odgadnąć jej przeznaczenia. Jako taras widokowy była zupełnie bezużyteczna, jeśli się wzięło pod uwagę fakt, że w okolicy tak niewiele było do oglądania. Nic też nie wskazywało, by wieża służyła jakimś celom technicznym. Oprócz blachy falistej i jakiejś paczki zawieszanej pośrodku, nie było tam śladu anten czy monitorów. Ni z tego, ni z owego przyszedł jej na myśl Bunuel i jej ulubiony film tego reżysera *Simon del desierto* (Szymon na pustyni - (hiszp.)) - satyra na św. Szymona, kuszzonego przez diabła, kiedy to siedział na pustkowiu na szczycie słupa. Być może wybudowano tę wieżę dla jakiegoś świętego o równie masochistycznych skłonnościach. Jeśli tak, to obrócił się już w proch albo może poszedł do nieba.

Stwierdziwszy, że nie ma tu nic więcej do oglądania, Tesla ruszyła w dalszą drogę, pozostawiając wieżę zawodzącym wiatrom i tajemnicy. Nie widziała jeszcze chaty Kissoona, ale wiedziała, że musi już być niedaleko.

Horyzontu nie przysłaniała żadna burza piaskowa; okolica - pustynna płaszczyna w dole, a w górze przestwór nieba - była dokładnie taka, jaką Tesla pamiętała ze swojej ostatniej tu bytności. Pomyślała, że to dziwne: wydawało się, że zupełnie nic się tutaj nie zmieniło. A może to miejsce nigdy się nie zmieniało. Może miało pozostać takim po wsze czasy. Albo było jak film, wyświetlany wciąż od nowa, aż pozrywają się perforowane brzegi kliszy i obraz się wypali.

Myślała o niezmiennym trwaniu, gdy oto jej oczom ukazał się pewien element niestały, o którym już prawie zapomniała. Tamta kobieta.

Kiedy ostatnim razem Kissoon sprowadził Tesłę do swej chaty, nie zdążyła nawiązać kontaktu z tą drugą z dwojga aktorów, występujących na bezludnej arenie pustyni. Zresztą

Kissoon usiłował jej wmówić, że ta kobieta była tylko mirażem, projekcją jego erotycznych tęsknot - i że Tesla powinna jej unikać. Jednak teraz, gdy kobieta była na odległość głosu, Tesla doszła do wniosku, że więcej zmyślenia było w jego wyjaśnieniu niż w tej kobiecie. Niezależnie od perwersyjnych skłonności Kissoona - a nie wątpiła, że folgował im od czasu do czasu - postać, którą miała przed sobą, w niczym nie przypominała przyrzędu do masturbacji. Owszem, była prawie naga, strzępy odzieży, którymi się okryła, były żałośnie niewystarczające. Z jej twarzy biła inteligencja. Ale wydawało się, że wydarto jej z głowy kilka pasm długich włosów, a zaschła krew znaczyła brudnym brązem jej czoło i policzki. Jej wychudłe ciało było mocno posiniaczone, a skaleczenia na udach i ramionach jeszcze się nie zagoiły. Tesla podejrzewała, że pod tymi łachmanami, które kiedyś mogły być białą suknią, kryła się jakaś poważniejsza rana. Suknia przywarła do tułowia w okolicy żołądka; kobieta przykładała tam obie ręce, niemal w pół zgięta od bólu. Nie była żadną dziewczyną z okładki ani mirażem. Istniała na tej samej płaszczyźnie bytu, co Tesla; jej cierpienie było realne. Jak Tesla podejrzewała, Kissoon zrozumiał, że puściła jego ostrzeżenie mimo uszu, i zaczął ciągnąć od nowa. Tym razem była na to zupełnie przygotowana. Nie okazywała złości wobec próby zawłaszczenia jej osoby.

Stała zupełnie nieruchomo, zachowując spokój. Astralnymi palcami usiłował schwytać zdobycz, ale zsunęły się, omdlałe, z jej trzewi. Ponownie je zacisnął - i znów się ześliznęły, i znów je zacisnął. Tesla nie reagowała - stała w miejscu i przypatrywała się tamtej kobiecie. Tamta wyprostowała się: nie trzymała już się za brzuch, opuściła ręce wzdłuż boków. Tesla ruszyła powolutku w jej stronę, usiłując zachowywać spokój, który niweczył moc Kissoona. Kobieta ani nie próbowała podejść bliżej, ani uciec. Z każdym krokiem Tesla widziała ją coraz wyraźniej. Miała może pięćdziesiąt lat, najwięcej życia zachowało się w jej oczach, chociaż zapadły się w głąb oczodołów - cała reszta była bezbrzeżnym zmęczeniem.

Na piersi nosiła prosty krzyż, zawieszony na łańcuszku. To jedno pozostało jej z dawnego życia, które prowadziła, nim zabłąkała się w tej głuszy.

Nagle, krzywiąc się boleśnie, otworzyła usta. Usiłowała coś powiedzieć, lecz jej słaby oddech nie zdołał poruszyć jej strun głosowych albo w ogóle nie wydostał się z płuc.

- Chwileczkę - powiedziała Tesla, obawiając się, że kobieta wyczerpie niewielki zasób sił, który jej pozostał. - Zaraz podejść bliżej.

Jeśli nawet tamta ją zrozumiała, to zignorowała jej polecenie i znów zaczęła coś mówić, wciąż powtarzając te same słowa.

- Nie słyszę - odkrzyknęła Tesla. Wiedziała, że jej współczucie wobec nieszczęścia tej kobiety oddaje ją we władzę Kissoona. - Niech pani poczeka - wołała, przyspieszając kroku.

Wtedy zobaczyła, że na twarzy kobiety malował się nie ból, ale przerażenie. Nie patrzyła na Tesłę, ale na coś poza nią. A słowo, które w kółko powtarzała, brzmiało: „liks”.

Gdy obejrzała się, także przerażona, zobaczyła, że gładź pustyni rusza się od liksów. Na pierwszy rzut oka było ich ze dwanaście, na drugi - dwa razy tyle. Wszystkie były dokładnie takie same - węże, które odarto z wszelkich cech osobniczych, pozostawiając im tylko dziesięć stóp sprężystych mięśni, które wijąc się i rozwijając, mknęły w jej kierunku z ogromną prędkością. Do tej pory sądziła, że tamten, który jej mignął podczas otwierania drzwi chaty, nie miał wcale pyska. Myliła się. Miały pyski, a jakże - szeroko rozwarte, czarne paszczyki, uzbrojone w czarne zęby. Zbierała siły, by odeprzeć atak, gdy zdała sobie nagle sprawę (zbyt późno), że posłano tu gady po to, by odwróciły jej uwagę. Kissoon szarpnął jej wnętrzności. Pustynia umknęła jej spod stóp; gdy sunęła, liksy rozstępowały się na boki, by zrobić jej przejście.

Przed nią stała chata. Kilka sekund i Tesla stała pod drzwiami, które otwarły się na dany znak.

- Wejdźże - powiedział Kissoon. - Za długo to trwało.

Osamotniony Raul mógł tylko czekać w mieszkaniu Tesli na jej powrót.

Dobrze wiedział, dokąd poszła i kto ją wezwał, ale - nie mogąc iść za nią - był zupełnie bezradny. Co nie znaczy, że nie wyczuwał jej obecności.

Jego organizm, na który nuncjo oddziałało już dwukrotnie, wiedział, że Tesla nie była zbyt daleko.

Kiedy podczas jazdy samochodem Tesla próbowała opisać mu swoje odczucia podczas wyprawy do Pętli, Raul ogromnie pragnął przekazać jej sumę swoich uczuć i myśli, które zgromadził podczas wieloletniego pobytu w Misji. Jednak jego ubogie słownictwo nie wystarczało, by sprostać temu zadaniu. Nic się zresztą pod tym względem nie zmieniło. Ale te odczucia miały znaczny wpływ na sposób, w jaki obecnie odbierał Tesłę.

Była teraz w jakimś innym miejscu, ale miejsce jest po prostu innym rodzajem bytu i wszystkie stany egzystencji - gdyby tylko opracowano odpowiednie środki - mogłyby się ze sobą porozumiewać. Małpa z człowiekiem, człowiek z księżycem. To nie miało żadnego związku z technikami i technologiami. Chodziło o niepodzielność świata. Tak samo jak Fletcher sporządził nuncjo z galimatiasu dziedzin wiedzy, nie dbając o to, w którym miejscu nauka przechodziła w magię albo logika w nonsens; tak jak Tesla poruszała się między rzeczywistościami jak chmura, lekceważąc uznane prawa; tak jak on rozwinął się z oczywistej małpy w oczywistego człowieka, wcale przy tym nie wiedząc, kiedy jedno przemieniło się w drugie i czy taki proces w ogóle miał miejsce - tak teraz zrozumiał, że (gdyby tylko starczyło mu sprytu i słów - a nie starczyło) mógłby sięgnąć miejsca, w którym przebywała Tesla. Było tak blisko, jak wszystkie przestrzenie o każdym czasie - elementy tego samego pejzażu myśli. Żadnego z tych przemysłów nie umiał wykorzystać w praktyce. Umykały mu - na razie. Mógł tylko wiedzieć i czekać z założonymi rękami; na swój sposób było to bardziej

bolesne, niż przekonanie, że wszyscy go opuścili.

- Jesteś głupi a do tego kłamiesz - powiedziała Tesla, zamykając drzwi.

Ognisko płonęło jasnym płomieniem, prawie nie dymiąc. Po drugiej stronie ognia siedział Kissoon; podniósł na nią oczy jaśniejsze, niż pamiętała.

Jarzyło się w nich podniecenie.

- Przecież sama chciałaś tu wrócić. Nie zaprzeczaj. Wyczułem to w tobie. Mogłaś się opierać, kiedy byłaś w Kosmosie, ale tak naprawdę nie chciałaś. Nazwij mnie teraz kłamcą.

No, czekam.

- Nie. Przyznaję. Jestem ciekawa.

- Dobrze.

- Ale to jeszcze nie daje ci prawa, żeby mnie tu wlec ni z tego, ni z owego.

- W jaki inny sposób mógłbym ci wskazać drogę? - rzucił lekko.

- Wskazać mi drogę?! - krzyknęła, wiedząc, że umyślnie doprowadzał ją do

wściekłości, ale nie umiała zwalczyć w sobie uczucia bezsilności. Nie mogło ją spotkać nic gorszego niż utrata kontroli nad własnym życiem i fakt, że Kissoon był w stanie doprowadzić ją do szału.

- Nie jestem idiotką - protestowała. - I nie jestem zabawką, którą pociągasz za sznurek, kiedy ci się spodoba.

- Nie biorę cię ani za jedno, ani za drugie - odparł Kissoon. - Czy nie moglibyśmy zawrzeć pokoju? Ostatecznie jesteśmy po tej samej stronie barykady.

- Czyżby?

- Nie możesz w to wątpić.

- Doprawdy?

- Po wszystkim, co ci powiedziałem. Dopuściłem cię do tylu sekretów.

- Coś mi się zdaje, że jest kilka, które chcesz zachować dla siebie.

- Tak? - oderwał od niej wzrok i zapatrzył się w płomienie. - Konkretnie?

- Chciałam sprawdzić, co było w tamtym domu, ale nie - ty po prostu wywlokłeś mnie stamtąd!

Kissoon westchnął:

- Nie przeczę. Gdybym tego nie zrobił, nie byłoby cię tutaj. Nie wyczułaś atmosfery tamtego miejsca? Nie wierzę. Powietrze było tam po prostu przesycone strachem.

Teraz Tesla cicho wypuściła powietrze przez zaciśnięte zęby.

- Tak - powiedziała. - Wyczuwałam coś takiego.

- Iad Uroboros mają wszędzie swoich agentów - powiedział Kissoon. - Sądzę, że jeden z nich ukrywa się w tym mieście. Nie wiem. Jaką przyjął postać, i nie chcę wiedzieć. Ale podejrzewam, że ten, kto stanie z nim twarzą w twarz, zginie. W każdym razie nie mam zamiaru ryzykować. Ty też nie powinnaś, niezależnie od tego, jak jesteś ciekawa.

Trudno było spierać się z tym punktem widzenia, tak zbliżonym do jej własnych odczuć. W swoim mieszkaniu, jeszcze kilka minut temu, mówiła Raulowi, że czuje, iż coś się wydarzy na tej bezludnej, głównej ulicy. Teraz Kissoon potwierdził jej podejrzenia.

- W takim razie powinnam ci chyba podziękować - powiedziała z ociąganiem.

- Daruj sobie podziękowania - odparł Kissoon. - Nie ratowałem cię dla ciebie samej, ale w imię spraw znacznie ważniejszych - przerusztował ognisko osmolonym kosturem. Płomień buchnął wyżej, jeszcze jaśniej rozświetlając wnętrze chaty. - Przykro mi, jeżeli cię przestraszyłem, kiedy tu byłaś ostatnim razem. Powiedziałem „Jeżeli”. Przecież dobrze wiem, że cię przestraszyłem i wprost brak mi słów, by wyrazić, jak mi przykro. - Nie patrzył na nią

podczas tej przemowy, która brzmiała jak wyuczona deklamacja. Ale ponieważ wygłaszał ją, jak sądziła Tesla, człowiek stojący na wyższym niż ona szczeblu duchowego rozwoju, przyjęła ją tym życzliwiej. - Ja... Poruszyła mnie, że się tak wyrażę, twoja fizyczność w sposób, którego nie przewidziałem; słusznie podejrzewałaś moje motywy. - Wsunął dłoń między nogi i ujął penis w dwa palce. - Już jestem oczyszczony, jak widzisz.

Spojrzała - był zupełnie wiotki.

- Przeprosiny przyjęto - oświadczyła.

- Więc teraz, mam nadzieję, możemy przystąpić do dzieła.

- Kissoon, nie mam zamiaru odstąpić ci swojego ciała - powiedziała kategorycznym tonem. - Jeśli to nazywasz dziełem, to nic z tego.

Kissoon pokiwał głową.

- Nawet nie mogę mieć ci tego za złe. Przeprosiny czasem nie wystarczają. Ale musisz zrozumieć powagę sytuacji. Właśnie w tej chwili, w Palomo Grove, dziaff przygotowuje się do zdobycia Sztuki. Potrafię mu w tym przeszkodzić. Ale nie z tego miejsca.

- Więc powiedz mi, co mam robić.

- Nie ma na to czasu.

- Szybko się uczyć.

Kissoon podniósł głowę - twarz mu stężała.

- Twoja bezczelność przekracza wszelkie granice - wycedził. - Wkraczasz w środek tragedii, która już od stuleci zmierza do ostatniego aktu, i wyobrażasz sobie, że kilkoma słowami potrafisz zmienić jej przebieg. To nie Hollywood. To jest świat rzeczywisty.

Po wybuchu jego wściekłości, Tesla trochę spuściła z tonu. Ale tylko trochę.

- No dobrze, czasem mnie ponosi. Możesz mi za to dać po głowie. Powiedziałam, że ci pomogę, ale nie idę na żadne wymiany ciał.

- Może w takim razie...

- Co?

- ...mogłabyś znaleźć kogoś, kto by się na to zgodził.

- Wymagający jesteś. A niby jak miałabym to argumentować?

- Już ty potrafisz przekonywać ludzi - zapewnił.

Wróciła myślami do świata, z którego tu przybyła. W jej bloku mieszkało 21 lokatorów.

Czy potrafiłaby namówić Rona, Edgara czy też któregoś z przyjaciół, na przykład Mickeya de

Falco, żeby weszli wraz z nią do Pętli?

Wątpliwe. Dopiero gdy doszła do Raula, błysnęła jej iskierka nadziei. Czy on ważyłby

się na coś, przed czym cofnęła się ona?

- Może będę mogła ci pomóc.

- Szybko?

- Tak. Szybko. Jeśli mnie odstawisz z powrotem do domu.

- Nie ma sprawy.

- Ale pamiętaj, niczego nie obiecuję.

- Rozumiem.

- I chcę czegoś w zamian.

- Mianowicie?

- Chodzi o tę kobietę, z którą próbowałam rozmawiać, tę, którą nazwałeś pomocą erotyczną.

- Zastanawiałem się, kiedy zaczniesz o niej mówić.

- Jest ranna.

- Nie wierz w to.

- Sama widziałam.

- To iadowska sztuczka! Ta kobieta kręci się w okolicy już od jakiegoś czasu, próbuje dostać się do mnie do domu. Czasem udaje ranną, innym razem łasi się i mruczy jak marcowa kotka. Ociera się o drzwi - wstrząsnął się ze wstrętem. - Słyszę, jak się ociera, błagając, żebym ją wpuścił. To zwykły trik!

Jak prawie za każdym razem, kiedy Kisoona otwierał usta, Tesla nie wiedziała, czy mu wierzyć, czy nie. Ostatnim razem twierdził, że kobieta była pewnie jego sennym marzeniem erotycznym. Teraz, że to agentka Iadów.

Albo jedno, albo drugie.

- Sama chcę z nią porozmawiać - oświadczyła. - Wyrobić sobie pogląd na sprawę. Ona nie wyglądała na zbyt groźną.

- Co ty wiesz! Pozory mylą - ostrzegł ją Kisoona. - Trzymam ją z dala za pomocą liksów, obawiam się jej.

Miała już zapytać, w jaki sposób mogła mu zagrażać kobieta, która najwyraźniej bardzo cierpiała, ale postanowiła odłożyć to pytanie na spokojniejszą chwilę.

- Więc wracam - powiedziała Tesla.

- Zdajesz sobie chyba sprawę, że czas nagli.

- Nie musisz mi tego w kółko powtarzać. Ale jak mówiłam, żądasz nie byle czego.

Ludzie czują się związani z własnymi ciałami. To był żart.

- Jeśli wszystko się powiedzie i zapobiegnę nadużyciu Sztuki, wtedy kontrahent dostanie swoje ciało z powrotem, nienaruszone. Jeśli się nie uda, nastąpi koniec świata, więc jakie to będzie miało znaczenie?

- Sprytnie.

- Staram się.

Skierowała się do drzwi.

- Spiesz się - powiedział. - I nie zajmuj się po drodze głupstwami...

Drzwi otwarły się, zanim dotknęła klamki.

- Z ciebie zawsze ten sam protekcyjnalny typek - rzuciła Tesla na pożegnanie. Za drzwiami było to samo światło wczesnego poranka.

Na lewo od chaty, po płaskim gruncie pustkowia przesuwał się jakby cień chmury.

Tesla przyglądała mu się przez chwilę i stwierdziła, że spalona słońcem ziemia była pokryta liksami; było ich tam całe morze. Wyczuwszy jej wzrok, zatrzymały się i zwróciły w jej stronę ciemne łby. Czy Kissoon nie mówił, że sam je wyhodował?

- Idź już, dobrze? - usłyszała głos Kissoona. - Zostało niewiele czasu.

Gdyby bezzwłocznie zastosowała się do jego polecenia, nie dostrzegłaby tamtej kobiety, stojącej po drugiej stronie morza liksów. Nie posłuchała, więc zobaczyła. Wbrew ostrzeżeniom Kissoona, widok tej kobiety przykuł Tesłę do progu chaty. Jeśli - Jak twierdził - była rzeczywiście agentką Iad Uroboros, to jej pozowanie na nieszczęsną ofiarę było świetnym pomysłem.

Mimo wysiłków, Tesla nie mogła jakoś uwierzyć, by iadowskie knowania - tyleż zbrodnicze, co dalekosiężne - mogły przybrać tak bezbronną postać. Czy zło może wyprzeć się samego siebie - nawet kiedy właśnie snuje swoją intrygę - i wystąpić tak nagie i bezbronne? Nie mogła ignorować głosu instynktu, który jasno i wyraźnie mówił jej, że przynajmniej w tej sprawie Kissoon nie miał racji. Ta kobieta nie była niczyją agentką. Była człowiekiem, który cierpiał jakiś ból. Tesla mogła puścić mimo uszu inne wołania o pomoc, ale na pewno nie to.

Nie zwracając już uwagi na namowy mężczyzny, stojącego w głębi chaty za jej plecami, Tesla postąpiła w stronę tamtej kobiety. Liksy zareagowały na jej bliskość. Gdy szła w ich stronę, poczęły się wic i kłębić, unosząc łby jak kobry. Na ten widok Tesla nie

zwolniła, a właśnie przyspieszyła kroku. Jeśli działały z polecenia Kissoona - a tak niezawodnie było - to fakt, że nie dopuszczały jej do tej kobiety, utwierdzał Teslę w podejrzeniu, że padła ofiarą oszustwa. Kissoon usiłował nie dopuścić do ich spotkania.

Dlaczego?

Czy dlatego, że ta nieszczęsna, zboleła kobieta była niebezpieczna? Nie!

Każda cząsteczka jej istoty odrzucała podobne wytłumaczenie. Przeszkadzał ich spotkaniu, aby zapobiec czemuś, co mogłoby się między nimi wydarzyć - słowom lub uczynom, które rzuciłyby na niego cień.

Wydawało się, że teraz liksy otrzymały nowe rozkazy. Gdyby wyrządziły Tesli jakąś krzywdę, przeszkodziłyby jej w wypełnieniu zlecenia, zwróciły więc łby w stronę tamtej kobiety. Zrozumiała ich zamiar i na jej twarzy ukazał się strach. Tesla pomyślała, że tamta już przedtem doświadczyła ich złości; być może stawała już z nimi do walki, kiedy usiłowała porozmawiać z Kissoonem lub którymś z jego gości. Najwyraźniej znała sposoby zmylenia ich czujności: biegała tu i tam, a liksy, niepewne, w którą ruszyć stronę, zawęzły się wzajemnie w tym zmijowisku.

Tesla wzmocniła obronę: przyspieszywszy kroku, zaczęła na nie pokrzykiwać w nagłym przekonaniu, że dopóki Kissoon pragnął wydostać się ze swojego więzienia, a ona była jego jedyną nadzieją, liksy nie ważą się jej skrzywdzić.

- Zostawcie ją! - wrzeszczała. - Nie ruszajcie jej, głąby!

Ale liksy miały wyznaczony cel ataku i nie pozwoliły się od niego odpędzić okrzykami.

Gdy Tesla była już kilka jardów od nich, rzuciły się na swoją ofiarę.

- Uciekaj! - zawołała Tesla.

Kobieta posłuchała, ale zbyt późno. Najszybszy okaz już ją dopędził; wspiął się po niej i owinał wokół jej ciała. W jego ruchach - gdy w mgnieniu oka opasał jej tułów i obalił na

ziemię - była jakaś odrażająca elegancja.

Następne liksy szybko ją dopadły. Zanim Tesla zdążyła zbliżyć się do leżącej, prawie nie widziała jej spoza ciał napastników. Pozbawiły ją swobody ruchów, a jednak wciąż z nimi walczyła, odrywając je od siebie, podczas gdy liksy zaciskały pierścień wokół niej.

Tesla nie traciła więcej czasu na słowa. Po prostu rzuciła się na liksy z gołymi rękami.

Najpierw usiłowała od nich uwolnić twarz kobiety, z obawy, że ją zaduszą. Uporawszy się z tym, zaczęła je odrywać od ramion ofiary.

Chociaż było ich wiele, nie odznaczały się szczególną siłą. Kiedy je odciągała, kilka z nich po prostu rozerwało się w pół; ich żółtawa krew zboczyła jej ręce i ochlapała twarz.

Obrzydzenie dodało jej sił. Umykała ich podstępny, wijącym się ciałom, ciągnęła je i odrywała, aż cała lepiała się od ich wydzielin.

Kobieta, która znalazła się w śmiertelnym potrzasku, powzięła nową energię od swej wybawczynie, wyzwalaając się stopniowo z morderczych uścisków.

Widząc, że zwycięstwo jest możliwe, choć krótkotrwałe, Tesla zaczęła myśleć nad sposobem ucieczki. Wiedziała, że nie może odejść sama. Wraz z nią do mieszkania przy North Huntley Drive musi wrócić ta kobieta, aby nie stać się znów celem ich ataku; po ostatniej potyczce będzie zbyt osłabiona, by się obronić. Kissoon nauczył ją, w jaki sposób za pomocą wyobraźni można przedostać się do Pętli. Czy potrafi tego dokonać w odwrotnym porządku i wydostać stąd także tę kobietę, nie tylko siebie samą? W przeciwnym razie obydwie padną ofiarą liksów, które nadciągały teraz ze wszystkich stron, jakby w odpowiedzi na sygnał alarmowy, wysłany przez ich stwórcę.

Usilnie wymazując z myśli obraz podchodzących napastników, Tesla wyobraziła sobie, że wraz ze stojącą obok kobietą odchodzi z tego miejsca, by znaleźć się gdzie indziej. Nie gdziekolwiek indziej, ale właśnie w West Hollywood. W North Huntley Drive. W swoim

mieszkań. Zrób tak, mówiła sobie. Jeśli Kissoon umie tego dokonać, to i ty także.

Usłyszała okrzyk swojej towarzyszki - pierwszy dźwięk, jaki naprawdę z siebie wydała.

Zamieszanie wokół nich jeszcze się wzmogło - nie było to jednak błyskawiczne przeniesienie z Pętli Kissoona do West Hollywood, o które jej właśnie chodziło. Otaczający je tłum liksów wciąż narastał.

- Jeszcze raz - nakazała sobie Tesla. - Zrób to jeszcze raz.

Skupiła uwagę na swojej towarzyszce, która wciąż odrywała kawałkami liksy, uczepione swojego ciała, wyciągała je z włosów. Tesla musiała się skoncentrować właśnie na tym obiekcie. Tę drugą pasażerkę - samą siebie - potrafiła sobie wyobrazić bez trudu.

- Odejdź stąd! - prosiła. - Odejdź, na litość boską.

Obraz, który widziała oczami wyobraźni, zestalił się. Jasno zobaczyła nie tylko siebie i tę kobietę - zobaczyła je obie w trakcie ucieczki; świat wokół nich rozpadał się i zmieniał jak układanka - rozrzucona, a następnie ułożona w inny obrazek.

Znała to otoczenie. Właśnie to miejsce niedawno opuściła. Podłoga była po dawnemu pochłapana rozlaną kawą, słońce biło przez otwarte okno, pośrodku pokoju stał Raul, czekając na jej powrót. Z jego miny domyśliła się, że udało jej się sprowadzić tutaj i tamtą kobietę. Ale dopiero, gdy na nią spojrzała, zdała sobie sprawę, że przeniosła do swojego domu cały obraz tej kobiety, łącznie z liksami, sycącymi się jej krwią. Chociaż zabrano je od Kissoona, prowadziły tu swoją zwyrodniałą egzystencję równie zajadle jak w Pętli. Kobieta strąciła je na podłogę; wiły się tam, sycząc wydzieliną cuchnącą kloaką. Były całe w kawałkach: osobno łby, ogony, korpusy. Ich gwałtowne ruchy już słabły. Tesla nie traciła czasu na rozdeptywanie tych szczątków; przywołała do siebie Raula, wspólnie zanieśli kobietę do sypialni i położyli na łóżku.

Stoczyła ciężką walkę - była zupełnie wycieńczona. Na jej ciele otwarły się dawne rany.

Jednak wyglądała bardziej na wyczerpaną niż cierpiącą.

- Pilnuj jej - rzuciła Tesla Raulowi. - Przyniosę trochę wody, obmyję ją.

- Co się właściwie stało? - zapytał.

- O mało nie sprzedałam twojej duszy szaleńcowi i kłamcy - odparła Tesla. - Ale nie martw się. Już ją wykupiłam.

V

Gdyby tyle najjaśniejszych gwiazd z hollywoodzkiego firmamentu zjechało się do Palomo Grove jeszcze w minionym tygodniu, na ulicę wyległyby tłumy ciekawych, ale teraz prawie nikt nie stał na chodniku, by patrzeć, jak przejeżdżają. Limuzyny sunęły pod górę nie zauważone; za przyciemnionymi szybami, pasażerowie zaprawiali się alkoholem lub narkotykami, albo też poprawiali makijaż. Starsi zastanawiali się, ile minie czasu, zanim ludzie zjadą się ponownie, by złożyć obłudny hołd ich pamięci, tak jak teraz zjeżdżali się oni, by pożegnać Buddy'ego Vance'a. Młodszy zakładali, że środek przeciw śmierci zostanie opracowany, zanim ta zajrzy im w oczy.

W napływającym tłumie niewiele było osób naprawdę oddanych Buddy'emu. Wielu mu zazdrościło, niektórzy czuli do niego pociąg fizyczny. Gdy się stoczył, prawie wszystkim sprawiło to pewną przyjemność. Ale w tym środowisku miłość była rzadkim gościem. Była to skaza na ich zbroi, której jakoś nie mogli się pozbyć.

Pasażerowie limuzyn zdawali sobie sprawę z nieobecności wielbicieli.

Chociaż wielu z nich nie życzyłoby sobie, by ich rozpoznano, tak chłodne przyjęcie urażało ich delikatne ego. Szybko zrobili z tej obrazy użytek. We wszystkich samochodach poruszano ten sam temat: co napadło nieboszczyka, by się zaszyć w Palomo Grove - tej pipidówie, zapomnianej przez Boga i ludzi? Coś ukrywał - to dlatego. Ale co? Alkoholizm? O tym wszyscy wiedzieli. Narkotyki? A kogo to obchodziło? Kobiety? Pierwszy pysznił się

swoim narządem i jego wyczynami. Nie. Do tej dziury musiał go zapędzić jakiś inny, brudny sekret. Teorie na ten temat płynęły jak wiatr; żalobnicy roztrząsali różne możliwości.

Przerywali potok złości, kiedy wychodzili z samochodu i składali kondolencje wdowie, stojącej na progu Coney Eye, by po wejściu do domu podjąć przerwany wątek.

Zgromadzony przez Buddy'ego zbiór lunaparkowych rekwizytów wywołał żywe komentarze, dzieląc publiczność na dwa obozy. Wielu uważało, że doskonale odzwierciedlał charakter nieboszczyka - był pospolity, oportunistyczny, a wyrwany - jak teraz - z kontekstu, zupełnie bezużyteczny.

Inni uznali go za rewelację, rys charakteru zmarłego, którego nawet się nie domyślali.

Paru z nich podeszło do Rochelle z zapytaniem, czy będzie można kupić któryś z eksponatów. Odpowiedziała, że jeszcze nikt nie wiedział, komu przypadną w testamencie, ale jeśli ona je odziedziczy, z radością się ich pozbędzie.

Mistrz dowcipu Lamar, z przyklejonym do twarzy uśmiechem od ucha do ucha, obchodził wszystkich żalobników. W ciągu tych lat, które minęły od jego zerwania z Buddym, Lamar nawet nie marzył, że znajdzie się w tym miejscu, by królować pośród dworu Vance'a. Nie próbował ukrywać zadowolenia. Po co? Życie jest takie krótkie. Lepiej korzystać z przyjemności, gdy się tylko nadarzy sposobność, zanim ktoś inny sprzątnie ją człowiekowi sprzed nosa. Myśl, że dziaff znajduje się tylko dwa piętra wyżej, czyniła jego uśmiech jeszcze bardziej olśniewającym. Nie orientował się w całości planów tamtego, ale zabawnie było myśleć, że ci ludzie pójdą na przemiał. Gardził nimi wszystkimi; widział jak ci ludzie - lub im podobni - dokonywali karkołomnych wyczynów moralnych, które zawstydzilyby niejednego papieża, a wszystko po to, by dochrapać się posady, zysku albo popularności. Czasem wszystkich tych trzech rzeczy naraz. Nabral obrzydzenia do ludzi z branży, obsesyjnie zapatrzonych w siebie; do ambicji, która wielu z nich kazała poniżać

lepszycy od siebie i zdławić w sobotę tę odrobinę dobra, która w nich pozostała. Ale swojej pogardy nigdy nie okazywał.

Musiał pracować pośród nich. Lepiej nie ujawniać własnych uczuć. Buddy (biedny Buddy) nigdy nie dopracował się podobnej niezależności emocjonalnej. Przekroczywszy pewien stopień stężenia alkoholu we krwi, długo i głośno pomstował na durniów, których nie chciał dłużej znosić. Ten właśnie brak ostrożności był główną przyczyną jego upadku. W mieście, gdzie słowo było tanie, rozmowa mogła być kosztowna. Ludzie wybaczyliby małwersację, nałogi, napastowanie nieletnich, a nawet - w pewnych wypadkach - morderstwo. Ale Buddy wyzywał ich od głupców. Nigdy mu tego nie zapomnieli.

Lamar robił, co trzeba: całował uznane piękności, podziwiał męskość samców, ścisnął dłonie tych, którzy ich wynajmowali, i tych, co ich wyrzucali.

Wyobrażał sobie, jaką odrazą napełniłby Buddy'ego ten rytuał. Kiedy jeszcze pracowali razem, nieraz wyciągał Buddy'ego z podobnych imprez, gdy tamten już nie mógł powstrzymać się od wyzwisk. Nie zawsze mu się to udawało.

- Świetnie wyglądasz. Lam.

Przekarmiona twarz należała do Sama Sagansky'ego, jednego z hollywoodzkich mistrzów żonglerki karierami innych ludzi. Obok niego stała jakaś biuściasta przybłęda, jedna z długiego szeregu biuściastych przybłęd, które Sam wynosił na wyżyny gwiazdorstwa, by je następnie porzucić w atmosferze publicznego skandalu, niszcząc kariery tych kobiet, podczas gdy rosła jego sława uwodziciela.

- Jak się czujesz na jego pogrzebie - zagadnął Sagansky.

- To niezupełnie tak. Sam.

- A jednak to on umarł, a ty żyjesz. Nie mów mi, że ci to nie sprawia przyjemności.

- Chyba masz rację.

- My jeszcze żyjemy. Lam. Możemy drapać się w jaja i śmiać. Dobrze jest żyć.

- No tak zgodził się Lam. - Chyba tak.

- Wszyscy tu jesteśmy zwycięzcami, co, złotko? - zwrócił się do żony, która zademonstrowała swoje użębienie. - To najmiłsze uczucie, jakie znam.

- Przyjdę do ciebie później. Sam.

- Ciekawe, czy będą sztuczne ognie - zastanawiała się przybłęda.

Lamar pomyślał o czekającym na górze dzaffie i uśmiechnął się.

Runda wokół salonu dobiegła końca i Lamar poszedł na górne piętro, by zobaczyć się ze swym mistrzem.

- Spory tłumek - stwierdził dzaff.

- Odpowiadają ci?

- W zupełności.

- Chciałbym zamienić z tobą słówko, zanim zaczniesz się... krzątanina.

- O czym?

- O Rochelle.

- A...

- Widzę, że planujesz jakąś dużą robotę. Możesz mi wierzyć, że nic bardziej nie mogłoby mnie ucieszyć. Jeśli sprzątniesz ich wszystkich z tego pieprzonego świata, to oddasz mi wielką przysługę.

- Muszę cię niestety rozczarować. Nie wyślę ich wszystkich do Abrahama na piwo.

Trochę z nimi poigram, ale nie chodzi mi o śmierć. To raczej pole do popisów mojego syna.

- Chciałbym się tylko upewnić, że Rochelle będzie z tego wyłączona.

- Nie tknę jej palcem odparł dzaff. - No? Zadowolony?

- O tak. Dzięki.
- Więc zaczynamy?
- Co zamierzasz?
- Chcę, żebyś mi tu przyprowadzał gości jednego po drugim Najpierw niech sobie trochę popiją, a potem... pokaż im dom.
- Mężczyźni czy kobiety?
- Najpierw przyprowadź mężczyzn - odparł dzaff, wracając do okna. - Są bardziej ulegli. Czy mi się zdaje, czy zaczyna się ściemniać?
- Trochę się chmurzy.
- Będzie padać?
- Wątpię.
- Szkoda. A, nowi goście przy bramie. Lepiej zejdź i przywitaj się z nimi.

VI

Howie wiedział, że powrót w lasy na skraju Deerdell był pustym gestem.

Tamto spotkanie nie mogło się powtórzyć. Fletcher odszedł, zabierając wyjaśnienia ze sobą. A jednak Howie poszedł tam jeszcze raz w niejasnej nadziei, że powrót w tamto miejsce - miejsce spotkania z ojcem - obudzi w nim jakieś wspomnienie, choćby szczątkowe, które pomoże mu dokopać się prawdy.

Słońce powlekała mglista warstwa obłoków, ale pod drzewami było równie gorąco, jak w czasie dwóch poprzednich spacerów. Może nawet goręcej, a z pewnością bardziej parno. Chociaż chciał iść prosto do miejsca, w którym spotkał Fletchera, jego szlak był równie kręty, jak niejasne były jego zamiary. Nie próbował tego zmienić. Jego wyprawa była rodzajem hołdu - uchylał przenośni kapelusza wobec pamięci swojej matki oraz mężczyzny, który tak niechętnie został jego ojcem.

Ale przypadek czy też jakiś zmysł, o którym nawet nie wiedział, sprowadziły go z powrotem na właściwy szlak. Z początku nie zauważył, że wyszedł spośród drzew na kolistą polanę, na której wyczarowano go osiemnaście lat temu. To było właściwe słowo. Nie spłodzono go - wyczarowano. Fletcher był na swój sposób czarodziejem. To było jedyne słowo jakim Howie mógłby go określić. Zaś on sam, Howie, był czarodziejską sztuczką. Tyle, że zamiast oklasków i kwiatów, Howie, jego matka i czarodziej zyskali tylko rozpacz i ból. Zjawiając się tu dopiero dzisiaj, Howie stracił wiele cennych lat, zanim dowiedział się o sobie pewnej podstawowej prawdy: nie był żadnym postrzeleńcem. Był tylko królikiem, którego wyciągają za uszy z cylindra, a on wije się ze strachu i wstydu.

Podszedł do otworu jaskini: była po dawnemu ogrodzona i obstawiona tablicami ostrzegawczymi, którymi policja pragnęła odstraszyć ciekawych.

Stanąwszy przy tej barykadzie, zajrzał w otwór w ziemi, ziejący pustką.

Gdzieś w głębi tego mroku jego ojciec czekał kiedyś bez końca, nie odstępując swego wroga jak sama śmierć. Teraz był tam tylko ten komik, a z tego co Howie słyszał, jego zwłoki zapewne nigdy nie zostaną wydobyte na powierzchnię.

Gdy podniósł oczy, doznał nagłego wstrząsu. Nie był tu sam. Po drugiej stronie mogiły stała Jo-Beth.

Nie odwracał oczu, przekonany, że dziewczyna zaraz zniknie. Niemożliwe, by tu przyszła po tym, co się stało poprzedniej nocy. Ale jego oczy wciąż ją widziały. Była zbyt daleko, by nie podnosząc głosu mógł ją spytać, co tu właściwie robi - a mówić głośniej nie chciał. Bał się, że czar pryśnie.

A zresztą, czy naprawdę oczekiwał odpowiedzi? Jo-Beth była tutaj, ponieważ on tu był, a on przyszedł, ponieważ ona tu była itd.

Pierwsza poruszyła się Jo-Beth. Jej ręka powędrowała do górnego guzika jej ciemnej

sukienki - odpięła go. Wyraz jej twarzy chyba się nie zmienił, ale Howie nie mógł być tego pewien - być może nie dostrzegał odcieni jej mimiki. Zapuszczając się w głąb lasów, zdjął okulary; mógł teraz wyciągnąć je z kieszeni koszulki albo patrzeć, czekać i mieć nadzieję, że nadejdzie chwila, kiedy będą mogli do siebie podejść. Ona rozpięła już górę sukienki, a teraz mocowała się ze sprzączką paska. Howie wciąż nie ruszał się z miejsca, chociaż z trudnością trzymał tę pokusę na wodzy. Dziewczyna upuściła pasek na ziemię i skrzyżowawszy ramiona, ujęła rąbek sukienki, by ściągnąć ją przez głowę. Wstrzymywał oddech, nie chciał stracić ani sekundy tego rytuału. Nosila białą bieliznę, ale piersi miała nagie.

Doprowadziła go do wzvodu. Poruszył się lekko, poprawiając krępującą go odzież.

Wzięła ten ruch za wskazówkę; rzuciwszy suknię na ziemię, ruszyła w jego kierunku. Jeden krok wystarczył. Teraz Howie postąpił w jej stronę; obydwójce szli tuż obok barykady.

Jednym ruchem zrzucił marynarkę i cisnął ją za siebie. Kiedy byli oddaleni od siebie o kilka stóp, dziewczyna powiedziała:

- Wiedziałam, że tu będziesz. Nie wiem skąd... Odwoziłam Ruth z Pasażu i...

- Kogo odwoziłaś?

- To teraz nieważne. Po prostu chciałam cię przeprosić.

- Za co?

- Za wczorajszy wieczór. Nie ufałam ci, a powinnam. - Przyłożyła dłoń do jego twarzy.

- Wybaczysz mi?

- Nie mam ci czego wybacząć - odrzekł.

- Chcę się z tobą kochać.

- Tak - stwierdził, jakby nie potrzebowała mu tego mówić; bo też i nie potrzebowała.

To było łatwe. Po wszystkich tych zajściach, które ich rozłączyły, to było łatwe. Byli jak para magnesów. Nawet jeśli ktoś czy coś ich rozdzieliło, musieli znów do siebie wrócić,

tak jak teraz. Nie potrafili się sobie oprzeć, i nie chcieli.

Wyciągnęła mu koszulkę ze spodni. Ściągnął ją przez głowę. Nastąpiły dwie sekundy ciemności, kiedy odzież zasłoniła mu twarz, a wtedy postać dziewczyny - jej twarz, piersi, bielizna - stanęły mu przed oczami tak ostro, jak krajobraz oświetlony błyskawicą. Znow była przed nim - rozpięła mu pas. Zrzucił buty, a potem odtńczył taniec na jednej nodze, by ściągnąć skarpetki. Na koniec uwolnił się od spodni.

- Bałam się.

- Ale teraz już się nie boisz.

- To prawda.

- Nie jestem diabłem. Nie należę do Fletchera. Jestem twój.

- Kocham cię.

Położyła dłonie na jego piersi i przesunęła palcami, jakby wygładzała poduszki. Otoczył ją ramionami i przyciągnął do siebie.

Uwięziony w slipach ptak buntował się. Howie uspokajał go, całując dziewczynę, sunął rękami w dół jej pleców, aż dotarł do gumki majtek - wsunął dłonie pod nią. Jo-Beth całowała go od nosa do brody i z powrotem, a on lizał jej wargi, kiedy ich usta spotykały się.

Przylgnęła do niego ciasno.

- Tutaj - powiedziała cicho.

- Tak?

- Tak. Dlaczego nie? Nikt tu nas nie zobaczy. Chcę tego, Howie.

Uśmiechnął się. Odsunawszy się nieco, przyklękła przed nim i niżej ściągnęła mu slipy, aż ptak wyskoczył na wierzch. Ująwszy go delikatnie, a potem nagle mocniej, posłużyła się nim jak uchwytem, by nakłonić Howie'ego do klęknienia. Klęczał teraz przed nią. Nie zwolniła uścisku, ale pocierała go, aż położył dłoń na jej dłoni i delikatnie odsunął jej palce.

- Tak niedobrze? - spytała.

- Zbyt dobrze - powiedział ledwie dosłyszalnie. - Nie chcę się wystrzelać.

- Słucham?

- Dać plamę. Spuścić się. Mieć wytrysk.

- Chcę, żebyś miał wytrysk - powiedziała, kładąc się na ziemię. Jego spęczniały członek parł w jej brzuch. - Chcę, żebyś miał wytrysk we mnie.

Przejąwszy się, położył dłonie na jej biodrach, a potem zdjął jej majtki.

Włoski porastające spojenie ud były w ciemniejszym odcieniu blond niż jej włosy, ale kolor różnił się tylko nieznacznie. Wtulił się tam twarzą i lizał wargi. Dziewczyna zeszywniała, a po chwili rozluźniła się.

Przesuwał język od jej szparki do pępka, od pępka do piersi, od piersi do twarzy, aż spoczął na niej całym ciałem.

- Kocham cię - powiedział i wszedł w nią.

VII

Dopiero zmywając krew z szyi kobiety, Tesla mogła się dokładnie przyjrzeć krzyżkowi, który tamta nosiła na piersi. Natychmiast zorientowała się, że jest taki sam, jak medalion, który pokazywał jej Kissoon. Ta sama figurka z rozkrzyżowanymi ramionami, umieszczona pośrodku, te same cztery ciągi odmian ludzkich postaci, rozchodzące się na zewnątrz.

- Szkoła - powiedziała.

Kobieta otworzyła oczy. Nie budziła się stopniowo. Przed chwilą najwyraźniej spała. W następnej chwili patrzyła szeroko otwartymi, czujnymi oczyma. Były ciemnoszare.

- Gdzie jestem? - zapytała.

- Mam na imię Tesla. Jesteś w moim mieszkaniu.

- W Kosmosie? - dopytywała się nieznajoma. Głos miała niski. Nadwerężyły go upał, wicher i znużenie.

- Tak - potwierdziła Tesla. - Wydostałyśmy się z Pętli. Kissoon już nas tu nie dosięgnie.

Nie było to całkiem zgodne z prawdą i Tesla o tym wiedziała. Szaman już dwa razy odnalazł ją w tym właśnie mieszkaniu. Raz podczas snu, drugi raz - kiedy przygotowywała kawę. Prawdopodobnie nic nie zdoła mu przeszkodzić w zrobieniu tego jeszcze raz. Ale nie odbierała od niego żadnych sygnałów; cisza w eterze. Może tak bardzo zależało mu, by zaczęła działać na jego rzecz, że postanowił dać jej spokój. Może zmienił plany. Kto wie?

- Jak się nazywasz? - zapytała.

- Mary Murales.

- Jesteś jedną ze Szkoły - stwierdziła Tesla.

Mary błysnęła oczyma w kierunku Raula, stojącego w drzwiach.

- Nie masz się czego obawiać - upewniła ją Tesla. - Jeśli możesz zaufać mi, to z pewnością możesz zaufać i jemu. Jeśli nie zaufasz żadnemu z nas, wszyscy będziemy zgubieni. Więc powiedz mi...

- Tak. Jestem jedną ze Szkoły.

- Kissoon powiedział mi, że to on był ostatnim członkiem Szkoły.

- On i ja.

- Resztę wymordowano, tak jak twierdził?

Przytaknęła. Znów zaczęła przypatrywać się Raulowi.

- Już ci mówiłam... - zaczęła Tesla.

- Jest w nim coś dziwnego - oświadczyła Mary. - On nie jest człowiekiem.

- Nie denerwuj się, wiem o tym - uspokajała ją Tesla.

- Iad?

- Jest małą - powiedziała Tesla. Zwróciła się do Raula: - Nie masz pretensji, że jej powiedziałam, prawda?

Raul nie odpowiedział słowem ani gestem.

- Jak to możliwe? - zaintrygowana się Mary.

- To długa historia. Myślałam, że może ty wiesz na ten temat więcej niż ja. A Fletcher?

Facet o nazwisku Jaffe, inaczej dzaff? Wiesz coś o nich?

- Nic.

- No tak... obydwie musimy dowiedzieć się jeszcze wielu rzeczy.

Kissoon siedział w swojej chacie, zagubionej w jałowym pustkowiu Pętli, i wzywał pomocy. Tej Murales udało się zbiec. Z pewnością odniosła ciężkie rany, ale potrafiła wylizać się z jeszcze gorszych. Musi jej dopaść, to znaczy sięgnąć swymi wpływami w czas rzeczywisty. Oczywiście robił to już przedtem. W ten sposób sprowadził Tesłę do siebie.

Przed nią było kilku innych, którzy przybłąkali się do Jornada del Muerto. Jednym z wędrowców, których Kissoonowi udało się zwabić w głąb Pętli, był Randolph Jaffe. Nie było to zbyt trudne. Ale teraz usiłował wyrzucić swój wpływ nie na umysł ludzki, ale na stworzenia pozbawione mózgu, które przy tym nie były prawdziwie żywymi istotami.

Wywołał w swym umyśle obraz liksów, leżących bezwładnie na parkiecie.

Zapomniano o nich. Dobrze. Te stwory nie były zbyt sprytne. Aby mogły należycie wykonać dzieło zniszczenia, trzeba będzie odwrócić uwagę ich ofiar. Teraz tak właśnie było.

Jeśli się pośpieszy, zdąży jeszcze zamknąć usta świadkom.

Jego wezwanie nie pozostało bez echa. Nadchodziła pomoc - przez szparę pod drzwiami nadpełzało mrowie robactwa. Chrabąszcze, mrówki, skorpiony. Rozkrzyżował nogi i przyciągnął stopy do siebie, by umożliwić im dostęp do genitalii. Przed laty potrafił wywołać wzwód i wytrysk samym nakazem woli, ale wiek i Pętla zrobiły swoje. Teraz musiał

w tym pomagać, a ponieważ prawa stanu czarnoksiężskiego wyraźnie zabraniały, by szaman dotykał sam siebie, Kissoon potrzebował trochę sztucznej podniety. Znały się na rzeczy: pełzały po nim, a dotyk ich odnóży, ukąszenia i żądła wprawiały go w stan podniecenia. W ten sposób wytwarzał liksy: spryskiwał nasieniem własne odchody. Te sztuczki z nasieniem szczególnie sobie upodobał.

Kiedy owady robiły swoje, ponownie wrócił myślą do liksów leżących na parkiecie, czekając, aż fale emocji trysną z nabrzmiąłych jąder, a potęga jego woli sięgnie miejsca, gdzie leżały gady.

Potrzebowały tylko trochę życia, aby spowodować kilka zgonów.

Mary Murales prosiła, by Tesla opowiedziała jej swoją historię, zanim ona opowie swoją, a jej głos, choć tak cichy, brzmiał jak głos kobiety, której życzeniom rzadko odmawiano. Tesla z radością opowiadała o sobie, czy raczej o wydarzeniach, które wiązały się ze sprawą (udział Tesli był w nich znikomy); starała się jak mogła, w nadziei, że Mary będzie w stanie rzucić nieco światła na różne zagadkowe szczegóły. Jednak Mary zachowywała milczenie aż do chwili, gdy Tesla skończyła swoją opowieść, która zajęła jej prawie pół godziny - Tesla opowiedziała wszystko, co było jej wiadome o Fletcherze, dżaffie, potomstwie obydwu, nuncjo i Kissoonie. Mogłoby to trwać jeszcze dłużej, ale Tesla nabrała wprawy w skrótowym przedstawianiu wydarzeń, opracowując streszczenia scenariuszy dla potrzeb studiów filmowych. Ćwiczyła się w ten sposób na Szekspirze (tragedie były łatwe, komedie - choć wbij zęby w ścianę), aż miała to wszystko w jednym palcu. Ale tej historii nie dało się tak łatwo zasufladkować. Gdy podjęła opowiadanie, rozsypało się we wszystkich kierunkach. Była to opowieść o miłości i pochodzeniu gatunków. O szaleństwie, zniechęceniu i zagubionej małpie.

Kiedy uderzała w tragiczny ton - gdy chodziło o wątek Vance'a - trąciła również farsą.

Kiedy rozgrywała się w scenerii czysto realistycznej, na przykład w Pasażu, wydarzenia często przechodziły w fantasmagorię. Tesla nie umiała jej przekazać w sposób jasny i uporządkowany. Opowieść stawiała opór. Za każdym razem, gdy Tesli wydawało się, że rysuje się przed nią pojedynczy wątek, natychmiast splatał się z nim inny.

Snując tę opowieść, wielokrotnie powtarzała, że „wszystkie fakty są ze sobą powiązane”, chociaż nie zawsze, a właściwie wcale nie wiedziała, jak i dlaczego.

Może Mary byłaby w stanie naświetlić te powiązania.

- To by było na tyle - stwierdziła na koniec Tesla. - Teraz twoja kolej.

Mary przez chwilę zbierała siły. Wreszcie powiedziała:

- Rzeczywiście nieźle się orientujesz w niedawnych wydarzeniach, ale chciałabys wiedzieć, co jest ich siłą motoryczną. Jasne. To dla ciebie tajemnica. Muszę jednak powiedzieć, że wiele aspektów sprawy jest tajemnicą także dla mnie. Nie potrafię odpowiedzieć na wszystkie pytania. Jest wiele rzeczy, o których nic nie wiem. Zaś twoje opowiadanie dowodzi, że o wielu sprawach nie wie żadna z nas. Ale kilka zagadnień mogę ci wyjaśnić od ręki. Po pierwsze, rzecz najprostsza: to Kissoon wymordował resztę Szkoły.

- Kissoon? Żartujesz sobie?

- Chyba pamiętasz, że byłam jedną z nich - powiedziała Mary. - Kissoon spiskował przeciwko nam przez wiele lat.

- Z kim?

- Zgadniesz? Z Iad Uroboros. Czy też z ich przedstawicielami w Kosmosie. Po wymordowaniu wszystkich członków Szkoły, pewnie chciałby użyć Sztuki, by wpuścić Iad.

- Cholera. Więc to, co mi mówił o Iad i Quiddity... to wszystko prawda?

- Ależ oczywiście. Kissoon kłamie tylko wtedy, kiedy musi. Na tym polega jego geniusz...

- Nie rozumiem, co jest genialnego w fakcie, że ukrywa się w jakiejś chałupie - przerwała Tesla. I zaraz dodała: - Chwileczkę. To się nie trzyma kupy. Jeśli to on jest odpowiedzialny za śmierć członków Szkoły, to czego mógłby się teraz obawiać? Po co się w ogóle ukrywa?
- On się nie ukrywa. Siedzi tam jak w potrzasku. Trinity jest jego więzieniem. Może się stamtąd wydostać tylko wtedy, jeżeli...
- ...znajdzie inne ciało, które mu posłuży za środek lokomocji.
- Właśnie.
- Mnie.
- Albo, jeszcze przed tobą, Randolpha Jaffe'a.
- Ale żadne z nas nie dało się nabrać.
- A Kissoon nie ma zbyt wielu gości. Potrzeba niezwykłego splotu okoliczności, żeby ktoś podszedł do Pętli dostatecznie blisko. Utworzył ją, by ukryć swoją zbrodnię. Teraz sam się w niej ukrywa. Od czasu do czasu ktoś w rodzaju Jaffa, doprowadzony do granic obłądu, dochodzi do punktu, w którym Kissoon może użyć swojej władzy i wciągnąć delikwenta do Pętli. Albo na przykład ciebie, kiedy nuncjo wniknęło w twój organizm. Poza tym, jest zupełnie sam.
- Dlaczego wpadł w tę pułapkę?
- Ja go w nią wtrąciłam. Sądził, że już nie żyję. Sprowadził moje ciało do Pętli wraz z tamtymi. Ale ja odżyłam. Stałam przed nim. Doprowadziłam go do takiej wściekłości, że rzucił się na mnie, splamił swoje ręce moją krwią.
- Także swoją pierś - uzupełniła Tesla. Przypomniała sobie tę krótką chwilę podczas swojej pierwszej ucieczki, kiedy ujrzała Kissoona zbryzganego krwią.
- Kanon Pętli podlega ściśle określonym prawom. W jej granicach nie można przelewać

krwi, w przeciwnym razie jej twórca staje się jej więźniem.

- Co rozumiesz przez kanon?

- Zakłęcie. Manewr. Czarnoksiężską sztuczkę.

- Sztuczkę? Pętlę Czasu nazywasz sztuczką?

- To prastary kanon - powiedziała Mary. - Jest to czas wyjęty z czasu. Wszędzie

znajdziesz wzmianki na ten temat. Jednak pewne prawa odnoszą się do wszystkich stanów materii, a ja doprowadziłam Kissoona do tego, że złamał jedno z tych praw. Stał się swoją własną ofiarą.

- Ty też wpadłaś w pułapkę?

- Niezupełnie. Ale pragnęłam jego śmierci, jednak nie znałam w Kosmosie nikogo, kto mógłby go zabić. Gdy wyginęła cała szkoła, nie było komu tego dokonać. Musiałam zostać i mieć nadzieję, że uda mi się go zabić.

- Wtedy i ty musiałybyś przelać krew.

- Lepsze to i uwięzienie w Pętli niż żywy Kissoon. Zabił piętnaścioro wspaniałych mężczyzn i kobiet. Ludzi o czystych i dobrych sercach. Po prostu kazał ich zlikwidować.

Niektórych z nich torturował dla samej przyjemności dręczenia. Oczywiście nie robił tego osobiście. Miał swoich agentów. Ale był mózgiem całego przedsięwzięcia. Doprowadził do tego, że rozdzieliliśmy się, tak by mógł nas zabijać jednego po drugim. Następnie cofnął w czasie nasze ciała do Trinity, bo dobrze wiedział, że zatrze w ten sposób wszelkie ślady zbrodni.

- Gdzie teraz są?

- W mieście. To znaczy to, co z nich zostało.

- Mój Boże - Tesla przypomniała sobie Cuchnący Dom i wstrząsnęła się z odrazą. -

Niewiele brakowało, żebym ich zobaczyła.

- Oczywiście przeszkodził ci Kisson.

- Nie musiał używać siły. Raczej mi to wyperswadował. Umie wspaniale przekonywać.

- Na pewno. Przez całe lata robił z nas wszystkich durniów. Ze wszystkich stowarzyszeń na świecie najtrudniej jest, to znaczy było, wstąpić do naszej Szkoły. Są pewne sposoby, niewiarygodnie wprost skomplikowane, badania i oczyszczania ewentualnych członków, jeszcze zanim zdadzą sobie sprawę, że takie stowarzyszenie w ogóle istnieje. Kissonowi udało się jakoś przemycić przez te procedury. Albo też Iadowie skazili jego umysł dopiero wtedy, gdy stał się członkiem Szkoły, to niewykluczone.

- Czy o Iad rzeczywiście tak mało jest wiadomo, jak twierdził?

- Z Metakosmosu nie wydobywają się na zewnątrz prawie żadne informacje. Jest to hermetyczny stan bytu. Naszą wiedzę o Iad można streścić w kilku słowach: jest ich wielu, wyznają inną definicję życia niż wy, ludzie - właściwie jest to jego antyteza.

- Co to znaczy: wy, ludzie? - zdumiała się Tesla. - Jesteś tak samo człowiekiem jak ja.

- I tak i nie - odparła Mary. - Oczywiście byłam kiedyś człowiekiem jak ty. Ale procesy oczyszczania odmieniają naturę ludzką. Gdybym była człowiekiem, nie zdołałabym przeżyć w Trinity dwudziestu kilku lat, żywiąc się skorpionami i pijąc wodę z błotnistych kałuż. Umarłabym, tak jak tego chciał Kisson.

- Jak to się stało, że przeżyłaś ten zamach, a tamci nie?

- To sprawa szczęścia. Instynktu. Po prostu nie mogłam dopuścić do zwycięstwa tej kanalii. Gra idzie nie tylko o Quiddity, chociaż jest tak cenne. Chodzi o Kosmos. Jeśli Iadowie wedrą się w Kosmos, na tej płaszczyźnie bytu nic już nie będzie takie, jak przedtem. Zdaje się, że...

- O co chodzi? - zaniepokoiła się Tesla.

- Coś słyszałam. Za ścianą.

- To opera - odparła Tesla. Wciąż brzmiały tony „Łucji z Lamer Moor”.

- Nie - sprzeciwiła się Mary. - To coś innego.

Raul już wyszedł, by wykryć źródło tych dźwięków, zanim Tesla zdążyła go o to poprosić. Wróciła do rozmowy z Mary.

- Jest sporo rzeczy, których nie bardzo rozumiem. Całe mnóstwo. Na przykład dlaczego Kisson zadał sobie trud przeniesienia zwłok do Pętli. Dlaczego się ich nie pozbył tutaj, w zwykłym świecie. I dlaczego pozwoliłaś, żeby cię tam zabrał?

- Byłam ranna, prawie martwa. Zostało we mnie tak niewiele życia, że Kisson i jego zbiry sądzą, że naprawdę umarłam. Odzyskałam przytomność w chwili, kiedy rzucili mnie na stos martwych ciał.

- A co się stało z tymi zbirami?

- Na ile znam Kissona, to pewnie pozwolił im szukać wyjścia z Pętli, aż padli martwi. To by go bawiło.

- Więc w ciągu dwudziestu kilku lat jedynymi ludźmi, czy prawie ludźmi, którzy przebywali w Pętli, byliście ty i on.

- Ja - prawie obłąkana, a on - zupełny szaleniec.

- I te ohydne liksy, czymkolwiek są.

- Jego kałem i nasieniem - oto, czym są. Dobrze odżywione, pełne życia bobki.

- Jezu.

- Są w pułapce tak samo jak on - powiedziała Mary z pewnym zadowoleniem. - W punkcie zero, o ile punktem zero może być...

Głośny krzyk Raula w przyległym pokoju przerwał jej w pół słowa. Tesla rzuciła się w stronę kuchni: Raul walczył tam z jednym z kissonowskich stworów. Jakże się myliła, sądząc, że zdychały po wyprowadzeniu ich z Pętli.

Przy tym bestia, którą Raul trzymał w rękach, wyglądała na silniejszą niż te, z którymi walczyły razem z Mary, chociaż składała się tylko z części gębowej.

Szeroki pysk wgryzał się w twarz Raula. Zranił go już co najmniej dwukrotnie. Z rany pośrodku czoła Raula płynęła krew. Tesla podeszła bliżej i schwyciła zwierzę oburącz; teraz, gdy znała jego rodowód, jeszcze silniej mierzył ją dotyk i woń liksa. Chociaż zmagaly się z nim dwie pary rąk, nie dopuszczając do dalszych szkód, zwierzę bynajmniej się nie poddawało.

Miało w sobie siłę trzech poprzednich wcieleń. Tesla wiedziała, że było jedynie kwestią czasu, kiedy oboje opadną z sił, a gad znów zaatakuje twarz Raula. Tym razem odgryzie mu nie tylko gniewnie zmarszczone fałdy na czole.

- Zaraz puszcę i pójde po nóż - powiedziała Tesla. - Dobrze?

- Pośpiesz się.

- Spoko. Liczę do trzech, zgoda? Przygotuj się, że sam będziesz musiał go utrzymać.

- Jestem gotów.

- Jeden... dwa... trzy!

Doliczywszy do trzech, puściła zwierzę i rzuciła się w stronę zlewu. Obok zlewu piętrzyły się stosy nie mytych naczyń. Grzebała w tym rumowisku, szukając odpowiedniej broni. Naczynia zsuwały się beładnie na boki, kilka spadło na podłogę i rozbiło się w drobne kawałki. Ale ta lawina odsłoniła kawałek stali: jeden z kompletu noży, który matka podarowała jej na Gwiazdkę dwa lata temu. Trzonek noża lepił się od zeszlotygodniowej lasanii i pleśni, która zdążyła na niej wyrosnąć, ale przyjemnie było poczuć go w ręku.

Kiedy zwróciła się do Raula, uderzyło ją nagłe wspomnienie: przecież z Pętli przedostało się przynajmniej pięć czy sześć gadzich członów, a widać było tylko jeden.

Nigdzie na podłodze ich nie było. Tesla nie miała czasu, by zaprztać sobie głowę ich

brakiem. Raul krzyknął. Tesla rzuciła się na pomoc, wbiła nóż w ciało liksa. Zwierzę natychmiast zareagowało na ten atak: rzuciło w tył łbem, obnażając czarne kły, ostre jak igły. Tesla wbiła nóż tuż obok szczęki; z rany ostrym strumieniem rzucił się rzadki, brudnożółty gnój, który jeszcze przed kilku minutami wzięłaby za krew. Gad rzucał się jak szalony, Raul ledwie zdołał go utrzymać.

- Liczę do trzech... powiedziała Tesla.

- Co dalej?

- Wtedy go rzucisz!

- Jest bardzo szybki.

- Zatrzymam go. Rób, co ci mówię! Gdy powiem trzy. Jeden... dwa... trzy!

Posłuchał. Liks przesybował przez pokój i prasnął o podłogę. Kiedy szykował się do następnego ataku, Tesla wzięła zamach i oburącz wbiła nóż w zwierzę. Matka znała się na nożach. Ostrze przeszło przez liksa na wylot i utknęło w podłodze, skutecznie unieruchamiając gada; płyny żywotne wciąż sączyły się z jego ran.

- Mam cię, świntuchu - skwitowała zajście Tesla i odwróciła się do Raula. Trząśł się cały po tej napaści, z ran na jego twarzy broczyła krew.

- Lepiej idź obmyj sobie zranienia - zatroszczyła się Tesla. - Nie wiadomo, jaki jad wydzielają te stwory.

Kiwnął głową i poszedł do łazienki, a Tesla przypatrywała się przedśmiertnym drgawkom liksa. W momencie gdy zadawała sobie to samo pytanie, co w chwili, gdy brała nóż do ręki (gdzie się podziała reszta liksów?), usłyszała głos Raula:

- ...Tesla.

...i już wiedziała, dokąd poszły.

Stał w drzwiach sypialni. Z przerażenia, malującego się na jego twarzy, łatwo było

odczytać, na co patrzył. A jednak zobaczywszy, co bestie Kissoona zrobiły z kobietą, którą ułożyła we własnym łóżku, Tesla nie mogła powstrzymać szlochu rozpaczy i odrazy. Jeszcze nie zaprzestały mordy. Było ich sześć, z gatunku tych, które rzuciły się na Raula - silniejsze od liksów napotkanych w Pętli. Opór Mary nie zdał się na nic. Podczas gdy Tesla wyszukiwała nóż, by bronić Raula - była to napaść, która miała odwrócić jej uwagę - wczołgały się na Mary i owinęły wokół jej szyi i głowy. Walczyła zażarcie; jej wycieńczone ciało - skóra i kości - na wpół zsunęło się z łóżka i leżało nieruchomo. Jeden z liksów spełził z jej twarzy - zmiażdżyły jej rysy nie do poznania.

Tesla przypomniała sobie nagle o Raulu - wciąż stał obok, drżał cały.

- Już nic nie da się tu zrobić - rzuciła. - Idź się umyć.

Skinął posępnie głową i odszedł. Liksy traciły siły, ich ruchy stawały się coraz bardziej ospałe. Prawdopodobnie Kissoon przeznaczył swoją energię na lepsze cele niż pchanie agentów do dalszych szkód. Przejęta do głębi odrazą, zamknęła drzwi, by ukryć ten widok, i zaczęła sprawdzać, czy pod meblami nie skryły się jakieś gady. Zwierzę, które przybiła do podłogi nożem, było już całkiem martwe; w każdym razie leżało nieruchomo. Poszła rozejrzeć się za jakimś innym nożem, zanim ruszyła na obchód mieszkania.

W łazience Raul wypuścił z umywalki skrwawioną wodę i przyjrzał się ranie, którą zadał mu liks. Była powierzchowna. Ale - jak ostrzegła Tesla - trochę jadu rzeczywiście wniknęło w jego organizm. Całym jego ciałem wstrząsały gwałtowne dreszcze, a ramię, tknięte przez nuncjo, pulsowało, jakby je zanurzył we wrzątku. Przyjrzał mu się. Ramię stawało się przejrzyste - przez mięśnie i kości przebijały zarysy umywalki. W panice popatrzył na swoje odbicie w lustrze. Ono także stawało się niewyraźne, ściana łazienki rozmazywała się, a zza ściany napierał jakiś inny obraz - ostry i jasny.

Otworzył usta, by wezwać Tesłę na pomoc, ale zanim wydał z siebie głos, jego odbicie

w lustrze zanikło zupełnie, a w następnej chwili - chwili zupełnego zagubienia - znikło i lustro. Wokół narastała oślepiająca poświata; coś schwyciło go za tknięte nuncjo ramię.

Przypomniał sobie opowieść Tesli o tym, jak Kissoon ujął w dłoń jej żołądek. Teraz ta sama ręka schwyciła jego ramię i ciągnęła.

Kiedy resztką mieszkania Tesli ustępowała miejsca bezkresnemu, płonącemu horyzontowi, Raul szybko sięgnął nietkniętym ramieniem w stronę, gdzie przed chwilą była umywalka. Zdawało mu się, że czepia się rozpaczliwie jakiejś cząstki świata, z którego odchodził, ale nie był tego pewien.

Potem opuściła go ostatnia nadzieja i znalazł się w Pętli Kissoona.

Tesla usłyszała, jak coś upadło w łazience.

- Raul? - zawołała.

Cisza.

- Raul? Dobrze się czujesz?

Pełna najgorszych przeczuć, podeszła do drzwi z nożem w ręku. Drzwi były zamknięte tylko na klamkę.

- Jesteś tam? Kiedy po raz trzeci nie odpowiedziano na jej wezwanie, otworzyła drzwi.

Na podłodze leżał zakrwawiony ręcznik - ktoś go upuścił, czy też sam zsunął się na podłogę, pociągając za sobą kilka przyborów toaletowych: ten właśnie dźwięk słyszała przed chwilą.

Ale Raula nie było.

- Cholera!

Zakręciła kran, z którego wciąż lała się woda, i odwróciwszy się od umywalki, znów go zawołała. Obeszła całe mieszkanie pełna strasznych obaw, że ujrzy Raula jako ofiarę tej

samej zwyrodniałej zbrodni, która zabrała Mary. Ale nigdzie nie znalazła jego śladu ani też

śladu innych liksów. Na koniec, zebrawszy wszystkie siły, by móc spojrzeć na to, co leżało na

łóżku, otworzyła drzwi sypialni. Tam też go nie było.

Stojąc w drzwiach przypomniała sobie wyraz przerażenia na jego twarzy, kiedy ujrzał zwłoki Mary. Czy po prostu nie mógł już tego znieść? Zamknęła drzwi, by nie widzieć zmarłej, i poszła do frontowych drzwi. Były uchylone, dokładnie tak, jak je zostawiła zaraz po przyjeździe. Nie zamykając ich, zeszła schodami w dół i, idąc wzdłuż muru budynku, nawoływała jego imię.

Nabierała coraz większej pewności, że Raul po prostu doszedł do wniosku, że dłużej nie zniesie tego szaleństwa i uciekł w głąb West Hollywood. Jeśli rzeczywiście tak było, to zamieniał jedno szaleństwo na drugie, ale to był jego wybór i Tesla nie była odpowiedzialna za konsekwencje. Wyjrzała na ulicę, ale nie znalazła go tam. Przed domem, stojącym po przeciwległej stronie ulicy, siedzieli na ganku dwaj młodzi mężczyźni korzystający z resztek popołudniowego słońca. Nie znała ich nazwisk, ale przeszła przez jezdnię i zapytała:

- Widzieliście tu jakiegoś mężczyznę? - na co obaj unieśli brwi i uśmiechnęli się.

- Dawno? - zapytał jeden z nich.

- Przed chwilą. Wybiegł z domu po tamtej stronie ulicy?

- Dopiero co wyszliśmy na dwór - odezwał się drugi. - Przykro mi.

- Co takiego zrobił? - zapytał pierwszy, spoglądając na nóż, który trzymała Tesla. -

Chciał za dużo czy za mało?

- Za mało - odparła Tesla.

- Do diabła z nim - usłyszała. - Jest wielu innych.

- Ale nie takich jak on - odparła. - Możecie mi wierzyć, nie takich jak on. W każdym razie dziękuję.

- Jak wyglądał? - dobiegło ją pytanie, gdy przechodziła już przez jezdnię.

Ta odrobina mściwości, którą Tesla miała w sobie - nie była z niej zbyt dumna, ale

pozwalala jej zapanowac nad soba, gdy ktos, podobnie jak teraz, zrobil jej jakies swinstwo - ta msciwość kazala jej odpowiedziec:

- Jak pieprzony goryl - głosem tak donośnym, że musiała go usłyszeć połowa Santa Monica i Melvose. - Wyglądał jak jakiś pieprzony goryl.

Co teraz zrobisz, mała?

Tesla nalala sobie tequili, rozsiadła się wygodnie i zrobiła przegląd sytuacji: Raul odszedł; Kisson działa w znowie z Iad; w sypialni leży Mary Murales, martwa. Niezbyt to wszystko pocieszające. Napełniła znów szklaneczkę, zdawała sobie przy tym sprawę, że nietrzeźwość, podobnie jak sen, mogła przybliżyć ją do Kissona bardziej, niż by jej to odpowiadało, ale pragnęła poczuć ogień tequili w przetyku i żołądku.

Dalsze przebywanie w mieszkaniu nie miało sensu. Główny wątek akcji rozgrywał się w Palome Grove.

Zadzwońla do Grillo. Nie było go w hotelu. Poprosiła hotelową telefonistkę, by przełączyła ją do recepcji i zapytała tam, czy ktos wiedzial, gdzie Grillo obecnie przebywal. Nikt nie wiedzial. Wyjechał z hotelu okolo godziny trzeciej, teraz byla 4.25. Sądziłi, że wyjechał co najmniej godzinę temu. Domyśliła się, że na przyjęcie na Wzgórzu.

Nic już jej nie zatrzymywało w Nort Huntley Drive. Oplakując nagłą utratę sojuszników, uznała, że najlepiej zrobi, odnajdując teraz Grillo, zanim rozwój wypadków odbierze jej także i jego.

VIII

Grillo nie przywiózł do Grove ubioru, który byłby odpowiedni na przyjęcie w Coney Eye, ale ponieważ był w Kalifornii, gdzie lekkie sportowe buty i dzinsy uchodziły za strój oficjalny, uznał, że w swym sportowym ubraniu nie będzie zbyt rzucił się w oczy. To była pierwsza z wielu pomyłek, które popełnił tego popołudnia. Nawet stojący w bramie strażnicy

mieli na sobie smokingi i czarne krawaty. Ale miał zaproszenie, na którym wypisał jakieś zmyślone nazwisko (Jon Swift) i nikt tego zaproszenia nie zakwestionował.

Nie po raz pierwszy wśliznął się w jakieś towarzystwo pod przybranym nazwiskiem. W dawnych czasach, kiedy pracował jako poważny reporter poważnego pisma (w przeciwieństwie do obecnego zajęcia - pismaka z brukowca) był w Detroit na zlocie odradzającego się neonazizmu jako odległy krewny Goebbelsa, na kilku seansach uzdrawiających, prowadzonych przez byłego księdza - zdemaskował następnie jego szalbierstwa w serii artykułów, dzięki którym zdobył nominację do nagrody Pulitzera, a przede wszystkim - na spotkaniu sadomasochistów, jednak jego artykuł nie ujrzał światła dziennego na skutek interwencji pewnego senatora, którego widział z łańcuchem na szyi, jedzącego karmę dla psów. W tamtych środowiskach czuł się jak ucziwy człowiek poszukujący prawdy w niebezpiecznym świecie - Philip Marlowe z długopisem. Tutaj po prostu odczuwał mdłości - żebrak, którego przyprawia o mdłości widok ucztujących.

Z opowiadań Ellen mógł oczekiwać, że zobaczy tu wiele sławnych postaci, nie spodziewał się jednak, że wywrą na nim tak przemożne wrażenie, zupełnie nieproporcjonalne do ich talentu. Pod dachem Vance'a zebrało się kilkadziesiąt najszlachetniejszych twarzy świata: żywe legendy, idole, kreatorzy mody. Wokół nich osoby, których nazwisk nie znał, ale znał ich twarze z magazynów „Variety” i „Hollywood Reporter”. Potentaci tej branży - menedżerowie, prawnicy, kierownicy studiów filmowych. Tesla, która wielokrotnie gwałtownie atakowała Nowy Hollywood, najwięcej jadu miała właśnie dla tych ludzi: absolwentów szkół businessu, którzy wyparli reżyserów starej szkoły Warnera, Selznicka, Goldwyna i jemu podobnych, by kierować fabrykami snów za pomocą wykresów i kalkulatorów. Ci właśnie mężczyźni i kobiety wybierali przyszłoroczne bóstwa i rozgłaszali ich imiona wśród publiczności na całym świecie. Oczywiście nie zawsze im się to udawało.

Publiczność bywała płocha, czasem wręcz przewrotna, gdy wbrew wszelkim oczekiwaniom postanawiała ubóstwić jakiegoś nieznanego artystę. Ale ten system był przygotowany na podobne anomalie. Zdarzało się, że jakiś zupełny outsider dostawał się do panteonu z oszałamiającą prędkością i wszyscy twierdzili, że od początku wiedzieli, że to gwiazda. W tym zgromadzeniu było kilka takich gwiazd - młodych aktorów, którzy nie mogli znać Buddy'ego Vance'a osobiście, ale przyjechali tu prawdopodobnie dlatego, że było to Przyjęcie Tygodnia; miejsce, które trzeba zobaczyć, i towarzystwo, w którym należało się pokazać.

Po drugiej stronie sali dostrzegł Rochelle - była pochłonięta wysłuchiwaniami pochlebstw, otoczona rojem wielbicieli, sycących się jej pięknnością. Nie patrzyła w stronę Grillo. Wątpił, czy rozpoznałaby go, nawet gdyby nań spojrzała. Miała ten nieobecny, rozmarzony wyraz twarzy jak ktoś, kogo wprawiło w podniecenie coś innego niż podziw. Poza tym wiedział z doświadczenia, że jego twarz jest wymienna z tyloma innymi twarzami. Cechowała ją pewna lekka nieokreśloność, co przypisywał swojej mocno mieszanej krwi. W jego żyłach płynęła krew szwedzka, rosyjska, litewska, żydowska i angielska, przy czym wszystkie składniki wzajemnie się niwelowały. Był wszystkim i niczym. Dzięki temu, w sytuacji takiej jak ta, czuł się dziwnie pewnie. Mógł się podawać za wiele różnych osób bez obawy zdemaskowania, chyba że popełniłby jakieś grubsze faux pas, a i wtedy zwykle udawało mu się jakoś wykaraskać.

Wziął kieliszek szampana od któregoś z kelnerów i zmieszał się z tłumem, notując w pamięci nazwiska osób, które rozpoznał, oraz nazwiska osób, które im towarzyszyły. Chociaż oprócz Rochelle nikt w tym salonie nie miał zielonego pojęcia, kim naprawdę był, nikt, z kim spotkał się wzrokiem, nie omieszkał skinąć mu głową na powitanie, a parę osób, które prawdopodobnie licytowały się w swoim kółku liczbą znajomych w tym świetnym

zgrupowaniu - nawet machnęło do niego ręką. Podsycał tę fikcję, kiwając, kiedy mu kiwano, machając - kiedy machano, więc zanim przesunął się z jednego końca pokoju w drugi, zdobył już solidną akredytację: uznano go za swojego. To z kolei postawiło na jego drodze kobietę dobrze po pięćdziesiątce, która unieruchomiła go spojrzeniem i ostrym pytaniem:

- No więc kim pan jest?

Nie przygotował sobie szczegółowego opisu swojego alter ego, jak w przypadku neonazistów i uzdrowiciela, więc powiedział po prostu:

- Jestem Swift. Jonathan.

Przytaknęła, prawie jakby go znała.

- Evelyn Quayle - przedstawiła się. - Mów mi Eve. Wszyscy tak się do mnie zwracają.

- Dobrze, Eve.

- A jak się ludzie zwracają do ciebie?

- Swift.

- Świetnie - powiedziała. - Czy mógłbyś złapać tamtego kelnera i zdobyć dla mnie kieliszek szampana? Zasuwiają jak małe samochodziki.

Nie był to jej ostatni kieliszek. Bardzo wiele wiedziała na temat zebranego tu towarzystwa; przekazywała mu tę wiedzę tym szczegółowiej, im więcej otrzymywała od Grillo kieliszków szampana i komplementów, przy czym jeden z tych ostatnich był zupełnie niezafałszowany. Obliczył jej wiek na jakieś pięćdziesiąt pięć lat. Eve przyznała się do siedemdziesięciu jeden.

- Zupełnie na tyle nie wyglądasz.

- Kwestia umiaru, mój drogi - odparła. - Żaden nałóg nie jest mi obcy, ale wszystkie trzymam w ryzach. Sięgnij po jeden z tych kieliszków, dobrze? Zanim umkną mi sprzed nosa.

Była wymarzoną plotkarką, hojnie szafowała złośliwością. Nie było chyba w tej sali

człowieka, w którego życiu nie dogrzebałaby się jakichś brudów.

Na przykład ta w szkarłatnej sukni, cierpiąca na anoreksję, była bliźniaczą siostrą Annie Kristol, uwielbianej prezenterki teleturnieju gwiazd. Chudła w takim tempie, że - jak obliczyła Eve - przeniesie się na tamten świat najdalej za trzy miesiące. Z kolei Merv Turner, członek niedawno usuniętego zarządu Universalu, tak się roztył od czasu, gdy opuścił Czarną Wieżę, że żona odmawiała mu współżycia fizycznego. A Liza Andreatta, biedula, po urodzeniu drugiego dziecka spędziła w szpitalu trzy tygodnie, po tym jak jej psychoanalityk przekonał ją, że w przyrodzie matki zawsze zjadają łożysko. Zjadła więc swoje i doznała tak silnego wstrząsu psychicznego, że niewiele brakowało, by osierociła swoje dziecko, zanim zdążyło zobaczyć jej twarz.

- Istne szaleństwo, prawda? - powiedziała Eve, uśmiechając się od ucha do ucha.

Grillo musiał się z tym zgodzić.

- Cudowne szaleństwo - ciągnęła. - Zawsze prowadziłam szalone życie. Teraz szaleję tak samo jak kiedyś. Zaczyna mi się robić trochę ciepło. Może byśmy wyszli na chwilę na dwór?

- Oczywiście.

Ujęła ramię Grillo:

- Potrafisz słuchać - mówiła, gdy wyszli do ogrodu. - Jest to rzadka umiejętność w tym towarzystwie.

- Naprawdę?

- Kim jesteś? Pisarzem?

- Tak - powiedział z ulgą, że nie musi kłamać tej kobiecie. Polubił ją. - Dosyć kiepsko mi to idzie.

- Wszystkim nam kiepsko idzie - powiedziała Eve. - Bądźmy szczerzy. Nie potrafimy

znaleźć lekarstwa przeciw rakowi. Robimy wszystko byle jak, mój kochany. Aby zbyć.

Zaciągnęła Grillo do atrapy lokomotywy, ostro rysującej się na tle drzew.

- Popatrz na to. Ohyda, prawda?

- Sam nie wiem. Jest w tym jakiś wdzięk.

- Mój pierwszy mąż kolekcjonował amerykańskich, abstrakcyjnych ekspresjonistów.

Rozwiodłam się z nim.

- Przez te obrazy?

- Przez kolekcjonowanie, zawzięte gromadzenie zbiorów. To jakaś choroba. Swift. W

końcu mu powiedziałam: Ethan, nie chcę być tylko jednym z twoich eksponatów. Albo one, albo ja. Wybrał eksponaty, bo one nigdy mu nie pyskowały. Taki to był człowiek.

Wykształcony, a głupi.

Grillo uśmiechnął się.

- Śmiejesz się ze mnie - zbeształa go.

- Nic podobnego. Jestem zachwycony.

Rozpromieniła się, słysząc ten komplement.

- Nie znasz tu nikogo, prawda? - spytała nieoczekiwanie.

Zamurowało go.

- Nie masz zaproszenia. Przyglądałam ci się w chwili, gdy przyszedłeś.

Staraleś się uniknąć wzroku gospodyni. Pomyślałam sobie: Nareszcie! Ktoś, kto nie zna nikogo, a chciałby, no i ja: znam wszystkich, chociaż wolałabym nie znać. Świetnie z nas dobrana para. Jak się naprawdę nazywasz?

- Już ci mówiłem...

- Nie obrażaj mnie - powiedziała Eve.

- Nazywam się Grillo.

- Grillo.

- Nathan Grillo. Ale proszę... mów mi po prostu Grillo. Jestem dziennikarzem.

- Och jakie to nudne. Myślałam, że może jesteś aniołem, który zstąpił z niebios, by nas sądzić. No wiesz... jak Sodomę i Gomorę. Zasłużyliśmy sobie na to, fakt.

- Nie przepadasz zbyttnio za tymi ludźmi.

- Mój drogi, wolę być tutaj niż w Idaho, ale tylko ze względu na pogodę. W tym towarzystwie człowiek sobie nie pogada. - Przysunęła się bliżej. - Nie oglądaj się, będziemy mieli towarzystwo.

Nadchodził jakiś niski, łysiejący mężczyzna. Kogoś mu przypominał.

- Jak on się nazywa? - szepnął do Eve.

- Paul Lamar. Pracował we dwójkę z Buddym.

- Komik?

- Tak twierdzi jego impresario. Widziałeś jakiś jego film?

- Nie.

- Bardziej można się pośmiać nad Mein Kampf.

Grillo wciąż próbował zapanować nad wesołością, kiedy Lamar stanął przed Eve.

- Świetnie wyglądasz - powiedział. - Jak zawsze. Zwrócił się w stronę Grillo. - A kim jest twój przyjaciel?

Eve spojrzała na Grillo i uśmiechnęła się pod wąsem.

- To mój nieczysty sekrecik.

Lamar wycelował w Grillo swój uśmiech jak reflektor.

- Przepraszam, nie dosłyszałem nazwiska.

- Sekreciki muszą pozostać bezimienne - wtrąciła Eve. Żeby nie straciły swojego uroku.

- Aluzju poniał - powiedział Lamar. - Pozwól, że naprawię tę gafę i oprowadzę was po

domu.

- Chyba nie dałabym sobie rady z tymi schodami, skarbie - stwierdziła Eve.
- Ale to przecież pałac Buddy'ego. Taki był z niego dumny.
- Nie na tyle, by mnie choć raz zaprosić - odparowała.
- To była jego cicha przystań - wyjaśnił Lamar. - Dlatego poświęcił mu tyle uwagi i starania. Powinnaś obejrzeć ten dom, choćby ze względu na Buddy'ego. Pan również.
- Dlaczego by nie - odezwał się Grillo.

Evelyn westchnęła.

- Miejsce rzeczywiście jest ciekawe. No cóż, prowadź.

Lamar poszedł przodem, prowadząc ich z powrotem do salonu. W atmosferze przyjęcia nastąpiła pewna ledwie zauważalna zmiana. Goście, syci alkoholu, spustoszywszy bufet, zaczęli się powoli uspokajać, w czym pomagała im nieduża orkiestra, wykonująca omdlałe wersje znanych przebojów. Kilka osób tańczyło. Przycichły krzykliwe rozmowy. Ubijano interesy, zawiązywano intrygi.

Grillo - a najwyraźniej także Evelyn - ta atmosfera działała na nerwy.

Wzięła go pod ramię, gdy szli za Lamarem między szpalerami szepczących złośliwców przez całą szerokość salonu, aż wyszli na schody. Drzwi frontowe były zamknięte. Dwóch spośród strażników strzegących bramy stało, wspierając się o nie plecami, zwiesiwszy zaciśnięte w pięści dłonie na wysokości krocza. Uroczysty nastrój już uleciał, chociaż dobiegał tu dźwięk wodewilowych melodii. Została tylko paranoja.

Lamar wszedł już kilka stopni wyżej.

- No chodź, Evelyn... - ponaglał. - Schody nie są strome.
- Są strome, kiedy ma się tyle lat, co ja.
- Nie wyglądasz na więcej niż...

- Nie podlizuj się - powiedziała. - Wejść na górę, kiedy mi się spodoba.

Z Grillo u boku poczęła wstępować po schodach - dopiero teraz jej wiek zaczął dawać o sobie znać. Grillo zauważył, że na szczycie schodów stało kilku gości, piastując puste szklanki; zachowywali całkowite milczenie.

Zaczęło w nim kiełkować podejrzenie, że dzieje się tu coś niedobrego.

Przecucie potwierdziło się, gdy obejrzał się w dół, za siebie. U podnóża schodów stała Rochelle i patrzyła prosto na niego. Grillo, przekonany, że go rozpoznała i zaraz publicznie zdemaskuje, spojrzawszy jej wyzywająco w oczy. Ale Rochelle nie odezwała się ani słowem.

Patrzyła i patrzyła, aż musiał odwrócić wzrok. Kiedy znów spojrzawszy w tamtą stronę. Rochelle już nie było.

- Coś tu nie gra - powiedział cicho do towarzyszy. - Chyba nie powinniśmy iść dalej.

- Ależ kochanie, jestem już w połowie schodów - głośno zaprotestowała Eve i pociągnęła go za ramię. - Nie zostawiaj mnie teraz.

Grillo podniósł wzrok i zobaczył, że komik wpatruje się w niego z równym natężeniem, jak przed chwilą Rochelle. „Oni wiedzą - pomyślał. - Wiedzą, ale milczą”.

Jeszcze raz spróbował zawrócić Eve.

- Może byśmy tak przyszli tu później?

Ale Eve nie miała zamiaru ustąpić:

- Idę z tobą albo bez ciebie - i pięła się mozolnie w górę.

- Jesteśmy na pierwszym podejściu - oświadczył Lamar, kiedy się tam znaleźli. Jeśli by pominąć tamtych dziwnych, milczących gości, niewiele tam było do oglądania, zważywszy iż Eve już wcześniej stwierdziła, że zbiory sztuki Vance'a napełniają ją odrazą. Znała niektórych członków tej bezczynnej grupy i pozdrowiła ich. Odpowiedzieli na powitanie, ale z roztargnieniem. W ich ospałości było coś, co przypominało Grillo ćpunów, którzy przed

chwilą zrobili sobie zastrzyk. Eve nie pozwoliła się tak zbyć.

- Sagansky - zwróciła się do jednego z nich. Wyglądał jak gwiazda przedpołudniowego przedstawienia, która zeszła na psy. Obok niego stała jakaś kobieta; wyglądała, jakby opuściła ją resztką życia. - Co wy tu właściwie robicie?

Sagansky podniósł na nią oczy.

- Pst... - syknął ostrzegawczo.

- Czy ktoś umarł? - spytała Eve. - To znaczy, oprócz Buddy'ego.

- Jakie to smutne - powiedział Sagansky.

- Każdego z nas to spotka - stwierdziła Eve rzeczowo. - Ciebie też. Sam się przekonasz.

Czy zwiedziłeś już tę wielkopańską rezydencję?

Sagansky skinął twierdząco głową.

- Lamar... - powiedział, próbując skupić wzrok na komiku, co nie od razu mu się udało.

- Lamar nas oprowadził.

- Mam tylko nadzieję, że to jest warte zachodu - zauważyła Eve.

- Owszem - przytaknął Sagansky. - To naprawdę... warte zachodu. Zwłaszcza, jak się obejrzy pokoje na górze.

- No właśnie - wtrącił Lamar. - Może byśmy od razu tam poszli.

Spotkanie z Saganskym i jego żoną ani trochę nie złagodziło paranoicznych odczuć

Grillo. Rozgrywały się tu jakieś niesamowite wypadki.

- Chyba damy już sobie spokój ze zwiedzaniem - powiedział do Lamara.

- Och, przepraszam. Zapomniałem o Eve - odparł komik. - Biedna Eve. To wszystko pewnie bardzo cię męczy.

Jego protekcyjny, świetnie wymodulowany ton odniósł dokładnie ten skutek, o jaki mu chodziło.

- Nie bądź śmieszny - prychnęła. - Może nie jestem małolată, ale jeszcze nie

zramolałam. Prowadź nas na górę!

Lamar wzruszył ramionami:

- Jesteś pewna?

- Pewnie, że jestem pewna.

- Jeśli nalegasz... - rzucił i poprowadził ich obok grupki milczących gości do następnej kondygnacji schodów. Grille poszedł za nim. Kiedy mijał Sagansky'ego, słyszał jak tamten mamrocze urywki swojej rozmowy z Eve - Jak śnięte ryby niesione przez wir odległych wspomnień.

...to naprawdę... to jest warte zachodu... zwłaszcza na górze...

Eve już go wyprzedziła, zdecydowana dotrzymać Lamarowi kroku.

Grille zawołał za nią:

- Eve! Nie chodź tam!

Zignorowała go.

- Eve! - zawołał głośniejsze.

Tym razem obejrzała się.

- Idziesz, Grillo? - zapytała.

Jeśli Lamar zauważył, że niechcący ujawniła prawdziwe nazwisko Grillo, to niczym tego nie okazał. Po prostu prowadził ją dalej na szczyt schodów, po czym oboje znikli za załomem muru.

Niejeden już raz udało się Grillo uniknąć poważnych kłopotów dzięki temu, że zwracał uwagę na oznaki grożącego niebezpieczeństwa, podobnie jak teraz, podczas pokonywania schodów. Nie mógł jednak pozwolić, by podrażniona duma Eve doprowadziła ją do zguby. W ciągu minionej godziny zdążył już ją polubić. Przeklinając w równym stopniu siebie i ją,

szedł w ślad za Eve i jej uwodzicielem.

Na dworze, przy bramie wjazdowej powstało niewielkie zamieszanie. Zaczęło się od wiatru, który zerwał się ni stąd, ni zowąd i sunął przez porastające Wzgórze drzewa jak fala. Był suchy, pełen kurzu; zapędził kilkoro spóźnionych gości z powrotem do limuzyny, gdzie poprawiali rozmazany makijaż.

Wraz z porywistym wiatrem nadjechał jakiś samochód. Za kierownicą siedział lepiący się od brudu młodzieniec, który niedbale zażądał, by wpuszczono go do domu.

Strażnicy zachowywali spokój. W swojej pracy mieli już do czynienia z mnóstwem podobnych intruzów - chłopaczkami, którzy mieli w sobie więcej bezczelności niż rozumu i chcieli sobie po prostu popatrzeć na elegancki świat.

- Nie masz zaproszenia, synu - odezwał się jeden ze strażników.

Intruz wygramolił się z samochodu. Był wymazany krwią; cudzą.

W oczach - spojrzenie wściekłego psa. Widząc je, strażnicy wsunęli dłonie pod marynarki, do ukrytej tam broni.

- Muszę zobaczyć się z moim ojcem - oświadczył chłopiec.

- Czy to jeden z zaproszonych? - spytał strażnik. Było niewykluczone, że miał przed sobą jakiegoś szczeniaka z bogatej rodziny z Bel Air, który przyjechał do tatusia.

- Tak, to jeden z gości - odparł Tommy-Ray.

- Jak się nazywa? - indagował strażnik. - Podaj mi listę zaproszonych, Clark.

- Nie ma go na żadnej z tych waszych list - powiedział Tommy-Ray. - On tu mieszka.

- Pomyliłeś domy, synu - Clark musiał podnieść głos, by przekrzyczeć wiatr huczący w drzewach, który nie milkł ani na chwilę. To jest dom Buddy'ego Vance'a. Chyba że jesteś którymś z jego bachorów. - Wyszczrzył zęby do trzeciego strażnika, ale tamten nie odwzajemnił uśmiechu.

Wpatrywał się w drzewa, czy może w powietrze, które nimi poruszało. Zwąził oczy, jakby coś dostrzegł w zasnutym kurzawą niebie.

- Jeszcze tego pożałujesz, czarnuchu - powiedział chłopiec do pierwszego strażnika. - Ja tu wrócę, zobaczysz; z tobą pierwszym zrobię porządek - wycelował w Clarka palec. - Słyszysz? On będzie pierwszy, a ty zaraz za nim.

Wsiadł do samochodu, odjechał w tył, zawrócił i popędził w dół Wzgórza.

Jakimś niesamowitym trafem wiatr zdawał się odchodzić wraz z nim - w dół, do Palomo Grove.

- Dziwne, cholera - powiedział strażnik, wpatrujący się w niebo, kiedy w drzewach zamarł najlżejszy ruch.

- Idź do domu - zwrócił się do Clarka pierwszy strażnik. - Rozejrzyj się, czy tam wszystko gra...

- Niby dlaczego miałoby nie grać?

- Idziesz czy nie, do jasnej cholery! - krzyknął strażnik, wciąż patrząc w dół wzgórza, tam, dokąd odeszli chłopiec i wiatr.

- Nie podskakuj, bo spadną ci majtki - odciął się Clark i poszedł wykonać polecenie.

Teraz, po odejściu wiatru, dwaj pozostali strażnicy zdali sobie sprawę z ciszy, która zapanowała dookoła. Z leżącego w dole miasta nie dochodził żaden dźwięk. Żaden dźwięk nie dobiegał z domu na górze. A oni dwaj stali w milczącym szpalerze drzew.

- Byłeś kiedy pod ostrzałem, Rab? - zapytał obserwator nieba.

- Nie. A ty?

- Jasne. - Wydmuchał kurz w chusteczkę, którą jego żona Marci wyprasowała i wsunęła do górnej kieszonki jego smokinga. Pociągając nosem badał nieboskłon.

- Między atakami... - zaczął.

- Tak?

- ...człowiek ma takie uczucie jak teraz.

Tommy-Ray - pomyślał dżaff. Oderwał się na chwilę od swych zajęć i podszedł do okna. Pochłonięty pracą, zdał sobie sprawę z bliskości syna dopiero wtedy, gdy tamten odjeżdżał ze Wzgórza. Próbował przesłać chłopcu komunikat, ale adresat go nie otrzymał. Myśli, którymi dżaff manipulował przedtem z taką łatwością, stały się teraz odporne. Zaszła jakaś zmiana - doniosła zmiana, której dżaff nie potrafił zinterpretować. Umysł chłopca przestał być otwartą księgą. Sygnały, które doń docierały, były niejasne i mylące. W chłopcu był strach, uczucie dotąd mu nie znane, i był w nim chłód, przenikliwy chłód.

Roztrząsanie tych sygnałów miało się obecnie z celem; dżaff miał do załatwienia wiele innych spraw. Chłopiec tu jeszcze wróci. Właściwie była to jedyna jasna wiadomość, jaką otrzymał - że Tommy-Ray zamierza powrócić.

Tymczasem czekały dżaffa pilniejsze sprawy. Popołudnie było produktywne. W ciągu dwóch godzin wykonał plany, które wiązał z tym towarzystwem. Zebrał sojuszników najczystszej wody - takich z pewnością nie znalazłby pośród terata, wyluskanych z growian. Osobnicy, którzy je z siebie wydali, początkowo opierali się jego namowom. Należało się tego spodziewać. Kilka osób, przeświadczonych, że grozi im śmierć, wyciągnęło portfele, próbując wykupić się z pokoju na górze. Dwie kobiety obnażyły swoje silikonowe biusty, ofiarując ciało w zamian za życie; jakiś mężczyzna spróbował podobnego targu. Ale ich narcyzm kruszył się jak cukrowa ściana; dawali spokój namowom, błaganiom i przedstawieniom, gdy tylko zaczęli wypacać z siebie lęki i obawy. Potem odsyłał ich wszystkich do salonu - wydojonych i biernych.

Wraz z napływem świeżych rekrutów, oczyszczał się charakter towarzystwa, stojącego obecnie wzdłuż ścian salonu. W panującym mroku, poddając się procesowi upodobnienia,

terata cofały się w rozwoju, w kierunku jakichś dawniejszych form bytu - posępnych, uproszczonych. Utraciły swoje cechy osobnicze. Dżaff nie potrafiłby już dopasować do nich nazwisk ludzi, którzy wydali je na świat. Gunther Rothbery, Christine Seapard, Laurie Doyle, Martine Nesbitt - co się z nimi stało? Wtopili się w pospolitą, ociążałą masę.

Zebrał legion na tyle wielki, że potrafił jeszcze utrzymać go w ryzach; jeśli go powiększy, wojsko odmówi mu posłuszeństwa. Być może już do tego doszło. A jednak wciąż odsuwał od siebie chwilę, kiedy pozwolił swym ręką na to, do czego były stworzone i przetworzone: użyć Sztuki. Minęło dwadzieścia lat od dnia, który wstrząsnął całym jego życiem - dnia, w którym znalazł emblemat Szkoły, zagubiony na bezdrożach Nebraski. Nigdy tam nie powrócił. Nawet podczas wojny z Fletcherem, szlak bitewny ani razu nie zawiódł go do Omaha. Wątpił, by pozostał tam jeszcze ktoś, kogo znał. Rozpacz i choroby z pewnością zabrały przynajmniej połowę z nich, drugą połowę - wiek. Do niego te siły nie miały oczywiście dostępu.

Upływ lat nie miał nad nim żadnej władzy. Miało ją tylko nuncjo - od tej przemiany nie było odwrotu. Musiał iść dalej, zrealizować ambicje, które zrodziły się w nim tamtego dnia i trwały przez wszystkie następne. Uciekł z szarości zwykłego życia na nieznane obszary i rzadko oglądał się za siebie. Ale dziś, w pokoju na piętrze, kiedy jedna po drugiej defilowały przed nim sławne osobistości - płakały, trzęsły się ze strachu i obnażały przed nim najpierw swoje biusty, a potem dusze - nie mógł się powstrzymać przed spojrzeniem wstecz, na człowieka, którym kiedyś był, a który nigdy nie śmiałby nawet marzyć, że znajdzie się w tak świetnym towarzystwie. A kiedy już do tego doszło, wykrzył w sobie coś, co prawie udawało mu się ukryć przez wszystkie te lata. Właśnie to, co musiały z siebie wypocić jego ofiary: strach.

Chociaż zmienił się nie do poznania, jakąś częścią swojej duszy pozostał Randolphem

Jaffe'em, i tak już miało być zawsze. Ta cząstka szeptała mu do ucha: „To niebezpieczne przedsięwzięcie. Sam nie wiesz, za co się bierzesz. Możesz zginąć”.

Doznał wstrząsu, słysząc w sobie ten głos po tylu latach milczenia, ale jednocześnie poczuł się dziwnie podniesiony na duchu. Nie mógł go przy tym ignorować, ponieważ słusznie go ostrzegał. Dżaff rzeczywiście nie wiedział, co nastąpi po użyciu Sztuki. Nikt naprawdę tego nie wiedział. Słyszał na ten temat tyle opowieści, badał zawarte w nich metafory. Ale to były tylko opowieści, tylko metafory. Quiddity nie było morzem w dosłownym znaczeniu tego słowa, podobnie jak Efemeryda nie była wyspą. To tylko materialistyczny opis pewnego stanu umysłu. Może jedyne go stanu umysłu. Teraz minuty dzieliły go od otwarcia drzwi do tego stanu, a dżaff prawie nie znał jego istoty.

Drzwi mogły prowadzić zarówno do obłądzenia, piekła i śmierci, jak do nieba i życia wiecznego. Przekona się o tym, dopiero gdy je przekroczy - użyje Sztuki.

A po co jej w ogóle używać? - szeptał w nim człowiek, którym był trzydzieści lat temu. -

Może lepiej cieszyć się władzą, którą już zdobyłeś? Osiągnąłeś już przecież więcej, niż kiedykolwiek marzyłeś. Kobiety same ofiarowują ci swoje ciała, mężczyźni padają przed tobą na kolana, by błagać o litość, z nosa cieknie im śluz. Czego jeszcze chcesz? Czy w ogóle człowiek może pragnąć czegoś więcej?

Wyjaśnij - usłyszał w odpowiedzi. - *Głębszego sensu, ukrytego za tymi cyckami i łzami; wglądu w obraz całości.*

Masz wszystko, co można mieć - odezwał się głos z przeszłości. - *Bierz, co jest. Więcej nie będzie.*

Rozległo się ciche pukanie do drzwi - umówiony znak Lamara.

- Chwileczkę mruknął, próbując snuć dalej swoje rozważania.

Po tamtej stronie drzwi Eve klepnęła Lamara po ramieniu:

- Kto tam jest? - spytała.

Komik uśmiechnął się leciutko.

- Ktoś, kogo powinnaś poznać.

- Jakiś przyjaciel Buddy'ego?

- Trafiaś.

- Kto?

- Nie znasz go.

- Więc po co zawracać nim sobie głowę? - wtrącił Grillo. Złapał Eve za ramię. Jego podejrzenia przerodziły się w pewność. Na piętrze unosił się ciężki zaduch, a szmery, dobiegające zza drzwi świadczyły, że znajduje się tam wiele osób.

Poproszono ich do środka. Lamar przekręcił gałkę, otworzył drzwi.

- Wejdz, Eve - powiedział.

Wyrwała ramię z zaciśniętych palców Grille i pozwoliła, by Lamar wprowadził ją do pokoju, jeden stopień wyżej.

- Ciemno tu - stwierdziła.

- Eve - nie wytrzymał Grille. Odepchnął Lamara i sięgnął przez próg, by ją zatrzymać.

Rzeczywiście było tam ciemno. Wieczór zapadał nad Wzgórzem, a resztką światła, sącząca się przez odległe okno, ledwie rysowała kontury wnętrza. Tuż przed sobą dojrzał sylwetkę

Eve. Znow schwyił ją za ramię. - Dostyc tego - powiedział i zawrócił w stronę drzwi. - W tym momencie Lamar uderzył go w sam środek twarzy - cios był silny i nieoczekiwany.

Grillo puścił ramię Eve i upadł na kolana, czując w nosie woń własnej krwi. Za jego plecami komik zatrzaskał drzwi.

- Co się tu dzieje? - usłyszał głos Eve - Lamar? O co tu chodzi?

- Nic takiego - mruknął zapytany.

Grillo uniósł głowę, z nosa trysnęła mu krew. Przyłożył do twarzy dłoń, by zatamować krwotok, i rozejrzał się po pokoju. W tamtej krótkiej chwili, gdy zajrzał do wnętrza, sądził, że pokój jest przeładowany meblami. Mylił się.

W pokoju tłoczyły się żywe istoty.

- Lam... - znów odezwała się Eve; jej głos stracił całą zawadiackość. - Lamar... kto tu jest?

- Jaffe... - powiedział jakiś cichy głos. - Randolph Jaffe.

- Zapalić światło? - spytał Lamar.

- Nie - dobiegła odpowiedź z głębi mroku. - Nie zapalaj. Jeszcze nie.

Mimo szumu w głowie, Grillo rozpoznał głos i osobę. Randolph Jaffe: dżaff. Teraz już wiedział, kim są postaci, kryjące się w najmroczniejszych zakamarkach pokoju. Roilo się tu od bestii, które dżaff wydobył na świat.

Eve także je dostrzegła.

- Mój Boże - mówiła. - Mój Boże, Boże, co się tu dzieje?

- To przyjaciele przyjaciół - odezwał się Lamar.

- Nie róbcie jej nic złego - powiedział Grillo.

- Nie jestem mordercą - zabrzmiał głos Randolpha Jaffe'a. - Wszyscy, którzy tu weszli, odeszli żywi. Chcę tylko niewielkiej waszej części...

Jego głos utracił pewność, którą Grillo słyszał podczas publicznego występu dżaffa w Pasażu. Sporą część swego życia w zawodzie reportera Grillo poświęcił na słuchaniu tego, co mówią inni, wypatrując oznak życia ukrytego za życiem. Jak to Tesla określiła? Mówiła coś o szukaniu tajemnego terminarza. W słowach dżaffa z pewnością brzmiał teraz jakiś podtekst. Jakaś nowa dwuznaczność. Czy mogło to oznaczać nadzieję ratunku? Albo przynajmniej odroczenie egzekucji?

- Pamiętam pana powiedział Grillo. Usiłował wziąć go na spytki, przerobić podtekst na tekst. Nakłonić go, by wyjawiał swoje wątpliwości. - Widziałem, jak się pan palił.
- Nie... - powiedział głos w ciemności - to nie byłem ja...
- Pomyliłem się. Więc kto... jeśli można spytać...?
- Nie, nie można - powiedział stojący za nim Lamar. - Które z nich chcesz najpierw? - zapytał dżaffa.

Pytanie pozostało bez odpowiedzi. Mężczyzna ukryty w mroku powiedział:

- Kim jestem? Dziwne, że o to pytasz - mówił tonem prawie rozmarzonym.
- Proszę pana - powiedziała Eve cicho. - Duszę się w tym pokoju.
- Pst - uciszył ją Lamar i uczynił gest, jakby chciał uchwycić ją za ramiona. Ukryty w mrocznych cieniach dżaff kręcił się niespokojnie w fotelu, jakby nie mógł znaleźć sobie miejsca.
- Nikt nie wie... - zaczął - ...do jakiego stopnia to jest okropne.
- Ale co? - indagował Grillo.
- Mam Sztukę. Zdobyłem ją - odparł dżaff. - Więc muszę jej użyć. byłoby wielkim marnotrawstwem, gdybym tego nie zrobił, po tak długim czekaniu, po tak wielkiej przemianie...

„Robi w portki - pomyślał Grillo. - Stoi na krawędzi i strach go bierze, że mu się noga omsknie i że facet wpadnie”. W co, Grillo nie wiedział, ale z tej sytuacji z pewnością da się wyciągnąć jakieś korzyści. Postanowił nie wstawać z podłogi, gdzie nie stanowił fizycznego zagrożenia dla tamtego mężczyzny. Powiedział cichutko:

- Sztuka. Co to jest?

Jeśli następne słowa miały być odpowiedzią, to była to odpowiedź bardzo pokrętna.

- Wszyscy są tacy zagubieni. Korzystam z tego. Korzystam ze strachu, który w sobie

kryją.

- A pan nie? - zapytał Grillo.

- Co ja?

- Pan nie jest zagubiony?

- Kiedyś myślałem, że odnalazłem Sztukę... ale to chyba Sztuka odnalazła mnie.

- To dobrze.

- Czyżby? Nie wiem, do czego ona może doprowadzić...

„Tu cię boli - pomyślał Grillo. - Dostałeś wreszcie nagrodę, ale boisz się ją rozpakować”.

- Może zniszczyć nas wszystkich.

- Przedtem mówiłeś co innego - wymamrotał Lamar. - Mówiłeś, że zawładniemy marzeniami. Wszystkimi snami, które kiedykolwiek śniła Ameryka, które śnił cały świat.

- Może - powiedział džaff.

Lamar puścił Eve i postąpił w stronę swego mistrza.

- Ale przecież dopiero co powiedziałaś, że możemy zginąć? Ja nie chcę umierać. Chcę Rochelle. Chcę mieć ten dom. Mam przed sobą przyszłość. Nie zrezygnuję z tego.

- Nie próbuj zrywać się ze smyczy - powiedział džaff.

Po raz pierwszy w czasie tej rozmowy Grillo wychwycił w jego głosie ton, który słyszał u niego w Pasażu. Opór Lamara obudził w nim dawną werwę. Grillo przeklinał komika za ten bunt, który miał jeden dobry skutek: pozwolił Eve cofnąć się o krok w stronę drzwi. Grillo nie ruszał się z podłogi. Jakakolwiek próba dołączenia do Eve, przyciągnęłaby uwagę tamtych do obojga i żadne nie miałyby szansy ucieczki. Jeśli Eve uda się stąd wymknąć, mogłaby wszcząć alarm.

Tymczasem Lamar mnożył swoje żale.

- Dlaczego mnie okłamywałaś? Powiniennem być od razu zrozumieć, że nic nie zyskam na tej znajomości. A niech cię cholera...

Grillo podjudzał go w myślach. Mrok gęstniał równie szybko, jak jego oczy oswajały się z ciemnością, więc nie widział swojego porywacza lepiej niż w chwili, gdy wszedł do pokoju, dostrzegł jednak, że tamten wstaje. Ruch dzaffa wywołał poruszenie w mrocznych zakamarkach. Czające się tam stwory zareagowały na obrazę, która spotkała ich twórcę.

- Jak śmiesz - powiedział dzaff.

- Mówiłeś, że nic nam nie grozi - nie ustępował Lamar.

Grillo słyszał. Jak skrzypnęły za nim drzwi. Chciał się obejrzeć, ale zapanował nad pokusą.

- Tak mówiłeś: nic nam nie grozi! - Lamar nie ustępował.

- To nie takie proste - zabrzmiał głos dzaffa.

- Wynoszę się stąd! - Lamar ruszył do drzwi.

Było zbyt ciemno, by Grillo mógł widzieć wyraz jego twarzy, ale wiedział już wszystko, gdy dojrzał błysk światła, wpadający przez uchylone drzwi i usłyszał kroki Eve, wymykającej się z pokoju. Kiedy Lamar, przeklinając, szedł do drzwi, Grillo wstał. Był wciąż zamroczony od ciosu i gdy się wyprostował, zakręciło mu się w głowie, ale osiągnął drzwi o krok przed Lamarem. Zderzyli się, złączona masa ich ciał runęła na drzwi i zatrzasnęła je. Wynikło krótkie zamieszanie - prawie jak w farsie - gdy obaj usiłowali sięgnąć do klamki. Potem coś wkroczyło do akcji. Za plecami Lamara zamajaczył w ciemności jakiś błądy kształt - odbijał szarością od czarnego tła. Stwór ujął komika od tyłu; z zaatakowanego gardła wyrwało się ciche rżenie. Lamar wyciągnął ręce do Grillo, ale ten wysliznął mu się i uciekł w głąb pokoju. Nie mógł teraz widzieć, jak terata pasożytuje na ciele Lamara, i cieszył się z tego. Wystarczył mu widok rąk i nóg ofiary, bijących powietrze, i odgłos gardłowych

dźwięków. Widział, jak komik wali się na drzwi, a potem powoli zsuwa na podłogę, coraz mniej widoczny zza cielska terata. Po chwili obaj znieruchomieli.

- Nie żyje? - zapytał Grillo.

- Tak - odparł dżaff. - Nazwał mnie kłamcą.

- Nigdy tego nie zapomnę.

- I słusznie.

Dżaff zrobił w ciemności jakiś ruch. Co oznaczał - Grillo nie wiedział.

Ale następstwa tego ruchu wiele wyjaśniły. Na palcach dżaffa zaczęły pękać pęcherzyki światła, oświetlając jego wychudzoną twarz, jego postać, ubraną tak samo jak w Pasażu (wydawało się, że sączy się z niej ciemność) a także pokój wraz z terata, które już nie były skomplikowanymi stworami, ale zjeżonymi cieniami, tłoczącymi się wzdłuż ścian.

- No, Grillo... - powiedział dżaff - ...chyba będę musiał to zrobić.

IX

Po miłości - sen. Nie tak to sobie planowali, ale od chwili, gdy się spotkali, ani Jo-Beth, ani Howiemu nie udało się przespać dłużej niż paru godzin. Potem znów zrywali się ze snu, przy tym miętka ziemia, na której się kochali kusiła do spoczynku. Nie obudzili się nawet, kiedy słońce schowało się za drzewa. Kiedy wreszcie Jo-Beth otworzyła oczy, nie obudził jej chłód - noc była ciepła i pachnąca. Dookoła nich cykały w trawach świerszcze. Liście poruszały się leciutko. Ale te uspokajające widoki i dźwięki zakłócał dziwny, niewytłumaczalny blask bijący zza drzew.

Bardzo łagodnie zakołysała Howiem, pragnąc, by się obudził. Niechętnie otwierał oczy; zatrzymał wzrok na twarzy budzącej go dziewczyny.

- Cześć - powiedział. Po chwili dodał: - Zdaje się, że zaspaliśmy? Która godzi...

- Tam ktoś jest, Howie - szepnęła.

- Gdzie?

- Widzę tylko jakieś światła. Otoczyli nas! Zobacz!

- Okulary - odszepnął - zostały w koszuli.

Poszła pobierać ubranie, które z siebie zrzucił. Howie rozglądał się dookoła, mrużąc oczy. Ustawione przez policję barykady - a za nimi jaskinia; przepaść, w której wciąż leżał Buddy Vance. Kochać się tu w biały dzień wydawało się tak naturalną rzeczą. Teraz zakrawało to na perwersję.

Gdzieś w tych głębinach leżał zmarły - w tych samych ciemnościach, które otaczały ich ojców przez wszystkie te lata, gdy czekali.

- Masz - powiedziała Jo-Beth.

Drgnął, słysząc jej głos.

- Wszystko w porządku - uspokoiła go cichym głosem. Wyciągnął okulary z kieszonki koszuli i włożył je na nos. Między drzewami rzeczywiście były jakieś światła, ale ich źródło było niewiadome.

Jo-Beth udało się odzyskać nie tylko koszulę, ale i resztę ich garderoby.

Zaczęła wkładać bieliznę. Nawet teraz, kiedy serce waliło mu z całkiem innego powodu, widok dziewczyny podniecił go. Uchwyciła jego spojrzenie i pocałowała go.

- Nikogo nie widzę - powiedział Howie, nie podnosząc głosu.

- Może się pomyliłam, ale zdawało mi się, że słyszałam jakichś ludzi.

- Duchy - powiedział i zaraz pożałował, że w ogóle o tym pomyślał. Kiedy wciągał slipy, coś mu mignęło między drzewami. - Cholera - mruknął.

- Widzę coś - odezwała się Jo-Beth. Patrzyła w przeciwnym kierunku.

Poszedł za jej wzrokiem. Tam także dostrzegł jakiś ruch w mroku pod konarami drzew.

I jeszcze jeden ruch. I następny.

- Są wszędzie dookoła - stwierdził, wkładając koszulę i sięgając po dzinsy. - Otoczyli nas - kimkolwiek są.

Wstał, czując mrowienie w nogach; próbował rozpaczliwie wymyślić jakiś sposób obrony. Może rozwali jedną z tych barykad i natrafi na coś, co mu posłuży za broń? Spojrzał na Jo-Beth - była już prawie ubrana - a potem znów na drzewa.

Spod gałęzi drzew wyłoniła się jakaś niewielka postać, ciągnąca za sobą widmową poświatę. Nagle wszystko stało się jasne. Figurka należała do Benny Pattersona; ostatnim razem Howie widział małego przed domem Lois Knapp - biegł ulicą i wołał za nim. Z jego buzi zniknął słoneczny uśmiech.

Przy tym rysy twarzy miał rozmazane - jak na zdjęciu, wykonanym przez fotografa, tkniętego niedowładem. Jednak światło, które towarzyszyło mu podczas występów w telewizji, nie odstępowało go ani o krok. Ta właśnie poświata migiała między drzewami.

- Howie - powiedział.

Jego głos, podobnie jak twarz, zatracił cechy indywidualne. Pozostało mu tylko imię, którego wciąż rozpaczliwie się trzymał.

- Czego chcesz? - zapytał Howie.

- Szukaliśmy ciebie.

- Nie podchodź do niego - ostrzegła Jo-Beth. - To po prostu senne widzenie.

- Wiem - odpowiedział. - Oni nie chcą nas skrzywdzić. A ty, Benny?

- Jasne, że nie.

- Więc się pokażcie - Howie zwrócił się do kręgu otaczających ich drzew. - Chcę was zobaczyć.

Posłuszni wezwaniu, wyłaniali się spoza drzew. Podobnie jak Benny, wszyscy zmienili się od czasu, gdy widział ich w domu Knappów. Ich wypucowane do połysku postaci nosiły

ślady brudnych palców, oślepiające uśmiechy przygasły. Bardzo się do siebie upodobnili - te rozmazane, świetliste postaci z trudem czepiały się resztek tożsamości. Zrodziła ich i ukształtowała wyobraźnia growian, ale gdy tylko oddalili się od swych twórców, cofnęli się do prostszej formy bytu - światła, które emanowało z ciała Fletchera, kiedy umierał w Pasażu. Taka była jego armia, jego hallucigenia - senne marzenia. Howie nie musiał pytać, po co tu przyszli.

Przyszli po niego. Był przecież królikiem, którego Fletcher wyciągnął z cylindra; najprawdziwszą kuglarską sztuczką. Uciekł przed ich natarczywością zeszłej nocy, a jednak odnaleźli go, zdecydowani, że właśnie on będzie ich przywódcą.

- Wiem, czego ode mnie chcecie - powiedział - ale nie mogę wam tego dać. To nie jest moja wina.

Przyglądając się zgromadzonym, rozpoznawał twarze, które widział w domu Knappów, chociaż rozkładały się na cząsteczki światła. Byli tam kowboje, chirurdzy, gwiazdy oper mydlanych, konferansjerzy teleturniejów.

Było także wielu innych, których nie widział na przyjęciu u Lois. Jakiś świetlisty kształt, który przedtem był wilkołakiem; kilka innych, które mogły być bohaterami komiksów; jeszcze inne - konkretnie cztery - były przedtem wcieleniami Chrystusa, dwa z nich miały lekko krwawiące rany na czole, w boku, na rękach i nogach; kilkanaście innych jakby żywcem wyjętych z filmów tylko dla dorosłych, mokrych od spermy i potu. Był Baloniarz, wymalowany na jasnoczerwony kolor; Tarzan i Krąży Kat.

Z tymi łatwo rozpoznawalnymi bóstwami były przemieszane inne, prywatne marzenia - jak domyślał się Howie - tęsknoty ludzi, na których spadła cząstka światła Fletchera. Utraceni małżonkowie, których nie mógł zastąpić żaden kochanek; jakaś osoba widywana na ulicy, do której marzący o niej nigdy nie odważył się podejść. Wszyscy oni, prawdziwi czy

nieprawdziwi, o barwach stonowanych czy w technicolorze, byli dotykalnymi obiektami
uczuć, najprawdziwiej ukochanymi. W ich istnieniu było coś niezaprzeczalnie wzruszającego.
Ale Howie i Jo-Beth zawsze usilnie pragnęli uniknąć udziału w tej wojnie, uchronić swoje
uczucie od zmyy i szkody.

Wciąż trwali przy tym postanowieniu.

Zanim zdążył jeszcze raz wyłożyć swoje racje, z kręgu wystąpiła jedna z osób, których
nie umiał zidentyfikować - kobieta, zbliżająca się do wieku średniego.

- Duch twojego ojca jest w nas wszystkich - powiedziała. - Jeśli odwrócisz się od nas,
odwrócisz się także od niego.

- Sprawa nie jest taka prosta - odparł. - Muszę się liczyć także z innymi. - Wyciągnął
rękę do Jo-Beth, która wstała z ziemi i stanęła u jego boku. - Wiecie, kto to jest. Jo-Beth
McGuire. Córka džaffa. Wroga Fletchera, a więc, jeśli was dobrze zrozumiałem, wasz wróg.
Ale coś wam powiem... ona jest pierwszą osobą, jaką spotkałem w moim życiu... o której
mogę powiedzieć, że jest moją prawdziwą miłością. Jest dla mnie najważniejsza. Ważniejsza
od was. Od Fletchera. Od tej parszywej wojny.

Z szeregu odezwał się teraz trzeci głos.

- Myliłem się...

Howie obejrzał się i zobaczył, że zbliża się do niego niebieskooki kowboj, twór Mela
Knappa. - Myliłem się, sądząc, że chcesz, żeby ją zabić. Żałuję tego. Jeśli nie chcesz, by stała
jej się krzywda...

- Czy nie chcę, by stała jej się krzywda?! Mój Boże, ona jest warta dziesięciu
Fletcherów. Szanujcie ją tak, jak ja ją szanuję, albo idźcie wszyscy do diabła!

Zapadła cisza tak głęboka, że aż dzwoniło w uszach.

- Nikt się nie sprzeciwia - odezwał się Benny.

- Słyszę.
 - Więc poprowadzisz nas?
 - Jezu.
 - Dżaff jest teraz na Wzgórzu - powiedziała kobieta. - Wkrótce użyje Sztuki.
 - Skąd pani wie?
 - Jesteśmy duchem Fletchera - powiedział kowboj. - Znamy zamiary dżaffa.
 - A czy wiecie, jak go powstrzymać?
 - Nie - odrzekła kobieta - ale musimy spróbować. Trzeba ratować Quiddity.
 - I uważacie, że ja się na coś przydam? Nie jestem taktykiem.
 - Rozpadamy się - odezwał się Benny. Nawet w tym krótkim czasie, który upłynął od chwili, gdy się ukazał Howiemu, rysy jego twarzy uległy dalszemu zatarciu. - My... zaczynamy marzyć. Potrzebujemy kogoś, kto przypilnuje, byśmy wykonali nasze zadanie.
 - On ma rację - potwierdziła kobieta. - Nie przyszliśmy tu na długo. Wielu z nas nie przetrwa do rana. Musimy zrobić, co możemy. Szybko.
- Howie westchnął. Kiedy Jo-Beth wstawiała, puścił jej rękę. Teraz ujął ją znowu.
- Co mam robić? - zwrócił się do dziewczyny. - Pomóż mi.
 - Rób, co uważasz za słuszne.
 - Co uważam za słuszne...
 - Kiedyś powiedziałeś mi, że żałujesz, że nie poznałeś Fletchera bliżej. Może...
 - Co? Mów.
 - Nie uśmiecha mi się iść na dżaffa z tymi... marzeniami w charakterze wojska, ale może robiąc to, co zrobiłby twój ojciec, to jedyny sposób, by dochować mu wierności. I... uwolnić się od niego.

Spojrzał na nią nowymi oczami. Rozumiała jego najgłębsze rozterki, potrafiła w tym

labiryncie odnaleźć drogę do miejsca, gdzie Fletcher i dzaff nie osiągną ani jego, ani jej. Ale nic za darmo.

Jo-Beth już zapłaciła - odeszła dla niego od swojej rodziny. Teraz jego kolej.

- Zgoda - zwrócił się do zebranych. - Idziemy na Wzgórze.

Jo-Beth ścisnęła mu rękę.

- Dobrze - powiedziała.

- Chcesz iść z nami?

- Muszę.

- Tak chciałem, żebyśmy trzymali się od tego z daleka.

- Będziemy - powiedziała. - A jeśli się nam to nie uda... jeśli się coś stanie jednemu z nas albo obojgu... to i tak przeżyliśmy naszą chwilę szczęścia.

- Nie mów tak.

- Mieliśmy z życia więcej niż twoja matka albo moja - przypomniała mu. - Więcej niż większość ludzi z tego miasta. Kocham cię, Howie.

Wziął ją w ramiona i przytulił; cieszył się, że patrzy na nich duch Fletchera, chociaż jest tu w stu różnych postaciach.

„Chyba jestem gotowy na śmierć - pomyślał. - W każdym razie na tyle. na ile mogę”.

X

Eve wymknęła się z pokoju na górze przerażona, bez tchu. Zdążyła jeszcze zobaczyć, że Grillo wstał z podłogi i szedł do drzwi, a Lamar odciął mu odwrót. Ledwie przestąpiła próg, drzwi zatrzasnęły się. Oczekała chwilę pod drzwiami, a słysząc śmiertelne rżenie Mistrza Dowcipu, pospieszyła w stronę schodów, by wezwać pomoc.

Chociaż na dworze zapadła ciemność, więcej światła paliło się przed domem niż w domu - powódź jaskrawych światła zalewała różnorodne eksponaty, wśród których niedawno

spacerowała w towarzystwie Grillo.

Mieszanina kolorów: szkarłatu, zieleni, żółci, błękitu i fioletu oświetlała jej drogę do podestu, gdzie wraz z Lamarem spotkała Sama Sagansky'ego. Był tam jeszcze wraz z żoną. Eve odniosła wrażenie, że od tamtej pory wcale się nie poruszyli, tyle że teraz patrzyli do góry, na sufit.

- Sam! - zawołała Eve. biegnąc do niego - Sam! - panika i spieszne zejście ze schodów pozbawiło ją tchu. Jej opis budzących zgrozę wydarzeń w szczytowym pokoju był serią posapywań i wykrzykników bez związku.

- ...Musisz go powstrzymać!... w życiu nie widziałeś czegoś tak... to straszne... Sam, spójrz na mnie!...

Sam nie zwracał na nią uwagi. Zachowywał całkowitą obojętność.

- Chryste, Sam, czym się tak zaprawiłeś?!

Machnęła na niego ręką i zwróciła się do innych stojących tu beczynn timerów. Było ich około dwudziestu. Od czasu gdy nadbiegła, żaden z gości nie ruszył się z miejsca - ani by jej pomóc, ani by przeszkodzić. Zauważyła teraz, że nikt nawet nie spojrzał w jej stronę.

Podobnie jak Sagansky z żoną patrzyli w sufit, jakby na coś czekając. Panika nie odebrała Eve trzeźwości sądu. Wystarczyło, że raz spojrzała na tę grupę, by zrozumieć, że nie będzie z nich miała żadnego pożytku. Doskonale wiedzieli, co się działo piętro wyżej; to dlatego patrzyli w górę jak psy, czekające co powie ich pan. Dżaff trzymał ich na smyczy.

Czepiając się balustrady. Eve zeszła na parter; posuwała się coraz wolniej, gdyż zadyszka i zeszywniałe stawy coraz bardziej dawały jej się we znaki.

Orkiestra przestała już grać, ale przy pianinie ktoś siedział; ten widok dodał jej otuchy.

Zamiast tracić siły na głośne nawoływania ze schodów, wołała zejść na sam dół i porozmawiać z kimś twarzą w twarz. Drzwi wejściowe były otwarte. Na progu stała Rochelle.

Właśnie żegnała się grupka sześciu osób: Merv Turner z żoną, Gilbert Kind z aktualną przyjaciółką i jakieś dwie kobiety, których nie znała. Kiedy Turner zobaczył nadchodzącą Eve, na jego spasionej twarzy odmalował się wstręt. Odwrócił się do Rochelle, skracając pożegnalną mówkę.

- ...takie smutne - usłyszała Eve - ...ale bardzo wzruszające. Jesteśmy doprawdy bardzo wdzięczni, że zechciała pani podzielić się z nami tym uczuciem.

- Chciałabym... zaczęła jego żona, ale przerwano jej, zanim wyrecytowała swoje własne banalne formułki. Turner, patrząc z ukosa na Eve, pociągnął ją za sobą na dwór.

- Merv... - zaprotestowała jego wyraźnie zirytowana małżonka.

- Nie mamy czasu! - odparł Turner. - Było cudownie, Rochelle.

Pospiesz się. Gil. Samochody czekają. Nie możemy blokować innych, jedziemy.

- Nie, poczekaj - zawołała przyjaciółka Gilberta. Cholera, Gilbert, on odjeżdża bez nas.

- Proszę nam wybaczyć - powiedział Kind do Rochelle.

- Chwileczkę - zawołała za nim Eve. - Gilbert, poczekaj!

Wołała zbyt głośno, by mógł ją zignorować, chociaż - gdyby sądzić po minie Kinda, kiedy na nią spojrzał - wolałby takie właśnie wyjście. Ukrył swoje uczucia pod niezbyt promiennym uśmiechem i rozłożył ramiona - nie w geście powitania, ale zniecierpliwienia.

- Wciąż to samo, prawda? - zawołał. - Nigdy nie zdążamy sobie pogadać. Tak mi przykro. Eve. Innym razem. - Wziął dziewczynę pod ramię. - Zdzwonimy się, kochana, zgoda? - przesłał Eve pocałunek. - Cudownie wyglądasz! - rzucił i pospieszył za Turnerem.

Obydwie kobiety poszły za nim; nie zadały sobie trudu, by pożegnać się z Rochelle.

Rochelle chyba niezbyt to obeszło. Jeśli do tej pory zdrowy rozsądek nie podpowiedział Eve, że Rochelle była w zмовie z potworem na górze, to teraz miała na to dowód. Ledwie goście odeszli od drzwi, Rochelle tak wymownie spojrzała w górę, że nie można było się omylić;

rozluźniła mięśnie i ciężko wsparła się o futrynę, jakby z trudem trzymała się na nogach. „Tam mi na pewno nie pomoże” - pomyślała Eve i weszła do salonu.

I tutaj jedynym oświetleniem były jaskrawe światła lunaparku, wpadające z zewnątrz.

Było dostatecznie widno, by Eve zorientowała się, że w ciągu tych trzydziestu minut, które spędziła w przymusowym towarzystwie Lamara, przyjęcie prawie całkiem zamarło. Co najmniej połowa gości już odjechała, być może wyczuwając zmianę ogólnego nastroju, w miarę jak czające się na górze zło zatruwało coraz więcej ludzi.

Kiedy dochodziła do drzwi, właśnie odjeżdżała następna grupa, kryjąc niepokój pod maską ożywienia i głośnych rozmów. Nie знаła żadnej z tych osób, ale to nie było dla niej przeszkodą. Schwyciła za ramię jakiegoś młodego mężczyznę.

- Musi mi pan pomóc - powiedziała.

Znała jego twarz z wielkich tablic reklamowych, wystawionych wzdłuż Bulwaru Zachodzącego Słońca. Tym chłopcem był Rick Lobo. Był tak ładny, że w krótkim czasie został gwiazdą, chociaż sceny miłosne w jego wykonaniu mocno trąciły miłością lesbijską.

- O co chodzi? - zapytał.

- Tam na górze coś jest - powiedziała. - Złapało jednego z moich przyjaciół...

Zaprodukował uśmiech i namiętne odęcie warg, tylko tyle umiał. Kiedy ta reakcja nie wywarła na Eve odpowiedniego wrażenia, wpatrzył się w nią tępo.

- Niech pan idzie ze mną - poprosiła Eve.

- Ona jest pijana - powiedział ktoś z grupy Lobo, nie dbając, czy Eve słyszy ten zarzut czy nie.

Eve spojrzała na mówiącego. Cała paczka była bardzo młoda. Żadne nie miało więcej niż dwadzieścia pięć lat. I większość z nich - jak się domyślała - była dobrze wstawiona. Ale nietknięta przez dżaffa.

- Nie jestem pijana - powiedziała Eve. - Proszę posłuchać...

- No chodź. Rick - powiedziała jedna z dziewcząt.

- Chce pani jechać z nami? - spytał Lobo.

- Rick! - zawołała dziewczyna.

- Nie, chcę, żeby pan poszedł ze mną na górę...

Dziewczyna roześmiała się:

- Pewnie, że pani chce. No chodź wreszcie, Ricky.

- Muszę już iść. Przepraszam - powiedział Lobo. - Pani też powinna jechać. To przyjęcie jest do kitu.

Tępotą tego chłopca była jak gruby ceglany mur, ale Eve nie dawała za wygraną.

- Niech mi pan wierzy, nie jestem pijana. Tam na górze dzieją się straszne rzeczy. -

Popatrzyła na resztę paczki. Wy też to wyczuwacie - powiedziała, czując się jak Kasandra z przeceny; nie wiedziała jednak, jak to ująć inaczej. - Coś się tutaj dzieje...

- Tak, tak - ucięła dziewczyna. - Dzieje się. Jedziemy.

Ale coś ze słów Eve dotarło do Lobo.

- Powinna pani jechać z nami. Tu się robi jakoś nieprzyjemnie.

- Ona wcale nie chce odjeżdżać - zabrzmiał ze schodów czyjś głos.

Z góry schodził Sam Sagansky. - Zajmę się nią, Ricky, bądź spokojny.

Lobo wyraźnie się ucieszył, że zwolniono go z tego obowiązku. Puścił ramię Eve.

- Pan Sagansky się panią zaopiekuje.

- Nie... - nalegała Eve, ale cała paczka już szła do drzwi, gnana tym samym niepokojem,

który odczuwała grupa Turnera. Eve patrzyła, jak Rochelle budzi się z odrętwienia, by wysłuchać podziękowań. Sam zablokował jej wszystkie próby dołączenia do wychodzących.

Eve pozostało szukanie pomocy w salonie.

Nie bardzo było w czym wybierać. Większość z pozostałych gości - było ich około trzydziestu - chyba sama potrzebowała pomocy; nie było mowy, by mogła pomóc Eve.

Pianista serwował wiązaną rozmarzających melodii, przeznaczonych do tańca w ciemności; to właśnie robiły cztery wtulone w siebie pary, suwając w miejscu nogami. Wydawało się, że reszta obecnych tu osób jest albo pod wpływem narkotyków, albo alkoholu, albo w okowach odrętwienia, zesłanego przez dżaffa; niektórzy siedzieli, wielu leżało na sofach i fotelach, prawie nie wiedząc, gdzie się właściwie znajdują. Była w ich gronie dotknięta anoreksją Belinda Kristol; jej wychudzona osoba nie mogła stanowić żadnego oparcia w obliczu niebezpieczeństwa. Na sofie obok niej - równie wycieńczony - leżał syn agenta Buddy'ego Vance'a, złożony głowę na jej kolanach.

Eve obejrzała się na drzwi. Za nią szedł Sagansky. Rozpaczliwie rozejrzała się po pokoju, szukając najlepszej karty w tym kiepskim rozdaniu i zdecydowała się na pianistę.

- Niech pan przestanie grać powiedziała, podchodząc do niego.

- Jakiś inny kawałek? - zaproponował. Alkohol zmącił mu wzrok, ale przynajmniej oczy nie uciekały mu w głąb czaszki.

- Tak, coś głośnego. Naprawdę głośnego. I szybkiego. Rozruszajmy towarzystwo, zgoda?

- Trochę późno - odparł.

- Jak się pan nazywa?

- Doug Frankl.

- Dobrze, Doug, niech pan gra dalej... - obejrzała się na Sagansky'ego; stał za tańczącymi, obserwując ją. - Doug, potrzebuję pańskiej pomocy.

- A ja potrzebuję się napić - wybełkotał. - Czy mógłbym dostać kropelkę?

- Za chwilę. Teraz niech pan posłucha. Widzi pan tego człowieka po drugiej stronie

pokoju?

- Tak. Znam go. Wszyscy go znają. To idiota.

- Właśnie próbował mnie obrazić.

- Naprawdę? - Doug popatrzył na Eve, marszcząc brwi. - To obrzydliwe.

- A mój partner... pan Grillo... jest na górnym piętrze...

- To naprawdę obrzydliwe - powtórzył Doug. - Jest pani w takim wieku, że mogłaby pani być jego matką.

- Dziękuję, Doug.

- To naprawdę obrzydliwe.

Eve pochyliła się nad swoim nieprawdopodobnym rycerzem.

- Potrzebuję pańskiej pomocy - szepnęła - i to natychmiast.

- Muszę grać.

- Możesz tu wrócić i grać, kiedy już zdobędziemy coś do picia dla ciebie, a pan Grillo dla mnie.

- Naprawdę potrzebuję się napić.

- No tak, sama to widzę. Zaslugujesz na szklaneczkę. Za taką grę. Naprawdę należy ci się coś do picia.

- Właśnie, należy mi się.

Eve ujęła przeguby Frankla i zdjęła jego dłonie z klawiatury. Nie protestował. Chociaż muzyka umilkła, tańczący dalej suwali nogami po parkiecie.

- Wstawaj, Doug - szepnęła.

Uniósł się z wysiłkiem, przewracając przy tym stołek.

- Którędy do barku? - wybełkotał.

Był bardziej pijany niż sądziła. Jego gra była chyba zdalnie sterowana - sam ledwie się

poruszał do przodu. Ale przynajmniej Eve nie była sama.

Wzięła go pod rękę w nadziei, że Sagansky dostrzeże w nim pomocne ramię Eve, a nie odwrotnie.

- Tędy - powiedziała cicho i poprowadziła go skrajem parkietu w stronę drzwi. Kątem oka widziała, że Sagansky idzie w ich kierunku, i próbowała przyspieszyć kroku, ale już stanął między nimi a drzwiami.

- Już nie grasz, Doug? - zagadnął.

Pianista usiłował skupić wzrok na twarzy Sagansky'ego.

- A ten co za jeden? - zapytał.

- To Sam - podpowiedziała Eve.

- Graj dalej, Doug. Chcę zatańczyć z Eve.

Chciał wziąć Eve pod ramię, ale Frankl miał własny pogląd na sprawę.

- Wiem, co sobie myślisz - zwrócił się do Sagansky'ego. - Słyszałem, co wygadywałeś, i wiesz, co ci powiem? Mam to wszystko gdzieś. Jak mi się zachce possać małego, to będę to robił. A jak ty nie dasz mi angażu, to Fox mi da robotę. Więc się odpieprz.

Eve odczuła leciutki dreszczyk nadziei. Nastąpiło psychiczne zwanie, którego się nie spodziewała. Sagansky był osławionym wrogiem homoseksualistów. Najwyraźniej naraził się Dougowi pod tym względem.

- Chcę zabrać tę panią - oświadczył Sagansky.

- Ale jej nie zabierzesz - padła odpowiedź i Doug odtrącił ramię Sagansky'ego. - Ona ma coś lepszego do roboty.

Sagansky nie miał zamiaru tak łatwo ustąpić. Znów sięgnął po ramię Eve i dostał po łapie, ale tym razem schwycił Douga i odciągnął go od Eve.

Eve natychmiast skorzystała z tej sposobności, by pobiec w stronę wyjścia. Za sobą

słyszała gniewnie podniesione głosy obydwu mężczyzn. Obejrzała się: roztrącając tancerzy, krążyli ciężko wokół siebie. Pięści poszły w ruch.

Pierwszy uderzył Sagansky - Franki runął w tył na pianino. Rząd kieliszków, który tam ustawił, rozbił się z trzaskiem. Sagansky dopadł Eve jednym susem.

- Chcę z tobą porozmawiać - powiedział, chwytając ją.

Gdy cofała się przed nim, nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Zanim upadła na podłogę, podtrzymały ją czyjeś ramiona, a głos Lobo powiedział:

- Powinna pani jechać z nami.

Próbowała protestować, ale tylko z trudem łapała oddech, nie mogąc wymówić słowa.

Kiedy na wpół prowadzono, a na wpół niesiono ją do wyjścia, usiłowała wyjaśnić, że nie może tak odjechać, zostawiając Grillo, ale trudno było ją zrozumieć. Obok przepłynęła twarz

Rochelle - poczuła na twarzy nocny chłód, ale to nieprzyjemne odczucie jeszcze bardziej wzmogło jej oszołomienie.

- Pomóżcie jej... pomóżcie jej... - słyszała głos Lobo; zanim zdążyła się zorientować, co się dzieje, już ją ułożono w samochodzie na siedzeniu pokrytym sztucznym futrem.

- Grillo... - zdążyła powiedzieć, zanim zatrasnęły się drzwiczki.

W progu domu stał jej prześladowca, ale samochód już sunął w kierunku bramy.

- To najdziwaczniejsze przyjęcie w moim życiu, niech skonam - powiedział Lobo. -

Wynośmy się stąd do diabła.

„Przepraszam, Grillo - pomyślała Eve, zanim straciła przytomność. - Nie daj się im”.

Stojący przy bramie Clark machnął limuzynie Lobo na pożegnanie i spojrział na dom.

- Ile ich tam jeszcze zostało? - zapytał Raba.

- Może ze czterdzieści - odparł Rab, patrząc na listę gości. - Nie będziemy tu stać całą noc.

Czekając na pozostałych gości, samochody nie mieściły się już na Wzgórzu - krążyły więc w dole ulicami Grove i czekały na wezwanie radiowe, by podjechać po swoich pasażerów. Kierowcy byli już do tego przyzwyczajeni; przeważnie urozmaicali sobie nudę oczekiwania żartobliwymi pogaduszkami przez mikrofalówkę. Ale dziś nie było żadnych plotek na temat życia miłosnego pasażerów ani „męskich” rozmów o tym, co będą robić kierowcy po skończeniu dyżuru. Przeważnie w eterze panowała cisza, jakby kierowcy nie chcieli ujawniać miejsca swojego postoju. Kiedy już ktoś przerywał milczenie, to po to, by rzucić jakąś zdawkową uwagę na temat miasteczka.

- Zdechła pipidowa - określił je któryś z szoferów. - Zupełnie jak cmentarz, jak pragnę podskoczyć.

Uciszył go Rab:

- Jak nie masz nic mądrego do powiedzenia, to siedź cicho.

- O co ci chodzi? - obruszył się tamten. - Obleciał cię strach przed duchami?

Zanim mu odpowiedziano, włączył się inny kierowca:

- Jesteś tam, Clark?

- Tak, kto mówi?

- Halo, słyszysz mnie? - połączenie było marne, chwilami głos zupełnie zanikał.

- Idzie paskudna kurzawa - mówił kierowca. - Nie wiem, czy mnie słyszysz... ta wichura zerwała się tak nagle, nie wiadomo skąd.

- Powiedz mu, żeby stamtąd odjechał - powiedział Rab. - Clark! Przekaż mu to!

- Słyszę cię. Kierowco, odjedź stamtąd! Odjeżdżaj!

- Czy ktoś mnie słyszy?! - wrzeszczał tamten; jego słowa ginęły w wyciu wichru, rozkręcającym się jak spirala.

Nie dokończył pytania; jego słowa zagłuszył trzask rozbijanego samochodu.

- Cholera! - zaklął Clark. - Czy któryś z was wie, kto to był? Albo gdzie był?

Pozostałe samochody milczały. Jeśli nawet któryś kierowca wiedział, gdzie tamten jest, żaden nie zaproponował, że pospieszy mu z pomocą. Rab patrzył w dół na miasto przez szpaler drzew, ciągnący się wzdłuż drogi.

- No tak - powiedział. - Dostyc tego burdelu. Zmywamy się.

- Zostaliśmy tylko my dwaj - przypomniał mu Clark.

- Jeśli masz trochę oleju w głowie, to też się stąd wyniesiesz - stwierdził Rab, rozwiązując krawat. - Nie wiem, co się tu dzieje, ale niech się o to martwią ci bogacze.

- Jesteśmy na służbie.

- Właśnie zszedłem z dyżuru! - wypalił Rab. - Nie płacą mi tyle, żebym brał na siebie całą tę awanturę! - rzucił radiotelefon Clarkowi. Radio wydawało nieartykułowane dźwięki. - Słyszysz? - zawołał. - Chaos! Nadchodzi chaos!

W dole miasta Tommy-Ray zmniejszył szybkość, by popatrzeć na strzaskaną limuzynę.

Duchy po prostu uniosły ją w górę i przewróciły kołami do góry. Teraz wyciągały zza kierownicy szofera. Jeśli nie był jeszcze gotów, by dołączyć do ich grona, to szybko załatwiły sprawę, szarpiąc na strzępy jego mundur i ciało.

Tommy-Ray zabrał upiorny orszak ze Wzgórza, by w spokoju obmyślić jakiś sposób dostania się do willi. Nie chciał powtórki upokarzającej sceny przy szlabanie wjazdowym, kiedy strażnicy obrazili go, a potem rozpętało się to piekło. Chciał, by ojciec, ujrzawszy go w nowym wcieleniu jako Chłopca Śmierci, widział, że Tommy-Ray panuje nad sytuacją. Ale te nadzieje szybko nikły. Im bardziej opóźniał powrót, tym bardziej niesforne były jego zastępy. Już zdążyły zdemolować luterański kościół pod wezwaniem Księcia Pokoju, dowodząc - jakby dowody były komuś potrzebne - że kamień równie łatwo poddaje się zniszczeniu jak ludzkie ciało. Jakaś cząstką swojej duszy - tą, która szczerze nienawidziła Palomo Grove -

pragnął, by duchy siały tu zniszczenie. Niech zrównają z ziemią całe miasto. Ale wiedział, że jeśli pofolguje tej chęci, straci nad nimi wszelką władzę. Poza tym, gdzieś w Grove była jedyna ludzka istota, którą pragnął ustrzec od złego: Jo-Beth. Kiedy burza rozszałeje się na dobre, dla nikogo nie robi wyjątku. Jo-Beth zginie, jak zginą wszyscy inni.

Widząc, że już wkrótce duchy nie zdołają powściągnąć niecierpliwości i zniszczą miasto za jego zgodą czy bez niej, Tommy-Ray podjechał pod dom matki. Jeśli Jo-Beth nie wyjechała z miasta, to będzie tutaj; a gdyby doszło do najgorszego, porwie ją i zawiezie do dżaffa, a ten będzie już najlepiej wiedział, jak uciszyć zawieruchę.

Dom matki, jak większość domów na tej ulicy, a i w całym Grove, był pogrążony w ciemności. Tommy-Ray zaciągnął hamulec i wysiadł. Wichura, której znudziło się wleczenie za nim krok w krok, zaszła go od przodu z takim impetem, że się zatoczył.

- Cofnijcie się - powiedział do unoszących się przed nim twarzy o rozdziawionych ustach. - Dostaniecie, czego chcecie. Wszystko, czego zapagniecie. Ale musicie zostawić w spokoju ten dom i wszystko, co w nim jest. Zrozumiano?

Odczuły siłę jego uczuć. Słyszał, jak się naśmiewają z jego żalostkowości.

Ale wciąż był Chłopcem Śmierci, a one winne mu były oddanie - które słabło. Burza cofnęła się trochę dalej w głąb ulicy i czekała.

Zatrzasnął drzwiczki i poszedł w stronę domu, upewniając się, czy jego armia nie chce go oszukać. Stała nieruchomo. Tommy-Ray zapukał do drzwi.

- Mamo! - zawołał. - To ja, Tommy-Ray. Mam klucz, ale nie wejdem, aż mnie nie poprosisz. Słyszysz mnie, mamo? Nie ma się czego bać. Nic ci nie zrobię. - Zza drzwi dobiegł jakiś szmer. - Czy to ty, mamo? Odezwij się, proszę.

- Czego chcesz?

- Chcę się tylko z tobą zobaczyć. Proszę cię. Tylko się z tobą zobaczyć.

Odsunięto zasuwę; drzwi otworzyły się. Matka była ubrana na czarno. Włosy miała niezaplecione.

- Modliłam się - powiedziała.

- Za mnie?

Matka nie odpowiedziała.

- Nie za mnie, prawda? - indagował.

- Nie powinieneś tu wracać, Tommy-Ray.

- To mój dom - powiedział.

Jej widok sprawił mu więcej bólu niż mógł przypuszczać. Do tej chwili sądził, że samowiedza, którą zdobył podczas wyprawy do Misji, wydarzenia w Misji i okropności drogi powrotnej uodporniły go na uczucie, którego teraz doznawał - uczucie dojmującego żalu.

- Chcę wejść - powiedział, czując, że nie ma dla niego powrotu. Łono rodziny nigdy nie było miejscem, na którym pragnął złożyć skołatana głowę. Z wyjątkiem Jo-Beth. O niej teraz myślał. - Gdzie ona jest? - spytał.

- Kto?

- Jo-Beth.

- Tu jej nie ma - odparła matka.

- Więc gdzie?

- Nie wiem.

- Nie kłam! Jo-Beth! - krzyknął. - Jo-Beth!

- Nawet gdyby tu była...

Tommy-Ray nie pozwolił jej dokończyć. Przepchnął się obok matki do wnętrza.

- Jo-Beth! To ja, Tommy-Ray! Potrzebuję cię, Jo-Beth! Jesteś mi potrzebna, malutka!

Już nie miało znaczenia, że nazwał ją „malutką”, nie było ważne, czy powie jej, że chce

ją całować i lizać jej szparkę; dobrze jest, jak jest.

Przemawiała przez niego miłość, a miłość była jego jedyną obroną - jedyną obroną wszystkich innych ludzi przed tą kurzawą i wichrem, i zawodzącymi w wicherze głosami. Jeszcze nigdy Jo-Beth nie była mu tak potrzebna jak teraz. Nie zważając na krzyk matki, szukał jej po całym domu. Każdy pokój miał swój własny zapach, a w każdym zapachu była suma wspomnień - tego co mówił, robił i przeżywał w tym czy tamtym zakątku domu - które zalewały go jak fala, gdy stawał w drzwiach.

Jo-Beth nie było na dole, poszedł więc na piętro, otwierając na oścież wszystkie drzwi po kolei: najpierw pokoju Jo-Beth, potem matki. W końcu - swojego. Jego pokój pozostał taki, jakim go pozostawił - niezaścielone łóżko, ręcznik walający się na podłodze. Stojąc w drzwiach zdał sobie sprawę, że patrzy na pokój chłopca, który właściwie już umarł. Tamten Tommy-Ray, który leżał w tym łóżku, pocił się, spuszczał, spał i śnił o plażach w Zuma i Topanga, odszedł na zawsze. Pozostały po nim tylko brud na ręczniku i włosy na poduszce. Nie pozostawił po sobie miłych wspomnień.

Łzy potoczyły się po jego policzkach. Jak to się stało, że jeszcze trzy dni temu żył i zajmował się swoimi sprawami, a teraz był tak odmieniony, że nie było dla niego miejsca w tym domu i nigdy już nie będzie? Czego pragnął tak mocno, że zatracił siebie samego? W każdym razie nie dostał tego, czego pragnął. Przemiana w Chłopca Śmierci nic mu nie dała oprócz strachu i świecących kości. A co mu dało spotkanie z ojcem? Początkowo dzaff odnosił się do niego dobrze, ale posłużył się tą sztuczką, żeby zrobić z niego swojego niewolnika. Tylko Jo-Beth go kochała. Jo-Beth poszła za nim, usiłowała go uleczyć, powiedzieć mu coś, czego nie chciał słuchać. Tylko ona mogła wszystko naprawić.

Zrozumieć go. Ocalić.

- Gdzie ona jest?! - krzyczał.

U stóp schodów stała matka ze złożonymi modlitewnie dłońmi. Znowu pacierze. Ciągłe te pacierze.

- Gdzie ona jest, mamó? Muszę się z nią zobaczyć!
- Ona nie jest twoją własnością - powiedziała matka.
- Katz! - wrzasnął Tommy-Ray, idąc do niej - Katz ją ma!
- Jezus powiedział... jam jest zmartwychwstanie i żywot...
- Powiedz mi, gdzie są, albo nie odpowiadam za...
- Kto wierzy we mnie...
- Mamó!
- ...choćby był martwy...

Drzwi frontowe zostawiła otwarte i przez próg zaczął sypać kurz - początkowo było tego niewiele, ale kurz wciąż narastał. Tommy-Ray wiedział, co to oznacza. Wampirów zaczynała rozpierać energia. Matka spojrzała w drzwi, we wzburzoną ciemność na dworze. Zaczynała chyba pojmować, że stoi oko w oko ze śmiercią.

- Dlaczego musiało do tego dojść? - zapytała cicho.
- Ja tego nie chciałem.
- Byłeś tak piękny, synku. Myślałam czasem, że może to cię uratuje.
- Wciąż jestem piękny.

Potrząsnęła głową. Łzy, uwolnione spod powiek, pociekły jej po policzkach. Popatrzył na drzwi: wiatr zatrząskiwał je i znów otwierał.

- Nie wchodź - zwrócił się do wichury.
- Co tam jest? - spytała matka. - Twój ojciec?
- Nie musisz wiedzieć - odparł.

Zbiegł na dół, by zamknąć drzwi, ale siła wiatru wciąż rosła, wdzierając się do wnętrza.

Zakołysały się lampy. Z półek spadały bibeloty. Kiedy zbiegał z ostatniego stopnia, posypały się szyby z okien na froncie i tyle domu.

- Nie wchodzić! - krzyknął ponownie, ale duchy czekały już zbyt długo. Wyrwane z zawiasów drzwi przeleciały przez cały hall i rozbiły lustro.

W ślad za drzwiami wpadły zawodzące strzygi. Na ich widok matka krzyknęła przeraźliwie: miały twarze wychudzone i głodne, jak drapieżne maski lecące z burzą, ziejące pustką oczodoły, rozwarte paszczęki. Słyszając krzyk chrześcijanki, skierowały swą wściekłość przeciwko niej. Tommy-Ray zawołał do niej ostrzegawczo, ale palce kurzawy rozdarły jego słowa na strzępy, pozbawiając je wszelkiego sensu; śmignęły obok niego i wpiły się w gardło matki. Wyciągnął do niej rękę, ale burza schwyciła go i rzuciła pod drzwi. Duchy wciąż napływały. Tommy-Ray poleciał pod prąd ich rozpędzonych twarzy i upadł za progiem. Słyszał za sobą, że matka znów wydała przenikliwy krzyk, kiedy wiatr wypchnął na zewnątrz wszystkie ocalałe szyby. Na Tommy-Raya posypało się szkło. Uciekł spod tego kaleczącego deszczu, ale nie uniknął zranienia.

Była to jednak niewielka szkoda w porównaniu z tym, co cierpiał dom i jego mieszkańcy. Kiedy potykając się wybiegł na ulicę, gdzie był bezpieczny, widział, jak wichura, wijąc się, wpadała i wypadała przez wszystkie okna i drzwi domu jak oszalały Pociąg Upiorów. Budynek nie oparł się sile ataku.

W murach rosły szczeliny, ziemia przed domem rozstępowała się, podczas gdy jeźdźcy burzy wpadli do piwnicy, by siać tam spustoszenie i zamęt.

Tommy-Ray spojrzał na samochód z lekką obawą, że zniecierpliwione duchy zniszczyły także pojazd. Ale samochód wciąż był cały. Rzucił się w jego stronę, gdy dom zajęczał, wyrzucając w górę dach na znak poddania, podczas gdy ściany wyginały się na zewnątrz. Nawet gdyby matka jeszcze żyła i wołała, by ją ratował, nie usłyszałby jej w tym

huku, ani zobaczył w tym zamęcie.

Wsiadł do samochodu, głośno szlochając. Dopiero gdy ruszył z miejsca, zdał sobie sprawę, że mówi te słowa:

- ...jam jest zmartwychwstanie i żywot...

W lusterku wstecznym widział, że dom poddał się zupełnie: szalejący w jego wnętrzu wir rozniósł go na kawałki. Na wszystkie strony posypały się cegły, dachówki, belki, mnóstwo wszelakiego śmiecia.

- ...kto wierzy we mnie... Mój Boże, mam, mam... kto wierzy we mnie...

O tylną szybę samochodu uderzyły kawałki cegieł, rozbiły ją w drobny mak i potoczyły się z grzechotem po dachu. Wcisnął gaz i odjechał, prawie nic nie widząc przez łzy żalu i przerażenia. Już raz usiłował im uciec i przegrał wyścig. Ale wciąż miał nadzieję, że tym razem mu się uda. Pędził przez miasto najbardziej krętą drogą, jaką znał, modląc się, by zgubiły trop. Ulice nie były zupełnie wyludnione. Wyminął dwie limuzyny - dwie długie, czarne maszyny, krążące ulicami miasta jak rekiny. A potem - na skraju Oakwook - zobaczył jakąś znajomą postać, jak zataczając się wychodzi na środek jezdni. Chociaż wolałby się nie zatrzymywać, potrzebował pociechy, jaką daje znajoma twarz, bardziej niż czegokolwiek na świecie, nawet jeśli ta twarz należała do Williama Witta. Zwolnił.

- Witt?

William nie od razu go poznał. Tommy-Ray oczekiwał, że tamten ucieknie, kiedy już go rozpozna. Podczas ostatniego spotkania, w domu na Wild Charry Glade, Tommy-Ray wylądował w basenie, gdzie walczył z terata Martine Nesbitt, a Witt uciekł, by zupełnie nie oszaleć. Minione dni odbiły się w równym stopniu na Williamie, jak i na Tommy-Rayu. William wyglądał jak włóczęga - zarośnięty, w poplamionym, rozchełstany ubraniu, z wyrazem ostatecznej rozpacz w oczach.

- Gdzie oni są? - zapytał bez żadnych wstępów.

- Kto? - zapytał Tommy-Ray.

Przez uchyloną szybę William pogłaskał Tommy-Raya po twarzy. Dłoń miał wilgotną i zimną. Oddech cuchnął mu mocną whisky.

- Masz ich? - dopytywał się.

- Ale kogo?

- Moich... gości - odpowiedział William. - Moje... marzenia.

- Niestety nie. Podrzucić gdzieś pana?

- Dokąd jedziesz?

- Wynoszę się stąd do diabła - odpowiedział Tommy-Ray.

- Dobra, jadę z tobą.

Witt wszedł do samochodu. Kiedy zatrząskiwiał drzwi, Tommy-Ray dojrzał w lusterku znajomy widok. Burza szła za nim. Popatrzył na Williama.

- Nic z tego - powiedział.

- O co chodzi? - rzucił Witt, usiłując skupić wzrok na chłopca.

- Idą za mną, gdzie tylko się ruszę. Nic ich nie zatrzyma. Zawsze będą ze mną.

William obejrzał się za siebie na ścianę kurzu, sunącą ulicą w stronę samochodu.

- Czy to twój ojciec? - zapytał. - Jest tam gdzieś?

- Nie.

- Więc co to jest?

- Coś gorszego.

- Twoja matka... - zaczął Witt. - Rozmawiałem z nią. Mówiła, że on jest diabłem.

- Szkoda, że nim nie jest - powiedział Tommy-Ray. - Diabła można oszukać.

Burza była już blisko.

- Muszę wracać na Wzgórze - powiedział Tommy-Ray tyle do siebie, co do Witta.

Zakręcił mocno kierownicą i pojechał w kierunku Windbluff.

- Czy to tam są marzenia? - spytał Witt.

- Tam jest wszystko - odparł Tommy-Ray. Sam nie wiedział, ile prawdy jest w jego słowach.

XI

- Koniec przyjęcia - powiedział Dżaff do Grillo. - Pora schodzić na dół.

Od czasu panicznej ucieczki Eve, niewiele się do siebie odzywali. Dżaff po prostu wrócił do fotela, z którego powstał, by uśmierzyć bunt Lamara, i czekał, aż na dole umilkną podniesione głosy, pod drzwiami podjadą wielkie samochody, by zabrać odjeżdżających gości, i - na końcu - ucichnie muzyka.

Grillo nawet nie próbował się wymknąć. Choćby dlatego, że bezwładne ciało Lamara zablokowało drzwi i zanim by spróbował je odsunąć, terata - chociaż tak już rozmazane i nijakie - z pewnością by go dopadły.

A przede wszystkim dlatego, że przypadkowo trafił w pobliże przyczyny, jednostki, która była siłą sprawczą tajemnic, na które natykał się na swojej drodze od czasu, gdy przyjechał do Palomo Grove. Przed nim siedział zgarbiony człowiek, za którego wolą doszło do tych strasznych wydarzeń, a więc - ujmując sprawę szerzej - rozumiał omamy, które opanowały miasto. Próba odejścia równałaby się zaniedbaniu obowiązków służbowych. Chociaż jego niedługi staż w charakterze kochanka Ellen Nguyen był bardzo zajmujący, miał w całej tej historii tylko jedną rolę do odegrania. Był reporterem: pośrednikiem między światem znanym i nieznanym. Gdyby uciekł od Dżaffa, dopuściłby się najcięższego przestępstwa, jakie znał: nie dałby świadectwa prawdzie.

Kimkolwiek jeszcze był ten człowiek (szaleńcem, mordercą, potworem), nie był tym,

czym okazywało się tak wielu ludzi, z którymi Grillo przeprowadzał wywiady lub o których zbierał materiał: nie był atrapą.

Wystarczyło rozejrzeć się po pokoju pełnym stworzeń, które pojawiły się na świecie za sprawą džaffa, by zrozumieć, że stoi w obliczu potęgi, która potrafi zmienić świat. Nie ważylby się odejść od takiej potęgi. Pójdzie za nią, gdziekolwiek ona pójdzie, w nadziei, że uda mu się zrozumieć zasady jej działania.

Dżaff wstał.

- Nie próbuj się wtrącać - powiedział do Grillo.

- Nie będę. Ale pozwól mi iść ze sobą.

Dżaff spojrzał na niego po raz pierwszy od ucieczki Eve. Było zbyt ciemno, by Grillo mógł widzieć jego oczy, ale czuł jego badawcze spojrzenie, ostre jak igły.

- Przesuń zwłoki - polecił džaff.

- Jasne - powiedział Grillo i poszedł w stronę drzwi. Nie potrzebował więcej dowodów na siłę džaffa, ale gdy podnosił trupa Lamara, znów musiał o niej pomyśleć. Ciało było mokre i gorące. Kiedy Grillo odrzucił je na bok, ręce lepiły się od krwi komika. Dotyk i woń wywoływały u niego mdłości.

- Tylko pamiętaj... - odezwał się džaff.

- Wiem. Mam się nie wtrącać.

- Właśnie. Otwórz drzwi.

Grillo wykonał polecenie. Nie zdawał sobie sprawy z ciężkiego zaduchu, wiszącego w pokoju, aż do chwili, gdy w twarz wionęło mu czyste, chłodne powietrze.

- Idź pierwszy - rozkazał džaff.

Grillo wyszedł na podest. Dom był zupełnie cichy, ale nie pusty. Na półpiętrze wyczekiwała niewielka grupka gości Rochelle. Wszyscy wpatrywali się w drzwi. Żaden z

nich nie ruszył się ani odezwał. Grillo rozpoznał wielu z nich; czekali tam już, kiedy wchodził z Eve na górę. Nadeszła długo oczekiwana chwila. Schodził do nich, a w głowie kiełkowało mu podejrzenie, że Dżaff posłał go na dół, żeby jego wyznawcy rozdarli go na strzępy. Ale wszedł w ich pole widzenia i szedł dalej, a oni nie odwracali za nim głów.

Przyszli tu, by patrzeć na kataryniarza, nie na małpę.

Z pokoju na górze dobiegł szum licznych kroków: nadchodziły terata.

Kiedy Grillo zszedł na dół, obejrzał się - właśnie wyłaniały się zza drzwi pierwsze stwory. Spodziewał się, że będą zmienione, ale nie do tego stopnia.

Straciły dawną żywość, były mniej odstręczające. Stały się bardziej zwyczajne. Rysy ich twarzy dość szczelnie zakrywał mrok, który z siebie wydzielały.

Tuż za pierwszymi terata nadszedł Dżaff. Mocno odbiły się na nim wydarzenia, które zaszły od czasu jego ostatecznej batalii z Fletcherem. Był wyczerpany i tak wychudzony, że wyglądał niemal jak szkielet. Schodząc w dół, kapał się w kałużach światła, wpadającego z zewnątrz; jaskrawe barwy omywały jego blade oblicze. Dziś oglądamy film pod tytułem:

„Maska czerwonej Śmierci” pomyślał Grillo. A nad tytułem czytamy: reżyseria - Dżaff.

Terata, aktorzy drugiego planu, dążyły śladem twórcy, przepychały się przez drzwi, niezdarnie człapały po schodach.

Grillo spojrzał na milczącą grupę ludzi. Nie odrywali od Dżaffa psich oczu. Grillo zszedł niżej, drugą kondygnacją. Na dole czekało inne zgromadzenie; była tam także Rochelle. Widok jej nadzwyczajnej urody przypomniał Grillo o ich pierwszym spotkaniu - schodziła wtedy ze schodów tak jak teraz Dżaff. Jej widok był wtedy objawieniem. Piękność czyniła ją jakby nietykalną. Od tamtej pory Grillo dowiedział się o niej innych rzeczy.

Najpierw od Ellen, z opowieści o dawnej profesji Rochelle i jej obecnym nałogu; teraz, posługując się świadectwem własnych oczu, widział, że jest wydana na łaskę

zdeprawowanego dżaffa tak samo jak inne jego ofiary.

Piękność nie była ratunkiem. Pewnie w ogóle nie było ratunku. Kiedy Grillo zszedł na sam dół, czekał, aż nadejdzie dżaff i jego legiony. W tej niedługiej chwili, gdy pojawił się u szczytu schodów, zaszła w nim pewna niewielka, ale denerwująca zmiana. Twarz dżaffa, po której przedtem przebiegały bojaźliwe drżenia, była teraz tak samo pozbawiona wyrazu jak twarze zebranych, a mięśnie osłabły mu do tego stopnia, że jego zejście było ledwie powstrzymanym spadaniem ze schodów. Wszystkie zasoby jego potęgi przeszły do jego lewego ramienia - tego, które strzelało w Pasażu cząsteczkami energii; niewiele brakowało, by Fletcher padł ich ofiarą. Teraz miało miejsce coś podobnego: z ręki, zwisającej bezwładnie u boku dżaffa, toczyły się paciorki barwnego zepsucia. Grillo przypuszczał, że nie była to esencja potęgi, ale jakiś produkt uboczny, ponieważ dżaff nawet nie próbował zatrzymać tego procesu. Spadające na schody krople rozwijały się w niewielkie ciemne kwiaty.

Ręka ładowała się, ściągając energię z innych części ciała właściciela (może - kto wie? - z ciał zgromadzonych); dokładała do paleniska nowego paliwa, przygotowując się do wielkich zadań. Grillo usiłował odszukać w twarzy dżaffa jakiś ślad jego wewnętrznych przeżyć, ale jego wzrok wciąż przyciągała ta ręka, jakby skupiały się na niej promieniście wszystkie linie potęgi, zamazując pozostałe elementy tej sceny.

Dżaff wszedł do salonu. Za nim poszedł Grillo. Legion cieni został na schodach.

W salonie wciąż byli goście; przeważnie leżeli na sofach. Niektórzy zachowywali się jak jego uczniowie: nie odrywali od dżaffa oczu. Inni byli po prostu nieprzytomni, wyczerpani nadmiarem jedzenia i picia. Na podłodze leżał Sam Sagansky - twarz i koszulę miał we krwi. Opodal, nie wypuszczając marynarki Sagansky'ego z zaciśniętych palców, leżał jakiś inny mężczyzna.

Grillo nie wiedział, o co im poszło; w każdym razie spór zakończył się bijatyką.

- Włącz światła - powiedział dżaff. Głos miał, tak jak i twarz, wyprany z wszelkiego

wyrazu. - Włącz wszystkie światła. Koniec z tajemniczością. Chcę widzieć wyraźnie.

Grillo odszukał w mroku wyłączniki i włączył wszystkie żarówki. Cała teatralność tej sceny raptownie pierzchła. Światło wywołało mrukliwe skargi kilku śpiących - zakrywali twarze ramionami, by go nie widzieć. Mężczyzna, obejmujący Sagansky'ego, otworzył oczy i cicho jęknął, ale nie poruszył się, wyczuwając grożące niebezpieczeństwo. Wzrok Grillo znów powędrował do ręki dżaffa. Przestała już wydzielać kuleczki potęgi. Dojrzała do czynu.

- Nie ma sensu tego odkładać... - powiedział dżaff. Grillo widział, jak uniósł rozwartą dłoń na wysokość oczu. Następnie przeszedł przez salon i położył rękę na ścianie.

Nie odrywając dłoni od namacalnej rzeczywistości, począł zaciskać rękę w pięść.

Strzegący bramy Clark zobaczył, że w domu zapaliły się światła i odetchnął z ulgą. To mogło znaczyć tylko jedno: przyjęcie dobiegało końca. Przeoczył się na odbiór ogólny, polecając krążącym tu i tam kierowcom (tym, którzy nie wystraszyli się i nie odjechali), żeby wjeżdżali na Wzgórze. Ich pasażerowie zaczną wkrótce wychodzić.

Kiedy Tesla zjeżdżała z autostrady na szosę, prowadzącą do Palomo Grove - do granic miasta zostały jeszcze cztery mile - dostała gęsiej skórki. Z rodzaju tych, które - jak twierdziła jej matka - dostaje się na widok własnego ducha. Tesla wiedziała, że to nie to. Działo się coś gorszego.

Przegapiłam najważniejsze - pomyślała. Zaczęli beze mnie. Czuła, że wokół zachodzi jakaś ogromna zmiana, jakby zwolennicy teorii, według której ziemia jest płaskim dyskiem, mieli zupełną rację - świat przechylał się w dół o kilka stopni i wszystko zsuwało się na jedną stronę. Nawet przez chwilę nie pochlebiała sobie, że tylko ona jest dostatecznie wrażliwa, by to odczuć. Być może miała głębszy wgląd w sprawę, ale nie wątpiła, że w tamtej chwili w całym kraju, a pewnie i na całym świecie, ludzie obudzili się złani zimnym potem, albo

myśleli o tych, których kochali, i drżeli o ich los. Dzieci płakały, same nie wiedząc dlaczego.

Starzy ludzie sądzili, że nadeszła ich ostatnia godzina.

Na autostradzie - z której właśnie zjechała - usłyszała stuk zderzających się aut, a po nim następny i jeszcze jeden; powstał karambol, gdy uwagę kierowców odwróciła nagła chwila przerażenia. W głębi nocy rozkrzyczały się klaksony.

„Świat jest okrągły - powtarzała sobie Tesla - jak kierownica, którą trzymam w rękach.

Nie mogę spać, nie spadnę”. Czepiając się zaciekle tej myśli i kierownicy, Tesla jechała w stronę miasta.

Wypatrując świateł powracających samochodów, Clark zobaczył jakieś światełka sunące w górę Wzgórza. Nie mogły to być przednie światła samochodu - posuwały się zbyt wolno. Zciekawiony strażnik opuścił swój posterunek i zszedł parę kroków niżej. Przeszedł ze dwadzieścia jardów, aż zakręt drogi ujawnił źródło tego światła. Wydzielali je ludzie. Zboczem pięła się bezładna grupa pięćdziesięciu lub więcej osób; kontury ich ciał i rysy twarzy były rozmazane, ale świecili jak maski, noszone podczas Halloween.

Na czele szła dwójka młodych ludzi - wyglądali całkiem zwyczajnie. Ale wątpił, czy naprawdę tacy są, widząc podążający za nimi tłum. Chłopiec spojrział w górę w kierunku Clarka. Strażnik cofał się, by zachować pewną odległość od tej bandy.

Rab miał rację. Już dawno powinien był stąd odejść; niech to cholerne miasto samo sobie radzi. Zatrudniono go, by nie dopuszczał na przyjęcie nieproszonych gości, a nie po to, by wstrzymywał trąby powietrzne i chodzące pochodnie. Co za dużo, to niezdrowo.

Rzucił radiotelefon i wdrapał się na parkan, otaczający willę. Po tamtej stronie rosły gęste krzaki i teren opadał stromo w dół, ale Clark raptownie zsuwał się w ciemności w dół wzgórza. Nie przejmował się, że kiedy zejdzie do stóp Wzgórza, będzie miał ubranie w strzępach - po prostu chciał być jak najdalej od willi w momencie, kiedy ta banda osiągnie

bramę.

W ciągu kilku ostatnich dni Grille napatrzył się na rzeczy, które zapierały dech w piersiach, ale udało mu się przykroić je do swojego poglądu na świat.

Jednak teraz miał przed sobą scenę, tak dalece przekraczającą jego zdolność pojmowania, że mógł tylko nie dowierzać własnym oczom.

Nie raz, ale wielokrotnie.

- Nie... nie... - mówił. - Nie!

Ale przeczenie nie zdało się na nic. Widok, który od siebie odpędzał, nie słuchał go, nie odchodził. Trwał.

Palce džaffa weszły w lity mur i mocno go schwyciły. Teraz cofnął się o krok - i jeszcze jeden - ciągnąc ku sobie substancję rzeczywistości, jak rozmiękkłą na słońcu landrynkę.

Wiszące na ścianie jarmarczne malowidła przekręciły się. Linie przecięcia, łączące ściany z sufitem i podłogą, tracąc sztywność gięły się w kierunku pięści Artysty.

Zupełnie jakby zdjęcie tego pokoju wyświetlano na ekranie, a džaff po prostu schwycił rąbek płótna i ciągnął je do siebie. Wyświetlany obraz, który jeszcze przed chwilą wydawał się tak prawdziwy, okazał się tym, czym był w rzeczywistości - zwykłą błagą.

„To kino - myślał Grillo. - Cały ten cholerny świat jest kinem”.

A nazywał się ten bluff Sztuką. Był szarpnięciem prześcieradła, całunu, płótna ekranu.

Nie tylko jego oszołomiło to objawienie. Kilka osób z grona żałobników Vance'a, wytraconych z zamroczenia, otworzyło oczy, by zobaczyć obraz, jaki nie roił im się nawet po największej dawce LSD.

Chyba i sam džaff był wstrząśnięty łatwością tego przedsięwzięcia.

Dreszcze przebiegały przez jego ciało, które jeszcze nigdy dotąd nie wydawało się tak wątłe, tak nietrwałe, tak ludzkie jak teraz. Wszelkie próby, które miały zahartować jego

ducha, by dorównał tej wielkiej chwili, okazały się niewystarczające. Wszystkiego byłoby za mało. To była sztuka, która podawała cielesność w wątpliwość. Wszystkie najgłębsze pewniki bytu rozpadły się przed nią w proch.

Grillo usłyszał, że gdzieś zza ekranu dobiega jakiś narastający dźwięk, wypełnił mu czaszkę jak łomot własnego serca. Głos przywołał terata.

Obejrzał się i zobaczył, jak napływają przez otwarte drzwi, by wesprzeć swego twórcę w tym, co miało nastąpić - cokolwiek by to było. Grillo ich nie interesował; wiedział, że może odejść w każdej chwili, a one nie będą próbowały go zatrzymać. Ale nie mógł tego zostawić i odejść, chociaż ten widok przyprawiał go o męki. Za chwilę ukaże się spektakl, rozgrywający się po drugiej stronie ekranu świata, a on, Grillo, za nic nie odwróci od niego wzroku. A gdyby teraz uciekł, co by robił? Pobiegnąłby do bramy i przyglądał się wydarzeniom z bezpiecznej odległości?

Bezpieczna odległość nie istniała - to już wiedział. Przez resztę życia będzie dotykał materialnego świata, wiedząc, że świat stopiłby się, gdyby on miał Sztukę w czubkach palców.

Nie wszyscy byli tak fatalistycznie usposobieni. Wielu z tych, którzy zachowali dość świadomości, usiłowało biec do drzwi. Ale złowrogie rozmiękczenie, które wdarło się w ściany, rozprzestrzeniło się na połowę podłogi. Parkiet lepił się do stóp uciekających, marszczył się w fałdy, kiedy dżaff - teraz już oburącz - ciągnął ku sobie materię pokoju. Grillo rozglądał się za jakimś punktem oporu w tym zmiennym otoczeniu, ale znalazł tylko jakieś krzesło, równie podległe wybrykom fizyki, jak wszystko inne w tym pokoju. Krzesło wysliznęło mu się z rąk i Grillo padł na kolana; wstrząs spowodował nowe krwawienie z nosa. Nie zwracał na to uwagi.

Uniósł głowę: widział, że dżaff tak silnie ciągnął za przeciwległy koniec pokoju, że

zniekształcił go nie do poznania. Jaskrawe światła dziedzińca rozmazywały się, aż zgasły - zlały się w plamę światła o takim natężeniu, że musiały wkrótce wybuchnąć. Dźwięk dobiegający z tamtej strony nie wzrastał się więcej; w ciągu kilku sekund nabrał cech dawności, jakby trwał zawsze, tuż poza zasięgiem słuchu.

Dżaff chwycił w garść jeszcze trochę treści pokoju; nadwerężył tym wytrzymałość ekranu. Płótno rozdarło się w wielu miejscach. Salon znów się zakołysał. Grillo przywarł do falującej podłogi; obok niego potoczyły się ludzkie ciała. Widział w tym chaosie jak dżaff - jakby w ostatniej chwili żałując tego, co zrobił - zмага się z surową substancją rzeczywistości, którą ujął w dłoń - zdawało się, że pragnie ją od siebie odrzucić.

Albo pięści odmówiły mu posłuszeństwa i nie chciały puścić substancji, albo ta miała w sobie własną energię i działała bez jego pomocy, gdyż na twarzy dżaffa ukazało się dzikie przerażenie; głośnym krzykiem przywoływał swoje legiony. Ruszyły w jego stronę - budowa ich ciał pozwalała im znajdować punkty oparcia w tym ruchomym chaosie. Przewalały się ciężko przez Grillo, przygniatając go do podłogi. Ledwie jednak ruszyły z miejsca, gdy coś je wstrzymało. Wyzbywszy się obaw przed tymi stworami, gdy wokół rozgrywały się rzeczy o wiele straszniejsze, Grillo wczepiał się w skórę otaczających go bestii, aż wyprostował się na tyle. na ile to było możliwe i obejrzał się na drzwi. Tamta część pokoju pozostała prawie nie naruszona. Tylko nieznaczne wypaczenia murów napomykało o tym, co działo się za plecami Grillo. Pobiegł spojrzeniem przez hall - na frontowe drzwi - były otwarte. W drzwiach stał syn Fletchera.

Howie zrozumiał, że istnieje zew przemożniejszy niż wołanie twórców i panów. Jest to zew, który przyciąga jakieś stworzenie do jego przeciwności - naturalnego wroga. To uczucie opanowało właśnie terata, gdy rzuciły się do drzwi, pozostawiając dżaffowi cały rozpętany we wnętrzu domu chaos.

- Idą na nas! - krzyknął Howie do armii Fletchera, cofając się do drzwi pod naporem fali terata. Jo-Beth, która weszła do domu wraz z nim, wciąż stała na progu. Howie schwycił ją za ramię i pociągnął za sobą.

- Za późno - zawołała. - Widziałeś, co on robi? Mój Boże! Widziałeś?!

Nie dbając o to, czy walczą o przegraną sprawę, czy nie, majaki senne były gotowe stawić czoła terata; rzuciły się do ataku, gdy tylko terata wypłynęły ławą z domu. Wspinając się na Wzgórze, Howie spodziewał się, że czekająca go walka będzie w jakiś sposób wykwinna, że będzie to potyczka woli lub umysłu. Ale toczące się wokół niego walki miały wymiar czysto fizyczny. Postaci z marzeń mogły rzucić na szalę tylko swoje ciała; rzuciły się w wir bitewny z zażartością, o jaką nigdy by nie posądził tamtych melancholijnych istot, które zebrały się w lesie, a tym mniej ugrzecznionych gości, jakimi byli w domu Knappów. Nie było różnicy między dziećmi a bohaterami. Ledwie można ich było teraz rozróżnić, gdy ostatnie cechy ludzi, w których kształty przyoblekli ich marzący, rozplynęły się w obliczu równie nijakiego wroga. Gra szła teraz o sprawy zasadnicze: Fletcherowskie umiłowanie światła przeciw ciemnościom, w których lubował się dżaff.

W obydwu krył się jeden zamiar, wspólny obu stronom. Jeden pragnął zniszczyć drugiego.

Howie uważał, że spełnił ich prośbę: poprowadził senne wojsko na Wzgórze, przywołując do porządku maruderów, którzy zapominali, po co tu byli, i zaczęli się rozplywać. W kilku wypadkach przegrał - być może były to marzenia, których nie wysniono dostatecznie starannie. Ich ciała rozwiały się, zanim doprowadził je dostatecznie blisko, by wyczuły wroga. Jeśli chodzi o pozostałych, to widok terata był wystarczająco silnym bodźcem. Będą walczyć, aż terata rozedrą je na części.

Obie strony zdążyły już ponieść ciężkie straty: ochłapy połyskliwej ciemności,

wyszarpane z ciał terata; światło, sączące się z ran zadanych żołnierzom armii snów. W twarzach walczących nie było widać bólu. Z ran nie płynęła krew. Wytrzymywali atak za atakiem, walczyli, odniósłszy obrażenia, które wyeliminowałyby z walki każdą inną, choćby z grubsza żywą istotę. Dopiero gdy pozbawiono je większości substancji cielesnej, rozpadały się i zanikały. Nawet wtedy powietrze, w którym się roztwarzyły, nie było puste. Brzęczało i drgało, jakby wojna toczyła się dalej na poziomie podatomowym, zaś energie pozytywne i negatywne walczyły aż do impasu albo wyniszczenia jednej i drugiej.

To ostatnie wydawało się bardziej prawdopodobne, gdyby toczące się przed domem walki przyjąć za wskaźnik. Ponieważ siły okazały się wyrównane, obie strony wyniszczały się nawzajem, krwawo mszcząc straty, podczas gdy szeregi żołnierzy raptownie topniały. Zanim Tesla wjechała na Wzgórze, walki rozprzestrzeniły się do bramy i poza nią, na drogę. Wokół - kształty, kiedyś obdarzone cechami indywidualnymi, obecnie - abstrakcyjne bryły, plamy cienia, plamy światła, wydzierające sobie kawałki materii. Zatrzymała samochód i poszła do willi.

Zza drzew, rosnących rzędem wzdłuż podjazdu, wyłonili się jacyś dwaj kombatanci; runęli na ziemię kilka jardów dalej, spleceni w uścisku. Wydawało się także, że kończyny jednego przenikają drugiego na wylot. Tesla patrzyła przerażona. Czy doprowadziła do tego Sztuka? W jaki sposób uciekli z Quiddity?

- Tesla!

Obejrząwszy się, zobaczyła Howie'ego. Wyjaśnił jej wszystko szybko i bez tchu.

- Zaczęło się. Dżaff właśnie posługuje się Sztuką.

- Gdzie?

- W willi.

- A ci? - zapytała.

- To niedobitki. Przyszliśmy za późno.

„To co teraz, mała? - myślała. - Nic na to nie możesz poradzić. Świat przechylił się na bok i wszystko zsuwa się w dół”.

- Musimy się stąd wszyscy wynieść - powiedziała Howiemu.

- Tak pani myśli?

- A co innego możemy zrobić?

Spojrzała na dom. Grillo mówił jej, że to cudactwo, ale nie spodziewała się, że architektura może być równie dziwaczna. Nie było tam ani jednego kąta prostego, każda linia pionowa odchyłała się od pionu o kilka stopni.

Nagle zrozumiała. To nie był jakiś postmodernistyczny żart. Coś wewnątrz domu ciągnęło budowlę ku sobie, zniekształcając jej proporcje.

- Mój Boże - powiedziała. - Grillo wciąż tam jest.

Właśnie gdy mówiła te słowa, fasada domu wgięła się jeszcze bardziej.

W obliczu tak dziwnego zjawiska, resztki toczącej się wokół niej batalii nie miały już większego znaczenia. Po prostu dwa plemiona szarpały się za gardła jak wściekłe psy. To sprawy mężczyzn. Nie zwracała już na nie uwagi, obesła walczących bokiem.

- Dokąd pani idzie?

- Do środka.

- Tam jest prawdziwe piekło.

- A tutaj nie? Tam został mój przyjaciel.

- Pójdę z panią.

- Czy jest tu Jo-Beth?

- Była.

- Poszukaj jej. Ja odnajdę Grillo i oboje się stąd zmyjemy.

Nie czekając, co powie, poszła w stronę willi.

Trzecia z sił, szalejących tego wieczoru w Grove, była już w połowie Wzgórza, kiedy Witt zrozumiał, że chociaż ogromnie bolał nad utratą swych marzeń, nie chciał jeszcze umierać. Zaczął szarpać za kłamkę, gotów wyskoczyć z rozpędzonego samochodu, ale zmienił zamiar na widok ciągnącej za nimi kurzawy. Spojrzał na Tommy-Raya. Z twarzy chłopca nigdy nie biła inteligencja, ale Witt doznał wstrząsu, widząc te nieruchome, pozbawione życia rysy. Tommy-Ray wyglądał jak niedorozwinięty umysłowo. Z dolnej wargi sączyła mu się ślina, twarz lśniła mu od potu. Ale udało mu się wymówić pewne imię.

- Jo-Beth - powiedział.

Nie słyszała tego wezwania, ale usłyszała inne. Z głębi domu wydobywał się krzyk człowieka, który powołał ją do życia. Domyśliła się, że nie do niej był skierowany ten zew. Dżaff nawet nie wiedział, że była w pobliżu. Ale Jo-Beth usłyszała wołanie. Było w nim przerażenie, obok którego nie mogła przejść obojętnie. Zawróciła do drzwi przez gęste od materii powietrze, futryny gięły się do wewnątrz.

W domu było jeszcze gorzej. Całe wnętrze zatracalo cechy ciała stałego, poddając się sile, ciągnącej je nieubłaganie do punktu centralnego. Nietrudno było znaleźć ten punkt. To w jego kierunku sunął cały rozmiękły świat.

W centrum, w samym rdzeniu - był dżaff. Przed nim - wyrwa w substancji rzeczywistości, oddziałująca jednakowo na materię ożywioną i nieożywioną. Jo-Beth nie mogła widzieć, co było po tamtej stronie wyrwy, ale mogła się tego domyślać: Quiddity; morze snu; a na nim wyspa, o której mówili jej i Howie, i ojciec. Tam czas i przestrzeń nie trzymały się żadnych reguł, przechadzały się duchy.

A jeśli to prawda - osiągnął, co zamierzył, posłużył się Sztuką, by zdobyć dostęp do cudownej krainy - to dlaczego tak się bał? Dlaczego próbował uciec od tamtego widoku,

szarpiąc zębami własne ręce, by puścić materię, w którą weszły jego palce?

Rozum mówił jej: odejdz. Odejdz, póki możesz. Już czuła, jak przyciąga ją coś, co było za wyrwą, czymkolwiek to było. Mogła się temu opierać przez krótki czas - a czas się kurczył. Ale nie potrafiła się oprzeć pragnieniu, które najsilniej przyciągało ją do tego domu. Pragnęła widzieć cierpienie ojca. Nie było to uczucie, jakim dobra córka obdarza swojego ojca, ale i on nie był najlepszym z ojców. Sprawił ból jej i Howiemu. Zepsuł Tommy-Raya do tego stopnia, że stał się kimś innym. Złamał matce życie i serce. Teraz chciała widzieć, jak on cierpi; nie mogła oderwać oczu od tego widoku. Jego samookaleczenie nabierało coraz więcej cech obłędu. Wypluwał kawałki swoich palców, potrząsał głową jakby próbując zaprzeczyć temu, co widział w wyrwie wydartej przez Sztukę.

Usłyszała, że ktoś wymówił jej imię - obejrzawszy się, zobaczyła jak jakaś kobieta - nigdy jej nie spotkała, ale znała ją z opisu Howie'ego - przyzywa ją gestem na próg, gdzie było bezpieczniej. Nie posłuchała.

Pragnęła zobaczyć chwilę, kiedy džaff całkiem się unicestwi, albo jak wciąga go i niszczy zło, które rozpętał. Aż do tej pory nie wiedziała. Jak bardzo go nienawidzi. O ile poczuje się czystsza, kiedy on odejdzie z tego świata!

Głos Tesli dotarł także do innych - oprócz Jo-Beth - uszu. Przywarłszy do ziemi kilka jardów za džaffem, na nienawidzonej wysepce stałego lądu, otaczającego Artystę - Grillo usłyszał wołanie Tesli i odwrócił się od nawoływań Quiddity, by na nią popatrzeć. Twarz miał napuchniętą od krwi - wyrwa parła wszystkie jego soki żywotne w górę ciała. Głowa mu dudniła. Jakby gotowa się rozerwać. Ciąg powietrza wysysał mu łzy, wyrывał rzęsy. Z nosa ciekły mu dwa krwawe strumyczki prosto w głąb wyrwy.

Grillo widział, że większość obecnych w pokoju osób i przedmiotów została już porwana przez Quiddity. Jako jedna z pierwszych przepadła Rochelle; jej osłabione nałogiem

ciało utraciło ten ograniczony kontakt ze światem realnym, który jej jeszcze pozostał. Odszedł Sagansky wraz ze znokautowanym przeciwnikiem. Ich śladem poszli zaproszeni goście, chociaż próbowali zawrócić do drzwi. Ze ścian pospadały obrazy, odpadła warstwa tynku pokrywająca wewnątrz drewnianą konstrukcję muru; teraz i drewno poddawało się i gięło, uległe wezwaniu. Grillo dołączyłby do odchodzących - murów, gości i całej reszty - gdyby nie osłona, którą dawał cień džaffa, trwały jak opoka w tym morzu chaosu.

Nie, nie morzu. Morze widział przez krótką chwilę po tamtej stronie; przy nim śmieszne stawały się wszelkie inne wyobrażenia morza.

Quiddity było właściwym morzem - pierwszym, niezgłębnym. Grillo stracił już nadzieję, że uda mu się zignorować jego wezwanie. Zbyt blisko był brzegu Quiddity, by mógł zawrócić i odejść. Powrotna fala zdążyła zabrać większość pokoju. Wkrótce zabierze i jego. Ale widok Tesli natchnął go zuchwałą nadzieją, że może uda mu się przeżyć i opowiedzieć to, co widział. Jeśli chce skorzystać z tego cienia szansy, to musi się śpieszyć. Z każdą chwilą nikła niewielka osłona, którą zapewniał mu džaff. Zobaczył, że Tesla wyciąga do niego rękę - spróbował ją uchwycić. Odległość była zbyt duża. Tesla nie mogła wejść głębiej do wnętrza pokoju, gdyż utraciłaby oparcie, które dawał jej względnie bezpieczny grunt za progiem domu.

Tesla zaniechała prób i cofnęła się dalej od wyrwy.

„Nie zostawiaj mnie teraz - myślał Grillo. - Nie dawaj mi nadziei, żeby mnie potem opuścić”.

Powinien znać ją lepiej. Cofnęła się tylko po to, by wyciągnąć pasek ze szlufek u spodni i zaraz wróciła na próg, pozwalając, by siła ssąca Quiddity rozwinęła pasek tak, że znalazł się w zasięgu Grillo.

Uchwycił się go.

Na polu bitwy przed domem Howie odnalazł resztki światła, które kiedyś były Bennym Patersonem. Prawie całkiem zatraciły podobieństwo do chłopczyka, którym były, ale zostało tego podobieństwa na tyle, by Howie mógł go rozpoznać. Przykląkł obok, myśląc, że to śmieszne, by opłakiwać odejście czegoś równie ulotnego, ale zaraz odepchnął od siebie tę myśl.

Przecież on sam podlegał przemijaniu i nie więcej wiedział o celu swojego życia niż ten chłopczyk z marzeń, Benny Patterson.

Przyłożył dłoń do jego twarzy, ale już się rozpadała, rozsypywała pod jego palcami jak pyłek kwiatowy. Głęboko zasmucony uniósł głowę i zobaczył, że z bramy wjazdowej do Coney Eye wychodzi Tommy-Ray i kieruje się w stronę domu. Z tyłu, przy bramie, stał jakiś mężczyzna, którego Howie nie znał. A za nimi dwoma - ściana zawodzącej kurzawy, która szła za Tommy-Rayem jak skłębiona chmura.

Howie już nie myślał o Bennym Patersonie. Gdzie teraz jest Jo-Beth?

Zapomniał o niej w zamieszaniu kilku ostatnich minut. Nie wątpił, że to ona była celem, do którego dążył Tommy-Ray.

Wstał z klęczek i pobiegł w dół, by odciąć wrogowi drogę. Tommy-Ray zmienił się ponad wszelkie wyobrażenie. Nie był to już opalony, urodziwy heros, jakiego widział w Pasażu podczas pierwszego spotkania. Zbryzgany krwią, z oczami zapadłymi w głąb czaszki, odrzucił w tył głowę i krzyknął:

- Ojcze!

Tuman kurzu, stojący za nim, rzucił się Howiemu w twarz, kiedy podszedł do wroga dość blisko, by go uderzyć. Cokolwiek kryło się w tej chmurze obrzmiałe nienawiścią twarze z czarnymi czeluściami ust - odrąbało Howie'ego na bok, spiesząc do ważniejszych spraw -

nic im było do Howie'ego i jego nieważnego życia. Upadł na ziemię i leżał, osłaniając głowę, aż przeszły nad nim dalej. Wstał, gdy odeszły. Tommy-Ray i chmura zniknęli w głębi domu.

Usłyszał głos Tommy-Raya, wybijający się ponad zgiełk, wywołany przez Sztukę.

- Jo-Beth! - wrzeszczał Tommy-Ray.

Howie zrozumiał, że była wewnątrz domu. Nie mógł pojąć, dlaczego tam poszła, ale wiedział, że musi zdążyć przed Tommy-Rayem, zanim ten łajdak dostanie ją w swoje ręce.

Mknąc w stronę domu, widział, jak jakaś siła wewnątrz niego wciąga resztki kurzawy.

Ujrzał tę potęgę, gdy tylko przekroczył próg: wir, który zawładnął całym domem, właśnie wciągał ostatnie, postrzępione kłęby chmury. Przed nim stał dżaff; z jego rąk niewiele pozostało. Howie patrzył tylko przez chwilę, zaraz zawołała go Tesla:

- Pomóż mi, Howie! Howie! Pomóż mi!

Czepiała się wewnętrznej strony drzwi, straszliwie pokrzywionych, drugą ręką trzymając jakiegoś człowieka, wciągane przez wir. Podbiegł do niej w trzech susach, za nim sypnął grad strzaskanego betonu (był to schodek, przez który właśnie przeszedł) i schwycił ją za rękę. Wtedy rozpoznał postać. stojącą tuż za Teslą, bliżej czeluści, którą otworzył dżaff. Jo-Beth!

Krzyknął. Obróciła w jego stronę oczy, na wpół oślepione sypiącym wokół gruzem.

Kiedy spotkały się ich spojrzenia, Howie zauważył, że Tommy-Ray sunie w jej kierunku.

Ostatnio maszyna przeszła niejedno, ale wciąż pozostawało w niej trochę pary. Pociągnął

Tesłę za ramię, holując do przedpokoju ją i człowieka, którego usiłowała ratować z obszaru największego zagrożenia. Tommy-Ray wykorzystał ten moment, by dopaść Jo-Beth, rzucił się na nią z takim impetem, że zbił ją z nóg.

Howie ujrzał przerażenie w jej oczach, w chwili gdy padała. Widział, jak Tommy-Ray

bierze ją w ramiona - w mocny, ciasny uścisk. Wtedy porwało ich Quiddity, przeciągnęło ich

przez pokój obok ich ojca i zabrało dalej. W głąb tajemnicy.

Z piersi Howie'ego wyrwało się wycie.

Gdzieś z tyłu nawoływała go Tesla. Nie odwrócił się. Nie odrywając oczu od miejsca, w którym przepadła Jo-Beth, zrobił krok w stronę drzwi. Tamta siła namawiała go, podjudzała. Zrobił następny krok, uświadamiając sobie niejasno, że Tesla krzyczy, by stanął, by zawrócił, zanim będzie za późno.

Czy nie rozumiała, że było za późno już wtedy, gdy zobaczył Jo-Beth? Już wtedy wszystko było stracone.

Jeszcze jeden krok i porwała go trąba powietrzna. Pokój zawirował.

Przez chwilę widział wroga swojego ojca - stał z bezmyślnie rozdziawionymi ustami, a za nim, rozwartą jeszcze szerzej, ziała rozpadlina.

Wtedy Howie odszedł tam, dokąd odeszła jego piękna Jo-Beth - do Quiddity.

- Grillo?

- Tak.

- Możesz wstać?

- Chyba tak.

Już dwa razy próbował wstać i padał, a Tesli nie starczyło sił, by go dźwignąć i zanieść do bramy.

- Jeszcze chwilę - powiedział. Wciąż oglądał się na dom, z którego cudem udało im się uciec.

- Nie ma na co patrzeć, Grillo - niecierpliwiła się Tesla.

Z pewnością nie miała racji. Fasada wyglądała jak z „Caligari” z wessanymi do środka

domu drzwiami i oknami, które także zaczynały wyginać się do wewnątrz. A co działo się w domu - kto wie?

Kiedy szli, potykając się, do samochodu, z chaosu wynurzyła się jakaś postać i wyszła chwiejnym krokiem na światło księżyca. Był to džaff. Fakt, że stał nad brzegiem Quiddity i oparł się jego falom, świadczył o jego potędze, ale ten opór miał swoją cenę. Ręce miał pogryzione do kości, resztki lewej ręki zwisały mu w strzępach z przegubu. Twarz miał zniszczoną równie brutalnie - nie zębami, ale tym, co widział. Złamany, z pustką w oczach, szedł, zataczając się, w stronę bramy. Za nim ciągnęły smugi ciemności - niedobitki terata. Tesłę paliła ciekawość, chciała wypytać Grillo, jak wiele Quiddity udało mu się zobaczyć, ale to nie była odpowiednia chwila. Wystarczyło, że przeżył i będzie mógł jej to opowiedzieć. Żywe ciało w świecie, w którym ciało umierało z każdą chwilą. Żył, podczas gdy życie kończyło się z każdym wydechem i zaczynało od nowa z każdym haustem wdychanego powietrza.

Pośrodku czaiło się tyle niebezpieczeństw. Więcej niż kiedykolwiek przedtem. Nie wątpiła, że najgorsze mają przed sobą i że gdzieś tam, na najdalszym brzegu Quiddity, Iad Uroboros patrzy ku nim zawistnie i pożądliwie, szykując się do przeprawy przez morze snu.

CZEŚĆ SIÓDMA

W PUNKCIE ZERO

I

Na przestrzeni tysiąclecia, prezydenci, szamani, papieże, święci i szaleńcy usiłowali wdrzeć się do Quiddity przekupstwem, morderstwem, narkotykami i samobiczowaniem. Prawie nikomu się to nie udało. Morze snów przetrwało w stanie prawie nie zmienionym; pozostało piękną baśnią. podniecającą plotką, nigdy nie potwierdzoną, więc tym silniej przemawiająca do wyobraźni. Główny gatunek, zamieszkujący Kosmos, zachował resztki

zdrowia psychicznego dzięki wyprawom nad morze podczas snu - trzy razy w ciągu całego życia, za każdym razem pragnąc pozostać tu dłużej. To pragnienie kazało ludziom działać, cierpieć, wpadać w szal. Kazało im czynić dobro w nadziei - często nieświadomionej - na częstsze odwiedziny.

Kazało im czynić zło pod wpływem idiotycznych podejrzeń, że wrogowie morza, którzy byli wtajemniczeni w jego sekret, ale nie chcieli się nim dzielić, knuli przeciw morzu spisek. Kazało im tworzyć bogów. Kazało im obalać bogów.

Ta garstka ludzi, która odbyła podróż, w jaką właśnie wyruszyli Howie, Jo-Beth, Tommy-Ray i dwadzieścioro dwoje gości z willi Buddy'ego Vance'a, nie była podróżnymi z przypadku. Byli oni przeznaczeni dla celów Quiddity i odchodzili (w większości) przygotowani.

Jeśli chodzi o Howie'ego, to był tak samo przygotowany do drogi jak byle mebel, wciągnięty w gardziel rozpadliny. Najpierw poszybował na oślep przez pętle energii, by wpaść w coś, co wyglądało jak wnętrze gromu: błyskawice krzesły wokół niego krótkotrwałe, jasne płomienie. Gdy tylko znalazł się w gardzieli otchłani, ucichły wszelkie odgłosy, dobiegające z willi: znikły także resztki rumowiska, które leciało wraz z nim. Nie mógł kierować swym lotem ani zorientować się, gdzie w ogóle jest; mógł tylko koziółkować w głąb chmury, podczas gdy błyskawice stawały się rzadsze i jaśniejsze, a obszary ciemności między nimi wciąż się pogłębiały; w końcu zaczęło mu się wydawać, że może ma przymknięte oczy i ta ciemność, wraz z towarzyszącym jej uczuciem spadania, jest tylko za jego zamkniętymi powiekami. Jeśli tak rzeczywiście było, to cieszył się z tego; jego myśli opadały równie swobodnie, zatrzymując się na chwilę przy obrazach, wyłaniających się z ciemności, które wydawały się najzupełniej rzeczywiste, a jednak był prawie pewien, że istniały tylko w jego wyobraźni.

Wciąż przywoływał do siebie obraz Jo-Beth za każdym razem odwracała się, by na niego popatrzeć. Powtarzał jej słowa miłości w nadziei, że je usłyszy. Nawet jeśli słyszała, nie podchodziła bliżej. Nie dziwiło go to.

Tommy-Ray rozpuszczał się w tej samej skrzęcej się od myśli chmurze, przez którą szybował on i Jo-Beth, a bracia-bliźniacy roszczą sobie wobec siostr prawa, które wywodzą się jeszcze z łona. Przecież razem pływali w tym pierwszym morzu, spleceni umysłami i pępowinami. Howie nie zazdrościł Tommy-Rayowi niczego na świecie - urody, uśmiechu - po prostu niczego oprócz bliskości, którą dzielił z Jo-Beth, jeszcze nim życie obdarzyło go płcią, pragnieniami, a nawet oddechem. Mógł tylko mieć nadzieję, że będzie z nią u kresu jej życia, kiedy wiek zabierze im płeć, pragnienia i w końcu - oddech.

Później znikła jej twarz i jego zazdrość, i zajęły go inne myśli - czy też migawkowe ich obrazy. Nie byli to ludzie, ale miejsca, pojawiające się i znikające, jakby jego umysł odcedzał je, szukając tego jednego, o które mu chodziło. Znalazł to, czego szukał. Rozmyty błękit nocy nabrał nagle konsystencji konkretności. Uczucie spadania natychmiast ustało. Był rzeczywistym człowiekiem w rzeczywistej przestrzeni; biegł z łomotem po jakimś drewnianym pomoście, w twarz wiał mu świeży, chłodny wiatr. Z tyłu słyszał nawoływania Lema i Ritchie'ego. Biegł dalej, oglądając się przez ramię. Już widział, gdzie się znajduje. Za sobą miał sylwetkę Chicago na tle nieba; światła miasta jarzyły się w ciemności nocy - zatem wiatr, który czuł na twarzy, wiał znad jeziora Michigan. Biegł wzdłuż jakiegoś mołu - nie wiedział, które to było - a wody jeziora pluskały wokół przęsła pomostu.

Był to jedyny obszar wody, który dobrze znał. Jezioro oddziaływało na mikroklimat miasta, czyniąc go wilgotnym; powietrze miało tu inną woń niż gdziekolwiek indziej na świecie; jezioro rodziło burze i ciskało je na brzeg. To jezioro było tak niezmiennie i wieczne, że rzadko o nim myślał. Najwyraźniej myślał o nim jak o miejscu, gdzie żeglowali ludzie,

którzy mieli pieniądze, i gdzie topili się ci, którzy je stracili.

Ale teraz, gdy biegł wzdłuż molo, coraz dalej od cichnących nawoływań Lema, myśl o jeziorze, które czeka na niego u kresu biegu, wzruszała go jak nigdy dotąd. On był mały, ono - ogromne. Był pełen sprzeczności; ono po prostu brało w siebie wszystko, nie osądzając ani żeglarzy, ani samobójców.

Przyspieszył biegu, już prawie nie czuł nacisku stóp na deski, przy czym narastało w nim przekonanie, że choć otaczający go krajobraz jest tak rzeczywisty, jest to tylko jeden z jego wymysłów, sklecony ze strzępów wspomnień, który ma ułatwić mu przejście, gdyż w przeciwnym razie popadłby w obłąd - jest to kamień, po którym przejdzie przez strumień, dzielący senną jawę jego życia, z którego odchodził, od nieznanych paradoksów, które miał przed sobą. Im bliżej był końca molo, tym bardziej był przekonany, że o to właśnie chodziło. Jego lekki krok stawał się jeszcze lżejszy, a susy coraz dłuższe. Czas miękł i rozciągał się. Mógł się zastanawiać, czy morze snu rzeczywiście istnieje, przynajmniej w sposób, w jaki istnieje Palomo Grove, albo czy molo, które stworzył, nie wychodzi w morze czystej myśli. Jeśli tak rzeczywiście było, to spotykało się tam wiele umysłów: w wodach jeziora poruszały się dziesiątki tysięcy światła - niektóre przecinały lustro wody niczym fajerwerki, inne nurkowały w głębinę. Howie zauważył, że i on wydzielał z siebie jakąś poświatę. Nie była to jakaś wielka światłość, ale jednak jego skóra wyraźnie się żarzyła, niczym daleki odbłask światła Fletchera.

Barierka, wieńcząca koniec molo, była już o kilka stóp od Howie'ego. Za nią - płaszczyna wody, o której już nie myślał jako o jeziorze Michigan. To było Quiddity; za chwilę woda zamknie się nad jego głową. Howie nie czuł strachu. Przeciwnie. Wprost nie mógł się doczekać, kiedy osiągnie barierkę - rzucił się na nią z całym impetem. Jeśli chciał jeszcze dowodów na to, że to wszystko było nierzeczywiste, to uzyskał je w chwili zderzenia

z barierą - ledwie jej dotknął, rozprysła się w tysiąc kawałków, które poleciały na wszystkie strony. On też poleciał. Był to opadający lot, wprost w morze snu.

Żywioł, w który się Howie zanurzył, tym się różnił od wody, że nie zmoczył go ani oziębził. A jednak Howie wypłynął na powierzchnię pośród jasnych pęcherzyków powietrza bez najmniejszego wysiłku. Zupełnie się nie bał, że utonie. Czuł tylko ogromną wdzięczność, że jest tu, gdzie jest jego właściwe miejsce.

Popatrzył przez ramię (już tyle razy oglądał się za siebie) na molo.

Spełniło swoje zadanie, obróciwszy w zabawę to, co mogło być gehenną. Teraz rozpadało się w kawałki, tak jak bariera. Patrzył na to z uczuciem szczęścia. Uwolniony od Kosmosu, kołysał się na falach Quiddity.

Jo-Beth i Tommy-Ray razem wpadli w czeluść otchłani, ale ich umysły odmiennie widziały tę podróż i zanurzenie.

Chmura burzowa oczyściła umysł Jo-Beth z przerażenia, które dziewczyna odczuła w chwili porwania. Uspokojona, zapomniała o tamtym chaosie. Już nie Tommy-Ray trzymał ją za ramię, ale matka z dawnych lat, kiedy jeszcze potrafiła patrzeć światu w twarz. Szły w kojącym mroku, czując trawę pod stopami. Matka śpiewała. Może była to jakaś pieśń religijna, ale matka zapomniała słów. Wstawiała jakieś słowa bez sensu w miejsce brakujących strof, których rytm jakby zgadzał się z krokami idących. Co jakiś czas Jo-Beth mówiła, czego nauczyła się w szkole, aby matka wiedziała, jak dobrą jest uczennicą.

Wszystkie lekcje były na temat wody. Mówiły o tym, że przypływy występują wszędzie, nawet podczas płaczu, mówiły o morzu, w którym powstało życie; o tym, że ciało zawiera w sobie więcej wody niż jakiegokolwiek innego składnika. Kontrapunkt faktów i pieśni ciągnął się już dłuższą chwilę, gdy Jo-Beth wyczuła w powietrzu pewną zmianę. Wiatr stał się bardziej porywisty; poczuła zapach morza. Uniosła twarz ku wiatrowi, zapominając o

lekcjach. Pieśń matki przycichła. Jo-Beth już nie wyczuwała dotyku matczynej dłoni. Szła dalej, nie oglądając się za siebie. Naga, ogołocoła z trawy ziemia opadała dalej do poziomu morza; wydawało się, że na falach kołyszą się niezliczone łodzie, a na ich dziobach i masztach płoną świece.

Nagle grunt urwał jej się pod stopami. Nawet spadając, Jo-Beth nie czuła strachu, tylko pewność, że matka pozostała gdzieś w tyle.

Tommy-Ray znalazł się w Topanga o świcie lub o zmierzchu - tego nie był pewien.

Chociaż słońce znikło już z nieba, nie był sam. Słyszał śmiechy dziewcząt w półmroku, ich szepty pełne podniecenia. Nagimi stopami czuł, jak gorący był piasek, na którym przed chwilą leżały, jak lepki od olejku do opalania. Nie widział fali surfowej, ale wiedział, w którą stronę ma pobiec.

Biegł do wody, czując na sobie uważne spojrzenie dziewcząt. Zawsze mu się przyglądały, a on udawał, że tego nie widzi. Czasem, kiedy już sunął na grzbiecie fali, rzucał im olśniewający uśmiech. Potem, wracając na plażę, pozwalał się poderwać jednej z nich.

Teraz, widząc fale tuż przed sobą, zrozumiał, że coś tu nie było w porządku. Plaża była posępna, a morze ciemne, a teraz wydało mu się, że fala przyboju niesie bezwładne ciała; i co gorsze, te ciała wydzielają fosforyczny blask. Zwolnił kroku, ale wiedział, że nie może przystanąć i zawrócić. Nie chciał, by ktokolwiek z plażowiczów, a zwłaszcza dziewczęta, myślał, że się boi. Ale bał się, strasznie się bał. W morzu było jakieś radioaktywne paskudztwo. Tamci chłopcy, zatrąwszy się, pospadali z desek surfingowych i teraz zносиły je fale, które chcieli ujeździć. Widział ich teraz wyraźnie - skórę pokrywały im srebrzyste i czarne plamy, ich włosy rozkładały się w złociste aureole. Obok unosiły się ciała ich dziewczyn, martwych jak oni, pośród skażonej piany.

Tommy-Ray wiedział, że nie ma wyboru: musi iść do nich. Sromotny odwrót na plażę

był gorszy niż strach umierania. Wszyscy przejdą do legendy - on i ci martwi sportowcy, znoszeni przez jedną falę. Zebrał całą odwagę i wstąpił w morze, które nagle stało się bardzo głębokie, zupełnie jakby plaża zniecka zapadła mu się pod stopami. Trucizna zaczęła natychmiast wdzierać się w jego organizm, widział, jak jego ciało jaśnieje i świeci. Zaczął głęboko oddychać; każdy oddech był boleśniejszy niż poprzedni.

Coś musnęło jego bok. Obrócił się, przekonany, że to jakiś topielec, ale ujrzał Jo-Beth.

Wymówiła jego imię. Nie znalazł ani słowa odpowiedzi. Tak pragnął ukryć swoje przerażenie, ale nic nie mógł na to poradzić: sikał w morze, zęby mu szczękały.

- Pomóż mi, Jo-Beth - powiedział. - Ty jedna możesz mi pomóc. Umieram.

Spojrzała mu w twarz; nie mógł się powstrzymać od szczękania zębami.

- Jeśli ty umierasz, to znaczy, że umieramy oboje - powiedziała.

- Skąd się tu wziąłem? I dlaczego ty tu jesteś? Przecież nie lubisz plaży.

- To nie plaża - ujęła go za ramiona; przy tym ruchu podskoczyli jak boje. - To jest

Quiddity, Tommy-Ray. Pamiętasz? Jesteśmy po drugiej stronie wyrwy. Ty nas tu wciągnąłeś.

Widziała, że to wspomnienie odbiło się na jego twarzy.

- O mój Boże... Jezu Chryste...

- Więc pamiętasz?

- Jezu, tak - szczękanie zębów przeszło w szloch, gdy przyciągnął ja do siebie i mocno objął. Nie odpychała go. Cóż jej z mściwości, kiedy oboje są w tak wielkim niebezpieczeństwie.

- Cicho - mówiła, nie odrywając jego rozpalonej, zmienionej bólem twarzy od swojego ramienia. - Nie rozpaczaj. Już nic nie możemy zrobić.

Nie musiał niczego robić. Quiddity zawładnęło nim i będzie teraz dryfował wraz z prądem bez końca, aż może - kiedyś - dopędzi Jo-Beth i Tommy-Raya. Na razie cieszyło go

zatracenie się w tym bezmiarze. Tutaj wszystkie jego strachy - właściwie całe jego życie - wydawały się bez znaczenia. Położył się na plecach i patrzył w niebo. Nie było to, jak początkowo sądził, nocne niebo. Nie było w nim gwiazd, nieruchomych czy spadających. Nie było chmur zakrywających księżyc. Właściwie początkowo wydawało się pozbawione jakichkolwiek cech, ale w miarę jak mijały sekundy - lub minuty czy może godziny - nie wiedział tego, ani o to dbał - zrozumiał, że te ledwie dostrzegalne fale barw ciągnęły się na setki mil, przesuając się po niebie. W porównaniu z tym widowiskiem zorza polarna była niezbyt efektownym zjawiskiem. Co jakiś czas Howiemu wydawało się, że dostrzega tam kształty sunące w górę i w dół, jak ławice półmilowych rai, żerujących w stratosferze. Miał nadzieję, że zejda trochę niżej, by mógł im się lepiej przyjrzeć, ale być może - rozmyślał leniwie - nie można ich widzieć wyraźniej. Nie wszystko można zobaczyć. Niektóre zjawiska umykały wzrokowi, dotykowi, analizie. Na przykład - wszystko, co czuł wobec Jo-Beth. Było to dokładnie tak dziwne i nieuchwytnie jak barwy nad jego głową czy igrające w nich kształty. Dostrzec je było można tyleż dzięki uczuciu, co siatkówce oka. Tym szóstym zmysłem było współodczuwanie.

Zadowolony ze swego losu, łagodnie pluskał się w eterze, próbując sił w pływaniu. Podstawowe układy pływackie nieźle mu wychodziły, ale nie mając żadnego punktu odniesienia, nie mógł stwierdzić, jak daleko odpłynął.

Światła, unoszące się w morzu dookoła niego - zapewne współtowarzysze podróży, tyle że, w przeciwieństwie do Howie'ego, pozbawieni określonych kształtów - były zbyt niewyraźne, by mogły wyznaczać kierunek. Może były to istoty pogrążone w marzeniach?

Noworodki, kochankowie i konający, może wszyscy oni wędrowali podczas snu przez wody Quiddity, by ich kołysało i kołysało, by spokój niósł ich jak fala w stronę burzy, która zbudzi ich ze snu? W stronę życia, które przeżyją lub utracą. W stronę miłości - pełni obaw, że po tej

cudownej chwili olśnienia miłość straci smak lub odejdzie.

Zanurzył twarz w wodzie. W odległych głębinach pod stopami dostrzegł wiele tych świetlistych kształtów, niektóre zeszyły tak głęboko, że były nie większe od gwiazd. Nie wszystkie poruszały się w tym samym kierunku, co on. Niektóre, jak tamte olbrzymie raje, poruszały się w ławicach, wznosiły się i opadały. Inne szły bok przy boku. To kochankowie - myślał - choć pewnie wszyscy śniący, pogrążeni w marzeniach u boku najbardziej ukochanych, cieszyli się wzajemnością. Może było tych szczęśliwców bardzo niewiele. Ta myśl przypominała mu o czasie, gdy przywędrował tu razem z Jo-Beth; i o jej obecnym miejscu pobytu. Musi się strzec, by nie odurzył go ten spokój, by o niej nie zapomniał. Wynurzył twarz z morza.

O włos uniknął zderzenia. Parę jardów od Howie'ego - niby przykry zgrzyt pośród tak wielkiego spokoju - płynął jaskrawo pomalowany fragment domu Vance'a. Kilka jardów dalej zobaczył coś jeszcze bardziej przygnębiającego: na wodzie unosił się kształt zbyt odrażający, by mógł pochodzić z tych okolic, a jednak zdecydowanie różnił się od wszystkiego, co Howie znał z Kosmosu. Kształt unosił się na cztery lub więcej stóp nad powierzchnią wody, a równie duża lub większa jego część była zanurzona pod wodą - guzowata, o woskowym połysku wyspa, kołysząca się na tym czystym morzu jak blada gruda nieczystości. Uchwycił się szczątków domu, unoszących się przed nim, a następnie odbił się od nich rękami i nogami. W ten sposób przybliżył się do zagadkowego obiektu.

Ta rzecz była żywa. Nie zamieszкана przez żywe istoty, ale cała była z żywej materii. Usłyszał w niej bicie dwóch serc. Była najwyraźniej powleczone skórą, czy też jej pochodną. A czym była naprawdę, zrozumiał, gdy prawie się o nią otarł. Zobaczył dwie szczupłe postaci - dwóch gości z przyjęcia, wczepionych w siebie; na ich twarzach malowała się wściekłość. Howiemu nie dane było poznać Sama Sagansky'ego ani słuchać giętkich palców Douga

Frankla, biegnących po klawiaturze. Widział dwóch wrogów, którzy nie tylko zwarli się w jedno, ale stanowili rdzeń wyspy, która zdawała się wokół nich narastać: z ich pleców - jak ogromne pośladki, z ich kończyn - jak następne kończyny, które nie dawały obrony przed wrogiem.

Ta żywa budowla wciąż pączkowała następnymi komórkami, mnożąc nowe narośla wzdłuż kończyn, przy czym żadna z nowych odmian nie wzorowała się na formie podstawowej - ramieniu czy plecach, ale na swoim bezpośrednim poprzedniku, tak iż każdy nowy wytwór miał coraz mniej cech ludzkich, coraz mniej ciała.

Ten widok bardziej fascynował niż przygnębiał; fakt, że zapaśnicy byli tak bardzo pochłonięci sobą nawzajem, świadczył, że proces nie był bolesny.

Przyglądając się tej rosnącej wzdłuż i w szerz strukturze, Howie zaczął niejasno rozumieć, że oto widzi narodziny lądu stałego; być może w końcu walczący umrą i ulegną rozkładowi, ale ten twór nie był równie ulotny. Już teraz odleglejsze części wyspy przypominały bardziej koral niż ciało - były twarde i zrogowaciałe. Kiedy ci dwaj umrą, staną się skamielinami, pogrzebanymi w sercu wyspy, którą sami wytworzyli. A wyspa będzie unosić się na wodzie.

Howie odepchnął się od swojej przygodnej tratwy i popłynął dalej, za wyspę. Teraz powierzchnię morza zaśmiecało mnóstwo wszelakich szczątków: meble, kawałki tynku, instalacje oświetleniowe. Przeplłynął obok głowy i szyi konia z karuzeli; koń patrzył za siebie, wytrzeszczając malowane oko, jakby przerażony faktem, że go poćwiartowano. Ale pośród tego śmiecia nie widać było zaczątków jakiejś nowej wyspy. Pewnie Quiddity nie tworzyło niczego z bezmózgowców, jednak Howie zastanawiał się, czy geniusz morza nie zareaguje - po pewnym czasie - na umysły ludzi, którzy je wytworzyli. Czy Quiddity mogłoby wyhodować z głowy drewnianego konia jakąś wyspę, która weźmie swoje imię od twórcy

tego konia? Wszystko jest możliwe.

Oto słuszne słowo i myśl.

Wszystko jest możliwe.

Jo-Beth wiedziała, że nie byli tu sami. Niewielka to była pociecha, ale jednak pociecha.

Co jakiś czas słyszała okrzyki, czasem bolesne, ale równie często ekstatyczne, niby głosy

jakiegoś rozrzuconego na wodach Quiddity zgromadzenia - na wpół przerażonego, na wpół

oddanego uniesieniu. Nie odpowiadała na te wezwania. Po pierwsze dlatego, że

przeplływające obok kształty - zawsze w pewnej od niej odległości - zdawały się świadczyć.

że ludzie tracili tutaj cechy ludzkie, wynaturzali się. Dość miała problemów z Tommy-Rayem

(to był ten drugi powód, dla którego nie odpowiadała na wezwania) i nie chciała kusić losu.

Tommy-Ray wymagał jej ustawicznej uwagi; gdy tak płynęli, nie przestawał do niej mówić

głosem pozbawionym wszelkiej emocji. Miał jej wiele do powiedzenia - między

przeprosinami i szlochem. O niektórych z tych rzeczy już wiedziała. O tym, jak się cieszył z

powrotu ojca, i jaki był zawiedziony, kiedy odtrąciła ich obydwu. Ale było tego o wiele

więcej; kiedy Jo-Beth słuchała jego słów, pękało jej serce. Najpierw opowiedział jej o

wyprawie do Misji - była to chaotyczna opowieść do chwili, gdy metodą strumienia

świadości, zaczął opisywać okropności, które widział i spowodował. Byłaby skłonna nie

dowierzać prawdziwości najgorszych z tych zdarzeń: morderstwom, wizjom własnego

rozkładu - gdyby nie dosadność opisu. Nigdy nie słyszała u Tommy-Raya równie potocznej

wymowy jak wtedy, gdy opowiadał jej, co odczuwał jako Chłopiec Śmierci.

- Pamiętasz Andy'ego? - zapytał w pewnej chwili. - Miał tatuaż... czaszkę... na piersi,
nad sercem?

- Pamiętam - powiedziała.

- Wciąż powtarzał, że kiedyś wypłynie w Topanga na desce. To będzie ostatni kurs i

nigdy nie wróci. Ciągłe mówił, że kocha śmierć. Ale on kłamał, Jo-Beth...

- Tak.

- To był tchórz. Dużo gadał, ale był zwyczajnym tchórzem. Ale ja nie jestem, prawda?

Nie jestem żadnym maminsynkiem...

Rozszlochał się jeszcze silniej niż przedtem. Próbowwała go uciszyć, ale tym razem jej się to nie udało.

- Mama... mama... - powtarzał.

- Co mama? - dopytywała się.

- To nie była moja wina.

- Ale co?

- Ja tylko przyszedłem po ciebie. To nie była moja wina.

- Ale co?! - powtórzyła, odpychając go lekko od siebie. - Tommy-Ray, odpowiadaj!

Czy zrobiłeś jej coś złego?

„Wygląda jak skarcone dziecko” - pomyślała. Nie zostało w nim śladu pretensji, by być silnym człowiekiem, zwycięskim samcem. Był niesfornym, zasmarkanym od płaczu dzieckiem. Żalonym i niebezpiecznym: nieunikniona kombinacja.

- Skrzywdziłeś ją - stwierdziła.

- Nie chcę być Chłopcem Śmierci - protestował. - Nie chcę nikogo zabijać...

- Zabijać? - zdziwiła się.

Popatrzył jej prosto w oczy, jakby to spojrzenie mogło ją przekonać o jego niewinności.

- To nie ja. To ci umarli. Szukałem ciebie, a oni wszędzie szli za mną. Nie mogłem się ich pozbyć. Jo-Beth, ja próbowałem, naprawdę próbowałem.

- Mój Boże! - zawołała, odtrącając go.

Jej ruch nie był zbyt gwałtowny, ale wzburzył wody Quiddity nieproporcjonalnie silnie.

Niejasno zdawała sobie sprawę, że jej odraza była tego przyczyną; Quiddity odpowiadało wzburzeniem na jej własny niepokój.

- Nie doszłoby do tego, gdybyś została ze mną - powtarzał z mocą. - Powinnaś była zostać, Jo-Beth.

Szarpnęła się, by być jak najdalej od niego; wody Quiddity zawrzały.

- Ty draniu! - krzyczała. - Zabiłeś ją! Zabiłeś!

- Jesteś moją siostrą. Tylko ty możesz mnie uratować.

Wyciągnął do niej rękę. Twarz miał zmienioną od bólu, ale ona widziała przed sobą tylko mordercę swojej matki. Mógł krzyczeć o swojej niewinności do końca świata (o ile świat jeszcze trwał): ona nigdy mu nie wybaczy. Nawet jeśli widział jej wstręt, to postanowił nie zwracać nań uwagi. Zaczął się z nią szamotać: najpierw chwycił ją za twarz, potem za piersi.

- Nie zostawiaj mnie! - krzyczał. - Nie pozwolę, żebyś mnie zostawiła!

Ile razy usprawiedliwiała go przed innymi, ponieważ kiedyś byli bliźniaczym jajem w tym samym jajowodzie? Ile razy widziała jego zepsucie, a jednak wybaczała? Nawet namawiała Howie'ego, aby zaniechał swojej niechęci wobec Tommy-Raya ze względu na nią.

Dosyć tego. Ten człowiek mógł sobie być jej bratem, bratem bliźniaczym, ale dopuścił się matkobójstwa. Matka przeżyła okrucieństwa dżaffa, pastora Johna i Palomo Grove tylko po to, by we własnym domu zginąć z ręki własnego syna. Tej zbrodni nie można wybaczyć.

Znów spróbował przyciągnąć ją do siebie, ale tym razem była gotowa.

Uderzała go w twarz, raz po razie, tak mocno, jak tylko mogła. Zaskoczony ciosami puścił ją na chwilę, a wtedy Jo-Beth odskoczyła w tył, bijąc wodą wzburzonego morza prosto w jego twarz. Zasłonił się ramionami, a Jo-Beth oddaliła się poza jego zasięg, czując niejasno, że jej ciało straciło dawną gładkość i giętkość, ale nie traciła czasu na zbadanie tej sprawy.

Teraz chodziło tylko o to, by uciec od niego jak najdalej, by nigdy więcej nie mógł jej dotknąć, nigdy. Płynęła ostro, nie zważając na jego głośny płacz.

Obejrzała się za siebie dopiero wtedy, gdy płacz przycichł. Wtedy zwolniła spojrzała za siebie. Już go nie było widać. Ogarnął ją wielki smutek nieznośny, dojmujący żal, ale zanim w pełni dotarły do niej konsekwencji śmierci matki, zrozumiała, że na nią samą spadło jakieś inne, straszne nieszczęście. Kiedy unosiła w eterze kończyny, czuła, że są cięższe niż przedtem. Prawie nic nie widząc przez łzy, uniosła ręce na wysokość twarzy.

Zobaczyła niewyraźnie, że powierzchnię palców miała zeskorupiałą, jakby zanurzyła je w oleju i mące owsianej; podobne obrzydlistwo pokrywało jej całe ramiona.

Wybuchnęła płaczem - wiedziała aż nazbyt dobrze, co oznacza to przerażające zjawisko. To stało się za sprawą Quiddity. Morze jakby utrzymywało jej wściekłość. Zmieniło jej ciało w płodny muł. Wyrastały z niego kształty równie ohydne jak gniew, który je zapoczątkował.

Jej szloch przeszedł w głośny krzyk. Prawie już nie pamiętała, czym jest taki niczym nie skrępowany wrzask - przez tyle lat była temperowaną, dobrze wytresowaną mamusiną córeczką, która wyruszała w Grove w poniedziałkowe ranki z uśmiechem na twarzy. Teraz matka nie żyła, a Grove pewnie leżało w gruzach. A poniedziałek? Co to jest poniedziałek? Zwykła nazwa, nadana na chybił trafił pewnej dobie, jednej z długiego szeregu nocy i dni. Teraz już nic nie znaczyły te dni, noce, nazwy, miasta czy umarłe matki. Tylko Howie miał dla niej znaczenie. Był wszystkim, co jej pozostało.

Próbowała przypomnieć sobie jak wyglądał, rozpaczliwie szukając w tym obłędzie jakiegoś punktu oparcia. Początkowo jego obraz umykał Jo-Beth - widziała tylko zrozpaczoną twarz Tommy-Raya, ale nie dawała za wygraną, przywoływała obraz Howie'ego szczególnie za szczegółem. Jego okulary, bladą twarz, dziwny chód. Jego oczy pełne miłości. Jego

zaczerwioną twarz, kiedy mówił w uniesieniu - co zdarzało się często. Jego krew i miłość - ujętą w jedną namiętą myśl.

- Ratuj mnie - szlochała, w niczym nie usprawiedliwionej nadziei, że dziwne wody Quiddity niosły do niego jej rozpacz. - Ratuj mnie, bo wszystko przepadnie.

II

- Abernethy?

W Palomo Grove do świtu brakowało godziny, ale Grille miał do przekazania niezły materiał.

- Dziwię się, że pokutujesz na tym świecie - powiedział Abernethy warkliwym tonem.

- Rozczarowany?

- Dureń jesteś, Grillo. Nie odzywasz się przez całe dni, a potem dzwonisz pieprzonym bladym świtem o szóstej rano.

- Mam reportaż, Abernethy.

- Słucham.

- Opowiem, jak było naprawdę, ale ty chyba tego nie wydrukujesz.

- Pozwól, że ja o tym zadecyduję. Wal.

- Początek tekstu: „Wczorajszej nocy, w cichym miasteczku Palomo Grove w hrabstwie Ventura - jest to społeczność osiadła wśród spokojnych wzgórz doliny Simi, naszą rzeczywistość (znaną jako Kosmos tym, którzy zabawiają się podobnymi pojęciami) rozdarła pewna potęga, która uświadomiła waszemu reporterowi, że całe życie jest tylko filmem...”

- Co, do jasnej cholery?!

- Zamknij się, Abernethy, nie mam zamiaru wszystkiego ci powtarzać. Na czym stałem? A tak... „tylko filmem. Ta potęga, którą posłużył się niejaki Randolph Jaffe, naruszyła granice rzeczywistości, uważanej za jedyną i absolutną przez większość

przedstawiciele gatunku ludzkiego, i otworła drzwi w inny stan bytu: w morze, zwane Quiddity...”

- To twoja rezygnacja z pracy na piśmie, Grillo?

- Chciałeś materiał, którego nikt inny nie odważyłby się puścić, tak czy nie? Prawdziwy skandal? No to go masz. To prawdziwa rewelacja.

- To śmieszne.

- Może właśnie takimi wydają się wszystkie wydarzenia, które wstrząsają światem.

Myślałeś nad tym? Co byś zrobił, gdybym próbował ci wepchnąć reportaż z ukrzyżowania?

Ukrzyżowany odrzuca na bok głaz. Wydrukowałbyś to?

- To było co innego - powiedział Abernethy. - Tamto zdarzyło się naprawdę.

- To też. Przysięgam na Boga. A jeśli chcesz dowodów, to zaraz będziesz je miał.

- Dowody? Skąd?

- Tylko posłuchaj - Grillo ponownie wziął swój reportaż do ręki:

„To objawienie kruchości naszego bytu nastąpiło pośród jednego z najświetniejszych zgromadzeń w najnowszej historii kina i telewizji, kiedy to około dwustu gości - wielkich hollywoodzkiego świata - zebrało się we wznesionej na wzgórzu rezydencji Buddy'ego Vance'a, który zmarł w Palomo Grove w tym tygodniu. Jego śmierć nastąpiła w okolicznościach równie tragicznych, co tajemniczych, i dała początek serii wydarzeń, których kulminacja miała miejsce minionej nocy: większość przybyłych na stypę gości została porwana ze świata, który znamy. Nie sporządzono jeszcze szczegółowej listy ofiar, jednak wdowa po Vansie, Rochelle, z pewnością znajdowała się w ich liczbie. Nic też nie wiadomo o ich obecnym losie. Być może nie żyją. A może po prostu istnieją w jakimś innym stanie bytu, w który wazyliby się wstąpić tylko najwięksi śmiałkowie. Praktycznie biorąc, po prostu zniknęli z powierzchni ziemi”.

Spodziewał się, że w tym momencie Abernethy mu przerwie, ale po drugiej stronie linii

panowało milczenie. Milczenie tak głębokie, że Grillo zapytał:

- Jesteś tam, Abernethy?

- Głupi jesteś, Grillo.

- Więc rzuć słuchawkę. Nie możesz, co? Wiesz, to paradoksalne - szczerze cię nie cierpię, ale uważam, że ty jeden jesteś facet z jajami, który to może wydrukować. Świat musi dowiedzieć się prawdy.

- Ty naprawdę jesteś głupi.

- Słuchaj dziś przez cały dzień wiadomości. Sam się przekonasz... Dziś rano zaginęło mnóstwo sławnych osobistości. Kierowników zespołów filmowych, gwiazd kina, agentów...

- Gdzie teraz jesteś?

- A bo co?

- Zadzwoń w parę miejsc, a potem do ciebie.

- Po co?

- Sprawdzę, czy już coś się rozniosło. Daj mi pięć minut. Proszę tylko o to. Nie powiedziałem, że ci wierzę. Bo nie wierzę. Ale to wszystko brzmi niesamowicie, niech mnie diabli.

- Taka jest prawda, Abernethy. Chcę ostrzec ludzi. Powinni wiedzieć, co się dzieje.

- Jak mówiłem, daj mi pięć minut. Jesteś pod tym samym numerem?

- Tak. Ale możesz się nie dodzwonić. Tu prawie nikogo nie ma.

- Dodzwonię się - powiedział Abernethy i odłożył słuchawkę.

Grillo spojrzał na Teslę.

- Stało się - powiedział.

- Wciąż uważam, że to niezbyt rozsądne, mówić o tym ludziom.

- Nie zaczynaj od nowa - powiedział Grillo. - Urodziłem się po to, by o tym opowiedzieć innym.

- To była tajemnica przez tak długi czas.

- Owszem, ludzi takich, jak twój przyjaciel Kisson.

- On nie jest moim przyjacielem.

- Czyżby?

- Rany boskie, przecież słyszałeś, co zrobił...

- Więc dlaczego mówisz o nim z taką ledwo skrywaną nutką zawiści w głosie?

Spojrzała na niego takim wzrokiem, jakby ją spoliczkował.

- Wyzwiesz mnie od kłamców? - spytał.

Potrząsnęła głową.

- O co tu chodzi?

- Nie wiem. To ty po prostu stałeś i patrzyłeś, jak dzaff robi swoje. Nawet nie próbowałeś mu przeszkodzić. Więc o co tobie chodzi?

- Nie miałem żadnych szans, żeby mu przeszkodzić, przecież wiesz.

- Nie próbowałeś.

- Nie zmieniaj tematu. Mam rację, prawda?

Tesla podeszła do okna. Coney Eve kryło się w gęstwinie drzew. Nie było wiadomo, czy kataklizm rozszerza się.

- Jak myślisz, czy oni żyją? - zapytała. - Howie i tamci inni?

- Nie wiem.

- Zajrzałeś do Quiddity, prawda?

- Przelotnie.

- No i?

- To było jak nasze rozmowy telefoniczne. Przerwane połączenie. Zobaczyłem tylko jakąś chmurę. Ani śladu Quiddity.

- I żadnych Iadów.

- Żadnych. Może oni wcale nie istnieją.

- Chciałbyś.

- Jesteś pewna, że masz dobre informacje?

- Absolutnie.

- To mi się podoba - stwierdził Grillo z pewną goryczą. - Ja kręcę się w kółko, szukam całymi dniami i co z tego mam? Że sobie przez chwilę z daleka popatrzę. A ty - ty od razu wkręcasz się do interesu.

- Więc o to chodzi? - powiedziała Tesla. - O prawa autorskie do tej historii?

- Tak. Może. O to, żeby opowiedzieć ją innym. Żeby ludzie wiedzieli, co się dzieje w Szczęśliwej Dolinie. Coś mi się wydaje, że ty tak naprawdę tego nie chcesz. Wolałabyś, żeby to pozostało wśród garstki wybranych. Ty, Kissoon, ten pieprzony dżaff...

- No dobrze, chcesz zrobić reportaż z końca świata? Więc do roboty, Orsonie.

Słuchacze wzdłuż i wszerz Ameryki tylko czekają, żeby wpaść w panikę. A tymczasem, mam problemy z...

- Jesteś wredny sobek.

- Ja sobek! Ja! Słuchajcie Grillo - postrzeleńca, który powie wam prawdę albo umrze!

Czy zastanowiłeś się nad tym, że jeśli Abernethy opublikuje wszystko, co się tutaj dzieje, w ciągu dwunastu godzin będziemy tu mieli spory przemysł turystyczny? Że trasy wlotowe i wylotowe zostaną zablokowane? Czy nie będzie to na rękę temu, co wyjdzie z wyrwy? Niezła wyżerka!

- Cholera.

- Nie pomyślałeś o tym, prawda? A kiedy już rozmawiamy rozsądnie, ty...

Telefon przerwał jej w pół oskarżenia. Grillo podniósł słuchawkę.

- Nathan?

- Abernethy.

Grillo spojrzał na Tesłę - stała tyłem do okna i patrzyła na niego z nienawiścią.

- Zamawiam reportaż o wiele dłuższy niż na dwa akapity.

- Co cię przekonało?

- Miałeś rację. Z tego przyjęcia nie wróciło mnóstwo ludzi.

- Już o tym trąbią w porannych wiadomościach?

- Nie. Ty będziesz pierwszy. Oczywiście te twoje teorie, dokąd to niby odeszli, to

czysta bzdura. W życiu nie słyszałem podobnego wymysłu. Ale z tego materiału będzie wielki artykuł na pierwszą stronę.

- Zadzwoń, jak będę miał resztę artykułu.

- Za godzinę?

- Za godzinę.

Grillo odłożył słuchawkę.

- No dobrze - powiedział. - Założmy, że przekażę mu resztę materiału dopiero w południe. Co możemy zrobić?

- Nie wiem - przyznała Tesla. - Może odnajdziemy dżaffa.

- A co on może zrobić, do diabła?

- Zrobić może niewiele. Ale zniszczyć mnóstwo.

Grillo poszedł do łazienki, odkręcił kran i ochlapał sobie twarz zimną wodą.

- Sądysz, że można będzie zalepić tę wyrwę? - spytał, wracając do pokoju. Z twarzy kapała mu woda.

- Już ci mówiłam, że nie wiem. Być może. Nie znam odpowiedzi, Grillo.

- A co się stanie z ludźmi, którzy są wewnątrz? Bliźnięta McGuire. Katz. Cała reszta.

- Chyba już nie żyją - westchnęła. - Nic nie możemy dla nich zrobić.

- Łatwo ci przyszły te słowa.

- Słuchaj, kilka godzin temu ty sam, zdaje się, miałeś ochotę tam wskoczyć, więc może powinieneś iść tam za nimi. Załatwię ci kawałek sznurka, żebyś mógł spuścić się w dół.

- No dobra. Pamiętam, że uratowałaś mi życie, i jestem ci za to wdzięczny.

- Już nieraz popełniałam błędy...

- Słuchaj, jest mi naprawdę przykro. Wiem, że mam złe podejście do sprawy.

Powiniennem mieć jakiś pomysł na życie. Zostać bohaterem. Ale widzisz... żaden ze mnie geroj. Zawsze ten sam stary Grillo. Nie potrafię się zmienić. Jak tylko się o czymś dowiem, zaraz chcę o tym powiedzieć całemu światu.

- Ależ świat się dowie - powiedziała Tesla szybko.

- Ale ty... ty się zmieniłaś.

Skinęła głową.

- Masz rację. Kiedy mówiłaś Abernethy'emu, że nie wydrukowałby reportażu o zmartwychwstaniu, pomyślałam sobie: to o mnie mowa. Ja zmartwychwstałam! I wiesz, co mnie martwi? Że wcale się tym nie martwię. Jestem spokojna. Czuję się świetnie. Wchodzę sobie do jakiejś cholernejs pętli czasu i czuję się. Jakbym...

- Jakbyś co?

- ...jakbym po to właśnie się urodziła. Grillo. Jakbym mogła być... cholera, już sama nie wiem.

- No mów. Wyrzuć z siebie wszystko.

- Wiesz, kto to jest szaman?

- Jasne - powiedział Grillo. - Uzdrowiciel. Znachor.
- Coś więcej - powiedziała Tesla. - To uzdrowiciel dusz. Wnika w głąb duszy całego społeczeństwa i wyjaśnia jej tajniki. Gra na niej jak na strunie. Myślę, że ci, którzy odgrywają w tym wszystkim główne role: Kissoon, džaff, Fletcher - są szamanami. A Quiddity... to przestrzeń marzeń Ameryki. Może całego świata. Widziałam, jak tamci paskudzili to miejsce. Każdy na swój własny sposób. Nawet Fletcher spieprzył robotę.
- Więc może należałoby zmienić szamana - stwierdził Grillo.
- Tak. Dlaczego by nie? Na pewno nie byłabym gorsza od tamtych.
- Więc dlatego chcesz zachować tę sprawę w tajemnicy.
- To jeden z powodów, oczywiście. Ja potrafię się z tym uporać. Jestem trochę zbzikowana, a większość tych szamanów miała pewne odchylenia: transwestyci, ludzie bez płci. Każdemu według jego życzenia. Zwierzę, warzywo i minerał. Chcę tym być. Zawsze chciałam... - urwała. - Wiesz, czego zawsze chciałam.
- Nie, aż do teraz.
- Więc teraz wiesz.
- Nie wyglądasz na uszczęśliwioną.
- Przeszłam przez zmartwychwstanie. To jedna z rzeczy, którą muszą zaliczyć szamani. Umrzeć i ożyć. Ale ciągle myślę, że... to jeszcze nie koniec... Muszę dowieść czegoś więcej.
- Sądysz, że znowu będziesz musiała umierać?
- Mam nadzieję, że nie. Raz mi wystarczy.
- Zwykle wystarcza - powiedział Grillo.
- Uśmiechnęła się na te słowa - mimo woli.
- Co cię rozbawiło? - zapytał.
- To. Ty. Ja. Chyba nie ma już nic bardziej dziwnego, prawda?

- Założymy się?

- Która godzina?

- Około szóstej.

- Niedługo wzejdzie słońce. Chyba pójdę poszukać dżaffa, zanim ucieknie przed światłem do jakiejś kryjówki.

- O ile nie odszedł z Grove.

- Chyba nie byłby w stanie - powiedziała Tesla. - Pierścień zamyka się. Zacieśnia coraz bardziej. Coney Eye stała się nagle centrum świata, który znamy.

- I którego nie znamy.

- No nie wiem, czy rzeczywiście jest nam tak obcy zaoponowała Tesla. - Zdaje się, że Quiddity jest nam bliższe, niż sądzimy.

Dzień był niedaleko, gdy wychodzili z hotelu, ciemność ustępowała przed tą bezpańską godziną, która dzieli zachód księżyca od wschodu słońca.

Kiedy szli przez hotelowy parking, z szarówki wyłoniło się jakieś brudne, wynędzniałe indywiduum o bladoniebieskiej twarzy.

- Muszę z panem porozmawiać - powiedział nieznajomy. - Pan nazywa się Grillo, prawda?

- Tak. A pan?

- Witt. Kiedyś miałem swoje biuro w Pasażu. I znajomych w tym hotelu. Powiedzieli mi o panu.

- Czego pan chce? - spytała Tesla.

- Byłem w Coney Eye - powiedział - kiedy wychodziliście. Chciałem z wami wtedy porozmawiać, ale ukrywałem się... Nie mogłem się ruszyć - spojrzał szybko na swoje

spodnie: były wilgotne z przodu. - Co się tam dzieje?

- Radzę, żeby się pan wyniósł z Grove jak najszybciej - powiedziała Tesla. - Znosi się na coś jeszcze gorszego.

- Grove już i tak nie ma - powiedział Witt. - Przepadło. Ludzie rozjechali się na wakacje i pewnie już nie wrócą. Ale ja nie wyjadę. Nie mam dokąd. Poza tym... - ciągnął bliski płaczu
- to jest moje miasto. Jeśli ma się zapaść pod ziemię, to ja chcę przy tym być. Nawet jeśli dzaff...

- Chwileczkę! - zawołała Tesla. - Co pan wie o dzaffie?

- Ja... spotkałem go. Tommy-Ray McGuire jest jego synem. Wie pani o tym? - Tesla przytaknęła. - No więc McGuire przedstawił mnie dzaffowi.

- Tutaj w Grove?

- Oczywiście.

- Gdzie?

- W Cherry Tree Glade.

- W takim razie zaczniemy od tamtego domu - postanowiła Tesla Czy mógłby nas pan tam zaprowadzić?

- Jasne.

- Myślisz, że on tam wrócił? - spytał Grillo.

- Widziałeś, w jakim był stanie - odparła Tesla. - Myślę, że będzie szukał jakiegoś znajomego miejsca, w którym będzie się czuł w miarę bezpiecznie.

- Całkiem logiczne - stwierdził Grillo.

- Jeśli tak - odezwał się Witt - to jest to pierwsza logiczna rzecz, o której dziś usłyszałem.

Świt ukazał im to, o czym już słyszeli od Witta: miasto prawie wymarłe. nagle

porzucone przez mieszkańców. Ulicami wtoczyła się sfora psów wypuszczono je na swobodę albo uciekły od swych panów, którzy nie mieli do nich głowy podczas bezładnej ucieczki z miasta. W ciągu paru dni zmieniły się w sforę, żywiącą się odpadkami. Witt rozpoznał te psy. Były wśród nich pudle pani Duffin, a także dwa jamniki Blaze Hebbarda - praszczenięta niejakiego Edgara Lotta, growianina, który zmarł, kiedy Witt był jeszcze chłopcem.

Umierając, zapisał swoje pieniądze miastu z przeznaczeniem na budowę pomnika ku czci Zmowy Dziewic.

Oprócz bezpańskich psów były także inne, może jeszcze bardziej przygnębiające, ślady pospiesznych wyjazdów: poroztwierane garaże, zabawki porzucone na ścieżce przed domem albo na podjeździe, kiedy w środku nocy prowadzono do samochodów rozespane dzieci.

- Wszyscy wiedzieli - powiedział Witt, kiedy samochód już ruszył. - Wiedzieli od samego początku, ale nikt nic nie mówił. Dlatego większość z nich wymknęła się w środku nocy. Myśleli, że tylko oni tracili rozum. Wszyscy myśleli, że tylko ich to spotkało.

- Pan tu pracował, jak pan mówił? - spytał Grillo.

- Tak - zwrócił się Witt do Grillo - w handlu nieruchomościami.

- Jutro chyba będzie niezły ruch w interesie. Mnóstwo posesji na sprzedaż.

- A kto to będzie kupował? - zapytał Witt. - To będzie przeklęte miejsce.

- Grove nie jest winne temu, co się stało - wtrąciła Tesla. - To zwykły przypadek.

- Czyżby?

- Oczywiście. Fletcher i dzaff wylądowali tutaj tylko dlatego, że opadli z sił, a nie dlatego, że Grove zostało w jakim sensie wybrane.

- Mimo to uważam, że na tej ziemi ciąży jakaś klątwa... - Witt urwał, by powiedzieć

Grillo: - Za następnym skrzyżowaniem jest Cherry Tree Glade. Dom pani Lloyd jest czwarty czy piąty po prawej stronie.

Przynajmniej z zewnątrz dom sprawiał wrażenie opuszczonego. Ten fakt potwierdził się, gdy weszli do środka. Dzaff nie zjawił się tutaj od czasu, gdy naigrawał się z Witta w pokoju na piętrze.

- Warto było spróbować - powiedziała Tesla. - Chyba musimy po prostu szukać dalej.

To miasto nie jest znowu takie duże. Po prostu będziemy sprawdzali ulicę po ulicy, aż go wytropimy. Czy ktoś ma lepszy pomysł? - spojrzała na Grillo, ale wzrok miał nieobecny; myślał o czymś innym.

- O co chodzi? - spytała.

- Co? - burknął nieprzytomnie.

- Ktoś zostawił niedokręcony kran - powiedział Witt, idąc wzrokiem za Grillo.

Rzeczywiście, z domu stojącego naprzeciw domu pani Lloyd, wypływała woda spod drzwi wejściowych; nieprzerwany strumień toczył się w dół podjazdu, przecinał chodnik i wpadał do rynsztoka.

- Co cię tak pochłonęło? - pytała Tesla.

- Właśnie przyszło mi do głowy... - zaczął Grillo.

- Co?!

Wpatrywał się w wodę, ciekącą do studzienki odpływowej.

- Chyba już wiem, dokąd poszedł.

Popatrzył na Tesłę.

- Mówiłaś o jakimś znajomym miejscu. Miejsce, które zna w Grove najlepiej, jest nie na, ale pod ziemią.

Twarz Tesli pojaśniała.

- Groty. Tak. Świetnie pomyślane.

Wsiedli z powrotem do samochodu; Witt wskazywał im najkrótszą trasę.

Jechali przez miasto - nie licząc się z czerwonymi światłami i ulicami

jednokierunkowymi - do Deerdell.

- Niedługo zaroi się tu od policjantów - zauważył Grillo. - Będą szukać zaginionych gwiazd filmowych.

- Powinnam jechać do Coney i ostrzec ich - powiedziała Tesla.

- Nie możesz być jednocześnie w dwóch miejscach - rzucił Grillo - chyba że masz jeszcze jeden talent, o którym nie wiem.

- Ale się uśmiełam.

- Sami muszą sobie radzić. My mamy pilniejsze sprawy.

- Zgadza się - przyznała Tesla.

- Jeśli dzaff rzeczywiście siedzi w jaskini - odezwał się Witt - to jak się do niego dostaniemy? Bo chyba sam nie wyjdzie, kiedy go zawołamy.

- Zna pan Hotchkissa? - zapytał Grillo.

- Oczywiście. To ojciec Carolyn.

- On może nam pomóc. Założę się, że wciąż jest w mieście. Pomoże nam tam zejść. Czy uda mu się wyprowadzić nas z powrotem na powierzchnię, to już inna sprawa, ale jeszcze parę dni temu nie miał co do tego wątpliwości. Namawiał mnie, żebyśmy razem zeszli do jaskiń.

- Po co?

- Ma obsesję na punkcie tego, co jest ukryte pod Grove.

- Nie bardzo rozumiem.

- Sam też nie wiem, o co mu chodzi. Niech on to wyjaśni.

Dojechali do lasu. Nie było słyhać porannego chóru ptaków, nawet pojedynczego świergotu. Weszli między drzewa, w przygniatającą ciszę.

- On tu był - powiedziała Tesla.

Nie musieli pytać, skąd o tym wiedziała. Nie potrzebowali wyostrzonych przez nuncjo zmysłów, by odczuć panujący w lesie nastrój wielkiego oczekiwania. Ptaki nie odleciały, po prostu bały się śpiewać.

W stronę polany pierwszy poszedł Witt - miał wycucie kierunku, jak ktoś, kto dokładnie wie, dokąd zmierza.

- Często pan tu przychodzi? - zagadnął Grillo półżartem.

- Prawie nigdy - odparł Witt.

- Stójcie - szepnęła Tesla zniechęcona.

Polana była tuż-tuż - widzieli ją przez drzewa. Tesla kiwnęła w tamtą stronę.

- Spójrzcie tam - powiedziała.

Jard czy dwa od policyjnej barykady podrygiwał w trawie niezbity dowód na to, że dzaff rzeczywiście się tu ukrył. - Dogorywało tam jedno z terata, zbyt osłabłe od ran, by przebyć ostatnie jardy, dzielące je od bezpiecznego schronienia w jaskini. Rozpadając się, wydzielalo sinawą poświatę.

- Ono nic nam nie robi - oświadczył Grillo; zamierzał wyjść z gąszczu na otwartą przestrzeń.

Tesla schwyciła go za ramię.

- Może ostrzec dzaffa - zaszeptała. - Nie wiemy, w jaki sposób dzaff kontaktuje się ze swoimi stworami. Nie ma potrzeby, by iść dalej. Już wiemy, gdzie jest.

- Słusznie.

- Jedźmy po Hotchkissa.

Zawrócili.

- Wie pan, gdzie Hotchkiss mieszka? - zapytał Witta Grillo, kiedy już oddalili się od

polany na znaczną odległość.

- Wiem, gdzie wszyscy mieszkają - powiedział Witt. - Czy raczej mieszkali.

Zdaje się, że widok jaskiń wywarł na nim wstrząsające wrażenie. Grillo zaczął podejrzewać, że - mimo iż tak się zarzekał - miejsce to było dla Witta celem pielgrzymek.

- Niech pan jedzie z Teslą do Hotchkissa - powiedział Grillo. - Spotkam się tam z wami.

- Gdzie idziesz? - spytała Tesla.

- Chcę się upewnić, czy Ellen wyjechała z Grove.

- Z pewnością. To rozsądna osoba.

- Mimo to sprawdzę - Grillo był zdecydowany, że zrobi, co postanowił.

Zostawił ich przy samochodzie i ruszył w stronę domu Nguyen. Tesla musiała sama przywoływać do porządku Witta, wpatrującego się w las.

Grillo już zniknął za zakrętem, a Tesli jeszcze się to nie udało. Witt wpatrywał się w drzewa, jakby leżąca za nimi polana wołała go we wspólną przeszłość, a on z trudem opierał się wezwaniu.

III

W przezwyciężeniu trwogi i opuszczenia pomógł Jo-Beth nie Howie, ale fala, która uniosła ją dalej (Jo-Beth prawie nie otwierała oczu, a kiedy już unosiła powieki, prawie nic nie widziała przez łzy) w stronę miejsca, które dziewczyna widziała tak krótko w tamten czas, kiedy razem pływali w Quiddity: w stronę Efemerydy. W niosący ją żywioł zaczął się wkradać niepokój, ale Jo-Beth nie wiedziała o tym, jak nie wiedziała o bliskości wyspy. Inni to wyczuwali. Gdyby Jo-Beth była bardziej świadoma otoczenia, dostrzegłaby lekkie, ale wyraźne poruszenie wśród dusz unoszących się w eterze Quiddity. Ich ruchy nie były już tak miarowe jak przedtem.

Niektóre - może wrażliwsze na rozchodzące się w eterze pogłoski - zaniechały ruchu i

zawisły w mroku jak zatopione gwiazdy. Inne weszły w dalszą głębinę, w nadziei, że ominie je kataklizm, o którym szeptano dokoła. Jeszcze inne - na razie bardzo nieliczne - wynurzyły się całkowicie, budząc się w swoich łózkach w Kosmosie, wdzięczne, że uszły niebezpieczeństwu. Ale dla większości z nich wieść była zbyt cicha, by ją usłyszały; a jeśli ją usłyszały, to rozkosz przebywania w Quiddity przeważała obawy. Wznosiły się i opadały, wznosiły i opadały, dążąc gromadnie tam, dokąd dryfowała Jo-Beth - w stronę wyspy na morzu snów.

EFEMERYDA

To słowo wciąż dźwięczało w umyśle Howie'ego od czasu, gdy usłyszał je po raz pierwszy - od Fletchera.

- Co jest na Efemerydzie? - pytał, wyobrażając sobie jakąś rajską wyspę. Odpowiedź ojca niewiele mu dała: „To wielkie, tajemne widowisko” - powiedział. Taka odpowiedź wywoływała dziesiątki nowych pytań.

Teraz, gdy zobaczył tę wyspę przed sobą, żałował, że nie dość usilnie domagał się wyjaśnień. Nawet gdy patrzył na wyspę z oddalenia, zrozumiał, że wyrobił sobie o niej zupełnie błędne pojęcie. Podobnie jak Quiddity nie było morzem w zwykłym znaczeniu tego słowa, tak widok Efemerydy kazał na nowo zdefiniować słowo „wyspa”. Choćby dlatego, że nie był to pojedynczy masyw lądowy, ale wiele ich, może setki połączonych łukami skalnymi - cały archipelag przypominał ogromną katedrę unoszoną przez wody; mosty były niczym przypory, a wyspy jak wieże, tym większe, im bliżej były wyspy centralnej, z której prosto w niebo szły kolumny gęstego dymu. To podobieństwo nie mogło być przypadkowe.

Budowniczości katedr i wież, a nawet - kto wie - dzieci, bawiące się klockami, skrywali to marzenie w zakamarkach swych umysłów i składali mu hołd najlepiej, jak umieli. Ale ich arcydzieła mogły być tylko próbą zbliżenia się do ideału, kompromisem wobec siły ciężenia i

ograniczonych środków, którymi dysponowali. Nie mogliby też nigdy przedsięwziąć dzieła o podobnej skali. Jak się Howie domyślał, Efemeryda ciągnęła się na wiele mil, a każda jej cząstka była dziełem natchnionego geniuszu. Jeśli było to zjawisko przyrody, dzieło natury (a kto wie, co jest naturalne w sferze umysłu), to była to natura dotknięta gorączką twórczą. Pozwalała zwartej materii na igraszki dostępne w świecie, który Howie opuścił, tylko obłokom i światłu.

Wytwarzała cienkie jak trzcina wieże, na których balansowały kule wielkie jak domy; żłobiła lite skały w kształt muszli, ścianom kanionów kazała się wydymać jak firanki w oknie; wznosiła spiralne wzgórza; rzeźbiła głazy w kształt piersi i psów czy też okruchów, strąśniętych z jakiegoś ogromnego stołu. Tyle tam było zapożyczeń i podobieństw, ale czy były zamierzone - tego Howie nie był pewien. Fragment, w którym dopatrzył się jakiejś twarzy, okazywał się częścią innej podobizny, kiedy Howie spojrział nań za chwilę, przy czym każda z tych interpretacji podlegała natychmiastowym zmianom. Być może wszystkie były prawdziwe wszystkie zamierzone. Być może żadna, a ta gra podobieństw, podobna jak stworzenie molo, kiedy po raz pierwszy zbliżał się do Quiddity była próbą poskromienia ogromu przez umysł. Jeśli tak, to umysłowi nie udało się zapanować nad jednym obrazem: nagą wyspą pośrodku archipelagu, która wyrastała prosto z Quiddity, a dym, wydobywający się z jej ścian niezliczonymi szczelinami, wznosił się ku niebu równie pionowo jak sama wyspa. Dym szczelnie otulał jej wierzchołek; jakkolwiek zakrywał tajemnicę, był nektarem dla duchów, które - w formie światła, wolne od ciała i krwi - unosiły się tuż przy dymie i, nie wstępując do środka, skubały go lekko, sycąc się nim. Howie zastanawiał się, czy to strach nie pozwalał im wejść w zasłonę dymu, czy też stanowił on trudniejszą zaporę, niż się wydawało. Może znajdzie odpowiedź na to pytanie, kiedy podejdzie bliżej. Pragnąc dotrzeć tam jak najprędzej, wspomagał niosący go przyływ uderzeniami ramion, tak iż w dziesięć

czy piętnaście minut po ujrzeniu Efemerydy, wychodził z morza na jej brzeg. Plaża była ciemna - choć nie tak ciemna jak Quiddity i szorstka w dotyku - pokrywał ją nie piach, ale skorupa przypominająca rafę koralową. Czy to możliwe - pomyślał nagle - by ten archipelag powstał w podobny sposób, jak tamta wysepka, unosząca się na morzu pośród szczątków domu Vance'a, formując się wokół ludzkich istot, które znalazły się w Quiddity? Jeśli tak, to jak dawno musiały one przybyć na morze snów, by osiągnąć tak ogromne rozmiary?

Ruszył wzdłuż plaży na lewo. Kiedykolwiek stawał u rozwidlenia dwóch nie znanych dróg, zawsze wybierał lewą. Trzymał się blisko linii brzegu, w nadziei, że znajdzie na plaży Jo-Beth, przyniesioną przez ten sam prąd, który porwał jego. Ledwie wyszedł z łagodnych wód, które niosły go i pieściły, dopadły go niepokoje, ukołysane dotąd przez morze. Po pierwsze: mógł przeszukiwać archipelag całymi dniami, a nawet tygodniami i nie odnaleźć Jo-Beth. Po drugie, nawet jeśli ją odnajdzie, będzie musiał stanąć do walki z Tommy-Rayem.

A Tommy-Ray nie był sam - przyszedł do domu Vance'a razem z wampirami. Po trzecie - było to w pewnym sensie najmniejsze zmartwienie, ale wciąż nabierało wagi - w Quiddity zachodziła jakaś zmiana. Nie dbał już o to, jakie słowa najlepiej oddają istotę tej rzeczywistości - nie miało już znaczenia, czy był to inny wymiar czy odmienny stan umysłu. Prawdopodobnie było to jedno i to samo.

Ważna była tylko świętość tego miejsca. Ani przez chwilę nie wątpił, że wszystko, czego dowiedział się o Quiddity i Efemerydzie, jest prawdą. Było to miejsce, w którym cały gatunek ludzki miał swoje przebłytki chwały.

Miejsce niezmiennie; miejsce pociechy, gdzie zapomina się o ciele (musieli o nim pamiętać tylko tacy intruzi jak on), a dusza śniącego poznaje, czym jest lot i tajemnica.

Pojawiły się jednak pewne oznaki - niektóre tak nieuchwytnie, że nie potrafiłby ich wskazać - świadczące, iż to miejsce marzeń nie jest bezpieczne. Niewielkie, niebieskawe fale uderzające

o brzeg, nie były już tak rytmiczne, jak wtedy, gdy wynurzał się na brzeg. Podobnie zmienił się ruch świateł w Quiddity, jakby zaniepokoiły je jakieś zaburzenia, występujące w tym układzie. Howie wątpił, by miało to związek z pojawieniem się jakiegoś nieproszonego gościa z Kosmosu. Quiddity było przeogromne; potrafiło uporać się z istotami, które opierały się spokojowi jego fal; widział to na własne oczy. Nie, cokolwiek naruszało spokój morza, było bardziej znaczące niż obecność Howie'ego czy innych intruzów z tamtej strony.

Zaczął natykać się na ślady tej nieproszonej obecności, znoszone przez fale na brzeg.

Framuga drzwi, kawałki strzaskanych mebli, poduszki i oczywiście fragmenty zbiorów

Vance'a. Niedaleko za tymi żałosnymi śmieciami, za zakrętem plaży, w Howiem odżyła

nadzieja, że fala przyniosła Jo-Beth; był tam jakiś rozbitek - kobieta. Stała na samym brzegu

Quiddity. patrząc daleko w morze. Jeśli nawet słyszała jego kroki, nie obejrzała się.

Pozycja jej ciała (bezwładnie zwisające ramiona, pochylone plecy) i nieruchomy wzrok

przywodziły na myśl człowieka w stanie hipnozy. Chociaż tak bardzo nie chciał wytrącać jej

z transu - jeśli trans był jej metodą pokonywania wstrząsu dyslokacji - nie miał innego

wyboru.

- Przepraszam panią - powiedział, zdając sobie sprawę, jak żałosna była taka

uprzejmość w podobnych okolicznościach - czy jest tutaj ktoś jeszcze?

Obejrzała się, a wtedy zdziwił się ponownie. Widział tę twarz dziesiątki razy:

uśmiechała się z ekranu telewizyjnego, wychwalając zalety pewnego szamponu. Nie znał jej

nazwiska. Była po prostu Kobieta od Szamponu Silksheen. Zmarszczyła brwi, jakby patrzenie

na Howie'ego sprawiało jej pewną trudność. Spróbował jeszcze raz, inaczej formułując

pytanie:

- Czy przeżył ktoś jeszcze z domu Vance'a?

- Tak - powiedziała.

- Gdzie są?

- Niech pan idzie dalej przed siebie.

- Dziękuję.

- To się nie dzieje na jawie, prawda? - zapytała.

- Obawiam się, że jednak tak.

- Co się wyprawia na tym świecie? Czy zrzucili jakąś bombę?

- Nie.

- Więc co?

- Coś się dzieje tam dalej - powiedział Howie. - Za Quiddity. Za morzem.

- Ach tak - powiedziała, chociaż było jasne, że nie rozumie. - Ma pan może kokę? -

zapytała. - Albo prochy? Cokolwiek?

- Niestety.

Znów wpatrzyła się w morze; Howie posłuchał jej wskazówek i podjął marsz wzdłuż plaży. Wzburzenie fal rosło z każdym jego krokiem, czy też może Howie był teraz po prostu bardziej wyczulony na ruchy morza.

Może chodziło raczej o to drugie, ponieważ teraz oprócz rytmu fal zauważał także inne znaki. W powietrzu, tuż przy swojej głowie, wyczuwał jakiś niepokój, jakby niewidzialne istoty prowadziły rozmowy tuż poza zasięgiem jego słuchu. Fale barw na niebie rozpadały się na plamy, tworząc wzór przypominający jodełkę; ich łagodne ruchy nabrały tej samej nerwowości, która mąciła spokój Quiddity. Górą wciąż sunęły światła, kierując się w stronę wieży dymu, ale było ich coraz mniej. Śniący najwyraźniej budzili się z marzeń.

Droga wzdłuż plaży była częściowo zablokowana przez formację skalną w postaci połączonych szeregowo głazów, Howie musiał wspinać się i przeciskać między nimi, jeśli chciał kontynuować poszukiwania. Kobieta od Szamponu Silksheen udzieliła mu jednak

dobrych wskazówek. W pewnej odległości za głazami, w następnym zakolu plaży, Howie odnalazł innych rozbitków - mężczyzn i kobiety. Wydawało się, że żadne z nich nie było w stanie wspiąć się na brzeg dalej niż kilka jardów od morza. Jeden z rozbitków wciąż leżał na ziemi, bezwładnie rozciągnięty, jakby już nie żył; stopy miał zanurzone w wodzie. Nikt nie kwapił się, by mu pomóc.

Wielu dotknęło to samo odrętwienie, które kazało Kobiecie od Szamponu Silksheen wpatrywać się nieruchomo w morskie przestworza, ale kilkoro innych było unieruchomionych z innego powodu. Wyszli z Quiddity już odmienieni przez jego fale. Ciała mieli zniekształcone i pokryte rogowaciejącą skorupą, jakby zachodził w nich ten sam proces, który przemienił zwaśnionych gości w wyspę. Howie mógł się tylko domyślać, jaka cecha, czy też jej brak, odróżniała tych ludzi od pozostałych. Dlaczego on sam i jeszcze kilkoro obecnych przebyli tę samą odległość w tym samym żywiole co ci męczennicy, a jednak wyszli z Quiddity tacy, jacy weszli? Czy te ofiary weszły w morze rozpalone emocjami, a Quiddity syciło się nimi, podczas gdy Howie dał się nieść falom jak ludzie pogrążeni w sennych marzeniach, pozostawiając za sobą swoje życie, a z nim wszystkie swoje ambicje i obsesje - właściwie wszystkie swoje uczucia, prócz głębokiego spokoju, którym natchnęło go Quiddity? Wyciszyło w nim nawet pragnienie odnalezienia Jo-Beth, ale nie na długo. Teraz mógł myśleć tylko o niej. Wszedł między uratowanych, szukając Jo-Beth, ale spotkało go rozczarowanie. Nie było wśród nich Jo-Beth, nie było też Tommy-Raya.

- Czy są tu jeszcze inni? - spytał mocno zbudowanego mężczyznę, siedzącego na brzegu w niewygodnej pozycji.

- Inni?

- No wie pan... ktoś z naszych.

Mężczyzna miał ten sam zaskoczony i roztargniony wyraz twarzy, co kobieta z reklamy

szamponu. Wydawało się, że z ogromnym trudem przychodzi mu rozumienie tego, co usłyszał.

- Ludzie, którzy byli w willi Vance'a - powiedział Howie.

Nie otrzymał odpowiedzi. Mężczyzna dalej patrzył przed siebie szklanym wzrokiem.

Howie machnął na niego ręką i poszedł rozejrzeć się za bardziej przydatnym źródłem informacji. Wybrał jedyne z obecnych mężczyzn, który nie wpatrywał się w morski horyzont. Stał w głębi plaży i zadarłszy głowę patrzył na dymną wieżę, górującą pośrodku archipelagu. Przeprowa pozostawiła na nim swój ślad. Na jego twarzy i szyi oraz wzdłuż grzbietu widać było pazur Quiddity. Zdjął koszulę i omotał ją wokół lewej ręki. Howie podszedł bliżej.

Tym razem nie silił się na uprzejmość, po prostu stwierdził:

- Szukam pewnej dziewczyny. Blondynki, około osiemnastu lat. Widział ją pan?

- Co tam może być na tej górze? - odpowiedział tamten pytaniem. - Chcę tam iść.

Zobaczyć.

Howie spróbował ponownie:

- Szukam...

- Słyszałem.

- Widział ją pan?

- Nie.

- Nie wie pan, czy ktoś jeszcze się uratował?

W odpowiedzi - to samo zniechęcające słowo. Doprowadziło Howie'ego do wściekłości.

- Co się im wszystkim stało, do jasnej cholery?!

Mężczyzna popatrzył na Howie'ego. Twarz miał dziobatą i niezbyt przystojną, ale

widniał na niej pewien lekko asymetryczny uśmiech, którego nawet Quiddity nie potrafiło zeszpecić.

- Nie wściekaj się pan - powiedział. - Nie warto.

- Ona jest tego warta.

- Jak to? Przecież wszyscy i tak jesteśmy martwi.

- Niekoniecznie. Weszliśmy tu, więc możemy i wyjść.

- Co?! Chce pan płynąć? Pieprz to, kolego. Nie mam zamiaru znów wchodzić w tę cholerną breję. Wolałbym umrzeć. Gdzieś tam. - Obejrzał się w stronę góry. - Tam coś jest.

Coś cudownego. Wiem.

- Może.

- Pójdzie pan ze mną?

- Wspinać się? Nie da pan rady.

- Może nie na sam szczyt, ale przynajmniej podejść trochę bliżej. Zorientuję się, co to jest.

Przyjemnie było widzieć jego fascynację tajemniczą wieżą, kiedy wszyscy inni byli jak pogrążeni w letargu, i Howie nie miał chęci się z nim rozstawać.

Ale Jo-Beth mogła być wszędzie, tylko nie na tamtej górze.

- Chodź pan ze mną kawałek drogi - zaproponował tamten. - Tam wyżej będzie się pan mógł rozejrzeć po okolicy. Może zobaczy pan swoją przyjaciółkę.

To nie był zły pomysł, zwłaszcza że czas naglił. Niepokój w powietrzu wzrastał z każdą minutą.

- Dlaczego by nie - powiedział Howie.

- Rozglądałem się za najłatwiejszą trasą. Chyba najlepiej będzie iść plażą. Nazywam się Garrett Byrne. Dwa "r". "Y", a nie "u". To na wypadek, gdyby pan pisał klepsydrę. A pan?

- Howie Katz.

- Podałbym panu rękę, ale moja ręka nie nadaje się do podawania. - Uniósł omotaną koszulą kończynę. - Nie wiem, co się dzieje, ale już nigdy nie podpiszę żadnej umowy. Może nawet się z tego cieszę? To była cholernie głupia robota.

- Co to była za robota?

- Prawnik w branży rozrywkowej. Znasz pan ten dowcip? Co to znaczy, kiedy trzej prawnicy, zajmujący się sprawami przemysłu rozrywkowego, nie siedzą po szyję w gównie?

- Co?

- Że zabrakło gówna. - Byrne roześmiał się głośno. - Chcesz pan zobaczyć? - zapytał, odwijając rękę, która prawie wcale nie przypominała ręki. Palce i kciuk stopiły się w jedno i mocno napuchły. - Wie pan co? - ciągnął Byrne. - Ona chyba próbuje zmienić się w członek. Przez tyle lat starałem się ludziom dogodzić, po prostu włożyłem im do dupy, że łapa w końcu zareagowała. To kutas, uważasz pan? Nie, lepiej niech pan nic nie mówi. Po prostu chodźmy pod górę.

Unosząc się na wodzie, Tommy-Ray czuł jak morze snu poddaje go swojej obróbce, ale nie chciało mu się sprawdzić, na czym polegała. Po prostu dał się ponieść wściekłości, która powodowała te zmiany.

Może właśnie jego bezsilny, mazgajowaty gniew przywołał z powrotem tamte zmory.

Najpierw dały o sobie znać we wspomnieniu: zobaczył oczami wyobraźni, jak ścigały go pustymi szosami w Baja - chmura zjaw nie odstępowała go jak puszki po konserwach, przywiązane do psiego ogona. Ledwie o nich pomyślał, już je odczuł. W twarz powiał mu chłodny wiatr - tylko ta jego część wynurzała się z morza. Wiedział, co nadchodzi. Poczuł woń mogiły, kurzu mogilnego. Ale otworzył oczy, dopiero gdy morze zaczęło się burzyć: ujrzał jakąś chmurę, wirującą nad głową. Nie była to wielka burza z Grove, niszcząca domy,

zabijająca matki. Była to karłowata, wściekle skręcona spirala brudu. Ale morze wiedziało, że chmura przyszła za Tommy-Rayem i wznowiło obróbkę jego ciała. Czuł, że kończyny ciążą mu coraz bardziej. Na twarzy - nieznośny świąd. Chciał powiedzieć: To nie mój legion. Nie miej do mnie pretensji o to, co one czują. Ale co by mu dało przeczenie? Był Chłopcem Śmierci, od zawsze. Quiddity wiedziało o tym i podjęło odpowiednie działanie. Tutaj nie było kłamstw. Nie było udawania. Patrzył, jak duchy kołują coraz niżej nad powierzchnią morza, a on jest ośrodkiem tych krążeń. Wściekłość eteru Quiddity wciąż rosła. Wprawiła Tommy-Raya w ruch obrotowy, który wkręcał go coraz bardziej w morze. Chciał wyrzucić ramiona nad głowę, ale były jak z ołowiu; morze zamknęło się nad jego głową. Usta miał otwarte - Quiddity wdarło mu się do gardła, do płuc. W tym zamęcie dotarła do niego jedna prosta prawda - przyniosło ją Quiddity - a on połknął ją jednym gorzkim haustem. Oto nadchodziło zło, jakiego jeszcze nie znał, jakiego nie znał nikt. Najpierw poczuł je w piersi, potem w żołądku i jelitach, wreszcie w mózgu - jak rozkwitający kwiat nocy. Ta noc miała na imię Iad; chłód, który je przyniósł, nie miał sobie równego na żadnej planecie tego układu; nawet na planetach tak odległych od słońca, że nie rodziło się na nich żadne życie. Na żadnej nie trwała ciemność tak głęboka, tak mordercza.

Znów się wynurzył. Fantomów już tam nie było, to znaczy nie odeszły, ale za sprawą Quiddity wniknęły w jego przeobrażający się organizm. Nieoczekiwanie poczuł przewrotne zadowolenie. Nadchodząca noc nie przyniesie wybawienia - z wyjątkiem tych, którzy jej sprzyjali. Lepiej więc być śmiercią pośród innych śmierci; może wtedy zagłada go oszczędzi. Wciągnął powietrze i wyrzucił je z siebie ze śmiechem, unosząc do twarzy ręce, choć były tak ciężkie. Jego twarz przybrała wreszcie kształt jego duszy.

Howie i Byrne pięli się już pod górę od dobrych kilku minut, ale chociaż dotarli na znaczną wysokość, najciekawszy widok był wciąż nad ich głowami - widok dymnej wieży.

Im bliżej podchodzili, tym bardziej opętanie Byrne'a przemawiało do Howie'ego. Zastanawiał się - jak wtedy, gdy fala po raz pierwszy pozwoliła mu zobaczyć z daleka Efemerydę - jak wielka niewiadoma kryła się tam w górze; jak była potężna, jeśli przyciągała do siebie śniących z całego świata. Byrne nie był sprawnym alpinistą mógł się posługiwać tylko jedną ręką. Wciąż zsuwał się w dół. Ale nie wydał z siebie słowa skargi, chociaż z każdym upadkiem na jego nagim ciele przybywało skaleczeń i otarć. Parł do przodu, nie odrywając oczu od najwyższych partii góry. Wydawało się, że nic sobie nie robi z uszkodzeń ciała, jeśli tylko może zmniejszać odległość, dzielącą go od tajemnicy. Howie bez trudu dotrzymywał mu kroku, ale musiał przystawać co kilka minut, żeby rozejrzeć się po okolicy z nowego punktu widokowego. Na żadnym odcinku plaży, który mógł objąć wzrokiem, nie było śladu Jo-Beth; zaczął powątpiewać o celowości tej wyprawy o boku Byrne'a.

Wspinaczka stawała się coraz bardziej ryzykowna, w miarę jak formacje skalne, na które się wdrapywali, nabierały stromizny, a mosty zwężały się. Pod mostami - przeważnie przepaść o skalistym dnie. Ale czasem w głębi tych przepaści błysnęło Quiddity - jego wody burzyły się tu równie mocno jak przy brzegu.

W powietrzu unosiło się coraz mniej duchów, ale kiedy przebyli półkuliście wygiętą kładkę, nie szerszą od listewki, tuż nad głowami mężczyzn przeleciała cała ich chmara; w każdym z tych światełek Howie dostrzegł falisty wężyk. Księga Rodzaju - pomyślał - nie mogła się bardziej mylić, albo mylić innych przedstawiając węża zdeptanego ludzką stopą. Tym wężem była dusza; wąż potrafił szybować w powietrzu.

Na ten widok przystanął; już wiedział, co zrobi.

- Nie idę dalej - powiedział.

Byrne obejrzał się:

- Dlaczego?

- Widziałem tyle wybrzeża, ile można, więcej się nie da.

Widok z pewnością nie obejmował całego wybrzeża, ale dalsza wspinaczka niewiele by dała. Poza tym figurki ludzi na plaży były już teraz tak małe, że ledwie je rozpoznawał.

Jeszcze kilka minut marszu i nie odróżni Jo-Beth od innych rozbitków.

- Nie chce pan zobaczyć, co tam jest na górze? - spytał Byrne.

- Ależ tak, chcę - odparł Howie. - Ale innym razem. - Wiedział, że ta odpowiedź jest śmieszna. Nie będzie innego razu po tej stronie jego śmiertelnego łoża.

- W takim razie idę - rzucił Byrne.

Nie tracił czasu na pożegnania - serdeczne czy oziębłe - po prostu zaczął na powrót piąć się w górę. Po ciele spływała mu krew zmieszana z potem, potykał się co parę kroków, ale Howie wiedział, że na próżno próbowałby go odwoływać. Ta próba byłaby nieudana, a przy tym arogancka. Jakikolwiek Byrne prowadził dotąd życie - a zdaje się, że niewiele w nim było dobrego - uchwycił się tej ostatniej szansy doświadczenia uczuć wyższych. Może śmierć jest nieuchronnym kresem takich poszukiwań.

Howie znów popatrzył w dół. Wędrował wzrokiem wzdłuż plaży, wypatrując najmniejszego poruszenia. Po lewej ręce miał ten odcinek, z którego wyruszyli. Wciąż widział tam grupkę rozbitków, tuż przy brzegu morza, po dawnemu odrętwiałych. Na prawo od nich - samotną postać kobiety od Szamponu Silksheen; fale bijące o brzeg - słyszał ich huk - były dostatecznie potężne, by zabrać ją ze sobą. Dalej za kobietą - plaża, na której wylądował.

Plaża nie była pusta. Serce mu zabiło. Ktoś szedł, potykając się, wzdłuż brzegu, z dala od napastliwego morza. Nawet z tej odległości widział blask jej włosów. To mogła być tylko Jo-Beth. Wydawało się, że każdy krok był dla niej męczarnią. Natychmiast ruszył w dół szlakiem, którym tu przyszedł; w wielu miejscach znaczyły go ślady krwi Byrne'a. W jednym z

takich miejsc, po dziesięciu minutach schodzenia, obejrzał się za siebie, próbując go wypatrzyć, ale wyżyny były ciemne i, na ile mógł sądzić - puste. Ostatnie dusze opuściły wieżę dymu. I ani śladu Byrne'a.

Zobaczył go, kiedy się odwrócił. Byrne stał na stoku góry parę jardów niżej. Mnogość ran, które zebrał podczas wspinaczki, były niczym w porównaniu z tą najnowszą. Biegła wzdłuż jego boku od głowy po biodro; była tak głęboka, że odsłaniała jego wnętrzności.

- Spadłem - powiedział po prostu.

- Cały ten odcinek? - powiedział Howie, zdziwiony, że tamten jeszcze trzymał się na nogach.

- Nie. Zszedłem z własnej woli.

- Jak?

- To było łatwe. Teraz jestem larvae.

- Co?!

- Duchem. Zjawą. Myślałem, że może pan patrzy, jak spadam.

- Nie.

- Spadanie trwało długo, ale skończyło się szczęśliwie. Chyba na Efemerydzie jeszcze nikt nie umarł. Ja też nie. Jestem klasą dla siebie. Mogę ustalać swoje własne prawa. Być panem samego siebie. Pomyślałem więc, że mógłbym pomóc Howiemu... - spokojna pewność siebie zajęła miejsce opętańczego zapału. - Musi się pan śpieszyć stwierdził. - Nagle zrozumiałem parę rzeczy. Znosi się na coś niedobrego.

- Co się dzieje?

- Iadowie - powiedział Byrne. - Ruszają przez Quiddity. - Posługiwał się swobodnie określeniami, których nie znał jeszcze kilka minut temu.

- Kto to są Iadowie?

- Coś tak złego, że brak mi słów, więc nawet nie będę próbował ich opisać.

- Idą na Kosmos?

- Tak. Może zdąży ich pan wyprzedzić.

- Jak?

- Trzeba zaufać morzu. Ono chce tego, czego chce człowiek.

- To znaczy?

- Żeby pan stąd odszedł! - powiedział Byrne. - Więc niechże pan idzie. Szybko.

- Słyszałem.

Byrne odsunął się, by Howie mógł przejść. Kiedy Howie go mijał, złapał chłopca za ramię zdrową ręką.

- Powinien pan się dowiedzieć...

- O czym?

- O tym, co jest na górze. To jest cudowne.

- Warte, by za to zginąć?

- Nawet sto razy.

- Cieszę się.

- Jeśli Quiddity przetrwa - powiedział Byrne - jeśli pan przeżyje, niech mnie pan odzuka. Chciałbym zamienić z panem parę słów.

- Dobrze - odparł Howie i ruszył w dół zbocza najszybciej jak mógł.

Jego zejście było tyleż niezdarne, co samobójcze. Zaczął nawoływać Jo-Beth, gdy tylko

- jak sądził - mogła go usłyszeć, ale nie reagowała.

Zajęta swoim, nawet nie podniosła jasnej głowy. Może szum fal zagłuszał jego wołanie.

Zsunął się na plażę po skałach, zlany potem, oszołomiony i pobiegł szybko w stronę Jo-Beth.

- Jo-Beth! Jo-Beth! To ja!

Tym razem usłyszała, uniosła głowę. Nawet teraz, gdy była oddalona o wiele jardów, wyraźnie dostrzegł przyczynę jej niepewnego chodu. Przejęty zgrozą zwolnił kroku, prawie bezwiednie. Ta twarz, w której zakochał się w Barze Butricka, której widok otworzył nową epokę w jego życiu, była teraz plątaniną ostrych narośli, rozrastających się aż na szyję, zniekształcających ramiona dziewczyny. Była chwila - nigdy sobie tego do końca nie wybaczył - kiedy pragnął, by go nie poznała, a on przeszedłby obok niej i poszedł dalej. Ale poznała go, głos, wydobywający się z tej maski, był tym samym, którym kiedyś mówiła mu, że go kocha.

Teraz ten głos powiedział:

- Howie... pomóż mi...

Otworzył ramiona i pozwolił, by się w nie wtuliła. Jej ciało płonęło od gorączki, drżała.

- Myślałam, że cię już nigdy nie zobaczę - powiedziała, zakrywając twarz rękami.

- Nigdy bym cię nie zostawił.

- Przynajmniej możemy teraz umrzeć razem.

- Gdzie Tommy-Ray?

- Odszedł - powiedziała.

- My też musimy stąd odejść - powiedział Howie. - Uciekać stąd jak najszybciej. Tutaj stanie się coś okropnego.

Odważyła się teraz na niego spojrzeć. Oczy miała równie jasne i błękitne jak przedtem - niby klejnoty lśniące w błocie. Na ten widok przycisnął ją mocniej do siebie, jakby pragnąc jej (i sobie) udowodnić, że pokonał przerażenie. Ale tak nie było. Kiedyś jej uroda zaparła mu dech w piersiach.

Teraz urody już nie było. Howie musi patrzeć dalej niż na jej utraconą piękność, musi zobaczyć Jo-Beth, którą kiedyś pokochał. To będzie trudne.

Odwrócił od niej oczy, popatrzył na morze. Fale huczały jak grzmot.

- Musimy wejść z powrotem do Quiddity - powiedział.

- Nie, nie możemy! - zawołała. - Ja nie mogę!

- Żadne z nas nie ma wyboru. To jedyna droga powrotu.

- To ono mi to zrobiło! - zawodziła. - Ono mnie tak odmieniło!

- Jeśli nie odejdziemy teraz - tłumaczył Howie - to nie odejdziemy już nigdy.

Zostaniemy tu i zginiemy.

- Może tak będzie najlepiej.

- Jak to? - powiedział Howie. - Jak śmierć może być najlepszym wyjściem?

- Morze i tak nas zabije. Zrobi z nas jakieś potwory.

- Nie, nie robi, jeśli mu zaufamy. Jeśli poddamy się jego woli.

Przypomniał sobie swoją tu podróż: leżał na plecach, przyglądając się światłom, woda go niosła. Mylił się, sądząc, że powrót będzie równie łatwy i przyjemny. Quiddity już nie było spokojnym morzem śpiących dusz. Ale czy mieli inny wybór?

- Przecież możemy tu zostać - powtórzyła Jo-Beth. - Możemy tu razem umrzeć. Nawet gdybyśmy wrócili... - rozszlochała się na nowo. - Nawet, gdybyśmy wrócili, nie mogłabym żyć w ten sposób.

- Przestań płakać - powiedział Howie. - I nie mów więcej o śmierci. Teraz wrócimy do Grove. Obydwoje. Jeśli nie ze względu na siebie, to po to, by ostrzec innych.

- Przed czym?

- Przez morze przepływają się jacyś najeźdźcy. Prosto na miasto. Dlatego morze jest takie wzburzone.

Niebo było równie niespokojne. Ani w morzu, ani na niebie nie było świetlnych duchów. Chociaż chwile spędzane na Efemerydzie były tak cenne, wszyscy śpiący przerwali

podróż: obudzili się. Howie zazdrościł im tych łatwych powrotów. Gdyby tak można po prostu ocknąć się z tego straszego snu, znaleźć z powrotem we własnym łóżku. Może w zimnym pocie, na pewno z uczuciem trwogi, ale w domu. W błogim zaciszu domowym. Ale taki powrót nie jest dany intruzom jak on, którzy duszą i ciałem znaleźli się w sferze ducha. Nie jest to również możliwe - pomyślał - dla innych tu obecnych. Powinien ich ostrzec, chociaż podejrzewał, że nie zwrócą na niego uwagi.

- Chodź ze mną - powiedział.

Wziął Jo-Beth za rękę i poszli z powrotem wzdłuż plaży, tam gdzie zebrała się garstka niedobitków. Prawie nic się tu nie zmieniło, nie było tylko mężczyzny leżącego w przybrzeżnych falach. Howie przypuszczał, że zabrała go jakaś potężna fala. Najwidoczniej nikt go nie ratował. Po dawnemu stali tu i siedzieli, patrząc leniwie w Quiddity. Howie podszedł do pierwszego z brzegu mężczyzny, odrobinę od siebie starszego: jego twarz pasowała jak ulał do pustki, którą teraz wyrażała.

- Musicie się stąd wydostać - powiedział Howie. - Wszyscy musimy uciekać.

Nacisk, z jakim mówił, zakłócił kamienny spokój tamtego, ale nie do końca. Zdobył się na ociężałe: „Tak?”, ale nie ruszył się z miejsca.

- Zginiecie, jeśli tu zostanieie! - Howie starał się teraz przekrzyczeć huk fal, by usłyszeli go także inni. - Umrzecie! - wołał. - Musicie wejść do Quiddity, żeby zaniósło was z powrotem.

- Dokąd? - zapytał młodzieniec.

- Jak to, dokąd?

- Z powrotem, to znaczy dokąd?

- Do Grove. Tam, skąd przyszliście. Nie pamiętacie?

Żadne się nie odezwało. Może jedynym sposobem, by zacząć eksodus jest zacząć go od

siebie, rozumował Howie.

- Teraz albo nigdy - powiedział do Jo-Beth.

Wciąż się opierała - widział to w jej twarzy i ruchach. Musiał schwycić ją mocno za rękę i zaprowadzić w dół do fal.

- Zaufaj mi - powiedział.

Nie odpowiedziała ani nie opierała się więcej. Ogarnęła ją jakaś przygnębiająca uległość. Jediną dobrą stroną tej apatii było to, że może teraz Quiddity zostawi ją w spokoju.

Nie był natomiast zbyt pewny, czy jego samego morze potraktuje z równą obojętnością.

Obecne wzburzenie dalekie było od spokoju, w jakim tu przybywał. W sercu i umyśle

Howie'ego panował zamęt sprzecznych uczuć; Quiddity może będzie chciało poigrać z

którymś z nich, albo i ze wszystkimi. Oczywiście najsilniejszy był strach, że zginą oboje. Tuż

za nim - uczucie odrazy wobec stanu Jo-Beth zmieszane z poczuciem winy wobec tej odrazy.

Ale ostrzeżenie, które wokół wyczuwał, było tak natarczywe, że szedł plażą dalej, mimo własnych lęków.

Odbierał to ostrzeżenie niemal fizycznie; przypominało mu o jakiejś innej epoce jego

życia i oczywiście innym miejscu. Nie umiał przywołać tego wspomnienia. Nieważne.

Ostrzeżenie było jednoznaczne. Kimkolwiek ładowie byli, przynosili z sobą cierpienie - nieubłagane, nieznośne.

Powszechna zagłada, podczas której wróg będzie badał wszystkie aspekty śmierci i

delektował się nimi - wszystkie, oprócz jedynej jej zalety, jaką jest ostateczny kres cierpienia.

Będzie odsuwać ten kres tak długo, aż Kosmos stanie się jednym ludzkim błaganiem o

wyzwolenie od męki. Miał już kiedyś tego przeblýsk, w jakimś zakątku Chicago. Może jego

umysł działał na jego korzyść, nie chcąc mu przypomnieć, gdzie to było.

O krok od nich fale wznosiły się powolnymi łukami i pękały z hukiem.

- Tak trzeba - powiedział do Jo-Beth.

W odpowiedzi - był jej za to ogromnie wdzięczny - tylko mocniej ujęła jego dłoń i weszli na powrót w morze, które wszystko zmienia.

IV

Drzwi domu Nguyenów otworzyła nie Ellen, lecz jej syn.

- Mama w domu? - zapytał Grillo.

Chłopiec wciąż wyglądał chorowicie; nie miał już na sobie piżamy, ale brudne dżinsy i jeszcze brudniejszą koszulkę polo.

- Myślałem, że pan wyjechał - powiedział.

- Dlaczego?

- Wszyscy wyjeżdżają.

- To prawda.

- Chce pan wejść?

- Chciałbym porozmawiać z twoją mamą.

- Ona jest zajęta - powiedział Philip, ale otworzył drzwi.

W domu panował jeszcze większy rozgardiasz niż przedtem: wszędzie wałały się resztki pospiesznie przyrządzanych posiłków. Sprawka małego łakomczucha - domyślił się Grillo: hot dogi i lody.

- A gdzie jest mama? - zapytał Grillo.

Philip wskazał na drzwi sypialni, wziął jakiś talerz - połowa zawartości talerza była już zjedzona - i zabrał się z pokoju.

- Poczekaj! - wstrzymał go Grillo. - Jest chora?

- Nie - odparł chłopczyk. (Wygląda, jakby od tygodni nie dosypiał - pomyślał Grillo). -

Ona już nie wychodzi z pokoju - ciągnął Philip. - Najwyżej w nocy.

Począł, aż Grillo kiwnie głową na znak, że zrozumiał, po czym odszedł do swojego pokoju, udzieliwszy, jak sądził, wszelkich należnych informacji.

Grillo słyszał, jak chłopiec zamyka drzwi swojego pokoju, pozostawiając go sam na sam z jego problemem. Ostatnie wydarzenia nie dawały mu wiele czasu na miłosne marzenia, ale godziny, które spędził w pokoju, w którym teraz ukrywała się Ellen, pozostawiły niezatarte wspomnienie w jego umyśle i lędźwiach. Mimo wczesnej pory, ogólnego zmęczenia i rozpaczliwej sytuacji, panującej w Grove, jakaś jego część pragnęła zakończyć sprawę, która pozostawała otwarta od ostatniej wizyty: porządnie pokochać się z Ellen tuż przed zejściem pod ziemię.

Zapukał do jej drzwi. Jedyłą odpowiedzią był jęk.

- To ja - powiedział Grillo. - Czy mogę wejść?

Nie czekając na odpowiedź, nacisnął kłamek. Drzwi nie były zamknięte na klucz - otwały się na pół cala, ale coś nie pozwalało im otworzyć się szerzej. Popchnął je mocniej. Jeszcze mocniej. Krzesło, wsunięte pod kłamek po tamtej stronie drzwi upadło z hałasem na podłogę. Grillo wszedł do środka.

Najpierw pomyślał, że jest sama. Chora i opuszczona. Leżała na niezaścielonym łóżku w szlafroku - nie zawiązanym, z rozrzuconymi połami. Poza szlafrokiem nie miała na sobie nic. Powolutku zwracała głowę w jego kierunku - jej oczy połyskiwały w zatęchłym powietrzu - a kiedy znieruchomiła, potrzebowała dobrych kilku chwil, by wykrzesać z siebie jakąś reakcję na jego widok.

- To naprawdę ty? - spytała.

- Oczywiście, że ja. Któż by inny?

Usiadła na łóżku, przysłoniła się połą szlafroka. Zauważył, że nie goliła się od czasu, gdy tu był. Powątpiewał, czy w ogóle wychodziła z pokoju na dłużej. Unosił się tu zaduch

długo nie wietrzonego pomieszczenia.

- Nie powinienes... patrzeć - powiedziała.

- Już cię widziałem nagą - mruknął. - Chciałbym znowu.

- Nie chodzi o mnie.

Zrozumiał, o czym mówiła, kiedy odwróciła od niego wzrok i popatrzyła w najodleglejszy kąt pokoju. Spojrzał i on. Skryte w głębokim cieniu stało tam krzesło, a na nim coś, co wchodząc do pokoju, wziął za stos ubrań. Ale to nie były ubrania. Bładość nie była bielizną, lecz nagą skórą; fałdy - mężczyzną zgiętym niemal w pół, tak iż jego czoło spoczywało na złożonych dłoniach. Ręce miał związane w nadgarstkach sznurem, który sięgał mu kostek, także skrępowanych.

- To jest Buddy - powiedziała Ellen cichym głosem.

Na dźwięk swojego imienia mężczyzna uniósł głowę. Do tej pory Grillo widział tylko resztki ginącej armii Fletchera, ale potrafił już osądzić po ich wyglądzie, kiedy ich pół-życie zaczyna się z nich ulatniać. Teraz rozpoznawał te znaki. To nie był prawdziwy Buddy Vance, ale twór wyobraźni Ellen wcielenie jej pragnień i tęsknoty. Twarz pozostała niemal nietknięta; pewnie Ellen wyobraziła ją sobie dokładniej niż resztę ciała. Twarz Buddy'ego pokrywały głębokie zmarszczki - była jakby pobrudzona - a jednak pełna niezaprzecznego uroku. Kiedy usiadł zupełnie prosto, ukazała się inna część jego ciała, równie dokładnie przemyślana. Na zbieranych przez Teslę plotkach zawsze można było polegać. To senne widziadło posiadała organ godny osła. Grillo ocknął się z zawistnego zapatrzenia dopiero wtedy gdy mężczyzna przemówił:

- Z jakiej racji pan tu wszedł? - zapytał.

Fakt, że ten sztuczny twór ma dość siły wewnętrznej, by mówić, wstrząsnął Grillo.

- Szszsz - uciszyła go Ellen.

Mężczyzna spojrział na nią; usiłował zrzucić więzy.

- Wczoraj w nocy chciał odejść - powiedziała do Grillo. - Nie wiem, dlaczego.

Grillo wiedział, ale milczał.

- Oczywiście nie pozwoliłam mu odejść. Lubi, żeby go wiązać. Kiedyś często się w to bawiliśmy.

- Co to za jeden? - spytał Vance.

- Grillo - odparła Ellen. - Opowiadałam ci o nim. - Przesunęła się na łóżku, wsparła plecami o ścianę, złożwszy ramiona na podciągniętych w górę kolanach. Wystawiła szparkę na widok oczu Vance'a; patrzył chciwie i z wdzięcznością, podczas gdy Ellen mówiła. -

Wspominałam ci o Grillo. Kochaliśmy się w tym łóżku, prawda, Grillo?

- Za co mnie karzesz? - spytał Vance.

- Powiedz mu, Grillo - odezwała się Ellen. - On chce wiedzieć.

- Tak - powiedział Vance. W jego głosie nagle zabrzmiała niepewność. - Niech mi pan o tym opowie.

Grillo nie wiedział, czy śmiać się czy wymiotować. Już poprzednia rola, którą odegrał w tym pokoju, była tak perwersyjna, a tu proszę - coś nowego. Sen o związanym nieboszczyku prosi, by dręczono go opowieścią o współżyciu z jego kochanką.

- Opowiedz mu - powtórzyła Ellen.

Dziwny podtekst tej prośby przywrócił Grillo głos.

- To nie jest prawdziwy Vance - z przyjemnością odzierał ją ze złudzeń. Jednak Ellen nie dała się zaskoczyć.

- Wiem o tym - powiedziała i, leniwie odrzuciwszy w tył głowę, przyglądała się swojemu więźniowi. - Jest wytworem mojego umysłu. Jestem szalona.

- Nie - zaprotestował Grillo.

- On umarł - powiedziała cicho. - Nie żyje, a jednak tu jest. Więc ja muszę być wariatką.

- Nie, Ellen... to po prostu jest związane z wydarzeniami w Pasażu. Pamiętasz tego płonącego mężczyznę? Nie ciebie jedną to spotyka.

Skinęła głową, przymykając oczy.

- Philip... - powiedziała.

- Tak?

- On też marzył.

Grillo przypomniał sobie twarz chłopca: wymizerowaną, z tęsknotą w oczach.

- Więc jeśli wiesz, że ten... mężczyzna nie istnieje naprawdę, to po co te gierki? - spytał.

Zacisnęła powieki.

- Już nie wiem... - zaczęła - co jest jawą, a co snem. („W tych słowach jest coś wzruszającego” pomyślał Grillo). - Kiedy się tu zjawił - ciągnęła - wiedziałam, że nie jest tu obecny w ten sposób, co przedtem. Ale może to nie ma znaczenia.

Grillo słuchał w milczeniu, by nie straciła wątku. Napatrzył się ostatnio na rzeczy, które wprawiły go w oszołomienie - cuda i tajemnice - i pragnąc dać im świadectwo, trzymał się od nich z daleka. Było paradoksem, że ten fakt utrudniał mu zadanie. Był to także jego własny problem; był wiecznym obserwatorem; trzymał swoje emocje na wodzy w obawie, że wzruszenie zagłuszy chłodny obiektywizm, zdobyty z takim trudem. Czy dlatego scena, która rozegrała się w tym łóżku, tak silnie przemówiła do jego wyobraźni?

Być wyłączonym z zasadniczej akcji; stać się funkcją czyjegoś pragnienia, czyjejś namiętności i woli? Czy ten stan budził w nim większą zawiść niż dwanaście cali Buddy'ego Vance'a?

- To był wspaniały kochanek, Grillo - mówiła Ellen. - Zwłaszcza, kiedy go ponosi, bo

chciałby być tam, gdzie jest kto inny. Rochelle nie lubiła się w to bawić.

- Nie widziała w tym nic zabawnego - wtrącił Vance, nie odrywając oczu od czegoś, co było poza zasięgiem wzroku Grillo. - Ona nigdy...

- Boże! - zawołał Grillo. Nagle wszystko stało się jasne. - On tu wtedy był, prawda? Był tutaj, kiedy my oboje... - Zabrakło mu słów. Wykrztusił tylko: - Był za drzwiami.

- Ja o tym wtedy nie wiedziałam - powiedziała Ellen łagodnie. To nie było reżyserowane.

- Chryste. To było przedstawienie na jego cześć. Rozpaliłaś mnie z premedytacją.

Wszystko po to, żeby podniecić ten erotyczny wymysł.

- Być może... miałam pewne podejrzenia - przyznała. - Ale dlaczego jesteś taki zły?

- Czy to nie jest oczywiste?

- Nie, to nie jest oczywiste - powiedziała bardzo rzeczowym tonem. - Nie kochasz mnie.

Nawet mnie nie znasz, bo gdybyś znał, nie byłbyś taki zgorzony. Po prostu chciałeś czegoś ode mnie, i dostałeś to.

Jej opis był rzetelny i bolesny. Grillo czuł się głupio.

- Sama wiesz, że To nie będzie tu wiecznie - wskazał na więźnia Ellen, a właściwie na jego oręż.

- Wiem - powiedziała z odrobiną smutku. - Ale nikt z nas nie jest wieczny. Nawet ty.

Grillo wbił w nią wzrok, nakazując jej w myślach, by spojrzała na niego; żeby zobaczyła, jak się męczy. Ale ją interesował tylko ten zmyślony stwór.

Straciwszy nadzieję, że coś tu wskóra, powiedział Ellen, z czym tu przyszedł.

- Radzę ci, żebyś wyjechała z Grove - powiedział. - Bierz Philipa i jedź.

- A po co?

- Po prostu mi zaufaj. Wszystko wskazuje na to, że jutro z Grove nie zostanie kamień na

kamieniu.

Wreszcie raczyła na niego spojrzeć.

- Rozumiem - powiedziała. - Kiedy będziesz wychodził, zatrzaśnij za sobą drzwi, dobrze?

- Grillo - drzwi domu Hotchkissa otworzyła Tesla. - Spotykasz się z jakimiś niesamowitymi dziwakami.

Nigdy nie myślał o Hotchkissie jako o dziwaku. Człowiek w żałobie, tak.

Popija sobie od czasu do czasu; kto tego nie robi? Ale nie był przygotowany na tak daleko posuniętą obsesję u tego człowieka.

W tyle domu mieścił się pokój, poświęcony wyłącznie Grove i terenowi, na którym się znajdowało. Ściany pokoju pokrywały mapy geologiczne i zdjęcia, wykonane na przestrzeni wielu lat, z dokładnie oznaczonymi datami; przedstawiały pęknięcia w jezdni i chodnikach.

Obok przymocowano pinezkami wycinki z gazet. Tematyka: trzęsienia ziemi.

Pośród tego banku danych siedział nad filiżanką kawy sam opętany; na jego twarzy widniało zmęczenie, ale i satysfakcja.

- A nie mówiłem? - tymi słowami powitał Grillo. - Nie mówiłem panu? Główne wydarzenia rozgrywają się pod naszymi stopami. Zawsze tak było.

- Jest pan gotów? - zapytał Grillo.

- Do zejścia? Oczywiście - wzruszył ramionami. - Dlaczego nie, do diabła? Wszyscy zginiemy, no i co z tego? Jedno pytanie: czy pan też chce iść?

- Nie za bardzo - powiedział Grillo. - Ale mam w tym swój interes. Chciałbym poznać tę sprawę od podszewki.

- Hotchkiss wie o czymś, o czym ty nie wiesz - wtrąciła Tesla.

- Mianowicie?

- Zostało jeszcze trochę kawy? - spytał Hotchkiss. - Muszę wytrzeźwieć.

Witt poszedł posłusznie po dolewkę.

- Nigdy go nie lubiłem - zauważył Hotchkiss.

- A co to za jeden? Miejscowy ekshibicjonista? - spytała Tesla.

- Nie. To był taki czyściutki, zdezynfekowany lalusz. Wszystko to, czym gardzę w Grove.

- Wraca - ostrzegł Grillo.

- No to co - nie ustępował Hotchkiss, kiedy Witt wchodził do pokoju. - On o tym wie.

Prawda, Williamie?

- O czym? - spytał Witt.

- Jaki był z pana pętaś.

Witt przyjął tę obelgę bez gniewu.

- Nigdy pan za mną nie przepadał, prawda?

- Prawda.

- Ani ja za panem - odparł Witt. - O ile to ma w ogóle jakieś znaczenie.

Hotchkiss uśmiechnął się:

- Cieszę się, że uzgodniliśmy stanowiska.

- Chciałbym się dowiedzieć, o czym to pan wie - powiedział Grillo.

- To nic nadzwyczajnego - odparł Hotchkiss. - W nocy ktoś do mnie zadzwonił z

Nowego Jorku. Facet, którego nająłem, żeby odszukał moją żonę. Albo przynajmniej spróbował odszukać. Nazywa się D'Amour. Specjalizuje się chyba w sprawach nadprzyrodzonych.

- Po co go pan najął?

- Po śmierci naszej córki żona związała się z bardzo szczególnymi ludźmi. Nigdy

naprawdę nie pogodziła się ze śmiercią Carolyn. Próbowała nawiązać z nią kontakt przy pomocy spirytualistów. Na koniec stała się członkinią ich kościoła. Potem uciekła.

- Dlaczego szuka jej pan w Nowym Jorku? - spytał Grillo.

- Tam się urodziła. Uważałem, że właśnie tam mogła pojechać.

- Czy D'Amour ją odnalazł?

- Nie. Ale dokopał się mnóstwa informacji na temat kościoła, do którego się przyłączyła. To znaczy... no, facet zna się na rzeczy.

- No więc po co do pana dzwonił?

- Zaraz nam o tym powie - wtrąciła Tesla.

- Nie wiem, z kim się D'Amour kontaktował, ale dzwonił po to, by mnie ostrzec.

- Przed czym?

- Przed tym, co się dzieje w Grove.

- Wiedział o tym?

- Wiedział doskonale.

- Chyba powinnam z nim porozmawiać - stwierdziła Tesla. - Która godzina jest teraz w Nowym Jorku?

- Właśnie minęło południe.

- Wy dwaj zajmijcie się teraz przygotowaniem do wyprawy - powiedziała. - Jaki jest numer telefonu D'Amoura?

- Proszę - Hotchkiss podsunął jej notes.

Wyrwała górny arkusik, na którym Hotchkiss nabazgrał jakieś cyfry i nazwisko (Harry D'Amour - przeczytała) i zostawiła obydwu mężczyzn, by zastanawiali się, co dalej. Telefon był w kuchni. Siadła i wykręciła jednaście cyfr. Z tamtej strony zabrzmiał sygnał automatycznej sekretarki:

„W tej chwili nikt nie może odebrać telefonu. Proszę zostawić wiadomość po usłyszeniu wysokiego tonu”.

Tesla zaczęła: Mówi znajoma Jima Hotchkissa, z Palomo Grove. Nazywam się...

Przerwał jej czyjś głos:

- To Hotchkiss ma znajomych?

- Czy to Harry D'Amour?

- Taa. Kto mówi?

- Tesla Bombeck. Odpowiadam na pierwsze pytanie: tak, on ma znajomych.

- Człowiek co dzień dowiaduje się czegoś nowego. Czym mogę pani służyć?

- Dzwonię z Palomo Grove. Hotchkiss mówi, że pan wie, co się tutaj dzieje.

- Taa, wiem coś niecoś.

- Skąd?

- Ma się znajomych - powiedział D'Amour. - To ludzie, którzy trzymają rękę na pulsie.

Od miesięcy powtarzali, że coś się wydarzy na Zachodnim Wybrzeżu, więc nikt nie jest specjalnie zdziwiony. Wciąż się modlą, ale się nie dziwią. A pani? Czy zalicza się pani do grona wybranych?

- To znaczy nawiedzonych? Nie.

- Więc co ma pani z tym wszystkim wspólnego?

- To długa historia.

- Więc niech pani skróci lufę - powiedział D'Amour. - Tak się mówi w branży filmowej.

- Wiem. Ja właśnie z tej branży. Robię w filmach.

- Ach taa? Jako kto?

- Piszę je.

- Zrobiła pani jakiś film, który znam? Oglądam masę filmów. Żeby oderwać się od

roboty.

- Może się kiedyś spotkamy i porozmawiamy o filmach - powiedziała Tesla. - Na razie potrzebuję paru informacji.

- Na przykład?

- No, choćby takiej: Słyszał pan o Iad Uroboros?

Na drugim końcu kontynentu zapadła długa cisza.

- D'Amour? Jest pan tam? D'Amour!

- Harry - powiedział.

- Harry. No więc...słyszałeś o nich czy nie?

- Tak się składa, że słyszałem.

- Od kogo?

- Czy to ma jakieś znaczenie?

- Tak się składa, że ma - odparła Tesla. - Są różne źródła informacji. Sam wiesz.

Jednym ludziom się ufa, innym nie.

- Współpracuję z kobietą o nazwisku Norma Paine - powiedział D'Amour. - To jedna z tych osób, o których ci wspominałem. Ma informacje z pierwszej ręki.

- Co wie o Iad?

- Po pierwsze - powiedział D'Amour - nad ranem coś się zdarzyło na wybrzeżu, w krainie marzeń. Wiesz coś o tym?

- Sporo.

- Norma wciąż mówi o miejscu zwanym Oddity.

- Quiddity - sprostowała Tesla.

- Więc ty naprawdę wiesz.

- Szkoda czasu na podchwytliwe pytania. Rzeczywiście wiem. I chciałabym posłuchać,

co ona ma do powiedzenia na temat Iad.

- Że spodziewany wybuch nastąpi właśnie z ich strony. Nie jest pewna, gdzie to będzie.

Dostaje sprzeczne informacje.

- Czy oni mają jakieś słabe punkty?

- Nic mi na ten temat nie wiadomo.

- A co w ogóle o nich wiesz? To znaczy, na czym ma polegać ich inwazja? Czy zamierzają przeprowadzić wojsko przez Quiddity? Wyślą przeciw nam jakieś maszyny, zrzucą bomby, co to w ogóle będzie? Może należałoby zawiadomić Pentagon?

- Pentagon już wie - powiedział D'Amour.

- Już wie?

- Nie my jedni słyszeliśmy o Iad, szanowna pani. Na całym świecie ludzie wprowadzili to pojęcie do swoich kultur. Iad to nieprzyjaciel.

- Coś w rodzaju diabła? Czy to on usiłuje się tu wdrzeć? Szatan?

- Wątpię. Zdaje się, że my, chrześcijanie, zawsze byliśmy trochę naiwni - powiedział D'Amour. - Miałem już do czynienia z demonami, ale one nigdy nie robią tego, czego się człowiek po nich spodziewa.

- Żartujesz sobie ze mnie? Prawdziwe demony? W Nowym Jorku?

- Słuchaj, moja pani, sam wiem, że wygląda, jakbym bredził...

- Mam na imię Tesla.

- Za każdym razem, gdy doprowadzam śledztwo do końca, myślę sobie: może to się wcale nie zdarzyło. I tak do następnej sprawy. Potem znowu wplątuję się w jakąś idiotyczną historię. Człowiek twierdzi, że coś jest niemożliwe aż do chwili, gdy to coś spróbuje odgryźć mu twarz.

Tesla pomyślała o wydarzeniach, których była świadkiem w ostatnich chwilach: o

terata, śmierci Fletchera, Pętli i Kissoonie w Pętli; o liksach, kotłujących się w jej własnym łóżku; wreszcie - o domu Vance'a i przepaści, która się w nim rozwarła. Nie mogła zaprzeczyć żadnemu z tych faktów.

Widziała je na własne oczy, bardzo wyraźnie. Mało brakowało, by doprowadziły do jej śmierci. Wzmianka D'Amoura o demonach wstrząsnęła nią tylko dlatego, że posłużył się tak archaicznym słownictwem. Nie wierzyła w diabła ani w piekło. Dlatego myśl o demonach w Nowym Jorku była absurdalna już w założeniu. Ale przypuśćmy, że to, co D'Amour nazwał demonami, było wytworem zdegenerowanych ludzi władzy, w rodzaju Kissoona. Gdyby były stworami, powstałymi z odchodów, nasienia i serc małych dzieci? Wtedy by w nie uwierzyła, prawda?

- No więc - zwróciła się do D'Amoura. - Jeśli ty wiesz i Pentagon wie, to dlaczego w Grove nie ma teraz nikogo, kto mógłby nie dopuścić do inwazji? Bronimy fortecy czterema karabinami, D'Amour...

- Nikt nie wie, gdzie konkretnie nastąpi natarcie. Jestem pewien, że w jakiejś kartotece są akta dotyczące Grove jako miejscowości, w której nie wszystko odbywa się zgodnie z prawami przyrodzonymi. To jest bardzo długi wykaz.

- Więc możemy liczyć na szybką pomoc?

- Chyba tak. Ale wiem z doświadczenia, że pomoc zwykle przychodzi za późno.

- A ty?

- Co ja?

- Nie mógłbyś nam pomóc?

- Mam tu problemy do rozwiązania. Istne szaleństwo. W ciągu ostatnich ośmiu godzin było sto pięćdziesiąt przypadków podwójnego samobójstwa w samym Manhattanie.

- Kochankowie?

- Tak. Ci, którzy pierwszy raz spali razem. Marzyli o Efemerydzie, a przeżyli koszmar.

- Jezu.

- Może postąpili słusznie - powiedział D'Amour. - Przynajmniej mają to za sobą.

- A cóż to ma niby znaczyć?

- Chyba wszyscy się domyślamy, co tamci biedacy zobaczyli, prawda?

Tesla przypomniła sobie uczucie bolesnego przechyłu, którego doświadczyła, zjeżdżając poprzedniej nocy z autostrady. Jakby świat przechylał się na bok i wszystko zsuwało się w stronę rozwartej gardzieli.

- Tak - powiedziała. - Domyślam się.

- W ciągu najbliższych dni wielu ludzi będzie chciało pójść ich śladem. Równowagę ludzkich umysłów można łatwo zakłócić, zepchnąć z krawędzi. Przebywam w mieście, w którym całe rzesze ludzkie są o krok od upadku. Muszę tu być.

- A jeśli kawaleria nie przypędzi z odsieczą?

- W takim razie osoba odpowiedzialna w Pentagonie za te sprawy jest sceptykiem, sceptyków jest mnóstwo, albo też pracuje dla Iad.

- Mają swoich agentów?

- Ależ tak. Niewielu, ale wystarczająco wielu. Są ludzie, którzy wielbią Iad, chociaż pod różnymi imionami. Dla nich jest to Drugie Nadejście.

- Więc było i Pierwsze?

- To już inna historia, ale owszem, wygląda na to, że było.

- Kiedy?

- Na ten temat nie mamy wiarygodnych przekazów, jeśli o to pytasz. Nikt nie wie, jak Iadowie wyglądają. Chyba powinniśmy się modlić, żeby byli wielkości myszy.

- Ja się nie modlę - powiedziała Tesla.

- A powinnaś. Teraz, kiedy wiadomo, że istnieje nie tylko Kosmos, modlitwa ma sens.

Słuchaj, muszę już iść. Żałuję, że nic więcej nie mogę dla ciebie zrobić.

- Też żałuję.

- Ale z tego, co słyszę, nie jesteś zupełnie osamotniona.

- Mam Hotchkissa i paru...

- Nie. Chodzi mi o coś innego. Norma mówiła, że wśród was znajduje się zbawca.

Tesla stłumiła wybuch wesołości.

- Nie zauważyłam nikogo takiego - odparła. - Jak mam go odnaleźć?

- Norma sama nie bardzo wie. Czasem mówi, że to mężczyzna, czasem, że kobieta. To znów, że to wcale nie jest człowiek.

- To mi ułatwia ustalenie jego tożsamości.

- Ktokolwiek to jest - on, ona czy ono - może być jęczyczkiem u wagi.

- A jeśli nie?

- Wtedy wynieś się z Kalifornii. Natychmiast.

Tym razem roześmiała się na cały głos:

- Wielkie dzięki.

- Nie trać humoru - powiedział D'Amour. - Jak mawiał mój ojciec: „Jeśli nie masz poczucia humoru, nie zaczynaj”.

- Nie zaczynaj czego?

- Wyścigu - powiedział D'Amour i odłożył słuchawkę. W słuchawce buczało. Tesla przysłuchiwała się temu dźwiękowi, w który wplatały się jakieś dalekie rozmowy. W drzwiach stanął Grillo.

- To zaczyna coraz bardziej przypominać wyprawę samobójców oświadczył. - Nie mamy odpowiedniego sprzętu ani żadnej mapy tych podziemnych korytarzy.

- Dlaczego?

- Bo takie mapy nie istnieją. Wygląda na to, że miasto zbudowano na terenie, który jest w ciągłym ruchu.

- Masz inne propozycje? - spytała Tesla. - Dżaff jest jedynym człowiekiem... - urwała.

- O co chodzi? - spytał Grillo.

- On chyba nie jest naprawdę człowiekiem? - powiedziała Tesla.

- Nie rozumiem.

- D'Amour mówił, że w okolicy jest jakiś wybawca. Ktoś, kto nie jest człowiekiem. To musi być dżaff, prawda? Nikt inny nie odpowiada temu opisowi.

- On mi niezbyt wygląda na wybawcę - stwierdził Grillo.

- Więc musimy go namówić, by nim był - padła riposta. - Nawet gdybyśmy mieli go zamęczyć.

V

Zanim Tesla, Witt, Hotchkiss i Grillo wyruszyli na wyprawę w głąb ziemi, do Grove zjechała policja. Na szczycie Wzgórza błyskały światła, wyły karetki. Mimo całego hałasu i zamieszania, nikt z mieszkańców miasta nie wyszedł na ulicę, chociaż prawdopodobnie niektórzy z nich pozostali na miejscu. Albo ukrywali się wraz ze swymi rozplływającymi się snami jak Ellen Nguyen - albo opłakiwali swych zmarłych za zamkniętymi drzwiami. Grove było istnym miastem-widmem. Kiedy ścichło już wycie syren, nad czterema dzielnicami zapadła cisza głębsza niż milczenie północy. Ostre słońce oświetlało puste chodniki, puste podwórka, puste podjazdy,

Na huśtawkach nie było dzieci; nie było słychać radia, telewizji, maszynek do kawy, mikserów, wentylatorów. Na skrzyżowaniach ulic wciąż zmieniały się światła, ale oprócz radiowozów i karetek, których kierowcy i tak nie zwracali na nie uwagi, na ulicach nikogo nie

było. Nawet sfory psów, które widzieli w mrocznej godzinie, poprzedzającej świt, odeszły, by zająć się swymi psimi sprawami gdzieś w ukryciu. Nawet psy wystraszyło jaskrawe słońce, świecące nad bezludnym miastem.

Hotchkiss sporządził spis rzeczy, których potrzebowali, jeśli w ogóle mieli wyruszyć na tę wyprawę: liny, latarki, trochę odzieży. Dlatego po drodze zatrzymali się najpierw w Pasażu. Z całej czwórki najbardziej przygnębiony widokiem Pasażu był William. Przez wszystkie dni swojego życia zawodowego widział tu żywą krzątanicę od wczesnego ranka do wczesnego wieczoru. Teraz ani żywej duszy. Świeżo oszklone witryny - wybite uprzednio przez Fletchera - lśniły w słońcu, wabiły oko stosy wystawionych w nich towarów, ale nie było klientów ani sprzedawców. Wszystkie drzwi zamknięto na głucho; wewnątrz sklepów panowała cisza.

Z jednym wyjątkiem. Ze wszystkich innych sklepów i urzędów tylko sklep zoologiczny pracował zwykłym trybem: drzwi były szeroko otwarte, wystawiony na sprzedaż towar szczełał, piszczał i w ogóle był źródłem wielkiego zgiełku i zamieszania. Podczas gdy Hotchkiss i Grillo plądrowali sklepy, kompletując listę zakupów, Witt zaprowadził Tesłę do sklepu zoologicznego. Ted Elizando uzupełniał właśnie wodę w poidłach kroplowych, ustawionych wzdłuż rzędów klatek z kociętami. Nie zdziwił się na widok klientów.

Właściwie jego twarz nie wyrażała żadnego uczucia. Nawet nie okazał, czy poznaje Williama, chociaż z pierwszych ich słów Tesla zorientowała się, że są znajomymi.

- Dziś nikt do ciebie nie przyszedł, Ted? - rzucił Witt.

Tamten skinął głową. Nie golił się od dwóch czy trzech dni; nie kąpał.

- Ja... nie chciało mi się za bardzo wstawać, ale musiałem. Ze względu na zwierzaki.

- Oczywiście.

- Padłyby, gdybym się nimi nie opiekował - mówił powoli, z mozołem dobierając

słowa, jak ktoś, kto z wysiłkiem stara się skupić myśli. Otworzył najbliższą klatkę i z gniazda, wymoszczonego skrawkami gazet, wyjął jakieś kocię. Wyciągnęło się na ramieniu Teda, wtuliwszy łebek w zgięcie jego łokcia. Pogłaskał je. Zwierzątko, zadowolone z tego wyróżnienia, wyginało grzbiet w łuk pod powolnymi posuwami jego dłoni.

- Chyba już nikt z miasta ich nie kupi, wszyscy wyjechali - powiedział William.

Ted wpatrywał się w kotka.

- Co mam robić? - zapytał cichym głosem. - Przecież nie mogę ich żywić bez końca. -

Głos cichł mu z każdym słowem, aż ścichł do szeptu. - Co się tu wyprawia? Dokąd oni odeszli? Gdzie oni się wszyscy podziali?

- Po prostu wyjechali z miasta, Ted - powiedział William. - I chyba nie mają zamiaru wracać.

- Jak myślisz, czy ja też powinienem wyjechać? - spytał Ted.

- Tak, chyba tak.

Ted był wstrząśnięty:

- A co ze zwierzętami?

Dopiero teraz, widząc rozpacz Teda, Tesla uświadomiła sobie rozmiary tragedii, która spadła na Grove. Kiedy po raz pierwszy przemierzała jego ulice jako posłaniec Grillo, obmyśliła scenariusz zagłady miasteczka. Ten o bombie w walizce i apatycznych growianach, wypędzających proroka w chwili, gdy miastem wstrząsa potężny wybuch. Ta opowiadka niewiele różniła się od rzeczywistości. Co prawda eksplozja miała przebieg raczej powolny i skryty, a nie szybki i gwałtowny, ale jednak nastąpiła. Wyludniła ulice, pozostawiając garstkę nielicznych - jak Ted - by snuli się wśród ruin, ratując resztę ocalałych zwierząt. Jej scenariusz miał być fikcyjną zemstą na sytym, zadowolonym z siebie miasteczku. Ale z perspektywy czasu okazywało się, że Tesla była z siebie tak samo zadowolona jak Grove,

równie pewna swej wyższości moralnej, jak miasto swojego bezpieczeństwa. Panowała tu prawdziwa rozpacz, poniesiono realne straty. Ludzie, którzy mieszkali w Grove, a potem z niego uciekli, nie byli wycinankami z papieru. Tu było ich życie, ich miłość, ich rodziny i domowe zwierzęta; zakładali tu swoje domy w przekonaniu, że znaleźli swoje miejsce na ziemi, w którym będą bezpieczni. Tesla nie miała prawa ich sądzić.

Nie mogła znieść widoku Teda, głaszczącego zwierzątko z taką czułością, jakby hołubił resztki swojego zdrowia psychicznego. Zostawiła go w towarzystwie Witta i wyszła na jaskrawo oświetlony parking; skręciła za róg, by się przekonać, czy dojrzy stąd Coney Eye ukryte wśród drzew. Badała wzrokiem szczyt Wzgórza, aż wypatrzyła szpaler pierzastych palm, biegnący wzdłuż podjazdu. Między palmami niejasno majaczyła jaskrawa fasada domu, który wymarzył sobie Buddy Vance. Nie była to wielka pociecha, ale przynajmniej bryła budynku jeszcze stała. Tesla obawiała się, że wyrwa będzie po prostu rozwierać się coraz szerzej, podkopując rzeczywistość, by na koniec wchłonąć cały dom. Nie robiła sobie nadziei, że wyrwa mogłaby się po prostu zasklepić; czuła, że tak nie jest. Ale dopóki utrzymywał się stan obecny, nie było jeszcze źle. Jeśli będą działać szybko, jeśli odnajdą dzaffa, być może wymyślą jakiś sposób odwrócenia zagłady.

- Widzisz coś? - zapytał Grillo. Wyszedł zza węgła wraz z Hotchkissem. Obaj uginali się pod ciężarem szabru: zwojów liny, latarek, baterii, różnych swetrów.

- Tam w dole będzie zimno - odpowiedział Hotchkiss na jej pytania. - Wściekle zimno i prawdopodobnie mokro.

- Mamy do wyboru: utopić się, zamarznąć albo spaść i skrócić kark - powiedział Grillo, siląc się na dobry humor.

- Lubię mieć coś do wyboru - odparła Tesla, zastanawiając się w duchu, czy powtórne konanie będzie równie ohydne jak pierwsze. „Nawet o tym nie myśl - skarciła się. - Drugi raz

nie zmartwychwstanieś”.

- Jesteśmy gotowi - powiedział Hotchkiss. - To znaczy, o tyle o ile. Gdzie Witt?

- W sklepie zoologicznym - powiedziała Tesla. - Pójdę po niego.

Kiedy wyszła z za rogu, stwierdziła, że Witt wyszedł już ze sklepu i stał nieruchomo, wpatrując się w jakieś okno.

- Jest tam coś ciekawego? - spytała.

- To moje biurko - odparł. - Czy raczej było. Pracowałem, o! tam - wskazał palcem przez szybę. - Przy tym biurku z kwiatkiem. Zwiądnął - zauważył. - Wszystko zwiędło, wszystko umarło - zawołał z pewną gwałtownością.

- Niech pan nie będzie takim defetystą - rzuciła i pośpieszyła do samochodu, do którego Hotchkiss i Grillo zdążyli już załadować sprzęt.

Kiedy ruszyli, Hotchkiss bez ogródek wyłożył swoje zastrzeżenia.

- Już mówiłem Grillo, że jest to dla nas wszystkich wyprawa samobójcza. Zwłaszcza dla pani - powiedział, uchwyciwszy w lusterku spojrzenie Tesli. Nie rozwodząc się więcej nad tym punktem, przeszedł do spraw praktycznych. - Nie mamy wymaganego sprzętu.

Rzeczy, które znaleźliśmy w sklepach, nadają się do użycia w domu. Nie jesteśmy odpowiednio przeszkoleni; żadne z nas. Ja co prawda odbyłem kilka zejść, ale to było dawno temu. W gruncie rzeczy jestem tylko teoretykiem. Ten system korytarzy nie należy do łatwych. Ciało Vance'a zostawiono tam nie bez kozery. Zginęli ratownicy...

- To nie z powodu jaskiń - wtrąciła Tesla. - To przez dżaffa.

- Ale nie próbowali tam znów wejść - zaznaczył Hotchkiss. - Mój Boże, nikt nie chciał zostawić tam człowieka bez przyzwoitego pogrzebu, ale wszystko ma swoje granice.

- Jeszcze kilka dni temu sam mi pan proponował, żebym z panem zszedł - przypomniał mu Grillo.

- Była mowa o nas dwóch - odparował Hotchkiss.

- Chodzi o to, że nie brał pan pod uwagę udziału kobiet? - wtrąciła Tesla. - Więc

wyjaśnijmy tę sprawę raz na zawsze. Zejdźcie w głąb ziemi właśnie teraz, gdy zanosi się na to, że zapadnie się pół kuli ziemskiej, niespecjalnie mnie bawi, ale dorównam każdemu mężczyźnie we wszystkim, do czego nie jest niezbędny kutas. Nie będę większą zawadą niż Grillo. Przepraszam cię, Grillo, ale takie są fakty. Zejdziemy bezpiecznie w dół. Problemem nie są jaskinie, ale to, co się w nich kryje. I ja mam większe szansę dogadania się z dżaffem niż wy. Spotkałam Kissoona; słyszałam te same łgarstwa, które mówił dżaffowi. Mam już pewne pojęcie, dlaczego stał się tym, czym jest. Jeśli będziemy w ogóle próbowali go namówić, by nam pomógł, to ja muszę się tym zająć.

Hotchkiss nic na to nie odpowiedział. Milczał aż do chwili, gdy samochód stanął i zaczęli wyładowywać sprzęt. Dopiero wtedy wrócił do wyjaśnień i wskazówek. Tym razem powstrzymał się od bezpośrednich wzmianek na temat Tesli.

- Proponuję następującą kolejność: ja pierwszy, za mną Witt. Następnie pani, panno Bombeck. Pochód zamknąłby Grillo.

„Istny sznur paciorków - pomyślała Tesla - ja w środku”. Pewnie Hotchkiss nie dowierzał sile jej mięśni. Nie oponowała. To on prowadził ekspedycję, która - o czym nie wątpiła - była dokładnie tak szaleńcza jak mówił; próba podrywania jego autorytetu tuż przed zejściem byłaby kiepską polityką.

- Mamy latarki - ciągnął - po dwie na każdego. Jedna do kieszeni, drugą zawieszamy sobie na szyi. Nie udało nam się zdobyć kasków ochronnych; musimy się zadowolić czapkami z włóczki. Mamy rękawice, trochę wysokich butów, dwa swetry i dwie pary skarpet na osobę. Bierzemy się do dzieła.

Zanieśli sprzęt i odzież na polankę między drzewami i tam rozdzielili rzeczy między

siebie. W lesie było teraz równie cicho jak wczesnym rankiem.

Słońce grzało tak mocno, że spłynęli potem, gdy tylko włożyli dodatkową odzież, jednak nie śpiewał ani jeden ptak. Kiedy się już ubrali, powiązali się liną w odległości około sześciu stóp jedno od drugiego. Teoretyk Hotchkiss znalazł się na węzłach i popisывał się tą umiejętnością - zwłaszcza wobec Tesli - motając je z teatralną nonszalancją. Grillo miał być przywiązany jako ostatni. Pocił się silniej niż pozostali; na skroniach wystąpiły mu żyły prawie tak grube jak lina, którą był obwiązany w pasie.

- Dobrze się czujesz? - zapytała go Tesla, gdy Hotchkiss siadł na krawędzi rozpadliny i spuścił nogi do środka.

- Czuję się wspaniale - odpowiedział Grillo.

- Nigdy nie umiałeś kłamać - stwierdziła.

Hotchkiss miał dla nich jeszcze jedno, końcowe zalecenie:

- Kiedy już będziemy na dole, ograniczmy rozmowy do minimum, zgoda? Musimy oszczędzać siły. Pamiętajcie, że zejście to dopiero połowa wyprawy.

- Droga powrotna zawsze mniej się dłuży - powiedziała Tesla.

Hotchkiss popatrzył na nią krytycznie i zaczął schodzić.

Pierwsze kilka stóp w dół poszło im stosunkowo łatwo, ale zaraz potem zaczęli odczuwać trudy wyprawy, kiedy przeciskali się przez otwór, w którym ledwie się mieścili, a słońce znikło tak nagle i zupełnie, jakby go nigdy nie było. Latarki były kiepską namiastką.

- Oczekajmy chwilę - zawołał Hotchkiss z dołu - aż się nam oczy przyzwyczają do ciemności.

Tesla słyszała za sobą ciężki oddech Grillo; prawie rzeził.

- Grillo - powiedziała cicho.

- Nic mi nie jest. Wszystko w porządku.

Te słowa przyszły mu łatwo, ale były dalekie od prawdy. Znał te objawy z poprzednich ataków: był zlany potem, serce mu waliło, czuł, jakby ktoś zaciskał mu drut wokół szyi. Ale to były tylko objawy zewnętrzne.

Najbardziej obawiał się jednej rzeczy: że jego panika osiągnie takie natężenie, że po prostu zdmuchnie jego rozsądek jak lampę i na zawsze zapanuje ciemność w nim i dokoła niego. Miał na to zestaw środków zaradczych: tabletki, głębokie wdechy, w ostateczności - modlitwę, ale żaden z tych środków na nic mu się tu nie przydał. Mógł tylko spróbować jakoś to przetrzymać. Powiedział to słowo do samego siebie. Tesla usłyszała.

- Mówiłeś coś o przyjemności? - spytała. - Też mi przyjemność, taka wycieczka.

- Ciszej tam z tyłu - krzyknął Hotchkiss z przodu. - Zaraz idziemy dalej.

Szli więc dalej, w ciszy przerywanej tylko postękiwaniami i okrzykiem Hotchkissa, który ostrzegał ich, że wkrótce będzie bardziej stromo. Najpierw schodzili w dół ukosami, przeciskając się między głazami, naniesionymi podczas przyboru wody w czasie ucieczki dżaffa i Fletchera; teraz musieli schodzić pionowo w dół, w głąb szybu, którego nie mogli wymacać nawet światłem latarek. Panowało tu przenikliwe zimno; cieszyli się, że Hotchkiss kazał im włożyć tyle warstw odzieży, choć krępowała ich ruchy. Na skale, pod rękawicami wyczuwali czasem wilgoć; dwukrotnie zmoczyły ich bryzgi wody spadającej na półkę skalną po przeciwnej stronie szybu.

Ta suma niewygód skłoniła Tesłę do rozważań nad tym, jakież to dziwaczny przymus kazał mężczyznom (bo to oczywiście byli sami mężczyźni; kobiety nie miały w sobie tyle przewrotności) uważać podobne zajęcie za rozrywkę. Czy dlatego, że - jak powiedział Hotchkiss, kiedy po raz pierwszy poszła do jego domu wraz z Wittem - wszystkie wielkie tajemnice kryją się pod ziemią? Jeśli tak, to była w dobrym towarzystwie.

Trzech mężczyzn, z których każdy wprost pałał chęcią ujżenia tych sekretów na własne

oczy; a może nawet chcieliby wydobyć któryś z nich na światło dzienne. Grillo - namiętnie pragnący opowiedzieć o wszystkim całemu światu. Hotchkiss, którego nie odstępowała pamięć o córce - utraconej w wyniku wydarzeń, które tu się rozegrały. I wreszcie Witt - poznał Grove wzdłuż i wszerz, ale nigdy w głąb. Tu poznawał prawdziwe oblicze miasta, które kochał jak własną żonę. Hotchkiss znów zawołał; tym razem słuchali go z zadowoleniem:

- Tutaj jest półka skalna. Możemy chwilę odsapnąć.

Schodzili po kolei. Półka była mokra i wąska; ledwie zdołali się na niej wszyscy pomieścić. Siedzieli jak milczące ptaki. Grillo wyciągnął paczkę papierosów z tylnej kieszeni i zapalił.

- Myślałam, że rzuciłeś palenie - powiedziała Tesla.

- Też tak myślałem - odparł. Podał jej swojego papierosa. Tesla zaciągnęła się głęboko, z rozkoszą, po czym oddała go Grillo.

- Czy wiadomo mniej więcej, jak daleko musimy jeszcze schodzić? - zapytał Witt.

Hotchkiss potrząsnął głową.

- Ale przecież gdzieś tam musi być dno?

- Nawet tego nie umiem powiedzieć.

Witt przykucnął i zaczął macać półkę koło siebie.

- Czego pan szuka? - spytała Tesla.

Kiedy wstał, miał już gotową odpowiedź - odłamek skały wielkości piłki tenisowej, który cisnął w ciemność. Przez kilka sekund trwała cisza, potem usłyszeli jak kamień uderza w litą skałę na dnie i rozpryskuje się z grzechotem na wszystkie strony. Echa długo nie milkły, prawie uniemożliwiając jakiekolwiek określenie odległości, dzielącej ich od dna.

- Brawo - powiedział Grillo. - Takie sztuczki udają się w kinie.

- Chwileczkę - wtrąciła Tesla. - Słyszę wodę.

Cisza, która teraz zapanowała, potwierdziła jej słowa. Gdzieś obok szumiała woda.

- Płynie pod nami czy gdzieś za tymi ścianami? - zastanawiał się Witt. - Nie mogę się połapać.

- Może i tu i tam - powiedział Hotchkiss. - W zejściu na samo dno mogą nam przeszkodzić dwie rzeczy. Blokada głazów i woda. Jeśli woda zaleje ten korytarz, nie będziemy mogli iść dalej.

- Nie bądźmy takimi pesymistami - odezwała się Tesla. - Po prostu chodźmy dalej.

- Już teraz wydaje się, że minęły całe godziny.

- Tu w dole czas płynie inaczej - powiedział Hotchkiss. - Brak oznak, po których moglibyśmy się orientować. Słońca nad głową.

- Nie obliczam czasu według słońca.

- Ale pana organizm tak go oblicza.

Grillo miał już zapalić drugiego papierosa, ale Hotchkiss powiedział: „Nie mamy czasu” i począł się zsuwać z krawędzi półki. Ściana nie była tu zupełnie pionowa. W przeciwnym wypadku ich brak doświadczenia i sprzętu zakończyłby się upadkiem w głąb szybu, ledwie by zeszli kilka stóp niżej. Była jednak dość stroma i stawała się coraz bardziej spadzista. Na niektórych jej odcinkach znajdowali szpary i występy, których mogli się przytrzymać, tak że posuwali się bez większych trudności; w innych miejscach była to lita skała, śliska i zdradliwa. Tu posuwali się niemal cal za calem; Hotchkiss powiadamiał Witta o najdogodniejszym zejściu, ten przesyłał wiadomość do Tesli, a ona przekazywała ją dalej - do Grillo. Te uwagi były bardzo lakoniczne; oddech i skupienie nabrały teraz ceny.

Właśnie dochodzili do końca jednego z takich odcinków, kiedy Hotchkiss zarządził postój.

- Co jest? - zapytała Tesla, patrząc na niego w dół. W odpowiedzi padło jedno posępne słowo:

- Vance.

Usłyszała „O Jezu” Witta, dobiegające z ciemności.

- Więc jesteśmy na dole - stwierdził Grillo.

- Nie - usłyszał - to tylko jeden z występów skalnych.

- Cholera.

- Czy można to jakoś obejść dookoła? - spytała Tesla.

- Niech mi pani da pomyśleć - warknął Hotchkiss. Sądząc po głosie, przeżył wstrząs.

Przez pewien czas - wydawało się, że mijały kwadranse, a pewnie nie minęła nawet minuta stali przytuleni do ściany, czepiając się jej jak mogli, podczas gdy Hotchkiss rozglądał się za odpowiednią trasą. Kiedy już się zdecydował, zawołał, by ruszali dalej.

Do tej pory kiepskie światło ich latarek wprawiało ich w irytację; obecnie było go zbyt wiele. Kiedy pozostała trójka schodziła obok tego występu, żadne z nich nie potrafiło odwrócić głowy w drugą stronę. Oto na połyskliwej skale leżał rozplaszczony stos padliny. Głowa mężczyzny rozbiła się o skałę jak upuszczone jajko. Kończyny powyginały się w najdziwniejszych kierunkach; każdy piszczel był z pewnością rozłamany na dwoje. Jedną jego ręką leżała na karku, z dłonią obróconą do góry. Druga, z lekko rozczapierzonymi palcami zakrywała mu twarz, jakby się bawił w chowanego.

Ten widok ostrzegał ich - o ile potrzebowali ostrzeżeń - do czego może doprowadzić zwykle pośliznięcie na tej stromiźnie. Poruszali się teraz jeszcze ostrożniej.

Szum wody, który przycichł na jakiś czas, zabrzmiał z nową siłą. Tym razem nie tłumiała go skała. Wyraźnie słyszeli go pod sobą. Schodzili w kierunku tego szumu, przystając co jakieś dziesięć stóp, by Hotchkiss mógł zbadać ciemność w dole, pod ich stopami. Nie

niał im nic do powiedzenia aż do czwartego postoj; wtedy, przekrzykując zgiełk pędzącej wody, zawołał, że ma dobre i złe wiadomości. Dobre - że dotarli do dna szybu. Złe - że szyb był zalany wodą.

- Czy tam w dole nie ma kawałka twardego gruntu? - spytała Tesla.

- Niezbyt wiele - odparł - i wcale nie wydaje się bezpieczny.

- Przecież nie możemy po prostu zawrócić pod górę - odparła.

- Nie?

- Nie - powtórzyła z naciskiem. - Nie po to szliśmy tak daleko.

- Jego tu nie ma - odkrzyknął Hotchkiss.

- Sama chcę się o tym przekonać.

Nic nie odpowiedział, ale Tesla mogła sobie wyobrazić, że stoi tam w ciemności i przeklina ją. A jednak po niedługiej chwili ruszył niżej. Szum wody wzmógł się do tego stopnia, że wykluczał możliwość rozmowy do czasu, gdy wreszcie wszyscy zeszli na samo dno i mogli stanąć blisko siebie.

Meldunek Hotchkissa był dokładny. Niewielkie wzniesienie gruntu na dnie studni było tylko kupą śmiecia, którą bystry potok szybko pomniejszał.

- To jest coś nowego - powiedział Hotchkiss.

Jakby dla podkreślenia tej uwagi, potok, który przebił się przez ścianę, rozkruszył ją jeszcze bardziej i rwąca woda uniosła znaczną jej część w huczącą ciemność. Ze zdwojoną energią zaatakowała teraz wysepkę, na której stali.

- Jeśli szybko się stąd nie wyniesiemy - zawołał Witt, przekrzykując zgiełk wezbranej wody - porwie nas woda.

- Chyba powinniśmy wracać na górę - zgodził się Hotchkiss. - Czeka nas długa wspinaczka. Wszyscy przemarzliśmy i jesteśmy już zmęczeni.

- Poczekajcie! - wstrzymywała ich Tesla.

- Jego tu nie ma - powiedział Witt.

- Nie wierzę!

- Więc co pani proponuje, panno Bombeck? - wrzasnął Hotchkiss.

- Może by tak na początek dał pan sobie spokój z tą tytułomanią, z tymi pannami

Bombeck? Czy jest szansa, że ta fala w końcu opadnie?

- Być może. Za kilka godzin. Do tego czasu tu zamarzniemy. A nawet, jeśli opadnie...

- Tak?

- Nawet, jeśli ta woda opadnie, to i tak nie mamy pojęcia, w którą stronę poszedł dżaff.

- Hotchkiss omiół światłem latarki wnętrze szybu.

Światło ledwie muskało powierzchnię czterech ścian, ale stało się jasne, że z tego

miejsca biegło kilka korytarzy - Chce pani zgadywać!?! - wrzasnął Hotchkiss.

Widmo porażki podniosło głowę i spojrzało Tesli prosto w oczy.

Próbowała je zignorować, ale nie odchodziło. Łudziła się sądząc, że dżaff po prostu

przycupnie tu jak ropucha w studni i będzie na nich czekał. Mógł odejść każdym z tuneli, po

tamtej stronie potoku. Niektóre z nich były pewnie ślepe; inne prowadziły do suchych jaskiń.

Ale nawet gdyby umieli chodzić po powierzchni wody (Tesli brakowało praktyki), to który

powinni wybrać? Ujęła latarkę, by samej przebadać tunele, ale ręce miała skostniałe z zimna,

i gdy usiłowała ją włączyć, latarka wysliznęła się jej z ręki, uderzyła o kamień i potoczyła się

w stronę wody. Tesla schyliła się, próbując ją odzyskać i o mało nie straciła równowagi, gdy

jej stopa, wsparta o rozpadający się brzeg wysepki, ześliznęła się po mokrej skale. Grillo

złapał Tesłę za pasek i podciągnął do góry. Latarka wpadła do wody. Tesla patrzyła jak ginie

w jej nurtach; potem odwróciła się do Grillo, chcąc mu podziękować, ale widząc przerażenie

na jego twarzy, spojrzała w dół, pod nogi i zamiast podziękowań o mało nie wydała z siebie

okrzyku trwogi. Ale nie krzyknęła, gdyż strop rozprawał się właśnie z ich niewielką kamienistą przystanią: wymacawszy główny kamień wyrwał go, skłaniając do kapitulacji pozostałe.

Widziała, jak Hotchkiss rzuca się na ścianę studni, szukając jakiegoś punktu oparcia, zanim porwie ich woda. Nie zdążył. Grunt wymknął mu się spod stóp - spod stóp ich wszystkich, wtrącając ich do przejmująco zimnej wody. Nurt wody był równie gwałtowny, co lodowaty; porwał ich w jednej chwili i niósł, ciskając nimi na wszystkie strony, bił nimi o ciemne odmęty ostrej wody i jeszcze ostrzejszych skał.

Niesionej przez rwący nurt Tesli udało się uchwycić czyjś ramienia - chyba ramienia Grillo. Trzymała się go przez całe dwie sekundy - niezły wyczyn - aż na jakimś zakręcie fala wzburzyła się jeszcze bardziej, rozdzielając ich oboje. Na pewnym odcinku Tesla zupełnie straciła orientację w rozszalałym żywiole, a potem nagle woda uspokoiła się, rozlewając się szeroką płytką taflą. Płynęła teraz tak spokojnie, że Tesla mogła wyciągnąć ramiona w bok i odzyskać równowagę. Panowała zupełna ciemność, ale Tesla wyczuwała ciężar pozostałych ciał na naprężonej linie, a za sobą słyszała sapanie Grillo.

- Jeszcze żyjesz? - krzyknęła.

- Żyję, ale co to za życie.

- Witt? Hotchkiss? Jesteście tam?

W odpowiedzi dobiegł jęk Witta i grzmiący okrzyk Hotchkissa.

- Już mi się to śniło... - mówił Witt. - Śniło mi się, że płynę.

Wolała nie myśleć, co sen Witta o płynięciu - o Quiddity - mógł znaczyć dla nich wszystkich, ale nie mogła pozbyć się tej myśli. Trzykrotnie zanurzamy się w morzu snów: gdy się rodzimy, gdy kochamy, gdy umieramy.

- Już mi się to śniło - powtórzył Witt, tym razem ciszej.

Zanim Tesla uciszyła jego prorocтва, poczuła, że strumień znów przyspiesza biegu, a gdzieś przed nimi w ciemności narasta huk żywiołu.

- Cholera! - zaklęła.

- Co tam? - odkrzyknął Grillo.

- Wodospad! - zawołała.

Poczuła napięcie liny. Hotchkiss krzyknął - nie był to okrzyk ostrzeżenia, lecz trwogi.

Zdażyła jeszcze pomyśleć: „Udawajmy, że to Disneyland”, kiedy napięcie liny przeszło w ostre szarpnięcie i ciemność zakołysała się wokół niej. Woda napierała na nią jak lodowaty pancierz, coraz ciaśniejszy, wyciskający z niej oddech i świadomość. Kiedy odzyskała przytomność, stwierdziła, że Hotchkiss unosi jej głowę nad powierzchnią wody. Za nimi huczała katarakta, z której właśnie spłynęli; gwałtowny spadek ubijał wodę na białą pianę.

Tesla nie zdawała sobie sprawy, że coś widzi, do chwili gdy obok, parszając i prychnając, wynurzył się Grillo i zawołał:

- Światło!

- Gdzie Witt? - z trudem wykrztusił Hotchkiss. - Gdzie jest Witt?

Rozglądali się uważnie po jeziorze, do którego zniosły ich wody potoku.

Ani śladu Witta. Dostrzegli jednak twardey grunt. Płynęli tam jak umieli, rozpaczliwie młócąc wodę, aż dotarli do suchej skały. Pierwszy wyszedł Hotchkiss i wyciągnął Teslę; w pewnym momencie pękła wiążąca ich lina.

Ciało Tesli - odrętwiałe, wstrząsane gwałtownym dreszczem - było jak wielkie brzemie, które z trudem niosła.

- Złamała sobie pani coś? - spytał Hotchkiss.

- Nie wiem.

- No to jesteśmy załatwieni - mruknął Grillo. - Tkwimy w samym środku tej cholernej

kuli ziemskiej.

- Skądś dochodzi światło - wykrztusiła Tesla. Zebrała resztki sił i dźwignęła głowę, rozglądając się za źródłem światła. Ten ruch uświadomił jej, że coś z nią nie jest w porządku.

Ostry ból przeszył ją od karku po ramię. Zaskowytała.

- Jest pani ranna? - spytał Hotchkiss.

Usiadła dziarsko wyprostowana i powiedziała:

- Już mi przeszło.

W zdrętwiałym ciele czuła teraz ostre szpile bólu: w głowie, karku, ramionach i brzuchu. Jęk, który wyrwał się Hotchkissowi, gdy wstawał, mógł świadczyć, że odczuwa podobne dolegliwości. Grillo po prostu wpatrywał się w wodę, która uniosła Witta; zęby mu szczękały.

- Jest za nami - powiedział Hotchkiss.

- Co?

- Światło. Dochodzi z tyłu.

Tesla obróciła się, a wtedy lekki ból w boku przeszedł w ostre ukłucia. Nie chciała zdradzić się z cierpieniem, jednak Hotchkiss zauważył, że wstrzymywała oddech, by nie jęczeć.

- Może pani chodzić?

- A pan?

- Próbujemy, kto silniejszy?

- Dobrze.

Popatrzyła na niego z ukosa. Z okolicy prawego ucha sączyła mu się krew, prawym ramieniem obejmował lewe.

- Wygląda pan jak zmora - stwierdziła.

- Pani też.

- Grillo, idziesz?

Żadnej odpowiedzi, tylko szcęknięcie zębów.

- Grillo? - ponagliła go.

Oderwał oczy od wody i wpatrywał się w sklepienie jaskini.

- To wszystko jest nad naszymi głowami - usłyszała jego mamrotanie. - Tyle ziemi. Nad nami.

- To się nie zawali - powiedziała Tesla. - A my się stąd wydostaniemy.

- Właśnie, że nie. Jesteśmy żywcem pogrzebani, do cholery! Żywcem pogrzebani!

Zerwał się na równe nogi; szcęknięcie zębów przeszło w głośny szloch:

- Zabierzcie mnie stąd! Zabierzcie mnie stąd!

- Zamknij się pan - warknął Hotchkiss, ale Tesla wiedziała, że żadne słowa nie wstrzymają raz wyzwolonej paniki. Zostawiając go jego płaczowi, skierowała się w stronę szczeliny w ścianie, z której sączyło się światło.

To dzaff, myślała. To nie może być światło dnia, więc musi to być dzaff.

Zaplanowała sobie już przedtem, co mu powie, ale wszystkie argumenty wywietrzały jej z głowy. Mogła tylko iść przed siebie aż dojdzie, stanie przed nim twarzą w twarz, a jej język jakoś sam sobie poradzi.

Usłyszała, że łkania Grillo cichną, a Hotchkiss mówi:

- Witt.

Obejrzała się. Ciało Witta wypłynęło na powierzchnię jeziora; leżał na wodzie twarzą w dół, niedaleko brzegu. Tesla spojrzała tylko raz, odwróciła się w stronę szczeliny i szła dalej, powoli, z bolesnym móżdżkiem. Czowała wyraźnie jak tamto światło przyciąga ją do siebie; to uczucie nasilało się, w miarę jak podchodziła bliżej, jakby komórki jej ciała, w które

wniknęło nuncjo, wyczuwały bliskość kogoś, kto również był od nuncjo uzależniony.

Ten impuls pomógł jej wyczerpanemu ciału dotrzeć do szczeliny. Wsparła się o skałę i zajrzała do środka. Tamta jaskinia była mniejsza od tej, w której się znajdowała. Po środku jarzyło się światło, które w pierwszej chwili wzięła za ognisko, ale z ogniskiem niewiele miało ono wspólnego. Jarzyło się zimnym, chybotliwym blaskiem. Nie było widać człowieka, który je rozniecił.

Wchodząc do jaskini, odezwała się, by mieć pewność, że tamten nie zrozumie opacznie jej intencji i zaatakuje.

- Jest tu kto? - zapytała. - Chcę mówić z... Randolphem Jaffe'em.

Wolała zwrócić się do niego tym imieniem, w nadziei, że prędzej wzbudzi oddźwięk w sercu człowieka, którym kiedyś był, niż w Artyście, którym być pragnął. Udało się. Z niszy w odległym kącie skalnej komnaty dobiegł głos równie umęczony jak głos Tesli.

- Kim pani jest?

- Jestem Tesla Bombeck.

Podeszła do ognia - był to wybieg, który miał wytłumaczyć jej wtargnięcie do groty.

- Pozwoli pan? - ściągnęła ciężkie od wody rękawice i rozcapierzyła palce nad posępnym płomieniem.

- Ten ogień nie grzeje - powiedział dzaff. - To nie jest prawdziwe ognisko.

- Rzeczywiście - odparła.

Paliwo wyglądało na szczątki jakiejś rozkładającej się materii. Terata. Dymiąca poświata, którą mylnie wzięła za ogień, była resztką ich gnijących ciał.

- Zdaje się, że jesteśmy tu sami - powiedziała Tesla.

- Nie. To ja jestem sam. Pani przyprowadziła innych.

- No tak. Jednego już pan zna, Nathana Grillo.

Na dźwięk tego nazwiska dżaff wyszedł z ukrycia. Już dwa razy widziała szaleństwo w jego oczach. Raz w Pasażu, gdy wskazał je Howie. Za drugim razem - kiedy zataczając się opuszczał dom Vance'a. a za nim ziała pustką otchłań, którą sam otworzył. Teraz widziała je po raz trzeci - zwielokrotnione.

- Więc Grillo tu jest? - zapytał.

- Owszem.

- Po co?

- Jak to po co?

- Po coście tu przyszli?

- Żeby pana odszukać. Potrzebujemy... potrzebujemy pana pomocy.

Szalone oczy zwróciły się w stronę Tesli. Wydało jej się, że wokół jego postaci rysował się jakiś inny. niewyraźny kształt, jak cień majaczący we mgle. Głowa wybijała do groteskowych rozmiarów. Tesla wołała nie wgłębiać się zbyt w znaczenie tego zjawiska.

Miała tylko jeden cel: nakłonić tego szaleńca, by wyjawiał jej swoją tajemnicę.

- Mamy ze sobą coś wspólnego - powiedziała. - Właściwie łączy nas kilka rzeczy, ale jedna w szczególności.

- Nuncjo - stwierdził. - Fletcher wysłał panią po nuncjo, a pani nie mogła się oprzeć jego wpływowi.

- To prawda - przyznała; uznała, że lepiej przyznać mu rację, niż spierać się, ryzykując utratę jego zainteresowania. - Ale nie o nuncjo mi chodzi.

- Więc o co?

- O Kissoona.

Oczy mu się zaiskrzyły.

- To on panią tu przysłał.

Cholera, pomyślała, głupio wyszło.

- Ależ skąd - powiedziała szybko. - Nic podobnego.

- Czego ode mnie chce?

- Niczego. Ja nie jestem jego pośredniczką. Wciągnął mnie do Pętli z tych samych powodów co pana, wiele lat temu. Pamięta pan?

- Tak - powiedział głosem wypranym z wszelkiej emocji. - Trudno to było zapomnieć.

- Ale czy wie pan, dlaczego pragnął ściągnąć pana do Pętli?

- Potrzebował nowego sługi.

- Nie. Potrzebował czyjegoś ciała.

- A tak. Tego też.

- On jest tam uwięziony, džaff. Mógłby stamtąd uciec tylko wtedy, gdyby ukradł czyjeś ciało.

- Po co mi pani o tym mówi? - zachnął się Jaffe. - Czy nie mamy nic lepszego do roboty, zanim nadejdzie koniec?...

- Koniec?

- ...świata - powiedział. Oparł się plecami o ścianę i, poddając się sile ciężenia, sunął w dół, aż przysiadł w kucki. - Przecież to właśnie nas czeka, prawda?

- Dlaczego pan tak myśli?

Dżaff podniósł ręce na wysokość twarzy. Rany nie zasklepiły się. W wielu miejscach dłonie były obgryzione do kości. U prawej dłoni brakowało trzech palców łącznie z kciukiem.

- Chwilami widzę to, co widzi Tommy-Ray - powiedział. - Coś nadchodzi...

- Czy widzi pan, co to jest? - zapytała chciwie, pragnąc poznać choćby najmniejszy rys natury Iadów. - Czy przynoszą kolorowe koraliki czy bomby?

- Nie, tylko straszną noc. Wieczną noc. Nie chcę na to patrzeć.

- Musi pan. Przecież na tym polega rola Artysty. Musi patrzeć, nie odwracając wzroku, nawet jeśli widok jest nie do zniesienia. Pan jest Artystą, Randolphe...

- Nie, nie jestem.

- Przecież to pan otworzył czeluść. Nie twierdzę, że pochwalam pana metody. Nie pochwalam. Ale to pan dokonał czegoś, na co nikt inny się nie poważył. I może nikt inny nie zdołałby tego dokonać.

- Kisoona wszystko to sobie zaplanował - powiedział Jaffe. - Teraz to rozumiem. Zrobił ze mnie swojego pacholka, a ja nic o tym nie wiedziałem. Wykorzystał mnie do swoich celów.

- Nie sędzę - sprzeciwiła się Tesla. - Nie sędzę, żeby nawet on potrafił uknuć tak skomplikowaną intrygę. Skąd mógłby wiedzieć, że pan i Fletcher odkryjecie nuncjo? Nie, to co się panu przytrafiło nie było wynikiem intrygi. Był pan wykonawcą własnej woli, nie woli Kisoona. Władza należy do pana. I na panu spoczywa odpowiedzialność.

Na tym zakończyła argumentację i zamilkła na chwilę, nie tylko dlatego, że była wyczerpana. Jaffe nie podjął dialogu. Patrzył dalej w przygasający blask niby-ogniska, a potem popatrzył na swoje dłonie. Upłynęła dłuższa chwila, nim się odezwał:

- Przyszła tu pani po to, by mi o tym powiedzieć?

- Tak. I niech mi pan nie mówi, że przyszłam na darmo.

- Czego pani ode mnie oczekuje?

- Niech pan nam pomoże.

- Sprawa jest przegrana.

- Pan otworzył otchłań i pan może ją zamknąć.

- Nawet się nie zbliżę do tamtego domu.

- Myślałam, że pragnął pan zdobyć Quiddity. Że przedostanie się tam jest celem

pańskiego życia.

- Myliłem się.

- Przeszedł pan przez to wszystko tylko po to, by stwierdzić, że się pan pomylił?

Dlaczego zmienił pan zdanie?

- Tego pani nie zrozumie.

- A może jednak.

Popatrzył na ognisko.

- Już po nich - powiedział. - Kiedy zgaśnie to światełko, pogrążymy się w zupełnych ciemnościach.

- Muszą być jakieś drogi wyjścia.

- Owszem, są.

- Więc wydostaniemy się stąd. Ale przedtem... przedtem... niech mi pan powie, dlaczego się pan rozmyślił.

Zastanawiał się leniwie, co jej odpowiedzieć, czy też - czy w ogóle jej odpowiadać.

Potem powiedział:

- Kiedy dopiero rozpoczynałem poszukiwania Sztuki, wszystkie poszlaki wskazywały na jakieś skrzyżowanie. Nie, nie wszystkie, ale wiele z nich. Tak, wiele. Te, które uważałem za choć trochę sensowne. Szukałem więc tego skrzyżowania. Sądziłem, że tam znajdę odpowiedź na moje pytanie. Potem Kisson wciągnął mnie do swojej Pętli i myślałem sobie: oto on, ostatni ze Szkoły, w chacie stojącej pośrodku pustkowia. Nie było tam żadnego skrzyżowania. Musiałem się więc pomylić. I wszystko, co się zdarzyło od tamtej pory - w Misji, w Grove... żadne z tych zdarzeń nie rozegrało się na skrzyżowaniu. Widzi pani, potraktowałem to pojęcie dosłownie. Zawsze wszystko brałem dosłownie. Liczyło się tylko to, co fizyczne. Konkretnie. Fletcher myślał o przestworzach, o niebie, a ja - o władzy i

erekcji. On snuł swoje marzenia z ludzkich umysłów, a ja korzystałem z ich flaków i potu.

Zawsze myślałem konkretami. I przez cały ten czas... - w jego głosie narastało wzburzenie, nienawiść skierowana przeciw samemu sobie - i przez cały ten czas byłem jak ślepy. Dopiero gdy posłużyłem się Sztuką, zrozumiałem, czym jest to skrzyżowanie...

- Czym?

Wsunął w zanadrze zdrowszą rękę, szukając czegoś. Na szyi miał medalion, zawieszony na cienkim łańcuszku. Szarpnął. Łańcuszek pękł; Jaffe rzucił medalik w stronę Tesli.

Wiedziała, co to jest, jeszcze nim go schwyciła. Już raz odegrała tę scenę - z Kissoonem. Ale wówczas nie była jeszcze gotowa, by zrozumieć to, co rozumiała teraz, gdy miała w ręku emblemat Szkoły.

- Skrzyżowanie - powiedziała. - To jest symbol tego skrzyżowania.

- Już nie wiem, czym są symbole - powiedział Jaffe. - Nie mają żadnego znaczenia.

- Ale ten coś naprawdę oznacza - stwierdziła Tesla, przyglądając się znakom, wyłobionym na ramionach krzyża.

- Zrozumieć oznacza mieć - powiedział Jaffe. - Kiedy się to zrozumie, symbol nie jest już symbolem.

- Więc... niech mi pan pomoże zrozumieć. Bo patrzę na to i to wciąż jest tylko krzyż.

Owszem, jest piękny i w ogóle, ale pozbawiony jakiegoś głębszego znaczenia. Jest tu jakiś facet, jakby ukrzyżowany, ale bez gwoździ, no i te stworzenia.

- Nie potrafi pani odnaleźć w tym żadnego znaczenia?

- Może, gdybym nie była taka zmęczona.

- Niech pani zgaduje.

- Nie jestem w nastroju do zgadywanek.

W oczach Jaffe'a błysnęła przebiegłość:

- Chce pani, żebym z wami poszedł, żebym pomógł wam wstrzymać pochód najezdźców idących przez Quiddity, kimkolwiek oni są, ale nie macie najmniejszego pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi. Gdyby było inaczej, wiedziałyby pani, co trzyma w ręku.

Zrozumiała, co jej proponował, nim zdążył powiedzieć to na głos.

- Więc jeśli odgadnę, pan pójdzie z nami?

- Taak. Może.

- Niech mi pan da kilka minut - spojrzała na medalik świeżym okiem.

- Kilka? - zapytał. - Co to znaczy: kilka? Powiedzmy, że PIĘĆ. Moja oferta pozostanie otwarta przez pięć minut.

Nagle onieśmielona, obracała medalion w dłoni.

- Niech mi się pan nie przygląda.

- Kiedy to lubię.

- Nie mogę się przez pana skupić.

- Nie musi tu pani siedzieć.

Wzięła go za słowo i poszła chwiejnie w stronę szczeliny w ścianie, przez którą się tu dostała.

- Niech go pani nie zgubi - zawołał za nią prawie kpiąco. - Mam tylko ten jeden.

Tuż za szczeliną czatował Hotchkiss.

- Słyszał pan? - spytała Tesla.

Skinął głową. Otworzyła dłoń, by mógł obejrzeć medalion. Jedyne źródło światła - terata - jarzyło się i przygasało, ale jej oczy zdążyły się już do tego przyzwyczaić. Na twarzy Hotchkissa malowało się kompletne zaskoczenie.

Zrozumiała, że z tego źródła nie usłyszy słów objawienia.

Odebrała mu medalion i spojrzała na Grillo, który nawet się nie poruszył.

- Zupełnie się załamał - powiedział Hotchkiss. - Klaustrofobia.

Jednak podeszła do niego. Już nie wpatrywał się w sklepienie groty ani w ciało, kołyszące się na wodzie. Oczy miał zamknięte. Szczękał zębami.

- Grillo.

Wciąż szczękał zębami.

- Grillo. To ja, Tesla. Potrzebuję twojej pomocy.

Krótko, gwałtownie potrząsnął głową.

- Muszę się dowiedzieć, o co tu chodzi.

Nawet nie otworzył oczu, żeby zrozumieć, o czym mówiła.

- Piękne dzięki, Grillo - powiedziała.

Sama musisz sobie radzić, mała. Nikt ci nie pomoże. Hotchkiss nie potrafi, Grillo nie chce, Witt nie żyje i pływa w jeziorze. Popatrzyła na niego przez krótką chwilę. Leży na wodzie twarzą w dół, z rozłożonymi ramionami.

Szkoda biedaka. Zupełnie go nie znała, ale był to chyba całkiem porządny gość.

Odwróciła się, otworzyła dłoń i popatrzyła na medalion. Sekundy biegły jedna za drugą, a ona zupełnie nie potrafiła się skupić.

Co oznacza ten medalion?

Centralnie umieszczona figura przedstawiała postać ludzką. Kształty, które od niej biegły, nie wyobrażały ludzi. Może duchy służebne? Albo dzieci głównej postaci. Sprawa zaczynała nabierać sensu. Między rozstawionymi nogami postaci znajdowała się jakby stylizowana mała człekokształtna, pod nią jakiś gad, a jeszcze niżej...

Cholera, to nie były dzieci, lecz przodkowie. To ewolucja. Pośrodku człowiek, niżej mała, następnie jaszczurka, ryba i materia pierwotna (oko czy też pojedyncza komórka).

„Pod nami jest przeszłość”, powiedział kiedyś Hotchkiss. Może miał rację.

Jeśli to było właściwe rozwiązanie, to co oznaczały rysunki na trzech pozostałych ramionach? Nad głową postaci jakby tańczył w powietrzu jakiś stwór z ogromną głową. Wyżej ten sam kształt, tyle że uproszczony; a jeszcze wyżej - dalsze uproszczenie, które osiągnęło stadium ostateczne jako jeszcze jedno oko (czy też pojedyncza komórka), powtarzając rysunek umieszczony na samym dole. W świetle pierwotnej interpretacji, zrozumienie tych rytów nie przedstawiało większych trudności. Otóż na dole umieszczono wizerunki stworzeń, które były stopniami na drodze rozwoju człowieka, zaś u góry - oczywiście przewyższając kondycję ludzką - pięty się gatunki, pozostające na wyższych etapach rozwoju, aż do stanu doskonałego uduchowienia.

Odgadła dwie zagadki z czterech.

Ile jeszcze miała czasu?

Nie myśl o czasie, powiedziała sobie, po prostu rozwiąż tę zagadkę. Ciąg znaków biegnących z prawa na lewo nie był tak łatwy do odczytania jak ten z osi północ - południe. Na lewym krańcu dojrzała jeszcze jedno kółko, a w nim kształt przypominający obłok. Obok niego, bliżej wyciągniętego ramienia figury - kwadrat podzielony na czworo; jeszcze bliżej - jakby błyskawica, następnie jakaś plama (krew sącząca się z dłoni?); dalej - dłoń figury. Po drugiej stronie biegła seria jeszcze bardziej zagmatwanych symboli. Być może plama krwi z lewej dłoni figury; następnie fala, albo może węże (czy Tesla nie popełniała tego samego błędu co Jaffe? czy nie brała rzeczy zbyt dosłownie?); dalej coś, co można było określić tylko jako niedbałą bazgraninę, jakby wydrapano jakiś znak; i wreszcie czwarte i ostatnie koło, które było otworem, wywierconym w medalionie. Od rzeczy trwałych do ulotnych. Od kręgu z obłokiem do nicości. Cóż to znaczyło, do diabła? Dzień i noc? Nie. Może znane i nieznanne? To już lepiej.

Spiesz się, Tesla. Spiesz się. Co jest okrągłe, pełne chmur i znane?

Okrągłe; z obłokami. Świat, i znasz go. Tak! Świat, Kosmos!

Z czego wynikało, że puste miejsce na drugim ramieniu, to, co jest nieznanne - jest

Metakosmosem! Pozostawała jeszcze figura pośrodku - główny punkt całego układu.

Skierowała się w stronę jaskini, w której czekał na nią Jaffe; wiedziała, że zostały już tylko sekundy.

- Mam! - zawołała. - Już wiem! - nie była to zupełna prawda, ale Tesla mogła już tylko zdać się na los.

Ogień w Jaskini zamierał, ale oczy Jaffe'a płonęły przerażającym blaskiem.

- Wiem, co to jest - powiedziała.

- Naprawdę?

- Na jednej osi przedstawiono proces ewolucji, od pierwotniaka do boskości. - Widziała z wyrazu jego twarzy, że uporała się przynajmniej z tą częścią zagadki.

- Dalej - ponagłał. - Co jest na drugiej osi?

- Kosmos i Metakosmos. To, co znamy i czego nie znamy.

- Świetnie. Bardzo dobrze - powiedział. - No a w środku?

- My. Ludzie.

Uśmiechnął się szeroko.

- Nie - powiedział.

- Nie?

- Stary błąd, co? To nie takie proste.

- Ale to przecież człowiek! Człowiek i już! - zaprotestowała.

- To jest wciąż symbol.

- Do diabła! Mam tego dosyć! Coś pan taki z siebie zadowolony! Niech mi pan pomoże!

- Czas minął.

- Już jestem blisko! Całkiem blisko, prawda?

- Sama pani widzi. Nie dała pani rady. Nawet z małą pomocą przyjaciół.

- Nikt mi nie pomógł. Hotchkiss nie potrafi, Grillo zwariował. A Witt...

Witt leży na wodzie, pomyślała, ale nie powiedziała tego na głos, ponieważ ten obraz uderzył ją z siłą objawienia. Witt leży swobodnie na wodzie, z rozrzuconymi ramionami, otwartymi dłońmi.

- Boże - powiedziała. - To Quiddity. Nasze sny. Na skrzyżowaniu znajduje się nie żywy człowiek, lecz umysł.

Jaffe już się nie uśmiechał, oczy jeszcze silniej mu rozbłysły; przewrotne światło, które nie oświetlało, ale wchłaniało w siebie resztkę światła jaskini.

- Jest tak, jak powiedziałam, prawda? Quiddity jest środkiem wszechrzeczy. To ono jest tym skrzyżowaniem.

Nie odpowiedział. Nie było takiej potrzeby. Wiedziała z całą pewnością, że dobrze odgadła. Ta postać - on lub ona - pozwalała się nieść wodom Quiddity, gdy tak leżała pogrążona w morzu snów. I w jakiś sposób to marzenie stało się miejscem, z którego wszystko bierze swój początek, stało się praprzyczyną.

- Nic dziwnego - powiedziała Tesla.

Głos Jaffe'a dobiegł jakby z głębi grobu:

- Słucham?

- Nic dziwnego, że nie mógł się pan na to zdobyć - odparła - kiedy pan zrozumiał, co pana czeka w Quiddity. Nic dziwnego.

- Jeszcze może pani pożałować, że pani o tym wie.

- Nigdy w życiu nie żałowałam, że się czegoś dowiedziałam.

- Zmieni pani zdanie. Ręczę.

Przegrał, to niech sobie teraz pogada, myślała. Ale umowa była umową; postanowiła, że nie ustąpi.

- Obiecał pan, że pójdzie z nami.

- Wiem.

- I pójdzie pan, prawda?

- To nie ma sensu - odparł.

- Niech się pan nie wykręca. Wiem, jaka jest stawka równie dobrze jak pan.

- I co pani proponuje?

- Wrócimy do Willi Vance'a i spróbujemy zamknąć wyrwę.

- W jaki sposób?

- Może trzeba będzie poradzić się jakiegoś eksperta.

- Nie ma takich.

- Jest Kisson - powiedziała. - Jest nam winien poradę. A nawet kilka. Ale najpierw musimy się stąd wydostać.

Jaffe patrzył na nią przez długą chwilę, jakby wciąż niepewny, czy przystać na jej propozycję.

- Jeśli się pan wycofa, to w końcu zostanie pan w tych ciemnościach, w których przebywał pan. Ile?... dwadzieścia lat? Iad przedrą się na drugą stronę, a pan będzie tu, pod ziemią, wiedząc, że podbili planetę. Być może nigdy pana nie odnajdą. Pan nie je, prawda? Jedzenie nie jest panu potrzebne. Będzie pan żył dalej - sto, może tysiąc lat. Ale będzie pan sam. Tylko pan, ciemność i pamięć tego, do czego pan doprowadził. Przyjemna perspektywa, prawda? Ja wolałabym raczej stawić im czoła i zginąć...

- Kiepsko pani wychodzi to przekonywanie - przerwał jej. - Widzę panią na wylot. Ma

pani gadane, ale nie pani jedna. Uważa się pani za sprytną. Ale tak nie jest. Pani nie ma zielonego pojęcia o tym, co nadchodzi. A ja? Ja jestem w stanie to widzieć. Widzę oczami tego mojego niewydarzonego synalka. Posuwa się teraz w stronę Metakosmosu i wyczuwam, co tam jest. Ale nie mogę na to patrzeć. Nie chcę. Niech pani posłucha: nie mamy żadnej szansy, do cholery.

- Czy broni się pan do upadłego, byle tylko nie iść z nami?

- Nie, pójdę. Pójdę tylko po to, by zobaczyć pani minę, gdy pani przegra.

- Więc ruszajmy. Czy wie pan, jak stąd wyjść?

- Nie wiem, ale się dowiem.

- Dobrze.

- Ale najpierw...?

- Tak?

Wyciągnął zdrowszą rękę:

- Mój medalion.

Zanim rozpoczęli odwrót, Tesla musiała obudzić Grille z martwego odrętwienia. Kiedy wróciła do jaskini po rozmowie z Jaffe'em, Grillo wciąż siedział nad brzegiem jeziora, szczerze zacisnąwszy powieki.

- Zabieramy się stąd - powiedziała cichym głosem. - Grillo, słyszysz mnie? Wynosimy się stąd.

- Nogami do przodu - odparł.

- Nie. Nic złego się nam nie stanie. - Objęła go ramieniem; przy każdym ruchu czuła

przeszywający ból w boku. - Wstawaj, Grillo. Jest mi zimno, a niedługo będzie tu zupełnie

ciemno. - Ciemno choć oko wykol; poświata, którą wydzielały rozkładające się szczątki terata szybko zamierała. - Tam na górze jest słońce, Grillo. Jest ciepło i widno.

Otworzył teraz oczy:

- Witt nie żyje - powiedział.

Fale idące od wodospadu zepchnęły zwłoki na sam brzeg.

- My nie zginiemy, Grillo. Będziemy żyć. Więc rusz się, do cholery.

- Przecież... nie możemy... popłynąć w górę - powiedział, patrząc na wodospad.

- Są inne sposoby - powiedziała. Łatwiejsze. Ale musimy się spieszyć.

Patrzyła jak Jaffe bada szczeliny w przeciwległej ścianie skalnej komnaty - zapewne szukając najlepszej drogi powrotnej. Nie był w lepszej kondycji niż pozostali; o forsownej wspinaczce nie mogło być mowy. Po chwili przywołał Hotchkissa i kazał mu odrzucać na bok strzaskane kamienie, a sam badał dalej następne otwory. Pomyślała nagle, że tyle wiedział o możliwościach powrotu co oni, ale odpędziła od siebie tę trwoźną myśl, próbując od nowa nakłonić Grillo do wstania. Trzeba było jeszcze trochę namawiania, ale w końcu jej się udało. Wstał; nogi się pod nim dosłownie uginały, zanim je roztarł i rozruszał.

- Świetnie - powiedziała Tesla. - Wspaniale. Teraz chodźmy.

Rzuciła na niego ostatnie - krótkie spojrzenie; miała nadzieję, że tam, gdzie przebywał, było mu dobrze, gdziekolwiek to było. Jeśli jest prawdą, że wszyscy idą do własnego nieba, to wiedziała, gdzie teraz był Witt. W niebiańskim Palomo Grove - niewielkim, cichym miasteczku, gdzie zawsze świeci słońce, a handel nieruchomościami pomyślnie się rozwija. W milczeniu życzyła mu wszystkiego dobrego i odwróciła się od jego ziemskich szczątków, tknięta myślą, że może on przez cały czas wiedział, że dziś umrze, i wolał stać się częścią opoki, na której stało Grove, niż ulotnić się z dymem krematorium.

Jaffe odwołał Hotchkissa od odgruzowywania jednej szczeliny, by skierować go do

innej, znów budząc w Tesli niemiłe podejrzenie, że Jaffe sam nie wie, którędy się stąd wydostać. Pośpieszyła Hotchkissowi na pomoc; udało jej się zastraszyć Grillo na tyle, że poszedł jej przykładem. Od wyrwy ciągnęło stęchlizną. W idącym z góry powiewie nie było śladu świeżości. Ale mogli być zbyt głęboko pod powierzchnią ziemi, by świeże powietrze zdołało tam dotrzeć.

Praca była ciężka, a zapadająca ciemność czyniła ją jeszcze cięższą. Tesla jeszcze nigdy dotąd nie była równie bliska kompletnego załamania. Straciła czucie w rękach; twarz jej zdrętwiała; ciało opornie poddawało się jej woli.

Pomyślała, że byle nieboszczyk jest cieplejszy niż ona. Ale dawno, dawno temu, stojąc w blasku słońca, powiedziała Hotchkissowi, że nie jest gorsza od żadnego mężczyzny, i była zdecydowana dowieść prawdy tych słów. Nie oszczędzała się, szarpała kamienie z równym zapamiętaniem co on. Jednak najbardziej zasłużył się Grillo - jego zapal z pewnością brał się z rozpaczy. Odrzucał największe głazy z siłą, o jaką Tesla nigdy by go nie podejrzewała.

- Zrobione - zwróciła się do Jaffe'a. - Przechodzimy?

- Tak.

- To ta droga?

- Nie gorsza od innych - odparł i ruszył przodem.

Rozpoczęła się wspinaczka w górę, która była na swój sposób jeszcze okropniejsza niż zejście. Choćby dlatego, że mieli teraz tylko jedną latarkę, którą niósł Hotchkiss postępujący za Jaffe'em. Żałosne to światelko było bardziej promyczkiem, za którym mieli iść Tesla i Grillo, niż światłem oświetlającym im drogę. Szli, potykając się, padali i znów się potykali.

Odrętwienie miało swoje dobre strony - zagłuszało chwilowo ból uszkodzonego ciała.

Pierwszy odcinek trasy nawet nie wyniósł ich na wyższy poziom - biegł poziomo przez

kilka niewielkich jaskiń, a w otaczających skałach huczała woda. Przebyli jakiś tunel, który

najwyraźniej był do niedawna korytem rzeki. Muł sięgał im do uda i sącył się ze sklepienia na ich głowy, z czego wkrótce mieli się ucieszyć: w pewnym miejscu tunel zwężył się do tego stopnia, że gdyby nie nasiąkli śliskim błotem, zapewne nie zdołaliby się przecisnąć dalej. Od tego momentu zaczęli iść w górę; teren wznosił się początkowo łagodnie, a później stawał się coraz bardziej stromy. Gdy szum wody nieco przycichł, pojawiła się nowa groźba: ziemia napierała na ziemię.

Nikt nie odezwał się słowem. Byli zbyt wyczerpani, by tracić energię na wypowiedzenie tej oczywistej prawdy: ziemia, na której zbudowano Grove, wypowiedziała miastu posłuszeństwo. Szmer w głębi skał narastał, w miarę jak pięli się wyżej: sklepienie kruszyło się i w ciemności sypało się im na głowy.

Hotchkiss pierwszy wyczuł świeży powiew.

- Świeże powietrze - powiedział.

- Oczywiście - przytaknął Jaffe.

Tesla obejrzała się na Grillo. Wszystkie zmysły miała tak wyczerpane, że już im nie dowierzała.

- Czujesz coś? - spytała.

- Chyba tak - odpowiedział ledwie dosłyszalnie.

Ta pomyślna okoliczność przyspieszyła ich pochód, chociaż trasa stawała się coraz trudniejsza; tunele trzęsły się niejednokrotnie, tak silne były ruchy terenu. Ale teraz już nie tylko obietnica świeżego powietrza zachęcała ich do dalszego marszu, gdzieś wysoko nad ich głowami zamajaczyła nikła możliwość poświaty i wciąż umacniała się w pewność; wreszcie na własne oczy zobaczyli skałę, po której się pięli. Jaffe podciągał się w górę na jednej ręce z dziwną łatwością, jakby jego ciało prawie nic nie ważyło. Pozostali radzili sobie jak umieli, z trudem dotrzymując mu kroku, mimo adrenaliny, która zaczęła krążyć w ich umęczonych

ciałach. Światło stawało się coraz jaśniejsze, to ono pchało ich w górę. Było coraz widniej; mrużyli oczy od rosnącego blasku. Pięli się ku niemu żwawo, nie dbając, czy znajdą bezpieczne oparcia dla rąk i nóg.

W głowie Tesli kłębiły się jakieś nieokreślone obrazy, nie dokończone wątki - były to bardziej marzenia na jawie niż świadome myśli. Jej wyczerpany umysł nie potrafił ująć ich w karby. Powracało natrętne wspomnienie tych pięciu minut, w ciągu których musiała rozwikłać zagadkę medalionu. W pełni zrozumiała to dopiero wtedy, gdy nareszcie zobaczyła niebo; rozumiała, że to powolne wynurzanie się z mroku było jak powstawanie z przeszłości, a także ze śmierci. Przejście ze świata istot zimmokrwistych do świata stworzeń ciepłokrwistych. Od ślepoty i ograniczenia do widoku rozległych przestrzeni. Pomyślała niejasno: to dlatego mężczyźni schodzą pod ziemię. By pamiętać, dlaczego żyją w blasku słońca.

Nareszcie, gdy blask bijący z góry stawał się nie do zniesienia, Jaffe usunął się na bok, przepuszczając Hotchkissa.

- Wycofuje się pan? - spytała Tesla.

W jego twarzy było jednak coś więcej niż niepewność.

- Czego się tu bać? - indagowała Tesla.

- Słońca.

- Idziecie czy nie? - niecierpliwił się Grillo.

- Za chwilę - powiedziała Tesla. - Przechodź.

Przecisnął się obok nich, pokonując niezgrabnie ostatnie parę metrów, dzielące go od powierzchni. Hotchkiss już tam był. Słyszała, jak śmiał się do siebie. Z trudem odsuwała od siebie radość wyjścia na powierzchnię, ale nie po to odbyli tę daleką wyprawę, żeby teraz porzucić zdobycz.

- Nienawidzę słońca - powiedział Jaffe.

- Dlaczego?

- Ono mnie nienawidzi.

- To znaczy sprawia panu ból? Jest pan czymś w rodzaju wampira?

Jaffe popatrzył w górę na światło, mrużąc oczy.

- Fletcher kochał niebo, słońce - powiedział.

- Może powinien się pan czegoś od niego nauczyć.

- Za późno.

- Wcale nie. Owszem, trochę pan napaskudził, ale teraz ma pan szansę, by wszystko naprawić. Nadchodzi coś gorszego niż pan. Niech pan o tym pomyśli.

Nic nie odpowiedział.

- Niechże pan posłucha - nalegała. - Słońce nie dba o to, co pan zrobił. Świeci jednakowo dla wszystkich, dobrych i złych. Wolałabym, żeby tak nie było, ale jest. Skinął głową.

- Czy mówiłem pani kiedyś o... Omaha?

- Niechże pan nie zwleka, Jaffe. Wychodzimy.

- Umrę - powiedział.

- Wtedy skończą się wszystkie pańskie kłopoty. No, wychodzimy.

Wbił w nią oczy - już bez śladu tego światła, które w nich płonęło w tamtej jaskini.

Właściwie nic nie wskazywało na jego nadprzyrodzoną moc.

Był zupełnie nijaki - zszarzały wrak człowieka; nie obejrzałyby się za nim na ulicy, mogłaby się najwyżej zastanawiać, jakie bolesne przejścia doprowadziły go do tego stanu.

Poświęcili wiele czasu i sił (także życie Witta), by wydobyć go z ziemskich głębin. Zdaje się, że dostają lichą zapłatę za tak wielkie poświęcenie. Chyląc głowę przed blaskiem, pokonał

ostatni odcinek ściany i wyszedł na górę, w słońce. Tesla poszła za nim; blask był oślepiający, niemal przyprawił ją o mdłości. Zacisnęła powieki; czyjś śmiech kazał jej otworzyć oczy. Coś więcej niż uczucie ulgi wywołało ten wybuch wesołości Grillo i Hotchkissa. Oto wyszli z głębi ziemi dokładnie pośrodku parkingu motelu „Terrace”.

WITAJCIE W PALOMO GROVE - głosił napis - W PRZYSTANI DOBROBYTU.

VI

Jak Carolyn Hotchkiss powtarzała swoim trzem koleżankom wiele lat temu, skorupa ziemska jest cienka, a Palomo Grove zbudowano wzdłuż pęknięcia, biegnącego przez tę skorupę; któregoś dnia szczelina pęknie. wtrącając miasto w przepaść. W ciągu dwudziestu lat, które minęły od czasu, gdy uciszyła tabletkami własne przepowiednie, w nauce, której zadaniem było przewidzenie tego momentu, dokonał się szalony postęp.

Sporządzano mapy szczelin grubości włosa, bacznie śledząc ich rozwój.

W razie nadejścia kataklizmu można było liczyć na dostatecznie szybkie ostrzeżenie, by ocalić miliony istnień ludzkich, nie tylko w San Francisco i Los Angeles, lecz również w miasteczkach wielkości Palomo Grove.

A jednak żaden monitor ani kartograf nie potrafił przewidzieć gwałtownego rozwoju wypadków w Coney Eye i rozmiarów strat. Naruszenie równowagi wewnątrz domu Vance'a przesłało subtelny, ale przekonujący komunikat w głąb Wzgórza i dalej, jaskiniami i korytarzami biegnącymi pod miastem, budząc górotwór, pomrukujący przez wiele lat, aż wstrząsnął się i zaryczał.

Chociaż najbardziej widowiskowe następstwa tej rewolty zaobserwowano w niższych partiach Wzgórza - gdzie ziemia rozstała się, jakby spodziewany kataklizm rzeczywiście nadchodził, wtrącając jeden z Łuków w rozpadlinę długości dwustu jardów i szerokości dwudziestu - ucierpiały także inne dzielnice. Proces zniszczenia nie ustał wraz z pierwszą falą

wstrząsów, jak można było oczekiwać po zwyczajnym ruchu górotworu, ale rozszerzał się. W miarę jak wici buntu rozbiegały się coraz dalej, nawet mniej znaczące wypadki osiadania gruntu okazywały się dostatecznie żarłoczne, by pochłonąć domy, garaże, chodniki i sklepy. W Deerdell jako pierwsze ucierpiały ulice leżące najbliżej lasu; garstkę mieszkańców, którzy jeszcze nie wyjechali, ostrzegł masowy exodus zwierząt - rzuciły się do ucieczki, zanim drzewa spróbowały wyrwać swoje korzenie z ziemi, by iść ich śladem. Po nieudanych wysiłkach padały pokotem. Domy poszły za ich przykładem - ulica padała za ulicą niczym kostki domina. Stillbrook i Laureltree doznały strat równie rozległych, chociaż poskąpiono im należytego ostrzeżenia, a katastrofa, która nastąpiła, nie przebiegała według żadnego wyraźnego schematu. Zmienacka otwierały się pęknięcia pośrodku ulic i na tylnych podwórkach. Woda wyciekała z basenów w ciągu kilku sekund; drogi dojazdowe stawały się Wielkimi Kanionami w miniaturze. W każdym razie niezależnie od tego, czy działania te były wyrywkowe czy uporządkowane, nagłe czy poprzedzone ostrzeżeniem, wszystkie dzielnice doświadczyły ostatecznie tego samego. Grove pochłaniała ziemia, na której je wybudowano. Oczywiście ginęli także ludzie; ginęło ich wielu. Przeważnie odchodzili niepostrzeżenie - byli to ci growianie, którzy nie opuszczali swych domów od kilku dni. Dręczeni podejrzeniami wobec otaczającego ich świata, woleli nie dzielić się nimi z innymi. Nie zauważono braku tych ludzi, ponieważ nikt nie wiedział, kto wyjechał z miasta, a kto został. Solidarność, którą growianie zaprezentowali w Pasażu tamtej pierwszej nocy, była zupełnie powierzchowna. Nie zwoływano społecznych zebrań w tych ciężkich chwilach; każdy sam pasował się z własnym strachem. Ponieważ sytuacja wciąż się pogarszała, rodziny po prostu ułatwiały się jedna po drugiej, często nocą, najczęściej w tajemnicy przed sąsiadami. Osoby mieszkające samotnie, które nie opuściły miasta, leżały teraz przywalone gruzami własnych domów i nikt o nich nie wiedział. Zanim władze zdały sobie sprawę z ogromu szkód, wiele

ulic było już niedostępnych, więc poszukiwanie ofiar odkładano na dzień następny, kiedy dramatyczne zajścia, które rozegrały się w rezydencji Buddy'ego Vance'a (i wciąż trwały) nie będą wymagać natychmiastowej interwencji.

Ci, którzy przybyli tam jako pierwsi w celu zbadania sprawy - policjanci patrolowi, którzy niejedno już widzieli i sądzili, że już nic ich nie zdoła zadziwić - widzieli, że w Coney Eye rozszalała się jakaś niszczycielska potęga, którą niełatwo będzie zdefiniować. Półtorej godziny po przybyciu pierwszego radiowozu na Coney Eye i po tym, jak policjant zameldował przełożonym o stanie, w jakim znajdowała się rezydencja, kilku pracowników FBI było już na miejscu, a dwóch ekspertów - fizyk i geolog - jechał z Los Angeles. Po wejściu do willi ocenili, że rozgrywające się tam zjawisko - zjawisko, które nie poddawało się żadnym łatwym definicjom - grozi śmiertelnym niebezpieczeństwem. Wśród niezliczonych niejasności i wątpliwości jedno było pewne: mieszkańcy Grove już się skądś dowiedzieli o głębokim pęknięciu ziemi, które właśnie zachodziło (czy też miało dopiero nastąpić). Zaczęli wyjeżdżać z miasta już kilka godzin - a może dni - wcześniej. Dlaczego żaden z nich nie ostrzegł o grożącym niebezpieczeństwie nikogo spoza terenu Grove - oto jeszcze jedna z niezliczonych zagadek tego miejsca.

Gdyby badacze wiedzieli, do kogo się zwrócić o wyjaśnienia, uzyskaliby je od którejkolwiek z osób, które mozolnie wychodziły spod ziemi tuż przed hotelem „Terrace”. Prawdopodobnie zlekceważyliby ich opowieść jako objaw szaleństwa, ale nawet Tesla, która przedtem zrobiłaby wszystko, żeby Grille zatrzymał fakty dla siebie - teraz sama gotowa była je ujawnić, gdyby miała na to dość sił. Ciepło słoneczne, a nawet sam widok słońca, wlały w nią nieco życia, ale także wysuszyło na twardy pancerz warstwę błota i krwi, który pokrywał ją całą, uszczelniając w ten sposób chłód, który trwał w jej wnętrzu, w szpiku kości. Jaffe pierwszy schronił się w mrocznym wnętrzu motelu. Po kilku minutach poszła i Tesla.

Zarówno goście, jak i obsługa porzucili motel - mieli swoje powody. Popękana płyta parkingowa była jednym z nich; największa szczelina pobiegła dalej, do drzwi frontowych budynku, znacząc fasadę cienkimi gałązkami pęknięć niczym zrodzona w ziemi błyskawica. Wewnątrz pozostały liczne ślady pośpiesznego odjazdu ostatnich gości - schody były zarzucone walizkami i przedmiotami osobistego użytku, drzwi, których wstrząsy nie straciły z zawiasów, stały szeroko otwarte. Tesla wędrowała przez ciąg pokoi, aż znalazła trochę porzuconej odzieży; puściła z prysznicza najgorętszą wodę, jaką mogła znieść, rozebrała się i weszła do kabiny. Ciepło rozmarzyło ją; zmusiła się, by wyjść z rozkosznej kąpieli i wytrzeć. Niestety były tam lustra. Jej poranione, obolałe ciało przedstawiało żalospisny widok. Spiesznie okryła je ubraniem, które nie pasowało na nią rozmiarem i w ogóle było niedobrane, co zresztą spodobało się Tesli - spośród ascetycznych strojów, styl włóczędzy zawsze jej odpowiadał. Ubierając się, popijała czyjąś wystygłą kawę, pozostawioną w pokoju. Kiedy wychodziła, była godz. 3.20 - minęło prawie siedem godzin od chwili, kiedy podjeżdżali we czworo pod Deerdell, by zejść w głąb jaskiń.

Grillo i Hotchkiss siedzieli w biurze. Zaparzyli kawę. Umyli się też, chociaż nie tak starannie jak Tesla - po prostu wyszorowali do czysta twarze, podczas gdy reszta wciąż lepiała się od brudu. Zamienili także ciężkie od wilgoci swetry na jakieś marynarki. Siedzieli i palili.

- Mamy wszystko - powiedział Grillo. Zachowywał się jak człowiek zupełnie

wytracony z równowagi, który postanowił, że jednak zmierzy się z trudną sytuacją. - Jest

kawa. Papierosy. Czerstwe pączki. Brak nam tylko mocniejszych używek.

- Gdzie Jaffe? - spytała Tesla.

- Nie wiem.

- Jak to, nie wiesz? Na litość boską, Grillo, nie powinieneś być tracić go z oczu.

- Przecież sam tu przyszedł - zaprotestował Grillo. - Teraz już nie odejdzie.

- Być może - ustąpiła Tesla. Nalała sobie kawy. - Jest cukier?
- Nie, ale są ciastka i sernik, stare, ale jadalne. Ktoś tu był łasuchem. Chcesz?
- Chcę - piła kawę małymi łydkami. - Wiesz, chyba masz rację...
- Co do tego łasucha?
- Co do Jaffe'a.
- On ma nas wszystkich gdzieś - odezwał się Hotchkiss. - Niedobrze mi się robi, kiedy na niego patrzę.
- No tak, pan ma powody - powiedział Grillo.
- A mam - warknął Hotchkiss. Spojrzał z ukosa na Tesłę. - Kiedy już będzie po wszystkim, chcę go mieć dla siebie, zgoda? Musimy wyrównać pewne rachunki. Nie czekając na odpowiedź, wziął swoją filiżankę i wyszedł na dwór, na słońce.
- O co mu chodzi? - zdziwiła się Tesla.
- O Carolyn.
- No tak, oczywiście.
- Obarcza Jaffe'a winą za to, co się z nią stało. I ma rację.
- To wszystko musi być dla niego straszne.
- Taka wyprawa to chyba dla niego nic nowego - powiedział Grillo.
- Chyba masz rację - dopiła kawę. - To mnie postawiło na nogi, przynajmniej na jakiś czas. Pójdę poszukać Jaffe'a.
- Zanim wyjdiesz...
- Tak?
- Chciałem ci tylko powiedzieć... to, co ze mną było tam w jaskiniach... żałuję, że tak mało było ze mnie pożytku. Zawsze się bałem, żeby mnie nie zakopano, zanim naprawdę umrę.

- Teraz rozumiem.
- Chciałbym ci to jakoś wynagrodzić. Chcę pomóc, na ile potrafię. Tylko powiedz, co mam robić. Widzę, że wiesz, co tu jest grane. Ja nie.
- Nie bardzo.
- Namówiłaś Jaffe'a, żeby z nami poszedł. Jak ci się to udało?
- Kazał mi rozwiązać pewną zagadkę, a ja ją rozwiązałam.
- Z tego, co mówisz, wynikałoby, że sprawa jest bardzo prosta.
- Wiesz, może i rzeczywiście jest prosta. Czeka nas tak ogromne zadanie, że musimy po prostu zdać się na instynkt.
- Zawsze miałaś lepsze wyczucie niż ja. Ja lubię fakty.
- Fakty też są proste - powiedziała. - Powstała wyrwa, przez którą z tamtej strony nadejdzie coś, czego ludzie tacy jak ty i ja nie potrafią sobie nawet wyobrazić. Jeśli nie zatkamy tej wyrwy, to leżymy i kwiczymy.
- A Jaffe wie, jak?
- Co, jak?
- Zatkać tę dziurę.

Tesla wytrzeszczyła oczy:

- Mam zgadywać? Myślę, że nie wie.

Znalazła go - gdzie? - na dachu, dosłownie w ostatnim miejscu, gdzie go szukała. Był pochłonięty czynnością, przy której nigdy nie spodziewałaby się go zastać. Wpatrywał się w słońce.

- Myślałam, że rzucił nas pan na pastwę losu.
- Miała pani rację - odparł, nie patrząc na nią. - Ono świeci jednakowo dla wszystkich, dobrych i złych. Ale mnie nie ogrzewa. Już zapomniałem, czym jest uczucie chłodu albo

ciepła. Albo głodu. Albo sytości. Bardzo mi tego brak.

Nie zostało w nim śladu tej nieprzyjemnej pewności siebie, którą okazywał w jaskiniach. Był niemal onieśmielony.

- Może je pan odzyska - powiedziała Tesla. - No, wie pan, człowieczeństwo. Odwróci to, czego dokonało nuncjo.

- Chciałbym, żeby tak się stało. Chciałbym być Randolphem Jaffe'em z Omaha w stanie Nebraska. Cofnąć wskazówki zegara i nie wchodzić do tamtego pokoju.

- Jakiego pokoju?

- Do Działu Niedoreczonych Przesyłek w urzędzie pocztowym - powiedział. - Tam się wszystko zaczęło. Powinienem pani o tym opowiedzieć.

- Chętnie posłucham, ale najpierw...

- Wiem. Wiem. Willa. Wyrwa.

Teraz popatrzył na nią, a raczej poza nią - na Wzgórze.

- Musimy tam iść, prędzej czy później - przypomniała Tesla. - Wolałabym iść teraz, póki jest widno i mamy jeszcze trochę sił.

- A kiedy już tam będziemy?

- Będziemy liczyć na natchnienie.

- Natchnienie nie bierze się z powietrza - powiedział - a przecież ani pani, ani ja nie wierzymy w żadnych bogów, prawda? Przez wszystkie te lata korzystałem z faktu, że ludzie stali się bezbożnikami. My też.

Tesla przypomniała sobie, co powiedział jej D'Amour, słysząc, że nie miała zwyczaju się modlić. Coś o tym, że modlitwa zaczyna mieć znaczenie, kiedy dowiadujemy się, że przestworza nie są puste.

- Zaczynam znów wierzyć - powiedziała. - Powoli.

- Wierzyć w co?

- W istnienie jakichś wyższych sił - lekko zmieszana wzruszyła ramieniem. - Ci ze

Szkoły mieli swoje aspiracje, więc dlaczego ja nie miałabym ich mieć?

- Więc tak? Strzegli Sztuki, żeby ocalić Quiddity? - spytał Jaffe. - Nie sądzę. Po prostu obawiali się wybuchu nieznannej potęgi. Byli jak psy łańcuchowe.

- Może ich zadania wyniosły ich na wyższy poziom duchowy?

- I co? Zostali świętymi? Kissoon nie bardzo wyszlachetniał, prawda? Czczył tylko siebie. I Iad.

Ponura myśl. Żadna argumentacja nie rozprawiłaby się lepiej z D'Amourowską wiarą w istnienie tajemnic niż nieoczekiwane stwierdzenie Kissoona, że wszystkie religie były tylko parawanem, za którym ukrywano Szkołę - by odwrócić uwagę społeczeństwa od największej tajemnicy.

- Ciągle widzę - przez krótkie chwile - miejsce, gdzie przebywa Tommy-Ray.

- Jak tam jest?

- Ciemno, coraz ciemniej - odparł Jaffe. - Przez długi czas posuwał się do przodu, teraz się zatrzymał. Może fala się zmieniała. Zdaje się, że coś nadchodzi z tych ciemności. Może właśnie to, co nadchodzi jest ciemnością. Nie wiem. Ale to jest coraz bliżej.

- Niech mi pan powie, kiedy tylko zobaczy pan coś konkretnego - powiedziała Tesla. -

Potrzebuję szczegółów.

- Nie chcę na to patrzeć jego oczami ani moimi.

- Być może nie ma pan wyboru. On jest pańskim synem.

- Tyle razy już się na nim zawiodłem. Nic mu nie jestem winien. Ma swoje upiory.

- Rodzina doskonała - powiedziała Tesla. - Ojciec, Syn i...

- Duch Święty.

- Właśnie - powiedziała Tesla. Gdzieś z przeszłości dobiegło echo: Trójca (Trinity).

- O co chodzi? - zdziwił się Jaffe.

- Właśnie tego Kisoona obawiał się najbardziej.

- Trójcy?

- Tak. To słowo wymknęło mu się przypadkiem, kiedy po raz pierwszy ściągnął mnie do Pętli. To był chyba gruby błąd. Kiedy drażniłam go tym słowem, był tak zmieszany, że pozwolił mi odejść.

- Nigdy nie uważałem Kisoona za chrześcijanina - powiedział Jaffe.

- Ja też nie. Może chodziło mu o jakiegoś innego boga, albo bogów. Jakąś potęgę, do której Szkoła mogła się odwołać. Gdzie medalion?

- Mam go w kieszeni. Musi go pani sama wyjąć. Moje ręce są do niczego.

Wyjął ręce z kieszeni. Nawet w gasnącym świetle groty te okaleczone dłonie budziły wstręt, a teraz w jasnym świetle słońca były jeszcze bardziej odrażające: na szerniałym ciele wystąpiły krople wilgoci, kości się kruszyły.

- Kończę się - powiedział. - Fletcher użył ognia, ja własnych zębów. Obydwaj jesteśmy samobójcami, tyle że on uporał się z tym szybciej.

Tesla sięgnęła do jego kieszeni i wyjęła medalion.

- Chyba nie ma pan nic przeciwko temu.

- Czemu?

- Że się pan kończy.

- To prawda, nie mam nic przeciwko temu - przyznał. - Chciałbym umrzeć. Po prostu pozostać w Omaha, zestarzeć się i umrzeć. Nie chcę żyć wiecznie. Po co żyć dalej, kiedy już niczego nie można zrozumieć?

Badając medalion, Tesla na nowo odczuła tamten rozkoszny dreszczyk, kiedy to

rozwickłała jego tajemnicę. Ale nawet w świetle dnia nie można się w nim było doszukać niczego przypominającego Trójkę. Owszem, były tam kwartety - cztery ramiona, cztery koła. Ale nie było tercetów.

- To na nic - stwierdziła. - Moglibyśmy łamać głowę całymi dniami i do niczego byśmy nie doszli.

- Nad czym łamać głowę? - spytał Grillo, wychodząc na dwór.

- Nad Trójką - powiedziała Tesla. - Czy to słowo coś ci mówi?

- To Ojciec i Syn i...

- Pomijając rzeczy oczywiste.

- Więc nie. Nic mi nie mówi. A o co chodzi?

- Miałam taką ostatnia, słaba nadzieję.

- Ile Trójc może istnieć? To będzie można łatwo ustalić.

- Kto ci w tym pomoże? Abernethy?

- Mógłbym zacząć od niego - stwierdził Grille. Jest wierzący. Przynajmniej tak twierdzi. Czy to takie ważne?

- Na tym etapie wszystko jest ważne.

- Zajmę się tym, o ile telefony jeszcze działają. Mam się więc dowiedzieć...

- ...czegokolwiek na temat Trójcy. Czegokolwiek.

- Konkretnie fakty. Lubię tylko konkretne fakty - powiedział Grillo.

Kiedy schodził ze schodów, Tesla usłyszała, jak Jaffe mruczy do siebie:

- Nie patrz tam. Tommy. Po prostu odwróć głowę...

Zamknął oczy; drżał cały.

- Widzi ich pan? - zapytała Tesla.

- Jest ciemno.

- Ale czy pani ich widzi?

- Widzę jak coś się porusza. Coś ogromnego. Przeogromnego. Dlaczego stoisz, chłopcze? Uciekaj, zanim cię zauważą. Uciekaj!

Nagle otworzył oczy.

- Dosyć! - zawołał.

- Zgubił go pan? - spytała Tesla.

- Już powiedziałem: dosyć!

- Ale nie zginął?

- Nie, on... unosi się na fali.

- Uprawia surfing na Quiddity?

- Stara się jak może.

- A Iad?

- Są dalej za nim. Miałem rację, fala się zmieniła, nastąpił przypływ. Nadchodzą.

- Niech ich pan opisze.

- Już pani mówiłem. Są przeogromni.

- Tylko tyle?

- Jak ruchome góry. Góry pokryte szarańczą czy też pchłami. Ogrom i małość. Sam nie wiem. To wszystko nie trzyma się kupy.

- Musimy po prostu jak najszybciej zamknąć wyrwę. Z górami sobie poradzę, ale na pchły się nie zgadzam.

Kiedy zesli na dół, Hotchkiss stał przy drzwiach wejściowych. Grillo już rozmawiał z nim o Trójcy i Hotchkiss miał lepszy pomysł niż wypytywanie Abernethy'ego.

- W Pasażu jest księgarnia - powiedział. - Może tam znalazłbym coś na temat Trójcy?

- To nie zaszkodzi - stwierdziła Tesla. - Jeśli tak wystraszyła Kisoona, to może

odstraszy i jego panów? Gdzie Grillo?

- Poszedł szukać jakiegoś samochodu. Zawiezie was dwoje na Wzgórze. Tam się

wybieraliście? - rzucił na Jaffe'a krótkie spojrzenie pełne odrazy.

- Tak, tam jedziemy - powiedziała Tesla - i tam zostaniemy. Więc wie pan, gdzie nas szukać.

- Zostaniecie tam do końca? - spytał Hotchkiss, nie odrywając oczu od Jaffe'a.

- Do samego końca.

Grillo uruchomił za pomocą kawałka drutu jakiś samochód porzucony na motelowym parkingu.

- Gdzie się tego nauczyłeś? - spytała Tesla, kiedy jechali w stronę Wzgórza. Jaffe siedział skulony na tylnym siedzeniu; oczy miał zamknięte.

- Pisałem kiedyś taki artykuł, w czasach kiedy zajmowałem się aferami...

- Chodziło o złodziei samochodów?

- Właśnie. Przy okazji nauczyłem się paru sztuczek i nigdy ich nie zapomniałem. Jestem kopalnią bezużytecznych informacji. Chcesz usłyszeć coś nowego - zwróć się do Grillo.

- A coś nowego na temat Trójcy?

- Ciągle do tego wracasz.

- Z czystej desperacji - powiedziała. - Co więcej nam zostało?

- Może to ma jakiś związek z tym, co D'Amour mówił, coś o Zbawicielu.

- Siły niebieskie przybywające z pomocą w ostatniej chwili? - spytała Tesla. - Nie mam zamiaru czekać z zapartym tchem.

- Cholera!

- Co jest?

- Tam, wyżej.

Przez skrzyżowanie w wyższej partii Wzgórza - tuż przed nimi - biegła głęboka szczelina. Przecinała jezdnię i chodnik. Nie mogli wyminąć jej i jechać dalej w górę Wzgórza.

- Musimy poszukać innej drogi - Grillo włączył wsteczny bieg i wjechał tyłem w jakąś uliczkę trzy przecznice dalej. Wokół mnożyły się oznaki postępującego rozpadu Grove - poprzewracane latarnie uliczne i drzewa, wyrzuczone chodniki, woda ciekąca z pękniętych rur.

- To wszystko wyleci w powietrze - odezwała się Tesla.

- Co ty powiesz.

Następna ulica, w którą wjechał, biegła bez przeszkód na szczyt Wzgórza, ruszyli więc dalej w górę. Wtedy Tesla zauważyła jakiś samochód, wyjeżdżający z bocznej drogi prowadzącej na autostradę. Nie był to samochód policyjny - chyba że miejscowi stróże prawa postanowili nagle jeździć volkswagenami, które wymalowali żółtym lakierem fluorescencyjnym.

- Ryzykant - powiedziała.

- Kto?

- Ktoś wraca do miasta.

- Pewnie ktoś z akcji ratunkowej - stwierdził Grillo. - Ludzie biorą co mogą, dopóki się da.

- No tak.

Kolor tego samochodu, krzykliwy i nie pasujący do miejsca, prześladował ją jakiś czas. Nie była pewna - dlaczego; może dlatego, że był tak bardzo west-hollywoodzki, a Tesla straciła nadzieję, że jeszcze kiedyś zobaczy swoją kawalerkę w North Huntley Drive.

- Zdaje się, że oczekuje nas komitet powitalny stwierdził Grillo.

- Świetna scena filmowa - powiedziała Tesla. - Gaz do dechy, panie szofer.

- Ale dialog kiepski.

- Dobra, dobra, jedźże.

Grillo skręcił gwałtownie, by uniknąć zderzenia z radiowozem, dodał gazu i wyminął go, zanim tamten kierowca zdążył zablokować mu drogę.

- Na górze będzie ich więcej - powiedział.

Tesla obejrzała się: radiowóz nie próbował ich ścigać. Kierowca po prostu uprzedził innych członków grupy.

- Rób, co się da - zawołała Tesla.

- To znaczy?

- To znaczy wal ich, jeśli ci wejdą w drogę. Nie mamy czasu na uprzejmości.

- W willi będzie do licha i trochę gliniarzy.

- Wątpię. Raczej będą się trzymać z daleka.

Tesla miała rację. Kiedy już zobaczyli willę, było jasne, że posterunkowi uznali, iż cała sprawa ich przerasta - samochody patrolowe stały daleko od bramy wjazdowej, a policjanci jeszcze dalej. Większość po prostu gapiła się na willę, ale barykady blokującej wjazd na szczyt Wzgórza strzegło czterech oficerów.

- Mam przejechać przez to wszystko? - spytał Grillo.

- Właśnie!

Grillo nacisnął pedał gazu. Dwóch policjantów z barykady sięgnęło po broń, pozostali dwaj odskoczyli na bok. Grillo z rozpędu staranował barierę.

Drewno pękło i ustąpiło - jakiś kawałek strzaskał przednią szybę. Zdawało mu się, że słyszał huk wystrzału w tym zamieszaniu, ale ponieważ wciąż jechał, zakładał, że go nie zabito. Samochód uderzył po drodze w bok jednego z radiowozów, zatoczył tyłem łuk i uderzył w inny, zanim Grillo odzyskał panowanie nad kierownicą i skierował się w stronę

otwartej bramy.

Silnik zawył i pomknęli podjazdem w stronę domu Vance'a.

- Nikt za nami nie jedzie - odezwała się Tesla.

- Nie mam im tego za złe, do cholery - rzucił Grillo. Kiedy osiągnęli zakręt podjazdu, zahamował. - Jesteśmy prawie na miejscu. Jezu, masz siły na to patrzeć?

- Właśnie patrzę.

Fasada domu przypominała tort, który pozostawiono na dworze w ulewnym deszczu przez całą noc - cały rozmiękł i powykrzywiał się. Nie było ani jednej prostej linii we framugach drzwi, ani jednego kąta prostego w oknach - nawet w najwyższych partiach budynku. Potęga, którą Jaffe uwolnił z więzów, wciągała wszystko do swej paszczy, krusząc cegły, dachówki, szyby. Cały dom zmierzał w kierunku rozwartej czeluści. Poprzednio, kiedy Tesli i Grillo udało się przebrnąć przez próg i wyjść na zewnątrz, we wnętrzu rozpętał się rozszalały żywioł, ale kiedy czeluść już się rozwarła, wokół zapanował pozorny spokój.

Wydawało się, że dzieło zniszczenia dobiegło końca. Jednak czeluść pozostała - oboje wyczuwali jej bliskość. Kiedy wysiedli z samochodu, poczuli jak powietrze drży od nagromadzonej w nim energii. Włoski zjeżyły im się na karku, a wnętrzości zadrżały. Było cicho niczym w oku huraganu. Ta rozedrgana cisza nie mogła trwać zbyt długo:

Tesla zajrzała przez szybę do wnętrza samochodu. Siedzący tam Jaffe poczuł jej badawczy wzrok i otworzył oczy. Było jasne, że się boi. Nawet jeśli przedtem potrafił maskować swoje uczucia - a podejrzewała, że wykazywał w tym znaczne umiejętności - to teraz zarzucił wszelkie pozy.

- Pójdzie pan popatrzeć?

Ponieważ nie okazał entuzjazmu, zostawiła go tam, gdzie był. Czekają ją jeszcze jedno zadanie, zanim wejdą do willi, więc zostawi mu trochę czasu, by mógł zebrać całą swoją

odwagę. Zawróciła i poszła drogą, którą tu przyjechali. Gdy wyszła zza szpaleru drzew, stojących wzdłuż podjazdu, stwierdziła, że policjanci podjechali pod samą bramę, ale ani kroku dalej. Pomyślała, że być może wstrzymywał ich nie zwyczajny strach, lecz rozkaz przełożonych. Odpędziła od siebie nadzieję, że za kilka minut ujrzy oddział kawalerzystów, cwałujących ku niej z odsieczą na szczyt Wzgórza, ale może właśnie wsiadali na koń, kto wie, a tej piechocie nakazano trzymać się z daleka do czasu przybycia głównych sił. W każdym razie byli bardzo zdenerwowani. Z podniesionymi rękami zbliżała się do rzędu wycelowanych w siebie luf.

- Wstęp na posesję zabroniony! - krzyknął któryś ze stojących niżej. - Schodźcie z powrotem na dół, ręce do góry. Schodźcie wszyscy!

- Obawiam się, że nie mogę - odparła Tesla. - Po prostu nie dopuszczajcie tu nikogo innego, dobrze? Mamy tu coś do załatwienia. Kto tu dowodzi? - czuła się jak przybysz z Kosmosu, który domaga się, by zaprowadzono go do osoby najwyższej rangą.

Zza grupy pojazdów wyłonił się jakiś mężczyzna w świetnie skrojonym garniturze. Jak się domyślała, nie był to policjant, raczej ktoś z FBI.

- Ja tu dowodzę - powiedział.

- Czy dostaniecie posiłki? - spytała Tesla.

- A wyście co za jedni? - odpowiedział pytaniem na jej pytanie.

- Niechże pan mówi: dostaniecie posiłki? - powtórzyła z naciskiem. - Będziecie potrzebować większego wsparcia niż tych kilka radiowozów, może mi pan wierzyć. W tym budynku nastąpi wielka inwazja.

- Co pani wygaduje?

- Niech pan po prostu każe otoczyć Wzgórze. I nie pozwoli, by ktokolwiek wjechał czy wyjechał z Grove. Nie będziemy mieć drugiej takiej szansy.

- Pytam ostatni raz... - zaczął dowódca, ale nie dokończył zdania, gdyż Tesla po prostu zniknęła mu z oczu.

- Dobra w tym jesteś - stwierdził Grillo.

- Wiesz, przy odrobinie praktyki...

- Mogli cię postrzelić.

- Ale nie postrzelili - odpowiedziała. Podeszła do samochodu i uchyliła drzwi. -

Idziemy? - zwróciła się do Jaffe'a. Nie zareagował. - Im szybciej zaczniemy, tym szybciej

skończymy - nalegała. Wyszedł wzdychając. - Chcę, żebyś tu został - zwróciła się do Grillo. -

Zawołaj, jeśli któryś z tamtych się ruszy.

- Po prostu nie chcesz, żebym szedł z wami do willi - stwierdził Grillo.

- To też.

- Czy wiesz z grubsza, co tam będziecie robili?

- Będziemy się zachowywać jak para krytyków - powiedziała Tesla. - Będziemy pieprzyć Sztukę.

W dawniejszych latach Hotchkiss był namiętym czytelnikiem, ale po śmierci Carolyn stracił upodobanie do fikcji literackiej. Po co tracić czas na lekturę kryminałów, których autorzy nigdy nie słyszeli odgłosu wystrzału?

To same łgarstwa. Zresztą nie tylko powieści. Te także, myślał, przeszukując półki Księgarni Mormońskiej. Całe tomy na temat Objawienia i Boskiego dzieła na ziemi. Spis treści kilku z nich wymieniał Trinity, ale były tam tylko pobieżne wzmianki, które niczego nie wyjaśniały. Poszukiwania nic mu nie dawały, oprócz tej odrobiny satysfakcji, z jaką robił w tym przybytku bałagan, rozrzucając dokoła kolejne książki. Zawarte w nich nieodwołalne twierdzenia napęłniały go wstrętem. Gdyby miał dość czasu, może podpaliłby to wszystko.

Kiedy przesuwiał się w głąb sklepu, zobaczył, że jakiś jaskrawo żółty volkswagen

skręca na parking. Wsiadło z niego dwóch mężczyzn. Trudno było wyobrazić sobie bardziej niedobraną parę. Jeden z nich, ubrany w jakieś dziwaczne, zakurzone łachy, miał twarz - co rzucało się w oczy nawet z tej odległości - tak brzydką, że na jej widok każda matka musiałaby wpaść w rozpacz. Przy nim jego towarzysz w kostiumie spacerowym o barwach tęczy wydawał się istnym Adoniszem. Hotchkiss zorientował się, że żaden nie wiedział, gdzie się znajdowali, ani jakie groziło im niebezpieczeństwo.

Rozglądali się w oszołomieniu po pustym parkingu. Hotchkiss zawołał przez otwarte drzwi:

- Powinniście stąd odjechać!

Wystrojony jak paw młodzieniec zwrócił się do niego:

- Czy to naprawdę Palomo Grove?

- Tak.

- Co się stało. Było trzęsienie?

- Będzie - odparł Hotchkiss zwięźle. - Słuchajcie, zróbcie sobie dobrze, spływaszcie stąd.

Teraz odezwał się brzydal; jego twarz brzydła z każdym krokiem.

- Tesla Bombeck... - zaczął.

- Czego pan od niej chce? - spytał Hotchkiss.

- Muszę się z nią zobaczyć. Jestem Raul.

- Jest na Wzgórzu - Hotchkiss słyszał, że Tesla wymieniła imię „Raul” w rozmowie z

Grillo, ale w jakim kontekście, nie pamiętał.

- Przyjechałem, żeby jej pomóc - powiedział Raul.

- A pan? - spytał Hotchkiss Adonisa.

- Jestem Ron. Po prostu prowadzę samochód - wzruszył ramionami. - Wie pan, jeśli

chce pan się mnie pozbyć, to z przyjemnością się stąd wyniosę.

- Pańska sprawa - powiedział Hotchkiss, wchodząc do księgami. - Tutaj jest

niebezpiecznie. To wszystko.

- Słyszę - przytaknął Ron.

Raul stracił zainteresowanie tą rozmową i myszkował po sklepie; wydawało się, że węszy.

- Co mam robić? - zawołał Ron.

Tamten obejrzał się na przyjaciela:

- Wracaj do domu.

- Nie chcesz, żebym cię podwiózł do Tesli? Przecież tak ci się do niej śpieszyło.

- Sam sobie poradzę.

- To długi spacer, stary.

Raul popatrzył na Hotchkissa:

- Coś wymyślimy.

Hotchkiss nie zgłosił się na ochotnika; na nowo podjął poszukiwania, jednym uchem słuchając rozmowy na parkingu.

- Na pewno nie chcesz, żebyśmy razem szukali Tesli? Myślałem, że to pilna sprawa.

- Owszem, pilna. Tylko że ja... muszę tu najpierw coś załatwić.

- Mogę poczekać! Mam czas!

- Już ci mówiłem, że nie.

- A może bym cię odwiózł z powrotem? Myślałem, że może wyjdziemy dziś wieczorem na miasto. No wiesz, poszlibyśmy do paru knajp...

- Może innym razem.

- Jutro?

- Po prostu innym razem.

- Już rozumiem. To znaczy: Dziękuję, spływasz, prawda?

- Powiedzmy.

- Ale z ciebie cudak, niech cię szlag trafi. Najpierw sam zaczepia człowieka, a potem nie chce go znać. Mam cię gdzieś. Jeszcze niejeden będzie mnie chciał popieścić.

Hotchkiss widział, jak Adonis odchodzi tanecznym krokiem do samochodu. Tamten już gdzieś przepadł. Zadowolony, że już nikt mu nie przeszkadza, Hotchkiss wrócił do przeszukiwania półek. Dział poświęcony Macierzyństwu nie wyglądał zbyt zachęcająco, ale Hotchkiss przebrnął i przez te książki. Jak się spodziewał, były to cklewe komunały, nic więcej. Nie było w tych książkach żadnej, nawet pośredniej, wzmianki na temat Trójcy czy Trinity. Była tam wyłącznie mowa o macierzyństwie jako boskim posłannictwie; o kobiecie pozostającej we wspólnocie z Bogiem, wydającej na świat nowe życie, co jest jej najważniejszym i najwznioślejszym zadaniem. Zaś potomstwu udzielano oklepanej rady: „Dzietki, bądźcie posłuszne swoim rodzicom w Panu. albowiem tak czynić jest rzeczą słuszną”.

Sumiennie przeglądał każdą pozycję, odrzucając na bok nieprzydatne książki, aż ogołocił wszystkie półki tego działu. Pozostały do przebadania jeszcze dwa; żaden nie wyglądał zachęcająco. Wstał i przeciągnął się, spojrział na rozjarzony słońcem plac. Straszne przeczucie gniotło mu serce.

Słońce świeci - ale jak długo jeszcze?

Hen za parkingiem dostrzegł żółtego „garbusa”, wyjeżdżającego z Grove na autostradę.

Nie zazdrościł Adonisowi swobody. Wcale nie chciałby wsiąść do samochodu i odjechać. W Grove można było umierać równie dobrze jak gdziekolwiek indziej: było wygodne, swojskie, puste. Gdyby krzyczał konając, nikt się nie dowie o jego tchórzostwie. Gdyby umarł bez słowa, nikt go nie będzie opłakiwać. Niech Adonis odjeżdża. Pewnie gdzieś czekało go jakieś

życie. Krótkie. Jeśli ich wysiłki - tu, w Grove - spełzną na niczym i czająca się nad światem noc wdrze się w głąb Kosmosu, będzie bardzo krótkie. Jeśli się powiodą (słaba nadzieja) - będzie krótkie i tak.

I zawsze lepiej kończyć niż zaczynać, jeśli etap pośredni jest taki, jaki jest.

Jeśli teren wokół Coney Eye był okiem cyklonu, to wewnątrz domu było błyskiem tego oka. Panowało tam jeszcze głębsze milczenie. Tesla tym ostrzej odczuwała każdy nerwowy skurcz policzka i skroni czy najmniejsze zakłócenie oddechu. Jaffe szedł tuż za nią; minęli hall i szli do salonu, gdzie dopuścił się zbrodni przeciw Naturze. Ślady tej zbrodni otaczały ich ze wszystkich stron, ale już wystygły; zmalretowana materia zakrzepła niczym zwały ostudzonego wosku.

Tesla weszła do salonu. Czeluść wciąż tam była; wszystko wokół gięło się w kierunku tego otworu, którego średnica nie przekraczała sześciu stóp.

Wyrwa nie wykazywała śladów aktywności. Nic nie wskazywało, by miała się powiększać. Kiedy już Iadowie dotrą na próg Kosmosu - o ile do tego w ogóle dojdzie - będą zmuszeni przeprawiać się pojedynczo, chyba że po prostu rozrąbią otwór do ogromnych rozmiarów.

- Sytuacja nie przedstawia się najgorzej - zwróciła się do Jaffe'a - Mamy szansę, jeśli się pospieszymy.

- Nie wiem, jak to zatkać.

- Niechże pan próbuje! Przecież umiał ją pan otworzyć.

- Działałem instynktownie.

- A co teraz mówi panu instynkt?

- Że nie mam już w sobie tamtej potęgi - uniósł okaleczone ręce. - Odgryzłem ją i wyplułem.

- Więc miał ją pan w rękach?

- Chyba tak.

Tesla przypomniała sobie tamtą noc w Pasażu: palcami, które wydzielały moc jak kropelki potu, dżaff zakażał trucizną organizm Fletchera. Teraz te ręce były kikutami z resztką gnijącego mięsa. A jednak Tesla nie mogła uwierzyć, że potęga kryje się w ciele.

Kissoon nie jest żadnym półbogiem, a jednak jego wychudzone ciało kryło w sobie niezmiernie zasoby przerażającej potęgi. Kluczem do władzy jest wola, a tej chyba już Jaffe wcale nie miał.

- Więc nie potrafi pan tego zrobić - powiedziała tylko.

- Nie.

- To może ja potrafię.

Oczy mu się zwęziły.

- Wątpię - powiedział. W jego głosie zabrzmiał leciutki ton pobłażliwości. Udała, że tego nie zauważyła.

- Mogłabym spróbować. Ja też mam nuncjo we krwi, pamięta pan? Nie tylko pan ma patent na boskość.

Ta uwaga wywołała oczekiwaną reakcję:

- Pani?! - zawołał. - Pani nie ma najmniejszej szansy. - Popatrzył na swoje dłonie, a potem na wyrwę w ziemi. - To ja ją otworzyłem. Ja jeden się na to ważyłem. I tylko ja mogę ją zasklepić.

Minął Teslę i skierował się w stronę czeluści z tą samą lekkością, którą zauważyła u niego podczas wyjścia z jaskiń; teraz bez większych trudności pokonywał nierówności podłogi. Zwolnił o parę metrów od czeluści, a potem nagle znieruchomiał.

- O co chodzi? - spytała Tesla.

- Niech pani sama zobaczy.

Ruszyła przez salon. Przekonała się, że nie tylko świat widzialny - sponiewierany, pokręcony - chylił się w stronę wyrwy, wciągany do jej gardzieli; podobnie było ze światem niewidzialnym - powietrze, wraz z przesycającymi je drobinami kurzu i innych zanieczyszczeń, zatraciło swoją właściwą naturę. Sama przestrzeń była pełna zawężeń i skrętów, dość podatnych, by przepuścić idącą, ale Tesla musiała się przeciskać przez oporne powietrze z największym trudem. Opór rósł, im bliżej podchodziła do przepaści. Ciało Tesli, ledwie żywe, doświadczone równie ciężko jak ciało Łazarza, z trudem radziło sobie z przeciwnymi siłami. Ale nie ustępowała.

Krok za krokiem zbliżała się do celu; podeszła dostatecznie blisko, by zajrzeć w głąb czeluści. Niełatwo było jej się pogodzić z tym, co zobaczyła. Świat, dotąd kompletny i zrozumiały, rozpadł się nagle w gruzy. Ten widok przejął Tesłę żalem. Jakiego nie zaznała od czasu, kiedy - jeszcze w dzieciństwie - ktoś (nie pamiętała już kto) pokazał jej nieskończoność, przystawiając do twarzy dwa lusterka, z których każde odbijało to drugie. Miała wtedy dwanaście, najwyżej trzynaście lat; włosy zjeżyły się jej na głowie, kiedy patrzyła na pustkę odbijającą pustkę, w tę i z powrotem, aż nicość sięgnęła granic światła. Ta chwila powracała do niej przez następne lata, kiedy stykała się z fizycznym wyobrażeniem czegoś, przed czym wzdragał się jej umysł. Teraz zaszedł ten sam proces. Czeluść zadała kłam wszelkim pojęciom Tesli na temat istniejącego świata. Rzeczywistość ujęta w ramy nauki porównawczej.

Tesla patrzyła w głąb czeluści. Nie była pewna żadnej z rzeczy, którą teraz widziała.

Jeśli była tam chmura, to w połowie skroplona w deszcz, a deszcz miał za chwilę wybuchnąć kroplami ognia i spaść w dół. A poza chmurą, deszczem i ogniem trwała inna przestrzeń, równie niejasna jak trzy przemieszane żywioły, które ją przysłaniały - jakieś morze

przechodzące w niebo, bez horyzontu, który by je dzielił czy określał.

Quiddity.

Targnęło nią przemożne pragnienie: być tam, przedostać się przez wyrwę na tamtą stronę, zaznać niewiadomego. Ile tysięcy poszukiwaczy, którym w malignie lub narkotycznym śnie zamajaczyła możliwość dotarcia do miejsca, gdzie teraz stała Tesla, budziło się, pragnąc raczej umrzeć, niż żyć choćby godzinę ze świadomością, że nigdy tam nie dojdą? Budzili się, rozpaczali i żyli dalej, łudząc się nadzieją - tą bolesną i heroiczną nadzieją właściwą rodowi ludzkiemu - że cuda są możliwe; że objawienia, doświadczane poprzez muzykę i miłość, są czymś więcej niż samooszukiwaniem się; że są wskazówkami ukazującymi inny, wznioślejszy byt; że nadzieja jest nagradzana pocałunkami i złotym kluczykiem, który otwiera drzwi do nieskończoności.

Quiddity jest tą wiecznością. To z eteru wyłoniła się istota rzeczy, podobnie jak człowiek wyłonił się z odmętów zwykłego morza. Naraz myśl o Quiddity, zbrukany przez Iad, wydała się Tesli bardziej przykra niż ich rychła inwazja. Powróciły słowa, które po raz pierwszy słyszała z ust Kissoona: „Trzeba chronić Quiddity”. Jak twierdziła Mary Murales, Kisson kłamał tylko wtedy, kiedy musiał. Na tym w znacznej części zasadzał się jego geniusz: trzymać się prawdy, dopóki nie wchodzi mu w paradę. Quiddity rzeczywiście trzeba było ratować przed skażeniem. Życie wyzute z marzeń jest nic nie warte. Może bez marzeń w ogóle by nie zaistniało.

- Chyba będę musiał spróbować - powiedział Jaffe; podszedł do czeluści tak blisko, że mógł dotknąć jej krawędzi. Jego ręce, przed chwilą tak bezsilne, miały w sobie resztkę mocy, tym wyraźniejszej, że sączyła się z poharatanego ciała. Rozpostarł ramiona w stronę czeluści. Ta najwidoczniej odczuła jego obecność i zamiar, jeszcze zanim jej dotknął. Brzegi wyrwy skurczyły się; skurcz przebiegł przez cały pokój, który przedtem wciągała w siebie.

Poskręcane, zakrzepłe formy znów nabierały miękkości.

- Ona wie, że tu jesteśmy - powiedział Jaffe.

- Mimo to musimy spróbować - odparła Tesla.

Nagle podłoga zatańczyła pod ich nogami; tynk odpadał od sufitu i ścian.

Obłoki ognistego deszczu szły w górę czeluści, w stronę Kosmosu.

Jaffe położył dłonie na miękniętej cembrowinie wyrwy, ale ona zjeżyła się pod dotykem istoty, która pragnęła ją zniweczyć. Ten nowy skurcz był tak silny, że rzucił Jaffe'a w ramiona Tesli.

- Jest źle! - krzyknął Jaffe.

Było gorzej niż źle. Oto mieli niezbity dowód, że Iad nadchodzi: chmura ciemniała, parła nieustępliwie przed siebie. Jaffe miał rację - fala się odmieniła, szedł przypływ. Gardziel nie chciała już połykać, ale wyrzucić z siebie to, co stało jej w przełyku. Zaczęła się rozwierać.

Ten ruch był początkiem końca.

VII

Książka, którą trzymał Hotchkiss, nosiła tytuł: „Przygotowania do Armageddonu”. Był to podręcznik pouczający wiernych, jak mają się do tego zabrać, przewodnik radzący jak przetrwać kolejne etapy nadciągającej Apokalipsy. Były tam rozdziały na temat zwierząt hodowlanych, wody i zboża, odzieży i pościeli, opału, ogrzewania i światła. Był pięciostronicowy spis zatytułowany: „Artykuły żywnościowe z naszych spiżarni”, oferujący szeroki wachlarz tychże, od melasy do suszonej dziczyzny. I jakby w zamiarze podstraszenia opiesziałych, którzy może woleliby odłożyć te przygotowania na później, urozmaicono tekst zdjęciami wszelkich katastrof, jakie spadły na Amerykę. Przeważnie były to zjawiska przyrodnicze. Pożary szalejące w lasach, nie gaszone i nie do ugaszenia; huragany, obracające

w perzynę miasta, które znalazły się na ich drodze. Kilka stron poświęcono powodzi w Salt Lake City w maju 1983 roku; opisowi towarzyszyły fotografie, na których mieszkańcy stanu Utah wznosili tamy z worków z piaskiem, próbując powstrzymać żywioł. Ale najbardziej przejmującym z tych aktów końcowych był grzyb atomowy. Widniał on na wielu zdjęciach; pod jednym z nich Hotchkiss znalazł ten prosty podpis:

„Pierwszego wybuchu atomowego dokonał o godz. 5:30, 16 lipca 1945 r., w miejscowości zwanej Trinity, twórca bomby, Robert Oppenheimer. Wybuch ten zapoczątkował ostatnią epokę dziejów ludzkości”.

Na tym kończyły się wyjaśnienia. Celem tej książki nie były rozważania na temat istoty i budowy bomby, lecz konkretne wskazówki, pozwalające wiernym kościoła mormońskiego przeżyć jej wybuch. Nie szkodzi. Hotchkissowi nie chodziło o szczegóły. Zależało mu na jednym, jedynym słowie: „Trójca - Trinity”, które istniałoby w innym kontekście niż Ojciec, Syn i Duch Święty. Oto była - Wielka Trójca zredukowana do pojedynczej miejscowości, a nawet wydarzenia. Ta Trinity przesłoniła wszystkie inne.

W wyobraźni człowieka dwudziestego wieku grzyb atomowy przewyższał swoją grozą nawet Boga.

Nie rozstając się z „Przygotowaniami do Armageddonu”, Hotchkiss wstał i poprzez stosy porzucanych ksiąg dojrzał do przedniej części sklepu. Wyrzwał na dwór i stanął jak wryty. Na placu uwijało się kilkadziesiąt zwierząt. Szczenięta toczyły się na krótkich łapkach, myszy szukały kryjówek przed kociętami; na gorącym asfalcie wygrzewały się jaszczurki. Hotchkiss spojrzał wzdłuż szeregu witryn sklepowych. Z otwartych drzwi sklepu Teda Elizando wyfrunęła papuga. Hotchkiss nie znał wprawdzie Teda, ale słyszał o nim niejedno. Sam będąc ofiarą plotki, Hotchkiss pilnie nadstawiał ucha, kiedy rozmawiano o bliźnich. Elizando stracił rozum, żonę i dziecko. A teraz tracił swoją małą arkę, zacumowaną w Pasażu:

wypuszczał zwierzęta na wolność.

Przekazanie Tesli Bombeck informacji na temat Trinity było ważniejsze niż słowa pociechy czy ostrzeżenia, z którymi mógłby się zwrócić do Elizando - nawet jeśliby znalazł takie słowa. Tamten najwyraźniej wiedział, co mu grozi; w przeciwnym razie nie rozpędzałby swojego stadka. A co do pociechy: cóż tu można było powiedzieć? Podjąwszy tę decyzję, Hotchkiss już miał iść do samochodu, który zostawił na parkingu, kiedy znów coś go wstrzymało - nie widok tym razem, lecz dźwięk - urwany bolesny krzyk człowieka. Krzyk dobiegł ze sklepu zoologicznego.

Hotchkiss dobiegł tam w kilka sekund. Podłoga roiła się od przeróżnych zwierząt, ale ich wyzwoliciela nigdzie nie było widać. Hotchkiss zawołał:

- Elizando! Nic panu nie jest?

Żadnej odpowiedzi. Hotchkiss pomyślał, że może tamten popełnił samobójstwo.

Wypuścił zwierzęta i podciął sobie żyły. Hotchkiss przyspieszył kroku, myszując między gablotkami, ptasimi grzędami i klatkami.

Gdy dotarł do środka sklepu, spostrzegł ciało Elizando, spoczywające bezwładnie z drugiej strony sporej klatki. Zamieszkujące ją stadko kanarków miało się w panice, bijąc na oślep o pręty klatki, tracąc piórka.

Hotchkiss upuścił książkę i rzucił się na ratunek.

- Co pan narobił? - wołał. - Człowieku, coś ty zrobił?

Kiedy dobiegł do niego, zrozumiał swoją pomyłkę. Rany twarzy - leżał, przyciskając policzek do prętów klatki - nie były dziełem jego ręki. To był akt przerażającej napaści; z policzka i szyi wydarto mu wielkie kęsy ciała.

Krew przesączyła się przez siatkę i stała na dnie klatki pełnej kanarków; jeszcze jej trochę kapało. Ted nie żył od dobrych kilku minut.

Powoli, bardzo powoli Hotchkiss wyprostował się. Jeśli to nie Elizando krzyczał, to kto? Gdy schylał się po książkę, jakiś ruch między klatkami przyciągnął jego uwagę. Po podłodze, tuż za trupem, sunął jakiś kształt podobny do czarnego węża. Poruszał się bardzo szybko; najwyraźniej chciał odciąć Hotchkissowi odwrót. Gdyby Hotchkiss nie musiał schylić się po książkę, mógłby ubiec gada, ale gdy już miał w ręku „Przygotowania do Armageddonu”, tamten zdążył zablokować drzwi. Teraz, kiedy Hotchkiss widział go jak na dłoni, zrozumiał kilka spraw. Że to nie był uciekinier ze sklepu zoologicznego (nikt w Grove nie chciałby trzymać takiego stwora w domu). Że w równym stopniu przypominał węgorza z Moray co węża, ale i to podobieństwo nie było pewne; właściwie był inny niż wszystko, co Hotchkiss widział do tej pory. I wreszcie, że trasę jego biegu znaczyły ślady krwi, i że pysk miał również uwalany krwią. To on zamordował Elizando.

Hotchkiss cofał się, wzywając imię Zbawiciela, którego dawno się wyrzekł:

- Jezu...

Ledwie przebrzmiało to słowo, z głębi sklepu dobiegł czyjś śmiech.

Hotchkiss obrócił się. Drzwi kantorka Teda były otwarte na oścież. Chociaż pokój był pozbawiony okien i nie zapalono w nim światła, dostrzegł tam postać jakiegoś mężczyzny, siedzącego po turecku na podłodze. Mimo panującego tam mroku, udało się Hotchkissowi go rozpoznać. Nie mógł się mylić - te zniekształcone rysy były twarzą Raula, przyjaciela Tesli Bombeck. Był nagi. Widząc jego nagość, a zatem bezbronność, Hotchkiss postąpił krok w kierunku otwartych drzwi. Mając do wyboru walkę z wężem i zaklinaczem tego węża - byli z pewnością w znowie - wybrał zaklinacza.

Nagi człowiek przycupnięty na podłodze nie mógł być zbyt groźny.

- Co się tu wyrabia, do cholery? - zapytał Hotchkiss, podchodząc bliżej.

Mężczyzna uśmiechnął się szeroko, błyskając w mroku wilgotnymi zębami.

- Wyrabiam liksy - odparł.

- Likszy?

- Jak się pan obejrzy, to pan zobaczy liksa.

Hotchkiss nie musiał patrzeć za siebie; wiedział, że odwrót wciąż miał odcięty. Nie miał wyboru, musiał zostać tam, gdzie był, chociaż rozgrywająca się przed nim scena napełniała go rosnącą zgrozą. Mężczyzna nie był po prostu nagi: jego ciało od piersi do połowy ud roilo się od robactwa, pochodzącego ze sklepowych zapasów karmy, przeznaczonej dla ryb i jaszczurek - teraz zaspokajały inne apetyty. Krzątania robaków usztywniła krzywy członek siedzącego, cel ich działań. Ale przed siedzącym Hotchkiss dojrzał coś równie, jeśli nie bardziej, odrażającego: niewielki wzgórek zwierzęcych odchodów, zebranych z klatek, w których gnieździł się jakiś gad.

Nie, nie gnieździł się - on się rodził, nabrzmiewał i prostował swój poskręcany tułów tuż przed Hotchkissem. Kiedy uniósł łeb znad sterty ekskrementów, Hotchkiss rozpoznał w nim przedstawiciela gatunku, który ten twórca potworów nazywał liksami.

Gadów tych było tu więcej. W zakątkach niewielkiego pomieszczenia wiły się połyskliwe kształty - nierozróżnialne ciągi mięśni; złość czaiła się w każdym ich skręcie. Zza pleców czarownika wyłoniły się dwa liksy. Trzeci wspiał się na ladę na prawo od Hotchkissa i pełzył, wijąc się, w jego kierunku.

Hotchkiss cofnął się przed nim o krok i zbyt późno zrozumiał, że ten manewr wydał go na łup innej gadziny. W mgnieniu oka dopadła jego nogi i błyskawicznie pięła się w górę. Znow upuścił „Armageddon” i schylił się, by strącić z siebie bestię, ale była szybsza - zaatakowała go rozwartą paszczką. Hotchkiss stracił równowagę i zatoczył się w tył, na półkę z klatkami; strącił kilka z nich na podłogę, bijąc na oślep ramionami. Druga próba - tym razem uchwycił się półki - była równie nieudana. Półka była przewidziana na klatki z

kociętami - ustąpiła pod jego ciężarem, a Hotchkiss runął na podłogę, ciągnąc ze sobą półkę i pozostałe klatki. Gdyby nie te klatki, pewnie zamordowano by go na miejscu, ale klatki wstrzymały marsz liksów, które szły na niego od frontu i z zaplecza sklepu. Egzekucję odłożono na dziesięć sekund. Kiedy przeciskały się między klatkami, udało mu się obrócić i szykował się, by wstać, kiedy stwór wczepiony w jego nogę odebrał mu resztki nadziei, wbijając mu głęboko zęby w udo. Ból odjął mu na chwilę wzrok, a kiedy go odzyskał, pozostałe bestie już dopadły leżącego. Czuł jedną z nich na karku, inna owinęła się wokół jego piersi. Resztką oddechu zaczął wzywać pomocy.

- Tu nie ma nikogo oprócz mnie - usłyszał.

Spojrzał na mężczyznę zwanego Raulem - odszedł od kupy gnoju i stał teraz nad nim, wciąż pobudzony, pokryty ruchomą warstwą robactwa. Jakiś liks owinął mu się wokół szyi. Raul wsadził dwa palce do rozwartego pyska bestii i pieszczotliwie gładził wewnątrz jej gardzieli.

- Ty nie jesteś Raul - wykrztusił Hotchkiss.

- Zgadza się.

- Więc kim...?

Ostatnie słowo, które Hotchkiss usłyszał, zanim liks owinięty wokół jego piersi zacieśnił uścisk, było odpowiedzią na to pytanie. Imię składało się z dwóch miłych uchu sylab: „kiss” (pocałunek) i „soon” (wkrótce). Potraktował te dwa ostatnie słowa jak przepowiednię: Pocałunek, wkrótce. Po drugiej stronie śmierci czekała Carolyn, która przytuli usta do jego policzka. Pomimo wszystkich potworności, ta myśl osłodziła jego ostatnie chwile.

- Wygląda na to, że przegraliśmy sprawę - zwróciła się Tesla do Grillo po wyjściu z willi.

Dygotała od stóp do głów; wiele godzin ogromnego wysiłku i wszystkie odniesione kontuzje dawały teraz znać o sobie. Łaknęła snu, ale przerażeniem napełniała ją myśl, że może przyśnić jej się sen, który poprzedniej nocy nawiedził Witta - sen o Quiddity, co znaczyłoby, że śmierć była tuż-tuż. Może i była, ale Tesla wołała o tym nie wiedzieć.

Grillo schwycił ją za ramię, ale Tesla odtrąciła go:

- Nie jesteś dziś silniejszy ode mnie...
- Co się tam dzieje?
- Otwór znów się poszerza. Jak tama, która zaraz pęknie.
- Cholera.

Teraz trzeszczał cały dom. Plamy, rosnące w szpalerze wzdłuż podjazdu, kołysały się zrzucając martwe, pierzaste listowie; podjazd pękał, jakby od wewnątrz biły weń młoty pneumatyczne.

- Powinienem ostrzec policjantów - odezwał się Grillo. - Niech wiedzą, co się szykuje.
- Zdaje się, że tym razem przegraliśmy, Grillo. Nie wiesz, co z Hotchkissem?
- Nie.
- Mam nadzieję, że ucieknie, zanim oni się tu wedrą.
- Nie będzie uciekał.
- A powinien. Dla żadnego miasta nie warto umierać.
- Chyba powinienem teraz zadzwonić, jak myślisz?
- Zadzwonić? Do kogo? - zdziwiła się.
- Do Abernethy'ego. Przekazać mu złe wieści.

Tesla westchnęła leciutko:

- Owszem, czemu nie. Ostatni Artykuł na Pierwszą Stronę.
- Wrócę - powiedział. - Nie wyobrażaj sobie, że sama stąd zwiejesz. Nic z tego.

Pójdziemy razem.

- Nigdzie się nie wybieram.

Grillo zdał sobie w pełni sprawę z gwałtowności ziemnych wstrząsów dopiero wtedy, kiedy usiłował schwycić kluczyk stacyjki i przekręcić go. Gdy wreszcie uruchomił silnik i zjechał na wstecznym biegu do bramy, przekonał się, że policjanci obeszli się bez jego ostrzeżeń. Zeszli gromadnie na dół Wzgórza, pozostawiając przy bramie tylko jeden pojazd, z obsadą dwóch policjantów w charakterze obserwatorów. Nie zwrócili na Grillo większej uwagi. Zaprzętała ich bliźniacza myśl - jedna zawodowa, druga prywatna; obserwowali willę i gotowali się do nagłego odwrotu, gdyby szczeliny w ziemi pobiegły w ich kierunku. Grillo wyminął ich i jechał dalej w dół zbocza. Jeden z oficerów, stojących w niższej partii Wzgórza, próbował bez przekonania go zatrzymać, ale Grillo jechał dalej, w stronę Pasażu. Miał nadzieję, że znajdzie tam jakiś automat telefoniczny, z którego będzie mógł zadzwonić do Abernethy'ego. Odszuka także Hotchkissa i ostrzeże go - jeśli tamten jeszcze o tym nie wiedział - że już się zaczęło. Przeciskając się z trudem szczyrzym labiryntem ulic - zablokowanych przez rumowiska, zrytych wądołami, głębokimi jak przepaść - zabawiał się obmyślaniami tytułu dla swojego ostatniego reportażu. „Koniec świata jest blisko” - jakie to oklepane. Nie chciał być po prostu jednym z wielu proroków, wieszczących Apokalipsę, nawet gdyby tym razem (wreszcie) przepowiednia miała się sprawdzić. Kiedy skręcał w Pasaż, tuż za nim dostrzegł harcujące tam zwierzątka, poczuł przyływ weny. Tym pomysłem natchnęły go zbiory Buddy'ego Vance'a. Chociaż podejrzewał, że sprzedanie tego pomysłu Abernethy'emu będzie go kosztować sporo wysiłku, wiedział, że „Koniec przejażdżki” to najlepszy tytuł, jakim mógłby opatrzyć swój reportaż.

Ludzkość dość już się nacieszyła swoją przygodą, czas się żegnać.

Zaparkował samochód przy wjeździe na parking i wysiadł, by popatrzeć na niezwykły

widok baraszkujących tam zwierząt. Uśmiechnął się mimo woli. Jakże były szczęśliwe w swojej niewiedzy - beztrosko igrały w słońcu, nawet nie podejrzewały, jak mało życia im zostało. Wszedł do księgarni, ale nie zastał tam Hotchkissa. Na podłodze walały się stosy książek - świadectwo poszukiwań, które prawdopodobnie spełzły na niczym. Poszedł do sklepu zoologicznego, licząc, że znajdzie tam jakichś ludzi i telefon. Z wewnątrz dobiegał ptasi harmider - głosy ostatnich skrzydlatych więźniów. Jeśli zdąży, uwolni je. Niech sobie popatrzą na słońce.

- Jest tam kto?! - zawołał, wsadzając głowę w nie domknięte drzwi.

Między jego stopami przemknęła jaszczurka - gekon. Grillo patrzył na nią.

Właśnie miał powtórzyć swoje pytanie, powstrzymał się jednak. W drodze do drzwi jaszczurka przebrnęła przez kałużę krwi; gdziekolwiek spojrzał, wszystko było wymazane i ochlapane krwią. Najpierw zobaczył ciało Elizando, a potem inne zwłoki, na wpół pogrzebane pod lawiną klatek.

- Hotchkiss? - zawołał.

Począł usuwać klatki z ciała leżącego. W powietrzu unosiła się woń krwi i coś jeszcze - odór gówna. Lepiło się do rąk Grillo, ale nie dawał za wygraną; wreszcie odsłonił Hotchkissa na tyle, by mieć pewność, że tamten nie żyje. Gdy odsłonił jego głowę, wiedział już o tym na pewno. Czaszka była doszczętnie zdruzgotana; z papki, która kiedyś była umysłem i zmysłami, sterczały drzazgi kości jak okruchy rozbitej porcelany. Żadne ze zwierząt z tego sklepiku nie mogłoby zadać podobnych ran; trudno też było wyobrazić sobie narzędzie, którym dokonano tej zbrodni. Grillo nie zastanawiał się nad tym zbyt długo; istniało realne niebezpieczeństwo, że mordercy byli gdzieś w pobliżu. Rozejrzał się po podłodze, szukając jakiejś broni. Smyczy, obroży - kolczatki, czegokolwiek, czym mógłby się bronić przed masakrą.

Rzuciła mu się w oczy jakaś książka, leżąca niedaleko ciała Hotchkissa.

Przeczytał jej tytuł na głos: „Przygotowania do Armageddonu” (Armageddon - ostateczny bój między siłami dobra i zła w dniu Sądu Ostatecznego).

Podniósł ją i szybko przerzucił kartki. Było to coś w rodzaju podręcznika, radzącego jak przeżyć koniec świata. Słowa mądrości, które starsi kościoła mormońskiego kierowali do członków tego kościoła. Wszystko zakończy się pomyślnie, mówiły; czuwają nad nimi i doradzają im żywe wyroczone Boskie - Pierwszy Zarząd i Rada Dwunastu Apostołów.

Wystarczy zastosować się do tych rad - duchowych i praktycznych - a wierni przetrwają, cokolwiek zgotuje im los.

„Jeśliście gotowi, nie potrzebujecie się obawiać” - taką nadzieję - nie, pewność - niosły te stronic. „Bądźcie czystego serca, miłujcie bliźnich, bądźcie sprawiedliwi i bogobojni. Zgromadźcie roczne zapasy”.

Grillo przerzucił jeszcze kilka stron. Dlaczego Hotchkiss wybrał właśnie tę książkę?

Huragany, pożary lasów i powodzie? Co one miały wspólnego z Trójcą?

A potem zobaczył to zdjęcie: gruboziarnistą odbitkę przedstawiającą grzyb atomowy, z podpisem określającym miejsce wybuchu.

TRINITY, STAN NOWY MEKSYK.

Nie musiał czytać dalej. Z książką w ręku wypadł na plac i pobiegł do samochodu między zwierzętami pierzchającymi na wszystkie strony. Telefon do Abernethy'ego będzie musiał poczekać. Nie wiedział, jak zwykły fakt, że Trinity było miejscem narodzin bomby, wiązał się z resztą wydarzeń, ale może Tesla będzie wiedziała. Nawet jeśli nie będzie wiedziała, to Grillo będzie miał satysfakcję, że to właśnie on przyniesie tę nowinę. Zdawał sobie sprawę jak nedorzeczny był ten nagły przyływ samozadowolenia - przecież ta informacja nie mogła niczego zmienić. Świat się kończył („Koniec przejażdżki”), ale mały

element układanki, który trzymał w ręku, pozwolił mu na chwilę zapomnieć o tamtym przerażającym fakcie. Nie znał większej przyjemności od tej, którą daje rola zwiastuna, posłańca, nuncjusza, Nuncjo. Jeszcze nigdy nie był tak bliski zrozumienia, czym jest uczucie szczęścia.

Nawet w tym krótkim czasie, który spędził w Pasażu (cztery, najwyżej pięć minut), w Grove nastąpiły dalsze zniszczenia. Dwie ulice, które były przejezdne jeszcze kiedy zjeżdżał ze Wzgórza, właściwie już nie były ulicami.

Jedna z nich dosłownie zniknęła - ziemia po prostu rozstała się i pochłonęła uliczkę; druga zniknęła pod gruzami dwóch domów. Znalazł trzecią trasę, jeszcze przejezdną. Gdy pisał się w górę stoku, drżenie ziemi wzmogło się do tego stopnia, że chwilami z trudem panował nad pojazdem.

Podczas jego nieobecności, na miejsce kataklizmu trzema nie oznakowanymi helikopterami przybyło kilku obserwatorów. Największy śmigłowiec unosił się dokładnie nad domem Vance'a. Jego pasażerowie zapewne usiłowali wyrobić sobie zdanie na temat zaistniałej sytuacji. Chyba zdążyli już się zorientować, że nie chodziło o żadne zjawisko przyrodnicze. Może nawet odkryli prawdziwą przyczynę zajść. D'Amour mówił Tesli, że fakt istnienia Iad był wiadomy najwyżej postawionym osobistościom. Jeśli tak, to już wiele godzin temu dom powinny były otoczyć zmasowane siły artylerii, a nie garstka wystraszonych gliniarzy. Czy ci wszyscy generałowie i politycy nie dowierzali dowodom, które im podsuwano pod nos? Czy byli zbyt wielkimi pragmatykami, by obawiać się, że ich imperium mogłoby doznać szwanku ze strony istot, które żyły po tamtej stronie snu? Nie mógł mieć im tego za złe.

Sam odrzuciłby ten pomysł jako całkowicie niepoważny jeszcze przed trzema dobami.

Uznałby to za bzdurę, jak choćby tę opowiastkę o żyjących wyroczniach Bożych z książki,

leżącej na siedzeniu obok; wytwór czyjejś wybujałej fantazji. Jeśli obserwatorzy pozostaną na swoim posterunku - wprost nad czeluścią - być może zmienią zdanie. Zobaczyć znaczy uwierzyć.

A zobaczą na pewno.

Bramy, prowadzące do Coney Eye, leżały poharatane na ziemi, podobnie jak okalający posesję mur. Zostawił samochód przy tym rumowisku i, ściskając w ręku książkę, poszedł w górę alejki w stronę willi; jej fasadę obsiadło coś, co wziął za cień chmury. Ruchy terenu poszerzyły szczeliny w podjeździe i każdy krok wymagał ostrożności, co nie było łatwą sprawą.

Jakieś przygnębienie, przesycające atmosferę wokół domu, nie pozwalało mu zebrać myśli. W miarę jak Grillo zbliżał się do willi, cień zdawał się pogłębiać.

Chociaż żar słoneczny wciąż lał się na tył głowy idącego i na bryłę Coney Eye, przypominającą rozmiękły na deszczu tort, wszystko wokół było ciemne i lepkie od brudu, jakby powleczone warstwą brudnego lakieru. Od tego widoku rozboleła go głowa; czuł kłucie w zatokach, strzykanie w uszach.

Bardziej przygnębiające od tych drobnych dolegliwości było uczucie przejmującej grozy, które rosło w Grillo z każdym krokiem. Przed oczami zamajaczyły mu odrażające zwidy, wspomnienia rzeczy, których napatrzył się podczas wieloletniej pracy w kilkunastu redakcjach, oglądając fotografie, jakich nie zamieściłby w swoim piśmie żaden wydawca, choćby o najniższych instynktach. Były tam, rozumie się, roztrzaskane samochody i katastrofy lotnicze; ciała tak pokawałkowane, że nigdy nie udałoby się złożyć ich na powrót. Naturalnie były i sceny mordu. Ale nie one prześladowały go najbardziej, lecz obrazy niewinnych ofiar i ich niezawinionych cierpień.

Dzieci zupełnie małe i nieco starsze - bite, okaleczone, wrzucane do zsypu razem ze

śmieciami; brutalność wobec chorych i starych. W głowie mu się mąciło od widoku tylu okrucieństw.

- Iadowie - usłyszał nagle głos Tesli. Grillo poszukał jej wzrokiem.

Między nimi stał mur gęstego powietrza - twarz Tesli była ziarnista jak odbitka fotograficzna. Nieprawdziwa. Nic tu nie było prawdziwe. Po prostu obrazy na ekranie.

- Iadowie nadchodzą - mówiła Tesla. - Właśnie to teraz odczuwasz. Powinieneś stąd odejść. Naprawdę nie ma sensu, żebyś zostawał...

- Nie - przerwał. - Ja... przynoszę pewną wiadomość. - Z trudem trwał przy tej myśli.

Osaczały go wizje niewinnie cierpiących i zamordowanych, ofiary najróżniejszych ran i okaleczeń.

- Jaką wiadomość? - spytała Tesla.

- Chodzi o Trinity.

- No więc? - indagowała.

Zdał sobie sprawę, że Tesla krzyczy, ale jej głos był ledwie słyszalny.

- Grillo, mówiłeś coś o Trinity!

- Tak?

- No mówże!

Patrzyło na niego tyle oczu. Nie mógł ominąć ich wzrokiem ani myślą, zapomnieć o ich bezsilnej poniewierce.

- Grillo!

Z całych sił skupiał uwagę na tej kobiecie, wykrzykującej szeptem jego nazwisko.

- Trinity - podsunęła mu.

Wiedział, że w książce, którą trzymał w ręku, znajdowała się odpowiedź na pytanie tej kobiety, ale te zrozpaczone oczy nie pozwalały mu zebrać myśli. Trinity. Co to jest Trinity?

Podał jej książkę i w tej samej chwili pamięć wróciła.

- Chodzi o bombę - powiedział.

- Co?!

- Właśnie w Trinity zdetonowano pierwszą bombę atomową.

Widział z jej twarzy, że rozumiała.

- Wiesz, o co tu chodzi? - spytał.

- Tak. Chryste... Tak!

Nawet nie otworzyła książki, którą jej przyniósł, tylko kazała mu odejść; niech wraca na drogę. Usilnie starał się zrozumieć, co do niego mówiła, wciąż czując, że powinien powiedzieć jej coś jeszcze. Coś niemal równie ważnego jak Trinity, coś o śmierci. Wysilał pamięć, ale nic nie przychodziło mu na myśl.

- Odejdź stąd - nalegała Tesla. - Nie stój w tych brudach.

Kiwnął głową na znak zgody, wiedział, że na nic jej się nie przyda. Szedł, potykając się, przez gęste od brudu powietrze. Im bardziej oddalał się od willi, tym słońce jaśniej świeciło, a widok niewinnych ofiar powoli gasł w jego myślach. Kiedy osiągnął zakręt alei podjazdowej i zobaczył Wzgórze, przypomniał sobie, o czym to nie powiedział Tesli: Hotchkiss nie żył; zamordowali go; zmiażdżyli mu czaszkę. Kimkolwiek, czymkolwiek byli sprawcy mordu - wciąż przebywali na wolności, w Grove. Musi wrócić i powiedzieć o tym Tesli, ostrzec ją. Odczekał chwilę, aż jego kora mózgowa oczyści się z wizji, którymi nasyciła ją bliskość Iad. Nie znikły zupełnie; wiedział też, że gdy tylko zawróci w stronę willi, rzucą się na niego ze zdwojoną siłą. Zatrute powietrze, wywołujące te omamy, rozchodziło się coraz szerzej; dotarło do miejsca, gdzie stał. Zaraz otumani go na nowo.

Wyjął długopis - wziął go z motelu, na wypadek gdyby musiał robić notatki.

Miał także papier - z biurka recepcjonistki - ale sceny okrucieństw już ruszyły na niego

jak w korowodzie. W obawie, że zapomni, co chce zapisać, zanim wyciągnie notes, zaczął bazgrać na grzbiecie dłoni.

Zdołał napisać tylko: „Hotchk...”, zanim długopis wysliznął się z jego zeszywniałych palców, a z serca uleciały wszystkie uczucia, oprócz żalu za niewinnie pomordowanymi, a z głowy - wszystkie myśli oprócz jednej: musi zobaczyć się z Teslą. Grillo - wieść i zwiastun w jednej osobie - ruszył z powrotem w strefę wpływów Iad. Kiedy wreszcie dobrnął do miejsca, gdzie stała przedtem ta krzycząca szeptem kobieta, stwierdził, że już się oddaliła - podeszła bliżej do źródła, z którego wylewały się te przerażające zwidy.

Pomyślał, że gdyby chciał do niej dołączyć, pewnie oszalałby na dobre.

Tesla zrozumiała naraz wiele rzeczy - choćby atmosferę oczekiwania, którą za każdym razem odczuwała w Pętli, zwłaszcza gdy sunęła przez tamto miasto. W cyklu filmów dokumentalnych poświęconych Oppenheimerowi widziała kiedyś film pokazujący wybuch atomowy i zniszczenie owego miasta. Domy i sklepy, które tak ją zastanawiały, zbudowano wyłącznie po to, by je obrócić w perzynę, ażeby konstruktorzy bomby mogli się przyjrzeć następstwom gniewu swojego dziecięcia. Nic dziwnego, że Tesla patrzyła na tę miejscowość jak na plan filmu o dinozaurach. Jej instynkt filmowca skupił się na przycisku, który miał spowodować wybuch. To miasto naprawdę czekało na swój dzień sądu ostatecznego. Myliła się tylko co do potwora. Czy Kissoon znalazłby lepsze miejsce, by zatrzeć ślady swej zbrodni? Pożoga wybuchu spali zwłoki na popiół. Tesla wyobraziła sobie perwersyjną przyjemność, z jaką Kissoon snuł plany tego wymyślnego spektaklu, świadom, że obłok, który zabił członków Szkoły, jest jedną z niezatartych wizji obecnego wieku.

A jednak go przechytrzone. Schwytyany w Pętlę przez Mary Murales, nie mógł się stamtąd ruszyć do czasu, aż znajdzie jakieś ciało, w którym będzie mógł wydostać się z matni; do tego czasu wstrzymywał moment detonacji siłą woli. Żył jak ktoś, kto własnym

palcem zatyka przeciek w tamie; wie, że gdy tego zaniecha, pochłonie go żywioł. Nie dziwnego, że tak się zmieszał na dźwięk słowa „Trinity”. W tym słowie zawierał się cały jego strach.

Czy można było posłużyć się tymi faktami w walce przeciw Iadom? Kiedy szła do willi, przyszedł jej nagle do głowy pewien dziwaczny pomysł; nie obejdzie się jednak bez pomocy Jaffe'a.

Trudno jej było myśleć logicznie wobec tego szamba, przelewającego się przez krawędź czeluści, ale już nieraz musiała stawić czoła agresji i potrafiła sobie radzić z najbardziej niebezpiecznymi napastnikami, poczynając od producentów filmowych, a na szamanach kończąc. Ale ta agresja nasilała się, im bliżej podchodzili Iad. Wolała nie myśleć o potędze ich zepsucia, widząc, że już teraz najmniejsza zapowiedź ich nadejścia może tak znacznie odmienić psychikę człowieka. Próbując odgadnąć naturę tej agresji, ani razu nie brała pod uwagę możliwości, że mogliby się posłużyć szaleństwem jako bronią.

A może tak właśnie było. Wprawdzie Tesla mogła przez jakiś czas opierać się zalewowi tej ohydy, ale wiedziała, że podda się, prędzej czy później. Umysł żadnego człowieka nie mógłby bez końca opierać się podobnej agresji, i, osaczony przez bezmiar okropności, mógłby najwyżej szukać ucieczki w obłądnie. Iad Uroboros będą panować nad planetą szaleńców.

Wszystko wskazywało na to, że Jaffe'a niewiele już dzieliło od ostatecznego załamania psychicznego. Tesla zastała go w drzwiach pokoju, w którym uprawiał Sztukę. Wnętrze pokoju było już całkowicie zdominowane przez potęgę bijącą od czeluści. Zaglądając przez drzwi, Tesla po raz pierwszy naprawdę zrozumiała, dlaczego Quiddity zwano morzem. O brzeg Kosmosu biły fale ciemnej potęgi, przyptyw przelewał się przez krawędzie czeluści. Głębiej mignęły Tesli jakieś inne kształty - widziała je tylko przez chwilę.

Jaffe wspomniał przedtem o kroczących górach i pchłach. Jednak gdy Tesla próbowała wyobrazić sobie agresorów, jej umysł wyszukał inny obraz, to były olbrzymy. Żywe koszmary dręczące ją od najwcześniejszych lat. Jeszcze w latach jej dzieciństwa zdarzało się nieraz, że przybierały twarze jej rodziców, z czego psychoanalitik Tesli wyciągał daleko idące wnioski. Ale te olbrzymy były innego rodzaju. Nawet jeśli miały twarze - o czym wątpiła - w niczym nie przypominały rodziców, a z pewnością nie były troskliwymi rodzicami.

- Widzi ich pani? - zapytał Jaffe.

- Owszem.

Znów zapytał, tym razem wysokim głosem, jakiego nigdy u niego nie słyszała.

- Widzisz ich, tatku?

- Tatku? - powtórzyła zdziwiona.

- Nie boję się, tatku - dobiegło z ust Jaffe'a. - Nic mi nie zrobią. Jestem Chłopcem Śmierci.

Teraz rozumiała. Jaffe nie tylko patrzył oczyma. Tommy-Raya, ale także mówił głosem tego chłopca.

- Jaffe! - zawołała. - Niech pan posłucha! Potrzebuję pańskiej pomocy! Jaffe!

Ponieważ nie odpowiadał, podeszła do niego i, starannie unikając widoku czeluści, poczęła go ciągnąć za podartą koszulę w stronę drzwi.

- Randolph! - wołała. - Pan musi się do mnie odezwać!

Uśmiechnął się szeroko. Był to uśmiech kalifornijskiego księcia - olśniewający, białozębny; zupełnie nie pasował do tej twarzy. Puściła go.

- Pocięchy to ja z ciebie nie będę miała.

Tym razem nie miała czasu, by namawiać go do powrotu z przygody, w którą puścił się

wraz z Tommy-Rayem. Będzie musiała bez jego pomocy doprowadzić do końca plan, który sama obmyśliła. Plan równie prosty w zamyśle, co wściekle trudny (jak się domyślała) w realizacji, o ile w ogóle wykonalny. Nie miała innego wyboru. Nie była wielkim szamanem. Nie umiała zamknąć czeluści. Ale mogła ją przesunąć. Już dwukrotnie dowiodła, że jest w stanie wstąpić do Pętli, a potem z niej wyjść. Zredukować siebie (i innych) do czystej myśli i przenieść ich do Trinity. Czy potrafiłaby przerzucić także i materię nieożywioną? Choćby ten fragment tego domu?

Czy uda jej się rozciągnąć w ten sposób fragment Kosmosu, w którym była czeluść i ona sama, a następnie przenieść całość do Punktu Zero, gdzie tykała potęga zdolna powalić gigantów, zanim Iad zaraża szaleństwem wszystko, co żyje?

Nie będzie wiedziała, dopóki nie spróbuje. Jeśli zawiedzie ją moc czarnoksiężka, odpowiedź będzie brzmieć: Nie. Po prostu. Przez krótki czas będzie się cieszyć tą nową wiedzą, tą mądrością po szkodzie - aż cała jej wiedza, niepowodzenie i szamańskie ciągoty pękną jak bańka mydlana.

Znów odezwał się Tommy-Ray; był to już nie monolog, lecz urywany bełkot:

- ...idę w górę, jak Andy... ale jeszcze wyżej... widzisz mnie, tato?...w górę, jak Andy...
widzę brzeg! Widzę brzeg!

To przynajmniej miało jakiś sens. Tommy-Ray widział już rubieże Kosmosu, co znaczyło, że Iad byli równie blisko.

- ...Chłopiec Śmierci... - zaczął znów tamten - ...jestem Chłopcem Śmierci...

- Czy mógłby go pan wyłączyć? - zwróciła się do Jaffe'a. Chociaż wiedziała, że mówi do ściany.

- Ahoooj! - wrzeszczał chłopak. - Dopływamy! Dopływamy!

Tesla pilnowała się, by nie spojrzeć w stronę czeluści, chociaż pokusa była silna -

wolała nie wiedzieć, czy giganci już wychodzą na świat. Nadejdzie czas, że będzie musiała spojrzeć prosto w czeluść, ale jeszcze nie teraz. Jeszcze nie była gotowa, nie była spokojna. Nie była gotowa do boju. Cofnęła się jeszcze bardziej w stronę drzwi i mocno uchwyciła futryny. Jakże to drewno było twarde! Zdrowy rozsądek Tesli burzył się przeciw pomysłowi przeniesienia tak trwałej materii w inne miejsce i inny czas. Nakazała więc swojemu zdrowemu rozsądkowi, by się od niej odczepił. Rozum i szaleństwo wcale nie stanowią przeciwieństw. W rozumie może tkwić okrucieństwo, w logice - obłąd. Istniał także inny stan umysłu, który lekceważył takie naiwne dwudzielności; który czerpał się z faktu, że istniał między jednym a drugim stanem.

Każdy znajdzie coś dla siebie.

Nagle przypomniała sobie słowa D'Amoura - krążyły pogłoski o nadejściu jakiegoś zbawcy. Sądziła, że chodzi może o Jaffe'a. Nie. Wybawicielem była ona - Tesla Bombeck, dzika kobieta Hollywood, odwrócona na wspak, wskrzeszona.

Ledwie to sobie uświadomiła, nabrała wiary we własne siły; zaraz też wiedziała, jak się zabrać do dzieła. Nie próbowała odciąć się od głupawych pohukiwań Tommy-Raya, od widoku Jaffe'a - apatycznego, przegranego, ani od całej tej bzdury o przejściu materii stałej w myśl, i o myśli. wprawiającej materię w ruch. Wszystko to było częścią jej samej - nawet zwątpienie. Zwłaszcza zwątpienie. By osiągnąć stan potęgi, nie powinna walczyć z zamętami pojęć i sprzeczności, lecz przyjąć je w siebie - wchłonąć umysłem, przeżuć i połknąć.

Wszystko dawało się pożreć: materia stała i niestała, ten i tamten świat - wszystko było jadalne i przenośne. Teraz, gdy o tym wiedziała, już nikt nie odpędzi jej od stołu.

Spojrzała w czeluść, twardo, nie odwracając wzroku.

- Ty też nie - powiedziała i zabrała się do jedzenia.

Kiedy Grillo był o dwa kroki od drzwi wejściowych, wróciły tamte dzieci -

poniewierane, maltretowane. Obecne najście - w bliskiej odległości od czeluści - było szczególnie napastliwe. Grillo, otoczony piętrzącą się zbrodnią, nie mógł zrobić kroku w przód ani w tył. Zdawało mu się, że idzie po zakrwawionych ciałkach dzieci - zwracały ku niemu zapłakane buzie - ale wiedział, że nie może im pomóc, nie teraz. Cień sunący przez Quiddity kładł kres wszelkiej litości. Ten mroczny cień nie odejdzie. Nigdy nie będzie osądzony, nigdy nie odpowie za swoje zbrodnie.

Ktoś przeszedł obok Grillo, kierując się w stronę drzwi - ledwie dostrzegalny kształt w gęstym od cierpienia powietrzu. Grillo wysilił wzrok - mignęła mu czyjaś grubokoścista, brutalna twarz o kwadratowej szczęce - i nieznajomy zniknął w głębi domu. Grillo oderwał oczy od drzwi, widząc kątem oka jakieś poruszenie u swoich stóp. Dzieci wciąż tam były, ale teraz makabra nabrała nowego wymiaru. Po ciałach dzieci sunęły czarne węże, grube jak jego ramię, dążąc do willi w ślad za tamtym mężczyzną.

Przerażony jeszcze bardziej, w złudnej nadziei, że uda mu się zdeptać choć jednego gada, jeśli nie wszystkie, Grillo postąpił krok naprzód. Chociaż ten krok przybliżył go do krawędzi szaleństwa, bliskość szaleństwa natchnęła go nowymi siłami. Zrobił jeszcze jeden krok, i następny, usiłując zmiażdżyć obcasem łby tych czarnych bestii. Czwarty krok - i Grillo przestąpił próg. by wpaść w zupełnie odmienne szaleństwo.

Raul? Raul, tutaj?

Tesla właśnie zabierała się do swego wielkiego dzieła, kiedy w drzwiach stanął Raul; jego pojawienie się w tym miejscu wstrząsnęło Teslą tak silnie, że gotowa była przypisać to zjawisko jakimś zaburzeniom umysłowym - ale przecież jeszcze nigdy dotąd nie była tak pewna swych władz umysłowych jak właśnie teraz. To nie były halucynacje. Stał przed nią Raul we własnej osobie, patrzył przyjaźnie, mówił do niej.

- Skąd się tu wzięłaś? - zapytała i poczuła, jak jej wielki czyn wymyka jej się z rąk.

- Przyszedłem po ciebie - brzmiała odpowiedź. W ślad za odpowiedzią i za samym

Raulem przyszło wyjaśnienie - przerażające wyjaśnienie - jego słów. Przez próg wpełzały liksy.

- O co ci chodzi? - spytała Tesla.

- Już mówiłem. Przyszedłem po ciebie. One też.

Cofnęła się, ale teraz, gdy wyrwa rozrosła się na pół domu, a liksy pilnowały drzwi,

Tesla mogła już tylko uciec na górne piętra. W ten sposób odroczy śmierć najwyżej na krótki czas. Będzie siedzieć jak w pułapce, czekając, aż ją odnajdą, kiedy to uznają za stosowne - tyle że tak naprawdę wcale nie muszą się spieszyć. Iad znajdą się w Kosmosie już za kilka minut.

Tesla nie ruszy się z miejsca, cokolwiek zrobią liksy. Miała tu sprawę do załatwienia - sprawę nie cierpiącą zwłoki.

- Przyszedłem, żeby popatrzeć, jak nadchodzą - odparł Raul. Możemy poczekać razem, jeśli chcesz.

Koszulę miał nie dopiętą; na jego piersiach Tesla dostrzegła znajomy przedmiot -

medalion Szkoły. W Tesli obudziło się podejrzenie: może to nie był Raul. Sposobem bycia w niczym nie przypominał tamtego wystraszonego nuncjanina z Misji Św. Katarzyny. Za tą półmałpią twarzą krył się ktoś inny - człowiek, który jako pierwszy pokazał jej zagadkową pieczęć Szkoły.

- Kissoon - powiedziała.

- Zepsułaś moją niespodziankę - rzucił lekko.

- Co zrobiłeś z Raulem?

- Wysiedliłem go, zająłem jego ciało. To nie było zbyt trudne. Miał w sobie sporo

nuncjo, to mi ułatwiło sprawę, był podatny. Wciągnąłem go do Pętli, tak samo jak ciebie. Ale nie miał dość rozumu, by się opierać, jak ty czy Randolph. Dostyc szybko się poddał.

- Zamordowałeś go!

- Skądże - powiedział Kissoon lekko. - Jego duch żyje i kwitnie. Pilnuje, by moje ciało nie wpadło do ogniska; czeka, aż po nie wrócę. Wejdę w moje ciało, gdy tylko wydostanie się z Pętli. Na pewno nie pozostanę w czymś takim. Jest obrzydliwe.

Nagle jej dopadł, zwinny jak Raul doskoczył do Tesli jednym susem i chwycił ją za ramię. Krzyknęła z bólu - tak mocno ścisnął jej ramię. Znow się do niej uśmiechnął i podszedł jeszcze bliżej, przysunął twarz tuż do jej twarzy.

- Mam cię - powiedział.

Spojrzała przez jego ramię: przy drzwiach stał Grillo, nie odrywając oczu od czeluści, o którą biły fale Quiddity - coraz wyższe, coraz bardziej zawzięte. Tesla zawołała go, ale nie odpowiedział. Po twarzy spływał mu pot, z obwisłej wargi sączyła mu się ślina; błędził myślą gdzieś daleko - tu go nie było.

Gdyby Tesla mogła zajrzeć w jego myśli, wiedziałaby, co wprawiło go w to osłupienie.

Kiedy tylko przekroczył próg willi, zapomniał o katowanych dzieciach w obliczu innej, dojmującej rozpacz. We wzburzonych wodach przyływu dojrzał przerażające rzeczy: tuż przy brzegu unosiły się dwa ciała; fala przyboju rzucała je w głąb Kosmosu, a powracająca fala niosła je na powrót w morze, grożąc utopieniem. Grille rozpoznał tych ludzi, chociaż twarze mieli mocno zmienione. Byli to Jo-Beth i Howie Katz. Grillo wydało się, że dalej w morskich odmętach mignął ktoś jeszcze - jakaś blada postać na tle ciemnego nieba. Nie znał tego człowieka - zresztą na jego czasce nie pozostał nawet strzęp ciała. Jakiś kościotrup unoszony przez fale.

Ale prawdziwy koszmar dopiero nadchodził. Potężne zwały zgnilizny szły przez

powietrze huczące od gęstych rojów - jakby muchy wielkości ptaków syciły się ich padliną.

Iad Uroboros.

Nawet teraz, kiedy stał jak urzeczony. Jego umysł (za sprawą Swifta) szukał słów, zdolnych opisać ten widok, ale gdy spróbował opisać zło, całe jego słownictwo okazało się zbyt ubogie. Zepsucie, podłość, brak Boga w sercu - czymże było pospolite łajdactwo wobec tej esencji zła, od której nie ma wybawienia? Zwyczajnymi igraszkami. Przekąskami między głównymi daniami. Prawie zazdrościł tamtym, którzy byli bliżej tej ohydy - zazdrościł im wiedzy, którą można zdobyć u źródła...

Howie, rzucający przez wzburzone fale, mógłby mu wiele powiedzieć na ten temat.

Kiedy Iad podchodzili wciąż bliżej i bliżej, przypomniał sobie miejsce, w którym kiedyś przeżył podobny koszmar. Było to w pewnej rzeźni w Chicago, gdzie pracował przed dwoma laty. Opadły go wspomnienia tamtego miesiąca. Rzeźnia latem: krew krzepnąca w kanałach ściekowych; zwierzęta oddające bezwiednie mocz i kał na dźwięk śmierci, zadawanej ich pobratymcom, krocącym w przód. Życie zmienione w mięso jednym strzałem. Usiłował dojrzeć Jo-Beth przez te wstrętne obrazy; odbył z nią daleką podróż na fali, która nie próbowała ich rozdzielić, ale też nie niosła ich ku brzegowi dostatecznie szybko, by zdążyli ujść oprawcom. Odmówiono mu widoku tej dziewczęcej twarzy, która mogłaby osłodzić mu rozpacz jego ostatnich chwil. Widział tylko bydlę pędzone na rampę, posokę i nieczystości spłukiwane wodą z gumowych węży; musiał patrzeć, jak ich martwe ciała, wciąż wierzgające, zaczepiano jedną nogą o hak i przesyłano taśmociągiem dalej, do wypatroszenia. Howie nie umiał się wyzwolić od tego koszmaru.

Podobnie jak Jo-Beth, nie sięgał wzrokiem poza czoło przyływu, nie mógł więc ocenić, jak daleko - czy raczej jak blisko - znajdowali się od brzegu. Gdyby potrafił przebić wzrokiem przybrzeżną kipieli, dostrzegłby ojca Jo-Beth, który złamany, wyzuty z wszelkich

nadziei, mówił głosem Tommy-Raya: „...dopływamy do brzegu... dopływamy...” oraz Grillo, wpatzonego w Iad, i Teslę, ginącą z ręki jakiegoś człowieka, do którego zwracała się imieniem.

- Kissoon! Na litość boską! Spójrz na nich! Obejrzyj się!

Kissoon rzucił okiem na czeluść i na brzemień niesione przez fale.

- Widzę ich - powiedział.

- Czy myślisz, że im choć trochę na tobie zależy? Jeżeli przejdą, zginiesz, jak my wszyscy!

- Nie. Przynoszą nowy świat, a ja wyrobiłem w nim miejsce dla siebie. Mam zapewnioną wysoką pozycję. Wiesz, ile lat na to czekałem? Ile mnie to kosztowało zabiegów? Ile morderstw? Oni mi to wynagrodzą.

- Podpisali z tobą umowę, co? Masz to na piśmie?

- Przecież to ja ich wyzwoliłem. To wszystko jest możliwe dzięki mnie. Powinnaś była dołączyć do naszej paczki, jeszcze wtedy w Pętli. Mogłaś pożyczyć mi swoje ciało na jakiś czas. Opiekowałbym się tobą. Ale nie. Miałaś swoje własne ambicje. Jak tamten - spojrzał na Jaffe'a. - On też musiał mieć kawałek tego tortu. Teraz oboje się nim udławicie. - Wiedząc, że Tesla mu teraz nie ucieknie, ponieważ nie miała już dokąd uciekać, puścił ją i podszedł do Jaffe'a. - Doszedł do celu bliżej, niż ty, ale w końcu to facet z jajami.

Z ust Jaffe'a nie dobiegały już radosne okrzyki Tommy-Raya. Wydawał tylko cichy, przeciągły jęk, który mógł pochodzić z krtani tak ojca, jak syna - albo też obydwu.

- Musisz to zobaczyć - powiedział Kissoon prosto w jego udręczoną twarz. - Spójrz na mnie, Jaffe. Chcę, żebyś patrzył!

Tesla spojrzała w otchłań. Ile fal rozbije się jeszcze o brzeg, zanim Iad przybiją do brzegu - kilkanaście? Czy tylko kilka?

Widok Jaffe'a wprawiał Kissoona w rosnące rozdrażnienie. Zaczął nim potrząsać.

- Patrz na mnie, do diabła!

Jego gniew był Tesli na rękę - zyskała chwilę spokoju, będzie mogła podjąć na nowo proces przeniesienia do Pętli.

- Obudź się, niedojdo! Popatrz na mnie. To ja, Kissoon! Wyrwałem się z Pętli!

Uciekłem!

Tesla włączyła monolog Kissoona do sceny, którą tworzyła w swym umyśle. Niczego nie mogła pominąć. Jaffe, Grillo, wierzeje Kosmosu i oczywiście Quiddity - musi wchłonąć to wszystko. Nawet ona sama, która to wszystko wchłonie, musi być częścią tej rzeczywistości, która zostanie przeniesiona, przeżuta i wypluta w inny czas.

Wrzaski Kissoona urwały się nagle.

- Co ty wyprawiasz? - zwrócił się do Tesli. Jego skradziona twarz, nienawykła do gniewu i złości, była groteskowo wykrzywiona. Tesla nie pozwoliła, by ten grymas rozproszył jej uwagę. On też należał do sceny, którą miała wchłonąć. Potrafi uporać się z tym zadaniem.

- Nie waż się! - krzyknął Kissoon. - Słyszysz?!

Słyszała, i jadła dalej.

- Ostrzegam cię! - krzyknął, biegnąc w jej stronę. - Nie waż się!

Te słowa i ton obudziły dalekie echa w zakamarkach pamięci Randolphe'a Jaffe'a. Był kiedyś w jakiejś chacie z człowiekiem, który w ten właśnie sposób zwrócił się do niego. Przypomniał sobie stęchły odór, stojący w chacie, i woń własnego potu. Przypomniał sobie wychudłego starca, siedzącego po drugiej stronie ogniska. A przede wszystkim tamten dialog:

„Nie waż się!”

„Kiedy mi mówią, żebym się nie ważył, to jakby machali czerwoną płachtą przed

bykiem. Niejedno w życiu widziałem... niejedno robiłem..”

Te słowa przypomniały mu, co wtedy zrobił. Ruch jego ręki, sunącej do kieszeni marynarki po nóż o tępym ostrzu, który tylko na to czekał - nóż, który lubił otwierać rzeczy zapieczętowane i tajemne, np. listy albo czaszki.

Znów zabrzmiały te słowa:

„Nie waż się!”

...i zobaczył, co działo się wokół. Jego ramię - parodia potężnej kończyny, która kiedyś należała do niego - powędrowało do kieszeni. Przez wszystkie te lata nosił nóż przy sobie - wciąż tępy, po staremu spragniony.

Jaffe zacisnął na trzonku okaleczone palce. Skupił wzrok na głowie człowieka, który przemówił do niego z głębi wspomnień. Cel był łatwy.

Tesla kątem oka dostrzegła ruch głowy Jaffe'a; widziała, jak odrywa się od ściany, zagłębia prawą rękę w kieszeni i wznosi ją do góry. Tesla nie widziała, co Jaffe trzyma w dłoni aż do ostatniej chwili - kiedy Kissoon zacisnął mocniej palce na jej szyi, a liksy oplotły się wokół jej łydek. Nie pozwoli, by ta napaść przeszkodziła jej w transferze. Napaść także stała się częścią obrazu, który połykała. Jak również Jaffe i jego uniesione ramię.

I nóż, którego błysk wreszcie dostrzegła w ręku Jaffe'a. Nóż wzniósł się i opadł, wbijając się w kark Kissoona.

Szaman krzyknął przeraźliwie; puścił szyję Tesli i chwycił się za tył głowy w obronnym geście. Ten krzyk dobrze jej zrobił - był to krzyk jej wroga.

Nagle przybyło jej sił; zadanie, którego się podjęła, wydało się nagle łatwiejsze niż kiedykolwiek przedtem, jakby Tesla wchłaniała wraz z tym dźwiękiem część mocy Kissoona.

Czuła to wszystko w ustach swojej wyobraźni i żuła dalej. Dom zadrżał, gdy oderwała znaczny jego fragment i posłała w zamknięty czas Pętli.

Nagle zobaczyła światło.

Światło nieustającego świtu w Pętli, sączące się przez drzwi. Wraz ze światłem przyszedł wiatr, który wiał jej w twarz za każdym razem, gdy się tu zjawiała. Powiał przez sień, unosząc drobiny skażeń, rozsiewanych przez Iad, i popędził dalej, przez pustkowie. Gdy ucichł, Tesla spostrzegła, że z oczu Grillo znika szkliste zapatrzenie. Przywarł do futryny drzwi i mrużąc powieki przed blaskiem, potrząsał głową jak pies, złoścący się na pchły. Widząc, że zraniono ich twórcę, liksy zaniechały dalszych ataków, jednak Tesla nie mogła się spodziewać, że dadzą jej spokój na dobre. Nie czekając, aż Kisson ponownie pobudzi je do akcji, rzuciła się w stronę drzwi, przystając tylko po to, by popchnąć Grillo przed sobą.

- Coś ty zrobiła, na Boga - zapytał, kiedy wyszli na dwór, na zblakły piach pustyni.

Tesla odciągnęła go jak najdalej od powykrzywianego budynku; pozbawiony zewnętrznej konstrukcji wzmacniającej, która pomogłaby mu lepiej znieść napór potężnych fal Quiddity, dom rozpadał się na wszystkie strony.

- Chcesz usłyszeć najpierw dobre czy złe wiadomości? - spytała Tesla.

- Dobrze.

- Jesteśmy w Pętli. Przeniosłam tu część willi... - Teraz, kiedy tego dokonała, sama nie mogła w to uwierzyć. - Właśnie, że przeniosłam - powiedziała, jakby Grillo jej zaprzeczał. -

Niech mnie piorun trzaśnie, udało mi się!

- Łącznie z Iad? - spytał Grillo.

- Łącznie z otchłanią i wszystkim, co było po tamtej stronie.

- Więc jakie są te złe wiadomości?

- Tu jest Trinity. Pamiętasz? Punkt zero?

- Jezu...

- A tam - wskazała na stalową wieżę, oddaloną od nich najwyżej ćwierć mili - tam jest ta bomba.

- Kiedy wybuchnie? Czy zdążymy...

- Nie wiem - przerwała mu Tesla. - Może nie wybuchnie, dopóki żyje Kissoon. To on wstrzymywał moment wybuchu przez wszystkie te lata.

- Czy jest stąd jakieś wyjście?

- Owszem.

- Gdzie? Uciekajmy!

- Daj sobie spokój, Grillo. Nie wyjdziemy stąd żywi.

- Możesz zabrać nas stąd myślą - tak samo, jak tu nas sprowadziłaś.

- Nie. Zostaję. Muszę zobaczyć, jak się to wszystko skończy. Zostanę do końca.

- Przecież to właśnie koniec - powiedział Grillo, wskazując na fragment domu. -

Popatrz. - Omiotane falami Quiddity mury waliły się w kłębach cementowego kurzu. -

Jeszcze ci mało tego końca?! Spływamy, do cholery!

W tym zamieszaniu Tesla usiłowała wypatrzeć Kissoona i Jaffe'a, lecz eter morza snów rozlewał się na wszystkie strony, zbyt gęsty, by rozwiął go wiatr. Byli gdzieś w tej zawierusze, ale niewidoczni.

- Tesla! Słyszysz mnie?

- Bomba wybuchnie dopiero wtedy, kiedy umrze Kissoon - powtórzyła Tesla. - On wstrzymuje tę chwilę...

- Już to mówiłaś.

- Jeśli szukasz wyjścia, to leć, może jeszcze zdążysz. To tam - wskazała poprzez chmurę na przeciwległy kraniec miasta. - No, ruszaj.

- Uważasz mnie za tchórza.

- Czy kiedyś nazwałam cię tchórzem?

W ich stronę toczyła się skłębiona fala eteru.

- Jeśli masz iść, to idź - powiedziała z naciskiem, nie odrywając oczu od rumowiska salonu i hallu Coney Eye. Ponad gruzami wisiała w powietrzu przepaść, ledwie widoczna zza nurtów Quiddity. Otwór rósł, w mgnieniu oka podwajając swoje rozmiary. Tesla czekała: za chwilę zobaczy gigantów. Jednak jako pierwszych zobaczyła jakichś ludzi - dwoje ludzi, wyrzuconych przez fale na ten jałowy brzeg.

- Howie? - zawołała Tesla.

Był to rzeczywiście Howie. A z nim Jo-Beth. Tesla zauważyła, że dzieje się z nimi coś niedobrego. Ich twarze i ciała porastała gęstwa narośli jakby zakwitli jakimiś ohydnymi kwiatami. Przetrzymała napór kolejnej fali eteru i ruszyła w ich stronę, głośno nawołując. Pierwsza zauważyła ją Jo-Beth.

Prowadząc Howiego za rękę, odnalazła Teslę w tej zawierusze.

- Tędy - mówiła Tesla. - Musicie odejść od czeluści jak najdalej...

Zatruty eter wywoływał dręczące zwidy, które pragnęły, by je widziano.

Jednak Jo-Beth udało się przedrzeć przez nie myślą i zadać proste pytanie:

- Gdzie jesteśmy?

Na to pytanie nie było prostej odpowiedzi.

- Grillo ci powie. Później - odparła Tesla. - Grillo?

Zobaczyła, że jego oczy nabierają tego nieobecnego wyrazu co wtedy, gdy stał w drzwiach Coney Eye.

- Dzieci - powiedział. - Dlaczego zawsze muszą mnie dręczyć dzieci?

- Nie wiem, o czym mówisz - powiedziała Tesla. - Grillo, posłuchaj mnie.

- Ja... słucham.

- Chciałeś wydostać się z tego miasta. Pokazałam ci drogę, pamiętasz? Trzeba iść przez miasto.
- Przez miasto.
- Po tamtej stronie.
- Dobrze.
- Weź ze sobą Howie'ego i Jo-Beth. Może jeszcze zdążycie.
- Przed czym? - spytał Howie, z wysiłkiem podnosząc głowę obwieszoną potwornymi naroślami.
- Przed bombą albo Iad - odparła. - Wybierz, co wolisz. Dacie radę biec?
- Możemy spróbować - powiedziała Jo-Beth, spoglądając na Howie'ego.
- Więc ruszajcie. Całą trójką.
- Ja... wciąż nie rozumiem... - zaczął Grillo; jego głos zdradzał wpływ Quiddity. -
...dlaczego ja muszę tu zostać?
- Właśnie.
- To proste - powiedziała. - To ostateczna próba. Dla każdego coś innego, pamiętasz?
- Kompletna bzdura - powiedział, wpatrując się w jej oczy, jakby widok Tesli nie dopuszczał do niego szaleństwa.
- Jedyna rozsądna rzecz - odparła.
- Jest tyle rzeczy... - znów zaczął Grillo.
- Słucham?
- ...których ci nie powiedziałem.
- Nie było takiej potrzeby. Mam nadzieję, że ze mną jest tak samo.
- Miałaś rację.
- Oprócz jednej rzeczy. Jest coś, co powinnam ci powiedzieć.

- Co?

- Powinnam ci powiedzieć... - zaczęła i nagle uśmiechnęła się szeroko, uśmiechem niemal ekstatycznym, którego wcale nie musiała udawać, ponieważ zrodził się z jakiejś skrytej, wewnętrznej radości. Tym uśmiechem ucięła zdanie, jak kończyła nieraz rozmowy telefoniczne z Grillo. Odwróciła się i weszła w falę, idącą od wyrwy; wiedziała, że nie mógł iść za nią.

Ktoś szedł jej naprzeciw - jeszcze jeden pływak z morza snów, wyrzucony na brzeg. Tommy-Ray, Chłopiec Śmierci. Los ciężko doświadczył Jo-Beth i Howie'ego, ale w porównaniu z tym, jak się obszedł z Tommy-Rayem, był dla nich bardzo łaskawy. Włosy chłopca zachowały złocistą barwę plaż Malibu, a twarz - promienny uśmiech, od którego Palomo Grove traciło kiedyś głowę. Jednak nie tylko jego zęby olśniewały białością. Równie biała była jego twarz, odbarwiona przez Quiddity. Policzki mu obrzmiały, oczy zapadły się w głąb opuchłych oczodołów. Wyglądał jak żywy kościotrup. Grzbietem dłoni starł z podbródka nitkę śliny; ostre jak szpilki spojrzenie wbił w siostrę, stojącą za Teslą.

- Jo-Beth... - powiedział, sunąc przez nurty ciemnego powietrza.

Tesla zauważyła, że Jo-Beth obejrzała się na mówiącego i odsunęła się nieco od Howie'ego, jakby w zamiarze odejścia. Chociaż Tesłę czekały nie dokończone, pilne sprawy, nie mogła oderwać się od tej sceny. Patrzyła, jak Tommy-Ray idzie po swoją siostrę. Całą tę historię, a przynajmniej jej ostatni rozdział, zapoczątkowała miłość Howie'ego i Jo-Beth. Czy możliwe, by Quiddity zdołało zabić tę miłość?

Odpowiedź przyszła w następnej chwili, kiedy Jo-Beth oddaliła się od Howiego jeszcze bardziej, na długość ramienia, nie wypuszczając z prawej ręki jego lewej dłoni. Nagle Tesla zrozumiała, o co chodziło Jo-Beth. Ci dwoje nie trzymali się tak po prostu za ręce. Byli złączeni; to właśnie Jo-Beth chciała pokazać bratu. Quiddity scalało ich w jedno,

zadzierzgnęło ich splecione palce w nierozzerwalny węzeł.

Słowa były tu zbędne. Tommy-Ray wydał okrzyk odrazy i stanął w miejscu. Tesla nie mogła widzieć wyrazu jego twarzy - prawdopodobnie ta twarz była pozbawiona wszelkiego wyrazu. Kościotrupy potrafią tylko szczerzyć zęby w uśmiechu i wykrzywiać się w grymasie; dwa przeciwieństwa stopione w jedną minę. W panującym półmroku udało się Tesli dostrzec spojrzenie Jo-Beth. Była w nim odrobina współczucia, lecz tylko odrobina.

Poza tym - obojętność.

Tesla widziała, jak Grillo przywołuje zakochanych, po czym wszyscy troje natychmiast odeszli. Tommy-Ray nie ruszył się z miejsca.

- Chłopiec Śmierci? - zapytała.

Odwrócił się w jej stronę. Ten kościotrup wciąż potrafił płakać; w jego oczodołach wezbrały łzy.

- W jakiej odległości za tobą szli Iad? - spytała.

- Iad?

- Te olbrzymy.

- To nie są żadne olbrzymy, tylko ciemność.

- Jak daleko za tobą?

- Bardzo blisko.

Tesla spojrzała w stronę czeluści i zrozumiała, dlaczego mówił o ciemności. Wyrzucana przez fale ciemność wypływała z otworu grudami przypominającymi zakrzepłą smołę, grudy te, wielkości łodzi, zaczynały unosić się w powietrzu nad pustynią. Miały w sobie jakąś postać życia - poruszały się za pomocą kilkadziesiątu bocznie umieszczonych odnóży, które miarowo kurczyły się i rozkurczały, ciągnąc za sobą smugi równie czarnej materii niby strzępy gnijących trzewi. Tesla wiedziała, że to nie Iad; ale byli już niedaleko.

Spojrzała dalej, na stalową wieżę, na platformę na jej szczycie. Ta bomba była ostatecznym przejawem głupoty plemienia, do którego należała Tesla; mogła jednak udowodnić swoją rację bytu, gdyby wybuchła dostatecznie szybko. Ale na platformie nie zamigotała ani jedna iskierka. Bomba spoczywała w swojej kołysce jak niemowlę w beciku, które śpi i nie chce się obudzić.

Kissoon jeszcze żył - wciąż odkładał tę chwilę. Tesla poszła w stronę gruzów z nadzieją, że go odnajdzie i z jeszcze bardziej daremną nadzieją, że pozbawi go życia własnymi rękami. Zdała sobie teraz sprawę, że zbitki ciemności wznosiły się w górę w określonym celu. Układały się warstwami i wiązały jedna z drugą za pomocą wypustek, tworząc ogromną zasłonę.

Wisiała trzydzieści stóp nad ziemią; każda fala wyrzucała nowe zwały czarnych skrzepów, podczas gdy czeluść rozwierała się coraz szerzej.

Zmagając się z rozszalałym powietrzem, szukała śladów Kissoona.

Znalazła i Kissoona i Jaffe'a za hałdą gruzu, który kiedyś był ścianami salonu. Stali naprzeciw siebie, dusząc się nawzajem; Jaffe nie wypuszczał noża z ręki, lecz Kissoon nie pozwalał mu go więcej użyć. Najwyraźniej Jaffe zdążył się już nim posłużyć - ciało należące kiedyś do Raula, było mocno poharatane, rany obficie broczyły krwią. A jednak wyglądało na to, że ciosy noża nie ujęły Kissoonowi sił. W chwili gdy nadeszła Tesla, szaman wraził palce w szyję Jaffe'a, wydzierając zeń ochłapy ciała. Kissoon natychmiast ponowił atak, wyszarpał z rany dalsze strzępy. Tesla krzyknęła, pragnąc oderwać go od morderczej napaści:

- Kissoon!

Szaman spojrzał na nią.

- Za późno - powiedział. - Iad zaraz tu będą.

Powiedział „będą”, nie „są”. Nawet ten drobiazg podniósł ją na duchu.

- Obydwoje przegraliście - stwierdził.

Uderzył Jaffe'a na odlew. Jaffe zachwiał się. Jego wychudzone ciało lekko padało na piach - tak mało ważyło. Potoczył się dalej, nóż wypadł mu z ręki.

Kissoon obrzucił przeciwnika spojrzeniem pełnym pogardy, roześmiał się.

- A ty czegoś się spodziewała, bidulo? - rzucił pod adresem Tesli. - Odroczenia

wyroku? Oślepiającego błysku, który zmiotłby ich wszystkich z powierzchni ziemi? Nie liczy na to. Nie dopuszczę do eksplozji, jeszcze nie czas.

Mówiąc to szedł do niej, lecz w wyniku licznych obrażeń poruszał się wolniej niż zwykle.

- Chciałaś objawienia, to je masz - ciągnął. - Jest tuż-tuż. Chyba powinnaś okazać mu swą cześć. Oto, co powinnaś zrobić - niech zobaczy twoje ciało.

Uniósł ręce - były zakrwawione jak wtedy, w chacie, kiedy po raz pierwszy usłyszała słowo „Trinity”, kiedy ukazała jej się zboczona krwią Mary Murales.

- Piersi - powiedział. - Pokaż im swoje piersi.

Tesla spostrzegła, że Jaffe wstaje z ziemi. Był za plecami Kissoona, w znacznej odległości, i szaman nie zauważył jego ruchu. Nie odrywał oczu od Tesli.

- Chyba pomogę ci je obnażyć. Przyjmij ode mnie tę uprzejmość.

Nie cofnęła się; nie próbowała się opierać. Starła tylko ze swej twarzy wszelki kurz; wiedziała, że potulność innych cenił szczególnie. Jego skrwawione ręce były jej wstrętne, a jeszcze bardziej - zeszywniały, przemokły przód spodni, którym na nią napierał, ale potrafiła ukryć odrazę.

- Grzeczna dziewczynka - powiedział. - Grzeczna dziewczynka.

Położył dłonie na jej piersiach.

- Słuchaj, może byśmy się pociupciali, żeby uczcić obecne tysiąclecie? - spytał.

Nie potrafiła do końca ukryć dreszczu odrazy, jaką przejęły ją ten dotyk i ta propozycja.

- Nie chcesz? - zapytał z nagłą podejrzliwością.

Naraz zrozumiał ich znowę, kiedy spojrzął w lewo. W oczach błysnął mu strach.

Zaczął się obracać w tył - Jaffe był o dwa metry od niego, o metr.

Wzniósł nóż nad głowę; ostrze odbiło błysk oczu Kissoona. Dwa mgnienia światła, które splotły się w jedno.

- Nie... - zaczął Kissoon, ale nóż śmignął w dół, nim zdążył go powstrzymać, prosto w jego szeroko rozwarte prawe oko. Tym razem Kissoon nie krzyknął, tylko wytchnął z siebie powietrze z przeciągłym jękiem. Jaffe wyciągnął nóż i zadał następny cios, równie celny - tym razem w lewe oko. Wparł nóż po samą rękojeść; wyciągnął. Kissoon bił powietrze rękami; kiedy padał na kolana, jego jęk przeszedł w łkanie. Ujawszy nóż oburącz, Jaffe zadał trzeci cios - w szczyt czaszki szamana - i ciosy następne, raniąc wroga w wielu miejscach. Łkania Kissoona ucichły równie nagle, jak się zaczęły. Ręce, którymi niezdarnie osłaniał się od ciosów, zwisły mu bezwładnie. Przez chwilę trwał wyprostowany. Potem runął do przodu.

Tesla odczuła dreszcz radości - przejmujący, jak najwyższa rozkosz cielesna.

Zapra gnęła, by bomba wybuchła właśnie w tej chwili, tak by obie jednocześnie zaznały spełnienia. Kissoon nie żył; teraz i ona mogła umrzeć, wiedząc, że Iad Uroboros szczezną w tym samym momencie.

- No, zaczynaj - zwróciła się do bomby, usiłując przedłużyć uczucie rozkoszy do chwili, gdy zwęglone ciało odpadnie od jej kości. Zaczynaj, proszę cię, rusz się!

Eksplozja wciąż nie następowała. Tesla czuła, że rozkosz powoli w niej zamiera, a w jej miejsce budzi się podejrzenie, że w całej tej sprawie jakiś ważny element uszedł jej uwagi. Jakże to: przecież z chwilą śmierci Kissoona powinno nastąpić wydarzenie, które z takim

trudem wstrzymywał przez wiele lat - wybuch. Teraz, w tej chwili. A jednak nie działo się nic. Stalowa wieża ani drgnęła.

- Co przegapiłam? - pytała samą siebie. - Na litość Boską, co przegapiłam?

Spojrzała na Jaffe'a; stał wciąż nad ciałem Kissoona, nie odrywał od niego wzroku.

- Synchroniczność - powiedział.

- Co?!

- Zabiłem go.

- To chyba nie załatwia sprawy.

- Jakiej sprawy?

- Znajdujemy się w punkcie zero. Jest tu bomba, która zaraz wybuchnie. On

wstrzymywał chwilę wybuchu.

- Kto?

- Kissoon! Przecież to oczywiste.

Nie, mała - powiedziała do siebie. - To wcale nie jest oczywiste. Nagle zrozumiała:

Kissoon opuścił Pętlę w ciele Raula, ale zamierzał wrócić i odzyskać swoje. Kiedy wyszedł w

Kosmos, nie mógł już wstrzymać momentu detonacji. Musiał to robić ktoś inny. Ktoś inny,

czy raczej duch tego kogoś, wciąż nie dawał za wygraną.

- Dokąd idziesz? - zapytał Jaffe, kiedy ruszyła w stronę pustkowia za wieżą. Czy zdoła

choćby odnaleźć tamtą chatę? Nie odstępował jej, wciąż zadawał pytania. - W jaki sposób nas

tu pani przeniosła?

- Połknęłam, a potem wyplułam.

- Jak ja moje ręce?

- Ależ nie. Zupełnie inaczej.

Słońce coraz bardziej niknęło za siecią, uplecioną z czarnych skrzepów; światło

przenikało przez zasłonę nieregularnymi plamami.

- Dokąd pani idzie? - dopytywał się.

- Do chaty. Do chaty Kissoona.

- Po co?

- Niech pan po prostu idzie ze mną. Potrzebuję pomocy.

Zwolnił na chwilę, słysząc okrzyk gdzieś w mroku:

- Tato!

Jaffe przystanął.

- No chodźmy - ponaglała Tesla, ale już wiedziała, że Tommy-Ray znów go jej odebrał.

Najpierw myślą, teraz swoją obecnością.

Tommy-Ray szedł, potykając się, w stronę ojca.

- Pomóż mi, tato.

Jaffe bez słów otworzył ramiona; słowa nie były potrzebne. Tommy-Ray rzucił się w jego objęcia, przywarł do niego kurczowo.

Tesla dała Jaffe'owi ostatnią szansę:

- Więc idzie pan czy nie?

Odpowiedź była krótka:

- Nie - powiedział po prostu.

Nie traciła czasu na dalsze perswazje. Ten chłopiec miał pierwszeństwo.

Prawo pierwotne. Widziała, że obejmują się coraz mocniej, jakby pragnęli udusić się we wzajemnym ścisisku. Potem odwróciła się w stronę wieży i rzuciła pędem przed siebie.

Chociaż zabroniła sobie patrzeć wstecz, kiedy już dotarła do wieży - płuca ją bolały, a czekał ją jeszcze długi bieg, zanim odnajdzie chatę - kiedy więc dotarła do wieży, jednak się obejrzała. Ojciec i syn trwali bez ruchu. Stali w plamie światła, a za nimi wciąż gromadziły

się grudy ciemności. Z tej odległości wyglądało to jak praca jakiejś gigantycznej koronczarki, tkającej całun. Tesla przyglądała się przez chwilę zasłonie, błyskawicznie rozpatrując wszelkie możliwe wyjaśnienia tego zjawiska, aż znalazła rozwiązanie równie absurdalne co wiarygodne: był to welon, zza którego wychylał się Iad Uroboros. Wydało jej się nawet, że za fałdami tej kurtyny zaczynał się jakiś ruch, jakby nadchodziła ciemność jeszcze głębsza.

Tesla oderwała oczy od tego widoku, rzuciła krótkie spojrzenie na wieżę, kryjącą w swym wnętrzu śmiertelne brzemię, i pobięła w stronę chaty.

Ucieczka w kierunku przeciwnym - przez miasteczko, w stronę obrzeża Pętli - była nie mniej wyczerpująca niż wyprawa Tesli. Zbyt byli zdrożeni wyprawami: w głąb ziemi, na morze, na wyspy, w jaskinie, do granic wytrzymałości psychicznej. Ta ostatnia wyprawa wymagała sił, które już dawno wyczerpali. Ich ciała buntowały się przy każdym kroku; twarda ziemia pustyni zdawała się miękkim łóżem w porównaniu z katuszami dalszego marszu. Ale gnał ich najstarszy strach, jaki zna człowiek - strach ludzi uciekających przed dzikim zwierzem. Bestia ta, choć pozbawiona szponów i kłów, była równie niebezpieczna. Dzika bestia ognia. Dopiero wtedy, gdy dotarli do miasta, zwolnili na tyle, by wymienić kilka zdyszanych słów.

- Daleko jeszcze? - zapytała Jo-Beth.

- Po drugiej stronie miasta.

Howie patrzył na zasłonę, tkaną dla Iad; wisiała teraz ponad trzydzieści metrów nad ziemią.

- Jak myślicie, czy oni nas widzą? - spytał.

- Kto? Iad? Nawet, jeśli nas widzą, to chyba nie idą za nami - odparł Grillo.

- To nie Iad - odezwała się Jo-Beth. - To po prostu ich zasłona.

- Więc wciąż mamy szansę - stwierdził Howie.

- Nie traćmy jej - rzucił Grillo i jako pierwszy wszedł na główną ulicę miasteczka.

Odnalezienie chaty nie było kwestią przypadku. Mimo całego rozkojarzenia Tesli, droga do chaty, prowadząca przez bezdroża, wryła się głęboko w pamięć Tesli. Drobiąc kroki (bieg był już ponad jej siły), wróciła myślą do rozmowy z Grillo w motelu, kiedy to przyznała mu się do ogromu zamierzeń w sferze ducha, ku jakim pchała ją ambicja. Nawet gdyby miała umrzeć tu w Pętli - co było sprawą właściwie przesądzoną - to jednak przez tych kilka dni, które minęły od czasu, gdy zawitała w Palomo Grove, zrozumiała więcej z mechanizmu rządzącego światem niż przez wszystkie minione lata. Zaznała przygód pozacielesnych. Stała twarzą w twarz z wcieleniem dobra i zła, a ponieważ różniła się od jednego i drugiego, dowiedziała się nowych rzeczy o sobie samej. Jeśli będzie musiała wkrótce odejść z tego życia - w momencie wybuchu czy też nadejścia Iad - to odejdzie bez żalu.

A przecież tyle innych istnień nie pogodziło się jeszcze z koniecznością śmierci; wiele z nich nie musiało się z nią godzić. Dzieci, zakochani. Ludzie, spokojnie żyjący sobie na całej planecie, których życie dopiero zaczyna się i rozwija. Jeśli Tesla teraz zawiedzie, obudzą się nazajutrz bez żadnych szans na skosztowanie przygód w krainie ducha, gdyż ona ich tych szans pozbawi. Obudzą się jako istoty zniewolone przez Iad. Czy to sprawiedliwe?

Odpowiedziała na to pytanie jeszcze przed przyjazdem do Grove i była to odpowiedź na miarę dwudziestego wieku. Sprawiedliwość nie istnieje; w materialnym systemie wartości nie ma miejsca dla tego wytworu ludzkiego umysłu. A przecież umysł wciąż nurzał się w materii. Tę prawdę objawiło Quiddity. Morze było skrzyżowaniem wszechrzeczy, z niego brały początek wszystkie możliwości.

Quiddity było pierwsze. Przed życiem był sen o życiu. Sen o rzeczywistości poprzedzał rzeczywistość. Zaś umysł, na jawie czy we śnie, wiedział, co to sprawiedliwość.

Sprawiedliwość jest więc równie naturalna jak materia i kiedy jej nie dostaje, nie można

poprzestać na fatalistycznym wzruszeniu ramion. Trzeba wydać wielki krzyk oburzenia; oddać się z pasją poszukiwaniom odpowiedzi: dlaczego jej zabrakło. Jeśli pragnęła ujść z życiem z nadciągającej zagłady, to po to, by wydać ten okrzyk. By dowiedzieć się, jakiej zbrodni dopuścili się ludzie wobec wszechumysłu, że doprowadzili go na skraj przepaści. Warto było żyć, by się tego dowiedzieć.

Zobaczyła chatę. Spojrzenie za siebie potwierdziło jej podejrzenia, że Iad wyłonią się na powierzchni ziemi w cieniu zasłony, utkanej z czarnych gruzłów. Z rozdartej ziemi wychodziły olbrzymy - koszmary ze snów jej dzieciństwa; niebawem odsuną zasłonę. Wtedy ją zobaczą, nadbiegną w kilku grzmiących skokach, rozdepczą ją na miazgę. Ale działały bez pośpiechu. Potrzebowały sporo czasu, by wynurzyć z Quiddity swoje gigantyczne kończyny; by unieść swe ogromne głowy (wielkości domów, z oczyma jak rozjarzone światłem okna) musiały uruchomić całą maszynę kolosalnych tułowi. Szła ku chacie, a przelotny widok nadchodzących wystarczył, by jej umysł rozbił ich na cząsteczki, z których zaczął układać rozwiązanie ich niezmiernie tajemnicy.

Jak się spodziewała, drzwi chaty były zamknięte, ale nie zaryglowane. Otworzyła je. Wewnątrz był Kissoon, czekał na nią. Wstrząs, którego doznała na ten widok, odjął jej dech. Już miała uciekać na dwór, na słońce, kiedy zrozumiała, że duch opuścił to ciało, wsparte o ścianę; tliło się w nim tylko tyle życia, by nie dopuścić do jego rozkładu. W tych szklistych oczach nie było spojrzenia. Zatrzasnęła za sobą drzwi i, nie tracąc więcej czasu, wymieniła imię tego jedyne go ducha, który mógłby wstrzymać moment detonacji w zastępstwie Kissoona.

- Raul!

Stęchłe powietrze chaty zajęczało jego niewidoczną obecnością.

- Raul, na miłość Boską! Wiem, że tu jesteś. Wiem, że się boisz. Ale jeśli mnie

słyszysz, daj mi jakiś znak, dobrze?

Jęk wzmagał się. Tesla miała wrażenie, że Raul krąży po chacie jak mucha złapana w butelkę.

- Raul, musisz puścić. Zaufaj mi. Puść ją z uwięzi!

Skamłający jęk coraz bardziej dawał się Tesli we znaki.

- Nie wiem, jak do tego doszło, że oddałeś mu swoje ciało, ale jestem pewna, że w niczym nie zawiniłeś. On cię oszukał, zamydlił oczy kłamstwami. Ze mną też tak postąpił.

Rozumiesz? To nie twoja wina.

Powietrze nieco się uspokoiło. Wzięła głęboki oddech i ponowiła perswazje;

przypomniała sobie, jak namową i przemocą zabrała go ze sobą z Misji.

- Jeśli ktoś tu zawinił, to ja - ciągnęła. - Przebacz mi, Raul. Obydwoje doszliśmy do

kresu. Kissoon też, jeśli jest to jakaś pociecha. Umarł. Już tu nie wróci. Twojego ciała... już nie odzyskasz. Zostało zniszczone. Tylko w ten sposób można go było zabić.

Teraz doskwierało Tesli nie przenikliwe skamlenie, ale inny, bardziej dojmujący ból:

zrozumiała, jak bardzo musi cierpieć duch Raula. Bezdomny, przerażony, trzyma się kurczowo myśli o bombie, nie umie się od niej uwolnić. Był ofiarą Kissoona, jak kiedyś

Tesla. Są do siebie podobni pod wieloma względami. Obydwoje są nuncjanami, obydwójce

walczyli z własnymi ograniczeniami. Dziwaczna para współników. To stwierdzenie natchnęło

Tesłę nową myślą.

- Czy dwie dusze mogą współżyć w jednym ciele? - zapytała na głos. - Jeśli się boisz... wstąp we mnie.

Powiedziawszy to, zamilkła. Nie popędzała go z obawy, że wpadnie w jeszcze większą panikę. Czekwała obok wystygłych popiołów ogniska, świadoma, że każda sekunda jego

niezdecydowania umacnia pozycje Iad; nie miała więcej argumentów ani zachęt. Ofiarowała

mu więcej niż komukolwiek innemu na świecie: pełne władanie swoim ciałem. Jeśli odmawiał tego daru, ona nie będzie go więcej namawiać.

Czekała z zapartym tchem; minęło kilka chwil, gdy poczuła na karku leciutkie muśnięcie, niby dotyk palców kochanka, które po chwili przeszło ją jak igłą.

- Czy to ty? - zapytała.

W chwili gdy dopowiadała do końca to krótkie pytanie, zadawała je już sobie samej, gdyż jego duch zdążył wnikać w jej umysł.

Nie wywiązał się między nimi dialog - nie był potrzebny. Byli parą bliźniaczych duchów, zamieszkujących jedną powłokę cielesną; ledwie w nią wstąpił, świetnie rozumieli się bez słów. Z jego wspomnień odczytała sposób, jakim posłużył się Kissoon, by nim zawładnąć: z łazienki w North Huntley Drive sprowadził go do Pętli i wykorzystał jego oszołomienie, by użyć go do własnych celów. Raul dał się podejść. Kissoon zdławił jego opór ciężkim jak ołów dymem, narzucił mu drogą hipnozy ten jeden jedyny rozkaz: rozkaz wstrzymania wybuchu, a następnie wydarł go z ciała, by wypełnił swoje zadanie. Raul tkwił w tej pułapce ślepej trwogi, do chwili gdy Tesla otwarła drzwi chaty. Podobnie jak Raul nie musiał jej opowiadać, co do tej pory przeszedł, tak i Tesla nie musiała mu wyjaśniać. Jakie ich czeka przedsięwzięcie. Dzielił jej myśli i plany.

Tesla otworzyła drzwi.

Tworzona dla Iad zasłona była teraz tak obszerna, że jej cień padał na chatę. Tu i ówdzie przebijała się jeszcze garstka promieni, ale żaden nie sięgał progu, na którym stała Tesla. Nad chatą zapadła ciemność. Tesla patrzyła na kurtynę, za którą gromadzili się Iad, potężni jak niszcząca moc gromu, o ramionach dość silnych, by powalać góry.

Teraz - pomyślała. - Albo nigdy. Niech się tak stanie.

NIECH - SIĘ - STANIE.

Czuła, że Raul wprowadza w czyn jej myśl, jego wola ustępuje jej woli i Raul zrzuca z siebie brzemień, którym obarczył go Kissoon. Wydawało się, że ziemia pod nimi zafalowała i poszła falą w stronę wieży, za którą majaczyły przerażające cienie Iad Uroboros. Więziony przez długie lata czas zerwał nareszcie kajdany. Był szesnasty lipca; godzina piąta minut trzydzieści przyszła i minęła, jak minęło wydarzenie, które napiętnowało tę godzinę jako początek Ostatniego Szaleństwa Ludzkości.

Tesla pobiegła myślą do Grillo, Jo-Beth i Howie'ego, nagląc ich, by szybciej przeszli na drugą stronę, do bezpiecznego Kosmosu; wtedy w mroku rozjarzyła się jasność. Tesla nie widziała wieży, ale spostrzegła, że platforma zakołysała się nagle, gdy ukazała się kula ognia, a zaraz potem drugi błysk, najjaskrawsze światło, jakie dotąd widziała, płonące źródło, a zaraz potem oślepiająco białe.

„Nic więcej nie możemy zrobić - pomyślała, kiedy kłęb światła począł ohydnie nabrzmiwać. - Chciałabym być teraz w domu”.

Wyobraziła sobie siebie - kobietę, mężczyznę i małpę w jednym, poturbowanym ciele - stojącą na progu chaty, oświetloną przez blask eksplozji. Następnie wyobraziła sobie tę samą twarz i ciało w innym miejscu.

Zabrało jej to kilka sekund. Lecz myśl jest szybka.

Spojrzała w głąb pustyni: zastępy Iad rozsuwały zasłony, splecione z czarnych gruzłów, podczas gdy płonąca chmura rosła, aż zakryła ich oślepiającym blaskiem. Ich twarze, wielkie jak góry, rozwierały się, rozkwitały niczym monstrualne kwiaty, kiedy Iad, jeden po drugim, szeroko otwierali paszczęki. Widok był przerażający; zdawało się, że w ogromie ich cielsk biegły ukryte labirynty, które zaczęli wywracać na nice w chwili odsunięcia zasłony. Tunele stawały się wieżami z ciała - o ile ta substancja była ciałem - zmieniali się wciąż i od nowa, każda ich część podlegała nieustającym przemianom. Jeśli rzeczywiście lubowali się w

rzeczach dziwaczych, to wszelka ziemską dziwaczość byłaby kojąca wobec tego horrendalnego kalejdoskopu.

Jaffe wspominał o górach i pchłach; Tesla zrozumiała teraz, co miał na myśli. Iad było to plemię lewiatanów, które zaatakowały chmary pasożytów, więc bezustannie wywracali swoje wnętrzości na opak w próżnej nadziei, że pozbędą się robactwa; albo też sami byli pasożytami, pasożytami tak licznymi, że mogli uchodzić za góry. Nie umiałyby powiedzieć, czym naprawdę byli. Zanim zdążyła rozwikłać zagadkę niezliczonych form, które przybierali, zniknęli w błysku eksplozji, spłonęli wraz ze swoją tajemnicą.

W tej samej chwili zniknęła i Pętla Kissoona, wykonawszy swe zadanie w sposób, którego jej twórca nigdy by nie przewidział. Jeśli nawet mechanizm, zawieszony na szczycie wieży, nie spalił Iad doszczętnie, to i tak przepadli, przeszli w stan niebytu, zapętleni w pewną chwilę straconego czasu.

VIII

W chwili gdy Howie, Jo-Beth i Grillo wkraczali na obrzeża Pętli, na ziemię, gdzie traci się orientację czasu i przestrzeni, gdzie czas jest krótką chwilą przed lub po godz. 5:30 rano, 16 lipca 1945 roku (Pętlę stworzył Kissoon i trzymając ją na uwięzi, sam był jej więźniem), za ich plecami rozkwitł kwiat światła. Nie, to nie był kwiat. Grzyby nie mają kwiatów. Żaden z trójki uciekinierów nie obejrzał się za siebie; skrajnie wycieńczeni, zerwali się do ostatniego, nadludzkiego biegu, który przeniósł ich w bezpieczny czas rzeczywisty, podczas gdy za ich plecami rosła pożoga. Potem długo leżeli na jałowej ziemi pustyni, niezdolni do jakiegokolwiek ruchu.

Zmusili się do wstania dopiero wtedy, gdy dalszy odpoczynek groził, że upieką się żywcem.

Droga do Kalifornii była długa i trudna. Błądzili przez godzinę, zanim odnaleźli

autostradę; po następnej godzinie dotarli do jakiegoś opuszczonego warsztatu samochodowego niedaleko autostrady. Tam Grillo pozostawił zakochaną parę; wiedział, że na widok takich dziwolągów żaden kierowca nie zaprosi ich do samochodu. Po dość długim czasie udało mu się dojechać okazją do jakiejś miejsciny, gdzie za całą zawartość swojego portfela, łącznie z kartami kredytowymi, nabył zdezelowaną ciężarówkę, po czym wrócił do garażu, by zabrać Jo-Beth i Howie'ego do hrabstwa Ventura.

Leżeli w tyle ciężarówki pogrążeni w głębokim śnie, tak wyczerpani, że nic nie mogłoby ich obudzić. Do Grove dotarli tuż przed świtem, następnego dnia, ale wjazd na teren miasta był niemożliwy. Te same władze, przedtem tak opieszale i niedbałe lub może - jak podejrzewał Grillo - działające w zмовie z siłami zniszczenia, teraz, gdy proces zniszczenia ustał, wykazywały obsesyjną wprost ostrożność. Miasto otoczono kordonem. Grillo nie próbował obejść zakazu. Po prostu zawrócił przed rogatekami i jechał przed siebie, aż znalazł miejsce, gdzie mógł zaparkować ciężarówkę i spać. Nikt nie zakłócił ich spoczynku. Kiedy obudził się po kilku godzinach, tylne siedzenie było puste. Bolały go wszystkie kości; wyszedł z samochodu, wysikał się i poszedł szukać zakochanych. Siedzieli na zboczu pagórka, wygrzewali się w słońcu. Zmiany, które wywołały w nich wody Quiddity, już zaczynały ustępować. Palce ich dłoni rozdzieliły się, słońce zdążyło wypalić dziwaczne narośla, które przedtem odmieniły ich twarze nie do poznania, pozostawiając tylko nikłe ich ślady na niepokalanie gładkiej skórze. Pewnie z czasem znikną i one. Ale chyba nigdy nie zniknie ten cień, który dostrzegł w ich oczach, kiedy podnieśli na niego wzrok; tak patrzy dwoje ludzi, połączonych przeżyciem, którego z nikim innym nie dzielili - to wspólne doświadczenie sprawia, że biorą się nawzajem we władanie. Grillo spędził w ich towarzystwie niewiele ponad minutę, a już czuł się jak intruz.

Przez chwilę zastanawiali się wspólnie nad najrozsądniejszym wyjściem z sytuacji;

doszli do wniosku, że najlepiej będzie pozostać niedaleko Grove.

Zakochani ani słowem nie wspomnieli o zajściach w Pętli czy Quiddity, chociaż Grillo paliła ciekawość; chętnie wypytałby ich, co odczuwali, pływając po morzu snów.

Uzgodniwszy z grubsza plany na najbliższą przyszłość, Grillo wrócił do ciężarówki i czekał. Nadeszli po kilku minutach, trzymając się za ręce.

W trakcie przenoszenia fragmentów Coney Eye, Tesla miała sporą widownię.

Obserwatorzy i fotoreporterzy, usadowieni w samochodach, stojących na Wzgórzu, oraz unoszący się w helikopterach, widzieli, jak fasada willi szarzeje, staje się przezroczysta, a w końcu znika zupełnie.

Kiedy tak nagle zabrakło sporej części budowli, cały dom poddał się sile ciężenia.

Gdyby świadków wydarzenia było tylko dwoje czy troje, można byłoby podać w wątpliwość prawdziwość ich spostrzeżeń. Wiadomość o nagłym przeniesieniu kawałków drewna i łupku w inny wymiar podałyby tylko „National Enquirer” i pokrewne mu wydawnictwa, obdarzone równie wielką wyobraźnią. Ale widzów było dwudziestu dwóch. Każdy opisywał, co widział, w sobie właściwy sposób, jedni zwięźle, inni - kwiecicie, ale zasadnicze fakty pozostały nie zmienione. Znaczną część vansowskich zbiorów prawdziwej sztuki amerykańskiej przeniesiono zniemacka w inną rzeczywistość.

Niektórzy świadkowie zajścia (ci najbardziej zmęczeni) twierdzili nawet, że przez chwilę widzieli tamto miejsce. Biały horyzont i jasne niebo, tuman kurzu pędzony przez wiatr. Może była to Nevada albo Utah. Albo jakieś inne płaskie pustkowie. W Ameryce było wiele takich miejsc. Jest to ogromny kraj i nie brak w nim takich pustych, otwartych przestrzeni - miejsc, gdzie pojawiał się dom, którego nikt nigdy nie odnalazł; gdzie dzień po dniu rozgrywały się tajemnicze wydarzenia, a nikt o nich nie wiedział. Po tym, co widzieli, kilku z obecnych pomyślało, że może kraj był zbyt wielki; zbyt wiele było w nim otwartych

przestrzeni. Ta myśl nawiedziła ich właśnie teraz i odtąd nie dawała im spokoju.

Jedną z tych przestrzeni - przynajmniej w przewidywalnej przyszłości - miał być teren, na którym wzniesiono Palomo Grove.

Proces zagłady miasta nie zakończył się w momencie przeniesienia Coney Eye do Pętli.

Do tego było jeszcze daleko. Ziemia długo musiała czekać na znak, nim go otrzymała.

Pęknięcia rozrastały się w szczeliny, szczeliny - w czeluście, w których ginęły całe ulice.

Najbardziej ucierpiały dzielnice Windbluff i Deerdell; ta ostatnia legła w gruzach w wyniku

fali uderzeniowej, idącej od pobliskich lasów, które znikły z powierzchni ziemi, zostawiając

dymiące pogorzelsko. Wzgórze i jego pyszne rezydencje dosięgnął równie ciężki cios, a

raczej wiele ciosów. Najbardziej ucierpiały nie te wille, które stały tuż poniżej Coney Eye (co

zresztą nie miałyby większego znaczenia - właściciele wyjechali jako jedni z pierwszych,

zarzekając się, że więcej nie wrócą), lecz Łuki. Łuk Emersona przesunął się na południe o

prawie dwieście metrów, przy czym domy składały się w harmonijkę. Łuk Whitmana poszedł

w kierunku zachodnim; Jakiś kaprys geologii sprawił, że powpadały w ogrodowe baseny.

Pozostałe trzy Łuki były po prostu zrównane z ziemią; zwały gruzów sunęły w dół,

uszkadzając wiele stojących niżej domów. To wszystko nie miało zresztą większego

znaczenia. Nikt nie ratował mienia, pozostawionego w tych domach. Cały ten obszar uznano

za niebezpieczny na okres sześciu dni. W tym czasie nikt nie gasił szalejących tam pożarów,

pustoszących wiele domów, których jeszcze nie zdruzgotały wstrząsy ani nie pochłonięła

ziemia. Pod tym względem najmniej szczęścia miała Stillbrook. Mieszkańcy tej dzielnicy

mogliby uratować ze swoich domostw trochę mienia, gdyby nie zajął się ogniem pewien

budynek przy ulicy Fellowship. Tamtej nocy wiał wiatr, podobny temu, który niedawno

wywołał growian na dwór, by wdychali powietrze idące od oceanu.

Porywisty wicher roznosił po dzielnicy ogień z przerażającą szybkością.

Nim nastał ranek, z połowy dzielnicy zostały tylko popioły. Do wieczora ogień strawił resztę.

Grillo wrócił do Grove w noc następującą po pożodze w Stillbrook, a sześć dni po wydarzeniach na Wzgórzu. Przespał prawie połowę tego czasu, ale wypoczynek nie wyszedł mu na zdrowie. Sen nie ukoił - jak dawniej - jego niepokoju, nie wzmocnił Grillo ani nie pocieszył. Kiedy przymykał powieki, przed jego oczyma przesuwał się nieustannie korowód wydarzeń.

Większość z tych scen odnosiła się do najnowszej przeszłości. Jedną z głównych sił odgrywała Ellen Nguyen; nalegała, by dał spokój pocałunkom a użył zębów. Często ukazywał się także jej synek, siedzący na łóżku pośród Baloniarzy. Gościnne występy dawała Rochelle Vance - nieruchoma, milcząc, wystawiała swoją piękność na pokaz; na dole, w Pasażu stał Dobry Człowiek Fletcher. Na górnym piętrze Coney Eye dżaff wydzielał pęcherzyki. Był i Witt - żywy, i Witt martwy - w wodzie, z twarzą w dół.

Ale gwiazdą przedstawienia była Tesla. Po raz ostatni zagrała mu na nosie, uśmiechnęła się i odeszła bez pożegnania, chociaż wiedziała, że może już się nie zobaczą. Nigdy nie byli kochankami; nie byli nawet blisko zżyci.

Właściwie nigdy nie był pewien, co do niej czuje. Z pewnością była to miłość, lecz miłość, której nie sposób wyrazić. Żal po niej był więc równie nieokreślony.

Poczucie, że sprawa między nim i Teslą wciąż była nie załatwiona, powstrzymywało go od telefonu do Abernethy'ego, chociaż Abernethy kilkakrotnie zostawiał wiadomość automatycznej sekretarce w jego domu i Grillo mocno świerzbila ręką, by przekazać gazecie swój reportaż. Tesla miała poważne wątpliwości, czy powinien podać te fakty do publicznej wiadomości, nawet jeśli w końcu dała mu swoje przyzwolenie. Jednak zgodziła się tylko dlatego, że uznała całą sprawę za bezprzedmiotową, w sytuacji gdy świat się kończył i

nadzieja ocalenia była nikła. Ale koniec świata nie nastąpił, a Tesla zginęła, usiłując go ratować. Grillo czuł, że honor nakazuje mu milczenie. Mimo całej swojej dyskrecji, nie potrafił jednak powstrzymać się od powrotu do Grove, by śledzić konanie miasta.

Kiedy przyjechał. Grove było wciąż strefą zamkniętą; policyjne barykady odcinały je od reszty świata. Barykady łatwo można było wyminąć. Strażnicy Grove zaniedbywali się w swoich obowiązkach od dnia, gdy zabroniono wstępu do miasta, ponieważ od tej pory bardzo niewielu śmiazków - ciekawskich, szabrowników czy stałych mieszkańców - odważyło się wdrzeć w jego niespokojne ulice. Z łatwością prześliznął się przez kordon i ruszył na zwiady. Wicher, który poprzedniego dnia szerzył w Stillbrook pożogę, teraz ucichł zupełnie. Dym pogorzelniska, słodkawy zapach ogniska z suchych bierwion, był już słabo wyczuwalny. W innych warunkach Grillo mógłby popaść w elegijny nastrój, ale zbyt dobrze poznał Grove i jego tragiczne dzieje, by pozwolić sobie na sentymenty. Widok zniszczeń musiał budzić uczucie prawdziwego żalu nad losem miasta. Jego najcięższym grzechem była hipokryzja: żyło sobie wesolutko pod słonecznym niebem, świadomie ukrywając mroczną tajemnicę swojej istoty. Ta istota wypociła z siebie lęki i strachy oraz sprawiła, że sny stały się na jakiś czas rzeczywistością. Właśnie te lęki i marzenia, a nie Jaffe i Fletcher, doprowadziły do ostatecznego zniszczenia miasta. Nuncjanie użyli miasta jako pola walki, ale w swojej wojnie nie wymyślili niczego ponad to, co Grove od dawna hodowało w swoim sercu.

Grillo szedł przez miasto i zastanawiał się, czy nie mógłby opowiedzieć historii Grove w taki sposób, by nie łamać zakazu Tesli. Gdyby, na przykład, odrzucił metodę Swifta i rozejrzał się za jakąś poetycką formą przekazu swoich doznań. Już przedtem rozważał taką możliwość, ale obecnie (Jak i dawniej) wiedział, że sprawa jest z góry skazana na niepowodzenie.

Przyjechał do Grove jako reporter, który opisuje dokładnie to, co widzi, i żadna z

rzeczy, które tu widział, nie zniechęci go do uprawiania rzetelnego reportażu.

Obszedł miasto dookoła, wystrzegając się tylko miejsc, z których z pewnością nie uszedłby z życiem, notując w pamięci wszystko, co widział, chociaż wiedział, że nie będzie mógł wykorzystać tych spostrzeżeń. Następnie wymknął się niezauważalnie z miasta i wrócił do Los Angeles, by nocami wciąż oglądać we śnie powtórki dawnych wspomnień.

Inaczej rzecz się miała z Jo-Beth i Howiem. Ciemną noc swoich dusz przeżyli na morzach Quiddity, a noce, które spędzili po powrocie do Kosmosu, były wolne od marzeń sennych. W każdym razie po przebudzeniu nie pamiętali niczego.

Howie przekonywał Jo-Beth, że najlepiej zrobiliby, gdyby wyjechali do Chicago, ale ona upierała się, że na to jeszcze za wcześnie. Nie miała zamiaru opuszczać Grove, dopóki pozostawało obszarem klęski żywiołowej, dopóki spod rumowiska nie wydobędzie się ciała ofiar. Była zupełnie pewna, że matka nie żyje. Ale zanim odnajdą jej ciało i wywiozą z Grove, by urządzić jej chrześcijański pogrzeb, nie mogą nawet myśleć o wspólnym życiu z dala od tej ziemi tragicznej.

Na razie przeprowadzali wielką kurację; odbywali ją za zamkniętymi drzwiami motelu w Thousand Oaks, niezbyt daleko od Grove. Kiedy miasto zostanie znów uznane za bezpieczne, Jo-Beth wróci tam jako jedna z pierwszych. Ślady, które zostawiło na nich Quiddity, były wkrótce już tylko wspomnieniem, a oni trwali w stanie dziwnego zawieszenia. Wszystko się skończyło, nic nowego jeszcze się nie zaczęło. Czekając, oddalali się od siebie. Nie chcieli tego, ale nic nie mogli na to poradzić. Miłość, która zaczęła się w Barze Hamburgerowym Butricka, wywołała serię kataklizmów; wiedzieli, że nikt nie może ich za nie winić, ale pamięć o nich wciąż ich prześladowała. Zaczęły ich dręczyć wyrzuty sumienia, coraz silniejsze w miarę jak wracali do ludzkiego wyglądu i uświadamiali sobie, że w przeciwieństwie do kilkudziesięciu, jeśli nie kilkuset, niewinnych ofiar growiańskiej tragedii,

oni wyszli z zagłady bez żadnych obrażeń cielesnych.

Siódmego dnia po zajściach w Pętli Kissoona, dzienniki poranne doniosły, że grupy ratowników wkraczają do miasta. Zagłada Grove zdążyła już oczywiście nabrać ogromnego rozgłosu; wokół aż roiło się od przeróżnych teorii, wyjaśniających, dlaczego właśnie to miasto dotknął taki ogrom zniszczeń, podczas gdy reszta Doliny wyszła z opresji bez szwanku, jeśli nie liczyć kilku łagodnych wstrząsów i paru szczelin w autostradzie.

Doniesienia te ani słowem nie wspomniały o zjawiskach, jakie zaobserwowano w Coney Eye.

Rządowe naciski zamknęły usta ludziom, którzy na własne oczy widzieli rzeczy niemożliwe.

Początkowo wkraczano do Grove z wielką ostrożnością, ale już pod koniec dnia miasto zaroilo się od powracających, którzy pragnęli uratować z rumowiska jakieś rodzinne pamiątki i drobiazgi. Kilku się poszczęściło.

Większości - nie. Na jednego growianina, który wrócił na znajomą niegdyś ulicę i odnalazł swój dom nietknięty, przypadało sześciu, których powitało ponure pobojowisko.

Wszystko przepadło; co nie zapadło się po prostu pod ziemię, leżało strzaskane, rozbite, zdruzgotane. Paradoks chciał, że ze wszystkich dzielnic najmniej ucierpiała ta najmniej ludna - Pasaż Handlowy z przyległościami. Tablica z polerowanej sośniny z napisem „Centrum Handlowe w Palomo Grove”, ustawiona przy wjeździe na parking, zapadła się w jakąś dziurę, ale sklepy były prawie wcale nie uszkodzone, co miało ten oczywisty skutek, że wszczęto śledztwo w sprawie morderstwa (nigdy nie wyjaśnionego) w sklepie zoologicznym, gdy odkryto tam ludzkie zwłoki. Po usunięciu zwłok, wystarczyłoby właściwie odkurzenie lokali sklepowych i Pasaż mógłby podjąć działalność jeszcze tego samego dnia - gdyby w Grove znaleźli się jacyś klienci. Marvin Junior, właściciel sklepu z artykułami spożywczo-monopolowymi Marvina, jako pierwszy zaczął wywozić nie uszkodzone towary. Jego brat miał w Pasadenie sklep i klientów, których nie obchodziło, skąd brał przecenione artykuły.

Nie tłumacząc się przed nikim, wziął się natychmiast za spekulację. W końcu handel to handel.

Innym wywozem, bardziej posępnej natury, było wydobywanie i wywóz z Grove ludzkich ciał. Sprowadzono psy i aparaturę nasłuchową w celu sprawdzenia, czy pod rumowiskiem nie pozostał jakiś żywy człowiek, lecz wszystkie wysiłki były bezowocne. Przystąpiono więc do posępnego dzieła - wydobywania zwłok. Z całą pewnością nie odnaleziono ciał wszystkich growian, którzy postradali życie. W zestawieniu końcowym, sporządzonym prawie dwa tygodnie po rozpoczęciu poszukiwań, nie doliczono się czterdziestu jeden growian. Ziemia wezwała ich do siebie i zamknęła w sobie na wieki. Albo też wzmiankowani obywatele, korzystając z okazji, wymknęli się wieczorową porą, by wymyślić sobie inne dane i rozpocząć nowe życie. Do ostatniej grupy, jak mówiono, zaliczono Williama Witta; jego ciała nigdy nie odnaleziono, ale w jego domu wykryto w trakcie śledztwa cały skład materiałów pornograficznych - na długie miesiące dostarczyłyby zajęcia koszarom w kilku miastach. Tak, tak, William Witt prowadził podwójne życie; powszechnie podejrzewano go o wyjazd w inne okolice, inne życie.

Kiedy zidentyfikowano jedno z dwóch ciał ze sklepu zoologicznego jako ciało Jima Hotchkissa, paru przenikliwszych dziennikarzy zauważyło, że jego życie było splotem tragicznych wydarzeń. Jego córka - przypomnieli czytelnikom - należała do tzw. Zmowy Dziewic, co stwierdziwszy, poświęcili cały akapit rozważaniom na temat zgryzot, których Grove zaznało w ciągu swojego niedługiego żywota. Czy to miasto było od początku skazane na zagładę - zastanawiali się komentatorzy obdarzeni bujniejszą wyobraźnią - z tej racji, że wzniesiono je na przeklętej ziemi? Ta myśl zawierała pewną pociechę. A jeśli nie. Jeśli Grove było po prostu przypadkową ofiarą, to jak wiele podobnych społeczności amerykańskich było narażonych na porównywalną gehennę?

Zwłoki Joyce McGuire znaleziono w drugim dniu poszukiwań w ruinach jej własnego domu, który ucierpiał o wiele bardziej niż wszystkie sąsiednie budynki. Zabrano je wraz z innymi do prowizorycznej kostnicy w Thousand Oaks w celu identyfikacji. To przygnębiające zadanie przypadło Jo-Beth; jej brata zaliczono do grupy czterdziestu jeden zaginionych. Po identyfikacji, rozpoczęły się przygotowania do jej pogrzebu. Kościół Mormonów zajął się swoimi wiernymi. Pastor John przeżył trzęsienie ziemi (dokładnie mówiąc, opuścił Grove po nocnej napaści dżaffa na dom McGuire'ów i wrócił dopiero wtedy, gdy wszystko się uspokoiło) i właśnie on zorganizował pogrzeb matki. W tym czasie Howie spotkał się z pastorem tylko raz i natychmiast wypomnił mu tamtą noc, kiedy pastor chlapał przytulony do lodówki.

Pastor stanowczo stwierdził, że nic podobnego sobie nie przypomina.

- Szkoda, że nie mam zdjęcia - powiedział Howie. - Może by sobie pastor przypomniał, jak było. Ale mam ten obraz tutaj - dotknął swojej skroni, z której już zniknęły ślady pozostawione przez Quiddity. - Na wypadek pokusy.

- Jakiej pokusy? - zdziwił się pastor.

- Żeby zostać jednym z wiernych.

Matka McGuire'ów odeszła do wybranego przez siebie Boga dwa dni po tej rozmowie.

Howie nie wziął udziału w tym obrzędzie; czekał na zewnątrz na Jo-Beth. Dwadzieścia cztery godziny później wyjechali do Chicago.

Co nie znaczy, że na dobre wypadli z tej gry. Po raz pierwszy uświadomili sobie, że poprzez przygodę Kosmosu i Quiddity weszli w skład doborowej grupy zawodników, kiedy - trzy dni po ich przyjeździe do Chicago - zapukał do ich drzwi wysoki, wciąż jeszcze bardzo przystojny nieznajomy, ubrany nieco zbyt lekko jak na tę pogodę, i przedstawił się jako

D'Amour.

- Chciałbym porozmawiać o tym, co się zdarzyło w Palomo Grove - zwrócił się do Howie'ego.

- Jak nas pan odnalazł?

- Odnajdywanie ludzi to moja praca - wyjaśnił Harry. - Może Tesla Bombeck wspomniała coś o mnie?

- Nie, chyba nie.

- Może pan ją o mnie zapytać.

- Nie mogę. Przecież ona nie żyje - przypomniał mu Howie.

- No tak - przyznał D'Amour. - Nie żyje. Pomyliło mi się.

- Nawet jeśli ją pan znał, to i tak Jo-Beth i ja nie mamy panu nic do powiedzenia.

Chcemy zapomnieć o Grove.

- To może być trudne - odezwał się za nim czyjś głos.

- Howie, kto to jest?

- Mówi, że znał Teslę.

- D'Amour - przedstawił się przybysz - Harry D'Amour. Byłbym bardzo wdzięczny za kilka minut rozmowy. Tylko kilka. To bardzo ważne.

Howie popatrzył na Jo-Beth.

- Dlaczego by nie? - powiedziała.

- Wściekły ziab - rzucił D'Amour, wchodząc do mieszkania. - Co się stało z latem?

- Wszystko idzie na opak - stwierdziła Jo-Beth.

- Zauważyła pani.

- O czym wy mówicie? - zdziwił się Howie.

- O najnowszych wydarzeniach - odparła. - Czytam gazety, słucham radia, a ty nie.

- Zupełnie jakby noc w noc była pełnia księżyca - powiedział D'Amour. - Wielu ludzi

dziwacznie się zachowuje. Od katastrofy w Grove liczba samobójstw podwoiła się. W całym kraju, w zakładach dla psychicznie chorych wybuchają bunty. A założę się, że widzimy tylko małą część tego, co się naprawdę dzieje. Wiele rzeczy się ukrywa.

- Kto je ukrywa?

- Rząd. Kościół. Czy ja trafiłem do was jako pierwszy?

- Tak - przytaknął Howie. - A dlaczego pan pyta? Czy mają być i inni?

- Z pewnością. Wy dwoje jesteście w centrum tej całej awantury...

- To nie nasza wina! - zaprotestował Howie.

- Nic podobnego nie twierdzą. Naprawdę, nie po to tu przyszedłem, żeby was o cokolwiek oskarżać. I jestem przekonany, że zasługujecie na spokojne życie. Ale to niemożliwe. Taka jest prawda. Jesteście zbyt ważni. Zbyt wiele widzieliście. Nasi o tym wiedzą. Tamci też.

- Jacy tamci? - spytała Jo-Beth.

- Ludzie Iad. Piąta kolumna, która wstrzymywała armię od akcji, kiedy zanosilo się na inwazję Iad.

- Skąd pan tyle wie na ten temat? - zapytał Howie.

- Wolałbym na razie nie ujawniać źródeł informacji, ale mam nadzieję, że kiedyś będzie to możliwe.

- Mówi pan tak, jakbyśmy w całej tej sprawie mieli z wami coś wspólnego - powiedział Howie. - A tak wcale nie jest. Ma pan rację co do tego, że chcemy spokojnie przeżyć nasze życie, we dwoje. I jeśli to będzie konieczne, wyjedziemy do Europy, Australii, dokądkolwiek - żeby żyć w spokoju.

- Odnajdą was. W Grove byli zbyt blisko zwycięstwa, żeby teraz wszystko zostawić i odejść. Wiedzą, że napędzili nam strachu. Wody Quiddity są skażone. Nikt już nie będzie się

cieszył słodkimi snami. Tamci mogą nas łatwo dopaść i dobrze o tym wiedzą. Chcecie żyć zwyczajnie, ale to po prostu niemożliwe. Pamiętajcie, kim byli wasi ojcowie.

Teraz Jo-Beth okazała swoje wzburzenie:

- A co pan wie o naszych ojcach?!

- Choćby to, że nie poszli do nieba - odparł D'Amour. - Przepraszam. To nie było eleganckie. Jak powiedziałem, mam swoje źródła i mam nadzieję, że już wkrótce będę mógł je ujawnić. Tymczasem chciałbym lepiej zrozumieć zajścia w Grove, żebyśmy wiedzieli, co robić dalej.

- Żałuję, że tego zaniedbałem - powiedział Howie cichym głosem. - Miałem szansę dowiedzieć się wszystkiego od Fletchera, ale z niej nie skorzystałem.

- Jest pan synem Fletchera. Jego duch jest w panu. Wystarczy, jeśli mu się pan przysłucha.

- To był geniusz - Howie zwrócił się do Harry'ego. - Naprawdę w to wierzę. Na pewno przez długie okresy mekskalina pozbawiała go rozumu, ale jednak był geniuszem.

- Chciałbym dowiedzieć się o nim czegoś więcej. A czy pan chciałby mi o nim opowiedzieć? - spytał Harry.

Howie długo patrzył na niego w milczeniu. Potem westchnął i powiedział prawie zdziwiony:

- Tak. Chyba tak.

Grillo siedział w kawiarni „Lata Pięćdziesiąte” na Bulwarze Van Nuys w Sherman Oaks, usiłując przypomnieć sobie, na czym polega przyjemność jedzenia, gdy ktoś wszedł do jego boksu i usadowił się naprzeciwko niego.

Była trzecia czy czwarta po południu i w kawiarni było dość luźno. Uniósł głowę, gotów bronić swojego prawa do odrobiny prywatności, ale wykrztusił tylko jedno słowo:

- Tesla?

Siedziała przed nim w całej swojej bombeckowskiej krasie: w ciemnobłękitnej bluzie, ozdobionej mnóstwem glinianych broszek w kształcie łabędzi, wokół głowy omotała czerwoną chustę, na nosie - ciemne okulary.

Twarz miała bladą, ale usta wymalowała sinofioletową pomadką - ten odcień mocno gryzł się z kolorem chustki. Kiedy zsunęła nieco okulary z nosa, okazało się, że cień do powiek miał tę samą buntowniczą barwę.

- Tak - powiedziała.

- Co tak?

- Tak, jestem Tesla.

- Myślałem, że umarłaś.

- Owszem, popełniłam ten błąd. O to nietrudno.

- A może to jakieś złudzenie? - powiedział Grillo.

- Przecież wszystko dokoła jest złudzeniem! Wszystko jest grą, wszystko jest na niby!

Czy my jesteśmy bardziej nierealni niż ty? Nie!

- My?

- Zaraz do tego dojdę. Najpierw porozmawiajmy o tobie. Co u ciebie?

- Nie bardzo jest o czym mówić. Jeździłem parę razy do Grove, żeby zobaczyć, kto przeżył.

- Ellen Nguyen?

- Nie odnaleziono jej. Ani Philipa. Sam przeszukiwałem rumowisko. Bóg wie, co się z nią stało.

- Chcesz, żebyśmy jej poszukali? Teraz mamy kontakty. Mój powrót do domu nie był zbyt zabawny. Musiałam jakoś załatwić sprawę trupa w moim mieszkaniu. Gromady ludzi

zadawały mi masę podchwytliwych pytań. Ale ponieważ teraz zdobyłam pewne wpływy, więc z nich korzystam.

- Co to za historia z tym „my”?

- Będziesz jadł tego cheeseburgera?

- Nie.

- Świetnie - przysunęła jego talerz do siebie. - Pamiętasz Raula?

- Widziałem tylko jego ciało.

- No więc teraz masz przed sobą jego ducha.

- Słucham?

- Odnalazłam Raula w Pętli. W każdym razie jego ducha. - Uśmiechnęła się

upaćkanymi keczupem wargami. - Trudno jest przedstawić tę sprawę elegancko... ale on jest we mnie. On sam, małpa, którą kiedyś był, i ja - wszyscy w jednym ciele.

- Twoje marzenie spełniło się - powiedział Grillo. - Każdemu według jego życzenia.

- Tak, uważam, że masz rację. To znaczy, my tak uważamy. Wciąż zapominam, że jest nas więcej. Może to i dobrze.

- Masz ser na brodzie.

- No tak, sprowadzasz nas na ziemię.

- Spróbuj mnie zrozumieć. Cieszę się, że cię widzę. Ale... dopiero zaczynałem przyzwyczajać się do myśli, że ciebie nie ma. Czy mam cię dalej nazywać Tesłą?

- Niby dlaczego nie?

- Bo już nią nie jesteś, prawda? Jesteś kimś więcej.

- Tesla wystarczy. Jest się tym, na kogo się wygląda, zgoda?

- Pewnie tak - przyznał Grillo. - Czy wyglądam na osobę, która jest zupełnie wyprowadzona z równowagi?

- Nie. A jesteś?

Potrząsnął głową.

- Dziwne, ale nie. Jestem zupełnie spokojny.

- Oto mój stary, kochany Grillo.

- Chyba chciałaś powiedzieć: nasz?

- Nie, mój. Możesz sobie przelatywać te wszystkie piękne lale w Los Angeles, a i tak należysz do mnie. Jestem wielką niewiadomą w twoim życiu.

- To jakiś spisek.

- Nie podoba ci się?

Grillo uśmiechnął się:

- Nie jest źle.

- Nie bądź taką nieśmiałą panienką - powiedziała, biorąc go za rękę. - Przed nami jeszcze niejedno i chcę wiedzieć, czy ze mną trzymasz.

- Przecież wiesz, że tak.

- Dobrze. Jak mówiłam, przejażdżka jeszcze się nie zakończyła.

- Dobrze. Skąd wytrzasnęłaś to określenie? To ja je wymyśliłem.

- Kwestia synchroniczności - powiedziała Tesla. - Na czym stanęłam? D'Amour uważa, że teraz wezmą się za Nowy Jork. Mają tam swoje dojścia. Nie od dziś. Więc ja kompletuję jedną połowę zespołu, a D'Amour drugą.

- A ja? - zapytał Grillo.

- Jak ci się podoba Omaha w stanie Nebraska?

- Średnio.

- Możesz wierzyć lub nie, ale właśnie tam zaczęła się ta ostatnia faza. W urzędzie pocztowym w Omaha.

- Żartujesz sobie.
- Właśnie tam dżaff nabił sobie głowę tym niedowarzoną pojęciem Sztuki.
- Dlaczego niedowarzoną?
- Rozwikłał tylko część zagadki, nie całość.
- Nie rozumiem.
- Nawet Kisson nie wiedział, czym naprawdę jest Sztuka. Miał o niej pewne pojęcie, ale niewielkie. Sztuka jest wielka, potężna. Obala zasady czasu i przestrzeni. Wszystko na powrót jednoczy. „Przeszłość, przyszłość i tę chwilę rozmarzenia między nimi... jeden dzień nieśmiertelności...”
- To piękne - powiedział Grillo.
- Czy spodobałoby się Swiftowi?
- Chrzanić Swifta.
- Zasłużył sobie na to.
- Więc... Omaha?
- Tam zaczniemy. Tam napływają z całej Ameryki wszystkie nie doręczone przesyłki. Możemy tam trafić na jakiś ślad. Ludzie wiedzą niejedno, Grillo. Nawet, jeśli nie zdają sobie z tego sprawy, to i tak wiedzą. Dlatego jesteśmy tacy cudowni.
- I piszą o tym?
- Tak. I zanoszą listy na pocztę.
- A listy lądują w Omaha?
- Niektóre z nich. Zapłacić za cheeseburgera. Poczekam na zewnątrz.

Zapłacił, a ona czekała.

- Szkoda, że nic nie jadłem. Teraz czuję, jaki jestem głodny.

D'Amour wyjechał dopiero późnym wieczorem; żegnali go gospodarze bardzo

zmęczeni, gdyż nie żalowali mu opowieści i wspomnień. Sporządził masę notatek;

przerzucając kartki notesu w tę i we w tę, usiłował połączyć w sensowną całość wszystkie wątki.

Kiedy Howie i Jo-Beth powiedzieli wszystko, co mieli do powiedzenia, dał im swoją wizytówkę z nowojorskim adresem i telefonem; na odwrocie nabazgrał swój adres prywatny.

- Wyjedźcie stąd jak najprędzej - poradził im. - Nie mówcie nikomu, dokąd jedziecie.

Absolutnie nikomu. A kiedy dojedziecie na miejsce, gdziekolwiek to będzie, zmieńcie nazwiska, i udawajcie małżeństwo.

Jo-Beth roześmiała się.

- Staromodne, owszem, ale co to szkodzi? - powiedział D'Amour. - Ludzie nie plotkują na temat małżeństw. Natychmiast po przyjeździe zadzwońcie do mnie, żebym wiedział, gdzie was szukać. Odtąd będziemy w stałym kontakcie. Nie mogę wam obiecać anioła stróża, ale są inne sposoby, by zapewnić wam ochronę. Chciałbym was poznać z pewną moją przyjaciółką.

Ma na imię Norma. Ma talent do wyszukiwania dobrych psów-obrońców.

- Sami możemy kupić sobie psa - wtrącił Howie.

- Ale nie takiego, jakie ona załatwia. Dziękuję wam za wszystko, co mi opowiedzieliście. Muszę się zbierać. Czeka mnie długa jazda.

- Jedzie pan samochodem do Nowego Jorku?

- Nienawidzę podróży samolotem. Miałem kiedyś w powietrzu niemiłą przygodę. Ja jestem, samolotu już nie ma. Przypomnijcie, żebym wam o tym opowiedział. Tyle o was wiem, więc i wy powinniście coś o mnie wiedzieć.

Odszedł, zostawiając w niewielkim mieszkaniu ostrą woń europejskich papierosów.

- Muszę odetchnąć świeżym powietrzem - powiedziała Jo-Beth po jego wyjściu. -

Wyjdiesz ze mną?

Było już dobrze po północy; ostry chłód, na który D'Amour uskarżał się przed pięcioma godzinami, był jeszcze bardziej przenikliwy, ale odświeżył ich i orzeźwił. Nabrali ochoty do rozmowy.

- Powiedziałaś D'Amourowi wiele rzeczy, o których ja nic nie wiedziałam - powiedziała Jo-Beth.

- Na przykład?

- To, co zaszło na Efemerydzie.

- Chodzi ci o Byrne'a?

- Tak. Ciekawe, co on tam w górze zobaczył.

- Powiedział, że wróci i opowie mi o tym, jeśli przeżyjemy.

- Nie chcę sprawozdań z drugiej ręki. Chcę to zobaczyć na własne oczy.

- I chciałybyś wrócić na Efemerydę?

- Tak, jeżeli ty byłbyś tam ze mną.

Przechadzka zaprowadziła ich nad brzeg jeziora Michigan; może to nie był przypadek.

Wiatr miał ostre zęby, ale świeży oddech.

- Nie boisz się, że Quiddity znów mogłoby coś nam zrobić, gdybyśmy tam kiedyś wrócili? - zapytał Howie.

- Jeśli będziemy razem, nie będę się bać.

Wzięła go za rękę. Nagle, mimo panującego wokół zimna, zaczęli się pocić; poczuli ucisk we wnętrzościach, jak wtedy w Barze Hamburgerowym Butricka, kiedy po raz pierwszy popatrzyli sobie w oczy. Od tamtej chwili dzieliła ich cała epoka; oboje byli odmienieni.

- Teraz obydwójce jesteśmy awanturnikami - powiedział Howie cichym głosem.

- Chyba tak - odszepnęła Jo-Beth. - Ale tak jest dobrze. Już nikt nie może nas

rozdzielić.

- Oby to była prawda.

- To jest prawda. Przecież wiesz.

Uniosła w górę ich splecione dłonie.

- Pamiętasz to? - spytała. - Quiddity wskazało nam drogę. Połączyło nas.

Drżenie jej ciała przebiegło po jej ręce, przez pot, który sączył się z ich złączonych dłoni, i wniknęło w ciało Howie'ego.

- Musimy iść drogą, którą ono nam wskazało.

- Wyjdiesz za mnie? - zapytał.

- Za późno. Już to zrobiłam.

Stali nad brzegiem jeziora, patrząc w noc, ale widzieli nie Michigan, lecz Quiddity.

Myśl o tamtym morzu sprawiała im ból. Ten sam ból, który odczuwa dusza każdego człowieka, gdy szept morza snów dotyka krawędzi czuwania. O ileż silniejszy musiał być ból tych dwojga, którzy nie potrafili odpędzić tęsknoty, ponieważ wiedzieli, że Quiddity - miejsce, gdzie miłość tworzy kontynenty - istnieje naprawdę.

Niedaleko już było do świtu; z pierwszym promieniem słońca będą musieli ułożyć się do snu. Ale zanim nadejdzie światło dnia - zanim świat realny zawładnie ich wyobraźnią - będą stali, wpatrzeni w ciemność. czekając na wpół z trwogą i na wpół z nadzieją, aż tamto morze powstanie z marzeń i zabierze ich z tego brzegu.

Document Outline

- [CZEŚĆ PIERWSZA](#)
- [POŚLANIEC](#)
 - [I](#)
 - [II](#)
 - [III](#)
 - [IV](#)
 - [V](#)
- [CZEŚĆ DRUGA](#)
- [ZMOWA DZIEWIC](#)
 - [I](#)
 - [II](#)
 - [III](#)
 - [IV](#)
- [CZEŚĆ TRZECIA](#)
- [WOLNI JAK WIATR](#)
 - [I](#)
 - [II](#)
 - [III](#)
 - [IV](#)
 - [V](#)
- [CZEŚĆ CZWARTA](#)
- [SCENY Z ŻYCIA ZWIERZĄT](#)
 - [I](#)
 - [II](#)
 - [III](#)
 - [IV](#)
 - [V](#)
 - [VI](#)
 - [VII](#)
 - [VIII](#)
 - [IX](#)
 - [X](#)
 - [XI](#)
- [CZEŚĆ PIĄTA](#)
- [NIEWOLNICY I KOCHANKOWIE](#)
 - [I](#)
 - [II](#)
 - [III](#)
 - [IV](#)
 - [V](#)
 - [VI](#)
 - [VII](#)

- CZĘŚĆ SZÓSTA
- SEKRETY W WIĘKSZOŚCI UJAWNIONE
 - I
 - II
 - III
 - IV
 - V
 - VI
 - VII
 - VIII
 - IX
 - X
 - XI
- CZĘŚĆ SIÓDMA
- W PUNKCIE ZERO
 - I
 - II
 - III
 - IV
 - V
 - VI
 - VII
 - VIII